

Trzymający w napięciu thriller
z czasów II wojny światowej



CZARNA LOŻA
JASNOWIDZÓW

FABIO DELIZZOS

Fabio Delizzos

**Czarna loża
jasnowidzów**

Tłumaczenie: Anna Niedzielko



*Nie można widzieć w ciemnościach
bezkarnie.*

E. M. Cioran, *Zarys rozkładu*

Rozdział 1

Monachium, lipiec 1942 r.

Szczyty bawarskich Alp, nieoświetlone już o tej porze przez dogasające słońce, migwały w oknach pociągu Luxuszüge SD25 niczym srebrne iskry.

W nocnym ekspresie relacji Monachium - Berlin, chlubie niemieckiej spółki kolejowej Mitropa, wybiła godzina kolacji. Stoły w wagonie restauracyjnym, niczym uginające się pod ciężarem pyłku kwiaty, przyciągały otulone w sobolowe futra pszczoły oraz sporą gromadę wysokich blond szerszeni odzianych w mundury SS.

Oraz robotników. Profesorem.
Biznesmenów.

Z małżonkami i towarzyszkami.

– Zatrzymamy się w Saalfeld.

Wypowiadający te słowa człowiek nosił na palcu pierścień z czaszką. Na jego szyi, tuż

pod wydatnym jabłkiem Adama, pomiędzy wyłogami marynarki munduru ozdobionymi patkami z podwójnym piorunem i oznaczeniem stopnia, zwisał czarny krzyż. Naprzeciwko siedziała kobieta, której uroda nie pozwalała mu skupić się na lekturze.

– Do kogo pani pisze? – zapytał, zamykając książkę i kładąc ją na stoliku obok sztuców – była to *Ostatnia królowa Atlantydy* Edmunda Kissa.

– Do przyjaciela – odpowiedziała kobieta, unosząc duże jasne oczy znad niezapisanego jeszcze arkusza papieru. Jej brwi miały idealny kształt, jakby zostały namalowane precyzyjnym pociągnięciem pędzla, a rzęsy byłytak długie, że kiedy otwierała oczy, zdawały się unosićoniemiały z wrażenia kurz. Miała jasną cerę, szkarłatne policzki i lekko falowane blond włosy, które spływały niczym wartki górski strumień do złocistego jeziorana jej piersi.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – zapytała delikatnym, przyjemnym głosem.

– Będziemy zmieniać lokomotywę, żeby pociąg mógł pokonać strome stoki na kolejnym odcinku drogi – odpowiedział oficer, obdarzając ją jednym ze swoich najbardziej serdecznych uśmiechów.

– Rozumiem – odparła, spoglądając na góry.

– Pierwszy raz podróżuje pani Luxuszüge?

– Tak – potwierdziła.

– Pozwoli pani, że się przedstawię. – Wstał i wyciągnął dłoń w jej kierunku. – Nazywam się Lothar Giger.

Kobieta podała mu dłoń i pozwoliła, by złożył na niej pocałunek.

– Sibylla Rol – odpowiedziała, udając zawstydzenie.

Giger usadowił się na swoim miejscu, nie przerywając niewidzialnej nici łączącej źrenice ich oczu.

– Jest pani Włoszką?

– Tak.

– W pani oczach uwięziony został kawałek czystego, nordyckiego nieba, pani Rol. To zapewne z tego powodu tak doskonale mówi pani po niemiecku.

– Być może. Sądzę jednak, że w jakimś stopniu wpłynął na to również fakt, iż moja matka pochodziła z Düsseldorfu, a ja kilka lat studiowałam na uniwersytecie w Jenie.

– Jestem oczarowany. – Giger ukazał swoje białe zęby w szerokim uśmiechu. – Jeśli nie jest to tajemnicą, mogę zapytać, czym się pani zajmuje?

– Archeologią – odparła Sibylla.

Na twarzy doktora Gigera znów pojawił się uśmiech.

– Jestem wielkim miłośnikiem archeologii! – odrzekł. Wziął do ręki czytana przed chwilą książkę i pokazał jej.

– Czy miała pani przyjemność zapoznać się z dziełami Kissa?

– Och tak, bardzo go lubię – odpowiedziała kokieteryjnie Sibylla. – Właśnie skończyłam czytać jego ostatnią powieść – *Rozśpiewane łabędzie z Thule*.

W jednej chwili wszystkie mięśnie Gigera zadrżały.

– Naprawdę? – odparł zachwycony swą rozmówczynią. Stuknął delikatnie dwa razy w książkę. – A tę? Proszę nie mówić, że tę również pani przeczytała. – Wysunął rękę do przodu. – Tylko niech mi pani czasem nie zdradza zakończenia! – zawołał ze śmiechem.

– Niesamowita podróż sprzed czternastu tysięcy lat, od Atlantydy po Andy – odparła. – Preczytałam ją jednym tchem.

– Uwielbiam Kissa – stwierdził Giger niemal uroczyście. – Ukazuje wielkość antycznych ludów nordyckich, nikt tak jak on nie potrafi przywrócić magii prawdziwej historii.

– Zgadzam się, Herr Giger.

– Pochlebia mi pani.

– Oddałabym wszystko, aby wziąć udział w którejś jego wypraw. I dałabym wszystko, żeby zakończyć wojnę i umożliwić tak uzdolnionym badaczom kontynuowanie ich ekspedycji. Interesuje mnie to. Chciałabym wiedzieć.

– Co dokładnie chciałaby pani wiedzieć?

– Wiele rzeczy, Herr Giger, nie jakąś jedną konkretną.

– Proszę wybrać jedną.

Sibylla spojrzała na sufit i odparła:

– Chciałabym się dowiedzieć, w jaki sposób zostały skonstruowane wieloboczne, łączone niczym puzzle mury z megalitu w Cuzco. – Znowu podniosła wzrok. – Albo nie: jak zostało wykonane mauzoleum Puma Punku, te futurystyczne modułowe konstrukcje, tak niezwykle doskonałe w swej formie. – Ponownie się zastanowiła. – A może raczej wybrałabym Ollantaytambo, albo nie...

chciałabym poznać prawdę na temat Baalbeku. Rozmyślał pan nad tym?

– Ogromne, ważące tysiąc ton bloki zespolone z prostotą, z jaką łączone są cegły wykonane tak idealnie, że nie można wcisnąć w złącza nawet kartki papieru – wyjaśnił Giger, który w tym momencie za największy cud świata uznałby Sibyllę. – Tak, to jedna z tych rzeczy, które nie dają mi spokoju.

– Czasami te myśli wręcz spędzają mi sen z powiek. Zastanawiam się wtedy: kto wie, co znalazł Kiss w Boliwii w Peru. A Schäfer i Beger w Tybecie? Czy zatem Atlantyda naprawdę istniała? Odpowiadam sobie, że tak, i wszystko staje się jasne – ta planetarna cywilizacja, której niezwykle świadectwa istnienia odnajdujemy od Stonehenge po Sardynię, od Baalbek po Carnac, od Tiahuanaco po równiny w Gizie, to bezpośredni potomkowie mieszkańców Atlantydy, którzy zostali zmuszeni do porzucenia bieguny

północnego ze względu na srogi klimat epoki lodowcowej.

– Aryjczycy – odparł Giger z uwielbieniem w głosie rozanielonym spojrzeniem. – Niezwykle postępową cywilizacja sięgająca dziesiątki tysięcy lat wstecz, która podbiła i ucywilizowała resztę planety, a następnie została niemal zmieciona z powierzchni ziemi przez potopy.

– Niemal?

– Niemal, droga pani.

– Chce pan powiedzieć, że jakaś część mieszkańców Atlantydy wciąż żyje na ziemi?

– Nie na ziemi. – Spojrzał w dół i obserwował przez chwilę metalową płytę, która oddzielała ich od stukających po szynach kół.

– Pod ziemią? – spytała Sibylla z ożywieniem i niecierpliwością małej dziewczynki.

– My w to wierzymy – odparł Giger z przekonaniem.

W tym momencie podszedł do nich kelner, żeby przyjąć zamówienie. Giger nie spoglądając nawet na niego, pozostawił mu wolną rękę, jednak zastrzegł, żeby przyniósł mu danie bez mięsa.

Sibylla powiedziała jedynie:

– Dla mnie to samo.

– Tak więc, pani Rol...

– Panno – poprawiła go Sibylla.

– Panno... – powtórzył Giger obojętnym tonem, jednak nie udało mu się ukryć przyjemności, jaką sprawiło mu wypowiedzenie tego słowa. – Co sprowadza panią do Berlina?

– Praca.

– Mogę zapytać...

– Oczywiście. Jestem tłumaczką w niemieckiej ambasadzie w Rzymie.

Giger zacisnął wargi, zamknął oczy i skinął głową.

– Pracuje pani dla naszej ambasady? Proszę powiedzieć, że to nie żart!

– Nie, to nie żart.

– Przed chwilą powiedziała pani, że jest archeologiem.

– Po zakończeniu studiów w Jenie bardzo chciałam zająć się archeologią i jeździć po całym świecie, tak jak doktor Kiss, ale potrzebowali tłumaczki niemiecko-włoskiej, tak więc...

Pociąg wjechał do tunelu, pozostawiając w tyle łunę zachodzącego słońca. Twarz Gigerera w mroku nie przestawała się uśmiechać, ale chwilami był to uśmiech złowrogi, falujący miękko na okiennej szybie niczym odbicie w tafli wody – nikczemny uśmieszek skąpany w czerwonym świetle elektrycznych świec i spowity czarnym cieniem rzucanym przez rozciągnięte w uśmiechu kości jarzmore. Chwilami zaś jego twarz przypominała wyłaniającego się z płomieni demona.

– Fascynująca, wykształcona i odważna kobieta – powiedział. – Włoszka, ale o wyraźnie aryjskich rysach: podłużna

czaszka, oczy w kolorze gór lodowych, złote włosy. Ktoby pomyślał, że poznam taką osobę i że spotka mnie zaszczyt rozkoszowania się kolacją w jej towarzystwie.

– Teraz to pan mi schlebia – wzbraniała się Sibylla.

Tunel się skończył, a do przedziału powróciły promienie słoneczne. Ostatnie tego dnia.

– Jestem dłużnikiem losu, cóż za przypadek!

Kelner, trzymający w tace w jednej oraz chochlę w drugiej ręce, przeprosił i zaczął podawać zupę jarzynową. Najpierw obsłużył kobietę, następnie oficera. Życzył im smacznego, po czym stuknął obcasami i przeszedł do kolejnego stolika. Przez chwilę Sibylla i doktor Giger słyszeli te same słowa, to samo dzwonienie łyżki o wazę i stukanie obcasami powtarzające się przy każdym stoliku i oddalające się coraz bardziej niczym echo.

– Nic nie dzieje się przez przypadek, Herr Giger.

Rozdział 2

Nieopodal Rzymu, 52 minuty do 1943 r.

Niebo i morze stanowiły jedną czarną i połyskującą tafłę. Agent Spartak miał wrażenie, że znajdował się w gigantycznej czarnej bańce obsypanej nieskończoną liczbą świetlnych punkcików. Subtelne światło sierpa księżycy, niczym zakrzywione nacięcie w bezkresie czarnego płaszcza, wylańiało delikatnie z nicości biel nadmorskich skał i pozwalało mu dojrzeć punkt docelowy – niewielką zatoczkę otoczoną koroną jasnego piasku, znajdującą się po prawej stronie plaży. Po lewej zaś widoczna była ścieżka pnąca się w górę pomiędzy skałami i krzakami i opadająca ku górującemu na płaskowyzu wojskowemu barakowi, z którego z pewnością widoczna była cała plaża oraz niewielka część wybrzeża w północnym i południowym kierunku.

Nieopodal baraku snopy światła latarek w rękach żołnierzy patrolujących wybrzeże krzyżowały się nerwowo, gasły i znów zapalały się w nieregularnych odstępach, najpierw jedna, później następna, być może w poszukiwaniu czegoś na dole, na plaży lub w morzu. Agent Spartak ponownie zdał sobie sprawę z czyhających na niego zagrożeń. Zamknął oczy, uspokoił oddech, koncentrując się na słonawym i mroźnym powietrzu, podczas gdy bałwany piany morskiej uderzały o kadłub.

Zaczekał, aż wartownicy zakończą obchód, sprawdzając w tym czasie zawartość plecaka: kompas, rozmontowany radiotelefon, dwa pudełka amunicji kalibru dziewięć milimetrów, dwa pliki banknotów – wszystko było na miejscu. Założył plecak na ramię i nie spuszczać wzroku z wybrzeża, zaczął nadmuchiwać dętkę od koła ciężarówki, przerozioną na tę okazję w niewielki czarny ponton z dnem pokrytym woskowanym płótnem.

Znowu snopy światła. Wydłużały się i znikwały nagle niczym czułki ślimaka.

Delikatna bryza przenikała przez włókna wełnianej kominiarki, którą zasłonił twarz, aby zapobiec odbijaniu się od niej światła.

Rozejrzał się dookoła.

Pod gwieździstym niebem wszystko wydawało się idealnie spokojne.

Wychylony z wieżyczki łodzi podwodnej marynarz czekał, aż zejdzie na brzeg, aby zamknąć właz i rozpocząć manewr zanurzania.

Zasługą agentów takich jak Spartak było to, że zarówno teraz, jak i za każdym innym razem łódź podwodna mogła zbliżyć się tak bardzo do brzegu, nie wpadając na podwodne miny. Kapitan posiadał kopię mapy miejsc wzdłuż całego włoskiego wybrzeża Morza Tyrreńskiego, których należało unikać. To właśnie dlatego tacy jak on byli ważni.

– Gotowy? – zapytał marynarz.

Złożył palec wskazujący i kciuk w literę „o” na znak potwierdzenia.

Marynarz zasalutował prawą ręką i zamknął drzwiczki, po czym łódź zaczęła się zanurzać.

Spartak usiadł po turecku w ciemnym pontonie i czekał, aż twardy stalowy pan-cerz łodzi zniknie mu z oczu i zacznie dryfować.

Gdy zaczął sunąć po wodzie, wiosłując rękami, łódź znajdowała się już daleko, z dziobem skierowanym w stronę otchłani morza, a na cyplu za plażą pojawiały się świetlne czułki straży przybrzeżnej. Wydawało się, że żołnierze nie mają zamiaru wrócić do obozu i świętować Nowego Roku. Mimo wszystko ich obecność dała mu pewność – wojskowi nie kręciliby się tak bardzo, gdyby spodziewali się desantu szpiega. Raczej ukryliby się w ciemności i wyskoczyli zniemacka.

Oczywiście bardzo prawdopodobne było, że do tychz Biura Informacji Wojskowej oraz tych z OVRA dotarły jakieś strzępy informacji o desancie, jednak bezszczegółów na temat dokładnego miejsca, w którym miałyby nastąpić, i że wszyscy przez to postawieni byliw stan gotowości.

Tak czy inaczej, przezorność była jedyną skuteczną bronią, jaką Spartak dysponował na tym skalistym wybrzeżu.

Zaczął jeszcze intensywniej wiosłować i oddychać. Po pewnym czasie ujrzał wyraźnie cienie poruszające się w oświetlonym baraku na skałach po lewej stronie oraz dwóch żołnierzy, którzy w końcu zgasili latarki i skierowali się do środka.

Wydawało mu się, że słyszy muzykę – płaczącą, niewyraźną, niesioną przez bryzę.

Skierował się w prawą stronę – tam, gdzie plaża była bardziej zacieniona i gdzie skupisko skał mogło osłaniaćgo podczas wysiadania z pontonu.

Ręce mdlały mu ze zmęczenia, dłonie miał zmarznięte. Udał się w stronę wąskiego pasa piasku pomiędzy dwoma skałami. Wyskoczył z pontonu, pozostawiając w środku plecak, i zanurzył się bezszelestnie po szyję w wodzie. Płynąc, ciągnął ponton w kierunku brzegu, aż wyczuł stopami dno, następnie podniósł go i rzucił na piasek. Dętka upadła, wydając metaliczny, głuchy odgłos, który zaczął odbijać się echem pośród ciszy. Zanim Spartak się wynurzył, trzymając w górze plecak i chroniąc go przed zamoczeniem, upewnił się, że nikt go nie usłyszał. Nie miał czasu, aby poczuć zimno czy strach. Obserwując bacznie mrok, zaczął kopać dół.

Musiał się śpieszyć, zachowując jednocześnie spokój.

Z tego miejsca barak był niewidoczny. Światłne czułki mogłyby zacząć nagle znowu penetrować noc.

Pracował do momentu, aż jego ręce całkowicie opadły z sił. Spojrzał na rezultat:

udało mu się wykopać rów o szerokości czterdziestu centymetrów i głębokości około pół metra. To wystarczyło. Wysunął sztylet z przymocowanego do łydki pokrowca. Naciął ponton. Z dętki ulotniło się syczące powietrze. Zanurzył głębiej ostrze i pociął gumę. Umieścił pozostałości swojej łodzi w wykopanym dole i zasypał piaskiem. Naszły go wspomnienia z dzieciństwa, gdy nawet nie wyobrażał sobie, że w przyszłości będzie szatkował na kawałki ponton, i kiedy grzebałw piachu tylko po to, żeby budować z niego zamki. Czy to możliwe, że kiedyś był kimś takim?

Wspiął się na skały. Wejście na szczyt okazało się wiele prostsze niż wiosłowanie. Wyjrzał zza skał, dociskając kominiarkę, żeby zablokować ujście ulatniającej sięz ust pary, i zaczął analizować sytuację.

Barak po lewej. Po prawej ciemna plama zarośli, za którą otwierała się wolna przestrzeń. Tam pozostanie nieosłonięty na

dystansie około czterystu metrów, aż do metalowej siatki. Według otrzymanych wskazówek za ogrodzeniem był las. Jeśli będzie podążał we właściwym kierunku, na ścieżce znajdzie pożywienie i ubrania pozostawione dla niego w opuszczonej chacie. Kierując się na wschód, po siedmiu kilometrach otwartego pola dotrze do drogi, a przy odrobinie szczęścia złapie nawet jakiś transport.

W dalszym ciągu, po ominięciu straży nabrzeżnej, będzie groziło mu natknięcie się na jakiegoś myśliwego. Całkiem spora liczba szpiegów skończyła jako trofeum myśliwskie zamiast bażanta. Otuchy dodawał mu fakt, że większość mężczyzn, którzy byli w stanie utrzymać rękę strzelbę, w chwili obecnej znajdowała się na froncie.

A ponadto była noc. Uroczysta noc.

Spojrzał na miejsce, w którym zakopał ponton. Na tyle, ile zdołał dojrzeć, wydawało

mu się, że wykonał dobrą robotę. Przy odrobinie szczęścia niczego nie spostrzegą, przynajmniej do czasu, aż kipiela morska nie zmyje piachu pokrywającego gumową łódź. A wtedy on będzie już daleko. Postanowił się przenieść.

Nie pokonał nawet dwudziestu metrów, gdy usłyszał gwizd racy, potem kolejnej i jeszcze jednej. Spojrzała niebo. Trzy białe racje, niczym oderwane od niebieskiego sklepienia gwiazdy, oświetliły okolicę.

Przycupnął za krzakiem pomiędzy kamieniami. Wziął głęboki oddech. Wiedział, co sygnalizowały.

Atak nieprzyjacielskich jednostek.

Oznaczało to, że widzieli łódź podwodną, ale jego nie zauważyli.

Zaczął biec, najszybciej jak potrafił. Biec, tylko biec. Całe jego ciało biegło, jego serce i płuca, głowa i obie nogi służyły tylko do tego. Oddychać i biec, istniało tylko to, nic więcej. Jeszcze nie zdążył się rozpędzić, gdy

zaczęło mu się wydawać, że bieganie to je-
dyne, co robił w życiu.

Przebył kolejne dwieście metrów, kiedy
ponowne syknięcie przeszło jego uszy.
Spojrzał w górę, nie zatrzymując się. Ujrzał
białą racę, do której natychmiast dołączyły
dwie zielone, wystrzelone jedna po drugiej.

Jedna biała i dwie zielone. Desant nieprzy-
jaciela. Biec.

Biec. Nic poza tym.

Rozdział 3

Jego ciało pod zielonkawą świetlną peleryną rac rzucało długi cień na jasny piasek. Dobiegł do ogrodzenia prawie bez tchu. Rzucił plecak na ziemię i opadł na kolana. Wyjąwszy z kieszeni rękawa niewielkie szczypcy, przeciął szybkim ruchem w kilku miejscach drucianą siatkę, żeby się przez nią przecisnąć. Przełożył plecak na drugą stronę, następnie przeczołgał się, pomagając sobie łokciami. Kiedy znalazł się poza siatką, odwrócił się, żeby zmontować ją tak, aby nie pozostawić zbyt widocznych śladów swojej ucieczki i zyskać kilka dodatkowych metrów. Po chwili pomyślał jednak, że było to całkowicie bezcelowe.

Nabrał pewności, kiedy usłyszał psy. Spojrzał na zegarek – do Nowego Roku brakowało piętnastu minut. Zerknęła kompas – podążał w dobrym kierunku, czyli na

północny zachód. Podniósł się z kolan i ponownie zerwał do biegu. Minął szeroki pas ubitej ziemi i popędził w sosnowy las. Starał się nie zwalniać, ale piach hamował go jak w koszmarnym śnie.

Psy były kilometr za nim, a jemu zdawało się, że czuje na plecach ich oddechy. Węszyły zawzięcie, co do tego nie miał wątpliwości. Szczekały, ujadały – coraz bliżej i coraz zacieklej. Zdawało mu się, że krzyczą, że ich właściciele, ludzie z włoskiego kontrwywiadu, wiedzieli o jego desancie.

„To niemożliwe” – pomyślał. „Nikt nie mógł o tym wiedzieć”.

A psy wciąż szczekały, jakby chciały mu dać do zrozumienia, że biegną za nim z konkretnego powodu.

– Nikt nie mógł zdradzić – szepnął. – W Panopticonie nie ma kretów... nikt spośród szpiegów. A mimo to prawda biegła obok psów i ujadała wraz z nimi.

Wsunął kciuki pod szelki plecaka i nadał jeszcze szybszy rytm swoim ciężkim oddechom, podczas gdy piach zabawiał się z nim, usuwając mu niespodziewanie świat spod stóp. Biegł dalej, upadając i podnosząc się na przemian.

Szkolono go w tym. To była jego praca, jego życie. Nie zwalniając, zdjął plecak z ramion, zsunął kurtkę, sweter, a następnie koszulę. Założył ponownie sweter i kurtkę. Koszulę trzymał w ręce, a plecak ponownie zarzucił na ramiona. Wytarł się nią pod pachami. Nie zatrzymywał się, a mimo to ujadanie psów i krzyki ludzi zbliżały się do niego metr po metrze.

Zboczył z kierunku wskazywanego przez kompas.

Usiłując zachować równowagę na śliskim piachu pokrytym sosnowymi igłami, porwał koszulę zębami na taką liczbę kawałków, na jaką tylko zdołał. Rzucił na ziemię pierwszy z nich, odbił w innym kierunku i rzucił

następny. Robił tak dotąd, aż pokrył przepoconymi strzępami ubrania całkiem spory obszar.

Ponownie sprawdził kompas – dalej na północny zachód. Dalej biec.

Zręczne wymykanie się nieprzyjacielskim siłom stanowiło część jego życia. Wrogość, nienawiść, władza... brudny światek szpiegów był jego środowiskiem naturalnym – do tego stopnia, że nawet znalazł w nim miłość – niczym cenną grudkę złota na pełnym śmieci wybrzeżu.

Pragnienie ujrzenia jej ponownie tchnęło teraz w jego nogi dodatkową siłę, by gnać naprzód, przekształcające w dwa potężne tłoki.

Myśl o przytuleniu jej pomagała mu wstać za każdym razem, kiedy potykał się i upadał na piach.

Kochał ją tak, jak kocha się wodę, powietrze, światło słoneczne, i tak samo mu jej brakowało.

Złość zaczęła krążyć w rozpalonych włóknach jego mięśni niczym benzyna w przewodach paliwowych samochodu. W tym momencie mógł biec, dopóki nie eksplodowałoby mu serce. Gdy tak pędził, świat zdawał się niezwykle chwiejny i niestabilny, ale czuł, że przynajmniej jedna rzecz pozostaje niezmienna, niewzruszona – pragnienie przytulenia kobiety, którą kochał.

Dalej przebierał nogami, bez strachu i zbędnych myśli.

Gnał przez około kwadrans. Sądząc po tempie, które utrzymywał, pokonał może trzy kilometry, kiedy zorientował się, że ujadanie i głosy zaczęły się oddalać. Następnie przez dłuższy odcinek słyszał już tylko swoje dyszenie oraz własne kroki, które w miarę utwardzania się nawierzchni stawały się coraz głośniejsze.

Koniec lasu sosnowego. Droga musiała być gdzieś niedaleko. Nie zatrzymując się, spojrział na zegarek. Uśmiechnął się. Może

zadziałała porwana koszula? A może to noc sylwestrowa pokonała ich wszystkich?

Rozdział 4

Jestem kapitanem! – Żołnierz wypowiedział to zdanie w myślach wiele razy, nie mogąc się przy tym oderwać od wilgotnych i ciepłych warg, które postanowił sprawić sobie w prezencie na koniec roku.

Czuł, jak przesuwiają się po jego policzku, po szyi, po nogach. Ale jego siła woli nie dawała za wygraną.

Przypomniawszy sobie, że jest kapitanem, kiedy odkorkował pierwszą butelkę wina. Drugi raz uświadomił to sobie, kiedy poszedł z Clarą na stronę, a kolejny – gdy usłyszał odgłosy pierwszych rac i kiedy kątem oka ujrzał, jak wkomponowują się one w kadr tylnej szyby samochodu niczym jasne aureole spływające po zaparowanym szkle. Po drugim wystrzale rac zamruczał:

– Muszę iść.

Kiedy usłyszał psy, było już za późno. Jego umysł kapitana rozkazywał bezwładnemu ciału.

Clara miała do niego słabość, a on do niej – do jej urody, świeżej i nieskazitelnej, która była rzadkością wśród prostytutek. Kapitan opowiadał o niej przyjaciółom, twierdząc, że zwyczajnie zwariował na jej punkcie. Utrzymywał też, że bywał o nią zazdrosny, pomimo że była dziwką.

Ale dla jednej nocy z nią z pewnością nie opłacało się ryzykować postawienia przed sądem wojennym, z tymże białe i jędrne uda Clary zacisnęły się już wokół jego bioder, zamykając go w ciepłej marmurowej szkatule.

Powoli każde zetknięcie ich ust zaczęło rozbrzmiewać mu w głowie niczym strzały plutonu egzekucyjnego, a jej ciężkie oddechy przypominać cierpienia więźnia rzuconego do mrocznego lochu i zapomnianego przez świat.

W jego umyśle gładkie i anielskie oblicze Claryustąpiło miejsca szkaradnej siatce blizn na twarzy pułkownika Roux.

Wydostał się z samochodu z nogami splątanymi przez spodnie niczym kajdanami. Upadł. Podniósł się, poleciłClarze, żeby na niego zaczekała i nie pokazywała się nikomu, oraz zapewnił, że niebawem zawiezie ją do Rzymu. Zmierzając w kierunku baraku, naciągnął spodnie i wsunął w nie koszulę.

Nie było tu nikogo. Ktoś zostawił otwarte drzwi, zaś w środku paliło się światło. Cały barak grał niczym gigantyczna pozytywka.

Zazdrość jest już niemodna, to nierozsądny przeżytek– nuciła grupa Trio Lescano.

W miarę jak gasła w nim namiętność, wzrastała świadomość, że wpadł w niezłe tarapaty. Chwilę później świadomość ta przerodziła się w śmiertelne przerazenie. Spostrzegł powracających z pustymi rękoma mężczyźni psy oraz zmierzającego ku niemu żołnierza, którywystrzelił race.

– Kapitanie! – krzyczał, potrząsając pistoletami do rac.

– Co się stało? – zapytał, dopinając ostatnie guziki koszuli. „A to, że jesteś kompletnym idiotą” – odpowiedział sobie w myślach.

Żołnierz podbiegł do niego zdyszany i zgiął się w pół, opierając ręce z pistoletami na kolanach. Dopiero po kilku chwilach zdołał wypowiedzieć pierwsze słowa.

– Widziałem wychodzącego na brzeg człowieka.

„Stało się, jesteś pijany i nie możesz ustać prostopadłościanem”.

– Jesteś pewien?

– Chyba tak, kapitanie.

– Co to znaczy „chyba tak, kapitanie”?
Widziałeś go, czy też nie?

– Tak, kapitanie.

– Co to było? – wykrzyknął kapitan do porucznika, który wracał na czele niewielkiej grupy z psami.

– Fałszywy alarm, kapitanie.

– Ale ja widziałem coś w morzu – zaprotestował żołnierz z pistoletami. Wskazał na czarne głębiny. – Jakąś milę od brzegu.

Towarzysze spojrzeli na niego złowrogo, wyraźnie dając mu do zrozumienia, żeby się uciszył.

– Ale nie jestem pewien, czy dobrze widziałem – poprawił się żołnierz. – Potem zauważyłem jakiś cień, o tam...

– Chyba nie jesteś o tym przekonany – odparł kapitan. Nie mogąc ukryć ulgi, dla niepoznaki przyozdobił twarz szyderczym uśmiechem.

– Może źle widziałem, kapitanie – odpowiedział żołnierz z pistoletami.

– Ale wolałem na wszelki wypadek zareagować.

– Piłeś?

– Niewiele. Bardzo niewiele, kapitanie. To wyjątkowy dzień, dlatego...

Kapitan stracił na chwilę równowagę i poczuł, jak wino chlupocze mu w żołądku. Zrobił krok do tyłu, lekko się przy tym potykając. Wreszcie udało mu się ustać i zatrzymać w miejscu. Spojrzał na morze. Bryza lekko rozwiewała mu włosy.

Żołnierz, który wszczął alarm, spojrzał niepewnym wzrokiem na towarzyszy, ściskając kolby pistoletów w oczekiwaniu na informację, w jaki sposób kapitan ma zamiar zniszczyć mu sylwestrową noc.

– Co piłeś? – zapytał kapitan.

– Pomyliłem się!

– A wy? – zwrócił się do pozostałych, którzy dyszeli podobnie jak ich psy. Przysunął nos do twarzy każdegoz nich.

Po takim biegu nie zdołaliby wstrzymać oddechu, dlatego wszyscy przyznali, że w istocie trochę wypili.

– Nikt nie może się dowiedzieć o tym bałaganie. Dzisiejszej nocy nic się tutaj nie wydarzyło, rozumiemy się?

– Tak jest! – odpowiedział mu fałszujący chór.

– A teraz idziemy się upić jak należy.

Rozdział 5

Rzym, 1 stycznia 1943 r., piątek

W grze w klasy rzuca się kamyk na jedno z pól, starając się nie dotknąć linii, a następnie wchodzi się do labiryntu skacze na jednej nodze, żeby dostać się do kamyka. Potem wraca się i powtarza czynność, celując nim w kolejne pole.

W grze w klasy piekło zazwyczaj nazywane jest ziemią, a niebo domem. Ziemia. Raz. Dwa. Trzy. Cztery i pięć. Sześć. Siedem i osiem. Niebo. Dziewczynka nie umiała pisać ani liczb ani słów, ale kawałkiem dachówki wyrysowała na bruku przepiękne czworoboki, co sprawiło jej dużą radość. Czasami, bardzo rzadko, zdarzało się, że miało do dyspozycji kawałek kredy krawieckiej swojej mamy, ale kreda była bardzo droga, więc tego popołudnia – jakto zwykle bywało –

namalowane przez nią linie były tak samo czerwone jak jej włosy.

– Dziewczynko!

Znieruchomiała. Długie warkocze ozdobione niebieskimi kokardami opadły jej na ramiona, a ona sama starała się utrzymać równowagę, stojąc na jednej nodze. Nie obracając się ani trochę, zerknęła obojętnie na człowieka, który właśnie się do niej odezwał. Po krótkiej chwili wróciła do skakania.

– Pani krawcowa jest w domu?

Nie odpowiedziała. Nie wyglądał na miłego człowieka, stał schowany za rogiem, jakby się bał, że ktoś go zobaczy, a poza tym przykazano jej, żeby nie rozmawiała z nieznanymi. A on był nieznanym. Ponadto dziwnie wyglądał, nosił duże, ciemne okulary przeciwsłoneczne, brodę oraz bardzo długie włosy – zbyt długie. Wydawał się brudny i był cały w pianie. Na ramionach miał plecak, a na głowie wełnianą czapkę,

zwiniętą na rozczochranych włosach. Może to cudzoziemiec z dalekich stron, który przybył do Rzymu na Boże Narodzenie? Może pielgrzym? A może pomimo swojego wyglądu był miłą osobą?

A może jednak nie.

Skoczyła na jednej nodze, schyliła się, aby zabrać kamień, i znowu dała susa. Dotarłszy do końca klas, obróciła się dookoła własnej osi i zauważyła, że mężczyzna wciąż tam stał. Wydawało się, że z przyjemnością patrzy, jak mała podskakuje.

Może on też chciał się pobawić? Chyba nie. Niebo. Osiem i siedem. Sześć. Ten człowiek chciał wiedzieć, czy jej mama jest w domu. Dlaczego? Chciał jej zrobić krzywdę? Lepiej udawać, że się nic nie słyszy.

Właśnie miała schylić się po kamień, gdy nagle stanęła przed trudnym wyborem, ponieważ do pola obok kamyka wpadła moneta. Moneta błyskała zachęcająco.

– Weź ją – powiedział człowiek – to prezent dla ciebie.

Dziewczynka zastanowiła się na tym, ale zdecydowała, że zabierze tylko kamień, i zaczęła ponownie skakać.

– Jak masz na imię?

Tym razem odpowiedziała onieśmielona:

– Benedetta.

– Jesteś w tym świetna, wiesz? Narysowałaś bardzo proste linie.

– Dziękuję.

– Mam coś dla ciebie. Chcesz zobaczyć, co to takiego?

Dziewczynka nie zdołała się powstrzymać i podniosła wzrok.

– Co?

– To – odparł mężczyzna, pokazując jej pięść, którą zakrył drugą ręką. Następnie zaczął ją powoli otwierać, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Wreszcie w dłoniach mężczyzny ukazał się mały kurczaczek, żółty jak słońce.

– Chcesz go? – zapytał. – Jest twój.

Rozdział 6

Krawcowa czekała na niego w domu. Wszystko było gotowe.

– Podać coś do jedzenia?

– Dziękuję, tylko wodę.

Spartak wyjął z kieszeni jajko, zrobił paznokciem dwa otwory w skorupce i wypił zawartość. Przecierając wewnętrzną stronę nadgarstka słone od morskiej wody usta, poczuł, jak żółtko rozplywa się po języku, a następnie jak świeży, gęsty płyn spływa mu do żołądka.

Wydawało mu się, że wciąż podskakuje na wozie, który zabrał go po drodze. Ponad trzy godziny siedział pomiędzy dwiema ogromnymi klatkami z hałaśliwymi kurami, a lena odcinkach, gdzie droga była mniej zniszczona, udało mu się nawet uciąć drzemkę i zregenerować siły. Obudziły go promienie słońca prześwitujące przez dziurawą

plandekę, pod którą się skrył. Otworzył oczy, wóz się zatrzymał.

Stary muł głośno parskął.

Chłopiec zsiadając z wozu, nawet na niego nie spojrział i zniknął wśród przybywających na targ ludzi, tłoczących się wokół pomnika Giordana Bruna. Kiedy zgodził się, by wsiadł, od razu zaznaczył, wydając przy tym trudne do zrozumienia, lecz wyraziste gesty i dźwięki, że podwozi go bez obaw, bo jeżeli przypadkiem ktoś złapie ich po drodze, wtedy powie, że nie zdawał sobie sprawy, że do wozu wsiadł jakiś człowiek.

I byłoby to całkiem wiarygodne, zważywszy na fakt, że był głuchy.

Nie mógł usłyszeć nawet podziękowania Spartaka ani dźwięku wydawanego przez monety, które ten rzucił obok niego na drewnianą skrzynię.

– Proszę. – Krawcowa postawiła na stole zmrożoną karafkę i szklankę.

– Dziękuję – odparł Spartak.

– Ubranie jest tam.

Wskazała na dwa ustawione tuż obok siebie krzesła, na których rozłożyła parę idealnie wyprasowanych czarnych spodni, kamizelkę, satynowy czarny krawat, czarne bawełniane skarpety oraz zwinięty w rulon skórzany pasek. Na jednym z oparcí wisiała czarna marynarka, a na drugim biała koszula.

– Kardynalskie, ręcznie robione. – Mówiła o skórzanych butach stojących pod jednym z krzeseł.

– Dziękuję! – Powiedział ponownie Spartak i skinął lekko głową. – Już sobie idę. – Spojrzał za okno. Dziewczynka bawiła się z kurczakiem. – Nikt mi nie mówił, że ma pani córkę.

– Ale wiedział pan o tym.

– Nie.

– To dlaczego przyniósł pan ze sobą tego kurczaka?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko półgębkiem.

– A gdyby pan o tym wiedział, wybrałby pan inną krawcową?

– Być może tak. Wszystkim nam coś zagraża...

– Ale kobiety i dzieci...

– Zwłaszcza dzieci. – Napił się.

Porozmawiali chwilę. Miała na imię Diamante. Była młoda – skończyła dwadzieścia sześć lat. Oprócz imienia, jak mówiła, nigdy nie posiadała żadnych bogactw.

Niemniej, pomyślał Spartak, z diamentem łączył ją także uroda, transparentność i odporność.

Była zwykłą mieszczańką, a jednak wyniosłą i dumną niczym bogata dama, która objechała cały świat.

Wyjaśniła, że oprócz pracy dla księży czasami zajmowała się haftowaniem dla bogatych rodzin. Za dnia szła przy oknie, w nocy zaś w świetle kominka lub świecy. Ale

przynajmniej nie narzekała na brak pracy. Przedwojną najlepszym okresem był karnawał, kiedy spływały do niej liczne zamówienia na kostiumy, więc licząc zarobki jej męża, powodziło im się całkiem dobrze. Teraz zarobione pieniądze ledwo wystarczały na czynsz i jedzenie dla niej i dla córki. A i tak mogła uważać się za szczęściarę – dzięki zdobycznym kawałkom materiałów ubierały się trochę lepiej, niż w rzeczywistości mogły sobie na to pozwolić.

Miała jedwabiste rude włosy, które zaczesywała na czoło i częściowo zbierała na karku w kok. Pozostałe opadały subtelnymi kosmykami wzdłuż szyi na jasną skórę, malując fantazyjne hafty na dekolcie. Jej nos był kształtny, wydatne policzki poprzecinane drobnymi konstelacjami piegów, a długie rzęsy w kolorze włosów przypominały promienie dwóch zielonych słońc.

Była wdową od dwóch lat. Jej mąż wyjechał na front i nigdy nie powrócił.

Powiedziano jej, że walczył dzielnie i powinna być z niego dumna. Przeplakała wiele nocy, a wojskowi nie byli w stanie udzielić jej żadnych informacji o jego losie. Dopiero po pewnym czasie wyjawili, że ciało jej męża nie zostało odnalezione, ponieważ tuż obok niego wybuchła bomba.

Bohater. Dumna, powinna być dumna.
Bohater.

– I tak mieszkam sama jako wdowa, z córką na utrzymaniu. Dałabym wszystko, żeby ta wojna już się skończyła, dosłownie wszystko.

Spartak podniósł się.

– Jeśli pani pozwoli, przebiorę się i nie będę już pani przeszkadzał.

– Zagrzałam wodę, jeśli chciałby pan się wykąpać.

Chciałby. Spojrzał ponownie na dziewczynkę za oknem. Bawiła się, nieświadoma zagrożenia czyhającego na jej matkę ani niebezpieczeństwa, w jakim sama się

znajdowała. – Może lepiej będzie, jeśli zaraz sobie pójdę.

– Jak pan sobie życzy.

– To... – Spartak otworzył plecak i wysypał zawartość na stół. – To jest radiotelefon. Zmontowany mieści się w torebce. Dodatkowe instrukcje otrzyma pani później. Teraz ważne jest, żeby zastosowała się pani do wskazówek zawartych na tej kartce, aby prawidłowo zmontować i uruchomić urządzenie.

Kobieta spojrzała na rozebrany przedmiot. Na jej twarzy nie malował się nawet cień zaciekawienia. Nie interesowało jej, co to było. Chciała tylko wiedzieć, co miała robić, i od razu przystąpić do działania.

– Proszę go tutaj nie używać. Tylko w Watykanie lub w jego pobliżu. Ale, jak mówiłem, dostanie pani szczegółowe instrukcje od naszego człowieka.

– Dobrze.

– Zostawię tu także pozostałe rzeczy, jeżeli się pani zgodzi – powiedział, wykładając przedmioty na stół: kompas, mapę, która doprowadziła go aż do tego miejsca, szczytce, sztylet, plecak i kominiarkę. – I jeszcze ubrania, które mam na sobie. Proszę się tego pozbyć. Proszę spalić wszystko, co się da, a resztę wyrzucić – najlepiej jak najdalej stąd.

– Zrozumiałam.

Diamante nie zmieniła wyrazu twarzy nawet wtedy, gdy ujrzała pistolet.

– To sobie zatrzymam – powiedział Spartak i zabrał ubrania.

– Może się pan przebrać tam – Diamante wyciągnęła dłoń w kierunku zamkniętych drzwi – albo może pan umyć się i ubrać w łazience. – Wskazała drzwi obok. – Woda powinna być jeszcze ciepła.

Zgodził się.

– Nie zajmie mi to dużo czasu.

Po kwadransie wyszedł wytworny niczym bankier, z mokrymi, ale oczyszczonymi z soli włosami i brodą, w dużych ciemnych okularach.

– Do widzenia pani. – Chwycił ją za dłonie, otworzył je i położył na nich ciężki i zbity zwój banknotów. – To dla córki. Prezent ode mnie. Pani dostanie swoje wynagrodzenie zgodnie z umową.

Diamante nigdy nie widziała tylu pieniędzy naraz i nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie musi pani nic mówić. Ucałował wierzch jej dłoni i wyszedł. Benedetta siedziała na schodach obok drzwi pochylona nad kurczakiem.

– Citrullo to przepiękne imię – powiedział Spartak, przechodząc obok.

Dziewczynka była tak zajęta swoim pupilkim, że nawet nie zwróciłaby na niego uwagi, ale usłyszawszy imię, które właśnie wybrała dla zwierzątka i które mogła znać tylko ona, drgnęła i odwróciła się.

– Pewnie chcesz wiedzieć, jak to robię? –
Benedetta przytaknęła.

– Powiedziałem ci to w myślach.

Twarz dziewczynki rozchmurzyła się.
Ulżyło jej. Dla Benedetty to wyjaśnienie było
jak najbardziej zrozumiałe.

Rozdział 7

Czwartek, 21 stycznia 1943 r.

Osobisty budzący Alby Gabirelli wszedł na palcach do jej sypialni, uśmiechnął się w bladym świetle oznajmiającym narodziny nowego dnia, spojrzał na potężnego białego gryfona i przyłożył palec do ust, nakazując mu, żeby zachował ciszę. Odchrząknął z namaszczeniem, a następnie zanucił:

– Niechaj nikt nie śpi!

Słońce nieśmiało przycupnęło na parapecie. Można było ulec wrażeniu, że przez chwilę obserwowało nieufnie wnętrze pokoju, zanim zdecydowało się popłynąć po podłodze, wprost do łóżka z baldachimem.

– Niechaj nikt nie śpi.

Alba przewróciła się w śnieżnobiałej pościeli.

– Ty też, o księżniczko, w swojej zimnej komnacie...

Nic nie nadawało się lepiej, by naładować ją energią na cały nowy dzień.

– ...*patrzysz na gwiazdy drżące z miłości i nadziei.*

Uwielbiała być wyrywana ze snu w taki sposób.

– Lecz moja tajemnica jest zamknięta we mnie, nikt nie pozna mojego imienia...

Każdego ranka pies oczekiwał na jej przebudzenie.

– ...dopiero gdy zaświeci światło.

Gdy tylko wznosiła się na łokciu, jego ogon zaczynał dziko tańczyć. Wpatrywał się w nią z daleka z rozwartymi oczami i otwartym pyskiem. W tym momencie nie istniał dla niego ani śpiewak, ani nic innego.

Alba klepnęła ręką w materac, dając tym samym kuli białej, długiej i szorstkiej sierści sygnał, że może wskoczyć na łóżko. Zdawało się, że jego wielki, czerwony język został specjalnie stworzony dla tej konkretnej

chwili, że ma tylko jeden cel: codziennie rano oblepiać jej twarz lepką śliną.

– Tak, ja też cię kocham. Nie było łatwo wydostać się spod trzydziestu rozentuzjasmowanych kilogramów jego cielska.

– Tak, piękniśiu, tak.

– *Rozprosz się, o nocy, zajdźcie gwiazdy...*

Śpiewak przywykł do wykonywania swojego repertuaru przy akompaniamencie skomleń Hannibala, toteż i tym razem nie dał zbić się z tropu.

– *...o świcie zwycięzę...*

W sumie nietrudno było przydać się do czegoś, w zamian za gościnę w oczekiwaniu na sławę.

– *Zwycięzę...*

Arturo Foscari – oczami wyobraźni widział już swoje nazwisko – tak podobnie brzmiące do wielkiego Toscanini – na ustach wszystkich.

„Och, młody Arturo Foscarini!” „Jakże boskie są dźwięki wypływające z piersi Foscariniego!”

– *Zwycięzę!*

Zadowoliwszy się jednoosobowym aplauzem i miłym uśmiechem, Arturo skłonił się teatralnie i wycofał, skrywając dłonie w szerokich rękawach japońskiego kimona.

Alba wstała z łóżka, podeszła do toaletki, obmyła twarz w miednicy, zaciesała długie kasztanowe włosy do tyłu, po czym zeszła na śniadanie, podczas gdy Gertruda – najbardziej zamknięta w sobie kobieta świata – szła przygotować jej wodę na kąpiel.

– Muszę cię na jakiś czas zostawić.

Pies wpatrywał się w nią intensywnie, lekko przechylając głowę na boki. Pogłaskała go po łbie, na co ten uniósłdo góry pysk.

– Gertruda nakarmi cię i wyprowadzi. Niedługo wróczę. Rzuciła mu maślane ciasteczko, żeby przypieczętować obietnicę. Albo uwiarygodnić kłamstwo.

Rozdział 8

Muzy pozostawały daleko, niewzruszone. Notatnik świecił pustką. Nietknięty parker 51 wciąż wypełniony był tuszem.

Maszyna do pisania milczała.

Pomiędzy wałki Olivetti M40 wsunięty był tylko jeden arkusz papieru, niczym pasek ciasta w ręczną maszynę do wyrobu domowego makaronu. Tylko jeden delikatny, bezbronny kawałek papieru, narażony na zagięcie lub poplamienie przy nawet najmniejszym kontakcie z palcami. Przedzierające się przez rozbite szyby okien powiewy wiatru wprawiały go w falowanie, uwydatniając całą jego kruchość, wiotkość i delikatność. A mimo to kartka ta od jakiegoś czasu przetrzała go bardziej niż cokolwiek innego.

– Nie podobam ci się? Dlaczego ostatnio nie możemy się dogadać?

W istocie, to miała być jego czwarta książka. Lio Rol nie był ani nie czuł się żadnym debiutantem, nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że brakowało mu jeszcze doświadczenia, by nie pozwolić, żeby ten bezproduktywny okres wpłynął negatywnie na jego samoocenę.

Pierwszą książkę zawdzięczał góróm. Natchnienie przyszło ze szczytów. Napisanie jej było tak pokrzepiające i przyjemne jak górską wędrowka, a wypływające z niego słowa były świeże i czyste niczym mroźne powietrze. Zapewne dlatego dobrze się sprzedawała. A może spowodowane to było tęsknotą za przygodami, którą tak silnie odczuwali czytelnicy w tym zdominowanym przez smutek okresie?

Drugą książkę zawdzięczał afrykańskiej pustyni.

Trzecią, pt. *Więzień Atlantydy* – ponownie góróm, ale nie odniosła ona wielkiego sukcesu.

Teraz jednak, w czasie wojny, sama myśl o tej ogromnej katastrofie była dla niego tak przytłaczająca, że kiedy próbował pisać, czuł duszący smród wszystkich trupów tego świata. Z pewnością takie warunki nie sprzyjały fantazjowaniu o przygodach ze szczęśliwym zakończeniem.

Gdyby tylko mógł wrócić na szczyty, znaleźć się dala od całej nienawiści świata. Być może tam odnalazłby natchnienie, być może napisałby jeszcze lepszą powieść niż poprzednie i uwolniłby się raz na zawsze od obecnego, smutnego żywota.

On sam był swoim największym problemem, najgorszym wrogiem. „Jeden pomysł, jeden mały pomysł, jakkiedyś. Przecież nie proszę cię o tak wiele. Jesteś nieskończona i wszechmogąca. Nieskończona, wszechmogąca i milcząca” – pomyślał.

Wcześniej szło dobrze, teraz poszłoby jeszcze lepiej, gdyby tylko znalazł to, co prawdziwy pisarz nazywa natchnieniem.

Przy ostatniej powieści nie musiał nawet czekać na rozliczenie roczne, by ujrzeć pieniądze – wydawca zgodził się aż na dwie zaliczki, dzięki którym mógł uwolnić się od kilku pozbawionych najmniejszych oznak altruizmu wierzycieli. Ale pieniędzy tych nie wystarczyło, żeby rozwiązać inne ważne i wcale nie drugorzędne problemy. Na przykład ten z właścicielem mieszkania.

Wystarczyłby mu jeden pomysł, a dalej poprowadziłaby go błogosławiona wena. Sto przyzwoitych stron, które mógłby przekazać wydawcy i za które otrzymałby trochę pieniędzy – z pewnością niezbyt wiele, ale wystarczająco, aby odbić się od dna.

– Prawda jest taka – powiedział sam do siebie – że jeżeli czegoś pragniemy, gdy tylko to zdobędziemy, przestaje być to takie upragnione. Człowiek szybko przyzwyczaja się do każdego warunków.

Przyzwyczajanie. To naturalne i niezbędne do przeżycia narzędzie, które czyni człowieka

nienasyconym. Pisanie już mu nie wystarczało – teraz chciał zdobyć czytelników, a przede wszystkim zarobić tyle, żeby zmienić swoje życie, co w jego przypadku równało się możliwości związania końca z końcem.

W tym bałaganie, pod stertami wyrzuconych w złości papierowych kulek, znalazł obtłuczoną i brudną filiżankę. Zaniósł ją do kuchni i nie opłukując, wlał do niej trochę ciepłej wody, ledwo zabarwionej fusami kawy zbożowej. Uparcie nazywał to kawą, by nie dać satysfakcji swojemu nędznemu losowi. Trzymając w ustach brzeg filiżanki, powrócił do maszyny do pisania (a może maszyny do makaronu?), spojrzął na wciąż białą kartkę i wysilił się, żeby oczami wyobraźni ujrzeć ośnieżone szczyty gór. Poczul, jak wiatr szczypie go po twarzy, świszczy między uszami, wlewa się do płuc.

Usiadł do pisania z mocnym postanowieniem, że pozwoli palcom swobodnie biegać po klawiszach.

Dzień, który zmienił jego życie na zawsze, był taki sam jak poprzednie. Wszystko zaczęło się wraz z nadejściem pewnego listu. Nie przyniósł go listonosz, lecz pewna kobieta o zmysłowej urodzie, słynna akto...

Odchylił głowę i wyciągnął arkusz z wałka.

– Nie, nie tak! – warknął. – Już nie potrafisz? Co sięz tobą dzieje?

Zmiał kartkę i rzucił ją pomiędzy pozostałe – jeszcze jedna biała kulka, symbolizująca kolejne niepowodzenie, dołączyła do morza papieru.

Rozdział 9

Ktoś zapukał gwałtownie do drzwi, ale zbyt słabo jakna właściciela mieszkania. W tym momencie podniósłby już głos:

– Rol! – wołałby z parteru. – Proszę otworzyć, wiem, że jest pan w domu!

Tymczasem, ktokolwiek to był, zmęczywszy się stukaniem do drzwi, nacisnął dzwonek. Z pewnością nieznajomy przyszedł w sprawie konsultacji i niestety wiedział, że on jest w domu.

Lio ściszył radio tak, że prawie nie było go słychać. Czy nie wyraził się jasno w stosunku do klientów?

A może wszyscy doskonale wiedzieli, że potrzebuje pieniędzy, i nawet go nie słuchali? Rozejrzał się dookoła, rzucając pogardliwe spojrzenie na ponure ściany swojego zapuszczonego mieszkania, na niemal dokumentnie zużyte meble oraz sprzęty. Wszystko

to bezlitośnie zdradzało jego nędzę i znikomy kontakt z otaczającą rzeczywistością.

Dzwonek rozbrzmiał ponownie.

Osoba znajdująca się za drzwiami sądziła, że on zrobi wszystko za kilka groszy.

– Już idę! Chwileczkę.

Wsunął ręce w rękawy czarnej marynarki i podszedł do drzwi. Przysunął prawe oko do wizjera. Nie musiał zamykać drugiego, ponieważ prawie stracił w nim wzrok z powodu pewnego odłamka. Ujrzał zniekształcone przez soczewkę postaci pary staruszków. Oboje stali ze splecionymi przed sobą dłońmi i wpatrywali się w ziemię oczekiwaniu na otwarcie drzwi. Rozpoznał ich. Już kiedyś do niego przyszli. Pamiętał nawet ich imiona – Luisai Gregorio – a przede wszystkim był pewien, że kategorycznie oświadczył im, że już się tym nie zajmuje.

Ale przypominał sobie także, że dobrze płacili.

Otworzył. Gdy tylko zamek zgrzytnął, oboje jak ożywieni podnieśli głowy.

– Przeszkadzamy, panie Rol?

– Nie, nie, proszę wejść.

Poprzednio nie zwrócili uwagi na bałagan. Także tym razem, podpierając się nawzajem, skierowali swe krokiod razu do stołu i usiedli, wymieniając mikroskopijne, czułe gesty, wysubtelnione przez te wszystkie lata spędzone razem. W końcu zaczęli się w niego wpatrywać, z napiętymi w półuśmiechu twarzami, bez słowa, jakby uważali, że nie trzeba ich używać, aby porozumieć się Rolem.

Nie byli tacy starzy, na jakich wyglądali. Na ich twarzach nie rysowały się jeszcze bardzo widoczne zmarszczki, a wokół tęczówek oczu brakowało tej typowej dla starości jasnej otoczki. Niedawno musieli skończyć sześćdziesiąt lat, ale zdawało się, że byli już zmęczeni życiem. Ich włosy sprawiały wrażenie pokrytych popiołem.

– Co prawda mówił pan nam, żebyśmy nie wracali, panie Rol – rzekł Gregorio – ale widzi pan...

Zrobił pauzę, pocierając i wykręcając dłonie.

– Po tym, co nam pan pokazał, nie mogliśmy się powstrzymać, żeby nie poprosić pana o jeszcze jedną poradę.

Luisa ścisnęła go za ramię i potwierdziła jego słowa uśmiechem.

– Jesteśmy ciekawi, to wszystko.

Kilka dni, może tygodni wcześniej – sam już nie pamiętał – Lio opowiedział im o synu, którego niebawem mieli stracić. Opisał to, co trzydziestoczteroletni mężczyzna, Antonio, miał zrobić i powiedzieć na chwilę przed śmiercią za sterami swojego samolotu. Lio widział to w każdym szczególe, co było jedną z najmniej przyjemnych rzeczy, jakich ostatnio doświadczył. Potem próbował się zrehabilitować w oczach Luisy i Gregoria, podpowiadając im liczby, które mieli obstawić na

loterii, ale mimo to świadomość, że przekazał tej parze hiobowe wieści, nie dawała mu spokoju. Za każdym razem przysięgał sobie, że nigdy więcej już tego nie zrobi, ale nie dotrzymywał przyrzeczenia. Antonio pewnie i tak by umarł, niezależnie od jego wizji, a on dzięki tej poradzie mógł jeszcze jakoś przetrwać. Tak jak teraz – wystarczyło znieść dyskomfort związany z koniecznością zanurzenia się w czymś nieszczęściu, żeby móc na dwa miesiące uciszyć pana Braschiego.

„Gregorio i Luisa dobrze płacili” – powtórzył to sobie w myślach. Nie zrobił nic, żeby ich znaleźć – zazwyczaj w ogóle nie musiał się starać, żeby zdobyć klientów. Jedyne, do czego był zmuszony, to uciekać się do różnych sztuczek, żeby się przed nimi ukryć: nie otwierać drzwi, wychodzić domu tylko rano lub pod wieczór, kamuflować się, udając kogoś innego. Jak wszyscy klienci, Gregorio i Luisa dowiedzieli się o nim z polecenia i godzinami wystawali pod jego domem,

z uporem, który Lio nauczył się dobrze rozpoznawać. Czekali do skutku – aż im otworzy. Zrobił to tylko dlatego, że przyszli w momencie, w którym bardziej niż kiedykolwiek potrzebował pieniędzy, dokładnie tak jak teraz.

Wszyscy mieli tę przekłętą umiejętność pojawiania się we właściwej chwili.

– Jesteście ciekawi?

Lio usiadł naprzeciwko nich przy stole, opierając łokcie o blat z orzechowego drewna, i wymienił z nimi długie spojrzenie.

– Powiedzieliście, że jesteście ciekawi?

– Ciekawi, tak.

– Czego?

– Chcemy tylko jeszcze jednej porady – powiedziała Luisa – ostatniej.

– Odstępstwa od zasady...

– Tak, małego wyjątku. Może to pan zrobić dla dwojga biednych staruszków?

Lio udał, że się zastanawia, a następnie wsunął jednoz krzesel pod stół i powiedział:

– Dwieście lirów.

– I to – powiedział Gregorio, stawiając na stole butelkę, którą wyjął zza pazuchy. – Najlepszej jakości koniak. Pomimo racjonowania żywności tego mamy pod dostatkiem.

Lio chwycił butelkę i podszedł do okna, by obejrzeć ją w świetle dziennym.

– Jak to zdobyliście?

– Jakaś niemiecka ciężarówka rozbiła się nieopodal naszego domu na wsi.

– Wyczyściliśmy ją do cna! – wyjaśniła Luisa, wyraźnie dumna z tego występku.

– Dziękuję – odparł Lio i odstawił butelkę na bok, choć chętnie nalałby sobie kieliszek.

– Widzicie? Szczęście wam sprzyja, nie potrzebujecie mnie.

– Ale dzięki panu wygraliśmy niezłą sumkę, panie Rol – powiedziała Luisa, przesuwając w tę i z powrotem złączone dłonie.

– Dzięki numerom, które wam dałem? – spytał Lio.

– Kto to wie!

– Chodzi jej o to – wyjaśniał Gregorio – że nie potrafimy sobie wytłumaczyć, jak pan to zrobił. – Odwrócił głowę w jej kierunku i skinął. – Prawda, kochanie?

Luisa pogładziła go po dłoni i spojrzała na Lio.

– Gregorio czyta w moich myślach, prawie tak jak pan.

– Dlaczego sam nie zagra pan na loterii, panie Rol? Dlaczego pan tak żyje? – Wskazał na otaczający ich bałagani stare, zniszczone sprzęty. – Jeśli nie lubi pan udzielać porad, jak je pan nazywa, może pan z tym skończyć sprawą kilku liczb. A jednak pan tego nie robi.

Gregorio zmrużył oczy, drapiąc się po głowie, po czym zaczął:

– Jest pan...

– Mój mąż chce powiedzieć, że jest pan jasnowidzem, panie Rol.

– Jeśli za jasnowidza uważa pani kogoś, kto widzi Boga lub Matkę Boską, ja nim nie

jestem. Żadnych objawień świętych, żadnych duchów. Nic. Nie, nie powiedziałbym sobie, że jestem jasnowidzem. Dlaczego nie gram na loterii? Próbowałem kilka razy postawić pieniądze dla siebie samego, prawie zawsze przegrywałem. Widzicie, te numery wpisane były w wasze życie, nie w moje. Ja po prostu ujrzałem je, wybiegając w waszą przyszłość. Mógłbym przewidzieć własną wygraną, ale nie byłbym w stanie odgadnąć liczb, które chciałbym trafić, chyba że na waszym miejscu siedziałaby osoba, która będzie losowała numery. Nie wiem, jak to wyjaśnić... Żeby przewidzieć rozwój wydarzeń, muszę w nich uczestniczyć. Ja nie odgadam przyszłości, lecz ją widzę. Widzę ją taką, jaka będzie, lub jakajuz jest, gdzieś tam. Widzę przyszłość ludzi i zwierząt. Widzę to, co jest dla nich nieuniknione. Jestem zwykłą ludzką istotą.

Gregorio wychylił się do przodu, wlepiając w niego oczy pełne podziwu.

– Pan ją widzi...

– Tak jak wszyscy, no, może trochę lepiej niż inni.

– Czyli nie zawsze się panu udaje – skonstatowała Luisa, ale jasne było, że chciałyby, aby zaprzeczył.

– Chciałbym tak samo widzieć terażniejszość – westchnął Lio. – Szczęśliwy ten, kto widzi dobrze terażniejszość.

Sądząc po ich rozpromienionych oczach, wydawali się zadowoleni z tej dość wymijającej i pokrętnej odpowiedzi.

– Więc czego chcecie się dowiedzieć dzisiaj?

Nie powiedzieli od razu. Wpatrywali się w niego, a na ich twarzach malowała się dziecięca szczęśliwość.

– Pan nie ma dzieci? – spytała Luisa.

– Nie.

– Rodzeństwo?

– Też nie.

– Jest pan jedynakiem?

Lio przytaknął, spoglądając na swoje bębniące w stół opuszki palców.

– Jedynek. Miał pan całą miłość rodziców dla siebie!

– Nie pamiętam, żeby obdarzyli mnie jakąś szczególną miłością.

– Jak się nazywali?

– Kto?

– Pana ojciec i matka.

Lio zastanowił się i spojrział do góry, jak gdyby ich imiona wypisane były na suficie.

– Mało mam wspomnień związanych z moim ojcem. We wszystkich, które przetrwały, czegoś mnie uczy. Natomiast nie potrafię przypomnieć sobie nic na temat mojej matki... Byłem na froncie. Nic poważnego, ale wciąż nie mogę poskładać do kupy wszystkich faktów.

Przerażona Luisa przycisnęła dłonie do piersi.

– Wyparł ich pan z pamięci?

– Nie – odpowiedział Lio – byli parą przykładowych ludzi, tylko nie zawsze potrafię przypomnieć sobie ich imiona. – Westchnął głęboko i klasnął w dłonie. – Więc, o co chcieliście zapytać mnie tym razem?

Gregorio spuścił wzrok.

– Właśnie otrzymaliśmy list z informacją o śmierci naszego syna.

– Łączę się z państwem w bólu – powiedział Lio.

– Przeżyć syna... – próbował zacząć Gregorio.

– ...to najgorsza tragedia, jaka może się przytrafić człowiekowi w tym nieszczęsnym życiu – dokończyła męża Luisa.

Następnie staruszkowie porozumieli się ze sobą w swój bezgłośny sposób, typowy dla wieloletnich par. W końcu Luisa zdradziła powód, dla którego się u niego zjawili:

– Chcemy wiedzieć, kiedy umrzemy, panie Rol.

Rozdział 10

Kilka sekund przed wybuchem Lio usłyszał huk. Chwilę potem znalazł się z zębami niemal wbitymi w kamienistą ziemię, splątany lepkiem uczuciem bólu. Instynktownie schronił się za pojazdem, obok którego przechodził. Wydawało mu się, że pamięta warczący silnik, akceptujący wbrew woli szybką sekwencję niskich biegów, oraz swoją myśl, że dobrze się stało, że konwój zwolnił. Ale najbardziej zapadł mu w pamięć ten tępy ból. Wspomnił długie chwile, kiedy to próbował poskładać ponownie świat, który w jego głowie legł w gruzach, rzeczywistość, która w jednym momencie postanowiła się odkształcić i zaczęła ugniatać się niczym świeża glina pod stopami protestującego tłumu.

To była błogosławiona mina. Uratowała go od reżimowych wojskowych butów,

w których Duce wyprawiłgo na niechybną śmierć na bezlitosnym, rosyjskim mrozie.

Delirium, które nastąpiło po eksplozji, było najbardziej wyraźnym wspomnieniem.

354 osoby zginęły w Genui, stratowane przez spanikowany tłum uciekający ze schronu przeciwlotniczego.

Przebłyski pamięci – niczym myśli kogoś innego, niczym słowa w radiu – przenikały się z głęboką ciszą. Minuty, może godziny mroku. Niekończący się gwizd, ostry i kłujący. I znowu nicość. Następnie wewnętrzne radio ponownie zaczęło skrzeczeć:

Jedenastego listopada o piętnastej Duce ogłosił ze swojego balkonu w Pałacu Wenneckim, że Włochy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym.

Stare wiadomości.

Plac jak zawsze był pełny, jednak tym razem ludność nie skandowała. Na końcowy okrzyk Mussoliniego „zwyciężymy”

odpowiedziała ciszą i rozproszyła się w pośpiechu, udając się do punktów dystrybucji reglamentowanej żywności.

Radio...

Afryka Wschodnia utracona, północna część czarnego kontynentu splywa krwią.

Rozstrajało się...

Zimny wiatr znad Rosji dociera nieubłaganie aż tutaj.

...by następnie znów odzyskać ostrość...

Ludność na Bałkanach protestuje, a skazańcy prowokują spusty plutonów egzekucyjnych, wykrzykując: „Niech żyje towarzysz Stalin!”.

Pamiętał, że wystraszył się, że jakiś znajdujący się wśród rannych szpieg z OVRA usłyszy radio i zacznie podejrzewać, że były to jego myśli.

Wojna, która zgodnie z obietnicą miała być krótka i przynieść zwycięstwo, przedłuża się i zmierza ku klęsce. Ubóstwo

ludu jest lustrzanym odbiciem skorumpowania rządu.

Śniło mu się, że zabierają go funkcjonariusze faszystowskiej policji i mówią:

– Panie Rol, jest pan aresztowany.

Miliony osób głodują.

– Panie Rol, pójdzie pan z nami.

Antyfaszystowskie nastroje rozlewają się wśród ludności Włoch gromadzącej się w salach kinowych na projekcjach kronik filmowych instytutu LUCE, realizowanych przez narażających własne życie operatorów.

Zdawało mu się, że krzyknął:

– Wyłączcie to przekłete radio!

W ciągu ostatnich trzech miesięcy brytyjskie bomby spadały ulewnym deszczem na Włochów, którzy z przerażeniem, ale i z godnością przystawiali dłonie do uszu, kuląc się w oczekiwaniu na śmierć.

Tymczasem leżał w kurzu, nieprzytomny. Jego „ja” rozproszyło się w koszmarnym echu. Śmierć. Przyszła, żebygo zabrać i uwolnić go od bólu lub od OVRA.

Włosi mają najmniejsze racje żywnościowe w Europie. Ci, którzy mają jeszcze siły, by dotrzeć do piekarni, znajdują na niej wywieszoną kartkę z napisem Brak chleba. Wielu ludzi cierpi na obrzęk głodowy.

Jego głowa jeszcze działała, okalał ją zlepek słów niekontrolowanej prawdy.

Ujrzał siebie samego przed plutonem, błagającego, by ktoś wyłączył radio w jego głowie.

Los oddziałów niemieckich jest przesądzony na skutek strategicznych błędów Hitlera, skazujących ich na śmierć w sowieckiej pułapce. Z drugiej strony, wytrzymały opór Armii Czerwonej pod Stalingradem stanowi dla Włochów przykład doskonałej propagandy komunistycznej.

– Panie Rol, obecny tu sąd uznaje pana winnym i skazuje na karę śmierci i degradację!

Wiele zniecierpliwionych i wściekłych na Duce wysoko postawionych faszystów i ministrów liczy na bombardowanie stolicy, które położy kres obecnej sytuacji, jednak Rzym pozostaje pod protekcją papieża.

– Radio... – wybełkotał, poruszając ubrudzonym krwią ziemią językiem. – Radio, wyłączcie radio...

Wtedy usłyszał głos lekarza:

– Żołnierzu, proszę na mnie spojrzeć!

Wiedział, że otworzył oczy tylko dlatego, że poczuł jak przesuwają się jego powieki. Nie widział nawet strzępka światła, żadnej poświaty, szarego widma, świetlnego kręgu.

Tylko ciemność – głęboką, absolutną. Jego oczy zanurzone były w nicości.

– Jak się nazywasz, żołnierzu?

Jedynie zmysł dotyku dawał mu pewność, że jeszcze żyje. Przesunął dłonią po klatce piersiowej – pokryta była dziurami, po jednej na każdy kamień leżący na ziemi.

– Co się stało? – zapytał wątlym, zbolałym głosem, ostrożnie się poruszając. Głowę rozsadzał jeszcze ból, z oka płynęła mu krew, ale w tych pierwszych przebłyskach świadomości wydawało mu się, że wciąż żyje.

– Jasna cholera! – zaklął. Zdał sobie sprawę, że leżyna noszach, w obozie dla rannych. Powrócił mu wzrok, ale tylko w jednym oku. Spojrzał w prawo i w lewo. Wszędzie widział rozmazane kształty.

– Wyjdiesz z tego – uspokoił go lekarz.

– Też tak sędzę – odparł, kładąc ponownie głowę.

– Przykro mi... – Lekarz zajął się kauteryzacją jego rany na ramieniu, z której zaczęły wydobywać się delikatnei szare smugi dymu.

– Musisz wiedzieć, że przeżyłeś dzięki swojemu koledze.

Lio wsparł się na łokciu i uniósł z trudem, znosząc przeszywający go ból.

– Nie żyje?

– Ty żyjesz – odparł po chwili lekarz, nie przerywając zabiegu. – To już coś. Wiesz, ile osób zginęło dziś w tej przeklętej wojnie?

Lio opuścił się bezwładnie na nosze i wymamrotał coś na kształt zaprzeczenia.

– Pewnie, że nie wiesz – odpowiedział doktor, koncentrując się na ranach. – Kto by zliczył taki tłum?

Po chwili Lio zapadł w sen lub coś na jego kształt.

Rozdział 11

Pierwszy raz nie poczuł odrazy, naciskając przycisk tego dzwonka. Cofnął się i oparł o poręcz.

Wydawało się, że minęły wieki, odkąd uderzał zawzięcie w klawisze maszyny do pisania, a ich gorączkowi nieprzerwany stukot niezmiernie przeszkadzał sąsiadowiz dołu, panu Braschiemu – właścicielowi mieszkania i całego budynku.

Ale tak naprawdę nie upłynęło dużo czasu. Obraz pana Braschiego i dźwięk jego piskliwego głosiku – kiedy wydzierał się, utrzymując, że nieznośny hałas przenosił się przez nogi stołu, na którym stała maszyna, i że Lio powinien podłożyć pod nie jakieś grube kawałki filcu lub dywan, żeby odizolować stół od podłogi – był jeszcze zbyt żywy w jego pamięci. To musiało dziać się niedawno. Braschi krzyczał do niego, że tak

dalej już być nie może i że wyeksmituje go bez zastanowienia, jeżeli nie skończy z tym nieustannym i nieznośnym hałasem.

Nieustanny hałas – to znamienne słowa. Było w nich coś przewrotnego, jeśli się nad tym teraz zastanowić, kiedy brak pomysłów i wynikająca z niego głucha cisza sprawiły, że filcowe podkładki stały się niepotrzebne.

Braschi nie miał już na co się skarżyć, dlatego uśmiechał się nawet do niego, jeżeli nie zalegał mu zanadto płatnościami. Mimo to Lio wciąż konsekwentnie unikał. Spotykał się z nim tylko po to, żeby zapłacićmu miesięczny czynsz, czyli rzadziej niż raz na cztery tygodnie, a za każdym razem, kiedy stał przed tymi drzwiami, ogarniało go uczucie pustki i niepokoju. Wydawało mu się, że powietrze wokół niego rozrzedza się, jak wtedy przed bombardowaniem, a jego jedynym pragnieniem była ucieczka.

– Rol, najwyższy czas!

Drzwi wciąż się nie otworzyły. Braschi wspinał się po schodach, zatrzymując na chwilę obie stopy na każdym zdobytym stopniu. Mieszkał na pierwszym piętrze, był chudy i nie taki całkiem stary, ale cierpiał na duszności.

– Przepraszam, nie słyszałem otwierającej się bramy. Skąd pan wraca?

– Ja zamykam ją łagodnie! – wydyszał Braschi. – Dbam o nią! – Zatrzymał się na jednym ze stopni i spojrzała na niego surowo. – Może tylko dlatego, że to moja brama! Wy sobie przychodźcie i odchodźcie, lecz ja tu zostaję! – Ostatnim wysiłkiem dotarł na szczyt. – Dopóki Stwórca pozwoli – zakończył.

Odsunął swojego gościa i włożył klucz do zamka. Trzymał w rękach jutową torbę, ale Lio powstrzymał się od zaoferowania mu pomocy we wniesieniu jej do domu. Braschi popchnął drzwi i wszedł do środka, stawiając siatkę na ziemi.

– Tylko źle wychowane osoby nie pomagają starszym od siebie – powiedział.

Lio zawahał się, spojrział w dół na pozbawioną kształtu siatkę, potrząsnął głową, a następnie chwycił torbę bez zaglądania do niej i wszedł do mieszkania pana Braschiego.

To był pierwszy raz.

– Gdzie mam położyć?

– W kuchni – odparł Braschi, który w tym czasie rozpląnął się w mroku i zniknął w jednym z pokoiów.

– Przyszedł pan, żeby zapłacić za zaległe miesiące?

Lio usłyszał skrzypienie okiennic, światło wessało półmrok korytarza, ale gospodarz nie pojawił się.

– Tak – odpowiedział, stawiając siatkę w kuchni.

Pan Braschi nie zwyciężyłby w konkursie czystości, ale jego dom nie emanował nieprzyjemnym zapachem. Jak się

wydawało, pomimo że mieszkał sam, od czasu do czasu mył podłogi i robił pranie z możliwą do zaakceptowania częstotliwością. Nie wyczuwało się zapachu brudnych naczyń ani śmieci, co świadczyło o tym, że nie był tak skąpy, żeby zbierać resztki. A może był aż tak skąpy, że nie produkował nawet żadnych odpadów?

– Oprócz zaległości chciałbym zapłacić również z góry za przyszły miesiąc – oznajmił Lio.

– Och! – Braschi pojawił się niespodziewanie w lustrze drzwi, sprawiając, że Rol drgnął. – Widzę, że ma pan dużo roboty!

Podniósł roletę.

– Co pan widzi? – zapytał Lio, zadając również sobieto samo pytanie.

Kuchnia zawałona była stosami książek ułożonych na podłodze, na półkach znajdowały się nieokreślone figurki, a na ścianach, między garnkami a butelkami, widniały zupełnie niepasujące do reszty

fotografie przedstawiające płytki terakoty z wygrawerowanymi rycinami.

– Widzę, że mnóstwo ludzi pana odwiedza – powiedział Braschi. – Odsunął od stołu jedno z krzeseł i pchnął w stronę Lio, zmuszając go, by usiadł. – Przyjmuje pan wielu gości, a tak rzadko sam pan wychodzi – powiedziałbym nawet, że bardzo rzadko.

– To krewni – odrzekł Lio.

– To dlaczego odsyła pan prawie wszystkich?

– Nie lubię krewnych.

– Jestem stary, nie słyszę już tak jak kiedyś. W przeciwieństwie do pana – wysokiego i przystojnego – mnie matka natura nie umieściła na liście faworytów, panie Rol. Od dłuższego czasu nie mam włosów, jestem niski i chudy niczym mumia. Jestem mały – wskazał na siebie obiema rękoma gestem zapraszającym do oględzin – ale mimoto wszystkie nieszczęścia tego świata znalazły sobie miejsce właśnie na moim ciele. Ale

moja głowa jest tak mocna jak pańska. Niech pan nie sądzi, że jestem głupi!

– Ja tylko uważam, że jest pan trochę skąpy.

Rozejrzył się dookoła. Przy wszystkich niewątpliwie nagromadzonych oszczędnościach ten samotny człowiek, właściciel całej kamienicy, mieszkał w niesamowicie smutnym mieszkaniu. Nie pozwolił sobie nawet na gosposię, która pomogłaby mu utrzymać dom i jego samego w ładzie.

– Ja skąpy?

– To nie jest krytyka. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że każdy może robić to, co chce.

– Na przykład może nie płacić punktualnie czynszu za wynajem.

– To ciężkie czasy dla wszystkich.

Braschi parsknął i usiadł. Skrzyżował ręce na blacie stołu, wpatrując się w niego swoimi wąskimi jak szczeliny w skale oczyma. Wyglądził ręką plik banknotów, a następnie swoje szczeciniaste wąsy.

– Jak pan sądzi, wygramy, czy przegramy tę wojnę?

Lio założył nogę na nogę i zajął się przeliczaniem leżących na stole pieniędzy.

– Żebym to ja wiedział. Zwilżył opuszki kciuka i palca wskazującego, po czym, upuszczając banknot, rzekł:

– Pięćdziesiąt...

– Pan nie przewiduje przyszłości?

– Nie. Sto...

– Dziwne, myślałem, że tak.

– Sto pięćdziesiąt... a kto panu tak powiedział?

– Ludzie mówią, krążą takie pogłoski.

– Ludzie... dwieście... nie mają... dwieście pięćdziesiąt... nic lepszego do roboty.

– Czyli jest pan... – Braschi bardzo ostrożnie dobierał słowa – ...oszustem.

Lio przestał liczyć i zeszytniał. Spojrzał mu prostow oczy, zaciskając wargi.

– Jeśli jest coś, czego nie lubię, to gdy ktoś nazywa mnie w ten sposób. – W tej chwili

przypominał sięgający wrzenia czajnik. – Tak, umiem przewidywać przyszłość, ale nie robię tego chętnie. – Powrócił do liczenia. – Trzysta...

– Chce pan coś do picia?

– Czterysta... nie, dziękuję, zaraz muszę iść. Sześćset.

Braschi zaczął podrzucać w dłoniach paczkę marlboro.

– Tylko pięć minut.

– Nawet dziesięć – powiedział Lio, zerka-
jąc łakomienna papierosy.

– Siedemset...

Skrzeczący odgłos kamienia zapalniczki, skwiercząca bibuła, aromatyczna i słodka woń dymu tytoniowego.

– Proszę, niech pan sobie zapali, panie Rol.

Gdy tylko ustnik papierosa znalazł się pomiędzy jego wargami, Braschi podstawił mu ogień.

– Nie powinien pan obawiać się rozmowy na pewne tematy z niżej podpisanym. Ja jestem miłośnikiem, wie pan?

– Dziewięćset i tysiąc. – Ostatni banknot rzucił tak, jakby kładł na stół zwycięską kartę. – Są pańskie. – Przesunął je w kierunku staruszka. – Miłośnikiem czego?

Pan Braschi zaciągnął się dymem, zatrzymując się wpół słowa, i wypuścił go powoli.

– Tajemnic.

– A ja chciałbym tylko, żeby świat zostawił mniew spokoju, tymczasem zdaje się, że wciąż przyciągam uwagę ludzi.

– Czy pan chce mi może powiedzieć, że jestem wścibski?

– Ależ nie śmiałym.

Braschi chwycił pieniądze i nie przeliczając, wsadził do kieszeni.

– Jak pan widzi, od jakiegoś czasu nie przychodziłem po czynsz. Zadał pan sobie kiedyś pytanie dlaczego?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Ponieważ nabrawszy podejrzeń co do tak dużej liczby gości u pana, zacząłem rozpytywać, jak już wspomniałem. Ale niech pan wierzy, nie musiałem się zbytnio wysilać. Wielu, którzy przyszli, ale nie zastali pana w domu, pytało mnie oraz innych mieszkańców kamienicy, czy wiemy coś o panu Rolu. To oni mi powiedzieli, że pan widzi przyszłość. Przez to odkrycie poczułem do pana pewną sympatię, panie Rol, to dlatego zostawiłem pana w spokoju. Byłbym skłonny nie pobierać czynszu przez cały rok, jeżeli udowodniłby mi pan, że to, co o panu mówią, jest prawdą.

– Obawiam się zatem, że będę zmuszony dalej płacić. – Przyjrzał mu się uważnie, ale nie dojrzał śladu drwinyna jego pomarszczonej twarzy. Przyjazne nastawienie Braschiego wydawało mu się prawdziwe. Jego uśmiech był szczery. I nie wiadomo dlaczego również Lio nagle wyzbył

się niechęci, którą żywił od zawsze do właściciela domu. Uczucie, jakie wzbudzał w nim w tej chwili, przypominało nicość.

– Nie jestem nieomylny – przyznał.

Każdy mięsień na twarzy pana Braschiego poruszył się niczym sprężyna.

– Czyli to prawda?

– Raczej tak.

– Ale... – Braschi strzepnął popiół, stukając w czubek papierosa – jeżeli potrafi pan przewidywać przyszłe wydarzenia, dlaczego wrócił pan do Włoch i zaciągnął się do wojska? – Nagle znieruchomiał, jak gdyby właśnie poznał odpowiedź na swoje pytanie. Zaczął kiwać do samego siebie potakująco głową, gdy tymczasem jego oczy otwierały się coraz szerzej.

– Wiedział pan, że po kilku dniach wróci pan do domu, że nie dozna pan poważnych obrażeń. Nieprawdaż?

– Nic nie wiedziałem – odparł Lio. – Przecież nie siedzę od rana do wieczora,

zastanawiając się, co mnie spotka. Tak się nie da żyć. Nie chcę wiedzieć, co przydarzy się mnie ani nikomu innemu. Kiedy brakuje mi pieniędzy, ustępuję. Zatykam nos, rzucam się na głęboką wodę i udzielam kilku porad, to wszystko.

Braschi był zafascynowany i wcale tego nie krył.

– A jak to się robi?

– Wydaje mi się, że to działa podobnie do przewidywania pogody.

– Może pan wyjaśnić dokładniej?

Pomiędzy palcami Lio tliła się jeszcze ćwi-
erć papierosa. Czas na zamienienie kilku
słów. W gruncie rzeczy zazwyczaj lubił roz-
prawiać na ten temat. Niemniej wolał unikać
spoufalania się z panem Braschim, który
gotów był odpalić kolejnego papierosa
i wpatrywać się w jego usta w pełnym napię-
cia oczekiwaniu, aż się otworzą.

– Długo ćwiczyłem. Robię to od dziecka.
Bawiłem się w przewidywanie różnych

rzeczy. Mój ojciec też to robił. Może z biegiem czasu mój umysł stał się centrum przewidywania pogody. Nie umiem tego wyjaśnić. Ale, może się pan zgodzi, jeżeli możliwe jest przewidywanie pogody przy pomocy obliczeń matematycznych i obserwacji doświadczalnych, można przewidywać również inne rzeczy. Zaciągnął się jeszcze parę razy i zgasił papierosa, gdy tymczasem Braschi odpalał następnego.

– Niech pan kontynuuje, proszę.

– Nie mam nic więcej do dodania – odpowiedział Lio, krzyżując ręce na piersi.

Jednak Braschi wcale nie miał zamiaru ustąpić, więc Rol, widząc to, z lekkim zniecierpliwieniem zapytał:

– Co jeszcze chciałby pan wiedzieć?

– Ile kosztuje jedna przepowiednia? Moglibyśmy utworzyć dochodowy interes.

I tak ujawniła się smykałka do interesów, dzięki której stał się on właścicielem domu. Niestety Lio takowej nie posiadał, przez co

był najbardziej dokuczliwym i zadłużonym lokatorem w całej kamienicy.

– Istnieją ludzie, którzy są gotowi wydać największe sumy, jeżeli w kogoś wierzą.

Braschi zadumał się na chwilę, po czym zapytał:

– A pan zgadza się zajmować tym tylko wtedy, gdy cierpi głód lub kiedy pańskie długi stają się nie do zniesienia?

– Dokładnie.

– To jest chyba najbardziej niesłychane w tej całej pańskiej mocy, panie Rol.

– To nie jest moc – zaproponował Lio. – Pan nazwałby swoją umiejętność gromadzenia pieniędzy mocą?

– Nie sądzę.

– Moje przepowiednie być może są lepsze od przepowiedni większości osób. – Uniósł ramiona i poczęstował się drugim papierosem. – To talent jak każdy inny – powiedział, zapalając go i mrużąc podrażnione od dymu oczy. – Pan ma swój talent, a ja swój.

Z tą różnicą, że ja ze swojego nie jestem zadowolony, rozumie pan?

– Nie sądzę. – Powtórzył Braschi, lekko opierając brodę o dłoń, w której trzymał papierosa, przez co wydawało się, że dym ulatnia się z jego skroni. – Ale niech pan nie traci czasu na wyjaśnianie mi tego. Jeżeli miałbym jakieś umiejętności, wykorzystałbym je w każdy możliwy sposób.

– Jeżeli miałby pan cechy, których pan nie posiada, nie byłby pan już sobą.

– Nie mogę się z panem nie zgodzić.

Stwierdzenie to rozbrzmiewało przez chwilę w ciszy, która nagle zapanowała. Pali, nie patrząc na siebie, każdy zanurzony we własnych rozmyślaniach. Niemożliwym było odgadnąć, gdzie błąkał się zachłanny umysł Braschiego. Prawdopodobnie fantazjował na temat bogactwa, które zdobyłby, gdyby tylko posiadał pewne zdolności lub mógł wykorzystać umiejętności innych. Lio

natomiast zadawał sobie tylko jedno pytanie: dlaczego wciąż się tam znajdował?

– Od jak dawna mieszkam w tym budynku? – zapytał, rozglądając się dookoła.

– Za tydzień będzie osiem miesięcy.

– Myślałem, że dłużej.

– Cóż za wyjątkowy umysł z beznadziejną pamięcią! – wykrzyknął ożywiony Braschi i pokiwał gorączkowo głową, ciesząc się, że w końcu znalazł jakąś ułomność kogoś innego.

Lio wstał i podszedł obejrzeć z bliska dziwną kolekcję pana Braschiego.

– Dlaczego trzyma je pan w kuchni?

– Nie mam już gdzie ich stawiać. Cały dom jest tego pełen.

– Czym pan się dokładnie interesuje?

– Historią, prehistorią, antropologią, archeologią, wszystkim po trochu, ale moją prawdziwą pasją są starożytni Egipcjanie.

– Starożytni Egipcjanie – wyszeptał Lio, obserwując z bliska reprodukcję fotografii

kwadratowego glinianego naczynia z gąszczem drobnych symboli. – Ale to nie jest egipskie.

– Nie. – Braschi wstał i podszedł do niego.

– To jest tabliczka sumeryjska. – Podniósł palec do góry, wskazując na górną część wiszącej szafki. – To jest egipskie.

Stała tam figurka jakiegoś bóstwa o charakterystycznej głowie sokoła, którego imienia Lio nie mógł sobie przypomnieć. Ale chwilę potem wypowiedział je, jakby to ktoś inny przemówił z jego wnętrza:

– To jest Horus, syn Izydy i Ozyrysa.

Braschi był mile zaskoczony.

– Interesuje się pan historią antyczną? Jeśli pan chce, mogę pokazać panu całą swoją kolekcję.

– *Sztuka pisania to matka oratorów, ojciec wielkich mistrzów* – wyrecytował Lio, odczytując dziwne symbole klinowego pisma na sumeryjskiej tabliczce. – *Sztuka pisania jest fascynująca, nigdy nie brzydnie, sztuka*

pisania jest trudna do nauczenia, ale ten, kto ją posiadł, ma w dłoni cały świat. Pielęgnuj sztukę pisania, a ona cię wzbogaci, ucz się jej gorliwie, a ona przepelni cię bogactwem i obfitością – dokończył.

– Czyta pan po sumeryjsku? – Braschi był oszołomiony. – To jakaś sztuczka?

– Zdaje się, że czytam – odparł Lio, równie zdumiony.

– Ależ to cudowne, niesamowite! – W całym wszechświecie nie było miejsca, które mogłoby pomieścić niewielkie, drżące ciało pana Braschiego. – Nigdy bym nie pomyślał... – wymamrotał. – Jest pan najbardziej skromną osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. Ja... ja...

– To tak zwana *Elegia o piśmiennictwie* – wyszeptał Lio, zamyślony i pochłonięty podziwianiem fotografii.

– Sumerowie mieli świadomość, jak ważny jest ich wynalazek.

Wiedzieli, jak wielką rewolucją była możliwość przekazywania uczuć i informacji innym, odległym w czasie i przestrzeni ludziom.

– Ale pan... – zaczął Braschi, splatając dłonie – gdzie pan się tego nauczył?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– Niesamowite, niesamowite!

Braschi pobiegł zapalić kolejnego papierosa. Ręce tak bardzo trzęsły mu się z podniecenia, że nie mógł go wyjąć z paczki. W końcu mu się udało, włożył pomięty papieros do ust i podpalił go.

– Naprawdę nie mogę w to uwierzyć.

Kiedy się odwrócił, Lio już nie było.

Rozdział 12

Berlin

We wszystkich oknach rozpostarte były ciężkie zasłony z czarnego aksamitu, zapewniające całkowitą ciemność w tym dziwnym salonie siedziby głównej RSHA. Grube pasy kitu wytyczały granice szyb, dając miejsce niezmaconej ciszy.

Tuż obok, w tym samym wydziale, może nawet w tej samej chwili, ktoś wydawał rozkazy zabicia kogoś innego. Z całą pewnością poza ścianami tego pokoju tworzone były długie listy Żydów skazanych na eksterminację, które każdego dnia stawały się coraz dłuższe.

Tam – w innych pokojach tego budynku przy Prinz Albrecht Strasse 8, ale nie w tym.

Tutaj nie krążyły lodowate spojrzenia rosłych, budzących strach mężczyzn w mundurach, a jedynie obecnychtu pań i panów

w okularach. I aż trudno było sobie wyobrazić, żeby mogli oni mieć choćby najmniejszy związek z wojną czy śmiercią.

A jednak mieli.

Pomieszczenie to było ciepłe i komfortowe. Panował w nim spokój. Liczne rozsiane po pokoju bez szczególnego ładu skórzane fotele i dwa stoły – jeden prostokątny, zavalony mapami, butelkami i pudełkami cygar, drugi okrągły i całkowicie pusty – grzęzły nogami w miękkich perskich dywanach. Pomarańczowe światła tryskały nerwowo pomiędzy kryształowymi kroplami żyrandola i nad licznymi elektrycznymi świecznikami, wprawiając w drganie cienie wirujące pomiędzy morzem poduszek a wyposażonymi w różne dobra kredensami. Pod kopułą, niczym na wieczornym niebie, które przygotowuje się do deszczu, gromadziły się potężne chmury dymu.

Pokój ten przypominał coś pomiędzy wiktoriańskim klubem a okultystyczną świątynią,

między komnatą czarownicy a kołem czytelnym dla arystokratów.

Doktor Lothar Giger usiadł przy okrągłym stole, otworzył rejestr i bez patrzenia przesunął koniuszek wskazującego palca z góry na dół po pierwszej stronie, potem drugiej, trzeciej i tak dalej, dopóki jego ręka nie zatrzymała się sama, jak gdyby była sterowana przez kogoś innego. Nie podnosząc palca, pochylił głowę nad kartką.

– Müller! – zawołał z biurokratyczną intonacją.

Z jednego z foteli wstała kobieta – piękna, lecz chuda i skulona niczym kątomierz.

– To ja – powiedziała, przybliżając się do stołu.

Giger patrzył na nią, raz po raz spoglądając na listę pod literę M.

*Müller Monica – Specjalistka
w dziedzinie psychometrii.*

Kobieta usiadła przed nim i zaczęła pocierać ręce. Kolor lakieru na jej paznokciach był

tak samo czerwony jak ten, który połyskiwał na jej wydatnych wargach. Jasna cera podkreślała barwę kruczoczarnych włosów oraz dwóch delikatnych łuków brwiowych. Długie rzęsy otulały zielone i smutne oczy. Była szczupła, ale nie koścista, a tuż pod dekoltem jej sukienka mocno opinała wydatny biust.

– Pracuje pani, Fräulein Müller?

– Tak.

– Mogę spytać, czym się pani zajmuje?

Wszystkie informacje widniały w trzymanym przez niego rejestrze, pytania miały na celu wyłącznie rozluźnienie nowo przybyłych.

– Jestem nauczycielką – odpowiedziała nieśmiało. – Łacina i greka w szkole średniej.

– Uwielbiam łacinę... – Giger ukazał idealnie równy rząd zębów. – Nie ma pani żydowskich korzeni, prawda, Fräulein Müller?

– Nie, proszę pana.

Akta potwierdzały, że mówiła prawdę lub że przynajmniej była dobrze poinformowana na temat swojego pochodzenia.

– Przysięga pani? Wie pani, że przeprowadzimy w tej sprawie śledztwo.

– Przysięgam.

– Dobrze. – Giger westchnął głęboko. – Muszę panią poinformować, że na osoby, które zdradzą sekret, czeka areszt. Potrzebuje pani czegoś, pani profesor?

– Nie wiem.

Przestraszona Monica rozejrzała się dookoła, jakby dopiero co weszła do pokoju i nie wiedziała, gdzie ją przyprowadzono.

– Zależy – powiedziała, nawijając końcówki włosówna palce. – Co mam robić?

– Pokażę pani kilka przedmiotów.

Kobieta skinęła potakująco. Zrozumiała – lub wydawało jej się, że rozumie – czego od niej oczekiwał.

– Potrzebowałabym trochę wody, żeby zwilżyć dłonie – odparła, pocierając je

i wydając przy tym odgłos podobny do pocierania kartką o chropowatą ścianę.

– Dostarczymy pani wodę.

Asystent nawet nie czekał na rozkaz i w ciągu kilku minut powrócił z butelką pełną zimnej wody.

Giger zaczekał, aż kobieta zgodnie ze swoją wolą zamoczy ręce, a następnie wręczył jej kartonowe pudełko, przesuwając je po blacie, aby nie mogła sprawdzić jego wagi.

– Potrafi pani powiedzieć, co jest w środku? A może powie mi pani, jakie emocje to w niej wzbudza?

Dla niej był to pierwszy raz, ale wielu spośródtu obecnych kolaborowało z działem tajemnych badań już od dłuższego czasu. Niektórzy z nich – prawdę mówiąc bardzo niewiele – wyróżnili się bohaterskimi czynami wojnie, budząc zazdrość w każdym z wybranych agentów, zanim jeszcze wstali z krzesła. Ułożyła dłoń na pudełku, jak gdyby chciała ogrzać je sobie nad

plómieniem, i przymknęła powieki. Po kilku chwilach na twarzy nauczycielki Müller pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Gwiazdy – zaczęła – są ogromne.

Giger notował każde słowo kobiety:

– Planety zawieszono są w bezkresnej czarnej przestrzeni, a ja czuję, że spadam w głąbiny płomieni...

Ale szybko jej przerwał:

– Wystarczy, Fräulein Müller. – Zabrał jej pudełko. Wydawał się bardzo zadowolony.

Monica nie należała do znawczyń sprzętu wojskowego, ba, można powiedzieć, że nikt nie był w tej dziedzinie mniej kompetentny od niej, ale nie miała problemu, żeby na zaprezentowanej jej fotografii rozpoznać niemiecki pancernik. Zdjęcie było złej jakości, łódź była przycumowana w jakimś porcie i wydawało się, że jest nowa.

– Proszę.

Monica odebrała z rąk Gigera wahadło i bardzo szczegółową mapę świata.

– Co mam robić?

– Proszę znaleźć okręt na mapie, Fräulein Müller.– Giger skrzyżował palce i po raz kolejny jego pluton białych zębów ustawił się w szyku. – Tylko to.

Rozdział 13

Rzym

Ktoś go śledził. Nie był to pierwszy raz i nie była to za każdym razem ta sama osoba. Cienie zmieniały się. Czatowały na skraju drogi, szpiegowały go zza szyb samochodów, znad górnej krawędzi gazet lub udawały roztargnionych przechodniów, by następnie śledzić każdy jego krok.

Działo się tak od tygodni.

Kim byli? Czego chcieli? Zmuszali go, by wychodził domu, zadając sobie te pytania.

Lio zatrzymał się nagle i schylił, udając, że sznuruje but. Rozejrzał się na wszystkie strony, ale nie dojrzał nikogo. Wiedział jednak, że tam byli. Ścisnął mocno tobolekz żywnością, odczuwając boleśnie jego mizerność, i przyśpieszył kroku.

Jeżeli dało się dostać żywność, to tylko reglamentowaną. Z pewnością było to okropne,

ale przynajmniej omijałygo powroty do domu z na wpeł pustą siatką, podczas gdy inni korzystali z dobrobytu. Dopóki nie skończy się wojna, jego nędza i niedola będą rozpływać się w nieszczęściach innych ludzi i łatwiej mu będzie oprzeć się pokusie odgrywania czarodzieja.

Ale co zrobi później, w dobrze prosperującym świecie bez wojen? Ulegnie?

Odpowiedział sobie kategorycznie, że nie uczyni tego. Pozwoli sobie na odstępstwo od reguły tylko okazjonalnie, tak jak teraz. Tylko na tyle, ile wystarczy do zarobienia niezbędnego minimum.

Przysiągł sobie, że nie przekształci swojego domu w przytułek dla desperatów.

Chcę wiedzieć, kiedy umrę, panie Rol.

Czy mój wysiłek w pracy zostanie wynagrodzony?

Kiedy znajdę miłość, panie Rol?

Może pan nawiązać kontakt z zaświatami, panie Rol?

Odwiedził go nawet generał armii. Chciał dowiedzieć się czegoś na tematy związane z wojną – czy zakończy się korzystnie, czy podczas danej kampanii wystąpią jakieś trudności, czy możliwe jest wskazanie jednostek nieprzyjaciela za pomocą mapy i wahadła, tak jak robili to Anglicy i Amerykanie.

Musiał się zgodzić, ale skłamał w każdej kwestii. Za to generał odszedł podniesiony na duchu.

„A potem ludzie z łatwością zaczynają uznawać cięża świętego albo – jeszcze częściej – nabierają przekonania, że wstąpił w ciebie diabeł” – myślał. Zwolennicy i fanatyczni przeciwnicy jego nadprzyrodzonych mocy nie wpisywali się w wizję życia, którą sam sobie stworzył – co do tego miał pewność.

Szukał schronienia na krańcach świata, żeby tylko uciec przed tym wszystkim, ale teraz liczne pielgrzymki towarzyszące epizodowi jego pisarskiego życia wydawały się

należącym do dalekiej przeszłości wspomnieniem. Łudził się, ot co.

Upuścił na ziemię kamyk, który nosił zawsze w kieszeni, przykucnął, żeby go podnieść, i w tym czasie spojrzrzała siebie.

Nie było nikogo. Skrecił na rogu i przyśpieszył do bramy budynku. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła i wsunął klucz do zamka, myśląc, że jeżeli nie śledzili go na ulicy, na pewno będą czekali na niego w mieszkaniu. Prędzej czy później to się stanie. Nie bał się, wręcz przeciwnie, nie pragnął niczego innego, niż spojrzeć w końcu prosto w oczy i zapytać, dlaczego za nim chodzili. Nie, tylko jedna rzecz budziła w nim obawę: ta biała kartka wsunięta w maszynę do pisania, która z pewnością niecierpliwie już czekała, aż znowu będzie mogła sobie z niego zadzwierać.

Rozdział 14

Przepraszam! – Lio ujrzał ją w szczelinie zamykającej się bramy: dwie długie i smukłe nogi potrząsające białą spódnicą, poły czerwonego płaszcza, miękkie kasztanowe pukle włosów, duże ciemne oko, które następnie pochłonięte zostało przez mrok korytarza. Zaczekał, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności, i zaczął wchodzić po schodach.

– Przepraszam! – Kobieta z wyraźnym poirytowaniem uderzyła w drzwi otwartą dłonią.

– Proszę mi otworzyć.

Lio miał swoją teorię na temat przeznaczenia, przypadku i zbiegów okoliczności. Według niego kosmos wypełniony był fabułą, konstrukcją łączącą wszystko i wszystkich w spójną całość. Jedność, w której wszystko jest niezbędne. W jedności zdarzenia nie mogą następować na dwa sposoby – w grę może

wchodzić tylko jedna opcja. To dlatego możliwe było przewidywanie przyszłości. Jego teorię popierał fakt, że każda istota ludzka potrafi przewidzieć przyszłość, w przeciwnym razie nie umiałyby przejść przez ulicę, nie ulegając wypadkowi. W ten sposób tłumaczył swoje psychiczne zdolności: jego mózg nie ograniczał się do obliczania, ile czasu zajmie danemu pojazdowi zbliżenie się do niego, podczas gdy on przechodzi przez ulicę, ale posuwał się dalej, potrafiąc przewidzieć tę sytuację kilkunowym, kilkumiesięcznym, a czasem nawet kilkuletnim wyprzedzeniem. Patrząc na chwiejący się głazna osuniętym zboczu góry, zazwyczaj mówi się: *może spaść?* Czy istnieje *możliwość?* Możliwe, że kamień spadnie? W rzeczywistości, a nie w umyśle osoby, która zadaje sobie takie pytania. Jego odpowiedź brzmiała „nie”. Dopóki łańcuch przyczynowo-skutkowy nie będzie kompletny – myślał – kamień nie spadnie. A kiedy

łańcuch się dopełni, kamień poleci w dół. Tam na zewnątrz, w rzeczywistości, nie istnieje możliwość. To tylko złudzenie naszego umysłu. W rzeczywistości wszystko jest konieczne.

Cofnął się o tych kilka stopni, które zdążył pokonać.

Kobieta przestała pukać. Teraz dzwoniła domofonem do jego mieszkania. Lio słyszał dochodzący z góry skrzek dzwonka. Otworzył bramę, kręcąc głową. Jego oczy nie mogły się zdecydować – pozwolić oślepić się dziennemu światłu, czy urodzie kobiety, która oparła się o stojącą tam, zardzewiałą, starą lancję bez kół, paląc papierosa w oczekiwaniu, aż ktoś postanowi otworzyć drzwi.

– Mówiła pani do mnie? – zapytał Lio.

– Szukam pana Rola. Zna go pan może?

– Pana Lio Rola?

– Zna go pan?

– Nie – odparł Lio.

Nieznajoma wyprostowała rękę, wprawiając w kołysanie wiszącą w zagłębieniu łokcia torebkę, i lekko uśmiechnęła się.

– Jestem Alba.

Lio przez chwilę chciał uścisnąć lub ucałować kurtuazyjnie jej dłoń, ale nie ruszył się.

– Wiem, po co pani przyszła, ale przykro mi, pan Rol nie jest już panem Rolem.

Alba wyjęła z kieszeni pomietą karteczkę i przeczytała to, co było na niej napisane, porównując z numerem domu widniejącym nad wejściem.

– Ale ja dostałam ten adres.

– Adres jest prawidłowy. – Lio wykonał gest, jakby chciał zdjąć kapelusz, którego zresztą nigdy nie nosił. – Ale pan Rol już tego nie robi. – I odwrócił się do niej plecami, kierując się w stronę bramy.

– Bardzo pana proszę, chodzi o ważną rzecz.

Po braku naleciałości w akcencie, jak i po wytworności jej stroju dało się wywnioskować, że była bogata. Lio zatrzymał się.

– Kto panią przysyła?

– Przysyła mnie siostra pana Rola.

– Pan Rol nie ma siostry. – Otworzył ponownie bramę i próbował zamknąć ją szybko za sobą, ale kobieta przytrzymała ją i weszła za nim do środka. – Nie mam siostry.

– To pan jest Rol?

– Uprzedzam panią, że w mieszkaniu jest duży bałagan.

– Nic nie szkodzi...

Tymczasem kiedy znalazła się w środku, była nim przerażona.

– Przyślę panu kogoś do sprzątnięcia – powiedziała, zsuwając płaszcz. – Doprawdy, pisarz pana formatu niepowinien tak żyć. Odchyliła głowę, wprawiając włosy w falowanie.

– Proszę usiąść. Wskazał jej krzesło, na którym sadzał wszystkich gości.

– Myślałam...

– Wiem, co pani myślała.

Lio postawił siatkę na kredensie, obok butelki koniaku podarowanej mu przez Gregoria. Wyjął z szuflady papierośnicę i zapalniczkę i zapalił jednego.

– Więc co mogę dla pani zrobić?

Skierował się w jej stronę, zostawiając za sobą białawą łunę. Wysunął jedno z krzeseł spod stołu, aż zaskrzypiało na płytkach podłogowych, i usiadł naprzeciwko.

– Alba, dobrze mówię?

– Póki co, chciałabym, żeby mi pan wyjaśnił, dlaczego tak utalentowany pisarz jak pan mieszka w takiej okropnej norze.

Lio przymrużył oczy, zaciągając się dymem.

– Jestem wszystkim, tylko nie pisarzem – odparł, a biała kartka w maszynie do pisania zdawała się potwierdzać jego słowa.

– Przeczytałam jedną z pana powieści i zapragnęłam powędrować w góry!

– Dziękuję pani, ale...

– Naprawdę był pan w Tybecie?

– Tak.

– Widać, po tym jak go pan opisuje. – Wstała. – Mogę?

– Proszę.

Alba podeszła do szuflady, otworzyła ją i wzięła papierosa.

– Wzięłam ostatniego – powiedziała, kuląc ramionami migając swoimi dużymi oczami niczym semafor.

Pokazał jej zapalniczkę.

– Przeszkadza to panu?

– Chce pani usłyszeć prawdę?

– Jasne.

– No więc tak, przeszkadza mi.

– Dlaczego? – Zapaliła papierosa i powróciła do stołu.

– Bo będę musiał je znowu kupić.

– Pieniądze nie są dla mnie przeszkodą.

- A dla mnie są.
- Ile kosztuje jedna konsultacja?
- Problem tkwi właśnie tu – brak pieniędzy zmusza mnie do udzielania tych, jak to pani nazywa, konsultacji.
- A pan jak je nazywa?
- Naprzykrzanie się. – Zapalił. – Czasami również usługi lub porady.
- Jeśli to prawda, że ma pan umiejętności, o których wszyscy mówią, mam nadzieję, że żąda pan godziwego wynagrodzenia za tak nieprawdopodobny dar.
- Żądam dwustu lirów.
- Aha, w takim razie rozumiem, dlaczego pan tak żyje. – Wskazała na pokój. – Nie przyjmuje pan klientów, a jeśli już pan to robi, to za dwieście lirów?
- Pani nie jest klientką, panienko, a dwieście lirów to jedna trzecia pensji robotnika.
- Panienko? Nie mówiłam panu, że nie jestem mężatką.

– Nie jest pani.

– W takim razie kim jestem, jeśli nie klientką?

– Czy pani uznaje za klientów swoich wielbicieli?

– W pewnym sensie nimi są.

– Ale nie nazywa ich pani w ten sposób.

Wpatrywał się w nią bez słowa przez dłuższą chwilę.

– Spodziewałam się spotkać słabowite, nieco wyniszczone przez życie i zaniedbane medium o powierzchowności profesorka, a tymczasem widzę bardzo żywotnego i dobrze zbudowanego młodzieńca.

– A jednak zaniedbanego.

– Ma pan rację.

– Może mi pani mówić na ty. – Podał jej dłoń.

– Alba Gabrielli – powiedziała, ściskając ją. – Chodzi pan do kina?

– Nie. – Odprowadził wzrokiem dym wydobywającą się z jej ust. – Nie stać mnie.

– Nie wie pan, co traci!

Alba zrobiła z dymu okrąg i wsadziła w jego środek papieros, tak jakby chciała go przebić.

– Pani jest jedną z tych, które są nazywane przez ludzi prowokującymi kobietami.

– Wszystko jest względne.

– Wszystko poza wszystkim.

– Chciałam tylko powiedzieć, że we Włoszech uznawana jestem za kobietę prowokującą, natomiast w Ameryce za kobietę seksowną.

Lio przyznał, że czasami zgadza się z Amerykanami. Znowu zaczęli obserwować się w milczeniu, dopóki nie skończył się tytoń w ich papierosach. Następnie Lio powiedział jej, że wie, dlaczego przyszła.

– Zobaczmy. Jeśli pan wie, znaczy to, że mam zamiar dobrze zainwestować moje pieniądze.

Położył na środku stołu dłoń zwróconą wewnętrzną stroną do góry.

– Przyszła pani, żebym powrózył pani z ręki. – Oznajmił bez przekonania.

– Zimno. Na moje szczęście nie jestem klientką.

Dłoń Lio spoczywała wciąż zwrócona do góry na stole, jego palce poruszały się niczym odnóża przewróconego chrząszcza, przywołując dłoń Alby. W końcu Alba ustąpiła i położyła swoją dłoń na jego.

Była to dłoń chłodna, smukła i delikatna, ale nie krucha.

– To tak zagląda pan do wnętrza ludzi? – zapytała.

– Nie.

– Więc dlaczego ściska mi pan dłoń?

– Szybko bije pani serce. Boi się pani czegoś, Albo?

– Ciepłej. Na pewno nie mogę powiedzieć, że pana obecność wpływa na mnie uspokajająco, Lio.

– Więc nie będziemy mówili sobie po imieniu?

– Niby dlaczego mielibyśmy?

– Dlatego, że ci się podobam, i ty mnie też.

Alba zabrała szybko dłoń.

– Niechże pan nie opowiada głupstw! Chciała podnieść się i zabrać płaszcz z oparcia krzesła, ale Lio zdążył ją ubiec.

– Napijesz się odrobiny koniaku?

– Nie, dziękuję. Lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

– Ale nie załatwiłaś jeszcze tego, po co tu przyszłaś.

– To nie zajmie długo.

– Przyniosła mi go para przyjaciół – powiedział Lio. Otworzył drzwiczki kredensu i pokazał jej jeszcze zamkniętą butelkę koniaku. – Trzymałem go na jakąś specjalną okazję.

– To niby ta okazja?

– Według mnie, tak.

Wzruszyła ramionami i skrzyżowała ręce na piersi, parsknęła i stała tak, obserwując go z ustami zaciśniętymi w podejrziwym

grymasie i oczami przymrużonymi w rozbawionym półuśmiechu.

Miał rację – podobał jej się. Myśl o koniaku też jej się podobała. A poza tym nie załatwiła jeszcze tego, po co tu przyszła.

– Posłuchaj – powiedziała – możesz być spokojny, nie przyszłam tu po to, żeby zaglądać do swojej duszy. Przyszłam, bo ktoś mnie o to poprosił.

W ciszy słyhać było, jak koniak chlupie w kieliszkach, a tytoń trzaska, rozpalając się przed zapalniczką.

– Niby kto?

– Moja serdeczna przyjaciółka.

Lio wziął łyk koniaku i doprawił go haustem dymu.

– Jeżeli sądzisz, że cały czas nasłuchuję myśli innych osób, to jesteś w błędzie. Dlatego jeśli masz coś do powiedzenia, lepiej zaczynaj używać języka.

– Nazywała się Sibylla. – Czekala na jakąś reakcję, ale nie doczekała się. – Słyszałeś, co

powiedziałam? Zmieniła imię? Sibylli już z nami nie ma.

– Przykro mi.

Zdolności aktorskie na nic się tu zdały: zakłopotaniei przerażenie odmalowały się na twarzy Alby.

– Czy chcesz powiedzieć, że nie znasz nikogo o imieniu Sibylla?

Lio potrząsnął głową.

– Nie masz siostry, która...?

– Nie mam siostry.

– Możesz kłamać, ile ci się podoba, ale... – Alba otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopertę na list, w której znajdowała się mniejsza koperta. – To do ciebie. – Przesunęła list po blacie stołu w jego kierunku. – Niedługo przed śmiercią twoja siostra poprosiła, żeby ci to dostarczyć.

Lio oparł papierosa o brzeg popielniczki i wziął pakunek. W przeciwieństwie do większej koperty, w której się znajdowała, ta właściwa nie była ostemplowana i nie

znajdowały się na niej żadne znaczki pocztowe. Chyba nikt nie próbował otwierać jej nad parą i prawdopodobnie nadal była zaklejona śliną osoby, która napisała jej zawartość.

– Przykro mi – powiedział po zastanowieniu – to musi być jakaś pomyłka. – Oddał jej list. – Nie jestem tym, kogo szukasz.

– Ty jesteś Lio Rol?

– Potwierdzam.

– Urodzony w Turynie, w 1906 roku?

– Tak.

– Syn Włocha i Niemki? Przytaknął.

– Studiowałaś na uniwersytecie La Sapienza w Rzymie i... – Kontynuowała niezrażona.

– Dobra, dobra – przerwał jej. – Jesteś świetnie poinformowana, ale to nie zmienia faktu, że się mylisz – ja nie mam siostry i nie znam twojej przyjaciółki.

Alba podniosła i opróżniła kieliszek z koniakiem. Przytknęła sobie grzbiet dłoni do ust i otworzyła torebkę.

– Ile jestem ci winna?

– Za co? – zapytał Lio, splatając dłonie na karku.

– Za fatygę.

– Mogę zapytać, jak zmarła twoja przyjaciółka?

– Jesteś nienormalny. Alba przewiesiła sobie torebkę płaszcz przez ramię i szybkim krokiem zaczęła podążać kierunku drzwi. Jednak zanim je otworzyła, odwróciła się, by rzucić mu oburzone spojrzenie. W tym momencie właśnie dolewał sobie koniaku i zamyślony kiwał głową, wpatrując się w kieliszek. Znała się wystarczająco dobrze na aktorstwie, by móc stwierdzić z całą pewnością, że Lio Rol był szczery, kiedy twierdził, że nie ma siostry i nie zna żadnej kobiety o imieniu Sibylla.

Zatem albo nie powiedzieli jej wszystkiego, albo Lio Rol naprawdę nie miał siostry. Ale dlaczego jej nie uprzedzili?

– Naprawdę nie pamiętasz, żebyś miał siostrę?

– Naprawdę! – Odpowiedział Lio. Jego stanowczość była przekonująca. – A ty, jak poznałaś tę Sibyllę?

Alba wróciła do stolika, wzdychając. Rzuciła płaszczna oparcie krzesła i ponownie usiadła.

– Poznałam ją dwa lata temu podczas przyjęcia w niemieckiej ambasadzie, tu, w Rzymie. Od tej pory pozostawałyśmy w kontakcie. Pisałyśmy do siebie. – Wskazana list. – Zaprzyjaźniłyśmy się.

– Powiedziałaś: w niemieckiej ambasadzie?

Alba przytaknęła.

– Ona tam pracowała.

– I dała ci ten list dla mnie?

– Twoja siostra wysłała mi go kilka tygodni temu w tym drugim liście, w którym prosiła mnie, żebym przekazała ci go, jeżeli spotka ją coś złego.

– I spotkało?

– Wiem tylko tyle, że nie żyje, że obiecałam dostarczyć ten list jej bratu i że właśnie to robię. Szczerze mówiąc, ta cała sprawa zaczyna mnie niepokoić.

Nie żyje? Siostra? Ambasada Niemiec? Lio pogrzyżył się w otchłani pytań i sprzecznych emocji. Wstał i zaczął chodzić w kółko, dotykając palcami brody i mamrocząc cały czas, że to wszystko było absurdalne i niebywałe.

– Mogę zobaczyć kopertę, w której znajdował się list?

Alba wyjęła go z torebki i pokazała mu. Umieszczono na nim znaczek urzędu pocztowego w Berlinie, opatrzony datą wysyłki 22 grudnia 1942 roku.

– Jesteś aktorką? – spytał Lio.

– Tak, kinową... – Potwierdziła, zmieszana łatwością, z jaką to odgadnął, ale podbudowana faktem, że przynajmniej jedna z rzeczy, które wiedziała na jego temat, była prawdą. Potem pomyślała, że Lio mógł skłamać, mówiąc, że nigdy nie chodził do kina. Może widział ją na ekranie, a teraz tylko udaje, że czyta jej w myślach. Była zafascynowana tym dziwnym sposobem na życie i poczuła niezwykłą sympatię do kogoś, kto jednocześnie potrafił ocierać się skrajną nędzę i przekonywać ludzi, żeby płacili mu za jego niezwykle zdolności.

– Ty też jesteś aktorem.

– Nawet nie wiesz, jak się mylisz.

– Moim zdaniem jesteś.

– Jak wszyscy.

– Ktoś, kto potrafi wmówić innym, że posiada parapsychologiczne zdolności, jest aktorem, i to bardzo dobrym aktorem.

– Ale ja tego nie robię.

Podszedł do okna, odchylił zasłonkę i spojrział w dółna ulicę. Kostka brukowa iskrzyła się w świetle słonecznym, a po cieniach ani śladu. Jedyнным zaparkowanym autem była pozbawiona kół lancia, idealnie zlewająca się z nędzą i szarością, które ją otaczały.

– Jesteś jedną z nich? – zapytał.

– Z nich?

– Tych, którzy mnie śledzą. Alba aż zapiszczała.

– Oczywiście, że nie!

– Wierzę ci. – Lio puścił zasłonkę. Nie odwrócił się. – Ale ty też musisz mi uwierzyć – ja nie mam siostry.

Rol czuł, że gdyby ją miał, nigdy nie mógłby jejzapomnieć. Był pewien, że na samą myśl o jej śmierci oddałby się w zniewalające ramiona alkoholu lub każdej innej rzeczy, która pozwoliłaby mu osunąć się na ziemię, ponieważ jego umysł by tego nie wytrzymał. Że rozmyślając o niej i widząc

dookoła tylko wojnę i zagładę, czułby coś w rodzaju ulgi, ponieważ w żadnym wypadku świat nie mógłby wydawać się tak niesprawiedliwy jak w dniu śmierci jego siostry.

Tymczasem nie czuł nic do tej całej Sibylli poza nieokreślonym smutkiem z powodu fatalnego przeznaczenia, niezwiązanego z jego życiem. Jak mógłby o niej zapomnieć?

– Dlaczego nie przeczytasz, co jest napisane w liście?

Wzrok Lio przesunął się na kopertę, szybko niczym gilotyna do papieru.

– Wiem już, co tam jest napisane.

– Mogę go otworzyć?

Lio skinął na znak zgody.

Koperta zaczęła szeleścić, rozdzierając się wzdłuż dłuższego brzegu. Alba w końcu wyjęła z niej kartkę i rozwinęła ją, podsuwając do okna. Jej oczy otworzyły się szeroko na widok pozbawionego sensu listu, którego treść stanowił fragment Biblii.

– Chcesz, żebym przeczytała?

– To nie jest tekst dla mnie.

Alba drgnęła.

– Przeczytałeś go pod światło.

– Jeśli to cię uspokaja...

W tym momencie Alba miała ochotę uciec. Było to teraz jej największe pragnienie – chwycić torebkę i płaszcz, wstać i jak najszybciej wyjść z tego mieszkania. Tymczasem trwała nieruchomo, podczas gdy fala lodowatego potu zasnuwała jej czoło, a rzeczywistość dookoła zaczęła się odkształcać.

Lio widział, że krew odpływa z jej policzków, oczy wywróciły się do tyłu, a list wypadł spomiędzy bezwolnych i sinych palców. Podbiegł, by ją podtrzymać.

Ale Alba nie zemdląła.

Zgięła się wpół i pozostała w tej pozycji niczym chroniące się przed wiatrem drzewo.

– To naprawdę nic poważnego – powiedziała, łapiąc oddech. – Jednak będzie lepiej, jeśli już sobie pójdę.

Rozdział 15

Pozostał przy oknie, obserwując, jak kobieta znika w głębi ulicy. Gdy co pewien czas spoglądał na list, dochodził do wniosku, że była to najdziwniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek mu się przydarzyła.

Długo zastanawiał się nad tym, czy mogło być prawdą, że podczas tylu lat przeżytych za granicą lub w górach oraz tych kilku dni spędzonych na froncie zapomniał o istnieniu siostry lub o tym, że nie żyła.

Nigdy nie brał udziału w żadnej bitwie, jego mundur był wciąż nieskalany, kiedy nieprzytomnego ładowali gona ciężarówkę. Ostatnim wspomnieniem był zatrzymujący się konwój, a następnie ogromna i niespodziewana eksplozja. Potem już tylko dym i ciemność, delirium i lekarz.

Czy można założyć, że wraz z lewą źrenicą częściowo stracił także pamięć?

Potrząsnął stanowczo głową. Eksplozja nie była aż tak silna, a on znajdował się daleko od miny. Kilka dużych odłamków wbiło mu się w prawe ramię, przypadkowy mikroskopijny fragment zranił lewe oko, odbijając się rykoszetem od barierki ciężarówki, obok której maszerował. Równie pechowy, co nieprawdopodobny splot wydarzeń. Jeżeli stracił zmysły, to tylko z powodu bólu, a niewyniku eksplozji. Ewentualna amnezja nie wchodziła więc w rachubę.

Ta dziwna scena, odegrana przez aktorkę, była reżyserowana przez znajome mu cienie, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

List wciąż leżał na stole, pozbawiony jakiegokolwiek historii i jakiegokolwiek znaczenia – dokładnie tak jak jego puste kartki i głowa. Stał przy oknie tak długo, że wypalił się kolejny papieros. W końcu podszedł do stołu i wziął list. Zdjął z półki Biblię i porównał tekst. Został skopiowany co do słowa:

Księga Rodzaju 6, 4-8 (Zepsucie moralne ludzkości).

A w owych czasach byli na ziemi giganci; a także później, gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły. Byli to więc owi mocarze, mający sławę w owych dawnych czasach.

Kiedy zaś Pan widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na ziemi i że usposobienie ich jest wciąż złe, żałował, że stworzył ludzi na ziemi, i zasmucił się. Wreszcie Pan rzekł:

„Zgładzę ludzi, których stworzyłem, z powierzchni ziemi: ludzi, bydło, zwierzęta pełzające i ptaki powietrzne, bo żał mi, że ich stworzyłem”.

[Tylko] Noego Pan darzył życzliwością.

Parsknął i lekko rozłożył ręce, jakby chciał zgnieść kartkę w dłoniach i zrobić z niej kulkę, którą następnie rzuciłby na stos pozostałych, leżących na podłodze koło biurka.

Giganci. Antyczni bohaterowie. Nieżyjące siostry. Aktorki, cienie. Zgniatając list, chciał to wszystko zniszczyć i wyrzucić na śmietnik. Ale powstrzymał się.

Doskonale znał treść tego rozdziału *Księgi Rodzaju* – przestudiował ją całą dokładnie, gdy pisał *Więźnia Atlantydy*. Być może ten, kto przepisał ten fragment, doskonale o tym wiedział, zatem musiał naprawdę go znać i nie mogło chodzić o zwykłe nieporozumienie. Jeszcze raz spojrzął na świstek, tym razem pod światło. A jeśli by założyć, że ten list naprawdę został napisany do niego?

Nagle podskoczył i w ogromnym pośpiechu rzucił się na kolana, przysuwając się do dna komody. Otworzył najniższą szufladę i zaczął ją przetrząsać, buszując między znajdującymi się w niej przedmiotami i powtarzając głośno, że gdzieś tam musiała być.

Palcami wyczuł twardą i tłustą powierzchnię wosku. Wziął świecę i zaniósł na stół.

Zapalił. Przechylił ją i pozwolił, by jedna kropla wosku skapnęła na blat, po czym przykleił do niej świecę.

Przysunął list do płomienia i stało się to, czego się spodziewał. Ciepło sprawiło, że na papierze, niczym brunatne widma, pojawiły się jakieś słowa napisane odręcznie przez tę samą dłoń, która przepisywała tekst biblijny. List, ten prawdziwy, został zapisany atramentem sympatycznym między wersetami Biblii, być może sokiem z cytryny, cebuli lub mlekiem figowym. W każdym razie coś niezmywalnym, aby tekst pozostał czytelny również po schłodzeniu papieru. Podeszedł do okna, aby przyjrzeć się treści w świetle dziennym. List napisany był w jego języku, ale w zupełnie niezrozumiały sposób:

Statek Ziusudry gotowy do wyruszenia z Baalbeku. Enki pachnie cedrem, ale pracuje w Abzu. Enlil działa w Edinu.

*∂RS PO SV μ MB β DW ΠΣTM Ø500 ST
LG Ø50 SS FR AC. Jednostka patrzy na
wszystko. W sprawie kluczydo domu zwró-
cić się do Vladimira Kuurmy. Ostrożnie.*

Jeszcze mniejszą czcionką w stopce strony zapisany był jakiś skrót: VRIL.

Nigdzie nie widniało nazwisko Rol.

Czy coś łączyło biblijny tekst i wiadomość ukrytą pomiędzy wierszami? A może ta Sibylla z zamiłowania zajmowała się przepisywaniem fragmentów Biblii, może przechowywała kartki z tymi fragmentami i jednej z nich użyła, by zapisać mu tę niedorzeczną wiadomość?

Przeczytał jeszcze raz cytaty z *Księgi Rodzaju*, zatrzymując się szczególnie na fragmencie mówiącym o gigantach.

*A w owych czasach byli na ziemi giganci;
a także później.*

Kiedyś zgromadził bardzo wiele informacji na temat hipotez dotyczących zaginięcia antycznej cywilizacji gigantów. Na całym świecie pozostałości po olbrzymich budow-
lach sprzyjały bowiem powstawaniu legend na ich temat. Teraz przypomniał sobie rozczarowanie, jakie przeżył, gdy dowiedział się, że nie może posłużyć się *Księgą Rodzaju*, żeby dowieść w swojej powieści istnienia takiego ludu. Stało się tak, ponieważ tłumaczenie tych słów budziło wiele kontrowersji. Na przykład pierwotny hebrajski termin to nie „giganci”, lecz *nephilim*, co oznacza „przybyli na ziemię z niebios”. Przerwał wtedy prace nad książką. Wznowił je, gdy natknął się na teorie, według których *nephilim* byli tymi samymi istotami co legendarni giganci.

Otworzył Biblię i zaczął ją przeglądać. Gorączkowo przewracając strony, odnalazł fragmenty, w których wymienieni byli pozostali giganci, a wśród nich najsłynniejszy—

Goliat. Wszystkich ich zakreślił swego czasu ołówkiem. Powróciły do niego echa tamtych dni, gdy pracował nad książką – słodki smak pytań, upajające pisanie.

Ta cała sprawa ze zmarłą siostrą wywoływała w nim silne dreszcze przebiegające wzdłuż całego kręgosłupa. Czuł się, jakby odnalazł tak długo oczekiwane natchnienie. Ale doskonale zdawał sobie sprawę, że miał w rękach materiał pochodzący ze świata rzeczywistego, a nie historię zrodzoną z wyobraźni. Materiał absurdalny i najprawdopodobniej również niebezpieczny. Przestał czytać i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem po pokoju. Zagrożenie było realne, to prawda, ale bez porównania bardziej pociągające niż jego własny świat idei – jałowy i wybrakowany. Zatrzymał się i zaczął analizować list.

[...] Gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły. Byli to

więc owi mocarze, mający sławę w owych dawnych czasach.

„Mający sławę” – pomyślał. Jeśli dobrze pamiętał, było to tłumaczenie hebrajskiego oryginału „ród Sema”. *Sem* tłumaczony dosłownie oznacza „imię”, zatem zdaniето brzmiałoby „mający imię”, a nie „mający sławę”. Lecz przypomniało mu się coś jeszcze: słowo *sem* ma więcej niż jedno znaczenie. Tym najstarszym i najbardziej autentycznym jest „monument zwrócony ku niebu”. Kiedy w Biblii czytamy, że ludzie budujący wieżę Babel „nadawali imię”, czytamy bzdurne, bo nieprawidłowe tłumaczenie. Poprawnie przełożony tekst mówiłby o budowaniu monumentu zwróconego w stronę nieba.

I znowu potężne dreszcze wzdłuż całych pleców. Jego wiedza na te tematy wychodziła daleko poza zwykłą znajomość hebrajskiego. Semicki „Sem” pochodzi od *shu-mu*

i oznacza „ten, który jest *mu*”. *Mu* to słowo sumeryjskie, więc antyczne, oznaczające „to, co wznosi się prosto”. W jego umyśle przybrało formę niemieckiej rakiety.

Niedawno potrafił odczytać treść sumeryjskiej tabliczki, a teraz okazywało się, że władza hebrajskim! Skąd bierze się ta umiejętność? Musiały to być jakieś wspomnienia, co oznaczało, że nadal miał sprawną pamięć.

Odzyskał zaufanie do samego siebie i jeszcze raz potwierdził sobie, że jego siostra nie istniała. Poza tym oczywiste było, że kobieta, która napisała list, dobrego znała. Wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że pośród biblijnych wersetów odczyta o wiele więcej niż wypisane cytryną litery.

Enki i Enlil byli jednymi z głównych bóstw sumeryjskich.

„Może Braschi znał Sibyllę” – pomyślał. A może to właśnie on wysłał mu ten dziwny list za pośrednictwem rzekomej aktorki?

Może to tylko żart? Oszustwo lub coś jeszcze gorszego wydawało mu się jednak najbardziej prawdopodobną hipotezą. W każdym razie fakt, że właściciel domu interesował się Sumerami, oraz to, że trzymał w rękach taki list, nie mógł być zbiegiem okoliczności.

To wszystko musiało mieć ze sobą jakiś związek.

Ale zwyczajnie nie mógł wyobrazić sobie Braschiego obmyślającego takie dowcipy.

A jeśli to jednak zwykły zbieg okoliczności? To może być jakieś wielkie nieporozumienie, pomyłka co do osoby. W gruncie rzeczy jedyny dowód na to, że list został zaadresowany do niego, to słowa Alby, której zupełnie przecież nie znał.

Nie tylko była to najbardziej niewiarygodna rzecz, jaka kiedykolwiek mu się przytrafiła, ale też najbardziej absurdalna.

Stuknął się mocno w czoło, wypominając sobie głupotę, gdyż uzmysłowił sobie, że

powinien był ją śledzić. I tak po chwili euforii ogarnęło go znane mu przygnębienie, zwątpienie, które tak jak poprzednio, było tylko chwilowe. W czasie wojny niełatwo jest powiedzieć sobie, że jest się pechowcem: każdy doskonale zdaje sobie sprawę, że prawdziwe nieszczęścia dotyczą innych. W trakcie wojny nie możesz powiedzieć, że masz wyjątkowego pecha, dopóki nie staniesz twarzą w twarz ze śmiercią (a mimo to już chwilę później znów wstępujesz do szeregu szczęściarzy).

Na przykład teraz, gdy on siedział zamknięty w domu, przekonany o tym, że ma problemy, ktoś na ulicy walczył z faszystami. Usłyszał jakieś dobiegające z zewnątrz krzyki, a następnie serię strzałów i eksplozję, która sprawiła, że zatrzęśły się szyby w oknach. Jakaś strzelba, karabin, granat.

Przykład do naśladowania – zacząć działać i wyjść na spotkanie z wrogiem. A on? Tylko cienie i wielkie nieporozumienia.

Poczuł całą grozę sytuacji. I znów euforię. Mógł zebrać materiał, który pozwoliłby mu napisać doskonałą powieść. Wyjść z domu. Ponownie włączyć myślenie.

Usłyszał kolejne dochodzące z ulicy strzały, jednak bardziej odległe niż poprzednie. Poszedł się przebrać.

Osoba, która wróciła godzinę później, by sprawdzić, co dzieje się za oknem, była kimś zupełnie innym. Otóż w tym samym pokoju stał teraz zdeterminowany człowiek, wzmocniony ciepłą kąpielą, pachnący, ubrany jak gdyby spodziewał się gości. Miał na sobie czarny garnitur, szary płaszcz, błyszczące buty oraz nasunięte na głowę okulary słoneczne. Jego lśniące brylantyną włosy zaczesane byłydo tyłu oraz podgolone po bokach i na karku, a stalowe oczy rzucały przeszywające spojrzenia.

Na ulicy nie było widać nikogo.

Wsunął list Sibylli do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyszedł.

Znowu musiał wspiąć się na górę, lecz tym razem była to góra absurdu.

Rozdział 16

Ostatnie promienie słońca w to zimowe popołudnie odbijały się od marmurowych nagrobków, migocząc niczym lusterka w cmentarnych alejkach i rzucając na ziemię powłóczyste cienie cyprysów i jodeł, krzyży oraz uskrzydłonych aniołów.

Jedną z wielu rzeczy, których Lio nie mógł odnaleźć w swojej nieuporządkowanej pamięci, było wspomnienie ostatniego razu, kiedy odwiedził rodzinny grób. Jednak wiedział, że miał rodzinę.

Tliło się w nim wątle wspomnienie ojca i jeszcze bardziej niewyraźne wspomnienie matki. Nie pamiętał żadnego brata ani żadnej siostry. Oschły i surowy z natury ojciec dla niego zawsze był serdeczny. W pamięci jawił mu się wyprostowany i dumny, jakby zastygnięty w wiecznej pozie, w jakiej oczekuje się na zdjęcie. Uczył go czegoś – podstaw łaciny

i greki, czytał mu *Odyseję* i opowiadało licznych zagadkach historii albo karcił wzrokiem sprawiającym taki sam ból jak uderzenia szpicrutą. Mama natomiast tylko się uśmiechała, kołysząc się z zadowoleniem po pokoju w rytm muzyki. Była to zawsze ta sama melodia, niczym w powracającym śnie, a on nienawidził tej muzyki, choć sam nie wiedział dlaczego. Jego ojciec posiadał majątek ziemski na Sardynii i jeździł tam raz lub dwa razy do roku, w miarę możliwości zabierając go ze sobą. W pozostałych, nielicznie ocalałych obrazach – niczym w porwanym na strzępy albumie – mama jawiła się wiecznie uśmiechnięta, a ojciec ciągle czegoś go uczył. Były to jedyne wyraźne wspomnienia jego rodziny i dzieciństwa, jakie zachował. Resztę włożył między te wątpliwego pochodzenia ze względu na fakt, że straciły swój typowy smak wspomnienia i mieszały się z tym, czego osobiście nie przeżył, lecz jedynie przeczytał, zobaczył lub usłyszał.

Miał też kilka wspomnień ze sobą w roli głównej z czasów dzieciństwa. W tym przypadku jego mentalny album był w lepszym stanie, niemniej strona po stronie wspominki te przypominały paradę sztam-powych schematów (pierwszy dzień w szkole, mecz piłki z kolegami, pierwsza narzeczona, pierwszy pocałunek). Nie było tam nic, co wywoływałoby autentyczne emocje. Nic. Ta samawszechogarniająca nicość, którą odczuwał, patrząc na dobrotliwe twarze swych rodziców, odpadające od nagrobkowego marmuru i zamknięte w owalnych ramkach z brązu.

Musnął ich szklane twarze; dalej nic nie czuł. Wtem emocje nadeszły, niespodziewanie. Drgnął, odskakując do tyłu jak oparzony. Na dole widniał napis wygrawerowany brązowymi literami:

SIBYLLA ROL

A poniżej daty:

ur. 9 sierpnia 1912 r.
zm. 3 stycznia 1943 r.

Na ziemi stały jeszcze niezwiędnięte kwiaty, zgaszona gromnica oraz wypalony czerwony znicz.

Na płycie nagrobka brakowało fotografii.

Rozdział 17

Kioskarz posłał mu smętne spojrzenie.

– Krajowe, bez filtra.

– Dwie paczki – powiedział Lio. – Ma pan może książkę telefoniczną?

Wybrał się, by zapolować na cienie. Albo inaczej – przez całe popołudnie to on wystawiał im się na pożarcie. Na stacji kolejowej, na placach, w obleżonych przez żołnierzy kawiarniach. Próbował bez ustanku, dopóki słońce nie zaczęło rzucać czerwonawej łuny pomiędzy ślady przelatujących samolotów. Nikt się jednak nie ukazał. Żadnego czarnego samochodu, na pozór roztargnionego palaczaczy fałszywego czytelnika gazet. Nagle świat przestał się nim interesować.

Zapłacił, wziął papierosy i podszedł do książki telefonicznej, która leżała na półce służącej do naklejania znaczków na korespondencję. Zaczął szukać nazwiska

Kuurma, spodziewając się, że znajdzie ich w tym mieście więcej niż jedno.

Nie mylił się.

Vladimir Kuurma, ulica Babuino 40. Odkręcił długopis, otworzył notes i zapisał sobie numer telefonu, opatrzywszy go skrótem VK.

Zwilżył koniuszki palców i przewertował pospiesznie książkę, przeskakując aż do litery G.

Gabrielli Alby nie było. Telefon mógł być założony na kogoś z jej rodziny. Zbyt dużo ludzi o nazwisku Gabrielli figurowało w książce, żeby ich wszystkich wynotować. Wybrał trzy, odrzucając adresy w najbiedniejszych dzielnicach, i zapisał je sobie w notesie razem z pełnymi imionami i nazwiskami. W końcu tusz i papier do czegośmu się przydały.

Nie było nawet mowy o tym, żeby zgłosić ten fakt na policję. Najpierw musiał nabrać pewności, ponieważ nie ufał swojej pamięci

na tyle, żeby wykluczyć, że kiedyś naprawdę miał siostrę.

Poza tym wciąż istniała możliwość, że pan Braschi zabawiał się jego kosztem, robiąc mu głupie i niewybredne żarty.

Nie zajęło mu dużo czasu znalezienie lokalu, w którym znajdował się telefon na żetony. W środku powitałygo mgliste opary wymieszanego z potem tytoniu, wprawiane w ruch przez trzaskające o stoły karty do gry.

Jedyny głos dochodził z radia. Rozpoczęła się komedia zatytułowana *Wschodząca gwiazda*.

Lio przystawił sobie do policzka kciuk i mały palec, na co stary właściciel wskazał przeżuwaną wykałaczką na telefon.

– Jeśli jest sygnał – zaznaczył.

Wybrał pierwszy numer. Gabrielli Nazario. Sygnał był.

– Halo.

Głos Kobiety.

– Dobry wieczór, szukam pani Alby Gabrielli, jestw domu?

– Przykro mi, to chyba pomyłka.

– Nie zna jej pani przypadkiem?

Kobieta odpowiedziała ciszą, którą przerywały delikatne dmuchnięcia w słuchawkę, sugerujące, że się zastanawia.

– Nie, nie znam nikogo o takim imieniu.

Lio podziękował. Wybrał kolejny numer. Gabrielli Aldo.

– Halo.

Mężczyzna.

– Dobry wieczór, szukam pani...

– Tu nie mieszka żadna pani – przerwał mu głos.

– ...Alby Gabrielli – ciągnął dalej Lio – nie zna jej pan przypadkiem? Ale Aldo bez zbędnych ceregieli odłożył słuchawkę.

Pozostawał ostatni numer. Gabrielli Marco. Długo rozbrzmiewał sygnał, wreszcie ktoś odebrał.

– Halo.

Powtórzył pytanie, które zadawał poprzednimi razy, ale teraz ze słuchawką odsuniętą od ucha, przygotowaną, żeby szybko ją odwiesić.

– A kto dzwoni? – zapytała kobieta po drugiej stronie.

– Przyjaciel. Muszę z nią pilnie pomówić.

– Kto mówi?

– Jestem przyjacielem Alby, proszę pani, proszę się nie rozłączać.

– Alby nie ma w domu, przykro mi.

– Wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?

– Nie, proszę pana.

– A wie pani, kiedy wróci?

– Jeśli zechce pan podać swoje imię, przekażę, że jejpan szukał.

Podał swoje dane.

– Muszę się z nią spotkać – dodał przejętym i niezwykle poważnym tonem.

Kobieta ograniczyła się do zapewnienia, że przekaze wiadomość panience, i rozłączyła się.

Lio zaczął bawić się kablem, zastanawiając się, czy powinien wybrać także numer Vladimira Kuurmy. Włożył czubek palca wskazującego do tarczy telefonu i przekreślił ją siedem razy w prawo. Z każdą wybraną cyfrą przez jego plecy przechodził dreszcz, zdecydował się więc rozłączyć i wybrał inny numer.

Po drugiej stronie linii ktoś podniósł słuchawkę, alenienie odezwał się.

– Halo... Rozmawiam z panem Braschim?

Żadnej odpowiedzi. Lio spróbował ponownie:

– Pan Braschi?

Znowu sycząca cisza linii telefonicznej.

– Panie Braschi, mówi Lio Rol.

– Rol? – Ta jedna sylaba wystarczyła Lio, żeby go rozpoznać. – Słucham.

– Muszę z panem porozmawiać.

– Myślałem, że pana zanudziłem, skoro wyszedł pan tak bez pożegnania.

– Przepraszam, zupełnie nie wiem, co się ze mną ostatnio dzieje.

– Jest pan w domu?

– Wie pan, że nie mam telefonu.

– Dobrze, zatem jutro o...?

Lio mu przerwał:

– Teraz?

– Teraz jest już trochę późno. Ja chodzę wcześnie spać i...

– Zajmę panu tylko kilka minut.

Długie westchnienie Braschiego połaskotało go w ucho.

– No dobrze, Rol. Ale niech mi pan już nie robi żadnych niespodzianek.

– Niestety tego nie mogę panu obiecać.

– Czekam na pana – zakończył Braschi, wzdychając, i odłożył słuchawkę.

– Cztery miejscowe? – zapytał stary właściciel, wykonując w myślach obliczenia.

– Cztery – potwierdził Lio i rzucił monety na ladę.

Na zewnątrz, z gracją kogoś, kto od tysięcy lat codziennie wykonuje ten sam gest, zapadała noc, otulając całą sobą stolicę i pokrywając ją swoimi najpiękniejszymi malunkami. Mosty, kopuły kościołów, kolumny starożytnego Rzymu – każdy przedmiot wykonany z marmuru lśnił niczym kawałek księżyca, który spadł z nieba.

Rozdział 18

Budynek z początku dziewiętnastego wieku z dumą godną tamtych czasów stawiał opór wiatrom chłostającym bez ustanku wzgórze, na którym się wznosił, ponury niczym potworny cień. Popadał w ruinę z dostojną powolnością, niepostrzeżenie, kamień po kamieniu. Już nikt z żyjących nie pamiętał właścicieli willi, na jej temat powstawały więc niestworzone historie. Powtarzano, że ktoś coś mówił. Jedyną zaś pewną rzeczą było to, że willa została opuszczona wiele lat temu. Okoliczni mieszkańcy szeptali, że dochodziły z niej dziwne odgłosy i że nigdy nie znalazł się żaden śmiałek, który podjąłby się jej rozbiórki. Państwowi urzędnicy, wszędobylscy i natarczywi niczym choroba, okazali się jednak bardzo przesądni, dlatego unikali wychylania się poza kręty mur otaczający ogród oraz prowadzącą do niego,

obrośniętą stuletnią rdzą bramę. W willi nigdy nie było instalacji elektrycznej, a od dłuższego czasu brakowało w niej bieżącej wody i działającej kanalizacji. Jej okna zostały zamurowane. W środku wszystko pokryte było kurzem i odłamkami tynku, duże płyty zapleśniałego wapna gromadziły się na podłodze i pod obdrapanymi ścianami, wyglądającymi jak trawione przez trąd.

Było to idealne miejsce dla duchów, dlatego willa została wybrana przez ludzi z Panopticonu na miejsce ważnych spotkań.

– No, włącz!

Mężczyźnie w mundurze SS nie pozwolono, by o własnych siłach przekroczył próg – pchnięto go i pozwolono, by runął na ziemię. Odwrócił się, podnosząc rozwścieczony wzrok – jego twarz była opuchnięta. Nie mogąc użyć rąk, które związane mu za plecami, przesunął język po splekanych wargach. Miał porwaną marynarkę i rozpiętą koszulę,

a dookoła szyi zakrzepła mu gęsta krwista sieć. Podniósł się bez słowa skargi.

– Dalej, tam!

Żołnierz SS poślizgnął się, ponownie upadł na kolana, po czym podniósł się, ciężko dysząc. Spojrzał na lufękarabinu: nakazywała mu, żeby wszedł po schodach. Po wdrapaniu się na piętro człowiek z Panopticonu kazał mu wejść do pokoju bez okien, bardzo słabo oświetlonego przez dwa kandelabry, które właśnie zostały zapalone przez jego współnika.

– Siadaj!

Wycieńczony Niemiec bez sprzeciwu pozwolił się pchnąć na stojące na środku pokoju krzesło, otoczone butwiejącą nicością.

Podczas gdy jeden z nich przykuwał jego kostki do nógkrzesła, drugi, trzymając jedną ręką karabin i baczniego obserwując, zapalił lampę gazową, która stała na podłodze w kącie pomieszczenia.

Przy posadzce zaczęło falować słabe światło. Górna część wciąż pozostawała w mroku.

Esesman rozejrzał się dookoła, odkrywając w pomieszczeniu przedmioty i ślady, które bez trudu rozpoznał. Nie był zaskoczony. Czegóż innego mógł się spodziewać? Przyprowadzili go do sali tortur – zdawała się działać pełną parą.

– Kim jesteście? – zapytał, zamroczony i oślepiiony światłem.

– Czego ode mnie chcecie?

– Chcesz zapalić?

Żołnierz skinął głową.

Człowiek z Panopticonu oparł karabin o ścianę i złapał w locie paczkę lucky strike'ów, którą rzucił mu jego towarzysz. Stuknął w dno pudełka. Odłamał filtr z jednego papierosa i włożył mu do ust. Odpalił go i pomógł mężczyźnie zaciągnąć się kilka razy, podając i zabierając mu papierosa. Zdawało się, że żołnierz pod wpływem

nikotyny trochę się rozluźnił. Z ulgą wypuszczał dym.

– Kim jesteście? – zapytał ponownie, usiłując dostrzec kształt jednej ze stojących przed nim twarzy, ale mężczyzna ten zasłonięty był maską mroku. Nie udało mu się spojrzeć w oczy nawet jego współnikowi owiniętemu skrzętnie szalem. Mężczyzna nazywał go Marconim, a żołnierz miał nadzieję, że nie było to jego prawdziwe nazwisko, lecz pseudonim, zaszyfrowane nazwisko, gdyż w przeciwnym razie oznaczałoby to, że nie mieli zamiaru wypuścić go żywego.

Zaciągnął się jeszcze raz podanym mu przez miłosierną dłoń mężczyzny papierosem. W słabym świetle gazowej lampy zdołał dostrzec, że jego twarz była ściągnięta i bezkształtna, niczym odbicie w krzywym zwierciadle w wesołym miasteczku.

– Jak się nazywasz?

Odkaszlnął dymem z krwią.

– Hans.

- Hans jaki?
- Hans Schopenhauer.
- Masz bardzo ważne nazwisko!

Niemiec zaciągnął się po raz ostatni, po czym odchylił głowę. – Czego ode mnie chcecie?

Mężczyzna rzucił niedopałek na ziemię i zgasił czubkiem buta.

– Chcemy wiedzieć wszystko o projekcie „Riese” oraz pierwotnej maszynie.

Żołnierz zwiesił głowę na bok i pozwolił, by strużka czerwonawej śliny spłynęła mu z ust.

– Jesteście z Panopticonu...

– Nie sądziłeś, że kiedykolwiek będziesz miał z nami przyjemność, he?

– Ależ wręcz przeciwnie. – Splunął z pogardą. – Liczyłem na to.

– Pierwotna maszyna – nalegał mężczyzna.

– Nic nie wiem.

Słowa te były dla Marconiego jednoznacznym sygnałem. Wszedł, by po chwili wrócić z drewnianą skrzynką, która wydawała bardzo charakterystyczne piski.

– No więc?

– Nigdy o niej nie słyszałem.

Mężczyzna zrobił krok do tyłu, na co Marconi przysunął się do przodu. Otworzył jeden z boków drewnianego prostopadłościanu i zdecydowanym ruchem przystawił go do twarzy jeńca. Niemiec odchylił głowę, ale ciężkadłoń Marconiego chwyciła go za kark i przysunęła jego twarz do środka pudełka.

– Lepiej, żebyś się za mocno nie miotał – powiedział – one to uwielbiają.

Z piersi esesmana wyrwał się okrzyk zdławionej paniki, stłumiony przez odór sierści szczurów, które piszczały nerwowo i już zaczynały smakować sól oraz krew spływające z jego twarzy, muskając drobnymi, chropowatymi językami jego poranione wargi.

Marconi odsunął skrzynkę. Niemiec odetchnął z ulgą i poczuł ogarniające go mdłości. Nagle silny skurcz mięśni brzucha zgiał jego ciało w pół, a z ust wytrysnęła fontanna wymiocin.

– Projekt „Riese” – wycedził niewzruszony oprawca.

– Kompleks znajduje się w Peenemünde?

Marconi zasugerował jeńcowi, że szczury uwielbiały ubrudzone wymiocinami twarze.

– Nikt nie wie, gdzie się znajduje – bąknął żołnierz, z trudem łapiąc oddech.

Jego żołądek zmaltretowany był ciągłymi konwulsjami powodowanymi przez obrzydliwą, stęchlą woń wydobywającą się ze skrzynki, a umysł nękanym wizją szczurzych języków penetrujących jego usta doprowadzony został do granic obłądzenia. Błady niczym upiór poczuł, jak czapa lodowatego potu zaczyna opasać mu głowę i spływać po czole: znowu miał odruch wymiotny. Miał wrażenie, że już nigdy nie przestanie

wymiotować, gdy tymczasem wszystko się uspokoiło i w końcu mógł zacząć mówić:

– Nie w Peenemünde. Byłem tam, ale nie widziałem żadnej pierwotnej maszyny. Nigdy ich nie było w Peenemünde. Oni... Zakaszał i wykonał kilka szybkich, nerwowych oddechów.

– Rywalizują między sobą, nieprawdaż? – odpowiedział mężczyzna.

– Właśnie, dokładnie to chciałem powiedzieć. – Z ust popłynęła mu strużka krwi. – Przepraszam, mam wbite w płuca żebro.

– Jak nazywa się człowiek kierujący projektem?

– Lothar Giger.

– Kim jest?

– Obersturmbannführerem SS.

– Starszym dowódcą szturmowym batalionu – przetłumaczył mężczyzna. – Co jeszcze?

– Nigdy go nie poznałem. Nic nie wiem o tej sprawie. Mogę wam opowiedzieć o Peenemünde.

Jego szkliste i drżące oczy błagały o litość.

– Może innym razem, chłopcze. Mnie interesuje Wunderwaffe. Jestem pewien, że zrozumiesz.

Mężczyzna skinął głową, na co Marconi podniósł skrzynkę i stuknął w wieko, sprawiając, że szczury znowu zaczęły się szamotać.

Niemiec zamknął oczy.

– Dobra, dobra!

Marconi odstawił skrzynkę na ziemię.

– Spotykają się w różnych miejscach, nie mają kwatery głównej. Kobiety w tej grupie... to one dowodzą. Twierdzą, że mają jakąś moc. – Zakaszłał. – Mówi się, że do grupy należy również Reichsführer-SS Heinrich Himmler. Giger odpowiada tylko przed nim. Nikt nie wie, co kombinują ani gdzie. Odbyłem kilkutygodniową służbę w tamtej

baziei widziałem dziwne rzeczy, których nie mogłem pojąć.

– Gdzie to jest?

– Nie wiem. Zabierają cię tam samolotem bez okien, zdejmują ci zegarek. Bardzo dbają, abyś nie mógł zorientować się, dokąd lecisz. Wiem tylko, że baza była inna niż wszystkie i niewielka.

– Co rozumiesz przez „inna niż wszystkie”?

– Znajdowały się tam jakieś dziwne konstrukcje, a całą działalność badawczą i projektową prowadzono pod ziemią, w kopalni. Nigdy tam nie schodziłem. Stałem na warcie na zewnątrz, w lasach. Nic poza tym nie wiem, naprawdę. Możecie torturować mnie do woli, to wszystko, co uda wam się ze mnie wyciągnąć.

Marconi chciał ponownie chwycić za skrzynkę, ale mężczyzna go powstrzymał.

– Mówi prawdę – powiedział do niego, na co Marconi wyszedł, zabierając ze sobą szczury. – Powiedziałaś lasy?

– Tak.

– Jaki rodzaj lasów?

– Gęste lasy, takie jak wszystkie, skąd niby mam wiedzieć? Istnieje kilka rodzajów lasów? Nie widziałem.

– Zaprzyjaźniłeś się już z tymi bestiami, co?! Chcesz ponownie zobaczyć?!

Niemiec potrząsnął głową.

– Takie same lasy jak wszędzie w naszych stronach. Jeżeli baza nie znajduje się w Niemczech, nie powinna być zbyt daleko. Na pewno nie na północy.

– Opowiedz mi o kobietach.

– Są piękne. – Podskoczył, ogarnięty atakiem śmiechu i kaszlu. – Wszystkie noszą bardzo długie włosy i chcą się kochać dzień i noc. Znów zarechotał, ale tylko na chwilę, bowiem kamienna pięść mężczyzny wbiła mu się pomiędzy kość jarzmową a szczękę.

Niemiec pochylił głowę do przodu, wypluwając na podłogę kawałki zębów i kałużę krwi.

– Opowiedz mi o kobietach.

– Pan to Spartak, czyż nie?

Mężczyzna zignorował pytanie.

– Tak, pan to Spartak, siedzę przed obliczem szefa Panopticonu. Kto by pomyślał?

– Nie jestem Spartakiem. Spartak nie istnieje. Opowiedz mi o kobietach.

– Jedna z nich zawiaduje wszystkim, ma na imię Maria.

– Maria, a nazwisko?

– Maria Orsich.

– Gdzie się spotykają?

– Wszędzie, nie wiem.

– Wcześniej powiedziałaś, że kiedy odbywałeś służbę w wojskowym centrum badawczym, widziałeś dziwne rzeczy. Mógłbyś łaskawie to rozwinąć?

– Światła, niezwykle obiekty latające, zagadkowe urządzenia, które wyglądały, jakby pochodziły z przyszłości.

– Jak nazywają się pracujący tam naukowcy?

– Nie wiem...

– Ależ wiesz! – odparł mężczyzna. – Szef nazywa się Shappeller.

– Dowiaduję się tego od pana.

– Jeśli jeszcze raz skłamiesz, znowu przywitasz się ze szczurami.

Żołnierz spojrzał na niego ze ściśniętą z bólu twarzą.

– Ja nie kłamię.

– Nie? Nie kłamiesz?

– Nie.

– Ostrzegałem cię. – Skierował palec na pomieszczenie bez drzwi. – Posłuchaj uważnie – powiedział. – Słyszysz? Już nadchodzą.

Niemiec zaczął nasłuchiwać. Kroki. Dwóch mężczyzn wchodzących po schodach.

– To moi przyjaciele.

– Co jeszcze chcecie mi zrobić?!

– Masz dwie opcje: mówić prawdę albo mówić prawdę. Należysz do Towarzystwa Vril. Jesteś jednym ze sługusów Gigera i wiesz coś na temat pierwotnej maszyny. Coś, co ja chcę usłyszeć.

Esesman nie rozumiał:

– Skoro znacie wszystkie odpowiedzi, po co zadajecie mi te pytania?

– Bo masz sam to powiedzieć – odparł mu mężczyzna. Nie zasługujesz na luksus telepatii.

Do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich trzymał w ręce dwuuchwytową piłę i wyginał ją, sprawiając, że zaczęła przypominać pysk rekina. Kiedy ją prostował, wydawała metaliczny dźwięk, a jej ostre zęby błyskały niczym zastęp płomieni. Drugi mężczyzna pociągnął za dwa zwisające z sufitu łańcuchy przechodzące przez regulowane pierścienie. Przykucnął i otworzył kajdanki, którymi kostki jeńca przykute były do nóg krzesła, a następnie podniósł go.

Chwycili go we dwóch i podwiesili pod sufitem głową w dół, przymocowując jedną nogę do jednego łańcucha, a drugą do drugiego w taki sposób, że wisiał w rozkroku, po czym opuścili więźnia na dół, ustawiając jego krocze na właściwej wysokości.

Zęby piły zaczęły wbijać się w materiał spodni, naciskać na skórę pomiędzy odbytem a jądrami.

– Co robicie?! – wykrzyczał Niemiec, miotając się rozpaczliwie. – Co robicie?!

– Chcemy tylko zadać jeszcze kilka pytań – odpowiedział mężczyzna.

– Dobra, dobra, powiem wszystko, co chcecie!

– Mówiłeś to już wcześniej, a tymczasem skłamałeś.

– Już nie skłamię, przysięgam!

– Jeśli oni zaczną cięć – wyjaśnił – szczury staną się dla ciebie miłym wspomnieniem, rozumiesz? Jeśli zaczną cięć, poczujesz najbardziej niewyobrażalny ból we

wszechświecie i będziesz go odczuwał w całej okazałości, dopóki ostrze nie dotrze na wysokość – poprawił się – na niskość twojego pępka, bo zważywszy na to, że wisisz głową w dół, do twojego mózgu cały czas będzie dopływała przepelniona interesującymi myślami krew. Zrozumiałeś?

– Tak! – zakrzyczał młody esesman. – Postawcie mnie. To prawda, jestem członkiem Świetlistej Łoży, Towarzystwa Vril. Znam wszystkich, ale nigdy nie widziałem pierwotnej maszyny, przysięgam. Rozpłakał się. Po raz pierwszy poczuł ciepło spływających po czole łez.

– Błagam!

– Najpierw odpowiadasz, potem schodzisz.

– Pytajcie! – Krzyknął w desperacji. – No dalej, pytajcie!

Przez łyżę dojrzał niewyraźną, odwróconą sylwetkę człowieka, widoczną między nogami

tego, który stał przed nim z piłą w ręce, gotowy do cięcia.

– Nie możecie zrobić czegoś takiego.

– Patrzcie, któż to nam prawi morały! – odparował mężczyzna, a pozostali dwaj zaczęli rechotać, potrząsając energicznie ramionami.

Wystarczyło tak niewiele, aby zanurzyć ostrze w skórzei wywołać przeraźliwy ból. Żołnierz zaczął krzyczeć. Odruch składania nóg nie zdołał pokonać oporu łańcuchów. Krew zaczęła spływać mu do slipów.

– Pytajcie! – wrzasnął z całych sił. – Pytajcie!

– W bazie, w której pracuje Shappeller, wykorzystują żydowskich niewolników?

– Tak.

– Jaką funkcję pełniłeś w Mauthausen?

– Osobista ochrona pewnego naukowca.

– Kogo?

– Viktora Shaugergera.

– Współpracuje z Shappellerem?

– Tak, chyba tak. Często widziałem go w bazie, jak udawał się na spotkanie z Shappellerem.

– Co zanosił na te spotkania?

– Papiery, wyłącznie papiery.

– Jaki rodzaj eksperymentów prowadzi Shaubergew Mauthausen?

– Nie wiem. Myślę, że badania na temat wpływu lotów na ciało ludzkie, ale nie jestem pewien.

Mówił prawdę. Ostrze nie poruszyło się.

– Jak przedostaje się z Mauthausen do Shappellera?

– Prywatnym samolotem, nie powiadamiając nikogo. Nie mówi nikomu, kiedy wyjeżdża i dokąd.

– Co powiesz mi o projekcie „Riese”? Skąd wzięła się taka nazwa?

– *Riese* znaczy „gigant”.

– Widzę, że masz nas za idiotów.

Metal piły groźnie zasyczał. Żołnierz wydobył z siebie długie i desperackie „nie”.

- Dlaczego „gigant”?
- Nie wiem, nie wiem! – Z trudem łapał oddech.
- Jak dostać się do Łoży?
- Nie da się.
- Jak się do niej dostać?!
- Trzeba być żołnierzem SS.
- Albo?
- Albo synem ludzi z gwiazd, posiadaczem niezwykłych zdolności umysłowych.
- Założmy, że je posiadam.
- Gdyby je pan posiadał, już dawno byłby pan z nimi w Berlinie.

Rozdział 19

Braschi w niczym nie przypominał tego leciwego i wyrwanego ze snu człowieczka, za jakiego chciał uchodzić przez telefon. Wpuściwszy go do środka, z roztargnieniem i miną kogoś, kto zostawił garnek na gazie, zniknął w swoim gabinecie i powrócił do wykonywania czynności, którą musiał przerwać. Pochylony nad dużymi fotografiami znalezisk archeologicznych bacznie obserwował szczegóły przez trzymaną w ręce lupę. Biała koszula ze stójką i szerokimi rękawami oraz delikatne światło elektrycznej lampki odbijające się od papieru fotograficznego i rozlewające się połyskującą poświatą na skórze twarzy sprawiały, że gdy przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, przypominał figurę woskową.

– Proszę się czuć jak u siebie w domu – powiedział, nie spoglądając nawet na niego.

Lio przysunął jeden z foteli w poblizę popielniczki i usiadł.

– Co było powodem tego niespodziewanego zniknięcia? – zapytał Braschi.

Lio miał wrażenie, że rozmawiał z jakimś mikroskopijnym insektem na fotografii, albo że odnosił się do jakiegoś szczegółu, którego nie mógł odnaleźć.

– To znaczy, dlaczego zniknął pan po zapłaceniu czynszu i dlaczego teraz pan wrócił?

– Przepraszam, nie wiem, co wtedy we mnie wstąpiło. – Dotknął ręką czoła, podczas gdy drugą wsuwał sobie papierosa do ust. – Ostatnio nic mi nie wychodzi. Nie mogę napisać nic sensownego, a wspomnienia nie chcą pozostać tam, gdzie je zostawiłem.

– Dlaczego pan przyszedł? To pan pamięta?

– Tak – powiedział, zapalając tytoni i mrużąc oczy od dymu – muszę pana o coś poprosić.

– Mnie? – Braschi wciąż rozmawiał z fotografiami. Teraz szukał jakiejś na stosie, ale szybko dał sobie spokój i otworzył gruby album, który trzymał na krześle obok.

– Jeżeli ma pan coś do powiedzenia niżej podpisanemu, dobrze pan trafił.

Lio dwa razy zaciągnął się mocno dymem, po czym zapytał:

– To pan wysłał mi ten dziwny list? To jakiś dowcip?

– Nie wysyłałem żadnego listu – ani panu, ani nikomu innemu. Nie cierpię dowcipów, panie Rol.

Nawet się nie odwrócił, wypowiadając te słowa. Wydawało się, że dziwaczne insynuacje Lio są mu obojętne.

– To wszystko? Przyszedł pan zapytać mnie tylko o to?

– Nie, jeśli przysięgnie pan, że to nie pan jest autorem tych makabrycznych i niewybrednych żartów.

Braschi delikatnie wypuścił powietrze przez nozdrza.

– Przysięgam.

– Wie pan coś o tym, żebym miał siostrę?

Fakt, że przyszedł tu tak nagle i zadawał takie pytania, był co najmniej dziwny, ale niewystarczająco dziwny, by odwrócić uwagę Braschiego od jego papierów.

– Siostrę? Wypowiedział to słowo takim samym roztargnionym i beznamiętnym tonem, jakim powiedziałby „sosnę” czy „potrę”.

– Czy kiedykolwiek poznał pan jakąś moją siostrę, panie Braschi?

– Jest! – wykrzyknął z entuzjazmem Braschi i stuknął palcem w kartkę. – Tak jak myślałem.

– Panie Braschi, bardzo pana proszę – powiedział Lio, podnosząc nieco głos.

– Tak?

Braschi odwrócił się i zerknął na niego, ale jakby go nie widział. Na jego twarzy malował

się głupawy uśmieszek – oczywiście było, że wciąż z satysfakcją myśli o tym, co właśnie znalazł.

– Mogę spytać, cóż takiego ciekawego właśnie pan odkrył?

– Nic – odparł Braschi, zamykając z trzaskiem album.

Głuchy odgłos wydany przez tysiące stroniczym wyłącznik zgasił również jego uśmiech. Z bólem serca zostawił swoje zajęcie i skoncentrował się na Lio.

– Chce pan się dowiedzieć, czy kogoś znam, czy tak?

Lio skinął potakująco głową, wydając z siebie chrapliwe westchnienie.

– Moją siostrę.

Woskowe czoło Braschiego zmarszczyło się.

– Nie wiedziałem, że ma pan siostrę. Dlaczego nigdy mi pan o niej nie mówił?

– Nigdy?

– Nigdy.

– Ani nikomu innemu z lokatorów?

– A to niby skąd miałbym wiedzieć?

– Czyli nigdy nie słyszał pan, żebym miał siostrę?

– Pan jest o wiele dziwniejszy, niż sądziłem.

– Pan też niczego sobie – odparował Lio, wskazując mu znajdujący się za nim blat stołu zawalony fotografiami przysypującymi książki, które z kolei zakrywały niezliczoną liczbę różnych przedmiotów.

– Ja urodziłem się w poprzednim stuleciu, od dawna nie jestem już młodzieniaszkiem, a mimo to moja głowa wciąż nieźle pracuje.

Zaczął się w niego wpatrywać przez kurtynę dymu.

– Zdaje pan sobie sprawę, że przeczytał pan tekst w języku sumeryjskim, a następnie pan uciekł? Według pana to normalne? Żądam wyjaśnień, na Boga!

Lio wypuścił gęsty dym i zanurzył się w nim, przypominając kałamarnicę wypluwającą biały atrament.

– Nie mam pojęcia skąd biorą się u mnie pewne rzeczy – rzeczy, o których wiem, które pamiętam lub które mówię.

– Nie uczył się pan sumeryjskiego?

– Raczej nie, choć, bo ja wiem?

Braschi podskoczył przerażony.

– Raczej nie? – Odwrócił się, wziął ze stołu jedną fotografię, a następnie podał mu, falującą i dźwięcząca niczym arkusz blachy. – Niech pan spróbuje.

– Może innym razem – powiedział Lio.

Wygrzebał z kieszeni karteczkę i podał rozmówcy.

– Niech pan to przeczyta. – Przez ostrożność przepisał tylko część wiadomości, którą Sibylla zapisała atramentem sympatycznym.

Braschi odłożył zdjęcie z wyraźnym rozczarowaniem wziął kartkę. Podczas gdy

bełkotał odczytywane słowa, gładził się po czubku głowy:

– *Statek Ziusudry gotowy do wyruszenia z Baalbeku.*

Zamyślił się na chwilę.

– *Enki pachnie cedrem, ale pracuje w Abzu.*

Znowu się zasepił, cały czas gładząc się po łysej czaszce.

– *Enlil działa w Edinu. ∂ RS PO SV μ MB β DW ΠΣ TM Ω 500 ST LG Ø50 SS FR AC. Jednostka patrzy na wszystko.*

Podniósł zdumione oczy znad świstka papieru i wlepił je w Lio.

– Co to jest?

Ramiona Lio uniosły się.

– Nie wiem. Znalazłem na ziemi.

– U mnie? – zapytał Braschi i rozejrzał się dookoła. Sądząc po jego wyrazie twarzy – czymś pomiędzy wiarąa powątpiewaniem – nie pamiętał, żeby kiedykolwiek miał taką

kartkę, ale wydawało mu się to wielce prawdopodobne.

– Nie – powiedział Lio, wrzucając do popielniczki papierosa, który sam wypalił mu się w rękę. Następnie zapalił nowego.

– Znalazłem to na ulicy i zaciekało mnie. Także ze względu na zbieg okoliczności, że zdarzyło się to zaraz po tym jak dowiedziałem się o pana pasji. Przeczytałem w encyklopedii, że Enlil i Enki to dwa główne babilońskie bóstwa.

– Sumeryjskie – poprawił go Braschi – jeśli mamy być precyzyjni. Kultura babilońska – akadyjska – wiele odziedziczyła po kulturze sumeryjskiej, od panteonu bóstw poczynając, jednak na jego czele umieściła Marduka, syna Enki. Głównym bogiem Sumerów był Enlil, brat Enki. Enlil jest wojownikiem – srogim i karzącym, natomiast Enki jest mędrce. Można powiedzieć, że biblijny Bóg jest kopią i przywołaniem postaci Enlila, natomiast wąż, Lucyfer, to

odzwierciedlenie Enki. W pewnym sensie wszyscy jesteśmy spadkobiercami Sumerów.

Zatrzymał się i zaczął uważnie obserwować go z ukosa.

– Chyba nie chce mi pan wmówić, że musiał otworzyć encyklopedię, żeby dowiedzieć się, kim byli Enlil i Enki? Pan, który czyta pismo klinowe lub – w najgorszym razie – zna treść niektórych tablic?

– Nic nie chcę panu wmawiać. Tak po prostu jest.

– Tak po prostu jest – odpowiedział echem nieprzekonany Braschi, przenosząc ponownie wzrok na kartkę od Lio.

– *Statek Ziusudry gotowy do wyruszenia z Baalbeku* – wymamrotał. – Czego chce pan dowiedzieć się ode mnie?

– Kim jest Ziusudra, na przykład.

– Naprawdę pan nie wie?

Pokiwał głową.

– Wiem, ale nie pamiętam dokładnie. Nie wiem, skąd to wiem, i nie pamiętam, jak to się stało, że zapomniałem. Wystarczy?

Braschi wzruszył ramionami i potwierdził, że takie wytłumaczenie mu wystarczało.

– Ziusudra to bohater historii o potopie, któremu udało się przeżyć katastrofę i ocalić ludzkość.

– Jak Noe...

– Więcej: to Noe we własnej osobie.

– Biblia to echo mitologii sumeryjskiej – ośmielił się stwierdzić Lio.

– Dokładnie. Jak już wspomniałem, wszyscy jesteśmy echem tej pierwotnej kultury, wynalazczyni koła, pisma, astronomii, astrologii, matematyki, architektury i wielu innych rzeczy. – Spojrzał na sufit i wypuścił z siebie powietrze, wykonując długi oddech.

– Kto wie, czego jeszcze!

– A co powie pan o Baalbeku?

Braschi skrzyżował ramiona na piersi i przybrał pozę osoby, która się nad czymś zastanawia.

– Coś słyszałem – powiedział, uśmiechając się szelmowsko na znak, że wiedział wszystko na ten temat. – Baalbek znajduje się w Libanie, to niesamowita budowla. Chyba wiem, o co chodzi.

– To niech pan mówi!

W Baalbeku znajdują się trzy ogromne głazy w kształcie idealnego prostopadłościanu i idealnie ustawione obok siebie. Każdy z nich waży tysiąc ton. Nie są ustawione na ziemi, ale nad nią, na szeregu innych megalitów, na wysokości sześciu metrów nad podłożem. Stanowią one ogromną platformę, na której wznosi się rzymska świątynia poświęcona Zeusowi. Kilkaset metrów od platformy znajduje się jeszcze jeden taki kamień, większy od poprzednich, bo ważący prawie tysiąc pięćset ton. Z tego powodu wykopaliska archeologiczne w Baalbeku

zawsze pobudzały wyobraźnię ludzi, którzy wierzą w zaginioną antyczną cywilizację gigantów, posiadającą bardzo zaawansowaną wiedzę i technologię.

Słowo „giganci” momentalnie przywołało w pamięci Lio list od Sibylli powodując, że się wzdrygnął.

Braschi pochylił się do przodu.

– Powiedziałem coś nie tak?

– Nie, niech pan kontynuuje.

– Baalbek... – wznowił swój wywód Braschi, ale dość szybko przerwał. – Naprawdę nie mogę uwierzyć, że pan nie wie tego wszystkiego. Albo może nie mogę uwierzyć, że pan to wie lub że przyszedł pan tu o tym porozmawiać. To wszystko jest takie surrealistyczne.

– Niech mi pan wierzy, również dla mnie takie jest. – Wskazał na kartkę. – Co więcej może mi pan powiedzieć?

– O Ziusudrze już wszystko panu powiedziałem. Enlil – syn Anu, ojca wszystkich

Anunnaki – to największyz bogów sumeryjskich. Enki to jego brat.

Wstał i zaczął przetrząsać rzeczy znajdujące się na stole.

– Kim są Anunnaki?

– To bogowie, którzy zstąpili na ziemię z niebios. – Nie przerywał szukania. – *Ki* w języku sumeryjskim oznacza „ziemia”.

– Zatem Anunnaki po sumeryjsku oznacza mniej więcej tyle, co *nephilim* po hebrajsku, czyli tych, którzy w dzisiejszej Biblii tłumaczeni są jako giganci. Dobrze pamiętam?

– Zgadza się. *Raz nic nie wiem, a zaraz potem wiem wszystko* – zanucił Braschi. – Z pana jest naprawdę niezły gagatek. – Podał mu otwartą książkę, trzymając palec wskazujący na jednej ze stron. – Niech pan tu spojrzy przeczyta.

Była to tablica numer dwa, przedstawiona w książce archeologicznej, jeszcze jedna fotografia jakiejś tabliczki. Lio spróbował przeczytać i – ku jego zaskoczeniu – udało

mu się to jeszcze lepiej niż za pierwszym razem:

– Wymieszaj garstkę gliny zebranej z serca ziemi, tuż nad Abzu, i nadaj jej kształt orzecha. Ja zadbam o młodych bogów, zdolnych i pojętnych, którzy uformują tę glinę we właściwy sposób.

– Doprawdy, wybitnie! – wykrzyknął Brachi. – Brak mi słów, żeby opisać, jaki niepokój pan we mnie wzbudza.

– Nie ma potrzeby, żeby pan to robił.

– To, co właśnie pan przeczytał, to fragment najważniejszego tekstu obrzędowego Babilończyków, *Enuma elisz*, występującego także pod nazwą *Poemat o stworzeniu świata*, który hebrajczycy przebywający w niewoli babilońskiej z pewnością znali. Ten bardzo stary tekst opowiada historię stworzenia nieba i ziemi przez Marduka, ważne bóstwo w sumeryjskim panteonie, który następnie stał się głównym bogiem Babilonii. Biblia sięga korzeniami licznych

kultur następujących po sobie na Środkowym Wschodzie, począwszy od tej sumeryjskiej. Cała nasza cywilizacja wywodzi się z cywilizacji Sumerów: można powiedzieć, że wszyscy urodziliśmy się w Uruk, pierwszym prawdziwym mieście na świecie. Niech pan tylko pomyśli, że trzy tysiące lat przed Chrystusem Uruk był już dwa razy większy niż Ateny po ekspansji Temistoklesa i połowa Rzymu w czasach Hadriana. Mówimy o jakichś trzydziestu, może czterdziestu tysiącach mieszkańców. Sumerowie wymyślili nasz świat. Nie możemy ich zbyt-
nio lekceważyć, kiedy twierdzą, że cała ich kultura utworzona została przez bogów z krwi kości, którzy zstąpili z niebios.

– Przez kosmicznych podróżników?

– A czemu nie?

– Hm, ponieważ Einstein udowodnił, że nie da się pokonać prędkości światła, natomiast żeby odbyć podróż z jednego układu słonecznego do drugiego, należałoby ją

przekroczyć kilkakrotnie. Zakładając nawet, że byłoby to możliwe, przy podobnych prędkościach każdy mikroskopijny fragment kurzu stałby się pociskiem o niszczącej sile. Żaden pojazd kosmiczny by tego nie wytrzymał.

Braschi pokazał mu zdjęcie Baalbeku, stukając palcem w trzy ogromne głazy.

– Zatem – powiedział – kto je tu umieścił i dlaczego?

– Chciałbym móc to zrozumieć.

– Ja zawsze myślałem, że ta gigantyczna platforma wyrzutnia rakiet dla lotów międzyplanetarnych. Zapewne słyszał pan o hitlerowskich rakietach V-1. Niech więc pan sobie wyobrazi podobne, ale znacznie większe pociski.

– Interesujące – przyznał Lio – ale Sumerowie budowali z cegieł, a nie z takich wielkich kamieni.

– No właśnie! Baalbek musiał powstać wcześniej. To dlatego takie miejsca jak to,

wraz z kilkoma innymi w Ameryce Południowej jak Puma Punku w Tiahuanaco, powodują, że liczni uczeni i pasjonaci sądzą, że wiele lat przed Sumerami istniała jakaś wielka cywilizacja i że ta, która przyszła później, była tylko jej bladym odbiciem. Może i nasi przodkowie, ci którzy zapoczątkowali gatunek *homo sapiens*, Adam i Ewa, nie przybyli z przestrzeni kosmicznej, ale jeszcze bardziej śmiało wydaje mi się przypuszczenie, że na ziemi istniał ród gigantów, czy to w znaczeniu dosłownym, czy przenośnym, poprzedzający dzisiejszego człowieka.

– Zatem nie wyklucza pan, że Sumerowie mogli spotkać istoty przybyłe z otchłani kosmosu?

– Według mojej hipotezy człowiek pierwotny widział coś, czego nie potrafił sobie wyjaśnić. Być może naprawdę istniała jakaś cywilizacja, która rozwinęła wiedzę, wyjątkową nawet z dzisiejszego punktu

widzenia zważywszy na fakt, że my nigdy nie bylibyśmy w stanie powtórzyć tego, co zostało wykonane w Baalbeku. To, co pierwotni ludzie widzieli, przekazywali dalej przez tysiące lat. Opowieści, które weszły do piśmiennictwa, gdy tylko zostało wymyślone, ale które odnoszą się do dalszej przeszłości. Uważam, że mówimy o cywilizacji, która wygasła cztery tysiące lub pięć tysięcy lat przed nadejściem Sumerów, czyli jakieś sześć tysięcy lat temu.

– Niewyobrażalne...

Braschi wstał. – Mam przykład, na pewno się panu spodoba. – Teraz przypominał dziecko zagubione wśród swoich ulubionych zabawek, którego jedynym pragnieniem jest to, by nie musieć iść spać, lecz móc rozmawiać na nurtujące je tematy przez całą noc.

– W Melanezji i Nowej Gwinei od lat ma miejsce ciekawe zjawisko: powstawanie kultów cargo. Tubylcy zauważyli, że biali

dysponują wspaniałymi narzędziami, żywnością i ubraniami, ale nie produkują ich własnoręcznie. Kiedy konieczna jest ich naprawa, wysyłają je dokądś, a następnie otrzymują nowe w formie „ładunku”. Oczywiście więc jest, że pochodzenie tych rzeczy, niezwykle do siebie podobnych i dostępnych w nieograniczonej ilości, musi być nadprzyrodzone. Czynności, którym oddają się biali, muszą być rytualnymi ceremoniami, za pomocą których przekonują oni bogów, żeby zesłali im nowy ładunek. Na przykład skrzynie, w których rozmawiają, zapewne służą do komunikowania się z bogami. W ten sposób tubylcy zaczęli budować lądowiska i prymitywne drewniane modele samolotów, drewniane wieże kontroli lotów wyposażone w drewniane urządzenia nadawczo-odbiorcze, personel skonstruowany z gałęzi z wykonanymi z liści słuchawkami, usiłując w ten sposób sprawić, aby zesłano im cudowny ładunek. Poznałem pewnego ojca, który był

z misją w tamtych stronach. Jego teoria głosi, że imię ich mesjasza zaczerpnięte zostało z tego, co mieszkańcy wyspy słyszeli, kiedy jakiś biały się przedstawiał: „John from New York”, „John from Boston”... Tak niby powstała postać Johna Fruma, a obecnie cały lud oczekuje drugiego nadejścia tego mesjasza.

– Zatem przyjmując podobną wersję wydarzeń, pierwszymi bogami mogły być inne istoty ludzkie, nieskończenie bardziej rozwinięte od naszych prarodziców.

– Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że tak było, ale za każdym razem, kiedy patrzę na Baalbek, tak sędzę.

– Więc na tej znalezionej przeze mnie kartce napisane jest, że statek Ziusudry-Noego jest gotowy, by wyruszyć z Baalbeku, który według pana jest wyrzutnią rakiet dla lotów kosmicznych. Ciekawe.

– Tam jest również napisane, że Enki pachnie cedrem i pracuje w Abzu – odparł zamyślony Braschi.

– Liban, w którym znajduje się Baalbek, to kraina drzew cedrowych. Abzu natomiast to podziemne królestwo, królestwo boga Enki. Od sumeryjskiego słowa *AB.ZU* pochodzi łacińskie *abyssus* oznaczające „głębiny”. Widzi pan, jak niezniszczalna jest tradycja i jak długo mogą przetrwać przekazywane z pokolenia na pokolenie słowa? Niema się co dziwić, że Biblia opowiada o losach Sumerów. Te sumeryjskie dzieje z kolei opowiadają inne dzieje, i tak dalej. Co pan o tym sądzi?

– W miarę, jak pana słucham, wraca mi pamięć – odpowiedział Lio.

Braschi zaśmiał się głośno, ignorując fakt, że o tej porze nawet najmniejszy szmer wydawał się wielkim hałasem.

– Z pana jest naprawdę niezłe ziółko. Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej.

Chodzi mi o to, że zawsze uważałem pana za ofiarę losu, której nie wiedziałem, jak się pozbyć, a tymczasem...

– A tymczasem potrafię czytać pismo klinowe – podchwycił Lio, odpalając kolejnego papierosa.

– I nie umie pan tego wyjaśnić!

– Tam jest napisane, że Enlil jest w Edinu.

– Tak jest napisane – potwierdził Braschi, sprawdzwszy na karteczce Lio. – Jeżeli Abzu, w którym działa Enki, jest podziemnym światem, głębiną (nikt nie wie czym – niektórzy sądzą, że chodzi o kopalnię złota, inni zaś, że o półkulę południową), Edinu to Mezopotamia, Sumer lub jakieś inne miejsce pogrzebane na terytorium obecnego Iraku.

– Mówią coś panu kolejne wersy?

– $\partial RS PO SV \mu MB...$ Jednostka patrzy na wszystko.– Potrząsnął głową. – Nic a nic. Wygląda to na zaszyfrowany tekst lub coś w tym rodzaju. Lio wyrwał mu kartkę z rąk

i podpalił zapalniczką, pozwalając jej dogasnąć wśród niedopałków w popielniczce.

– Niech pan posłucha! – wybuchnął coraz bardziej podekscytowany Braschi, przygotowując się do czytania.

– I spojrzałem, a oto gwałtowny wiatr powiał z północy i pojawił się wielki obłok, płomienny ogień i blask dokoła niego, a z jego środka spośród ognia lśniło coś jakby błysk polerowanego kruszcu. A pośród niego było coś w kształcie czterech żywych istot. A z wyglądu były podobne do człowieka, lecz każda z nich miała cztery twarze i każda cztery skrzydła. Ich nogi były proste, a stopa ich nóg była jak kopyto cielęcia i lśniły jak polerowany brąz. Pod ich skrzydłami z czterech stron były ludzkie ręce; a te cztery żywe istoty miały twarze i skrzydła. Ich skrzydła nawzajem się dotykały; ich twarze nie obracały się, gdy się posuwały, każda posuwała się wprost przed siebie. Ich oblicza wyglądały

u wszystkich czterech z przodu jak twarz ludzka, z prawej strony jak twarz lwa, z lewej strony jak twarz wołu, a z tyłu jak twarz orła. Takie były ich oblicza. A ich skrzydła były rozpostarte ku górze; u każdej dwa nawzajem się dotykały, a dwa przykrywały ich ciała. Każda posuwała się wprost przed siebie; szły tam, gdzie Duch chciał, aby szły, a posuwając się nie obracały się. [...]

A gdy spojrzałem na żywe istoty, oto na ziemi obok każdej ze wszystkich czterech żywych istot było koło. A wygląd kół i ich wykonanie były jak chryzolit i wszystkie cztery miały jednakowy kształt; tak wyglądały i tak były wykonane, jakby jedno koło było w drugim. Gdy jechały, posuwały się w czterech kierunkach, a jadąc nie obracały się. I widziałem, że wszystkie cztery miały obręcze, wysokie i straszliwe, i były dookoła pełne oczu. A gdy żywe istoty posuwały się naprzód, wtedy i koła

posuwały się obok nich, a gdy żywe istoty wznosiły się ponad ziemię, wznosiły się i koła. Szły tam, gdzie Duch chciał, aby szły, a koła wznosiły się wraz z nimi, gdyż w kołach był duch żywych istot. Gdy te szły, szły i one, a gdy te stanęły, i one stanęły; a gdy te wznosiły się ponad ziemię, wtedy i koła wznosiły się wraz z nimi, gdyż duch żywych istot był w kołach.¹

– Kto, pańskim zdaniem, wypowiedział te słowa? – zapytał Braschi.

– Nie wiem – przyznał Lio. – Przypomina to wizję jakiegoś niecodziennego obiektu latającego.

– To słowa zaczerpnięte z *Księgi Ezechiela*. W Starym Testamencie jest wiele takich opowiadań, dziwnych technologicznych wizji. Ezechiel był kapłanem przebywającym wśród Hebrajczyków od czasów pierwszej niewoli, kiedy zostali wygnani do Babilonii pięćset dziewięćdziesiąt siedem lat przez Chrystusem. Być może skopiował coś

antycznego, a może obcy wciąż się tam jeszcze kręcili, kto to może wiedzieć?

Lio słuchał i potakiwał głową. Każde słowo pana Braschiego wydobywało na światło dzienne niewyraźne wspomnienie. Zdawał sobie sprawę, że wiedział to wszystkow każdym szczególe, ale nie miał pewności, czy to nie dłoń jego rozmówcy strzepnęła grubą warstwę kurzu, którą pokryła się jego pamięć.

– Tak czy siak – kontynuował niewzruszony Braschi – według Greków Baalbek to hangar rydwanu Słońca. Sumeryjski bóg Etana dostał się do nieba na grzbiecie orła, a Sumerowie zawsze opowiadali o jakichś mędrkach zwanych przez Babilończyków *ap-kallu*, którzy przed potopem przybywali z głębin morza, by nauczać ludzi kultury, po czym wieczorem powracali tam, skąd przybyli. Te morskie stworzenia żyły przez tysiące lat, tak jak królowie, którym

towarzyszyli, ponieważ ich planeta była prawdopodobnie o wiele starsza niż nasze.

Skrzyżował ramiona na piersi i rzucił mu chytre spojrzenie.

– Cóż jeszcze potrzeba, aby zrozumieć, że antyczni bogowie byli wędrowcami pochodzącymi z innej planety?

Lio wydał z siebie westchnienie. Po dłuższej ciszy wstał i podziękował za czas, jaki gospodarz mu poświęcił.

– Pana pozbawiona przesądów wiedza była mi bardzo pomocna – powiedział, kierując się do korytarza.

– Jeśli o mnie chodzi, może pan zawsze wrócić, panie Rol, nie ma pan pojęcia, jaką przyjemność sprawia mi rozmawianie na te tematy.

– Będę miał to na uwadze. Teraz zrobiło się późno – jak każdy szanujący się *apkallu* – muszę zanurzyć się w morskie głębiny.

Rozdział 20

Piątek, 22 stycznia 1943 r.

Jak co dzień Albę obudziły dźwięki arii *Nessun dorma* wyśpiewywanej dla niej przez Arturo, jednak jeszcze przez godzinę nie wstawała z łóżka. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła wielkiego błędu, zgadzając się na dostarczenie niezwyklego listu temu dziwnemu osobnikowi.

Wyciągnęła rękę i dotknęła leżącej na nocnej szafce książki, którą skończyła czytać poprzedniego wieczoru.

Czy to możliwe, żeby ten smutny i samotny człowiek był autorem *Więźnia Atlantydy*? Nagle w blasku światła rzucanego przez słońce na jej zamknięte powieki znowu ujrzała jego twarz. Lio Rol miał duże i magnetyczne oczy, a uszkodzona tęczęwka w lewym oku czyniła jego spojrzenie jeszcze bardziej rozmarzonym i przeszywającym.

Jego subtelny nos oprawiony był delikatnymi kośćmi jarzmowymi niczym drogocenny kamień złotem. Zaśmiała się, a następnie obejmując poduszkę i układając ją na sobie, przewróciła się w pościeli, żeby pozbyć się dreszczu, który nagle przebiegł przez jej ciało.

Możliwe, żeby tak fascynujący i pełen tajemniczego uroku człowiek zaniedbał się do tego stopnia, żeby mieszkać w domu przekształconym w gigantyczne wysypisko śmieci?

Kiedy się podniosła, liczne świetliste ostrza przeszywały już na wylot okienne szyby i przedzierały się do każdego kąta w domu.

Gosposia, gdy tylko usłyszała, że panienka nadchodzi, przestała przecierać przedmioty i meble, jednak Alba praktycznie jej nie zauważyła. Zamiast zdumionej twarzy Gertrudy jawiła jej się przed oczami jeszcze osłupiała twarz Lio Rola.

– Dzień dobry – przywitała ją guwernantka.

Nie usłyszała jej.

Nie pozdrowiła nawet fotografii hollywoodzkich gwiazd i filmowych afiszy, które przepełniały ściany, co zwykła robić codziennie rano. Byli tam Lauren Bacall z Humphreym Bogartem (pomimo że była Żydówką), Veronica Lake, Rita Hayworth, Fred Astaire i Ginger Rogers, James Cagney, Tyrone Power, Gene Kelly oraz nieskończona liczba innych sławnych twarzy, które Gertruda muskała codziennie miotłką z piór, a ona oglądała z podziwem za każdym razem, gdy przechodziła obok. Dzisiaj jednak z niepokojem myślała o tym, co zrobiła poprzedniego dnia, powtarzając sobie w myślach tych kilka biblijnych wersów, które zdołała zapamiętać. A przede wszystkim zadawała sobie pytanie, jak można zapomnieć o istnieniu własnej siostry.

– Panienko, czy podać śniadanie już teraz?

Pytanie zawisło w powietrzu, pozostając bez odpowiedzi. Przypominała sobie kolejne

szczegóły, dosłownie jakby w ostatniej chwili zdołała ocalić je przed pochłonięciem przez otchłań zapomnienia – na przykład to, że Lio Rol był pewien, że ktoś go śledził.

Może wplątała się w jedną z tych spraw, których stanowczo należało unikać?

– Panienko!

Gertruda swoim zachowaniem nie przypominała guwernantki, raczej matkę. Oprócz charakterystycznej dla niej bezpośredniości, miała do tego również odpowiedni wiek i wygląd. Teraz, podniósłszy głos, stała z opartymi na biodrach rękoma i stukwała czubkiem buta, czekając, aż Alba zejdzie na ziemię i zauważy ją oraz jej karcące spojrzenie. A gdy tylko ta na nią spojrzała, uśmiechnęła się.

– Czymś się panienka martwi?

Alba odwzajemniła uśmiech.

– Nie, wszystko w porządku. Gdzie jest Hannibal?

– Na podwórku z Arturo. Podać panience śniadanie?

– Dziękuję, zjem coś później. Chcę się umyć i ubrać.

– Zaraz przygotuję panience czyste ubrania.

Gertruda zatrzymała się i zaczęła ją obserwować. „Ależ ona piękna” – pomyślała. Piękna, ale nie krucha, wysokai szczupła, ale nie słabowita. Była butna i stanowcza tak samo jak jej ojciec. Po matce, która zapadła na ciężką chorobę, odziedziczyła natomiast tajemniczy wdzięk i nieobecne spojrzenie. Gertruda czuła się z nią tak bardzo związana, że pracowałyby dla niej nawet za darmo, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Jeśli chce panienka popełnić ten błąd i zacząć dzień pustym żołądkiem...

– Dobrze, zatem kubek ciepłego mleka z kromką chleba będzie idealny.

– Mleko jest dla niemowląt. Po odstawieniu od piersi nie powinno się go pić. Szkodzi.

– Szkodzi chyba tym, którzy go nie mają, Gertrudo.

– Pewnie, w razie głodu można... ale lepiej go unikać. My, dorośli, nie potrafimy już go trawić i na dłuższą metę nam szkodzi. Zna panienka to indiańskie przysłowie?

– Jakie?

– Jeśli się źle odżywasz, medycyna nie może ci pomóc.

Jeśli się dobrze odżywasz, medycyna zazwyczaj nie jest ci potrzebna.

– Jesteś bardzo mądrą kobietą, Gertrudo.

– Ach, gdybym była, nie powiedziałabym panience, że wczoraj dzwonił do niej jakiś Lio Rol.

Płonący rumieniec oblał całą szyję Alby. Przeniosła wzrok na środek komody, na której pod szklanym kloszem poruszał się na boki zegar podtrzymywany przez dwa złoczone aniołki. Do pierwszego spotkania tego dnia zostały jeszcze dwie godziny, a późnym

popołudniem była umówiona w sprawach służbowych.

Jeśli chciałyby spotkać się z Lio Rolem, musiałyby poczekać do wieczora.

– Co się dzieje? – zapytała Gertruda, której nie umknął związek pomiędzy osobą Lio Rola a pojawieniem się mocnego rumieńca.

– Wszystko dobrze, panienko?

– Myślałam o czymś – odparła. – Ale to teraz nie ma znaczenia. Wszystko w porządku.

– Zna panienka tego człowieka, który dzwonił?

– Trochę.

Gertruda uśmiechnęła się do niej, po czym oznajmiła:

– Panienko, pani mama chciałyby, żebym przypomniiała jej, że lepiej nie spoufalać się z nieznanymi, zwłaszcza jeśli są to mężczyźni.

– Dziękuję ci, Gertrudo, będę o tym pamiętać.

– A zwłaszcza jeśli są bogaci – dodała Gertruda.

– Masz rację. – Alba uśmiechnęła się do niej i pogładziła dłonią po policzku.

– To dobry zwyczaj zawsze i wszędzie unikać dziwaków– mówiąc to, Gertruda dotknęła skroni czubkiem palca wskazującego. – Wiem, to nie jest proste. Świat jest ich pełen!

Rozdział 21

Na ścianie, nad wielkim biurkiem przywalonym stosami książek, porozrzucanych akt i na wpuł otwartych teczek, z których wystawały pozołkłe od papierosowego dymu papiery, wisiały dwa oprawione w ramy dyplomy ukończenia studiów wyższych. Na szklanej oprawie jednego z nich od środka zaczęła przebijać plama pleśni, a jego treść potwierdzała, że dr Oliviero Morfeo był lekarzem. Drugi z dyplomów, wyglądający na starszy, informował o uzyskaniu przez niego tytułu magistra psychologii.

– Jak pan się o mnie dowiedział?

– Znalazłem numer pańskiego gabinetu w książce telefonicznej. Wybrałem go przez przypadek.

Doktor był drobnym mężczyzną, ledwo wystającym zza powiewającej mu w dłoniach kartki. Wskazał gościowi fotel.

– Proszę, niech pan siada.

Lio usiadł na oklapniętej poduszce z popękanej skóry.

Lekarz opuścił dokument, który czytał z podejrzliwością, i przyjrzał mu się sponad okularów.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Tak... Przywrócić przeszłość i przyszłość na właściwe miejsce.

– Ależ ja nie jestem filozofem. – Doktor wskazał kciukiem za siebie na wiszące na ścianie dyplomy. – Nie zajmuję się tak fascynującymi rzeczami, bardzo mi przykro.

– Mam kłopoty z pamięcią – wyjaśnił Lio – i zdarzami się mieć wizje.

– Ach, jeśli tak, to... co pan widzi?

– Przyszłość ludzi.

Doktor Morfeo pokiwał głową, niezbyt zaskoczony tą informacją.

– Więc, jeśli dobrze rozumiem, widzi pan przyszłość, ale ma pan problemy z pamięcią.

– Dokładnie.

– Od jak dawna ma to miejsce?

– Nie pamiętam.

– Rozumiem. – Głośny wydech wydobył się z sykiem z nozdrzy lekarza. – A reszta?

– Nie ma żadnej reszty.

Doktor spojrzał mu prosto w oczy i uśmiechnął się.

– W pańskim życiu nie ma terazniejszości?

– Chodzi panu o jakieś teraz?

– Mam na myśli namacalną rzeczywistość.

– Jest, ale znika, zakleszczona pomiędzy przeszłością a przyszłością.

– Jeśli chodzi o pańską pamięć, przeżył pan jakąś traumę? Pamięta pan coś na ten temat?

– Szliśmy na Rosję, kiedy nieopodal mnie eksplodowała mina. – Dotknął prawego oka.

– Nie widzę na niez powodu odłamka. – Złapał się za prawe ramię. – A stąd wyjęli mi fragmenty bomby. Jednak jak się wydaje, nie było to nic poważnego.

– A wizje, a przyszłość... jak to się dzieje?

– Nie wiem, czasami przychodzi niespodziewaniei nie mam nad tym kontroli, a czasem sam tego chcę. Jakaś część mnie nie jest całkowicie mną. To zupełnie jak wtedy, gdy prowadzi się samochód i w tym samym czasie wykonuje się szereg innych, dodatkowych czynności. Prowadzi pan?

– Tak.

– Kojarzy pan taką sytuację, kiedy widzi pan pieszego przechodzącego przez ulicę i kiedy nagle coś panu mówi, w którym momencie powinien się pan zatrzymać? Nie wydaje się panu, że w takich chwilach to nie pan to wie, ale ktoś inny?

– Tak – przyznał doktor po dłuższym zastanowieniu.

– Wykorzystujemy tylko niewielką część naszych możliwości umysłowych, a kiedy pozwalamy dojść do głosu podświadomości, możemy działać cuda, tego jestem pewien.

– Ależ panie...

Spojrzał na niego z niewyraźną miną.

- Rol – podpowiedział mu Lio.
- Rol – podchwycił lekarz, jak gdyby nigdy nic. – Stąd do przewidywania przyszłości jest jeszcze daleka droga, rozumie pan?
- Rozumiem, ale wiem, co mówię.
- Przytrafia się panu jeszcze coś dziwnego?
- Tak.
- Opowie mi pan o tym?
- Kiedy jestem wystarczająco blisko innej osoby, moje myśli zestrabajują się z jej myślami. Czasami, zależnie od panującej między nami harmonii – ja nazywam to harmonią – przypomina to słuchanie radia.
- I podoba się to panu?
- Prawie zawsze nie.
- Dlaczego?
- Proszę mi wierzyć, doktorze, nie chciałby pan wiedzieć, co tak naprawdę myślą o panu inni ludzie w tym samym czasie, w którym, na przykład, okazują panu uczucia. W większości przypadków dzieje się

tak właśnie dlatego, że nie wiemy, jakie są osoby, które nam się podobają. Zaradziłem temu, niszcząc wszelkie swoje relacje społeczne, ale oczywiście, jeśli ma pan coś innego do zaproponowania...

– Mieszka pan sam?

– Wolałbym nie.

– Bardzo dobrze. – Lekarz zsunął z nosa okulary i powoli odłożył je na biurko. – Więc widzi pan przyszłość. – Wyjął spokojnie cygaro, odciął końcówkę, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął się bujać, wpatrując się w niego z dobrotliwym wyrazem twarzy.

– Zapalę je? – spytał po chwili, wskazując na cygaro leżące obok srebrnej zapalniczki.

– To jakiś eksperyment?

– Przyzna pan, że nie każdego psychiatrę spotykataka okazja.

Lio zgodził się z nim.

– Zapali pan – powiedział – ale nie teraz i nie tutaj.

Lekarz spojrział na cygaro. Według Lio nie zapali go od razu. Przeniósł wzrok z cygara na jasnowidza, następnie z jasnowidza na cygaro, przesuwając opuszek palcapo kamieniu zapalniczki.

– Widział to pan, czy może słyszał głos, który to panu podpowiedział?

– Nie, żadnego głosu. Nie wiem, jak to w prosty sposób wyjaśnić... to tak jak wtedy, gdy wiemy, że nadchodzi moment, żeby coś zrobić. To tak jakby zobaczyć w głębi ulicy przyjaciela i już wyobrażać sobie, że sięgo ściska. Widzi to pan? Jeśli tak, to ja też. Ujrzałem pana zapalającego to cygaro, stojącego na ulicy.

– Chce pan powiedzieć, że będę stał na ulicy. – Zapytał z lekkim uśmiechem.

– Tak, ale w moim umyśle stał pan na ulicy chwilę temu. Doktor rozciągnął poźółkłe od nikotyny i chropowate wargi w coś na kształt uśmiechu, przypominając wyciągniętą ze starego kufra fotografię.

– A tymczasem zapalę je teraz – powiedział.

Wydawało się, że cała ta sprawa go bawi. Ale przy pierwszej próbie zapalniczka nie odpaliła.

– Chciał pan opinii lekarskiej i właśnie ją pan otrzymuje. Zapalniczka nie zapaliła także przy drugiej próbie.

– Posiadanie bujnej wyobraźni nie jest uznawane za dolegliwość.

Przy trzeciej też nic. Otworzył szufladę biurka, wyjął inną zapalniczkę, spróbował odpalić, ale w tej też musiała się skończyć benzyna. Podskoczył w swoim fotelu.

– Nie ma pan halucynacji, spokojnie.

– Skąd pan to może wiedzieć? – zapytał niepewnie Lio.

– Każdy z nas, jeśli próbuje coś odgadnąć, prędzej czy później w końcu trafi, zgodnie z teorią prawdopodobieństwa. – Odłożył cygaro i zapalniczkę na biurko.

– Nieprawda – odparł Lio.

– Jeśli ma pan ochotę, możemy chwilę porozmawiać. – Wskazał na stojącą za jego plecami kozetkę. – Proszę, niech pan spocznie.

– Jest pan w stanie stwierdzić, czy ktoś ma luki w pamięci i pomóc mu je wypełnić?

Lekarz na piersi i wyprostował się, sprawiając, że jego podbródek zapadł się gdzieś w szyi.

– Spróbujemy.

Rozdział 22

Kanarki trzepotały skrzydłami w potężnej ptaszarni ustawionej pośrodku ogromnej łazienki. Specjalnie zostały pozbawione wzroku, żeby nigdy nie przestały świergolić. Tortura ta przynosiła niezwykle zadowalające efekty.

Wymalowane na sklepieniu błękitne niebo, uwieczniona na ścianie góra i bujna roślinność oraz leżąca na podłodze mozaika, przedstawiająca wypływającą ze wzniesienia i przebiegającą pod stopami rzekę, sprawiały wrażenie, że jest się w raju, tuż po tym jak Adam i Ewa przyszli na świat.

W malunkach tych uchwycona została czystość, młodość, esencja świeżości świata bez historii, świata nieskażonego czasem i wciąż obejmowanego przez modelującego dłonie Boga.

Ale orzeźwiająca przyjemność, jaką odczuwało się zaraz po wejściu do niebiańskiego pomieszczenia, okazywała się iluzją, która chwilę później przeradzała się w lodowate przerażenie. Przyglądając się uważniej, dało się dostrzec, że rośliny nie miały w sobie nic przyjaznego. Były to obrzydliwe słoneczniki – kolczaste i wyglądające na drapieżne. Długie bulwy pokryte zwierzęcą sierścią, kwiaty uzbrojone w groźnie wyglądające zęby, czarne liście w kształcie gwiazd, motyli, piór, korzenie przypominające morskie jeżowce, zwisające strąki i grona, które nie zachęcały, by po nie sięgnąć – sine i nabrzmiałe wyglądały na trujące.

Tuż obok ptaszarni – zgodnie ze swoim rytuałem wypełnianym w nielicznych chwilach spokoju – pułkownik Marcello Roux wypoczywał zanurzony w ciepłym brzuchu wanny wypełnionej wodą i liśćmi ślazu. Skupiając się na przyjemności, jaką

dawała mu kąpiel, pozwalał upływać czasowi, wydając przy tym zrelaksowane pomrukiwania. Bawił się zielonkawą taflą wody, zbierając płyn w złożoną w muszlę dłoń i polewając nim sobie twarz, unosząc się przy tym spokojnie w wannie i rozmyślając z lubością o ludziach, tak wielu ludziach, których na sam dźwięk jego imienia ogarniał błądy strach.

Już prawie zmorzył go sen, gdy nagle ktoś zapukało do drzwi.

– Proszę pana.

– Tak?

Drzwi się otworzyły.

– Czego chcesz?

Służący odchrząknął i spuścił wzrok.

– Dzwonił do pana doktor Giger, mówił, żeby pan jak najszybciej oddzwonił.

– Nic więcej nie powiedział?

– Kazał przekazać, że znaleziono radio Panopticonu.

Woda wylała się z jednej strony wanny i skapnęła na podłogę.

– Kiedy?

Służący skulił ramiona.

– Nie powiedział.

Roux ponownie ułożył się na emaliowanym dnie wanny i zamknął oczy.

– Możesz odejść.

– Tak jest, proszę pana.

Pozwolił jeszcze przez chwilę otulać się miłemu ciepłu, po czym wynurzył się gwałtownie, wzburzając wodę niczym morską kipiela, która uspokajała się, w miarę jak narastało w nim uczucie zimna.

Jego potężne i smukłe ciało przypominało grecki posąg z wyrzeźbionymi w każdym detalu mięśniami. Szerokie ramiona, z których spływał wodospad czarnych, wygładzonych przez wodę włosów, kamienne pośladki, mocne nogi – z pewnością była to sylwetka, której należało się spodziewać po członku

OVRA – włoskiej tajnej policji faszystowskiej.

Wytarł się nieśpiesznie i założył czyste ubrania, które czekały na niego złożone z namaszczeniem na łazienkowym taborecie. Pachniały popiołem.

Usłyszał kroki służącego, który wrócił i zatrzymał się przed drzwiami.

– Proszę pana?

– Tak?

– Na dole jest jakiś człowiek. Chce z panem rozmawiać.

– Niech zaczeka, już idę.

Kroki oddaliły się i zniknęły ponownie w głębi schodów.

Włożył buty, wsunął zęby grzebienia pomiędzy włosy przysunął się do lustra, żeby sprawdzić, czy wciąż przypomina siebie samego. Pogładził się po sprawiającej wrażenie wykutej z kamienia szczęce, pokrytej krótkim, sztywnym i przedwcześnie siwiejącym zarostem. Spojrzał głębokow

duże niebieskie źrenice osadzone w zbyt wąskich oczodołach. Przejechał czubkiem palca po długiej, przebiegającej przez prawy policzek bliźnie i pozdrowił się z zadowoleniem i szelmowskim uśmiechem.

– Jesteś piękny – powiedział sam do siebie.

Przeszedł do gabinetu i zamyślił się, patrząc na słuchawkę telefonu zawieszoną na białym bakelitowym korpusie niczym ciężarek w sali gimnastycznej. Każdego dnia ważyła coraz więcej. Chwycił ją i wybrał numer.

Niemal natychmiast ktoś odpowiedział:

– Halo.

– Lothar?

– Tak?

– Mówi Roux.

– Ach, no wreszcie!

– Słyszałem, że mnie szukałeś.

– No tak, wiecznie za tobą tęsknię.

Roux odsunął słuchawkę od ust i wypuścił powietrze.

– Ja również, mój drogi Lotharze. Obiecuję cię odwiedzić, jak tylko będę mógł.

– Byłoby miło. Moglibyśmy spędzić razem kilka dniw jakimś zacisznym miejscu. Co ty na to?

– Może w górach?

Mamy ich pod dostatkiem.

– Powiedz mi zatem, kto jest radiem.

– Przepraszam, ale umieram z ciekawości. Najpierw chcę się dowiedzieć, jak się mają sprawy na Sardynii.

– Wróciłem do domu kilka godzin temu.

– No i? Nie trzymaj mnie w niepewności, proszę cię.

– Bawi mnie to, przecież wiesz.

Skrzekliwy śmiech Lothara Gigera przemierzył tysiąc dwieście kilometrów linii telefonicznej i dotarł do ucha Roux, nie straciwszy po drodze ani grama swojej kąśliwości.

– Wciąż jesteś najbardziej fascynującym twórcą, jakiego znam.

– Mógłbym powiedzieć to samo o tobie, Lotharze.

– No więc, strzelaj.

Potrzymał go chwilę w niepewności, po czym odparł:

– Znaleźliśmy inny.

Długa cisza, z jaką Giger przyjął tę wiadomość, była równoznaczna z ogromnym wybuchem radości. Roux wiedział o tym, ponieważ doskonale znał sposób bycia podobnych mu ludzi: euforia zamiast bólu, lodowata powściągliwość zamiast radości i lekceważąca postawa wobec wszystkiego.

Wszystkiego oprócz tego, co dotyczyło ich samych.

– Inny? – poderwał się podekscytowany.

– Zgadza się.

– Jak wysoki?

– Trzy i pół metra.

– Jak myślisz, kiedy...?

– Niebawem. Jak tylko zostanie przetransportowany materiał i przygotowana paczka dla was.

– Naprawdę, nie mógłbym sobie wyobrazić piękniejszej odpowiedzi.

– Mógłbyś.

– Mówisz?

– Znalazłem pisarza, brata twojej przyjaciółki. To nie było trudne. Przyjmuje wielu gości.

– Fantastycznie! Kiedy można by...?

– Wkrótce, bądź spokojny. A teraz opowiedz mi o radiu Panopticonu.

– Marcello, uwierz mi... Wiem, że nie lubisz, jak ktoś się wtrąca. To nie jest tak, że ci nie ufamy, zostałem zmuszony, żeby...

– Nie musisz mi się tłumaczyć, Lotharze. Rozumiem, że wywierają na ciebie dużą presję. Teraz ważne jest, żeby wyłączyć radio Spartaka. Powiedz, kto to był?

– Spartak nie jest tylko filantropem. Jest bardzo cwany. Obraca się wśród biednych

ludzi, rozdaje pieniądze, ale też dobrze dobi-
era współpracowników. Radiem była kobieta,
piękna kobieta pozostająca poza wszelkim
podejrzeniem.

Chodziła do Watykanu dwa lub trzy razy
w tygodniu i stamtąd nadawała. Mówi, że os-
obiście przyjęła Spartaka w domu po jego
przybyciu do Włoch i że dała mu nowe ubra-
nia. Podobno chciała pomścić swojego męża
i nienawidzi faszystów. Pomyśleliśmy, że
przyda nam się do naszkicowania portretu
pamięciowego Spartaka. To jedna z niewielu
osób na świecie, które go widziały, ale
utrzymuje, że nie wie, jak wygląda. Jej córka
twierdzi, że miał długie włosy i brodę jak
Jezus i że nosił duże okulary prze-
ciwsłoneczne. Mówi też, że bardzo lubi tego
mężczyznę. Zaśmiał się szyderczo.

– Złóż tej kobiecie wizytę. Sam z nią
porozmawiaj. Posłałem już po ciebie sam-
ochód. Za chwilę będzie. A jeśli chodzi o tę

drugą sprawę... – Zrobił długą pauzę. – Inny, jesteś pewien?

– Trzy i pół metra.

– Fantastycznie! Przekaż kierowcy również zdjęć zaklejonej i zalakowanej kopercie. On będzie wiedział, jak mi je dostarczyć.

– Jasne, tak zrobię.

Rozdział 23

Piećło istnieje. To cuchnąca pieczara z zimnego kamienia, wilgotnego wapna, krwi, łez i uryny. To nieustające, wydobywające się z ciemnych zakamarków cierpiętnicze krzyki, długie i wycieńczające ataki kaszlu i niekończące się lamenty.

Strach. Pragnienie. Głód. Szaleństwo.

W piekle nie ma płomieni, tylko lodowaty chłód i przerażenie.

„Cokolwiek czeka nas po śmierci” – pomyślał Roux – „nigdy nie będzie gorsze niż więzienia sądowego zakładu psychiatrycznego”.

Pielęgniarz, który podjął się odprowadzenia go do celi, przeprosił za brak światła i uprzedził, żeby uważał na stopień, następnie na głowę i znowu na stopień.

Było zimno, ale im głębiej zanurzał się w żalonych jękach, tym większą odczuwał

rozkosz. Istnienie tego miejsca, obserwowanie, w jaki sposób traktowane są w nim istoty ludzkie, dawało mu ogromną przyjemność. Krótko mówiąc, patrzenie na te rzucone w ciemność, zapomniane i poddawane przez lata torturom istoty było dla niego wspaniałym przeżyciem.

– Jest tutaj w środku – zapowiedział pielęgniarz. Wsunął latarkę elektryczną pomiędzy kraty wąskiej i ciemnej celi i mocno zastukał kluczem w metal. – Dałem jej już coś lekkiego na uspokojenie. – Splunął na ziemię i zaśmiał się niezbyt szczerze.

– Proszę mnie wpuścić – zażądał Roux.

– Jeśli będę do czegoś potrzebny, proszę mnie zawołać – odpowiedział mężczyzna i przekręcił klucz w zamku.

Latarka weszła jako pierwsza, oświetlając ciasną i surową przestrzeń. Na stojącym w celi krześle zarysowała się sylwetka wycieńczonej kobiety. Jej głowa zwisała bezwładnie wysuniętej do przodu klatki

piersiowej, gruba strużka śliny sięgała podłogi.

– Proszę pani? – Odłożył latarkę na ziemię i schylił się, by jej dotknąć.

– Halo! Proszę pani? – Delikatnie spróbował odwrócić ją w swoją stronę. – Pielęgniarsz!

– Słucham pana.

– Proszę przynieść trochę wody i krzesło.

Mężczyzna oddalił się. Po kilku minutach wrócił, trzymając w jednej ręce szklankę, a w drugiej oparcie krzesła zawieszzonego na przedramieniu niczym torebka.

– Proszę.

– Dziękuję, teraz proszę nas zostawić samych.

– W razie potrzeby proszę wołać.

Kiedy kroki pielęgniarsza ucichły, podniósł jej głowę przysunął wodę do ust.

– Niech się pani napije.

Ale ona nie reagowała. Jęczała z zamkniętymi oczami, jakby zmorzona snem.

Roux wiedział, że nie był to naturalny sen, ale działanie środka uspokajającego połączonego z deprimującą mocą przerażenia. Odstawił szklanke na ziemię i chwycił latarkę. Przyjrzał się jej dokładniej, oświetlając twarz, i poklepał po policzkach, żeby ją ocucić.

– Nie zrobię pani nic złego.

Sprawiła wrażenie, że nie słyszy, jakby pod żadnym pozorem nie miała już zamiaru otwierać oczu ani podnosić głowy.

Odsunął jej włosy i polał czoło wodą. Wtedy kobieta otworzyła oczy.

– Dokąd mnie przyprowadzili? – otumaniona wyjęczała zachrypniętym i drżącym głosem.

– Kim pan jest?

Została aresztowana zaledwie kilka godzin wcześniej, a już zmieniła się tak bardzo, że

wyglądała, jakby trzymano ją tam od miesięcy. Nie tylko jej głos się zmienił. Jej oczy były zgaszone, wciśnięte w dwie czarne jamy. Ubrudzona krwią skóra jej twarzy była tak ściągnięta, że miało się wrażenie, że kości jarzmowe za chwilę ją przedziurawią.

Roux znał to dobrze – to oblicze strachu.

Przesunął latarkę po jej ciele odzianym w koszulę z grzebnej przędzy. Ręce i stopy kobiety przywiązane były do krzesła. Nalał jej odrobinę wody do ust.

Kobieta ponownie otworzyła oczy.

– Dokąd mnie przyprowadzili? – wymamrotała znowu w głębokim odrętwieniu.

– Jest pani w bezpiecznym miejscu – zakomunikował jej. – Może być pani spokojna. Nazywam się Marcello Roux. – Tak jakby ta niewielka odrobina prawdy mogła złagodzić koszmar, na jaki została skazana. – A pani jak ma na imię?

– Diamante – wybełkotała kobieta.

Podniósł jej brodę do światła. Od chwili areztowania – pod zarzutem szpiegostwa i konspiracji na szkodę państwa faszystowskiego – urok, który mógłby uczynić z niej zabójczą broń w rękach OVRA, ulotnił się.

– A nazwisko?

Powoli otworzyła powieki.

– Będzie pani współpracować?

Wymamrotała coś, co przypominało zaprzeczenie.

– Chce pani ocalić życie?

Skinęła głową.

– Nazywam się Diamante Simoncini.

– Świetnie. Proszę się napić jeszcze trochę.

– Pomóglęj wziąć kilka łyków, podtrzymując ją za kark. Następnie wyjął z kieszeni chustkę, zwilżył i wytarł jej twarz.

– Czym się pani zajmuje, Diamante?

Znowu skinęła głową. Nagle zaczęła sprawiać wrażenie osoby, która pozbyła się

strachu przed śmiercią. Zdołała nawet spojrzeć mu prosto w oczu.

– Jestem krawcową. Martwię się o moją córkę.

– Proszę się nie martwić, zajmiemy się nią. Wdepnęła pani w niezłe bagno, wie pani?

– Domyślam się – odparła kobieta, wciągając śluz, który zaczął spływać jej z nosa. – Czy ja umrę?

– Jeśli będzie pani współpracować, wszystko dobrze się skończy.

Otarła sobie nos rękawem, chwyciła szklanę i zaczęła pić łąpczywie.

– Dobrze – powiedziała.

Roux rozwiązał jej rękę.

– Dlaczego więc postanowiła pani pracować dla wroga?

– Popęlniłam błąd, przykro mi. – Skuliła się w sobie zaczęła się trząść w ciszy. Płakała.

– No już, niech pani przestanie, w tej chwili. To nie jest dobry moment, żeby się rozklejać.

– Popełniłam wielki błąd, nie znam się na polityce. Zostałam wprowadzona w błąd.

– Przez wiele tygodni, co wieczór nadawała pani komunikaty radiowe do włoskich szpiegów współpracujących z Amerykanami. Jak może pani teraz twierdzić, że nie wiedziała, co robi?

– Popełniłam błąd – powiedziała, żałośnie szlochając. – Popełniłam błąd – powtórzyła, zanosząc się łkaniem.

Roux położył jej delikatnie dłoń na plecach.

– Dzisiaj miała pani spotkanie w sali korespondencyjnej na poczcie centralnej?

– Tak.

– Jak nazywa się osoba, z którą miała się pani spotkać?

– Powiedziano mi, że miałam się spotkać z jakimś Ludovikiem.

– Nie zna pani jego prawdziwego imienia? To nie ten sam człowiek, który przyszedł do pani domu w Nowy Rok i któremu ofiarowała pani ubrania i gościnę?

Potrząsnęła głową.

– Dlaczego miała się pani spotkać z tym Ludovikiem?

– Nie wiem.

– Jest pani pewna?

Diamante znowu podniosła głowę, a w oczach Roux ujrzała dwie kipiące truczizną studnie.

– Nie wiem, naprawdę. Wiem tylko, że miało to być coś bardzo ważnego.

– Miał przekazać jakąś wiadomość?

– Tak.

– Dla kogo?

– Dla kogoś z Anglii.

– Dla kogoś z Anglii – powtórzył Roux i zaczął krążyć wokół niej niczym wrona nad martwą myszą. – Pan Ludovico jednak nie pojawił się...

Złapał krzesło za oparcie, przesunął je ze zgrzytemo ziemi, a następnie z przesadnie opanowanym wyrazem twarzy usiadł naprzeciwko niej.

– Dlaczego ten cały pan Ludovico nie przyszedł, jeśli to było takie ważne?

– To jego powinien pan zapytać.

– Zrobię to – odparł Roux. Wziął głęboki oddech, wdychając mimo woli cuchnącą woń piwnicy. – Teraz chcę, żeby się pani rozluźniła. – Położył jej dłonie na barkach zaczął masować, narzucając jej rytm oddechu. – Niech pani robi, co mówię. Nie pożałuje pani.

Kobieta poruszyła szybko głową w przód i w tył.

– Proszę zamknąć oczy...

Zamknęła.

– Oddychać głęboko... Zaczęła głęboko oddychać.

– Rozluźnić się...

Spróbowała. W myślach powtarzała sobie, że dopóki zadawał jej takie pytania, nie było powodu, żeby na nie nie odpowiadać, i już po kilku minutach – najbardziej absurdalnych minutach w jej życiu – udało jej się rozluźnić. Głęboki i przenikliwy głos Roux powtarzający „proszę się rozluźnić”, zaczął wibrować w jej głowie. Poczowała ogromne zmęczenie, jakby każda komórka jej ciała błagała ją o odpoczynek.

– Tak – powiedział Roux, opierając się o krzesło i rozsuwając nogi. – Proszę się rozluźnić – powtórzył.

Wyczerpane nerwy Diamante nie mogły dłużej stawiać oporu – po chwili jej głowa opadła na piersi.

– Zaczyna się tu robić bardzo gorąco – powiedział Roux z przekonaniem.

Nie było to prawdą, ale Diamante uwieryła mu. Ponownie podniosła głowę i skierowała na niego swe zamknięte oczy.

– Jest bardzo gorąco – powiedziała.

– Naprawdę gorąco – ciągnął Roux.

Jego wargi wygięły się w uśmiechu, gdy zobaczył, jak kobieta chwyta za koszulę i z ulgą ją zdejmuje. Miała doskonałe ciało o zmysłowych kształtach i nieskazitelnej, lekko spoconej skórze, niosące obietnicę lubieżnych rozkoszy, ale Roux ograniczył się tylko do kilku pieszczot.

– Wszystko dobrze – powiedział jej.

– Tak – potwierdziła.

– Teraz kieruje tobą nieodparte pragnienie, żeby być mną szczerą.

Diamante uśmiechnęła się.

– Jest rano. Właśnie wchodzisz do sali korespondencyjnej na poczcie centralnej – kontynuował. – Dlaczego tu przyszłaś?

– Mam spotkanie – odpowiedziała z porozumiewawczym uśmiechem.

– Z kim masz się spotkać?

– Z jednym z ludzi Spartaka.

– To on dał ci radiotelefon i kody? To jemu przygotowałaś nowe ubranie?

– Nie.

– To ten, który właśnie wchodzi? Widzisz go?

– Idzie – odpowiedziała.

Rozglądała się ostrożnie dookoła, zapewne tak samo, jak robiła to jeszcze kilka godzin temu w urzędzie pocztowym, teraz jednak z zamkniętymi powiekami.

– Jesteś pewna, że tam jest? Bo ja stoję obok ciebie, ale go nie widzę.

– Oni wiedzą, jak nie dać się zauważyć, jeśli tego nie chcą.

– Stają się niewidzialni? – Roux oderwał plecy od oparcia krzesła i przysunął ucho do jej ust.

– Nie są niewidzialni – zaproponowała. – Wiedzą, jak nie dać się zauważyć.

– Rozumiem. Masz coś dla niego?

Potrząsnęła głową niczym mała dziewczynka.

– On ma coś dla ciebie?

– Wiadomość, której muszę nauczyć się na pamięć, a następnie przekazać do Londynu.

– Powiesz mi jaka to wiadomość?

Diamante skinęła potakująco głową.

– Port w La Spezii. Jeden krążownik, dwie bliźniacze wieże na dziobie, wieża dowodzenia, maszt, komin, maszt, dwie bliźniacze wieże na rufie, jeszcze nieznaną model okrętu, pełen iperytu. Zacumowany obok portu, dwie mile morskie od moło.

– Ma dla ciebie coś jeszcze?

– Tak, przynosi mi miesięczną wypłatę.

– I co mówi?

– Że dobrze się spisałam.

Przesunął dłoń po wewnętrznej stronie jej ud.

– Tak, jesteś naprawdę grzeczną dziewczynką – wyszeptał jej do ucha. – Teraz znowu robi się zimno.

Diamante zrobiła zdziwioną minę, jakby nagle ogarnął ją przenikliwy chłód, i ubrała się, mamrocząc, że jest jej bardzo zimno.

– Teraz otwórz oczy, Diamante, i uśmiechnij się.

Zrobiła, o co prosił. Był to uśmiech, który wyrażał coś na kształt szczęścia.

– Teraz policzę do trzech, a na trzy obudzisz się i poczujesz mocne swędzenie czoła, o tutaj. – Dotknął jejna środka głowy, tuż pod linią włosów. – Zaczynasz czuć, jak się nasila, wciąż się nasila.

Nagle Diamante poczuła silne swędzenie, dokładniew miejscu, w którym dotknął jej Roux, i zaczęła się drapać.

– Kiedy doliczę do trzech, będziesz mogła powstrzymać to swędzenie – powiedział, odwiązując jej kostki. – Żebyto zrobić, zaczniesz jak najmocniej uderzać głową w mur. Nie przestawaj, dopóki nie minie. – Obrysował dłoniaw powietrzu jej piersi, ale nie dotknął jej. – Rozumiesz?

– Tak – odpowiedziała, wciąż intensywnie się drapiąci uśmiechając.

– Raz... – zaczął liczyć.

Po chwili krzyknął:

– Pielęgniarz!

– Jestem, proszę pana.

Mężczyzna w białym i brudnym kitlu zmaterializował się w jednej chwili niczym widmo.

– Dwa... – powiedział Roux do kobiety, a następnie ponownie do pielęgniarza:

– Skończyłem, proszę sprowadzić do pani lekarza.

Pielęgniarz wiedział z kim ma do czynienia, więc nawet jeśli nie do końca rozumiał tę prośbę, nie zaoponował, że zaraz go wezwie.

– Trzy – powiedział i wyszedł z celi.

Diamante otworzyła oczy dopiero po kilku sekundach – tylu, ile wystarczyło, aby Roux i pielęgniarz oddalili się. Za nimi pozostało spowite mrokiem piekło i jęki, które zdawały się wydobywać z niespokojnych głębin.

Roux wyraźnie rozpoznał trzask pękającej czaszki kobiety uderzającej bez końca głową

w mur celi, trwającej w nieświadomym i śmiercionośnym uporze, w iluzji, że zdoła powstrzymać nieznośne swędzenie, gdy tymczasem jedyną rzeczą, jakiej zadawała kres, było jej własne życie.

Rozdział 24

Pukanie odbijało się echem na klatce schodowej niczym wystrzały armat. Lio drgnął i odruchowo oderwał palce od klawiszy maszyny do pisania. I tak nic nie pisał, wpatrywał się tylko nieruchomo w znajdującą się przed nim białą kartkę. Wstał, podszedł na palcach do drzwi i przyłożył do nich ucho. Usłyszał odgłosy kroków dwóch osób szurających o podłogę na półpiętrze, ich niespokojny oddech oraz szybki i metaliczny odgłos odbezpieczanego pistoletu.

– Kto tam?

– Policja – odpowiedział mężczyzna po drugiej stronie.

Lio dotknął dłonią klamki. Zaczął nasłuchiwać.

– Skąd mam mieć pewność?

Mężczyzna podał mu odznakę przez szparę w drzwiach.

Lio schylił się i podniósł ją. Widniał na niej napis *Karabinierzy*, a poniżej, obok wypłowiałego zdjęcia – *sierżant Piero Reis*.

– Na zewnątrz stoi samochód – powiedział mężczyzna.

Poszedł sprawdzić. Po drugiej stronie ulicy rzeczywiście ujrzał zaparkowanego fiata 1100 z napisem *Karabinierzy*, wymalowanym okrągłymi białymi literami na przedniej szybie. Wyglądało na to, że sierżant Reis mówił prawdę. Ale gdy Lio opuszczał zasłonkę, zauważył pewien szczegół. Przy lewym reflektorze w przedniej części pojazdu widoczne było niewielkie wgniecenie, delikatne wygięcie karoserii, może nawet niewidoczne z bliska, ale z oddali odbijające światło w charakterystyczny sposób i sprawiające, że samochodu tego nie można było pomylić z żadnym innym – nawet jeśli ktoś celowo zmienił mu numery rejestracyjne. Zatem w końcu cienie postanowiły wyjść ukrycia.

Otworzył powoli drzwi, ukazując przybyszom swoją zdumioną twarz.

Przed nim stał dystyngowany mężczyzna w czarnym garniturze i białej koszuli, którą przecinał czarną pręgą jedwabny krawat. Pod kapeluszem, w rzucanym przez rondo cieniu, migotało dwoje ogromnych oczu.

– Zaczekaj na mnie na dole. – Nakazał komuś, kto zapewne znajdował się obok niego, poza zasięgiem wzroku Lio. Zajrzał do środka.

– Mogę wejść?

Lio spojrzał na swoje bose stopy i przesunął się, żebygo wpuścić.

– Proszę – powiedział, oddając mu odznakę i uważnie go obserwując. – Tylko na to czekałem.

– Przepraszam – odpowiedział mężczyzna, po czym zdjął kapelusz i rzucił go na stół. – Mogę?

Uzyskawszy pozwolenie, usiadł, założył nogę na nogę, sprawiając, że nogawki spodni

podjechały mu do góry, i zaczął kręcić czubkiem błyszczącego buta.

– Przepraszam, że pana niepokoję.

Intruz miał głęboki i ujmujący głos, był uprzejmy i zdecydowany zarazem. Spojrzeniem wskazał mu krzesło, po czym rzucił kolejne, nakazując mu, żeby postawił mebel przed nim.

Lio ustawił krzesło zgodnie z jego wolą i usiadł.

– Czego pan chce?

Reis spojrzał na niego uważnie, jednak nie powiedział ani słowa.

– No więc, czego pan ode mnie chce?

– Mogę zobaczyć pańskie dokumenty? – zapytał Reis, odwracając grzbietem do dołu dłoń, na której połyskiwał ciężki, złoty sygnet.

Lio wstał, zdjął płaszcz z wieszaka i trzymając go jednym palcem, wyjął z wewnętrznej kieszeni dokumenty.

Reis nie odrywając oczu od dokumentów Lio, położył na stole paczkę amerykańskich papierosów i zapalniczkę.

– Skosztuje pan?

Pokręcił głową.

– Czego chcecie?

– Pańskiej pomocy – odparł Reis i oddał mu dokumenty. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, na której obok samochodu czekał na niego drugi mężczyzna.

– Jeśli zechce się pan ubrać i pójść ze mną, z przyjemnością wszystko panu wyjaśnię.

– Nie możemy porozmawiać o tym tutaj?

– Lepiej nie.

– Dokąd chcecie mnie zabrać?

Reis westchnął wymownie. Wziął kapelusz ze stołu i nałożył na głowę.

– A gdzie przewiduje pan być za pół godziny, szanowny panie Rol?

Rozdział 25

Nieustające i ogłuszające strugi deszczu uderzały zawzięcie w dach fiata 1100.

– Pozwoli pan? – Reis zwinął w rulon czarną przepaskę. – Im mniej będzie pan wiedział, tym lepiej dla pana – dodał, zakładając mu ją na oczy i zawiązując na karku.

Samochód powoli ruszył.

– Nie jesteście karabinierami.

– Spokojnie, zaraz wszystko panu wytłumaczymy.

Przez całą drogę Reis nie odezwał się ani słowem, a Liobacznie się pilnował, żeby nie zakłócić panującej ciszy. Po dłuższej chwili ciemności, którą Lio oszacował na dobre pół godziny, auto zatrzymało się, jednak silnik pozostał włączony. Usłyszał skrzypienie starej metalowej bramy, a następnie odgłosy trzeszczącego pod oponami żwiru. Wyobraził sobie, że może to być podjazd do jakiejś

willina obrzeżach miasta lub na wsi. Muska-
jące jego nozdrza ciepłe powiewy wiatru
pachniały sosną i zdawały się potwierdzać
jego przypuszczenie. Kiedy Reis w końcu
zdział mu przepaskę, Lio przekonał się, że mi-
ał rację.

Kierowca zgasił silnik przed willą
i wysiadł, żeby otworzyć tylne drzwi i wypu-
ścić pasażerów.

Lio wydawało się, że stoi przed dziewięt-
nastowieczną, opuszczoną willą. Oprócz czer-
wonego znicza płonącego obok drzwi
w całym domu panował głęboki mrok. Okna
willibyły zamurowane, jakby została
opuszczona wiele lat temu.

– Proszę za mną – powiedział Reis,
zachęcając go, żeby schronił się pod jego
parasolem.

Zaprowadził go do środka willi, do pom-
ieszczenia położonego najbliżej wejścia,
bardzo słabo oświetlonego przez dwa niew-
ielkie kandelabry. Kiedy znaleźli się

w środku, wziął jeden ze świeczników i wskazał zanurzony w gęstym półmroku kąt, cuchnący stęchlizną i starym woskiem. Opadli na dwa skórzane fotele. Przez dłuższą chwilę milczeli, wymieniając między sobą baczne spojrzenia: Lio – nieufne, mężczyzna – nieodgadnione.

Lio zdjął płaszcz, pozwalając, by zsunął się na oparcie fotela, położył papierosy na barowym stoliku oddzielającym oba fotele, a następnie ułożył na nim również łokcie zaczął spoglądać Reisowi prosto w oczy.

– Czuję, że chce mi pan coś powiedzieć.

Reis powoli skinął głową, z niemal serdecznym wyrazem twarzy. Westchnął. Postawił kandelabr na środku stolika i powiedział:

- Muszę zmaćić pana spokój.
- Już został zmacony, dziękuję.
- Wpadł pan w oko nazistom.

W tym momencie Lio miał wrażenie, że jego serce przestało bić. Chwilę później

właściwie na to liczył, jednak tak się nie stało.

– Dlaczego niby naziści mieliby się mną interesować? – zapytał, marszcząc czoło. – I dlaczego tak samo interesują się mną fałszywi karabinierzy? Śledzicie mnie od tygodni.

– Robimy to, by pana chronić – odparł Reis.

Mówił cicho. Zdawało się, że waży każde słowo. Lio pomyślał, że może z przyzwyczajenia.

– Nie chcielibyśmy, żeby stało się panu to, co przydarzyło się pańskiej siostrze.

Głęboko osadzone zazwyczaj oczy Lio wybałuszyły się ze zdumienia.

– Co pan wie o mojej siostrze? Niech pan mówi.

– Omówimy wszystkie kwestie po kolei, panie Rol.

– Nie ma innych kwestii – zaproponował. – Jeśli o mnie chodzi, panie Reis, lub jak tam

się pan naprawdę nazywa, to jest jedyna kwestia.

– Rozumiem. Ale jeśli da mi pan taką możliwość, z chęcią wyjaśnię panu wszystko w odpowiednim czasie.

– Teraz daję panu możliwość. – Lio wyprostował się stanął z założonymi rękami.

Ciężkim krokiem nadchodził kierowca, niosąc ze sobą butelkę i dwa dzwoniące pomiędzy palcami kieliszki.

– To jest Marconi – powiedział Reis.

– Miło mi, panie Marconi – odparł Lio.

Marconi odpowiedział skinieniem głowy i postawił kieliszki na stole, po czym odszedł, zamykając za sobą drzwi. Kiedy drzwi przestały się kołysać, Reis wznowił rozmowę.

– Moim zadaniem jest niedopuszczenie do tego, żeby wydarzyło się coś niemiłego – powiedział. Palcem wskazywał na blat stolika, jak gdyby to coś miało się wydarzyć dokładnie tam, obok świecy. – I być może pan będzie mógł mi pomóc, Rol.

– W jaki sposób?

Reis wsunął dłoń pod marynarkę na wysokości serca i wyjął z niej pomięty wycinek z gazety.

– Proszę przeczytać.

Lio wychylił się, przysuwając kartkę do płomienia.

– *Spotykam się ze słynnym pisarzem Lio Rolem w domku na wsi. To tu, kiedy tylko może, spędza czas latem...*

– Może pan pominąć ten fragment i przejść kilka linijek dalej – przerwał mu Reis.

– *„Skąd biorę inspirację do pisania?” – wyjawia Rol. „Zostałem obdarzony jakimś wędrownym darem jasnowidzenia, umiejętnością wykraczania poza ciało. Kiedy osiągnę właściwy stan ducha, po prostu idę tam, dokąd chcę, i spotykam swoje postaci. Ograniczam się jedynie do opisania tego, co widzę i słyszę”.*

– Rol przerwał i szczerze się zaśmiał. Po chwili zaczął czytać dalej:

– „Jako malec bawiłem się w różdżkarza”

– wyznaje, jednak jego tajemnicze spojrzenie daje do zrozumienia, żeby nie wierzyć w każde jego słowo, a my, dziennikarze z „Messaggero”, udowadniamy, że pojęliśmy jego intencje, drążąc temat.

– „Nie sądzę, żeby to było normalne, ale nie jest też niczym nadprzyrodzonym. Po prostu w niektórych sytuacjach umysł ludzki jest zdolny wyjść z siebie i dotrzeć do rzeczywistości, której – mówiąc szczerze – nie potrafię zdefiniować. Jeśli zapyta mnie pan, skąd biorą się rzeczy, które opisuję, na myśl przychodzą mi tylko jedno słowo: widzę je”.

– I tak dalej, i tak dalej – powiedział Reis, zabierając mu z rąk wycięty artykuł.

– Nie rozumiem – odparł Lio, a jego wyraz twarzy rzeczywiście wskazywał, że nie kłamał.

– Naprawdę ma pan takie zdolności?

– Tak sobie gadałem – zachnął się, zapalając papierosa. – Wierzy pan we wszystko, co wypisują w gazetach?

Reis zwinął ponownie w rulon artykuł z gazety.

– Dlaczego od jakiegoś czasu praktycznie nie przyjmuje pan wizyt, panie Rol?

– Nie chcę już mieć ludzi, zmęczyłem się tą szopką tłumem desperatów, który nawiedzał mój dom.

– Może pan ocalić wiele istnień ludzkich.

Lio nachylił się i uniósł brew.

– A niby jak?

Reis odpowiedział cicho:

– Gdyby zechciał pan z nami współpracować...

– Z kim dokładnie?

Reis chwycił go za ramię.

– Sympatyzuje pan z faszystami?

Lio odchylił się, żeby uwolnić ramię, a następnie złączył obie ręce na piersi.

– Przekłęta wojna... – W zamyśleniu napełnił swój kieliszek i wpatrywał się w niego przez dłuższy czas, zanim wziął pierwszy łyk. – Nie jest pan karabinierem.

Reis napił się, obserwując go poprzez wydobywającąmu się z ust parę.

– Ach tak! – Lio klepnął dłońmi w kolana. – Zatem pańska osoba oznacza dla mnie kłopoty. – Serce zaczęło szybko pompować mu alkohol do mózgu. – Nie jest pan karabinierem, prawda?

Pytanie ponownie odbiło się od niewzruszonej niczym maska twarzy mężczyzny.

– Żołnierzem – powiedział Lio. Tak, pewnie jest panz Biura Informacji Wojskowej albo jakiejś innej tajnej służby.

– Wiem tyle, ile trzeba.

– Więc niech powie pan, co wie o mojej siostrze, ponieważ ja jej nie pamiętam.

Reis zgodził się udzielić mu informacji.

– Jak to pan jej nie pamięta?

– Ponieważ moja siostra nigdy nie istniała, ot co.

– Musiał pan to wyprzeć z pamięci, widocznie ból był zbyt wielki.

– Nie miałem żadnej siostry, nie miałem żadnej siostry – powtarzał Lio. – Chciał pan wiedzieć, czy sympatyzuję z faszystami? Powiedzmy, że z punktu widzenia polityki jestem neutralny. Ostatnie lata spędziłem na chodzeniu po górach i podróżowaniu po świecie, nie angażowałem się więc w rozwój ówczesnych wydarzeń. Rozumie pan?

Reis skinął głową, siedząc naprzeciwko i patrząc na niego w sposób charakterystyczny dla bardzo przebiegłych umysłów.

– Jest pan szpiegiem na usługach Amerykanów czy Anglików?

– Wielu ludzi rozstrzeliwuje się jako zdrajców, przywiązując ich do krzeseł plecami do plutonu – odpowiedział Reis. – Jedyne, co

mogę panu powiedzieć, to to, że zajmuję się ratowaniem ich życia.

– Później będę mógł wrócić do domu?

– Po tym jak wykonamy test.

Lio zastanowił się, siedząc bezwładnie w fotelu, który wraz z każdą upływającą minutą zdawał się go coraz bardziej pochłaniać. Podniósł się tylko dwa razy – żeby wziąć papierosa. Palił, zaciągając się mocno, jak gdyby przy odrobinie wysiłku mógł wyssać z rozżarzonego tytoniu odpowiedzi na nurtujące go pytania. W końcu, zgniatającw popielniczce ostatni niedopałek, powiedział:

– Niech będzie. – Nalał sobie kolejny kieliszek. – Ale najpierw niech pan powie, co wie pan na temat mojej domniemanej siostry.

– Najpierw muszę się upewnić, że potrafi pan robić to, o co mi chodzi – odparł Reis, podnosząc się.

Zniknął w ciemnym rogu, a po kilku chwilach powrócił, trzymając w ręce mapę

i kawałek metalu. Zdjął kandelabr ze stolika i rozłożył na nim mapę. Podniósł rękę, a następnie upuścił z niej metal, który zatrzymał się w powietrzu z delikatnym szarpnięciem.

„Wahadło” – pomyślał Lio.

– Proszę się odwrócić.

Reis zaczekał, aż Lio wykona to, o co go prosił, a następnie dotknął na kilka sekund kluczem jakiegoś punktu na mapie, po czym kazał mu się ponownie odwrócić i wskazać to miejsce.

Lio zgodził się, prychnąwszy. Wziął wahadło i przytrzymał je nad mapą, a ono zaczęło kołysać się na boki. Po jakimś czasie sznurek wahadła odchylił się nieznacznie, ciągnąc jego rękę w kierunku właściwego punktu.

– Bardzo dobrze – powiedział Reis. – Spróbujmy jeszcze raz.

Powtórzyli zadanie dziesięć razy. Lio wykonał poprawnie osiem prób, myśląc się tylko dwukrotnie.

Przed wyjściem ze swojego mieszkania Reis opróżnił biurko w gabinecie i ustawił na środku śnieżną kulę z miniaturką Pragi. Podał mu adres i zapytał, czy mógłby się tam przenieść i opowiedzieć mu, co widzi.

– W gabinecie, którego okna wychodzą na podwórze – sprecyzował. – Rozpozna go pan po wiszącym na ścianie zdjęciu Alberta Einsteina. Chcę wiedzieć, co stoi na biurku.

– To nie jest takie proste – wzbraniał się Lio. – Myśli pan, że pstryknę palcami i...

– Proszę spróbować.

– Widzę to, co ma nadejść, potrafię też odwiedzać bardzo odległe miejsca w przestrzeni, ale nie jestem astralnym podróżnikiem – nie umiem wyjść poza ciało, przykro mi.

– Według mnie jest pan w błędzie.

– Skąd pan może to wiedzieć?

– Bo pana znam.

– Ja też siebie znam, drogi panie.

– Ponownie sądzę, że pan się myli.

– Nigdy nie doświadczyłem OBE. Wiem tylko, że skrót ten oznacza *Out of Body Experience*, czyli „doświadczenie poza ciałem”, nic więcej.

– W każdym razie, najważniejsze jest to, że potrafi pan zajrzeć w przyszłość – skonstatował Reis. – Proszę mi powiedzieć, co za godzinę będzie znajdowało się na moim biurku. Może być pan pewien, że będzie to ta sama rzecz, która znajduje się na nim teraz, nie będę mógł przecież jej zmienić w przeciągu godziny.

Lio się to nie podobało. Jeśli było coś, czego nienawidził, to wystawianie go na próbę w tak arogancki i powierzchowny sposób. Zapalił papierosa. Długo wpatrywał się Reisa poprzez chmurę dymu. Co zyskałby, gdyby „zgadł”? Dlaczego miałyby pokazywać, że posiada niecodzienne umiejętności, jeżeli to oznaczałoby zwrócenie na siebie uwagi szpiegów i diabli wiedzą kogo jeszcze. Kto wie kogo jeszcze?

Trzeba było zwyczajnie udzielić błędnych odpowiedzi podczas poprzedniego testu, zadowolając tym samym pokładane w nim nadzieje i odzyskując wolność. Jeszcze bardziej niż poddawania go takim banalnym próbom Lio nie cierpiał, gdy ktoś uważał go za samochwałę.

Rzucił ze złością na ziemię niewypaloną połowę papierosa i zgasił go.

Zaczął się koncentrować, marszcząc mocno brwi i oddychając głęboko. Żeby ułatwić sobie skupienie, zaczął wspominać dawne sytuacje, zwłaszcza te z dzieciństwa, wywołując w sobie pozytywne emocje, niezbędne do wprowadzenia się w stan wrażliwości i podatności na bodźce.

To, co zdarzyło się potem, w niczym nie przypominało odrętwienia poprzedzającego zapadnięcie w sen, lecz raczej bolesne uderzenie pioruna połączone z drżeniem rąk i krwawieniem z nosa, po którym został wprost wystrzelony w inną przestrzeń.

Leciał jak we śnie.

Dokładnie tak jak wahadło nad mapą, jego „ja” przyciągane było przez jakąś siłę – Lio nazywał ją promieniowaniem elektromagnetycznym o niskiej częstotliwości, emitowanym z miejsca, do którego podążał. Znalazł się przed niewielkim, szarym i rachitycznym trzypiętrowym budynkiem. Przeniknął przez zamkniętą bramę i wszedł na pierwsze piętro. Przeczytał na dzwonku nazwisko Reis. Zauważył, że etykieta z nazwiskiem przymocowana została do szklanego prostokąta za pomocą kleju.

Wszedł do środka. W mieszkaniu nie było nikogo. Błąkał się po opustoszałych, prawdopodobnie nieogrzewanych pokojach, aż natrafił na gabinet Reisa. Jego okna wychodziły na malutki ogródek, w którym pośrodku posłania z zeschniętych liści stało samotne drzewo. Obok okna, naprzeciwko bogato wyposażonej biblioteczki, wisiało

wspomniane zdjęcie Alberta Einsteina, a poniżej ustawione było biurko.

– Na biurku leży męski garnitur – powiedział, zanim jeszcze otworzył oczy. – Marynarka oraz para spodni.

Reis przytaknął, ale nie mógł ukryć rozczarowania.

– Etykieta z pana nazwiskiem na dzwonku przyklejona jest do szybki.

– Interesujące. Nie widział pan nic innego na blacie biurka?

– Nie, proszę pana. – Lio wytarł sobie nos i spojrziała chusteczkę – mała ilość krwi równała się krótkiej wizji.

– W każdym razie muszę panu pogratulować. Ma pan wielki dar. – Reis przesunął palec wskazujący ze swojego czoła na czoło Lio. – Czuję to.

– Czuje pan to...

– Nie mam pańskiego talentu, ale ja też coś czuję, panie Rol. Zakładam, że potrafi pan odgadnąć, o czym myślęw tej chwili?

– Zdarza mi się słyszeć. Ale to zależy od harmonii. Jeżeli jednak brakuje maksymalnej harmonii, myśli powinny być wykrzyczane.

– A jak można je wykrzyczeć?

– Tego się nie robi, to się dzieje. Na przykład, kiedy myśl powstaje z jakiejś emocji. – Westchnął ze znużeniem. – Zdałem egzamin?

– Zdał pan.

– Więc czego teraz ode mnie oczekujecie? I, przede wszystkim, kim jesteście? – Reis nalał sobie i wstał.

– Przyjaciółmi pańskiej siostry.

– Słucham pana, niech pan mówi.

– Byliśmy przyjaciółmi, to wszystko – powiedział Reis, unosząc ramiona.

– Jak zmarła?

– Katastrofa lotnicza. Była na pokładzie niemieckiego junkersa.

– Proszę mi o niej opowiedzieć.

– Interesuje pana coś szczególnego?

– Wszystko.

– Pana siostra pracowała jako tłumaczka dla niemieckiej ambasady. Została zatrudniona na tym stanowisku kilka lat przed wojną, ale po pewnym czasie znalazła się w obszarze wpływów Ahnenerbe. Słyszał pan kiedyś o tej organizacji?

– O tym swoistym uniwersytecie utworzonym przez Himmlera w celu wyszukiwania dowodów na pochodzenie narodu niemieckiego od starożytnych Aryjczyków?

– Tak, o nim.

– Pewnie, że słyszałem! Za wszelką cenę chcą wykazać, że dzieje ludzkości rozpoczęły się na północy, ale o wiele wcześniej niż utrzymuje oficjalna archeologia.

Widzę, że pomimo pańskich pielgrzymek na szczyty gór jest pan dobrze poinformowany.

– Niektóre sprawy są dość dobrze nagłośnione. Byłem w Tybecie. Tam wciąż

opowiada się ze zgrozą o poniżeniu, na jakie narażono tamtejszą ludność, i o zamęcie, jaki wprowadzili nazistowscy badacze. Wciąż jeszcze nie zapomniano o inwazyjnych pomiarach antropometrycznych prowadzonych bez poszanowania godności ludzkiej, o pobieraniu fragmentów ludzkiego ciała, profanacji miejsc uznawanych za święte, rekwirowaniu cennych przedmiotów i innych tego typu występkach.

– Pan zajmuje się kwestiami zbliżonymi do tych, które leżą w polu zainteresowań Ahnenebre.

– Powiedzmy, że kiedyś interesowałem się tym.

Reis wydał z siebie długie, charczące westchnienie.

– Mogę zapytać, co powiedziała panu aktorka, która pana odwiedziła?

– Najpierw musi mi pan udowodnić, że mogę panu zaufać, panie Reis, ponieważ ja

nigdy nie miałem siostry, a pan opowiada mi niestworzone historie.

To wy wysłaliście aktorkę, żeby odegrała tę piękną scenkę... Sibylla to, Sibylla tamto...

Reis pozostał niewzruszony.

– Aktorka przyszła do pana, żeby rozmawiać o Sibylli? Wyjął z kieszeni kilka fotografii i zaczął pokazywać muje pojedynczo.

– Widzi pan? To pan z siostrą, nad morzem. Tutaj jesteście w górach, jako dzieci, z całą rodziną. Tutaj zaś...

Kontynuował, ale Lio już go nie słuchał. Patrząc na zdjęcia, zanurzał się w każde z nich, zalewany potokiem zapachów i dźwięków, głosów, które dobiegały do niegoz otchłani czasu niczym popołudniowy gwar, śmiechy, szczęśliwe chwile, które być może przeżył. Ale nic z tego, co zobaczył, nie miało posmaku prawdziwego wspomnienia.

– A pan, jak właśnie się dowiedziałem, był w Tybecie – ciągnął Reis.

– I co z tego?

– A pana matka była Niemką.

– No i?

– I napisał pan książkę o Świętym Graalu.

A potem drugą, na temat Atlantydy.

– Niezupełnie, ale...

– Chodzi o kwestie wzbudzające zainteresowanie prominentów Trzeciej Rzeszy, panie Rol. A – co najważniejsze – posiada pan umiejętności, które są bardzo poszukiwane przez tajne służby niemieckie. I nie tylko przez nie.

– Niepotrzebnie się wysilam – parsknął Lio – żeby przełożyć pańskie słowa na jakiś konkretny komunikat.

– Mamy powody, żeby twierdzić, że niebawem skontaktuje się z panem grupa działająca w VII Departamencie.

– Co to jest ten VII Departament?

– Wszystko w swoim czasie, panie Rol. Teraz wystarczy, żeby pan wiedział, że depczą panu po piętach. Prawdopodobnie chcą

pana porwać, by następnie przewieźć panado Niemiec, jak już zrobili z podobnymi panu osobami. Zmuszą pana do współpracy z nimi. Spytają, czy wykorzystując jedynie mapę i wahadło, tak jak zrobiliśmy to przed chwilą, jest pan w stanie wyszukiwać okręty nieprzyjacielaw celu ich storpedowania oraz bazy, które będą chcieli zbombardować. Zapytają pana, czy potrafi pan podróżować poza ciałem, i zażądają, żeby wtargnął pan do domu Churchilla, Stalina, Roosevelta i szperał w ich papierach, podsłuchiwał ich rozmowy. Ale przede wszystkim będą chcieli zobaczyć wszystkie wydarzenia z wyprzedzeniem, aby zapobiegać ewentualnym zamachom. Działania wojenne zachodzą błyskawicznie. Obie strony prześcigają się w konstruowaniu coraz bardziej niszczącej broni. Führer czujena karku oddech apokalipsy. Jeżeli istnieje na świecie jakaś osoba gotowa zrobić wszystko, byle tylko nie przegrać, jest to właśnie on. Jeżeli

jasnowidze z VII Departamentu uznają, że ma pan odpowiednie zdolności, panie Rol, jesteśmy pewni, że będą chcieli mieć pana u siebie. Nie będzie pan mógł się przeciwstawić, chyba że zgodzi się pan współpracować. – Stuknął palcem w blat. – Proszę pana, żeby zrobił pan to, co słuszne, panie Rol. Oferuję panu jedyną możliwą alternatywę dla współpracy z nazistami – wstąpienie do nas.

– Naziści prowadzą prace nad bombą atomową? – zapytał Lio.

– To jedno z pytań, na które chcemy jak najszybciej znaleźć odpowiedź, panie Rol.

– Co miałbym dla was robić?

– Wstąpić do Panopticonu, aby wydobyć cenne informacje od Trzeciej Rzeszy.

– Czyli szpiegować?

Reis westchnął ciężko.

– Tak.

– Hmm, chciałbym przynajmniej wiedzieć dla kogo, dlaczego, a ponadto za ile mam to

robić. Rozumie pan, naprawdę nie wierzę, żeby był pan karabinierem, a nawet jeśli...

– Chce pan wiedzieć dlaczego? Żeby nie dopuścić do tego, by Trzecia Rzesza podbiła lub zniszczyła cały świat. Dla kogo? Dla siebie samego, dla swojej siostry, dla osób, które pan kocha. Pieniądze? Niech pan sam określi kwotę. Może pan to zrobić na koniec, kiedy już będzie pan znał pełną wartość tego, co pan robi. Niech pan tylko nie wypiera faktu, że miał pan siostrę – nawet jeśli obecnie sobie pan tego nie przypomina – która byłaby z pana dumna, gdyby pan do nas dołączył. Proszę się nad tym zastanowić. Jeżeli zdecyduje się pan przyjąć moją ofertę, proszę zadzwonić pod ten numer. – Podał mu wizytówkę. – W nieparzyste dni miesiąca, punktualnie o godzinie 21:00, odpowie ktoś od nas. – Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął plik banknotów. – Tymczasem, proszę to przyjąć jako podziękowanie za fatygę. Radzę panu,

żeby kupił pan sobie cieplejsze ubrania – w Berlinie jest bardzo zimno.

Dał mu dziesięć tysięcy lirów.

– Nie planuję chwilowo podróży do Niemiec – skwitował Lio i bez zbędnych podziękowań wsunął pieniądze do kieszeni. Schował również wizytówkę z numerem telefonu, ale tylko dlatego, że w życiu nigdy nic nie wiadomo.

– Nadal nie wiem, jak poszedł mi ten śmieszny test.

Reis westchnął. – Raczej dobrze. Choć na moim biurku nie leżą żadne ubrania.

– Nie jestem nieomylny – odparł Lio.

– Nikt nie jest. – Reis klepnął się w nogi i wstał. – Proszę przekazać aktorce, żeby lepiej trzymała się od pana daleka.

– Przekażę.

– Wystarczy na dzisiaj. Odwiozę pana do domu.

Lio również się podniósł i wyszedł z nim z pokoju.

– Wie pan, że nazywa się pan tak samo, jak pewien turecki admirał?

– Naprawdę? Nie wiedziałem.

– Piri Reis. Żył w szesnastym wieku. Jest znany wśród pasjonatów starożytnych zagadek z tego, że zostawił nammapę obejmującą Antarktydę, która została odkryta dopiero w 1818 roku.

– Bardzo interesujące, jest pan pierwszą osobą, która zwraca mi na to uwagę.

– Może pana ojciec wiedział o tym i dlatego dał panu na imię Piero.

– Może.

Fiat czekał na nich w strugach deszczu ze zgaszonymi światłami i włączonym silnikiem. Wiał mroźny wiatr.

Lio skulił się pod parasolem Reisa i wsiadł do samochodu. Czarna przepaska znów zakryła mu oczy.

Rozdział 26

Na szczycie schodów, przed drzwiami zastał siedzącą i czekającą na niego Albę, skuloną koło balustrady. Delikatne żółte światło padało na jej senną twarz i obrysowywało kontury jej idealnego ciała, odzianego w ten sam czerwony płaszczyk do kostek, który miała na sobie dzień wcześniej.

– Wiem, wiem. – Lio usiadł obok niej. – Tak działałam na kobiety. – Poluzował krawat. Prosty, długi i błyszczący niczym brzytwa kosmyk włosów, który zawsze zaczesywał do tyłu, opadł mu na czoło, muskając kości jarzmowe. Przesunął opuszek palca po kamieniu zapalniczki i przytknął niebieskawy płomień do końcówki papierosa. Opierając łokcie na kolanach, spojrział w głąb staczających się w półmrok stopni i zaciągnął się gryzącym dymem.

– Dokąd cię zabrali?

– Na kawę – odparł Lio.

– Co chcieli?

– Nic. – Rozżarzony tytoń trzaskał mu pod nosem, oświetlając zasepioną twarz. – Skąd o tym wiesz?

– Widziałam, jak wsiadałeś z nimi do samochodu.

Lio skupił wzrok na schodach, marszcząc przy tym czoło i mrużąc oczy. Próbował uporządkować swoje myśli. Bawił się papierosem, obracając go nerwowo pomiędzy wskazującym i środkowym palcem.

– Odprowadzę cię do domu. Jest późno.

– Nie jestem śpiąca – odpowiedziała. – Karabinierzy? Przytaknął.

– To z powodu śmierci Sibylli? Mówili ci o niej?

– Tak.

– Im przynajmniej uwierzyłeś.

– Nie, nie uwierzyłem nawet im.

– Co ci powiedzieli?

– Że im będę mniej wiedział, tym lepiej. I chyba mają rację, co zresztą dotyczy również ciebie.

W nocnej ciszy ich rozbrzmiewające na klatce schodowej szepty przypominały kapanie wody w jakiejś grotcie, czy prowadzone ściszone głosem rozmowy w katedrze.

– Wpuścisz mnie? – zapytała Alba.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Powinieneś wiedzieć, czy to dobry pomysł, czy też nie. Płacą ci za to.

– Wiem. I w istocie mogę przewidzieć z całą pewnością, że jeżeli będziesz trzymała się ode mnie z daleka, nie stanie ci się nic złego.

– A jeżeli nie posłucham?

Lio wstał i otworzył drzwi do mieszkania.

– Jeśli nie posłuchasz... – Popchnął drzwi i pozostawił je otwarte. – Będzie to oznaczało, że nie jesteś wystarczająco bystra, żeby przetrwać w tym trudnym świecie. –

Nacisnął włącznik światła, który jednak nie zadziałał. Oświetlił sobie drogę zapalniczką.

Kobieta odebrała słowa Lio jako zaproszenie, dlatego weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Po omacku dotarła do salonu, w którym była poprzedniego dnia, choć wydawało jej się, że minęło więcej czasu. Stała w oczekiwaniu. Po chwili przyszedł Lio, niosąc w dłoniach świecę.

– Widzę, że nie jesteś wystarczająco bystra.

– Nie, nie jestem.

Lio wziął od niej płaszcz i zaprosił ją, żeby rozgościła się na kanapie.

– Wyłączyli prąd. Żadnych żarówek, żadnego radia, przykro mi.

– Nie ma problemu.

– Chcesz coś do picia?

– Wodę.

– Wiesz, odkryłem coś ciekawego.

Lio zabrał ze sobą świecę, znów pozostawiając Albę zanurzoną w ciemności.

Słyszała, jak krząta się ze szklankami, następnie dobiegły do niej dźwięki wody przelewającej się do większego naczynia, może do karafki?

– Co odkryłeś?

– Nazwisko kobiety, która według ciebie jest moją siostrą, znajduje się w spisie telefonów.

Pojawił się ponownie, oświetlony światłem świecy. Trzymał w ręku kieliszki i przypominał widmo, które tym dzwonieniem oznajmiało swoje przybycie z za grobu.

– Byłem na cmentarzu – powiedział. Nalał im wody.– Sibylla Rol rzeczywiście została pochowana obok moich rodziców.

Alba chwyciła szklankę i łapczywie przysunęła ją sobie do ust.

– Czy teraz mogę liczyć na odrobinę zaufania z twojej strony? – Wypiła wszystko jednym haustem.

– Nie wiesz, czy miała kogoś – męża, dzieci?

– Od dwóch lat była mężatką, ale nigdy nie poznałam jej męża. Liczyłam, że dowiem się czegoś od ciebie, ale jak widać.... Zanim do ciebie przyszłam, przeczytałam trochę tobie. Nietrudno było znaleźć informację, że byłeś takim jakby... jak to powiedzieć?

– Czarodziejem?

– Tak, ale też...

– Dziwakiem?

– Nie dziwakiem, lecz...

– Wariatem?

Roześmiała się i podsumowała:

– Paranormalnym wariatem.

Ale ten promień radości zaczął nagle zniknąć, wsysany przez ciszę. Przez chwilę nie rozmawiali, jak gdyby nie chcieli zniszczyć miłej atmosfery, która się między nimi wytworzyła. Jednak było to niestety nieuniknione.

– W liście napisane jest coś jeszcze – powiedział Lio. Wyjął go z kieszeni i otworzył. Podstawił go pod świecę, aby i ona mogła

przeczytać tajemniczą wiadomość.– Widzisz? Tutaj.

Widziała – wypłowiła brunatne słowa pomiędzy zapisanymi odręcznie wersami.

– Napisała to cytryną, tak sędzę. To najprostszy sposób, żeby ukryć jakiś komunikat. Mówi o sumeryjskich bóstwach. – Wskazał jej słowa na kartce. – I kończy się słowem „Vril”.

– To przypomina majaczenie szaleńca.

– Dokładnie. Ale jeśli chodzi o słowo „Vril”, znam je doskonale.

– Ja nigdy go nie słyszałam – powiedziała Alba.

– Pochodzi z pewnej wiktoriańskiej powieści. – W tym momencie nie chciał wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia. – Wydaje się, że Sibylla zasugerowała mi, żebym skontaktował się z jakimś Vladimirem Kurmą, ale zachował przy tym ostrożność. Mówi, że Jednostka patrzy na wszystko. Tak napisała: *oczy i ręce Jednostki*.

– Kim może być ta Jednostka? – Alba zadała to pytanie z odrobiną niepokoju w głosie. – Wydaje się, że Sibylla się jej boi.

– Kim może być ta Sibylla – powiedział Lio, wyrzucając list, który pofrunął poza kulę światła emitowanego przez świecę. – Masz jakieś bezpieczne miejsce, w którym możesz się skryć, dopóki ta cała sprawa się nie wyjaśni? Pojedź tam.

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Ale przez chwilę zastanowiła się nad tym.

– Wierzę, że to wielkie nieporozumienie – powiedział Lio. Nie jestem osobą, której wszyscy szukają. W każdym razie, kręcenie się w pobliżu mnie jest dla ciebie niebezpieczne. Gdyby nie trwała wojna, gdybyśmy nie byli niewolnikami nazistów, gdybyśmy nie byli prowadzeni przez tyrana, który miota się niczym śmiertelnie ranioną bestią, poradziłbym ci, żebyś niezwłocznie zwróciła się do władz. Tylko że...

– Rany boskie! – Alba wzdrygnęła się i zaczęła drżeć. Żeby nie dać nic po sobie poznać, wstała i zaczęła kręcić się w tę i z powrotem po ciemnym pokoju.

Strach był jej obcy. Ktokolwiek ją znał, nawet krótko, dobrze wiedział, że jej twardy, wręcz męski charakter, zawsze pozwalał jej stawić czoła przeciwnościom losu, czasami nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi. Wszelkie zagrożenia dodawały jej jedynie odwagi. Już jako dziecko – począwszy od dnia, w którym uzmysłowiła sobie, że jest dziewczynką, i zdała sobie sprawę, co ten fakt dla niej oznaczał – postanowiła iść przez życie z podniesioną głową. I przy licznych okazjach, najpierw w szkole, później w pracy, w trudnych sytuacjach wykazywała się większą odpornością niż niejeden przedstawiciel płci męskiej. Lubiała wieść prym, zawsze jej się to podobało, natomiast nigdy nie okazywała słabości i strachu. Wzięła kilka głębokich wdechów w nadziei, że serce

przestanie jej walić. Następnie powtórzyła tę czynność, usiłując równocześnie osuszyć sobie wnętrze dłoni. Ale niepokój wciąż jej nie opuszczał.

– Chcesz zapalić? – spytał Lio.

Przestała chodzić i usiadła koło niego.

– Tak.

Wkrótce pokój znów zaczął napełniać się dymem. Na ścianach całego mieszkania odłożyła się gruba warstwa oleistej mazi. Choć nie można było powiedzieć, że wszystko to było owocem pracy płuc Lio, z pewnością miał w tym swój znaczny udział. Przy każdym zaciągnięciu się papierosem i rozżarzaniu się jego końcówki z mroku wynurzały się ich twarze. Zasepieni i rozgniewani rzucaли sobie jednak co chwila pojednawcze spojrzenia.

– Wiesz, o czym teraz myślę? – zapytała Alba.

– Potrafisz usłyszeć moje myśli, nawet jeśli milczę?

– Nigdy nie próbowałem tego, z nikim. To nie jest zbyt przyjemna rzecz, uwierz mi.

– Ale gdybyś chciał, potrafiłbyś?

– Zależy. Do tego potrzebna jest harmonia. Jeśli jej nie ma, słyszę tylko eksplodujące myśli.

– Eksplodujące?

– Te wyrzucane w silnych emocjach.

– Rozumiem.

Poszukał jej wzroku.

– Rozczarowałem cię?

– Powiedziałabym, że uspokoiłeś.

Lio uśmiechnął się.

– Ale czasami mogę je usłyszeć z dużą łatwością, nawet wtedy, kiedy nie chcę.

Alba znowu się zmieszała i nerwowo zaciągnęła się papierosem. – Mam nadzieję, że nie zdarza ci się to z kinowymi aktorkami.

– Nie. Zdarza mi się, kiedy ktoś jest taki sam jak ja.

– Masz na myśli, że jest medium?

– Nigdy nie używam takich słów, nie jestem medium, one nie istnieją, ale jeśli to ma nam pomóc w zrozumieniu się... Tak, jeśli uda mi się zestroić z jego wewnętrznym głosem... To może mieć miejsce nawet na dużą odległość.

Głos Lio zaczął się coraz bardziej oddalać, jakby rozpływał się w jego myślach, ale Alba nie powstrzymała go. Przez dłuższą chwilę trwali tak w milczeniu, podczas gdy świeca wciąż dopalała się w mosiężnym lichtarzu. W końcu płomień zaczął trząść się i pokaszływać, aż w końcu zgasł, pozostawiając po sobie tylko wąską smugę dymu. Wtedy Lio wstał i poszedł poszukać kolejnej świeczki.

Alba zrozumiała, że nie znalazł jej, gdy usłyszała, jak próbuje zapalić światło, naciskając włączniki w każdym pokoju.

– Powiedziałaś, że znasz to słowo?

– Jakie? – zapytał Lio, który wrócił do salonu, ale wciąż był niewidoczny.

– Vril – odparła Alba. Wypowiedziała je po raz pierwszy, ale zapragnęła je powtórzyć, tak jakby chciała je przeżuć i sprawdzić, jaki miało smak. – Vril. Co to znaczy? Co to za język?

– To język Vril-Yan.

– Czyli kogo?

– To lud żyjący we wnętrzu ziemi, zrodzony w wyobraźni angielskiego pisarza z poprzedniego stulecia, który nazywał się Edward Bulwer-Lytton. Jego powieść zatytułowana *Nadchodząca rasa* to dzieło z gatunku fantastyki, ale ze względu na fakt, że Lytton był różokrzyżowcem, całkiem spora grupa ludzi potraktowała je poważnie.

– A co oznacza „Vril”?

– Nie umiem tego wyjaśnić w kilku słowach – powiedział Lio, przypominając sobie, co wiedział na temat tej powieści. Czytał ją kilka lat temu i choć książka zrobiła na nim duże wrażenie, nie mógł dokładnie sobie przypomnieć, w jaki sposób Lytton

opisał energię Vril. – To bardzo silna energia, która w zależności od użycia może być niszcząca lub twórcza, do tego stopnia, że umożliwia latanie ciału ludzkiemu lub przedmiotom i może rozłupywać skały, świecić światłem tak silnym jak słońce. Vril-Yanie są dzięki temu w stanie uprawiać rolę w zamieszkałych przez siebie rejonach, pod ziemią. To wymyślona energia, Albo. – Położył jej dłoń na ramieniu. – Wymyślona, tak samo jak fabuła, która o niej opowiada.

– Może jest ktoś, kto chce użyć jej jako broni?

– Bo ja wiem? – odparł Lio, siadając obok niej. – Jak już ci powiedziałem, według niektórych ludzi powieść ta jest czymś więcej niż fikcyjnym dziełem literackim.

Bliskość, w której się znaleźli, sprawiła, że zamilkli. Spojrzeli sobie w oczy, tak jakby widzieli się pierwszy raz, jakby chcieli wymazać wszystko, co do tej pory zostało powiedziane, i wyznaczyć nowy początek.

– Masz zamiar szukać tego Kuurmy, o którym mówi Sibylla?

– Mam zamiar zrozumieć, o co tu chodzi.

W tym momencie Alba poczuła bezwzględną szczerłość płynącą z wypowiedzi Lio, która zdawała się emanować całego ciała mężczyzny niczym fale radiowe. Musnęła dłonią jego policzek – pod napiętą i ciepłą skórą buzowała ogromna desperacja i wrażliwość. Docisnęła lekko dłońdo jego twarzy. Nieskończona liczba igiełek ukłuła jej zimną i wilgotną dłoń.

Kiedy mówił, że jej się podoba, nie mylił się. Być może naprawdę potrafił czytać w myślach innych.

Rozdział 27

Odpływające w ciemność miasto niknęło w bezkształtnej mgłę w tylnej szybie samochodu. Ciężkie krople wody uderzały o boczne szyby i rozpląwały się przed jego nieobecny, zawieszony w próżni spojrzeniem: Reis rozmyślał o tym, jak nieuchwytna jest rzeczywistość, jak krótkie jest życie. Otworzył teczkę, w której znajdowało się kilka niewielkich, skropionych sokiem z cytryny arkuszy papieru ryżowego, i włożył sobie jeden z nich do ust.

– Nie pamięta, żeby miał siostrę – powiedział, żując papier i wymieniając z Marconim spojrzenia we wstecznym lusterku. – Ale jeśli chodzi o całą resztę, wszystkow porządku – dodał.

– Ludzie Gigera zapłaciliby góry złota, żeby mieć u siebie kogoś takiego jak on.

– Z pewnością OVRA nasłuchuje teraz radia Diamante. Udawajmy, że nic nie wiemy o jej aresztowaniu. Zakomunikujmy jej, że Lio Rol jest prawdziwym medium i że właśnie go werbujemy w nasze szeregi. Poprośmy ją, żeby przekazała tę informację do Londynu.

Marconi zgodził się. – Nadszedł czas, żeby złożyć Lio Rola w ofierze nieprzyjacielowi – stwierdził.

– A kiedy bogowie poczują jej słodki zapach, zlecą się nad nią niczym muchy – powiedział Reis z ustami pełnymi papieru.

Marconi zwiększył bieg i przyśpieszył w kierunku ciemnej i mokrej ulicy, przysuwając twarz do przedniej szyby.

– „Wszystko w porządku” oznacza, że Lio Rol jest ósemką?

– Z tego, co komunikuje, wnioskuję, że jest siódemką. Nie chciałbym się zagalopować.

– Ale...

– Wiem. – Reis przełknął papierową kulę.
– Popęłnił kilka błędów – powiedział i zaczął przeżuwać kolejny arkusz papieru. – Nigdy nie wiadomo.

Przeżuwał w rytm stukotu uruchomionych przez Marconiego wycieraczek, wspominając z rozczarowaniem ćwiczenie Lio. „Widział” nazwisko Reisa na szklanej plakietce dzwonnka, a ten interesujący szczegół sprawiał, że pisarz stawał się wiarygodny. Niemniej, mógł strzelać i mieć szczęście. W swojej długiej karierze specjalisty w werbowaniu szpiegów poznał dziesiątki obdarzonych szczęściem łajdakówi zrozumiał, że łączyła ich technika wymyślania sobie jakichś szczegółów w nadziei, że któryś z nich uda im się odgadnąć i wyrzucić wrażenie na naiwniakach. Ale on z pewnością do nich nie należał, podobnie jak ci z Towarzystwa Vril.

Bardzo ważne było, żeby Lio Rol dochował swoich przyrzeczeń.

Oparł głowę o siedzenie i kontynuował przeżuwanie ryżowego papieru.

– Na trzecią w nocy przewidziany jest kontakt z radiem – poinformował go Marconi.

– Dobrze.

Reis wydobył z siebie długie westchnienie – papier skończył się, a wraz z nim zniknęły wiadomości, których postanowił nie przekazywać dalej.

– Lio Rol to autentyczna siódemka, pamiętaj. A mychcemy go wśród nas. – Uwielbiał smak papieru ryżowego. – Mam ochotę posłuchać muzyki.

Chytry uśmieszek Marconiego odbił się w lusterku.

– Fortepianu – powiedział Reis. – Chciałbym posłuchać Brahmsa, *Intermezzo, opus 118*. A potem Schuberta, Wagnera, Bacha, Beethovena... Co ty na to? Prowadzimy wojnę z wielkim narodem. Uwielbiam i podziwiam Niemców. Chciałbym w końcu móc zapomnieć o tej wojnie.

– Nie ty jeden. Wszyscy chcemy o niej zapomnieć.

– Nie masz jednak wrażenia, że wielu rozkoszuje się widokiem krwi?

– Nawet zbyt wielu – odparł Marconi. Przynął twarzdo zaparowanej szyby. Chwycił kawałek irchy i przetarłnią szkło.

– Obawiam się, że zbyt wielu z nich uwielbia to piekło.

– Racja.

Przednia szyba odparowała, także dzięki strumieniowi powietrza, który Marconi puścił z wylotu w desce rozdzielczej. Chwilę później Reis, kołysany przez gumowe szuranie wycieraczek, zaczął zapadać w sen, gdy zdał sobie sprawę, że samochód zwalnia.

– Co się dzieje? – zapytał, rzucając się do przodu. Próbował dostrzec szczegóły ulicy przez ścianę deszczu, ale ujrzał tylko ciemny horyzont – dokładnie taką samą nicość, jak chwilę wcześniej, gdy wyobrażał sobie koniec wojny. Już miał się oprzeć, spróbować

o wszystkim zapomnieć i chwilę odpocząć, gdy nagle zawołał go wyraźnie przejęty Marconi.

– Co się dzieje? – zapytał, kładąc rękę na pistolecie, który trzymał pod lewą pachą.

Marconi zwolnił jeszcze bardziej.

– Wydaje mi się, że widzę coś na drodze.

– Nie zatrzymuj się – nakazał Reis.

– Ale...

– Nie zatrzymuj się, powiedziałem. – Sprawdził magazynek i stuknął w lufę.

Słyszając ten dźwięk, Marconi również chwycił za swoją berettę i jedną ręką wykonał te same czynności.

– Wygląda jak... – wymamrotał, jeszcze bardziej zwalniając.

– Nie zatrzymuj się, powiedziałem. – Reis gotowy był wpakować mu kulkę w kark, gdyby go nie posłuchał.

– Wygląda jak dziecko – powiedział Marconi, przyspieszając bez przekonania.

W tym momencie również Reis je dostrzegł. Szybko zastanowił się, co to mogło być, i doszedł do wniosku, że przypominało właśnie dziecko leżące na środku ulicy. Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej, nabrał pewności. Nie podobało mu się to. Co robiło dziecko na środku drogi w strugach deszczu?

Nie żyło? Żle się czuło? Zgubiło się?

– Nie zatrzymuj się – powiedział.

Zjechali trochę na bok, żeby ominąć ciało. W chwili, gdy przejeżdżali obok, zdołali dojrzeć, że w istocie byłoto dziecko w wieku około czterech lat. Nagle przedniekoło wjechało w wielką kałużę, zalewając strugą wody pobocze drogi. Auto wpadło w poślizg, ale pobladłyna twarzy Marconi zdołał zapanować nad pojazdem. Odłożył pistolet na siedzenie obok i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. Przed nim nikogo nie było.

Reis spojrział do tyłu – tam też pusto.

– Może jeszcze żyło – powiedział Marconi przygnębionym tonem.

– No dobra. – Reis zacisnął palce na kolbie pistoletu. – Zawróć.

Mężczyzna wykonał polecenie.

– Przejedziemy obok, ale nie zatrzymamy się, ja otworzę drzwi i wciągnę je do środka.

– Rozumiem.

– Ale nie zatrzymuj się – powtórzył Reis, otwierając minimalnie drzwi i przygotowując się do wciągnięcia dziecka – żywego czy martwego – za ramię.

Ostrożności nigdy za wiele – krótka i ważna przestroga, która powinna wryć się w pamięć każdego szpiega.

Było to jego motto.

Nigdy o nim nie zapominał i zawsze go przestrzegał. Zawsze, aż do tej chwili.

Życie. To właśnie dlatego – dla życia. Ratowanie ludzkich istnień, w szczególności życia kobiet i dzieci, było jego zadaniem, jego siłą i słabością zarazem.

O tej słabości musieli wiedzieć już także jego wrogowie, a z pewnością wiedziały o niej

dwie postaci, które nagle wyskoczyły z pobocza i zagroziły drogę samochodowi, celując w nich z karabinu.

Życie. Oddech.

Z reflekssem godnym pilota wyścigowego Marconi wrzucił drugi bieg i dodał gazu. Podczas wykonywania nawrotki opony dymiły, wydając głośny syk. „Jedź, jedź!” – krzyczałw duchu. Samochód zdołał odjechać na kilka metrów, jednak dopadł go deszcz amunicji, przeszywając na wylot siedzącego z tyłu pasażera.

Marconi zaciągnął hamulec ręczny, otworzył drzwi i wyskoczył na drogę. Jego ciało wykonało kilka bezwładnych piruetów, obijając się boleśnie o asfalt. Kiedy tylko zdołał stanąć na nogi, otworzył ogień. Opróżnił magazynek, chowając się jednocześnie za autem. Załadował ponownie. Dwie postaci wciąż strzelały, biegnąc w jego kierunku. Znajdował się w samym środku iskrzącej

nawałnicy. To koniec – pomyślał. Odetchnął głęboko.

Policzył do trzech. Uklęknął na sztucznych kolanach, ale nie czuł bólu. Wycelował poprzez strugi deszczu.

Dwa celne strzały: jeden w serce, drugi w głowę.

Serce i głowa – to, co jest niezbędne do życia, decyduje również o śmierci. Zdążył sobie jeszcze uzmysłwić, że jego spotkanie z kostuchą zostało odłożone na później, i złapać oddech, po czym podbiegł do rzeźącego ciała Reisa, przewróconego na bok na siedzeniu.

– Wytrzymaj – powiedział. Nie tracąc ani chwili, opróżnił kieszenie obu zabójców i kopnął ich ciała, strącając je do kanału.

Dziecko nie żyło – i to co najmniej od dziesięciu dni. W tej krótkiej i burzliwej chwili zdołał jeszcze wywnioskować, że prawdopodobnie musiało zostać wyciągnięte z gruzów po bombardowaniu.

– Wytrzymaj! – powiedział, siadając za kierownicą. Silnik natychmiast odpalił.

– Wytrzymaj – powtarzał przez całą drogę. Dojechawszy do domu Reisa, wysiadł i wyciągnął przyjaciela z samochodu, podtrzymując go pod pachami. Szurając obcasami, zawlókł go na pierwsze piętro. Reis podskakiwał na każdym stopniu, plując krwią.

– Autentyczna siódemka – wybełkotał Reis, gdy Marconi przetrząsał mu kieszenie w poszukiwaniu klucza od domu, nie przestając powtarzać, żeby wytrzymał. Jedyna nadzieja tliła się w apteczce, którą ranny trzymał w mieszkaniu. Wyglądało jednak na to, że jest w krytycznym stanie.

W końcu Marconi znalazł klucze, ale musiał sprawdzić dwa z nich, zanim trafił na ten właściwy. Popchnął drzwi, pochylił się nad rannym, złapał go i przeciągnął przez korytarz aż do gabinetu, gdzie znajdowało się wszystko, czego potrzebował, żeby wykonać

karkołomny zabieg. „Mam nadzieję, że nie trafili go skutecznie” – pomyślał, podnosząc ciało przyjaciela z siłą, o którą się nie podejrzewał, i układając go na wznak na biurku.

– Gdzie jest apteczka?

Reis, z którego pleców lała się krew, ledwo zdołał wskazać palcem szafkę i w tym momencie obok swojej twarzy ujrzał liścik z napisem:

Przepraszam za spóźnienie. Diamante.

Był do czegoś przymocowany – do czarnej masy, która z trudem przybierała jakiś kształt w splątanym umyśle Reisa. Kartka zwisała z wełnianego sznurka, a przymocowana była do... W tych ostatnich i urywanych chwilach świadomości Reis nie mógł uwierzyć w to, co widział. Chciał się podciągnąć, żeby przyjrzeć się tej niezwykłej rzeczy. Zakaszłał, spluwając krwią, na co Marconi pomógł mu unieść głowę: kartka przymocowana była wełnianym sznurkiem do dziurki w guziku...

Pośrednik Panopticonu wszedł do domu pod jego nieobecność i zostawił mu zacerowane oraz wyprane przez Diamante ubranie, ostatnie ubranie.

To, co widniało przed jego zamykającymi się właśnie na wieki oczami, to był garnitur: idealnie wyprasowanej złożone spodnie i marynarka. Dokładnie tak jak przewidział Lio Rol.

Zdążył jeszcze uczepić się kołnierza Marconiegoi wyszeptać mu do ucha ostatnie słowa:

– Autentyczna dziesiątka – powiedział, układając usta w łagodnym uśmiechu.

Życie? Oddech.

Rozdział 28

Leżąc z rękoma wsuniętymi pomiędzy głowę a poduszkę, Lio wyczuwał dźwięczne wibrowanie swojego głosu w klatce piersiowej, pod jej policzkiem. Nasłuchiwał igrającego z jego ciepłym oddechem dźwięku i stwierdził, że podobało mu się to.

Kiedy zaś mówiła Alba, nie było żadnych wibracji, tylko delikatny, melodyjny strumień powietrza, lekki podmuch muskający jego skórę.

Głęboka ciemność nadawała kształt odgłosom.

Wyobraził sobie mówiącego coś lub rozmyślającego na głos Stwórcę, który właśnie przybył do pustego jeszcze wszechświata niczym nabywca domu. O czym rozprawiał – nie wiadomo.

Chwilę później dłoń Alby stworzyła jakąś galaktykę, gładząc jego usta.

- Opowiedz mi o swoich podróżach.
- Całe moje życie to podróż.
- Miejsce, do którego byś nie wrócił? –
Wciąż nie dawała za wygraną.

Jego tors podniósł się i opadł, a ona, leżąc z przyciśniętym do jego żeber uchem, poczuła metaliczny, spotęgowany pogłos westchnienia i uśmiechnęła się.

- Co jest? – zapytał.
- Nic – odpowiedziała.
- Byłem w pewnej wiosce w Nikaragui, w której wielu mieszkańców miało tylko jedną rękę. Otóż, po tym jak zostali ugryzieni przez węża koralowego, jednym cięciem maczety odcinali sobie zranione kończyny. Wierz mi, większej odwagi trzeba by było, żeby tego nie zrobić. Mieli mniej więcej półtorej minuty na decyzję, potem byłoby już za późno. Muy Muy nie jest miejscem dla ludzi przyzwyczajonych do wygodnego życia. Dwa razy dziennie przechodziły tamtędy burze, wieczna, piekielna sauna. Do tego

ciągle musieliśmy smarować się ziemią, żeby uchronić się przed komarami. Nocą zawieszaliśmy nasze buty w górze, próbując w ten sposób uniknąć porannej niespodzianki w postaci jakiejś siedzącej w nich plugawej bestii.

– Co robiłeś w Muy Muy?

– Towarzyszyłem pewnym osobom.

– To najgorsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłeś?

– Nie pamiętam wszystkich. Może nie najgorsze.

– Które podobało ci się najbardziej?

– Nie umiem powiedzieć. Nie jest to jakieś konkretne miejsce. To raczej pewien stan, chwila, coś, co czasami jest niepowtarzalne. Uwielbiam perłowe światło brzasku, które rozplywa się w półmroku pod dużymi drzewami i starożytnymi ruinami, kiedy ciemność nocy ulatnia się nieśpiesznie, a powietrze jest świeże i pachnie wilgotną ziemią. Uwielbiam wystające z wody skały,

dominujące nad zimnymi ciemnymi wodami
mórz, słonawą bryzę zalewającą płuca,
horyzont, który niesie spojrzeniu radość.

Rozdział 29

Roux złożył sobie ręce na brzuchu, układając się wygodnie na leżance.

– Więc? – zapytał.

Młody żołnierz odchrząknął lekko.

– Jednego zraniliśmy – powiedział z wahaniem – ale udało im się uciec.

Był blady z przerażenia. Ponownie odchrząknął, ale raczej po to, by przełknąć ślinę, gdyż serce podeszłomu do gardła i zdawało się, że ma zamiar wyjść ustami. Następnie zdobył się na odwagę i przyznał:

– Dwóch naszych zginęło w strzelaninie.

„Przynajmniej oni – pomyślał Roux – nigdy nie będą musieli konfrontować się ze smutną starością”. Zostali wyrwani bezlitosnemu upływowi czasu, tej przebrzydłej kreaturze, która nieśpiesznie żywiła się jego jeszcze młodym i silnym ciałem, nadgryzając je dzień po dniu.

– Nie o to cię pytałem – wypomniał mu, jednak w jego głębokim głosie nie dało się wyczuć rozdrażnienia. Zawsze mówił spokojnie i jednostajnie, niczym silnik pracujący na najniższym biegu.

– Wiem, proszę pana, ale...

– Możesz sobie wsadzić gdzieś swoje „ale”.

Dlaczego wszyscy nie byli tak uważni i skrupulatni jak on? No, może połowa niego. Dlaczego nie miał tego charakterystycznego dla niego chłodu, który zachowywał nawet w najtrudniejszych chwilach? Choćby połowy jego chłodu.

– Znajdź go – nakazał ze spokojem – a kiedy będziesz odchodził, powiedz doktorowi, że może wejść.

– Żołnierz zeszywniał w jednej chwili, jakby przebiegł przez niego prąd, i stuknął obcasami, prostując prawe ramię.

– Wedle rozkazu!

Wątle i delikatne kosmyki włosów spadające na uszy Roux były siwe już od dziesięciu

lat. Ale jego oczy, wciśnięte w poorly bliznami twarz niczym dwa nowe oknaw walącą się ścianę, wciąż miały ten młodzieńczy blask.

– Dobry wieczór, pułkownik Roux. Jest pan gotowy?

– Jestem gotowy. – Zamknął oczy. Na jego twarzy rozciągnęła się wilgotna i ciepła gaza.

– Przyjemnie panu?

– Nie, to nie jest przyjemne.

– Rozumiem – powiedział lekarz. – Proszę się teraz położyć na wznak.

Roux wykonał polecenie. Słyszał, jak lekarz oddalił się na chwilę, a następnie powrócił z czymś, co kapało na stalową tackę, i powiedział:

– Doskonała skóra.

Oczy Roux zakryte były okładem ze ślazu, ale nie musiał ich otwierać, aby stwierdzić, że kozłę zostało obdarteze skóry dosłownie chwilę temu. Żywcem.

Ociekająca jeszcze krwią skóra otuliła jego brzuchw lubieżnym uścisku niczym spocone ciało kobiety. Uważał, że to obrzydliwy, średniowieczny zabieg, ale wydawało mu się, że działa – i lubił go. Niewiele rzeczy było w stanie poruszyć jego przepelnioną okrucieństwem duszę.

Rozdział 30

Berlin

Operator zgasił światła w sali i uruchomił brzęczący projektor. Jednak ten nieznośny dźwięk natychmiast został zagłuszony przez muzykę, a po chwili urządzenie wystrzeliło w kierunku ekranu snop jasnego światła:

A WALT DISNEY FEATURE PRODUCTION

A poniżej gotycką czcionką:

Snow White and the Seven Dwarfs

Dwóch jedynych widzów obecnych na projekcji zajęło miejsce w szóstym rzędzie pośrodku sali, zmieniająco chwilę ułożenie rąk w poszukiwaniu najdogodniejszej pozycji w fotelu. Niezliczony już raz rozkoszowali się

oglądaniem tego – według nich – wielkiego arcydzieła.

W siódmym rządzie, za plecami ministra propagandy Josepha Goebbelsa, siedział tłumacz, który jak zwykle czekał w gotowości, żeby szeptem przekazywać mu do ucha przełożone na język niemiecki dialogi (choć z biegiem czasu jego obecność stawała się coraz mniej potrzebna – nie dlatego, że minister nauczył się angielskiego, ale dlatego, że znał już film prawie na pamięć). W fotelu obok ministra siedział Führer, Adolf Hitler.

To już piąty, może szósty raz, gdy oglądali ten film wspólnie, nie bacząc zupełnie na fakt, że był to produkt kinematografii amerykańskiej. Nie przeszkadzało im również to, że wiedzieli, iż Zła Królowa jest kalką posągu Uty z Naumburga, i że ten najpiękniejszy i najczystszy przykład kobiecego germańskiego uroku został zmieniony w nikczemną istotę.

Czysta propaganda antyniemiecka!

To dlatego Führer i minister Goebbels rozpoczynali oglądanie swojej ulubionej bajki zawsze z tym samym grymasem oburzenia.

Po długich napisach początkowych wciągani byli wprost do magicznego świata baśni i zatracali się w animowanej historii z rosnącym z każdą minutą i klatką filmu entuzjazmem, osiągając w kulminacyjnych momentach szczytowe wzruszenie.

*Lustreczko, powiedz przecie,
kto jest najpiękniejszy w świecie?*

Za każdym razem film od samego początku niemal zaczarowywał obu widzów, przemieniając ich w małych chłopców niemogących oderwać wzroku od kinowego ekranu. I pewnym było, że do samego końca będą siedzieć z takim samym zachwytem, jaki malował się na ich twarzach w tej chwili, z zadartym do góry nosem i niewinnym uśmiechem, w którym nieznacznie rozchyłały się ich wargi. Niewysłowiony zachwyty, jaki wzbudzała w nich historia stworzona przez

braci Grimm i zobrażowana przez tego masona Walta Disneya, był jedną z niewielu rzeczy, jakie pozwalały im uwolnić się na chwilę od trosk wojny, wewnętrznych intryg pałacowych, czających się za rogiem zdrad i sztyletów gotowych w każdej chwili wbić im sięw plecy. To dlatego uznali, że nie ma sensu na próżno próbować zasnąć po wizycie, jaką złożył im Reichsführer SS, i schronili się w prywatnej sali kinowej Führera. Surowy nakaz: nie przeszkadzać.

Ale do ich umysłów pomiędzy kolorowe rysunki wkradały się zdjęcia projektów nowej broni, jaką właśnie z dumą zaprezentował im Himmler. Wspomnienie jego ożywionego głosu zagłuszało im ścieżkę dźwiękową filmu.

Tyś, królowo, najpiękniejsza jest na świecie...

To minister Goebbels nazwał ją Wunderwaffe– cudowną bronią. I był nią podekscytowany. Miał zamiar uczynić z niej dźwignię propagandy. Pierwszym celem, w który

miałaby uderzyć cudowna broń, były serca Niemców. Jej pierwszą misją – jeszcze przed zakończeniem prac i zanim tak naprawdę okazałoby się, czy doktor Shaubeger i doktor Shappeller zdołają ją uruchomić – miało być wzbudzenie entuzjazmu w narodzie i zacieśnienie jego więzi z Führerem.

Magiczne lustro oznajmiło królowej, że to już nie ona była najpiękniejsza w całym królestwie – pojawiła się dziewczyna, która przewyższała ją urodą.

Broń Shaubegera obchodziła Führera tyle, co zeszłoroczny śnieg, tak samo jak jego rzekome postępy, czy raczej wzmianki Reichsführera na ten temat. Całe to mrowie pomysłów i idei nie podobało mu się. Kojarzył je z pętami biurokratycznej maszyny, coraz mocniej zaciskającymi się na kostkach Rzeszy. Wszystko to było potokiem słów, pieczęci, zaświadczeń i zbędnego bajdurzenia, mającego niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Królewna Śnieżka śpiewała właśnie w duecie ze studnią, gdy przybył księżę na wspaniałym białym koniu.

Powinien dać w jakiś sposób do zrozumienia Himmlerowi, że przez tę chorobliwą obsesję na punkcie poszukiwań rasy aryjskiej i potomków ludu z Atlantydy zwracałytko niepotrzebnie uwagę całego świata na fakt, że gdy Rzymianie i inne narody wznosiły pałace i budowały drogi, Germanie mieszkali jeszcze w szałasach.

A teraz wtrącił się jeszcze Shaubberger i wmówiłmu, że jest w stanie skonstruować pojazd, który odwróci losy wojny.

Nie ufał nikomu – zwłaszcza Himmlerowi. Wiedział, że miał ambicję zostać Führerem.

Zła Królowa, wyglądająca przez duże okno swojego zamczyska, płonęła z zazdrości, patrząc, jak księżę odśpiewuje serenadę pod balkonem innej. Jeden z białych gołębi Królewny Śnieżki przysiadł na palcu księcia i zarumienił się ze wstydu.

Pierwotna maszyna Shappellera zamontowana na pojazdach Shaubergera jako zespół napędowy? Dopóki nie zobaczy jej na własne oczy... Zbyt wiele pieniędzy zmarnotrawił na poszukiwania po całym świecie nieistniejących przodków i projektowanie cudownej broni. A jednak, jeżeli Rzeszy naprawdę udałooby się zdobyć nową broń... jeżeli to, co obiecywał doktor Shauburger... jeżeli pierwotna maszyna Shappellera...

Był skłonny zniszczyć cały świat, byleby tylko nie dostał się w niepowołane ręce.

„Niech Bóg wybaczy mi ostatnie pięć minut wojny” – pomyślał Führer.

Królowa nakazała myśliwemu, żeby dostarczył jej serce Śnieżki. Ale dzierząca sztylet ręka łowcy zatrzymała się.

Królowna Śnieżka uciekła do lasu.

Teraz otaczały ją drzewa rozpostarte nad nią niczym demony, monstrualne konary, tysiące śledzących ją w ciemnościach oczu – czy było to metaforyczne ujęcie Rzeszy

obserwowanej przez nieomyślne tajne służby alianatów? Rzesza błędząca we wrogim gąszczu lasu?

Führerowi zaczynało brakować tchu, więc poluzował sobie krawat, ale na szczęście na ekranie znów zaświeciło słońce.

A może broń Shaubergera i Shappellera naprawdę miała cudowną moc, a pomysł Goebbelsa, żeby wykorzystają jeszcze przed ukończeniem prac i wlać nadzieję w dusze rodaków, był godny uwagi? Może dobrze zrobił, ulegając mu i podpisując ponowną zgodę na finansowanie projektu?

„Niech Bóg wybaczy mi ostatnie pięć minut wojny” – pomyślał znowu, zgrzytając zębami.

Tymczasem w świetle dziennym okazało się, że to, czego obawiała się Królowna Śnieżka, było jedynie stadem łagodnych wiewiórek i jelonków, słodkich ptaszków i motyli.

Zagrożenie zniknęło. To tylko zły sen.

A jeśli to Ameryka jest Królewną Śnieżką, a potulne wiewiórki przedstawiały Niemców?

Zgrzytnął zębami tak mocno, że nie zagłuszyła go nawet płynąca w tle muzyka.

Minister Goebbels zorientował się, że Führer nie był skupiony na bajce tak jak zwykle. Być może on też myślał o rozmowach, jakie toczyły się podczas spotkania. Zerknął na niego kątem oka. Zazwyczaj Führer śmiał się serdecznie, kiedy leśne zwierzęta robiły porządki w domku krasnoludków.

W szczególności bawił go jelonek, który wylizywał talerze, a ogonem odkurzał krzesła. Tym razem jednak Führer wpatrywał się tępo w ekran.

Nawet podczas sceny pracujących w kopalni krasnoludków nie pozwolił sobie na swój zwyczajowy, złośliwy komentarz na temat podziemnego świata, o którym bredził Himmler.

Nie drgnął również wtedy, gdy leżąca na łóżku i otoczona przez krasnale Śnieżka zachowywała się w ten sam powściągliwy, a zarazem czarujący sposób, w jaki zazwyczaj dodawała sobie powabu Ewa Braun. Był jakby nieobecny nawet wtedy, gdy zmusiła krasnoludki do mycia się. Jedynie scena, w której oszukana przez myśliwego królowa, pokazuje magicznemu lustru szkatułkę, w przekonaniu, że zawiera serce Królowny Śnieżki, i dowiaduje się, że jest to serce dzika, wywołała jego reakcję.

Zdrada zawsze czai się za rogiem!

Teraz królowa uciekała się do magii! Uta z Naumburga – Niemcy, przedstawione jako stara czarownica. Może Amerykanie chcieli nawiązać do faktu, że jakaś żyjąca w siedemnastym wieku antenatka Himmlera została spalona na stosie jako czarownica. A może twórcy filmów animowanych już od 1937 roku wiedzieli o fascynacji członków Rzeszy magią i wyśmiewali ją publicznie za pomocą

dział sztuki, które pozostaną wieczną pamiętką ich upadku?

Magia – źródło jego mocy – teraz, niczym królowa, przekształcało się w coś innego.

Niech wieje wichry i wzburzy mi krew.

Jeżeli nieprzyjaciel wie, że on konsultuje się z astrologami i korzysta z pomocy gwiazd, decydując o ustawieniach swoich wojsk, wystarczy, że spojrzy w niebo, aby przewidzieć całą jego strategię – to proste.

Piorunów blask niech zapali mój gniew.

Hess dobrowolnie oddał się w ręce Anglików, po tym jak doradzili mu to astrologowie.

Ci sami astrologowie przewidują, że zima będzie łagodna, i nakłaniają do wysłania wojsk na Rosję z wyposażeniem, w którym przetrwałyby co najwyżej włoskie lato!

Był głupcem, nie rozumiejąc tego od samego początku. Okultyzm, sztuki tajemne...

Führer zacisnął pięści ze złości.

Tajemne, a jednak wszyscy o nich mówią.

Margrabina Miśni, piękna Uta z Naumburga, zmieniona w...

– Wszystko dobrze, mój wodzu?

Przytaknął oschle.

– Ta bajka – wycedził kącikiem ust, który znajdował się bliżej Goebbelsa – zawsze uczy czegoś nowego.

– Zgadza się – szepnął minister. – Nigdy się nie znudzi.

„A może jednemu z czarnoksiężników Rzeszy udało się podrzucić mi zatrute jabłko?” – pomyślał Führer.

Śmiertelny sen!

Zaczął podskakiwać na fotelu, śmiejąc się w duchu, ale zachowując beznamiętny wyraz twarzy.

Jeden kęs trującego jabłka, a oczy ofiary zamkną się nazawsze w śmiertelnym śnie!

Wciąż się trząsał.

– Adolf, na pewno dobrze się czujesz?

– Tak, dobrze – spojrzał na niego, kiwając głową.

Tak naprawdę, kto miałby zauważyć, że Złą Królową była Uta?

Kto by pomyślał, że czaszka, w którą zmieniło się zatrute jabłko, była do złudzenia podobna do głowy kościotrupa symbolizującej oddziały SS?

Wyobraził sobie, że tak jak czarownica wkłada do koszyka śmiertelną broń, którą ofiaruje wrogowi.

„Niech Bóg wybaczy mi ostatnie pięć minut wojny!”

Teraz w końcu metaforyczny przekaz bajki był dla niego całkowicie jasny. Piękna i słodka Królewna Śnieżka przedstawiała Amerykę. Siedmiu karłów – robotników pracujących w podziemnym świecie – było doskonałą parodiąobsesji Himmlera (a także jego samego, nawet jeśli nie zawsze był skłonny to przyznać) na temat antycznej rasy ocalałych gigantów z Atlantydy, żyjących wciąż w podziemnej Agharcie. Zła Królowa,

zmieniająca się w starą czarownicę, przedstawiała Niemcy.

Tak, dokładnie! Czarownica próbuje przekazać jabłko Królownie Śnieżce, ale szybko zostaje zaatakowana przez potężniejsze lotnictwo aliantów (czyż to przypadek, że istniała nawet mała amerykańska eskadra samolotów o nazwie „Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków”, na których kadłubach namalowane były postaci Walta Disneya?).

Znowu zacisnął w złości pięści.

Oto widział uciekające przed obławą karłów Niemcy, stojące nad urwiskiem w trakcie burzy. Nagle w urwisko uderza piorun, spychając Niemcy w przepaść, wprostna spotkanie ze śmiercią.

Jaką bronią był ten piorun? Do czego nawiązywał?

A Ameryka – skromna, niewinna, niczym święta, pogrążona w śnie w kryształowym sarkofagu...

Krew w nim zawrzała.

– Adolfie, jeśli chcesz iść...

– Chcę obejrzeć do końca – zasyczał z wściekłością. Czy pocałunek księcia też był aluzją do jakiejś broni?

Ta historia powinna mieć inne zakończenie i to właśnie on powinien je teraz dopisać.

– Idziemy – powiedział po chwili. Wstał.

Operator natychmiast włączył oświetlenie. Führer odwrócił się od ekranu, aby nie musieć czytać końcowego zdania:

I od tej pory żyli długo i szczęśliwie.

Wyobrażał sobie lepszy koniec.

– Wszystko dobrze, wodzu?

– Tak! – Wybuchnął. – Wszystko dobrze, wszystko dobrze! Włożył marynarkę i skierował się do wyjścia.

Zaferowany Goebbels pokuśtykał za nim.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Musimy sprawić, żeby Wunderwaffe była jak najszybciej gotowa. Nie mam zamiaru dłużej czekać. Albo dostarczą

w końcu tę broń, albo wydam rozkaz zaprzestania prac nad projektami.

– Przecież sam słyszałeś – wszystko jest na dobrej drodze. Wunderwaffe to już niemal rzeczywistość.

– Niemal – odparował zniecierpliwiony przywódca. Odszedł od niego na kilka metrów. V-2 von Brauna i lotnictwo Goeringa są rzeczywiste, pozostała broń Ahnen-erbe to jak na razie tylko bardzo kosztowne bajdurzenie.

– Masz zupełną rację, ale nie mówimy tu o zwyczajnych rakietach, samolotach i bombach. Tu w grę wchodzi także nowe prawa fizyki.

Na te projekty potrzeba więcej czasu, ale mogę cię zapewnić, że warto czekać.

– Czasu i pieniędzy – odparował Hitler.

– Czasu, pieniędzy i wyjątkowych umysłów – uściślił Goebbels.

– Jeśli chodzi o umysły, mamy ich pod dostatkiem.

– Ale tu potrzebne są umysły o szczególnych zdolnościach, mój wodzu.

Wysoki i dobrze zbudowany oficer SS, noszący na ramieniu charakterystyczny romb Ahnenerbe, zasalutował Führerowi i podszedł zdecydowanym krokiem do ministra, a następnie ponownie wyprostował ramię w rzymskim salucie. Najwyraźniej miał do przekazania dobre wieści.

– Z Rzymu, proszę pana.

– Mów.

– Wykopaliska na wyspie przyniosły doskonałe rezultaty. Wygląda na to, że odnaleziono zdumiewający materiał. Niebawem wszystko przyleci do Berlina.

– Dziękuję, obersturmbannführerze Giger – odpowiedział minister. – Doskonała robota, Reichsführer Himmler będzie bardzo zadowolony.

– To on polecił mi, żebym przekazał panu tę wiadomość. – Giger chrząknął.

– Jest coś jeszcze.

– Słucham cię.

– Włoska Czarownica Vril miała brata.

– No i?

– Mówią, że bardzo ją przypomina. – Wiedział, że czasami minister Goebbels wolał, aby Führer nie słyszał pewnych rozmów. Wyszeptał:

– Mógłby powiedzieć nam coś o rzeczywistym działaniu Wunderwaffe.

– Znajdźcie go natychmiast.

– Już go znaleźliśmy.

– Dobrze, bardzo dobrze!

Giger wystrzelił ramię w górę, podczas gdy minister kulejąc, usiłował dogonić Hitlera, przeklinając znowu swoją lewą nogę.

– Adolfie!

– Führer odwrócił się i zaczął na niego.

– Co jest?

– Bogowie są wciąż z nami – powiedział zadyszany.

– Doskonale. – Führer znowu zaczął iść przed siebie. – Już samo mówienie

o Wunderwaffe powoduje, że wróg truchleje, nasze tłumy radośnie skandują, a ich serca przepełniają się nadzieją. Pomyśl o chwili, kiedy jej użyjemy, Josephie!

– Niemalże to widzę.

Hitler kilkakrotnie uśmiechnął się najbardziej przebiegle, jak tylko umiał. Widząc jego aprobatę, Goebels postanowił przekazać mu nowinę:

– Zdaje się, że istnieje człowiek, który może nam powiedzieć, czy Dzwon naprawdę zadziała i co może się stać komuś, kto go użyje.

– Ach tak? Kto to jest?

– Brat pewnej niedawno zmarłej Czarownicy Vrilz Włoch, mój wodzu. – Zatrzepotał powiekami. – Pisarz, który może będzie mógł nam pomóc napisać inne zakończenie naszej historii.

– Jedyнным sposobem na napisanie innego zakończenia jest zwycięstwo, mój przyjacielu

– zaoponował Hitler.– Ponieważ to zwycięzcy zapisują karty historii.

Goebbels szedł za nim, kuśtykając.

– *Niech wieje wichry i wzburzy mi krew!*

– wyrecytował Hitler i zatrzymał się, żeby się pożegnać.

– *Piorunów blask niech zapali mój gniew!*

– odpowiedział mu minister, dając krok do przodu.

Wymienili uścisk dłoni i rzymski salut. Następnie skierowali się każdy w swoją stronę, wciąż recytując z rozbawieniem *Królewnę Śnieżkę*.

– *Jeden kęs trującego jabłka...*

– *...a oczy ofiary zamkną się na zawsze...*

– *...w śmiertelnym śnie!*

Oddalili się, pozostawiając za sobą echo swoich głośnych śmiechów.

– Dziękuję za towarzystwo, Josephie!

– To był dla mnie zaszczyt, mój wodzu.

Rozdział 31

Rzym, sobota, 23 stycznia 1943 r.

Poranne światło muskało powieki Lio, zachęcająco do otwarcia oczu. Z łazienki dochodziło przyjemne pluskanie wody w misce. Podniósł się na łokciach i spojrzał zaniepokojony na słabe słońce, które zaglądało do niego przez okno.

Jeszcze raz wsłuchał się w krystaliczny dźwięk wody. Wyobraził sobie, jak płynie, migocząc pomiędzy drobnymi palcami Alby. Jak zrasza jej włosy i sprawia, że stają się jeszcze ciemniejsze, oraz ześlizguje się po nieskazitelnej cerze.

Kiedy wyszła z łazienki, promieniała pięknem. W pełni zasługiwała na swoje imię, które oznaczało jutrzeńkę. Owinięta była białym ręcznikiem, ledwie zakrywającym jej piersi. Była smukła i kształtna, jaśniała

większym blaskiem niż słońce, leniwie wspinające się po jej ramionach.

– Dzień dobry – powiedziała, uśmiechając się do niego.

– Dzień dobry – odpowiedział Lio i przez chwilę miał wrażenie, że znajduje się w samym środku jednej ze swoich wizji. Pomyślał, że do reszty zwariował, że nie powrócił z jakiejś swojej halucynacji, która zaczęła się Bóg wie kiedy, że zagubił się nie wiadomo gdzie, w otchłani otepienia.

– Chyba znam kogoś, kto może nam pomóc – powiedziała z przechyloną głową, wycierając sobie włosy ręcznikiem.

Lio nie odpowiedział. Patrzył tylko na nią lekko oszołomionym i niedowierzającym wzrokiem, jakby właśnie nakrył w swoim domu włamywaczkę o rozbijającej urodzie. Alba nie zwróciła na niego uwagi i schyliła się, żeby podnieść białą bluzkę spod łóżka, następnie nałożyła jedwabne majtki w kolorze bieliźnianego rózu, wyłowiła biustonosz

w tym samym kolorze i ubrała się, nucąc *Nes-sun dorma*.

– Jesteś szpiegiem? – zapytał Lio, zapalając pierwszego tego dnia papierosa.

– Nie. A ty?

– Ja też nie, jak sądzę.

– „Jak sądzę”?

Lio wzruszył ramionami, wydmuchując biały dym.

– Poszedłem do lekarza.

– Źle się czujesz? – Alba przestała rozczesywać włosy grzebieniem i spojrzała na niego z przejęciem. – Cośnie tak?

– Mój umysł – odparł. – Każdego mijającego dnia jest coraz mniej „mój”. Mam wizje dotyczące przyszłości, sugestie z przeszłości, które nie mają smaku prawdziwych wspomnień, czasami słyszę też to, co myślą inni ludzie, ale tak jakbym skasował autentyczne wspomnienia z własnego życia. Wcześniej nie zwracałem na to uwagi, myślałem, że była to tylko jakaś forma

mentalnego lenistwa albo wyparcia. W gruncie rzeczy wszystko, co przy odrobinie wysiłku potrafię sobie przypomnieć, jest nieprzyjemne, tak jakby nie należało do mnie. Mam wrażenie, że szpieguję życie innych ludzi, dokładnie tak jak wtedy, gdy udzielam swoich porad. Nie pamiętam powodu, dla którego wyjechałem z Włochi postanowiłem pozostać za granicą przez tak długi czas. Być może uciekałem. Oddaliłem się stąd zarówno fizycznie, jak i mentalnie. Skupiłem się na sprawach pobocznych, godząc się na powolne i nieubłagane zapomnienie, jakim zalewał się mój umysł. Dopóki nie wyskoczyłaś z tym swoim listem... – pstryknął palcami – ...coś się nie zaświeciło.

– Co mówi lekarz?

– Mówi... – zaczął naśladować jego skrzekliwy głos – „Aktywna imaginacja, panie Rol”. Nic poważnego.

Alba zaśmiała się, rozbawiona parodią Lio.

– To wszystko? – zapytała.

Rol kontynuował udawanie lekarza, przybierając wygląd uczonego:

– Panie Rol, proszę chwilowo stronić od filmów z gatunku fantastyki, dziwacznych książek i wizjonerskich komiksów. Zobacz pan, że błyskawicznie wszystko powróci do normy. A jeśli chodzi o pańską pamięć, tym powinien się pan martwić jeszcze mniej. Przeżył pan poważną traumę, takie rzeczy nie mijają ot tak.

Nie tyle chodzi mi o eksplozję, co o horror wojny. Nawet jeśli nosił pan mundur tylko przez kilka dni, bez wątpienia widział pan okropne rzeczy. W takich przypadkach czasami umysł reaguje zamknięciem wspomnień na klucz na jakiś czas. Niech pan o tym nie myśli. Do zapłaty będzie sto lirów.

– Żadnych elektrod? – zapytała Alba, dotykając swojej głowy w kilku miejscach.

– Tylko pogaduszki – odrzekł Lio.

Alba uklękła na łóżku, przysunęła się do niego i objęła go za biodro.

- Naprawdę tam byłeś?
- U lekarza?
- Na froncie.
- Tylko przez tydzień – odpowiedział Lio.
- Do frontu właściwie nawet nie doszedłem
- pewna mina prędko odprawiła mnie do domu.

– Ale nie masz poważnych obrażeń – zauważyła, przesuwając mu palce po powiekach. – Gdybyś wszedł na minę, straciłbyś co najmniej nogę.

– Byłem dosyć daleko. O mało nie urwało mi rękii jakiś odłamek spowodował, że straciłem wzrok w lewym oku, ale na szczęście to nic poważnego... Zasłużyłem na to – jak można było iść walczyć dla Mussoliniego?! – Popukał się kostkami palców w czoło, jakby chciał dowiedzieć się, czy ktoś jest w środku.

– Już samo to wystarczy, żeby stwierdzić, że brakuje mi piątej klepki.

– Nie jestem lekarzem – powiedziała Alba. Wyjęła mu papierosa z dłoni i zgasiła

w popielniczce, a następnie położyła się obok niego. – Nie trzeba nim być, żeby rozumieć, że ktoś, kto potrafi rozróżnić wizje od rzeczywistości, nie może być wariatem. Cmoknęła go w szyję.

– Jeśli chodzi o mnie, to zgadłeś.

– Co zgadłem?

– Kiedy powiedziałaś, że mi się podobasz.

– Ty też mi się podobasz – powiedział, malując jej na brzuchu ustami niewidzialny kwadrat. – Wcześniej powiedziałaś, że znasz kogoś, kto może nam pomóc.

– Chodziło mi o list Sibylli.

– Wolałbym, żebyś trzymała się od tej sprawy z daleka. Ba, powinnaś trzymać się z daleka też ode mnie, przynajmniej do czasu, aż wszystko się wyjaśni.

– Mam kuzyna w Watykanie – powiedziała, ignorując jego ostrzeżenie. – Ma na imię Leonardo. Jest księdzem, ale też naukowcem. Dawno się z nim nie widziałam. Jestem

pewna, że z chęcią nam pomoże, jeśli go to poproszę.

– Nie ma takiej potrzeby. – Lio opuścił ciężko głowę na poduszkę i zaczął wpatrywać się w sufit.

– Dlaczego nie? Wiesz, jacy są księża – mogą wejść wszędzie i dostają to, o co poproszą. A poza tym, jeżeli w tym biblijnym fragmencie jest jakiś ukryty sens, on może pomóc ci go zrozumieć.

– Jesteś gotowa ryzykować własnym życiem, żeby pomóc mi zrozumieć, jak umarła twoja przyjaciółka?

– Nawet gdyby to nie była moja przyjaciółka, nawet gdybym jej nigdy nie znała, moja decyzja nie zmieniłaby się – zawyrokowała Alba.

– Była siostrą kogoś, kto mi się podoba, i to mi wystarcza.

Chwilę później Lio pomyślał, że tak pełne i przyjemne w dotyku usta mogły mówić wyłącznie prawdę.

Rozdział 32

Wszędzie dookoła były kałuże, brudne od nafty końskiego łajna, a delikatne zimowe słońce sprawiało, że zamieniały się w trujące opary. Zepsute i wibrujące powietrze przywodziło na myśl cholereę nękającą liczne miasteczka na południu Włoch, parujące okopy i rozsiane wszędzie, rozkładające się ciała żołnierzy.

Podmuchy wiatru niosły ze sobą nie tylko nieprzyjemny zapach, lecz także odgłosy wojny – przygnębiający tumult pojazdów wojskowych docierał nawet do dostojnych wnętrz kościołów, gdzie wiele osób usiłowało nadać sens słowu „Bóg”.

Tyber, który widział już wiele wojen i który zawiódł do swego ujścia masę trupów, jak zwykle spokojnie wślizgiwał się, bulgocząc pod białe jak sól mosty.

Światło poranka migotało na wodzie w akompaniamencie kościelnych dzwonów.

Roux wzniósł oczy do nieba – mewy śmieszki krążyły po swoich owalnych orbitach, przypominając anioły, które zstąpiły z niebios, by wydać sąd nad wiecznym miastem. Patrzyły w dół i chichotały. Ha, ha, ha!

Na myśl o tym na jego twarzy zagościł uśmiech. Panował dziwny spokój, napawający go złym przeczuciem.

Nierzeczywista cisza przerywana od czasu do czasu przez niespodziewane odgłosy lub gwałtowny gwizd.

Na myśl o wojnie i przed oczami stanęło mu morze krwi.

– Proszę pana! – Za jego plecami zatrzymał się jakiś samochód. – Proszę pana – powtórzył wysiadający z niego mężczyzna, ubrany całkowicie na czarno w kurtkę i wysokie buty ze skóry.

Nie odrywając łokci od balustrady mostu, Roux wygiął szyję i spojrział na niego przez ramię.

– Wiadomości, proszę pana.

– Mam nadzieję, że dobre – odpowiedział Roux, spoglądając jeszcze przez chwilę na płynącą wodę.

– Dobre. – Żołnierz wskazał mu spojrzeniem samochód i otworzył tylne drzwi. – Proszę wsiadać...

Roux podszedł do samochodu, rzucając nań swój wielki, czarny cień. Wsiadł, powodując, że amortyzatory opadły ze skrzypnięciem. – Dokąd jedziemy?

– Mam wszystko tutaj – odpowiedział mężczyzna, stukając się palcem w głowę.

– Zatem słucham.

– Kazał na siebie mówić Reis. Używał pseudonimu, ma się rozumieć.

– Używał?

– Nie żyje. Wytropiliśmy jego pojazd. Człowiek, który prowadził samochód,

porzucił go przed mieszkaniem, w którym się ukrywali. W środku na biurku znaleźliśmy ciało poszukiwanego, podziurawione przez nasze kule. Znalezione również radionadajnik, przy pomocy którego przekazywali i odbierali rozkazy. Bardzo prawdopodobne, że jest to to samo radio, przez które otrzymywali komunikaty od Diamante Simoncini – kobiety szpiega, która popełniła samobójstwo w więzieniu.

Roux miał zwyczaj, żeby pewne szczegóły zachowywać dla siebie.

– Znaleźliśmy również liścik podpisany przez Diamante, przywiązany do garnituru. Prawdopodobnie zanim ta kobieta udała się na pocztę, gdzie została aresztowana, ostatnią rzeczą, jaką zrobiła w swoim życiu, było dostarczenie tych ubrań jakiemuś człowiekowi z Panopticonu. Kierowca uciekł, ale nie zniszczył kodów – kontynuował żołnierz – więc możemy teraz odszyfrować komunikaty krążące w ich grupie.

Z papierów, które znaleźliśmy... – Zaczął przesuwając koniuszkiem palca po śródreczu. – Na podstawie wykresów częstotliwości możemy sądzić, że ich baza znajduje się tutaj, w stolicy.

– Jeżeli wciąż będą stosować te same szyfry – zauważył Roux. – Istnieje ryzyko, że robią to, żeby wcisnąć nam fałszywe informacje.

– Mamy to wliczone w ryzyko.

– Wliczone czy nie, wciąż jest ryzykiem.

Żołnierz nie sprzeciwił się.

– Ten mężczyzna, Reis, miał przy sobie fałszywą odznakę karabinierów.

Roux dmuchnął sobie w dłoń, ale nie wypowiedział ani słowa.

– Staramy się ustalić, co robił kilka godzin wcześniej. Żołnierz napotkał zdenerwowane spojrzenie Rouxi dodał:

– Zgodnie z pana zaleceniem nasi ludzie podsłuchali Reisa podczas spotkania z jakimś wysokim i przystojnym mężczyzną około

czterdziestki. Nazywa się Lio Rol. To pisarz powieści przygodowych pasjonujący się alpinizmem. Bardzo prawdopodobne, że nie miał nic wspólnego z Panopticonem, ponieważ kilka tygodni temu podpisał się swoim własnym nazwiskiem w księdze meldunkowej w hotelu, okazując prawdziwy dowód osobisty. Ponadto w ostatnich latach prawie cały czas przebywał za granicą. Z akt wynika, że wrócił do Włoch trzy miesiące temu, żeby zaciągnąć się do wojska, ale był na froncie tylko przez kilka dni. Z tego, co wiemy, został ranny podczas wybuchu miny. Przesłuchaliśmy leczącego go psychiatrę, niejakiego doktora Morfeo, który twierdzi, że Rol ma problemyz pamięcią i nie kojarzy, żeby kiedykolwiek miał siostrę.

Roux westchnął. Pomyślał: „I tak właśnie Panopticon zawiesił oko na mojej zdobyczy”. Ale powiedział:

– Musiał bardzo kochać swoją siostrę, skoro zdołało jej zapomnieć.

Żołnierz nie zrozumiał, co Roux miał na myśli, spróbował więc udać, że uważa tak samo.

– Z pewnością ona nie odwzajemniała jego uczuć, ponieważ w testamencie zapisała wszystko mężowi.

– Trzeba będzie więc z nim porozmawiać.

– To niemożliwe, proszę pana. – Świadomy ryzyka, jakie niesło ze sobą informowanie Roux o problemach, których nie da się rozwiązać, szybko dodał: – Jej mąż nie żyje.

– Czy ktoś zna tego pisarza?

– Rozmawiałem z jego wydawcą. Nigdy go nie spotkał osobiście, ponieważ Rol przebywał za granicą, kiedy publikował jego książki. Komunikowali się wyłącznie telefonicznie. Rol zawsze przysyłał swoje rękopisy pocztą lub za pośrednictwem zaufanych osób, które akurat jechałydo Włoch. Co więcej, czytelnicy uważają, że Lio Rolto pseudonim, ponieważ autor nigdy nie pokazał się publicznie.

Udzielił kilku wywiadów do gazet i czasopism. Wygląda na to, że był przewodnikiem w ekspedycjach finansowanych przez osoby prywatne. Zwiedził nawet Tybet, a wcześniej Amerykę Południową. Oprócz bardzo skromnych pieniędzy pochodzących z pisania, dorabiał jako towarzysz bogatych poszukiwaczy amatorów przygód. Teraz zarabia na życie jako medium. Nie znalazłem nic, co pozwoliłoby podejrzewać, że jest związany z antyfaszystowskimi ugrupowaniami i że współpracuje z tajnymi służbami wroga. Spędził nocw swoim mieszkaniu z aktoreczką o nazwisku Gabrielli, córką wysokiego oficera marynarki Regia Marina.

Ich ludzie przyszli po niego wcześniej, niż to było przewidziane. Zawsze, gdy nie trzeba, wykazują się dużą sprawnością. Westchnienie niezadowolenia wyrwało się z usztywnionych warg Roux. Wolalby mieć więcej czasu, żeby móc go osobiście sprawdzić, ale nie mógł pozwolić, żeby przechwycił go

Panopticon. Przede wszystkim dlatego że Lio Rol został już przyrzeczony Führerowi.

– Zdobyć go – powiedział. – Jak najprędzej.

– Zajmiemy się tym, proszę pana.

Rozdział 33

Berlin

Monica Müller przemierzała ulice dzielnicy Mittez rękoma zanurzonymi w kieszeniach płaszcza i podniesionym kołnierzem, chroniącym ją przed dmuchającym jej w plecy wiatrem – zimnym i przeszywającym niczym gilotyna. Przeszła przez Wilhelmplatz i zatrzymała się przed Ordenspalais, siedzibą ministra propagandy Trzeciej Rzeszy. Patrząc na budynek, wzdrygnęła się. W trzech zakończonych łukiem oknach pod trójkątnym frontonem odbijał się zachód słońca. Miała wrażenie, że okna obserwowały ją uważnie niczym potwór o trojgu oczu. Dwie wąskie kolumny po bokach drzwi wejściowych wyglądały jak ostre zęby wampira w gigantycznej paszczy – otwartej i gotowej, by ugryźć.

Nigdy nie sądziła, że będzie szła na spotkanie w miejscu tak niedostępnym i niezwiązanym z jej skromnym życiem anonimowej nauczycielki. Nic nie było jej bardziej odległe niż ten budynek oraz to, co działo się w jego wnętrzu.

A mimo to nie był jej zupełnie obcy.

Wiedziała na temat tego miejsca coś, w co nie chciała uwierzyć żadna z tych niewielu osób, które o tym słyszały. Jakiś czas temu kolega z pracy powiedział jej, że minister Goebbels stworzył departament zwany AMO – Astrologia, Metafizyka i Okultyzm – którego celem było prowadzenie badań nad zjawiskami paranormalnymi. Monice Müller nie wydało się to w ogóle dziwne, ponieważ zainteresowanie niemieckich polityków i niemieckiego wojska okultyzmem nie było dla niej żadną nowiną. Ten rodzaj lubieżnej żądzy poznania tego, co niezrozumiałe, emocjonował wszystkie struktury organizacji nazistowskiej i doprowadził wręcz do

powstania partii. Wiedziała o tym i była o tym przekonana, nawet jeśli nigdy nikim na ten temat nie rozmawiała. Bardzo się pilnowała, aby z jej ust nie wychodziły nigdy żadnego rodzaju plotki. Nic tak dobrze nie działa na zdrowie jak cisza – wiedziała i wierzyla także w to.

Westchnęła głęboko i zaczęła wspinać się na boczne schody. Chciałaby móc zawrócić. Gdzieś w środkudźwięczał jej głos mówiący, żeby się przeciwstawiła, błagający, żeby nie wchodziła. Ale głos ten z pewnością nie był świadomy tego, że nieposłuszeństwo wobec Rzeszy, Trzeciej Rzeszy, nie wchodziło w grę. I z pewnością głosowi temu umknął również fakt, że jeżeli zgodziłasię złożyć swoje umiejętności w darze Rzeszy, to nie zrobiła tego dla dobra Rzeszy, lecz swojego. Ten wewnętrzny głos wiedział tylko jedno: Monica igrała z ogniem, pozwoliła się wplątać w tajemne działania, które niedadzą jej w zamian nic dobrego oprócz pieniędzy

i przyjemnego poczucia, że zrobiła to, co do niej należało. Ryzykowała życiem, które jej wewnętrzny głos niezwykle sobie cenił – nawet jeśli ona nie była do niego zbyt przywiązana.

Przez chwilę pożałowała nawet, że się zgodziła. Prawie dzień wcześniej wytykała sobie, że nie skłamała podczas testu Gigera. Także teraz jakaś część jej miała nadzieję, że się pomyliła. Ale nie była głupia – została wezwana, a to oznaczało, że musiała odgadnąć lub przynajmniej być bardzo blisko. Jak to możliwe? Zbadła jakieś pudełko i miała absurdalną wizję gigantycznych planet i gwiazd, wydawało jej się, że spada zaplątana w płomień.

Co mogło być w tym pudełku?

Później pokazano jej zdjęcie jakiegoś niemieckiego pancernika i poproszono, żeby wskazała na mapie miejsce, w którym ten statek się znajduje, wykorzystując do tego

wahadło. Odpowiedź kawałka brunatnego wisiorka brzmiała „fiord norweski”.

Powinna była skłamać w obu przypadkach, mówił jej wewnętrzny głos, oskarżając ją, że zapomniała, jak powinno się robić. Ale Monica wiedziała, że sama jej obecność w Ordenspalais była kłamstwem, wielkim kłamstwem – największym, jakie kiedykolwiek... nie powiedziała, lecz jakiegokolwiek się dopuściła.

Gdy tylko znalazła się w środku, wyrósł przed nią strażnik zlewający się z półm-
rokiem korytarza.

- Kogo pani szuka?
- Mam spotkanie z doktorem Gigerem.
- Kogo mam zapowiedzieć?
- Müller.

Strażnik kazał jej zaczekać.

Widziała, jak rozpływa się w ciemności i pojawia ponownie rozmyty w szybie dyżurki. Porozumiewał się kimś przez

telefon i potakiwał głową, nie spuszczającej z oka. Następnie wychylił się i powiedział:

– Proszę wejść, Fräulein Müller.

Monica skierowała się w stronę schodów, ale kiedy zniknęła z pola widzenia strażnika, zatrzymała się na półpiętrze. Poprawiła ubranie. Dotknęła włosów. Wyjęła z torebki lusterko. Sprawdziła stan szminki na ustach. Przypudrowała nos i czoło. Uszczypnęła się w policzki, aby nadać im trochę kolorytu. Odetchnęła głęboko kilka razy. Zaczęła ponownie wchodzić, nie śpiesząc się, aby jak najbardziej odwlec moment spotkania z Gigerem.

– Tędy, Monico!

Rozpoznał jej sylwetkę. Czekał na nią, stojąc wyprostowany w brunatnej poświacie rozchodzącej się przez otwarte obok niego drzwi. Z mroku wybijała się biel jego zębów.

– Czekaliśmy na panią – powiedział, jak gdyby był niewidzialny i chciał wskazać jej

głosem, gdzie się znajduje.– Proszę wejść, proszę!

– Bardzo zimno dziś – powiedziała Monica, pocierając ręce i trzęsąc wargami.

– Witamy, Monico. – Zaoferował jej rękę, niczym bezpieczny brzeg, na który mogła wysiąść z łodzi.

Monica chwyciła ją i uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję, Herr Giger.

Położył jej dłoń na plecach i popchnął lekko w kierunku ciemnego pokoju, pełnego milczących widm. Na środku, niczym czerwony grzyb, wznosił się okrągły stół, dookoła którego brakowało krzeseł. Kiedy Giger zamknął drzwi zapalił światło, jej oczom ukazało się jedenaście kobiet, z których większość miała bardzo długie włosy.

– Dobry wieczór – powiedziała Monica.

Żadna jej nie odpowiedziała. Wzięły tylko swoje krzesła i zaniósły je do stołu.

– Bardzo proszę. – Giger podał jej krzesło i zachęcił, żeby dołączyła do pozostałych – to znaczy, żeby usiadła z rękoma na stole i rozwarła mocno palce. „Łańcuch mediumiczny” – pomyślała.

Seans spirytystyczny.

Giger zgasił światło. Następnie wcisnął drugi włącznik, po czym stół zaświecił się – czerwona, intensywna aura rozchodząca się od środka w kierunku krawędzi blatu, coraz bardziej rozmyta i prawie już niewidoczna na wysokości dłoni kobiet.

Kiedy Monica zobaczyła krąg wpatrujących się w nią milczeniu kobiet, siedzących dookoła stołu z poważnymi twarzami, oświetlonymi od dołu czerwonym światłem i oczami zatopionymi w głębokich, czarnych oczodołach, przebiegł ją dreszcz. Nie dała jednak nic po sobie poznać.

– Drogie panie – powiedział Giger, zajmując miejsce w aksamitnym fotelu stojącym w rogu pokoju – za chwilę nawiążemy

kontakt z układem słonecznym Aldebarana. Chyba nie trzeba paniom przypominać, że spotkaliśmy się tutaj, aby służyć naszemu krajowi i Führerowi.

Panująca cisza potwierdzała, że o tym pamiętały.

– Doskonale... – powiedział Giger. –
W takim razie zaczynajmy.

Rozdział 34

Watykan

Pomnik Zeusa, jakiś zasuszony dwugłowy płód, chińska waza, meteoryt, fresk pochodzący z Pompei, ptak, który według legendy rozmawiał ze świętym Franciszkiem z Asyżu, pióro ze skrzydła Archanioła Gabriela...

– Jego Eminencja właśnie przynosi swoją wspaniałą kolekcję – zauważył ojciec Leonardo, mijając twarze nieobecnych wzrokiem strażników z Gwardii Szwajcarskiej, obok setek przedmiotów stłoczonych po bokach korytarza. – To dosłownie cudowny zbiór, ale tylko według całkowicie nienaukowych kryteriów. – Zaśmiał się. – Powiedziałem to kardynałowi, ale on twierdzi, że dary od Boga należy przyjmować takimi, jakie są. – Zatrzymał się i wskazał schodzącego ze schodów człowieka

trzymającego w ręce pędzle malarskie – wysokiego, barczystego mężczyznę z rozbudowaną klatką piersiową i zaczesanymi do tyłu błyszczącymi włosami, ubranego w zaplamiony farbami fartuch.

– Przedstawiam wam Micaela – powiedział ojciec Leonardo. – To Czech, doskonały malarz.

Micael pozdrowił ich skinieniem głowy i postanowił odłożyć na chwilę spotkanie z łazienką i czystymi ubraniami. Jego oczy przypominały igły dwóch kompasów, które skierowane były na Albę.

– Alba Gabrielli! – wykrzyknął, wychodząc jej naprzeciw. – Witam! Bardzo mi miło, jestem pani oddanym wielbicielem.

– Dziękuję – powiedziała Alba, podając mu chłodną dłoń. – Jestem zaszczycona, panie Micaelu.

– Pan jest mężem? – zapytał z szacunkiem malarz, zwracając się do Lio.

Lio wzruszył ramionami.

– Nie.

– Przykro mi, że przeszkodzę, ale śpieszy nam się – powiedział ojciec Leonardo.

Micael przytaknął, nie odrywając oczu od brunatnych tęczówek Alby.

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Życzę miłego dnia. – Uściśnął dłoń Lio i dodał: – Również panu, panie...

– Rol.

– Do widzenia, panie Rol... – I pożegnał się, pozostawiając w powietrzu silny zapach potu oraz niezbyt przyjemny posmak zepsutego powietrza w ustach Lio.

Weszli po tych samych schodach, po których zszedł mężczyzna. Na końcu kolejnego, długiego korytarza ojciec Leonardo wpuszczył ich do pokoju służącego – jak wyjaśnił – za gabinet członków obserwatorium astronomicznego. Zaprosił ich, żeby usiedli na czerwonej sofie pod obrazem przedstawiającym Madonnę z Dzieciątkiem.

Lio zastanawiał się, czy przypadkiem nie było to dzieło Micaela.

– Tak bardzo się cieszę, że cię widzę, Albo – powiedział ojciec Leonardo. Odkręcił szklany słoik z winogronami w spirytusowej zalewie, powąchał, kiwając z zadowoleniem głową, i zaniósł go na marmurowy stół, na którym leżały trzy długie jak wykałaczki widelczyki. – Co słychać u wuja? – zapytał, wbijając dwa mniejsze zęby swojego widelczyka w miąższ winogrona.

– Tatuś jest gdzieś na Atlantyku – odpowiedziała Alba, wzdychając.

– Od jakiegoś czasu nie mam od niego wieści.

– Przekłęta wojna – skomentował przygnębionym głosem ojciec Leonardo. – A Gertruda, jak się miewa?

– Dobrze – odparła Alba. – Gdyby wiedziała, że siędo ciebie wybieram, z pewnością kazałaby mi cię pozdrowić. Jest tutaj w Rzymie, ze mną.

- Więc przyjdę ją odwiedzić.
- Będzie jej bardzo miło.
- A dlaczego w Rzymie? Jeśli dobrze pamiętam, zawsze mówiła, że nie lubi tego miasta, ponieważ...

Alba przerwała mu i dokończyła za niego, parodiując rozbawieniem Gertrudę: – „...jedna czwarta populacjito księza, kolejna to posągi, jedna czwarta to ludzie, którzy prawie nigdy nie pracują, a ostatnia to ci, którzy nie robią absolutnie nic”.

Ojciec Leonardo zaniósł się głośnym śmiechem.

– Ale rozumiem ją, biedaczkę – dodała, gdy tylko wesołość się ulotniła. – Taty nie ma, a ona nie wie, co robić. A nie chce być w Mediolanie, gdyż boi się bombardowań.

– Rzymianie uważają, że są pod ochroną papieża – powiedział z ubolewaniem Leonardo – a tymczasem ja dowiedziałem się, że miasto nie jest dostatecznie zabezpieczone przez działa przeciwlotnicze. Zresztą tak

jakcały kraj. Zobaczycie, że prędzej czy później alianci zaczną robić naloty także tutaj. – Przeżuł i zawołał z uznaniem: – Dobrze! – Nabił na widelec drugie grono i zachęcił gości, aby poszli w jego ślady. Jego subtelny profil odznaczał się na tle pasma słonecznego światła. Krótko przystrzyżone włosy uwydatniały jego głębokie zakola. – Nie wiedziałem, że masz narzeczonego – zwrócił się do Alby, spoglądając przyjaźnie na Lio. – Miło mi, że mogłem cię poznać. Jesteś szczęściarzem, skoro spotkałeś taką kobietę jak moja kuzynka.

– Wiem o tym doskonale – odparł Lio. – A ty, ojczy...

– Och, mów mi po prostu Leonardo.

Lio skinął głową.

– Alba powiedziała mi, że jesteś naukowcem.

– Przede wszystkim jestem jezuitą, ale zajmuję się także astrofizyką w muzeum La Specola. To czysty przypadek, że zastaliście

mnie w Rzymie, zazwyczaj przebywam w Castel Gandolfo. Od kiedy w dzień i w nocy miasto oświetlane jest elektrycznymi lampami, nie można już obserwować nieba. Jakies osiem lat temu obserwatorium zostało przeniesione do letniej rezydencji Ojca Świętego.

Spojrzał na nich. Lio, pomimo swojego początkowego zainteresowania, teraz zdawał się myśleć o czymś innym. Alba natomiast pocierała nerwowo ramiona, dając do zrozumienia, że chce zmienić temat.

– Coś mi mówi, że nie przyszlście tu tylko po to, żeby odwiedzić moją skromną osobę.

– Potrzebujemy twojej pomocy – wypaliła Alba, zapewne mając te słowa na końcu języka już od pierwszej chwili. – Zdaje się, że mamy niewielki problem.

– Problem? Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Nie wiem – odpowiedział Lio. – Wydaje się, że moja siostra nie żyje.

Ojciec Leonardo momentalnie przestał przeżuwać.

– Twoja siostra?

– Wygląda na to, że tak. A jakby tego było mało, zdaje się, że została wplątana w ciemne sprawy i że współpracowała z nazistami.

– Nie ma nic złego we współpracy z nazistami – zauważył ojciec Leonardo. – Gorzej by było, gdyby współpracowała z Sowietami.

– Rozumiem twój punkt widzenia – odpowiedział Lio – ale...

– Ale nie zmienia to faktu, że jego siostra nie żyje – podchwyciła Alba z wyrzutem w głosie.

– Przykro mi. – Ojciec Leonardo położył swoją ciepłą dłoń na ręce Lio. – Musisz być silny.

– Przed śmiercią napisała to do mnie.

Lio westchnął głęboko i wydobył z kieszeni list, który Sibylla przekazała mu za pośrednictwem Alby.

– Byłyśmy przyjaciółkami – wyjaśniła aktorka.

– Jeśli o mnie chodzi, czuję się tak, jakbym nigdy jej nie znał – powiedział Lio. – W każdym razie jej nie pamiętam. – Cmoknął i jednocześnie pstryknął palcami. – Rozpłynęła się.

– Jak można zapomnieć o własnej siostrze?

Ojciec Leonardo powiedział to pod nosem z niedowierzaniem, podczas gdy już spuszczał głowę, by zacząć czytać list. Szybko rozpoznał biblijny fragment, pomiędzy wersetami którego Sibylla ukryła wiadomość dla Lio.

– Nie wymienia tu twojego imienia – zwrócił uwagę kuzyn Alby.

– Zauważyłem – powiedział Lio.

– Jesteś pewien, że napisała to twoja siostra?

Alba zainterweniowała we własnej obronie, pokazując liścik z nazwiskiem Rol i jego adresem.

– Porównaj pismo.

Ojciec Leonardo skinął głową.

– Wygląda, jakby było pisane tą samą ręką.

– Mam nadzieję, że jestem jeszcze choć trochę wiarygodna. – Alba odwróciła dłonie śródrezczem do góry. – Znałam ją. Dlaczego miałabym wymyślić sobie coś takiego?

Ojciec Leonardo kiwał głową i zastanawiał się. Znowu spojrzął na list. – Kuurma – powiedział – już to gdzieś słyszałem. Mogę się dowiedzieć, jeśli chcecie.

– Byłoby cudownie – odparł Lio.

– Ciekawe dlaczego twoja siostra spośród tysięcy fragmentów Biblii, które miała do dyspozycji, przepisała akurat ten. Być może ten wybór coś oznacza. Podstawił kartkę pod światło. Ziusudra... Baalbek... Enlil... Enki... Abzu... liczby... greckie litery... – mamrotał

bez zrozumienia.– Jeśli się nie mylę, to słowa w języku sumeryjskim.

– Tak, poza słowem „Baalbek” – odparł Lio. – Wiesz coś na temat tej Jednostki, o której mówi? Mnie się kojarzyz Kościołem, lecz nie wiem dlaczego. Tobie to nic nie mówi?

– Owszem, mówi. – Ojciec Leonardo podniósł zmarszczone czoło znad kartki. – Dziwny list i tyle. – Oddałem go. – Fragment biblijny przepisany jest prawidłowo, nic nie zostało zmienione – ani specjalnie, ani przez pomyłkę. A Jednostka to... – ściszył głos i pochylił się do przodu – ...tajna służba papieska.

Lio i Alba podskoczyli i spojrzeli sobie w oczy.

– Te dziwne nazwy, liczby i litery mogą być w istocie dziełem Jednostki – kontynuował ojciec Leonardo.– Z tego, co wiem, od setek lat papiescy szpiegzy stosują specjalny szyfr zapewniający sekretność ich

korespondencji. – Ujrzał przed sobą dwie zdeorientowane twarze.

– Klucze do mieszkania, o których mówi twoja siostra i które powinny być w posiadaniu tego Kuurmy, mogą oznaczać jakiś szyfr służący do odczytania komunikatu.

– Nie rozumiem nic z tego, co powiedzieliście, ale wydaje się, że ma to sens – odpowiedział Lio, zadowolony, że znalazł jakiś punkt zaczepienia. – Porozmawiam z panem Kuurmą.

– Ostrożnie, Lio, ostrożnie. To straszne czasy.

Po tych pełnych troski słowach rzucił mu jeszcze napominające spojrzenie, a następnie zamilkł i oddalił się, żeby pomodlić się na boku. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Kiedy tylko otworzył oczy, Lio zapytał go, czy jako astronom dopuszczał możliwość, żeby dawno temu na Ziemię przybyła jakaś pozaziemska cywilizacja, i jak

bardzo według niego było to prawdopodobne.

– Powiedziałbym, że to bardzo nieprawdopodobne – ojciec odparł mu oschle. – Tak samo jak to, że ktoś zada mi dziś takie pytanie.

– Ale przecież w Biblii jest niezliczona liczba opisów, które przedstawiają wizje dziwnych obiektów latających – odparował niezadowolony z odpowiedzi Lio – czy też pochodzących z religii hinduskiej wiman. Są też sumeryjskie opowieści na temat przybyłych z nieba bogów. Mógłbym tak jeszcze długo wymieniać.

– Od wielu lat każdej nocy obserwuję niebo – powiedział ojciec Leonardo z kamiennym wyrazem twarzy – ale nigdy nie widziałem tam żadnych wiman tylko planety, gwiazdy i asteroidy oraz mnóstwo obiektów, których jeszcze nie potrafimy zidentyfikować. Wszystkie znajdują się jednak tak daleko od nas, że obrazy, które z nich do nas

docierają, tak naprawdę są odbiciem tego, co działo się tam tysiące, miliony, miliardy lat świetlnych temu.

– Biblia mówi o żyjących przed człowiekiem gigantach– nalegał Lio. – Nie wierzysz w słowa zawarte w Biblii?

– Ja... – parsknął z jednoczesnym rozbawieniem, alei poi rytowaniem. Zdezorientowany zerknął na Albę, która słuchała z zaciekawieniem, a Lio posłał wyzywające spojrzenie. – Wierzę – odpowiedział – ale nie w taki naiwny sposób. – Następnie uśmiechnął się delikatniei wskazał na kieszeń Lio. – Na twoim miejscu byłbym wyjątkowo ostrożny. Ten list jest co najmniej dziwny. Mam nadzieję, że twoja siostra nie wmieszała się w coś podejrzanego.

– To mogło być coś naprawdę poważnego – powiedziała Alba, która widząc niejasną reakcję swojego kuzyna, zaczęła się martwić. – I może Sibylla zmarła właśnie z tego powodu, nie możemy tego wykluczyć.

– Nie martwmy się na zapas. – Jednak ojcu Leonardowi zaczęły pocić się dłonie, dlatego nerwowo pocierał nimi o nogi. – Musimy się jakoś dowiedzieć, o co tu chodzi. – Odłożył widelczyk do winogron. Spojrzał na Albę wykręcającą sobie nerwowo palce i na Lio, który wpatrywał się w niego poważnie ze splecionymi na piersi rękoma i kiwał niemal niezauważalnie głową, jakby chciał powiedzieć: „Jestem naprawdę zmartwiony, drogi ojcze”. Zamyślił się na dłuższą chwilę z pochyloną głową i zamkniętymi oczami, podpierając w skupieniu brodę na pięści.

Sprawał wrażenie, jakby konsultował się z Bogiem.

Alba podniosła się, żeby wziąć z biurka popielniczkę (była używana) i zapaliła papierosa. Podążyła jednego również Lio. Jej niepokój nagle zaczął przeradzać się w gniew.

– Gdybym mogła, wyjechałabym z Włoch.

– I gdzie byś pojechała? – spytał z przejęciem kuzyn.

– Nie wiem, wszędzie, byle jak najdalej stąd. Gdziekolwiek, gdzie nie zdarzy ci się wdepnąć w poważne tarapaty tylko dlatego, że zgodziłeś się pomóc przyjacielowi.

– A ty, Lio, co masz zamiar zrobić? Ton głosu ojca Leonarda dodawał otuchy.

– Lio ma pewne zdolności – poinformowała go Alba. – Widzi przyszłość.

Ojciec Leonardo zmarszczył brwi.

– Żartujesz?

– Lio delikatnym uderzeniem paznokcia strzepnął popiół do niewielkiej miseczki z alabastru. Wolałby o tym nie rozmawiać.

– Aktywna imaginacja – powiedział tylko. – Nic nadprzyrodzonego.

– Nieprawda – zaoponowała Alba.

Po chwili Lio musiał ustąpić badawczemu spojrzeniu ojca Leonarda.

– No więc... – Zapalił. – Ja... – Wypuścił szarą chmurę. – Czasami widzę zdarzenia,

które będą miały miejsce później. Innym razem potrafię usłyszeć to, co myślą inni. – Zaciął się i potrząsnął szybko głową. – Nie słuchaj tych moich bzdur.

Ojciec Leonardo był przerażony. Jego spokojne życie naukowca i zakonnika w jednej chwili stało się rwącym potokiem nedorzecznosci. Nagle ktoś zmusił go do oderwania wzroku od niebios i przyjrzenia się z bliska rzeczom, które w jego oczach, przyzwyczajonych do kosmicznych odległości, nie mogły złapać ostrości. Ponownie chwycił widelczyk do winogron.

– Zobaczycie, że wszystko się wyjaśni. Ten, kto nie zrobił nic złego, nie ma czego się obawiać.

– A ja jednak trochę się boję – zaprotestowała Alba tak wymownym tonem, że jej kuzyn porzucił na chwilę zamiar nakłucia na widelec kolejnego grona i spojrzał z powagą.

– Przysięgam, że zrobię, co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Na początek postaram się dowiedzieć czegoś na temat tego Kuurmy. Warto wiedzieć wszystkoo ludziach, zanim się ich pozna osobiście. Być może wystarczy, że wykonam jeden telefon. Mam dobrze poinformowanych przyjaciół. W razie potrzeby opóźnię o kilka dni swój wyjazd do Castel Gandolfo. Znajdę jakąś wymówkę. A tymczasem ulokujemy gdzieś moją kuzyneczkę. – Dotknął jej ramienia.

– Nie chciałabyś spędzić kilku dni w rajskiej ciszy, w otoczeniu pachnących sosen, kwiatów, w atmosferze modlitwi doskonałego jedzenia?

– Taki pobyt bardzo by mi się przydał, gdybym kiedyś miała zagrać rolę siostry zakonnej – odpowiedziała Alba, odchylając głowę ze śmiechem. – Ale teraz chcę pozostać wolna. – Spojrzała na niego tym swoim charakterystycznym dumnym wzrokiem.

Jej reakcja sprawiła, że Lio ulżyło.

Mięśnie twarzy ojca Leonarda były zaś niezdecydowane, jaki przybrać grymas.

– Wydaje mi się, Albo, że to dla ciebie zbyt niebezpieczne.

– Zgadzam się – zawtórował mimo wszystko Lio.

Ale Alba była niewzruszona.

– Muszę się dowiedzieć, w co się wpakowałam. Ja też chcę porozmawiać z tym Kuurmą. Chcę wiedzieć, co popchnęło Sibyllę do napisania przed śmiercią tego listu.

– Zgadzam się – powtórzył Lio.

– Dobrze. – Ojciec Leonardo rozpostarł ramiona i uśmiechnął się. – Jak chcecie. – Następnie skoczył na równe nogi i – nie czekając na ewentualną odpowiedź – wyszedł z pokoju, mrużąc przy tym, że musi wykonać jeden telefon i że zajmie mu to dosłownie kilka minut.

Kiedy zostali sami, Lio skorzystał z okazji, żeby pokręcić się po pokoju. Gabinet miał

przyjemny wystrój, przypominający raczej wnętrze salonu. A może to był salon, który służył także jako gabinet? Stało w nim mahoniowe biurko, a za nim na ścianie wisiał zegar w kształcie krzyża. Dookoła ustawione były wysokiej jakości meble, srebra i idealnie błyszczące szklane naczynia. Nagle zauważył, że na przeciwległej ścianie – tej, na której znajdowały się drzwi wejściowe do pokoju – pomiędzy ciężkim meblem z surowego drewna a wieszakiem na ubrania schowane było coś, czego nie spodziewał się znaleźć w tym pokoju – telefon. Podniósł słuchawkę. Działał.

– Widziałaś to?

Alba podniosła wzrok i wzruszyła ramionami. Nie wydało jej się to godne uwagi.

– Pewnie miał swoje powody – powiedziała. – Leonardo to poczciwy człowiek.

Po krótkiej chwili wrócił do pokoju, pocierając z zadowoleniem uniesione dłonie niczym wielka mucha. Jego klatka piersiowa

unosila się dumnie do góry, gdy wdychał z satysfakcją wielkie hausty powietrza, i wydawało się, że właśnie rozwiązał wszystkie problemy świata.

– Kuurma to znana postać wśród jezuitów – zaczął. – To dlatego już gdzieś o nim słyszałem. Pracuje w Radiu Watykańskim oraz w sekretnym archiwum Stolicy Apostolskiej, gdzie zajmuje się paleografią dyplomatyczną. Z pochodzenia jest Estończykiem, jego matka natomiast była Rosjanką. Przybył do Rzymu jeszcze jako młody chłopak, żeby uczęszczać do papieskiego Collegium Russicum i zostać jezuitą. Russicum to instytucja założona pod koniec lat dwudziestych w celu kształcenia jezuitów i wysyłania ich na misję do Związku Radzieckiego. Jednak po czterech latach studiów jego przełożeni zaczęli podejrzewać, że brakowało mu powołania, dlatego odradzili mu kontynuowanie nauki w kolegium. W zamian zaproponowali angaż w Radiu Watykańskim, a on z radością go przyjął.

Ożenił się ze śpiewaczką operową pracującą dla włoskiej instytucji, która zajmowała się organizacją i nadawaniem audycji radiowych. Nie został księdzem, mimo to całe jego życie kręciło się wokół Watykanu – był przywiązany do Kościoła jak cień do obelisku przy bazylice Św. Piotra. Sądzę, że nie ma powodu, żeby w niego wątpić. Obawiam się, że będę zmuszony poinformować was, że Russicum jest... – Nie wiedział, jak to powiedzieć. – No więc... Russicum jest...

– Obozem szkoleniowym watykańskich szpiegów – powiedział Lio lub ktoś w jego wnętrzu.

– To aż tak powszechnie wiadoma rzecz? – zapytał zaskoczony ojciec Leonardo.

– Nie wiem – odparł Lio. – Czasami mam takie przebłyski. Musiałem już gdzieś o tym słyszeć.

– Hmm, w każdym razie Kuurma mieszka...

- Wiem, gdzie mieszka – przerwał mu Lio.
- Znalazłem go w książce telefonicznej.
- Naprawdę chcesz się z nim spotkać?
- Tak, ale wolałbym zrobić mu niespodziankę.

– Rozumiem. – Ojciec Leonardo wyjął z kieszonki pióro i zapisał coś na odwrocie wizytówki. – W takim razie możecie się jeszcze skontaktować z człowiekiem o nazwisku Cosma. Wszystkim jest znany jako stary Cosma. Mieszka w wiejskiej chacie, tak starej jak on sam. – Zapisał nazwę miejscowości. – Jeśli w ogóle jeszcze żyje, mógłby odpowiedzieć na kilka waszych pytań. Kiedyś był misjonarzem, pojechał z misją do Ameryki Południowej, a gdy wrócił, zaczął opowiadać dziwne rzeczy, aż w końcu został wyrzucony z Kościoła. To szalenie, być może nawet już dawno nie żyje. Jeśli zaś Pietro Cosma nadal chodzi po świecie, jest jedyną osobą, która odpowie na wszystkie nurtujące was pytania. Z tego, co

wiem, nawet żołnierze SS złożyli mi kilka razy wizytę. Spytajcie ludzi, kiedy tam dojedziecie – z pewnością was pokierują. Na mojej...

Przerwał mu czuły uścisk Alby, która następnie w geście podziękowania pocałowała go w policzek i powiedziała, że jak tylko porozmawiają z Kuurmą i starym Cosmą, odezwą się do niego.

– Na mojej wizytówce – kontynuował – zapisany jest numer telefonu do obserwatorium astronomicznego. Lepiej, żebyście go mieli, na wypadek gdyby nie udało się wam wrócić przed moim wyjazdem. Jeżeli nie będzie mniew Rzymie, znajdziecie mnie w Castel Gandolfo.

– Mam zatankowany do pełna samochód – powiedziała Alba. – Wrócimy przed zachodem słońca.

– Nie masz zamiaru wstąpić do domu?

Alba potrząsnęła głową.

– Samochód zaparkowany jest w starej posiadłości na obrzeżach miasta. Mam tutaj klucze do garażu. Te od samochodu powinny być jeszcze w stacyjce.

– Zatem zobaczymy się tutaj. – Ojciec Leonardo pobłogosławił im. – Pamiętajcie, ostrożnie!

Rozdział 35

Rzym

Roux zsunął koszulę, odsłaniając swój nagie tors. Odetchnął głęboko. Włókna mięśniowe jego pleców zaczęły przeciągać się leniwie pod skórą niczym zbudzone w gnieździe węże.

W świecie spustoszonej przez wojnę cierpienie przychodziło i odchodziło bez jakiegokolwiek wyraźnej logiki. Podobnie było z przeraźliwym bólem jego pleców, którego nie dało się przewidzieć. Były one niczym pole bitwy – ze swędzącymi okopami, niespodziewanymi wybuchami cierpienia całym zastępem lekarzy, którzy nie wiedzieli, co robić, by przynieść chociaż minimalną ulgę.

Dzisiaj śluz lub ociekające krwią skóry młodych kozłat na nic się zdawały.

Roux wiedział to i powtarzał sobie, że na całe szczęście także tym razem ból w końcu minie.

Ale kiedy?

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Minuty trwały wieczność.

Zawsze tak było po długich nocach spędzonych na medytacji: na skórze pojawiały się nieuniknione ślady kontaktu z wyższymi istotami, pozostawał na niej odcisk mrocznej energii, która wlewała się obficie w jego ciało.

Fizyczne wyczerpanie i krwawiący rumień to tylko cena, jaką musiał zapłacić za regenerację sił.

„Ból był przywilejem, , zastawem, jaki należało wnieść w zamian za możliwość wytworzenia w sobie tej cudownej energii, która oprócz urody pozwala zachować młodości witalność” – myślał Roux.

– Ta maść pomogła panu poprzednio – powiedział lekarz, wyciskając sobie na dłoń zawartość połowy tubki.

Musiał zdawać sobie sprawę, na jakie tortury narażony był jego pacjent, a mimo to jak zwykle z zaskoczeniem stwierdził, że na jego twarzy nie pojawił się najmniejszy ślad tej męki. Szukał tam cierpienia, grymasu, które przez pomyłkę zaplątały się w gęstą sieć blizn, ale nigdy ich tam nie znajdował.

– Zrobię panu masaż, panie Roux, zobaczy pan, że przyniesie ulgę.

Tłumiąc jęk, Roux ułożył się na brzuchu na leżance, układając pod policzkiem skrzyżowane palce dłoni, przypominające wykonaną z węzłów poduszkę, i skoncentrował się na masażu.

– Widzisz coś na ścianie? – zapytał go po chwili.

Lekarz obejrzał się, żeby spojrzeć na ścianę, trzymając w górze natłuszczone ręce.

– Nic – powiedział.

– Przyjrzyj się.

Zmrużył oczy, a ponieważ nie zobaczył nawet plamy ani rysy na tynku, zbliżył się do ściany w poszukiwaniu czegoś naprawdę niewielkiego. Potrząsnął głową.

– Nie ma tu nic – zawyrokował, nie rozumiejąc tego dziwnego pytania.

– A na ziemi?

– Wydaje się, że wszystko jest w porządku – odparł lekarz, wpatrując się uważnie w pstrokaty marmur. – Zauważył pan coś dziwnego? – Wrócił i ponownie zajął się rozsmarowywaniem maści na ciele swojego pacjenta.

– Nie, nic – odparł Roux. – Musiało mi się wydawać... – Jego wargi zwęziły się w szerokim uśmiechu.

Lekarz cierpiał na krótkowzroczność i pomimo że nosił bardzo silne okulary, nie mógł widzieć tego, co on. Taki rozkaz otrzymał bowiem od Roux podczas hipnozy.

Jednak coś tam było.

Białą ścianę przecinał w poziomie na pół szeroki pas krwi. W lewym rogu, tam, gdzie zaczynała się przyległa ściana, widoczna była duża okrągła plama. Stamtąd pas krwi spływał pionowo prawie do podłogi, gdzie leżał martwy człowiek z pogruchotanymi kośćmi twarzy i wyrwaw czole.

Pół godziny wcześniej człowiek ten pojawił się u niegoi drżącym głosem przyznał się do popełnienia błędu.

Skrećając się niemal z bólu, ale zachowując kamienny wyraz twarzy, Roux zapytał, co takiego strasznego oderwało żołnierza od jego zajęć w tamten noworoczny wieczór. Już od dawna znał odpowiedź, ale dla niego zemsta była daniem, które należało konsumować na zimno.

– Nic, proszę pana – odpowiedział oficer, umierającz przerażenia. Sprawiał wrażenie wyraźnie zaskoczonegoi rozczarowanego – wydawało się już przecież, że ujdziem to na

sucho. – To był dosłownie moment nieuwagi. Niewybaczalny, proszę pana!

– Kapitan nie może pozwolić sobie na chwilę nieuwagi, zwłaszcza w nieodpowiednim momencie.

– Wiem, proszę pana!

– Nie było z tobą żadnej dziwki?

Kapitan spuścił wzrok i wysyczał cichutko:

– Była.

Roux wstał nagle i chwycił go mocno za kark swoją rozpaloną, silną jak imadło dłońią. Uderzył jego głową o ścianę, łamiąc mu kość czołową. Przeciągnął twarz ofiary wzdłuż ściany aż do kąta, pozostawiając grubą, poziomą smugę krwi, której teraz nie widział lekarz, a następnie roztrzaskał mu ją o kolejną ścianę. Zostawił go tak i obserwował, jak słabnie i spływa powoli po ścianie niczym strumień błota.

– Gotowe. – Lekarz podszedł do umywalki, żeby umyć ręce. Roux usiadł, schował koszulę w spodnie, koncentrując się na

opuszkach palców, które przyciskały wykonane z masy perłowej guziki. Pozostały mu do zapięcia jeszcze dwa, kiedy zadzwonił telefon.

– Mogę odejść, panie Roux? Lekarz zdjął płaszcz i kapelusz z wieszaka na ubrania.

– Tak, możesz odejść – usłyszał w odpowiedzi.

– Niech pan się kuruje.

Zaczekał, aż lekarz wyjdzie, i podniósł słuchawkę.

– Przeszkadzam ci?

Wyraźny akcent niemiecki. Roux rozpoznał go po głosie.

– Heinrich?

– Tak, to ja.

– Jak mógłbyś mi przeszkadzać? – odparł i w jednej chwili stał się innym człowiekiem.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – Był uprzejmy i serdeczny, zachowywał się niemal jak pies, który cieszy się na widok swojego pana.

– Mój kot powiedział mi, że wie, gdzie ukrywa się mysz.

Roux wyprostował się.

– Kierowca?

– Radiotelegrafista z bandy. Kazał nazywać się Marconim. Zanim zaczął mówić dalej, zrobił niewielką pauzę:

– Guglielmo.

Nie po raz pierwszy Roux musiał stwierdzić, że ludzie Panopticonu wykazywali się sporym poczuciem humoru w nadawaniu sobie pseudonimów.

– Gdzie?

– W swojej szcurzej norze – odpowiedział Heinrich. – W Mediolanie.

– Bardzo się cieszę. – Tak naprawdę Roux się nie cieszył. Nie znosił, gdy ktoś przyłapywał go na gorącym uczynku – zwłaszcza przyjaciele.

– Prawie go mieliśmy – próbował się wytłumaczyć.

– Ale nie dlatego do ciebie dzwonię – powiedział Heinrich, wystrzeliwując z siebie spółgłoski niczym z karabinu. – Giger przekazał mi informację o pisarzu.

– Więc sprawy mają się tak, że niebawem powinienem wam go dostarczyć.

Do uszu Roux dotarło ciężkie westchnienie. W jednej chwili jego ból ulotnił się, a zamiast niego dały o sobie znać jeszcze bardziej dokuczliwe męki.

– Najpierw chciałbym spróbować załatwić sprawę kulturalnie – powiedział Heinrich. – Pisarz ma zbliżone do nas poglądy. Czytałeś jego książki? Spytajmy, czy chce z nami współpracować. Marconi powiedział, że Rol nie zgodził się współpracować z Panopticonem, ale że pozostawił sobie czas do namysłu. Mówi też, że Rol nic nie wie o Spartaku.

– Nikt nic nie wie o Spartaku, jakby nie istniał.

– Marconi też mówi, że Spartak nie istnieje. Ale ja miałem na myśli, że pisarz nie

wie, dlaczego się nim zainteresowali, i nie orientuje się w dążeniach Panopticonu. Z tego, co wiem, nie należy do partii faszystowskiej, ale nie ma powodu, żeby sądzić, że chce współpracować z naszymi wrogami. Dla naszych badań niezbędni są tacy jak on.

Roux zawiesił spojrzenie na martwym żołnierzu.

– Wiem – powiedział. – Przechylił głowę na bok i poz-wolił, by delikatny uśmiech rozluźnił mięśnie jego twarzy. – Znajdę go jeszcze dziś.

– Jest nam potrzebny.

– Zrobi się – odparł Roux, a następnie dodał, że zajmie się tym osobiście.

– Żywy – uściślił Heinrich.

– Oczywiście.

Heinrich westchnął do słuchawki, po czym dodał:

– Ważne, by aktorka nie przysporzyła nam problemów.

Jak zwykle o wszystkim wiedział. Był na bieżąco również z takimi detalami jak ten i osobiście się nimi interesował, z zaangażowaniem godnym nowicjusza. Heinrich zawsze przypominał Roux Nerona, który – według pogłosek – podczas gdy płonął Rzym, oddawał się dyskusjom o cytrze i śpiewie. Niemcy bez powodu odstawili go na boczny tor, jak to mieli w zwyczaju postępować z Włochami. Jego, Roux, potraktować jak zwykłego Włocha! Miał tak mocno zacisnięte ze złości zęby, że z trudem mówił dalej.

– Wątpię, żeby kobieta wiedziała coś ważnego na temat Rola. On sam nie zna powodu, dla którego zainteresował się nim Panopticon – przed chwilą to powiedziałeś. Zebrałem kilka informacji na jej temat. Jeszcze kilka dni temu była na planie filmowym pewnej produkcji. Jej ojciec jest kapitanem łodzi podwodnej włoskiej marynarki wojennej, człowiekiem, co do którego

możemy być spokojni, ponieważ siedzi gdzieś tam, zamknięty w metalowej puszcze na dnie morza.

– Tak – powiedział Heinrich – wspomniano mi o tym. Dowiedziałem się też od tego niezdary o bezmyślnej akcji twoich zabijaków. Reis bardziej przydałby nam się żywy. – Zamilkł na chwilę, a następnie odłożył słuchawkę. Chciał się upewnić, że do Roux dotrze, jak wyglądała sytuacja, czyli że nic nie mogło umknąć uwadze jego przyjacielowi, Heinrichowi Himmlerowi.

– Heil Hitler – powiedział Roux tonem przypominającym zwykłe pożegnanie, ale po drugiej stronie słuchawki nie było już nikogo. Odetchnął głęboko letnim powietrzem – wraz z końcem rozmowy z Himmlerem ustał również ból.

Rozdział 36

Kuurma mieszkał na trzecim, najwyższym piętrze kamieniczki wciśniętej pomiędzy dwa większe i wyższe budynki. Oba niższe piętra były niezamieszkane. Zasłonięte okiennice z nietkniętą jeszcze farbą sprawiały wrażenie, że wszyscy mieszkańcy wyjechali na jakiś czas na wieś, być może przekonani, że wcześniej czy później niszczycielskie bombardowania dotkną również Rzymu.

Domofon musiał być zepsuty, bo Kuurma zszedł, żeby otworzyć.

– Tak? – powiedział, zasłaniając oczy przed słońcem.

– Pan Kuurma?

– Tak, to ja. – Akcent z Dalekiego Wschodu.

– Nazywam się Lio Rol. Jestem bratem Sibylli.

Kuurma podskoczył z wrażenia.

– Jest pan bratem...?

– Sibylli – potwierdził.

– Wejdźcie – powiedział Kuurma, odsuwając się na bok. Zawiązał mocniej pasek purpurowego szlafroka z czaszką wyhaftowaną na kieszonce na piersi, z której z kolei wystawał ustnik fajki. – Wchodźcie, wchodźcie.

Lio zdołał przybrać wyraz twarzy, który z grubsza przypominał uśmiech.

– To jest Alba – powiedział, popychając ją do środka.

– Mam wrażenie, że już gdzieś panią widziałem – odparł komplementującym tonem Kuurma. Chwycił jej dłoń i uniósł do ust, delikatnie muskając. – Vladimir Kuurma, do pani usług.

– Być może widział ją pan w kinie – powiedział Lio z drżącym z niepokoju głosem.

– Alba jest aktorką.

Kuurma puścił dłoń Alby i w jednej chwili spowaźniał.

– Ależ tak, to tam panią widziałem. *Szybsze bicie serca*. Możliwe?

Alba delikatnie skinęła głową.

– Możliwe.

– To dla mnie zaszczyt. – Zanim zamknął drzwi, wyjrzał na zewnątrz. – Jesteście sami?

– Nikt nas nie śledził – zapewnił go Lio.

– Proszę, wejdźcie na górę.

Kuurma przekręcił do oporu klucz w zamku i dodatkowo zablokował drzwi wejściowe klinem, po czym wszedł za nimi na górę.

– Rozgoście się. – Odebrał od nich płaszcze. – Usiądźcie sobie przy kominku. – Nie pytając o nic, uklęknął, żeby dołożyć do ognia. – Przyniosę wam trochę wody.

– Vlad! – wykrzyknął ktoś z drugiego pokoju. – Kto przyszedł, Vlad?

– Dwoje przyjaciół – odkrzyknął. – Zwracając się półgłosem do Lio i Alby, poinformował ich, że w pokoju obok znajdował się jego ojciec. – Ma prawie sto lat –

powiedział, stawiając wodę na stole – ale wciąż ma doskonały słuch. – Usiadł, skrzyżował ramiona na piersi i obserwował ich brodą opartą na grzbiecie dłoni. – Jak mogę pomóc?

Lio przeszedł od razu do rzeczy:

– Sibylla mówiła panu, że ma brata?

Brwi Estończyka poszybowały w górę.

– Nie.

– Od jak dawna ją pan znał?

Kuurma odpowiedział z wyrazem twarzy wskazującym na to, że pożałował, że w ogóle wpuścił ich do domu:

– Czy to przesłuchanie?

– Vladimir! – zagrzemiał znowu starzec.

– Tak, tato?

– Kto tam z tobą jest?

– Goście, tato.

Kuurma wytłumaczył, że jego stary ojciec od dwóch lat nie chciał wyjść ze swojego pokoju. Pogrzebał się tam żywcem z powodu choroby umysłowej, pewnego rodzaju fobii.

Dodał też, że była to jedyna choroba, na jaką cierpiał, pomimo zaawansowanego wieku.

– Jak ją pan poznał? – ponaglił go Lio. – Mam na myśli Sibyllę.

– Kiedyś przychodziła do archiwum watykańskiego, żeby prowadzić swoje badania. Mieliśmy wspólne zainteresowania, oboje jesteśmy tłumaczami i byliśmy w kontakcie.

– Jakie zainteresowania?

– Sibylla jest niezwykle inteligentną osobą, rozmowaz nią to czysta przyjemność. – Machnął ręką, jakby przypadkowo wymknęło mu się coś nieistotnego. – Nie sędzę, żeby to mogło pana interesować.

– Mnie... – Lio spojrział na Albę i poprawił się: – Nas interesuje wszystko, co wie pan o Sibylli, panie Kuurma.

Kuurma spojrział mu prosto w oczy, przechylił głowę na jeden bok, a następnie na drugi – przypominał psa, który usiłuje zrozumieć, co się dzieje.

– Chce mi pan powiedzieć, że coś jej się stało?

– Sibylla nie żyje – powiedział Lio, również się w niego wpatrując. – Ale to jedyne, co wiem.

Kuurma zaczął się emocjonować. Był bardziej zbulwersowany niż załamany tą wiadomością, a w każdym razie jego żal z mozołem przekształcał się w stosowny i wiarygodny wyraz twarzy. Krążył w tę i z powrotem po pokoju, mocno potrząsając głową. To nie mogło być prawdą.

– Nikt nie może w to uwierzyć – powiedział. – Sibylla jest najbardziej pełną życia osobą, jaką znam.

– Była – poprawił go Lio.

– To niemożliwe – zaproponował Kuurma.

– Niestety to prawda.

– To dość dziwne, że o niczym pan nie wiedział – zauważyła Alba.

Kuurma spojrział na nią bez wyrazu, jakby nosił maskę.

– To nie jest dziwne. Taka jest zasada. Zazwyczaj pewne wiadomości nie pojawiają się w kronikach gazet. – Zamyślił się, zbliżył się do okna i wyjrzał na zewnątrz. – Muszę was prosić, żebyście wyszli. Nie powinniście byli tu przychodzić.

– Może wie pan coś, co wyjaśni jej śmierć i być może zapobiegnie mojej – powiedział Lio.

– Przecież ja nawet nie wiedziałem, że ma brata! – Kuurma nalał sobie szklanekę wody i spróbował się napić. Ręka mu drżała, woda wylała się z zaschniętych ust i popłynęła po klatce piersiowej.

– Po co tu przyszliście?

– Vlad! – wybuchnął staruszek w pokoju obok.

Kuurma nie odpowiedział.

– Vladimir! – zakrzyczał jeszcze głośniej.

– Tak, tato?

– Wciąż tam są?

– Tak!

– Sibylla przekazała panu coś dla mnie? Nie zostawiła panu przypadkiem kluczy od jakiegoś domu?

Kuurma znieruchomiał i zaczerwienił się na twarzy, a następnie wybuchnął śmiechem.

– Klucze od domu? Dla pana? Nie znałem jej aż tak dobrze.

– Więc proszę mi powiedzieć, co pan wie.

– Wiem, że pracowała dla esesmańskiego Ahnenerbe.

Lio wiedział, czym było Ahnenerbe. Kiedy Reis powiedział mu, że Sibylla współpracowała z tym niemieckim instytutem, zastanowił się, kiedy i w jakich okolicznościach słyszał o nim pierwszy raz, ale nie mógł sobie przypomnieć. Wtedy przez jego głowę przebiegały pochodzące znikąd myśli takie jak „Ahnenerbe to prywatna akademie SS, potężna organizacja kulturalna i naukowa badająca spuściznę po przodkach w celu udowodnienia wyższości rasy aryjskiej” czy „Ahnenerbe prowadziło badania archeologiczne

i antropologiczne w każdym zakątku planety”, czy też „Ahneherbe prowadzi eksperymenty naukowe na więźniach obozów koncentracyjnych, wykorzystując ich jako króliki doświadczalne”.

– Dowiedziałem się – kontynuował Kuurma – że Sibylla często odwiedzała biuro VII Departamentu w Berlinie. Wie pan, o co chodzi, prawda?

– Proszę mnie oświecić.

Poirytowany Kuurma wydał z siebie serię westchnień, jakby wyczerpany tą całą sytuacją. Skulił ramiona i zaczął recytować z niechęcią:

– Departament VII ma siedzibę w Berlinie. Stanowion część Reichssicherheitshauptamtu – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, znanego lepiej jako RSHA. RSHA to struktura utworzona w 1939 roku w celu zintegrowania oddziałów tajnej policji niemieckiej – niemieckiej sekcji SD, zagranicznej sekcji SD, Gestapo i Kripo –

w jedną dużą organizację pozostającą pod nadzorem Reichsführera formacji Schutzstaffel, czyli słynnej SS.

– Heinricha Himmlera? – Alba wytrzeszczyła oczy.

Było to pytanie retoryczne, dlatego Kuurma potwierdził jedynie niewyraźną miną.

– Gestapo? – Kolejny dreszcz paniki przebiegł przez plecy Alby.

– Tudzież Departamentu IV – uściślił Kuurma, a następnie dodał: – Natomiast VII Departament – ideologiczny – sonduje i analizuje albo, mówiąc dokładniej, steruje opinią publiczną we współpracy z ministrem propagandy. Kierowany jest przez SS-oberführera, doktora Franza Sixa. – Wstał i podszedł do szafki. Otworzył szufladę i wyjął z niej dwie nieotwarte paczki lucky strike'ów. Rzucił je w kierunku Lio wraz z paczką szwedzkich zapalek. – Nie mam pojęcia, czym zajmowała się Sibylla. Wiem

natomiast, że miała jakieś umiejętności psychiczne, bardzo poszukiwane przez niemieckich wojskowych, i nie tylko przez nich. – Dotknął skroni. – Być może dlatego często jeździła do Berlina – powiedział i ponownie usiadł przed palącym się w kominku ogniem, który dzięki trosce Alby przybrał przyzwoite rozmiary. – Wiecie, od czasu wybuchu wojny Ahnenerbe nie organizuje już ekspedycji archeologicznych, ba, nie organizuje już żadnych spedycji – przynajmniej poza terytoria okupowane przez Niemcy. Wiem, że niedawno prowadziła jakieś badania na Sardynii za przyzwoleniem włoskiego rządu, ale nie wiem, na ile to prawda. Unikałem zadawania jej pytań, a ona też sama nigdy o tym nie opowiadała. To są tylko moje przypuszczenia.

– Lepsze to niż nic – powiedział Lio.

– Sądzę, że ktoś z VII Departamentu zajmuje się badaniami okultystycznymi razem

z AMO Goebbelsa. – Widząc ich zdezorientowane twarze, Kuurma dodał: – AMO oznacza „Astrologia, Metafizyka, Okultyzm”. – Uśmiechnął się przebiegle. – Ale to nie dowodzi, że Sibylla stała po stronie zła. Być może miała bardziej szlachetne powody niż pieniądze, żeby zajmować się tym, czym się zajmowała.

Głos starca zagrział kolejny raz:

– Vlad!

– Tak, tato?

– Kto tam z tobą jest?

– Przyjaciele, tato!

Lio wychylił się do przodu i położył mu dłoń na kolanie.

– Co robiła Sibylla w Ahnenerbe?

– Nie wiem.

– Niech pan powie.

– Podejrzewam, że przystała na żądania Ahnenerbe lub innej organizacji działającej równolegle wewnątrz VII Departamentu lub AMO, aby uzyskać informacje, które miała

przekazywać alianantom lub jakiejś innej grupie antyfaszystowskich bojówek włoskich. Słabo ją znałem, ale szczerze mówiąc, nigdy nie pomyślałem o niej jak o zagorzałej zwolenniczce faszyzmu. Zawsze wydawała mi się dobrą dziewczyną, jak to się mówi. Jeżeli kolaborowała z nazistami, z pewnością miała ku temu jakiś słuszny powód.

– Więc nie sympatyzuje pan z nazistami.

– Niech pan spojrzy na moje wystające kości jarzmowe – odpowiedział Kuurma, odwracając się do nich bokiem. – Jestem Słowianinem, jak mógłbym z nimi sympatyzować?

– Ufam, że nie wierzy pan w te bzdury o różnych rasach?

– Tu nie chodzi o wiarę, ale o odwagę, by przyznać, że nie jesteśmy wszyscy tacy sami.

– Oczywiście, że nie jesteśmy wszyscy tacy sami, ale nie zgadzam się, żeby jakaś jednostka mogła zostać uznana za lepszą od innej tylko dlatego, że jej wygląd odpowiada

całkowicie arbitralnym kanonom budowy ciała. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli ktoś ma jasną cerę i jasne oczy, nie będzie bardziej odważny, zdrowy i inteligentny od kogoś, kto ma ciemne oczy i karnację, i może jeszcze kilka centymetrów mniej wzrostu.

Alba poparła słowa Lio, przytakując gorączkowoze wzruszeniem w oczach.

– Ja uważam tak jak pan – powiedział Kuurma – niemniej nie ulega wątpliwości, że my, istoty ludzkie, myślimy całym naszym ciałem, nie tylko mózgiem. Zdrowie, długowieczność i wiele innych równie ważnych rzeczy – takich jak inteligencja – zależy po części od aktywności fizycznej, a po części od genetyki, od dziedziczności. Zatem ja popieram selekcję połączoną z edukacją. Nigdy nie chciałbym mieszkać w kraju takim jak Ameryka, gdzie... ale dajmy spokój, zawsze się zapalam przy takich rozmowach.

– Słowianin mówiący niczym esesman. Czyż to nie dziwne? – Lio zadał to pytanie Albie, ale ona jedynie wzruszyła ramionami.

– Ja próbuję tylko rozumować logicznie – odparł Kuurma – nie ulegam niczym wpływom. Jeżeli jakiś pogląd jest prawdziwy i słuszny, taki właśnie jest, bez względu na to, kto go wygłasza. Codziennie ćwiczę się w uwalnianiu umysłu, żeby zachować jego sprawność.

Lio usiłował stłumić swoje zadowolenie.

– Mówienie o kulturze, cywilizacji, które sprzyjają aktywności fizycznej i zdrowiu i które z czasem kształtują silne i inteligentne osoby, to jedna rzecz, ale mówienie o doli-chocefalicznych czaszkach, bardziej wydatnych kościach jarzmowych i niebieskich oczach to zupełnie inna sprawa, panie Kuurma.

– Widzicie? Daję się porwać, wiedząc, że moje przekonania wywołują oburzenie, przez co tracę jasność umysłu, która pozwala mi

prowadzić klarowny i zrozumiały wywód. Przepraszam za to. Pan jest zdecydowanie lepszym mówcą ode mnie i dokładnie zgadzam się z tym, co pan przed chwilą powiedział.

Zdolność Kuurmy do zgadzania się z rozmówcą była wprost zaskakująca. Potrafił niczym namydlony węgorz wyslizgnąć się z każdej obranej pozycji, a jego twarz zawsze potrafiła przybrać odpowiedni wyraz. Lio pomyślał, że musiało to być owocem wielu lat praktyki w środowisku Watykanu, które to lata uczyniły z niego brawurowego kameleona.

– Ma pan pojęcie, czym zajmowały się osoby, z którymi pracowała Sibylla?

Kuurma prychnął niespokojnie, bardziej z ostrożności niż z niezdecydowania. W ciszy tykanie zegara, jęki starca w przyległym pokoju, odgłosy z ulicy, każdy drobny szmer stawał się głośniejszy, jakby jakaś niewidzialna ręka kręciła potencjometrem

rzeczywistości. W końcu zdecydował się powiedzieć:

– Projektem Reise, co oznacza „gigant”.

Na dźwięk tych słów dłonie Lio i Alby zwały się potem.

– Wiedzieliście o nim?

– Nie, niech pan mówi dalej.

– Kiedy ja nie mam wiele więcej do powiedzenia. Tylko tyle, że Sibylla zadawała się z niewłaściwymi ludźmi i może nie zdawała sobie z tego sprawy. Dla niej wielkie poważanie ze strony Ahnenerbe zapewne było czymś ważnym.

– Którego instytutu Ahnenerbe?

– Badania naukowe dla celów militarnych.

– Nad czym pracują?

– Zdaje się, że nad bardzo zaawansowaną bronią bazującą na cudownej technologii. Niektórzy mówią wręcz, że jest to coś pochodzenia... – Kuurma wzniósł palec do góry – pozaziemskiego. Przynajmniej oni tak sądzą. Propaganda Goebbelsa nazywa ją

Wunderwaffe, cudowną bronią. – Rozproszył te słowa gestem dłoni. – Cała ta sprawa z Wunderwaffe może się okazać tylko blefem niemieckiej propagandy mającym na celu nastraszenie aliantów.

– Nie rozumiem, jaki związek mogła mieć Sibyllaz pracami nad supernowoczesną bronią – zauważyła Albaze szczyptą oburzenia w głosie.

– Ja też tego nie rozumiem – odparł Kuurma. – Pomyślałem, że zainteresowanie Ahnenerbe Sibyllą mogło mieć związek z obsesją SS na punkcie okultyzmu. – Zaśmiał się szelmowsko. – Ona posiadała wyjątkowe umiejętności dlatego... Himmler szuka Agharty, podziemnego świata, w którym według buddyjskiej tradycji żyje bardzo zaawansowana cywilizacja. Jest przekonany, że mieszkańcy Agharty należą do jakiejś wyższej rasy, protoplastki obecnej rasy germańskiej, i że ta rasa jest córą bogów. – Ponownie wzniosł palec do góry. – Czyli istot

pozaziemskich. Ale Sibylla była też doskonałym archeologiem, a archeolodzy prowadzą wykopaliska w poszukiwaniu pogrzebanych cywilizacji. To dlatego przez pewien czas sądziłem, że pracowała dla Urzędu Nadzoru i Kontroli w Instytucie Nauk Tajemnych. Później odkryłem, że zajmowała się również prowadzeniem badań naukowych nad nowymi technologiami. – Rozłożył ramiona. – Żadnej archeologii. – Bryła zmarszczek na jego czole rozplynęła się w uśmiechu, jedynym w tym pomieszczeniu.

– Naprawdę nie zostawiła panu nic dla mnie? Niech pan spróbuje sobie przypomnieć, bardzo proszę.

– Nic. Minął już z rok od czasu, kiedy ostatnio się ją widziałem. Ale przed Bożym Narodzeniem dostałem od niej list. To osobista rzecz. Zawsze miło jest, gdy przyjaciele pamiętają o nas.

– Mogę zobaczyć?

– List?

Lio skinął głową.

Kuurma przeszedł do drugiego pokoju i wrócił z powiewającym mu w palcach listem.

– Wcześniej paliłem je zaraz po przeczytaniu, ale od kiedy zorientowałem się, że ci z OVRA sprawdzają moją korespondencję, już się nie fatyguję.

Lio przeczytał list. Był to zwykły list z pozdrowieniami. Ślad żelazka na papierze uzmysłowił Rolowi, że Kuurma próbował podgrzać go w nadziei, że znajdzie na nim ukrytą wiadomość zapisaną atramentem sympatycznym. Nie mógł stwierdzić tego na pewno, ale pismo wydawało mu się takie samo jak to z listu przekazanego mu przez Albę. Udając, że próbuje przeczytać list w lepszym świetle, zbliżył go do ognia w kominku. Tak jak się spodziewał, nie pojawiło się nic.

Kuurma wyjął fajkę z kieszeni szlafroka i włożył sobie do ust. Wykonał wszystkie

niezbędne czynności – wziął tytoń z pojemnika wykonanego z drewna orzechowego, wyczyścił fajkę, nabił ją szlachetnym tytoniem, zapalił zapalką, bacznie obserwując przy tym Lio.

– Słuchajcie – powiedział, pykając łapczywie w ustnik, rozpalając żar w główce i wytwarzając przy każdym cmoknięciu wielką chmurę dymu. – Słuchajcie... – Usiadł, złapał spodnie na wysokości kolan i uniósł je, zakładając nogę na nogę. – Słuchajcie, ja... – Zaciągnął się kilka razy, spoglądając w górę. – Chciałbym móc coś dla was zrobić, ale... Uzgodnijmy coś. Powiedziałem wam to, co wiem o Sibylli, a teraz idźcie już sobie – i tak zbyt długo tu jesteście.

– Vlad! Wrzeszczał starzec z drugiego pokoju.

– Tak?

Żadnej odpowiedzi.

– Chce się tylko upewnić, że nie zostawiłem go samego – poinformował Kuurma. –

Chciałbym wam pomóc, ale... Do diabła! – krzyknął. Zaciągnął się, najmocniej jak mógł. Przeszywały go potężne dreszcze, jakby toczyła się w nim jakaś wewnętrzna walka. – Do diabła! – powtórzył. – Nie wiem nawet, dlaczego zgodziłem się wpuścić was do domu. Narażam się na niebezpieczeństwo.

– Wiedział pan, że przyjdę? – zapytał Lio.

– Ryzykuję życie, nie wyganiamąc was stąd – powiedział Kuurma – nie wzywając policji. Ale życie w dzisiejszych czasach jest niewiele warte. – Potrząsnął ramionami, jakby chciał powiedzieć, że gwizdał na życie.

– Vlad!

– Co jest? – krzyknął zniecierpliwiony. – Czego chcesz?

– Vladimir!

– Cicho bądź! – wykrzyczał mu.

Rozśmieszyło to Albę, która w pośpiechu starała się ukryć zmieszanie za kłębem dymu z lucky strike'a.

Kuurma nagle stał się nieobecny.

– Proszę pana. – Lio potrząsnął nim, wrywając z zamyślenia. – Wie pan coś, co mogłoby wyjaśnić śmierć Sibylli?

Kuurma doszedł do siebie, otulony zasłoną powagi.

– Co jeszcze miałbym wiedzieć? Jedyne, czego jestem pewien i już wam o tym powiedziałem, to to, że była zatrudniona w niemieckiej ambasadzie jako tłumacz, ale ostatnio wplątała się w jakieś badania archeologiczne Ahnenerbe. Lubiła to. Opowiadała mi o jakiejś misji w Ameryce Południowej, przed wojną. Bardzo się tym ekscytowała. Często jeździła do Berlina, jak już wam wspomniałem. Nie widziałem jej od dłuższego czasu.

– Według pana była szpiegiem?

Wyczerpany Kuurma przyznał, że istniała taka możliwość. – Wiecie, jak jest urządzony świat.

– Dla kogo to robiła?

– Nie powiedziałem, że to robiła. – Kuurma odłożył wypaloną fajkę i podszedł do wiszącego na ścianie obrazu. – Choć nie dostałem tego od pańskiej siostry, mam dla pana coś, co należało do Sibylli, panie Rol.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w obraz, jakby podziwiając jego piękno i oceniając wartość, a następnie zdjął go ze ściany.

– Chodzi o małe opowiadanie. Sibylla była wyjątkową osobą, niedoścignionym umysłem, ale pisanie nie szło jej najlepiej – sam pan będzie mógł to stwierdzić, czytając je. Być może jesteście rodzeństwem, ale pod tym względem całkowicie się różnicie. – Za obrazem znajdował się niewielki sejf zabezpieczony trzycyfrowym szyfrem. Otworzył go i wyjął zwiniętą w rulon skórę daniela oraz małą metalową rurkę. – To Beretta M35 – poinformował, wążąc w rękę skórzany zwój, następnie pociągnął za rurkę, wysypał sobie zawartość na dłoń i spojrzał na nią smętnym

wzrokiem. Była to podłużna brązowa kapsułka. Włożył ją sobiedo ust i zaczął ssać niczym cukierek. – Mam też niezły zapas nabojuów kalibru siedem i sześćdziesiąt pięć – wymamrotał, szperając jednocześnie w sejfie. Znalazł je, jak również zwarty plik banknotów. – To są pańskie pieniądze, panie Rol. – Była to równowartość siedmiu tysięcy lirów w niemieckich markach. Kuurma zdawał się doskonale o tym wiedzieć. – Robotnik zarabia dziesięć razy mniej przez miesiąc ciężkiej pracy – napomniał. – Proszęje dobrze spożytkować. – Podał mu również plik kartekw formacie A4. – A to pana rękopis.

Lio wziął ostrożnie kartki, niemal bojąc się, że możeje uszkodzić. Było to krótkie opowiadanie podpisane przez Sibyllę Rol.

– Kto je panu dał?

– Ten, kto mi je dał, został zamordowany. I to powinno być dla nas ostrzeżeniem.

Kuurma wsunął sobie pistolet z tyłu za pasek spodni. Dwie garści nabojów wyslizgnęły mu się spomiędzy palców i wpadły z brzękiem do kieszeni szlafroka. Przeprosił poszedł do drugiego pokoju. Po chwili wrócił z ryzą papieru w dłoni. Usiadł na podłodze przed kominkiem i w napięciu zaczął palić kartki pojedynczo oślepiany przez płomienie.

– Nie wolno igrać z ogniem – powiedział, patrząc, jak z każdą kolejną kartką płomienie buchają coraz mocniej.– Czy ktoś interesował się panem ostatnio?

– Jakies typy – powiedział Lio, przeglądając delikatnie plik kartek zapisanych na maszynie. Było to opowiadanie bez tytułu napisane przez siostrę, której nie mógł sobie przypomnieć. – Śledzili mnie od tygodni.

– Niemcy?

– Nie.

– Źle, bardzo źle.

– To byli Włosi.

– Co od pana chcieli?

– Żebym machał wahadłem nad mapą i takie tam.

Kuurma dokładał do ognia, jednocześnie obracając w ustach kapsułkę, którą wyjął z sejfu.

– Właśnie zdobył pan niezbyt miłego przyjaciela, panie Rol.

– O kogo panu chodzi?

– O kogoś, kto nazywa się Marcello Roux – powiedział Estończyk. Z wilgotnego szlafroka ogrzanego przez płomień zaczęła wydobywać się upiorna para. – To agent OVRA. Jest naprawdę niebezpiecznym szaleńcem, możecie mi wierzyć.

– Ja nie jestem szpiegiem – uściślił Lio. – Jestem obywatelem Włoch, a co za tym idzie – sojusznikiem Niemiec. Nie sądzę, żebym mógł obawiać się czegoś ze strony Niemców. Jak na razie to Amerykanie i Brytyjczycy budzą we mnie strach, to oni bombardują nasze miasta.

– Dobrze powiedziane – odrzekł Kuurma
– tak należy mówić, jeśli chce się długo żyć.

– Ale pan współpracuje z tymi, którzy
mnie śledzą, nieprawdaż? To oni dali panu
pieniądze i ten rękopis oraz powiedzieli, że
po nie przyjdę?

– Panie Rol... – Kuurma spojrzał na niego
z politowaniem. – Pewna znana mi osoba,
młoda krawcowa, kobieta, która tej tyranii
poświęciła już swojego młodego męża,
poprosiła mnie o przysługę, twierdząc, że
znajduje się w ciągłym niebezpieczeństwie.
Chciała, żebym przechował dla niej pewne
rzeczy. Wśród nich znajdował się rękopis,
który miała przekazać w odpowiednim mo-
mencie niejakiemu Lio Rolowi. I wydaje mi
się, że ten moment właśnie nadszedł. Mam
nadzieję, że nie pogniewa się pan, jeśli zrobię
to za nią, zważywszy na fakt, że ona zginęła.
Oddała życie, walcząc o wolność. Miała na
imię Diamante. Nie zdołałem nawet dow-
iedzieć się, co stało się z jej córką. Ryzykuję

tym, że skończę jak ona. Jeżeli według pana oznacza to współpracę z wrogiem, w takim razie współpracuję z nim. Ale nie z takim wrogiem, o jakim pan myśli.

Lio przypuszczał, że chodziło mu o Sowietów, dlatego nie dopytywał dalej.

– Jeżeli żywi pan sympatię do Niemców – kontynuował Kuurma – i chce pan zacząć z nimi kolaborować jako z sojusznikami Włoch, w takim razie mam nadzieję, że posiada pan zdolności podobne do tych, którymi obdarzona została pańska siostra – że pan też jest jasnowidzem, medium lub kimś w tym rodzaju. Ponieważ jeśli rzeczywiście ma pan jakąś moc, Niemcy pana nie tkną, włos panuz głowy nie spadnie – dopóki nie posiadzie pan pewnej wiedzy i nie stanie się dla nich niewygodny. Mogą zażądać, żeby przewidział pan zamach na Führera lub kto wie, co jeszcze, a po chwili zlikwidować pana bez zbędnych ceregieli. Karl Ernst Krafft, astrolog, który przewidział dla Hitlera pucz

piwiarniany, ratując mu tym samym życie, od dwóch lat cierpi w obozie koncentracyjnym. Erik Jan Hanussen, iluzjonista, który nauczył Hitlera, jak hipnotyzować tłumy, i przewidział dokładnie, kiedy dojdzie do władzy, otrzymał w podzięcie trzy kulki w łeb. – Zwrócił się do Alby. – Jeśli panią chodzi, wydaje mi się, że została w to pani wciągnięta mimowolnie. Gdybym był tak utalentowany jak pani, nie wahałbym się ani chwili dłużej i pojechałbym szukać szczęścia w Hollywood. Może ludzie, którzy zwrócili się z propozycją współpracy do pana Rola, znaleźliby sposób, żeby wysłać panią do Stanów Zjednoczonych.

Nikt nigdy nie schlebił Albie w tak drastyczny sposób.

– Nie mam zamiaru współpracować z wrogami Włochów czy Niemców.

– Niech pani robi to, co podpowiada pani serce – ono wie najlepiej.

Lio chciał odpowiedzieć, ale w tym momencie z ulicy dobiegł charakterystyczny warkot silnika i wzburzone głosy, na co Kuurma skoczył z przerażeniem w oczach na równe nogi.

– Słyszeliście? – Nadstawił ucha. Podbiegł do kominka i w pośpiechu wrzucił do niego ostatnie kartki, które jeszcze trzymał w ręku.

Auto zatrzymało się.

– Musieli was śledzić – powiedział wyraźnie zdenerwowany. – Uciekajcie stąd.

– Wskazał na korytarz. – Tamsą schody, które prowadzą na strych. Wyjdziecie przez okno na dach...

– Jest tam jakaś lina? – zapytał Lio.

– Na strychu – powiedział Kuurma. – No już, szybko!

Dzwonek do drzwi potwierdził jego obawy.

– Idźcie już, szybko!

– Władimir! – krzyknął starzec.

– Tak, tato?

– Ktoś dzwoni.

– Wiem.

Kolejny dzwonek – tym razem bardziej natarczywy.

Lio i Alba dopadli do schodów na końcu korytarzai weszli przez właz na strych.

– Vladimir!

– Tak, tato?

– Otwierać! – Nakazano z ulicy. – Policja!

– Już idę! – krzyknął Kuurma zarówno do ojca, jaki policjantów, których widział przez okno. Tymczasem usiadł spokojnie w fotelu, załadował pistolet, wyjął z kieszonki fajkę i tytoń, naładował ją, podpalił i zaczął się nią delektować.

– Vlad!

Nie odpowiedział.

– Vlad!

W końcu drzwi na dole ustąpiły pod naporem kopnięć i pchnięć barkami.

Usłyszał ciężkie kroki dwóch mężczyzn, którzy wbiegali po schodach, metaliczny dźwięk półautomatów.

Za nimi bez pośpiechu podążał trzeci mężczyzna.

Rozdział 37

Pierwszego intruza Kuurma zabił dwoma pociskami wystrzelonymi w środek brzucha. O sekundę za długo obserwował zdezorientowaną twarz rannego człowieka, który spoglądał teraz na swoją dłoń umazaną wnętrznościami i strzępami munduru – chybił, celując do drugiego. Zanim do mózgu Kuurmy dotarł impuls, żeby ponownie nacisnąć spust, tamten powalił go już na ziemię.

Żołnierz z wielką chęcią strzeliłby mu w sam środek głowy w odwecie za swojego kolegę, ale Roux rozkazał, żeby zostawił go w spokoju i poszedł sprawdzić strych.

Roux natomiast kręcił się po pokoju, wciągając powietrze niczym głodny wilk. Otworzył drzwi pomieszczenia, w którym mieszkał stary ojciec Kuurmy, klęknął, żeby sprawdzić pod łóżkiem, a następnie zamknął drzwi, przepraszając za kłopot.

Wiedział, że Lio i Alba tam byli. Potwierdzały to trzy szklanki stojące na stole, jeszcze ciepłe siedziska krzeseł oraz unoszący się w powietrzu zapach kobiecych perfum.

– Mam nadzieję, że nie przerwałem miłej pogawędki – powiedział.

Twarz Kuurmy co chwilę zmieniała wyraz – raz malowały się na niej oznaki paniki, a za chwilę kamienny spokój.

– Zszedłbym otworzyć wam drzwi, gdybyście dalimi na to czas.

– Śpieszyłem się – odparł Roux. Obrócił krzesło i usiadł okrakiem naprzeciwko niego, układając ręce na oparciu.

– Dokąd poszli?

– Kto?

W ulubionej grze Roux takie pytanie – jeżeli zadane zostało w towarzystwie kpiącego uśmiešku – równało się uderzeniu w policzek, wymierzonemu dłonią bez pierścienia.

Szybki cios odbił się głuchym echem od policzka Kuurmy i spowodował, że pojawiła się na nim szkarłatna bruzda.

– Vlad! Kto tam jest?

– Nikt! – krzyknął ze złością Kuurma. – Nie ma nikogo.

– Dokąd poszli? – zapytał Roux.

– Nie wiem – odpowiedział Kuurma, oglądając z oburzeniem swą zakrwawioną dłoń, którą dotknął twarzy. – Nie powiedzieli mi.

Pierwsze kłamstwo – zwłaszcza jeśli wypowiedzianez ironią – w ulubionej grze Roux równało się karze policzka wymierzonego dłonią z pierścieniem, dlatego zdobiącago czaszka z białego złota sięgnęła twarzy Kuurmy, łamiąc mu jeden ząb i rozrywając dziąsła.

– Nie wiem, naprawdę – powiedział Kuurma, zasysając płynącą mu z ust krew.

Wielu grało już w grę Roux i nikt nigdy nie uznał, żeby była zabawna. Kuurma właśnie

mógł przekonać się o tym osobiście, dlatego postanowił wypróbować taktykę trochę większej ustępliwości.

– Był bratem pewnej mojej znajomej, towarzyszyłamu przyjaciółka. Nie wiem, co sobie pomyślał – jak tylko usłyszeli wasze kroki, uciekli przez strych.

– Czego chcieli?

Kuurma przełknął krew wymieszaną z kawałkami zęba, potrząsając równocześnie głową.

– On chciał dowiedzieć się czegoś o swojej siostrze.

Z przymkniętymi powiekami czekał, aż Roux wymierzy mu kolejny cios w twarz, ale on pogładził go tyłkokilka razy po głowie, tak jak głaszcze się potulnego, włochatego psa.

– Dobrze.

Kuurma odetchnął.

– Miałem przekazać im rękopis niepublikowanego opowiadania napisanego przez jego siostrę na maszynie. Przekazała mi go

kobieta, która często przychodzi do Watykanu, gdzie pracuje jako krawcowa. Chciała, żeby Rolje dostał.

Drugie kłamstwo – zwłaszcza jeśli wypowiedziane przy użyciu zbyt wielu słów i z buńczucznym wyrazem twarzy oraz pozornie niewinnym i chytrym spojrzeniem – w grze Roux równało się postrzałowi w kolano.

– Ale kiedy to prawda! – zawołał Kuurma.

Pistolet wystrzelił z ogłuszającym hukiem.

– Vlad! – wrzasnął starzec zaalarmowany przez strzał. – Co się dzieje, Vlad?

Tym razem jego syn nie odpowiedział – zwijał się z bólu, uciskając nogę i daremnie usiłując zatamować krwotok.

Roux wskazał kiwnięciem głowy otwarty sejf.

– Co im dałeś?

– Przed chwilą powiedziałem – wystękał Kuurma.

– Nie wierzę – odparł Roux, a żeby udowodnić, że mówił szczerze, przycisnął mu lufę pistoletu do drugiego kolana. – Pisarz i aktorka przyszli w imieniu Spartaka, czyż nie?

– Nie, nie, oni o niczym nie wiedzą. Sądzę, że Panopticon próbował zwerbować pisarza, ale on się nie zgodził – przyznał Kuurma, machając szybko głową w ogromnych katuszach. – Mówi, że jest lojalnym obywatelem. Niema się czym przejmować. To postrzelec. Nie pamięta nawet, żeby miał siostrę.

– A czy powiedział ci, dlaczego Panopticon chce go zwerbować?

– On sam tego nie wie. Nie przyszli do niego jako ludzie z Panopticonu.

– Niczego nie wiadomo, a jednak przyszli do ciebiepo coś i ty im to dałeś. – Na samą myśl o tym Roux poczuł irytujące ciepło na skórze, zaczął więc ze złością pocierać sobie ramiona i tors.

– To była krótka opowieść napisana przez jego siostrę– powiedział Kuurma, zaciskając zęby w przeraźliwym bólu świdrującym jego mięśnie.

– Nie sądziłem, że interesujesz się literaturą. Mogę cię zapewnić, że to opowiadanie nie jest warte tego wszystkiego.

– Gadaj o aktorce!

– Była przyjaciółką jego siostry, wydaje mi się, że coś ich łączy. Ona też nic nie wie.

Szarpnął go.

– Uważasz, że nie wiem, że jesteś sowieckim szpiegiem, wrogiem państwa włoskiego?

Zaczekał, aż podniesie głowę i spojrzy mu w twarz. Był gotowy wystrzelić kolejny nabój w jego kolano.

– Tak myślałem – czyli to jest prawdziwym powodem tej wściekłości na mnie – powiedział Kuurma. – Nic cię nie obchodzi ten pisarz. Jesteś tu z mojego powodu.

– Pisarz nic nie wie. Ale ty – zbyt wiele. – Poglądziłgo po głowie. – Nie powiedziałaś może czegoś o mnie?

– Komu?

– Tym z Panopticonu.

– Nie mam nic wspólnego z Panopticonem.

– Takie bzdury to możesz opowiadać komuś innemu.

– Boisz się, że mógłbym powiedzieć, że pułkownik Roux sprzedaje informacje do NKWD?

– Nie sędzę, żeby to mogło interesować Panopticon. Nie jesteś aż taki ważny. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? Jesteś nikim. Nikim.

Kuurma wzniósł na chwilę oczy do nieba, prosząco wybaczenie, i szcęknął osłonką kapsułki, którą trzymał w ustach.

Kiedy Roux zorientował się, co się dzieje, zaczął nim potrząsać i uderzać, próbując zmusić go do wyplucia kapsułki, jednak bez

powodzenia. Usiłował wsadzić mu palce do buzi, ale jego szczęki były już unieruchomione przez sztywny uścisk śmierci, która nadchodziła nieuchronnie wraz z potokiem białej piany. W przypadku gwałtownego zgonu stężenie pośmiertne następuje błyskawicznie i kto jak kto, ale Roux wiedział o tym doskonale.

Właśnie w tym momencie stary ojciec Kuurmy zdobył się na odwagę, by opuścić swoje więzienie. Był to pierwszy raz od dwóch lat, kiedy zdecydował się wyjść ze swojego pokoju i zajrzeć do salonu.

– Vlad – wyszeptał z niedowierzaniem, gdy zobaczył swojego syna krwawiącego i siedzącego nieruchomona krześle z głową uniesioną do góry.

Na jego wykrzywionej od bólu i cyjanku twarzy malował się ironiczny uśmiezek, spojrzenie było szkliste i nieobecne, a z kącika ust wypływała piana.

Roux sprawiał wrażenie, jakby bawiło go obserwowanie powolnej śmierci Kuurmy.

– Co pan mu zrobił? – Głos starca był teraz płaczliwy i przepełniony niepohamowanym drżeniem. Szurajaco podłogę i chwiejąc się na nogach, podszedł do syna.

– Zabił go pan! – krzyknął.

Również dla niego było to ostatnie tchnienie, bowiem Roux zatkał mu nos i usta dłonią, blokując dostęp powietrza. Jego wiotkie ciało osuwało się miękko na podłogę, zaś Roux sprawiał wrażenie coraz bardziej rozbawionego.

Rozdział 38

Lio i Alba pędzili po dachach w kierunku placu Hiszpańskiego, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Usłyszeli, jak człowiek Roux stuka we właz.

– Tędy uciekli – krzyknął, gdy zobaczył otwarte okno dachowe. Ale musiałby wejść na dach przyległego domu, żeby zobaczyć ich i zorientować się, w którą pobiegli stronę.

Kiedyś z pokrytych lodem grzbietów Himalajów Lio widział cieniste wąwozy i lodowe urwiska przepelnione ciemnością. Udało mu się wspiąć na dach świata, a mimoto najtrudniejszym zadaniem w jego życiu był biegiem po szczytach domów i tarasach w centrum Rzymu oraz zejście na dół z o wiele mniejszej wysokości przy pomocy krótkiej liny, w towarzystwie spanikowanej aktorki i depreczającej im po piętach faszystowskiej policji.

– Dobra – powiedział Lio, zatrzymując się. Spojrzał w dół i dodał: – Tutaj jest dobrze. Poruszając się sprawnie i zdecydowanie, przywiązał początek liny do komina, a drugim obwiązał klatkę piersiową Alby, która bez sprzeciwu pozwoliła się skrępować.

– Schodź pierwsza.

Alba nabrała powietrza, żeby dodać sobie otuchy, i zaczęła opuszczać się z zaciśniętymi wokół liny rękoma i drżącymi ze strachu nogami. Kiedy doszła do końca liny, udało jej się otworzyć powieki i spojrzeć w dół – od ziemi dzieliły ją dwa metry.

Zdecydowanym szarpnięciem Lio rozwiązał węzeł, którym lina przymocowana była do komina, i najłagodniej, jak umiał, opuścił Albę na posłanie ze zwiędniętych liści. Mimo to usłyszał głuchy odgłos i jej pojękiwanie. Następnie chwycił się poziomej części rynny, przemieścił się bok, po czym złapał pionową rurę i kilka sekund później leżał na ziemi u jej boku. Kobiecie nic nie było –

miała tylko kilka zadrapań na rękach i parę siniaków. Na jej twarzy malował się strach i zmęczenie, ale wciąż była nieskalanie piękna.

– Nadal możesz być moją ulubioną aktorką – wyszeptał, odsuwając jej włosy z buzi.

Ona potrząsnęła głową, podnosząc się z bólem na nogi.

– Jeśli dalej tak pójdzie, naprawdę będę mogła jechać do Hollywood, ale jako kaskaderka.

Lio uśmiechnął się. Złapał ją za rękę i pociągnął w kierunku muru, który dzielił ich od niewielkiego podwórza. Z góry mogli zauważyć, że było to zaplecze kawiarni, którą widzieli wcześniej, przejeżdżając przez ulicę Babuino. Alba włożyła stopę w ułożone w koszyk dłonie Lio i wspięła się na mur, uważając, by nie pokaleczyć sobie dłoni kawałkami szkła powbijanego weń jako zabezpieczenie przed intruzami. Lio naprężył mocno mięśnie brzucha i uniósł się do góry,

a następnie złapał jej rękę. Zeskoczyli z drugiej strony. W tym momencie usłyszeli policjanta znajdującego się już daleko za nimi, wyglądającego z balkonu i wydającego polecenia swoim towarzyszom:

– Tam uciekli! – nie przestawał krzyczeć. Ale nie mógł ich dostrzec.

Drzwi kawiarni były zamknięte. Zajrzeli do środka przez niewielką szybkę. O tej porze znajdowała się tam garstka stałych klientów. Lio ujrzał trzech starszków grających w karty i słuchających radia, właściciela oraz jakąś dłoń na ladzie z kieliszkiem czerwonego wina. Sądząc po mankiecie, mógł to być wojskowy.

Powinni wyważyć drzwi, wejść do kawiarni, przejść koło znajdujących się w środku osób i dostać się niepostrzeżenie na ulicę. Spojrzeli na siebie, kręcąc głowami.

– No i co teraz robimy? – zapytała Alba z desperacją głosie.

Lio poszedł w głąb podwórza, zebrał trochę liści i ułożył na nich kilka znalezionych gałązek, a następnie podpalił zapalniczką.

Przylgnęli do ściany obok i czekali, wstrzymując oddech.

Po kilku sekundach drzwi otworzyły się z impetem przy akompaniamencie krzyków właściciela lokalu.

– Pali się! Wody, szybko!

Przybiegli wszyscy.

Wojskowy jako pierwszy rzucił się do gaszenia szybko rozprzestrzeniającego się ognia, zaczął go deptać oficerkami, podczas gdy starcy wychodzili kolejno z kawiarni, wciąż trzymając w rękach karty. Za nimi zaś biegł właściciel z wiadrem pełnym wody i wyrzucał z siebie niezrozumiałe słowa.

Korzystając z zamieszania, Alba i Lio bezszelestnie niczym cienie wślizgnęli się za ich plecami do środka. Nikt ich nie zauważył,

a po kilku krokach, kiedy znajdowali się już przed ladą, odwrócili się, żeby w każdej chwili móc udawać, że właśnie weszli głównymi drzwiami, i zaczęli wycofywać się, aż udało im się wymknąć z kawiarni.

Na drugim końcu ulicy przed domem Kuurmy zgromadziła się już grupka gapiów.

Pisarz i aktorka zaczęli więc iść w przeciwnym kierunku. Skręcili w jakąś przypadkową uliczkę oddalającą ich od tego całego zamieszania.

– Teraz rozumiem, co chciała powiedzieć Sibylla, pisząc „ostrożnie” – stwierdziła Alba. Bolało ją kolano, a w ściśniętym gardle zbierało się jej na płacz.

– W to wszystko wmieszana jest OVRA!

– Nie wiem, kim oni są, ale z pewnością nie żartują. Słyszałeś strzały?

Lio spojrzał za siebie.

– To naprawdę grube nieporozumienie. – Serce biło mu jak szalone. – Jeśli ten cały Reis naprawdę pracuje dla wrogów Włoch,

jak przypuszczał Kuurma... – Przełknął szorstką jak piach ślinę. – Jeżeli pracuje dla Amerykanów, nie będzie mógł wsadzić cię na pokład statku czy samolotu do Stanów Zjednoczonych.

– Ale ja nie chcę w taki sposób dostać się do Ameryki – zaprotestowała Alba. – Nie zrobiłam nic złego i – póki co – chcę zostać tutaj.

– Tutaj więzienia i mogiły pełne są osób, które nie zrobiły nic złego.

– Jedźmy do tego Cosmy. Później wrócę do Leonarda. Zniknę na jakiś czas.

– Przysięgam ci, że jak tylko ta cała sprawa się wyjaśni... Alba przycisnęła mu palec do ust, dając do zrozumienia, żeby zamilkł.

Rozdział 39

Berlin

Giger uwielbiał Franza Schuberta.

Pomimo że pieśń *Der Tod und das Mädchen* została rozpisana na kwartet smyczkowy, lubił bawić się w dyrygenta, który ze swojego wyimaginowanego podium kieruje całą orkiestrą symfoniczną. Skupiał się wtedy na każdym najmniejszym dźwięku, przeczesując ręką powietrzez podniesioną w euforii głową. Momentami zaś zdawał się raczej kapać w ciepłym i przyjemnym deszczu niż albo błąkać się po ciemnym pokoju niczym kometa nadlatująca z głębokiej otchłani wszechświata, lub głodny wieloryb poszukujący planktonu w ciemnych głębinach oceanu.

Skupiając całą uwagę na muzyce i delektując się nią, oddawał cześć nie tylko jej wspaniałym dziełom, ale także

cudownemu radiu, które przysłano mu z Włoch – nowiuteńkiemu modelowi Aldebaran firmy Radiomarelli.

Z serdecznymi pozdrowieniami, najlepsze życzenia urodzinowe. Twój Marcello Roux – taki napis widniał na załączonym bileciku.

Była to istna rozkosz dla oczu i uszu – wbudowany gramofon rozsiewał w eter słodkie dźwięki bez porównania lepiej niż jakikolwiek inny aparat, który do tej pory miał okazję wypróbować.

A może to tylko nazwa Aldebaran sprawiała, że wydawał mu się bardziej zaawansowany technologicznie?

Możliwe.

„Aldebaran” – pomyślał i uśmiechnął się, ponieważ w końcu, po tak długiej ciszy, podczas seansu mediumicznego jego dziewczętom udało się ponownie nawiązać kontakt z jakąś planetą w odległym układzie słonecznym. Wielcy nieznajomi jeszcze raz pozwolili im usłyszeć swoje niebiańskie

głosy. Przekazane w języku akadyjskim instrukcje znów płynęły obficie w postaci pisma tworzonego automatycznie przez media, a to oznaczało że projekt Riese działał lepiej niż kiedykolwiek, że może Rzesza mogła jeszcze spoglądać na stojący w ogniu horyzont wojny z uzasadnionym optymizmem.

Na tę myśl jego zęby w kolorze kości słoniowej znów zaśniły pomiędzy wargami.

Muzyka ucichła, ustępując miejsca brzęczeniu rozgrzanych do czerwoności wzmacniaczy lampowych gramofonu.

– Bardzo piękna – powiedział głos dochodzący z rogu pokoju. Wypowiadający te słowa człowiek okraślił komplement krótkim aplauzem.

Giger rozsunał zasłony. Po kilku chwilach, w których oczy przyzwyczajały się do wibrującego światła słonecznego, z ciemności wyłoniła się postać człowieka o orientalnych rysach.

– Podobała ci się? – Giger podniósł igłę gramofonu, wyjął płytę i wyczyścił skrawkiem aksamitu. – Nosi tytuł *Śmierć i dziewczyna* – powiedział. – To niemieckie dzieło.

Wsunął winyl do kartonowego opakowania i podał gościowi. Ten nasunął na nos metalowe okulary i przeczytał tytuły poszczególnych części, z których skomponowany był kwartet Schuberta, oraz nazwiska wykonujących go osób.

– Będę zaszczycony, jeśli przyjmiesz ją jako skromny dar, mój drogi dalajlamo.

Nie był ubrany w typowe szaty tybetańskich dalajlamów, lecz w dwurzędówkę z ciemnoszarej lekkiej wełny oraz pasiasty krawat w iście zachodnim stylu. A jednak naprawdę był to dalajlama, który zwłaszcza teraz, gdy znajdował się daleko od domu – nawet jeśli nie był jedynym Tybetańczykiem przebywającym w Berlinie ani też jedynym dalajlamą należącym do Towarzystwa Vril –

lubił, gdy od czasu do czasu nazywano go w ten sposób, a nie – jakto zwykle bywało – „Tybetańczykiem” lub bardziej malowniczo „człowiekiem w zielonych rękawiczkach”.

– Dziękuję – powiedział ze wzruszeniem w głosie.

Jego wciśnięte pomiędzy wąskie powieki źrenice przenosiły się z płyty na Gigera i z powrotem, kiedy dziękował mu delikatnymi skinieniami głowy, składając dłonie odziane w jaskrawe zielone rękawiczki.

– Będę szczęśliwy, mogąc ponownie jej posłuchać.

– Dzięki temu lepiej zrozumiesz naszą kulturę.

– Ach – odparł Tybetańczyk – nawet jeśli żyłbymtu kolejne sto lat, nie zdołałbym jej dogłębnie poznać.

– Tak, może masz rację – pomiędzy naszymi kulturami jest granica nie do przebycia, niemal taka jak wasza święta góra Kajlas. Jednak przyjemność wzajemnej

wymiany kulturowej i emocje, jakie wzbudzają ciągłe odkrycia, z pewnością są warte tego, żeby spróbować.

Giger podszedł do okna i zaczął przyglądać się lazururowej tafli nieba. Jego ciepły oddech utworzył na szybie okrąg.

– Nie mogę się doczekać. Może powinienem pojechać do Włoch?

– Do Włoch?

Tybetańczyk zmarszczył brwi. Pomyślał o ogromie pracy, jaka na nich czekała, o jeszcze nieukończonych Wunderwaffe. Nie mógł zrozumieć, co mogło skłonić jego przyjaciela do takiego pomysłu.

– Co masz zamiar robić we Włoszech?

– Tam też są nasi bracia.

– Wiem – odparł Tybetańczyk. – Ale nie boisz się, że spowolnisz prace, właśnie w tej krytycznej fazie konfliktu?

– Wręcz przeciwnie – odparł Giger. – Czy pamiętasz Sibyllę Rol, tę Czarownicę Vrill, która zmarła trzy tygodnie temu?

Tybetańczyk spojrział do góry, a następnie skinął głową.

– Piękna kobieta, inteligentna i obdarzona bardzo rzadkimi umiejętnościami. Przykro mi, że już jej z nami nie ma.

– Znaleźliśmy nową. Jest dosyć dobra w radiestezji i psychometrii. Wskazała mi dokładne współrzędne naszego statku, posługując się wyłącznie wahadłem. Do tego, kiedy kazałem jej dotknąć zamkniętego pudełka ukrytym w środku przedmiotem, powiedziała, że widziała gwiazdy i planety i że zdawało jej się, że spada w dół zaplątana w płomień – a przecież nie wiedziała, co w nim było. – Spojrział na niego i obdarzył go jednym ze swoich promiennych uśmiechów.

– W pudełku, mój drogi dalajlamo, znajdował się fragment meteorytu.

– Ach! – odparł Tybetańczyk – czyli jest bardzo zdolna.

– Jest zdolna, ale... – Kolejny krąg pary rozpląszczył się na szybie przed Gigerem. – Jest Niemką. Podatną.

To dobry materiał, ale potrzebuję jeszcze czasu. Wczoraj seans Czarownic Vril trwał tylko pół godziny z powodu jej nieprzygotowania. Poza tym ma zbyt krótkie i zbyt ciemne włosy.

– Jak się nazywa?

– Monica Müller. To błogosławieństwo, że ją znalazłem, ale w porównaniu z tą Rol jest przeciętnym medium.

– Zatem? – zapytał Tybetańczyk, podnosząc się z lekkością z fotela. – Sibylla Rol nie żyje, powinieneś wyciągnąć tego jakieś wnioski.

– Wiem. – Giger przesłał mu chytre spojrzenie. – Wyszło na jaw, że miała brata.

– Mężczyzna nie może być Czarownicą Vril – zauważył jego przyjaciel.

– Gdyby Lio Rol posiadał chociaż połowę umiejętności swojej siostry, byłby nam

pomocny – zaproponował Giger.– Ale dowiedzieliśmy się, że jest wart o wiele więcej. Panopticon próbował go do siebie zwerbować. Po przechwyceniu komunikatu radiowego udało nam się złapać żywcem jednego z tych, którzy widzieli go w akcji. Powiedział, że Lio Rol to dziesiątka. Nie możemy pozwolić, żeby pracował dla wroga.

Tybetańczyk zastanowił się nad tym przez chwilę, wzdychając kilka razy głęboko.

– Zajmuje się tym nasz człowiek – Włoch stojącyna czele jednej z komórek OVRA. Wiem, że Himmler dzwonił do niego osobiście, żeby go uczulić, jakie to ważne. Góra przebiera już nogami jak nigdy. Dowiedzieli się tym wyjątkowym włoskim jasnowidzu i chcą go użyć, żeby przewidzieć skutki działania Dzwonu. Roux to mój drogi przyjaciel, ale boję się, że może zniszczyć wszystko swoimi bandziorskimi metodami.

Giger wziął do ręki bilecik z życzeniami, wraz z którym przyszło do niego radio, i zgniótł go.

– Führer nie ufa włoskim wojskowym, ja też nie powinienem tego robić.

– Ciągłe słyszę złe rzeczy na temat tych Włochów – powiedział Tybetańczyk.

– Włosi... – Giger westchnął z niesmakiem. – Wiesz, co mówi Führer? Mówi, że powinni wieszać sobie medale na plecach, bo ciągle uciekają.

Tybetańczyk uśmiechnął się.

– Nie są stworzeni do wojny. Są naszymi sojusznikami, a jednocześnie największymi wrogami. Naszym czułym punktem.

Niemcy nigdy nie zostaną pokonane, ale jeżeli nieszczęśliwie miałyby się tak zdarzyć, gotowy jestem się założyć, że nastąpiłoby to z ich powodu.

– Rozumiem.

– Nieprawda – odparł Giger, zachęcając go do wspólnych żartów. – To jedna z tych

rzeczy, której nie zrozumiałbyś nawet wtedy, gdybyś miał do dyspozycji całe sto lat.

Zaśmiali się.

– Ale masz rację – kontynuował Giger – zaczekam jeszcze kilka dni. Najgorsze, co może się zdarzyć z Roux, to że nie dostarczy nam Rola żywego. Ale w takim przypadku nie będziemy go mieli ani my, ani nie dostanie go Panopticon. Zresztą ja jestem przeciwny zawieraniu jasnowidzowi, żeby dowiedzieć się, co się stanie komuś, kto wystawi się na działanie Dzwonu.

– Jego siostra przewidziała, że Dzwon nie zadziała.

– I o mało co Führer nie wydał rozkazu odstąpienia od projektu.

– Moglibyśmy kontynuować badania nawet bez wsparcia Rzeszy. Jeżeli nie wierzą w projekt, tym gorzej dla nich.

– Mądry jak na Tybetańczyka przystało – powiedział Giger, uśmiechając się szeroko.

– Ja też myślałem o tym, aby skorzystać z okazji i przenieść instalację. Wydałem już nawet stosowne rozkazy. Rozpoczęliśmy ewakuację kopalni.

Tybetańczyk klasnął w dłonie, ale dźwięk został stłumiony przez grubą tkaninę, z której wykonane były rękawiczki.

– Sytuacja pod Stalingradem źle wygląda. Sądzę, że Turyngia byłaby bezpieczniejszym miejscem do naszych badań i regulacji Dzwonu.

– Rozmawiałeś o tym z Reichsführerem?

– Dał mi wolną rękę.

– Jeśli tak, powinniśmy udać się na spacer.

Tybetańczyk narzucił na siebie płataninę skórzanych pasków i sprzączek z dwoma kaburami, z których zwisały kolby dwóch lugerów – po jednym na każdą pachę. Nie każdy mógł posiadać taką broń, ale każdy członek Towarzystwa Vrill, w tym Czarownice,

otrzymał przynajmniej jeden egzemplarz jako osobisty prezent od Reichsführera-SS.

– Idziesz ze mną? – zapytał, zabierając płytę Schuberta. Czarno-zielone etui współgrało z kolorem jego rękawiczek.

– Prowadzisz mnie do Agharty? – Giger włożył płaszcz i wskazał mu drogę do drzwi.
– Z niepokojem czekamna dzień, w którym odpowiesz „tak”.

Tybetańczyk zmrużył swoje małe oczka w uśmiechu, sprawiając, że prawie zniknęły. Podniósł płytę Schuberta niczym trofeum, pochylił głowę i rzekł:

– Dziękuję.

Rozdział 40

Rzym

Biały telefon dzwonił jak oszalały, zagłuszając wszystkie ślepe kanarki w ptaszarni. Aparat wiszący w mieszkaniu Roux należał do jednych z niewielu ludzi we Włoszech, których nie kontrolowało OVRA. Było też niemal pewne, że na podsłuchu nie znajdował się telefon tych, którzy znali jego numer. Mimo to Roux zbliżył dłoń do słuchawki z wahaniem, jakby bał się, że może się poparzyć.

Wiedział, kto dzwoni, czekał na ten telefon.

Zebrał się w sobie, odchrząknął i odebrał, kontynuując rozsmarowywanie po klatce piersiowej talku z mentolem.

– Halo.

Wzdłuż kabla rozchodził się gniewny niepokój.

Głos Waltera Schellenberga, SS-brigadeführera, szefa VI Departamentu RSHA, zagrział w słuchawce. Roux wołał go jednak nazywać sługusem Himmlera. Brzmiał podobnie do głosu ministra Goebbelsa w momentach największej ekscytacji podczas zwoływanych przez niego zebrań.

– Znowu narobiłeś bałaganu – krzyknął – ten człowiek był nam potrzebny żywy! Tak trudno ci zrozumieć najprostsze rzeczy?

– Połknął cyjanek.

– *Und wen interessiert das?* – wrzasnął. – Takie historyjki zachowaj sobie dla innych! Mówiliśmy ci, żebyś trzymał się od niego z daleka, żeby nie nabrał podejrzeń. A ty co robisz? Idziesz do niego i go załatwiasz!

– Przykro mi, nie udało mi się tego uniknąć. Kiedy weszliśmy, trzymał już kapsułkę między zębami.

– W ogóle nie powinniście tam wchodzić! – krzyczał głośno. – Od miesiący mieliśmy go na oku! – Schellemborg odetchnął, próbując

się uspokoić. – Byliśmy już tak blisko, a ty wszystko spieprzyłeś.

– Przykro mi.

– Nie powinno ci być przykro, powinno ci być głupio, bo jesteś idiotą.

Roux nic nie odpowiedział. Talk układał się na jego kosmatej skórze na piersi niczym śnieg na pagórkach, przynosząc mu przyjemny chłód. Pomimo niechęci, jaką żywił do Schellemburga, wiedział, że rozmawiał z jednym z najlepszych szpiegów oraz jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Rzeszy.

Po długiej ciszy w słuchawce rozbrzmiał opanowany lodowaty głos – tym razem Himmlera. Zapytał o Rola.

– Chwilę wcześniej uciekł – powiedział Roux potulnym tonem. – Była z nim jakaś aktorka. Rol powiedział Kuurmie, że otrzymał propozycję od... potwierdził to, co mówił Marconi.

– Rozumiem – odparł Himmler.

Niemżliwe było, aby jakikolwiek Włoch czy Niemiec mógł podsłuchiwać tę rozmowę, a mimo to wróg miał całkiem niezły słuch, więc – jak potwierdzała obecność Vladimira Kuurmy w Watykanie oraz jego bezczelna działalność, którą prowadził od lat, nie sprowadzając na siebie cienia podejrzeń – ostrożności nigdy za wiele, nawet dla najwyższej postawionych ludzi w OVRA i Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników.

– Przysięgam, że niebawem sprowadzę go do Berlina, obwiązanego wstążką niczym bożonarodzeniowy prezent.

– Żywego! – wrzasnął Schellemborg.

Rozdział 41

Prawie nigdy go nie używam.

Alba zwolniła i wysunęła szufladkę popielniczki.

– Od czasu wybuchu wojny niełatwo jest znaleźć benzynę. Zapaliła papierosa, nie spuszczać wzroku z drogi, pokręciła gałką od okna, które ze skrzypieniem opadło do jednej trzeciej wysokości. Zimowy powiew wtargnął do wnętrza samochodu.

– No chyba że na czarnym rynku, to jasne. Ale ja wolę już trzymać go w tym garażu. To cud, że ma jeszcze opony że są znośnie napompowane. Od kiedy nie ma mojego ojca, nikt się tym nie zajmuje.

Mówiła o swoim niebieskim kabriolecie, lancii asturze, z długimi przednimi błotnikami w granatowym kolorze, z których wystawały chromowane wloty powietrza,

przypominające skrzela rekina. Niewielki otwierany dach był zaś wykonany z różowego płótna.

– Ale zawsze lubiłam prowadzić.

– Jak tylko wrócimy do Rzymu, chcę, żebyś pojechała na jakiś czas do swojego kuzyna – powiedział zasepiony Lio.

Siedział z głową pochyloną nad opowiadaniem Sibylli, które przekazał mu Kuurma. Podnosił ją tylko czasami, żeby spojrzeć w lusterko wsteczne i upewnić się, że nikt ich nie śledzi.

– Jak na obecne czasy to auto trochę za bardzo rzucasię w oczy.

– Gdybym miała do dyspozycji jakiś szarobury samochód, z pewnością byśmy nim pojechali.

– Nie boisz się?

– Nie, wcale. – Alba zaciągnęła się nerwowo papierosem. – Przecież umieram ze strachu!

Spojrzała na trzymany przez Lio maszynopis.

– Znalazłeś coś interesującego? – zapytała.

Lio przytaknął i oparł się o skórzane siedzenie, obserwując ulicę, która zwązła się przed dziobem samochodu.

– To krótkie opowiadanie – powiedział po chwili.

– W bardzo nudny sposób opowiada o jakiejś szlacheckiej włoskiej rodzinie.

Znów stał się nieobecny, zamyślając się nad niepojętymi rzeczami, które mu się ostatnio przytrafiły. Do jego uszu docierały tylko strzępki słów Alby:

– ...strach...

Jeżeli naprawdę miał kiedyś siostrę, było już jasne, że stała jej się krzywda z powodu podejrzanych spraw, w które była zamieszana.

– ...Kuurma...

Z jakiegoś nieszczęsnego powodu postanowiła wciągnąć go w tę sprawę.

– ...po dachach...

W myślach zadał sobie pytanie, czy oprócz tego, że miał siostrę, nie zapomniał również jakiejś części siebie samego. Wydawało mu się to absurdalne, niemożliwe, ale wiedział, że na pewno nie można było tego wykluczyć

– przynajmniej teoretycznie. Podczas studiów na uniwersytecie zdał dwa egzaminy z psychologii. Jeszcze dziś mógłby recytować z pamięci zgłębiane wówczas teksty, pomimo mizernego zaufania, jakim darzył własną pamięć. A z tego, co wiedział, niektóre rzeczy dzieją się wyłącznie w głowie osób.

– ...Sibylla...

We wstecznym lusterku odbijał się obraz zakurzonej opustoszałej drogi.

– ...zrewidować moją opinię na temat Sibylli – podsumowała Alba.

Lio usłyszał tylko strzępki jej wywodu, ale wydawało mu się, że zrozumiał sens.

– Sibylla cię wykorzystała – powiedział do siebie.

Alba mocno zaciągnęła się papierosem i wystawiła goza okno, pozwalając wiatrowi strzepnąć z niego popiół.

– Obawiam się, że tak – potwierdziła. – To, co nie jest jasne, to powód, dla którego to zrobiła.

– Co znalazłeś pośród tych kartek?

– Jakieś adnotacje przy kilku słowach, które podkreśliła. Dla każdego z nich podała w dopiskach zamiennik. Myślę, że służy to do odczytania zaszyfrowanej wiadomości, tekstu, który Sibylla ukryła w swoim dziwnym liście, który mi przyniosłaś.

Alba zacytowała go z pamięci, potrząsając coraz energiczniej głową:

– *Statek Ziusudry gotowy do wyruszenia z Baalbeku. Enki pachnie cedrem, ale pracuje w Abzu. Enlil działa w Edinu.* Pamiętam – powiedziała Alba – jestem przyzwyczajona do uczenia się tekstów na pamięć.

Lio westchnął głęboko i kontynuował:

– „Statek” oznacza Dzwon, „Ziusudrę” należy zamienić na doktora Lothara Gigera, „gotowy do wyruszenia” oznacza „gotowa do wystrzelenia”, „Baalbek” to wyrzutnia w... Polsce – miejsce oznaczone jest dwoma punktami, być może Sibylla jeszcze go nie odkryła – „Enki” to zapewne doktor Carl Shappeller, „pachnie cedrem” znaczy tyleco „jest skłonny do współpracy”, słowo „Abzu” należy rozumieć jako „kopalnia: kontakt niemożliwy”, „Enlil” to Towarzystwo Vril sprawujące pieczę nad projektem, a „Edin” to główna kwatera RSHA.

– Zatem co to oznacza?

– Oznacza to, że Dzwon z niejakim Lothar-em Gigerem na pokładzie jest gotowy do wystrzelenia ze znajdującej się w Polsce bazy, że doktor Shappeller jest skłonny do współpracy, ale przebywa na dnie kopalni i nie można się z nim skontaktować, natomiast Towarzystwo Vril działa w centralnej

siedzibie RSHA w Berlinie. Do tego dołączona jest jakaś mapka z legendą.

– Mapka? Czego?

– Pamiętasz ten dziwny napis:

*∂RS PO SV μ MB β DW ΠΣTM Ω500 ST
LG Ω50 SS FR AC?*

– Tego nie umiałabym wyrecytować z pamięci, ale pamiętam go.

– Należy go czytać od prawej do lewej. „AC” oznacza duży zbiornik wody w elektrowni, „FR” to dostęp dla pojazdów, bez windy, od przodu. Są tam dwie windy. Pierwsza zjeżdża w dół na pięćdziesiąt metrów, a druga na pięćset. „SS” to kod umożliwiający zjechać w dół na pokładzie pierwszej windy, a „ST” służy do uruchomienia drugiej. To wskazówki, jak dostać się do laboratoriów w głębi labiryntu. Krótko mówiąc, każda para litery i cyfry to odległość, jakie należy przebyć, i kierunki, jakie należy obrać. „LG Ω50 ” wskazuje, jak dojść do

laboratorium doktora Shaubergera, które znajduje się na głębokości pięćdziesięciu metrów w którym zainstalowany jest Dzwon. „TM Ω500” zaś wskazuje, jak dojść do drugiego laboratorium, tego należącego do Enki, na głębokości pięciuset metrów. Pozostałe wskazówki mówią, jak wrócić na powierzchnię bez użycia wind.

Pokazał jej stronę z mapką.

– W opowiadaniu Sibylli jest to sieć podziemnych korytarzy, w których gubi się młodzieniec ze szlacheckiej rodziny i tak dalej. Ale w rzeczywistości oznacza to coś zupełnie innego.

– Do czego należy dojść? Dokąd?

Stuknął czubkiem palca w rysunek, obracając go w kierunku Alby.

– To mapa kopalni, w której pracuje Enki, czyli doktor Carl Shappeller, i w której znajduje się Dzwon.

– Ale tam są nazwy ulic – zauważyła Alba.

Lio spojrział na mapę. Miała rację. Każda wytyczona trasa opatrzona była nazwą przypominającą nazwę miejskiej ulicy. Ulica Zee. Ulica Aph-Lin. Ulica Zgromadzenia Mędrców. Aleja Tur. Aleja Vril...

Rozpoznał te nazwy – to nimi opatrzone były postaci i miejsca wymienione przez Bulwera-Lyttona w powieści *Nadchodząca rasa*. Nie mogła to być kopalnia – w kopalniach nie ma ani ulic, ani alei. Ale bohater Bulwer-Lyttona dostaje się do świata Vril-Yan poprzez kopalnię... Lio potrząsnął głową i prychnął.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział.

Następnie zapisał na odwrocie mapy odszyfrowaną wiadomość, porwał wszystkie pozostałe kartki opowiadania i wyrzucił niczym konfetti przez okno samochodu. Złożył na cztery jedyną kartkę, którą oszczędził, i włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Porozmawiajmy z tym całym Cosmą –
powiedział– a potem znikniemy na jakiś
czas.

Rozdział 42

Wewnątrz tego, co miało być chatą starego Cosmy – nierównego prostopadłościanu oblęganego przez nieustępliwe i nachalne zarosła, ale dokładnie oczyszczonego dookoła z liści – grała włoska muzyka swingowa. Były to niepowtarzalne żeńskie głosy grupy Trio Lescano, które bezskutecznie usiłowały zagłuszyć trzaski gramofonowej płyty.

Lio podszedł do okna i zapukał.

Cichuteńko, na paluszkach...

Rozpoznał piosenkę.

...pingwin nieszczęśliwie zakochany...

Nienawidził jej.

...odchodzi od okna swej lubej załamany...

Nie wiedział dlaczego, ale jej nienawidził.

Aż pewnej nocy rozległo się pif-paf...

Zakrył sobie uszy rękoma, żeby nie usłyszeć ostatniego wersu tej zwrotki.

Na krze, która pękła z hukiem, palnął sobie w łeb pingwin, co nosił frak.

Ale wiedział, że zabrzmi jeszcze raz.

Jeszcze zanim zapukał, zrobił z dłoni daszek i zajrzało środka przez porysowaną i brudną szybę. Zobaczył przenośny gramofon z pokrętłem pochodzący z lat trzydziestych. Jego igła przypominała okręt zdany na łaskę fal szalejących na czarnym morzu. Przed zapalonym kominkiem, w którym tlił się już tylko praktycznie popiół, stał wytarty fotel z przewieszonym przez poręcz obdartym pledem. Udało mu się też dojrzeć zapelniony książkami regał, stojący przy przeciwległej ścianie. Powyżej wisiały dziwne przyrządy zwisające z przytwierdzonych do ściany pierścieni, paskii usychające źdźbła ziół, długa półka zawalona wazonami i butelkami we wszystkich rozmiarach i kolorach świata oraz drewniane i miedziane łyżki. Zauważył też szynkę, która wyglądała na zepsutą. Leżała tam, jakby pozostawiona na

pamiętkę dobrobytu lub w oczekiwaniu na jeszcze gorsze czasy, choć trudno było sobie takowe wyobrazić.

W pomieszczeniu nie było widać żywej duszy.

Również Alba, która zaglądała do środka od drugiej strony domu, wróciła, kręcąc głową.

Lio postanowił zapukać mocniej. Robił to natarczywie, ale odpowiedział mu jedynie gramofon falujący i skrzeczący bez żadnego poszanowania dla muzyki.

– Może nie ma go w domu – powiedział.

Jednak po chwili za szybą pojawiła się głowa porośnięta rzadkim i siwym meszkiem. Ich oczom ukazał się staruszek po sześćdziesiątce z zarzuconym na plecy kocem, pod którym nic nie miał.

– Kim jesteście? – warknął głośno, pozostawiająca szybie biały ślad swojego oddechu.

W oczekiwaniu na odpowiedź chwycił trzymanaw dłoni strzelbę w taki sposób, że jej lufa stanowiła przedłużenie nosa, nabrzmiałego i upstrzonego gęstą siecią popękanych naczynek.

– Pan Cosma?

– Czego chcecie?

– Chcemy z panem porozmawiać – zwrócił się proszącym tonem Lio. – Możemy wejść?

– Nie – usłyszeli oschłą i zdecydowaną odpowiedź.

Próbując uspokoić mężczyznę, Alba wychyliła siędo przodu i wykonała powitalny gest ręką.

Och, piękna córo miłości, jestem sługą twych krągłości...

– Nic nie mogę dla was zrobić – podsumował stanowczo właściciel domu. – Jestem stary, samotny, nie mam nic do jedzenia, nie posiadam nic wartościowego.

– Chcemy tylko zadać panu kilka pytań – odparł Lio, chuchając sobie w dłoń. –

Proszę nas wpuścić, żebyśmy mogli się ogrzać. Tylko na kilka minut.

Mężczyzna odsunął się od szyby, ale jednak nie otworzył.

Wtem ojciec pingwinicy wyskoczył z miotłą w ręce...

Zniknął ponownie w niewidocznym z zewnątrz zakamarku swojego skromnego, zadymionego domostwa.

– Nie życzę sobie, żebyście mi się naprzykrzali! – krzyknął znowu.

Zostaw mą córkę w spokoju, bo kijem cię przepędzę!

– Mamy pieniądze – powiedziała Alba.

Ale starzec pozostał niewzruszony.

Minęło kilka minut, podczas których Alba i Lio wielokrotnie chcieli już sobie pójść.

W końcu drzwi się otworzyły – tak jakby widząc upór właściciela, same zdecydowały, że słowo „pieniądze” było pasującym do nich kluczem.

– Jeszcze tu jesteście? – Mężczyzna przekroczył próg domu. Był stary, ale silny i dosyć dobrze umięśniony. Z jego ramion zwisał koc przytrzymywany przez ciężar opartej o bark potężnej siekiery. W drugiej ręce ścisnął strzelbę myśliwską. Spojrzał w prawo i lewo, daleko poza drzewa, czujnie nasłuchiwał, czy nic nie nadjeżdża, ponieważ z miejsca, w którym się znajdowali, nie było nic widać, a następnie zamknął drzwi na zasuwę i kłódkę.

Na krze, która pękła z hukiem, palnął sobie w łeb pingwin, co nosił frak.

Kiedy igła dotarła do końca płyty, a starzec udał się kierunku lasu, zaciskając w jednej pięści rękojeść siekiery a lufę strzelby w drugiej, Lio poczuł niewyobrażalną wręcz ulgę.

– Możemy porozmawiać? – zapytał Lio, idąc za nim.

– Nie – mruknął starzec ze znużeniem. – Za dużo osób przychodzi tu zadawać pytania.

Alba próbowała zatrzymać Lio i przekazać mu spojrzeniem, że starzec budzi w niej

strach i że wyglądał na szaleńca, ale ten postanowił iść za nim.

– Zaczekaj tutaj – powiedział do niej. Nie musiał jej tego powtarzać dwa razy.

Lio w dalszym ciągu szedł za starcem przez jakieś sto metrów, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że tak łatwo nie zrezygnuje.

– Idźcie sobie – powiedział mężczyzna.

– Tylko kilka pytań.

Staruszek nagle zatrzymał się i odwrócił.

– Idźcie sobie – nakazał z powagą.

Upuścił strzelbę na ziemię i uniósł do góry siekiereę pełnymi wigoru i siły rękoma. Koc zsunął się z jego ramion i upadł, obnażając nagi tors oraz obwisłą, różową skórę.

– Idźcie sobie.

Lio zrobił krok do tyłu, aby oddalić się na bezpieczną odległość od siekiery, której ostrze lśniło niebezpiecznie nad jego głową.

Zwyczajny krok do tyłu, spokojny. Nie zdążył nawet instynktownie podnieść ręki, żeby ochronić głowę przed nadchodzącym

ciosem. Był zaskoczony, że w takiej chwili nie czuł strachu. Nawet cienia głębokiego niepokoju i zagubienia, które odczuwał z kolei, gdy zasiadał przed maszyną do pisania.

Właśnie teraz, gdy stanął twarzą w twarz z agresją zagrożeniem, że zostanie zamordowany, był spokojny jak nigdy wcześniej, opanowany i gotowy do działania.

Starzec wydał stłumiony krzyk i opuścił ze świstem siekierę. Wbił ją ze złością w pień drzewa i powiedział:

– Twoja śmierć w zamian za moje życie.

Po tych słowach kontynuował zadawanie ciosów korze, dysząc i spluwając rytmicznie.

Alba dobiegła do Lio.

Usiedli na kamieniu i zaczękali, aż starzec przestanie wyżywać się na drzewie.

Rozdział 43

Skąd jesteście?

– Z Rzymu – odpowiedziała Alba, zakrywając nos mankietem płaszcza. – Dostaliśmy pańskie nazwisko od ojca Gabrielli z watykańskiego obserwatorium.

Powietrzem wewnątrz domu prawie nie dało się oddychać, ponieważ było przepełnione śmierdzącymi oparami, które zdawały się rozsadzać nozdrza.

Starzec wsunął metalową łyżkę do glinianego bukłaka, napełnił wodą garnuszek i zaniósł go do kominka.

– Leonardo... – powiedział z głębokim namysłem. – Leonardo Gabrielli?

– Dokładnie – powiedziała Alba. – Ja też nazywam się Gabrielli.

– Ach, to jeżeli tak się sprawy mają...

Starzec uklęknął przed kominkiem, dmuchnął w żari dorzucił trzecie polano.

Dmuchał ponownie, a następnie ustawił nad ogniem wodę do zagotowania.

– Hm, jeżeli jesteście przyjaciółmi ojca Leonarda, to mam dla was caffèol – doskonały, a przynajmniej tak mówią, zamiennik kawy uzyskany z cykorii – jedna z wielu namiastek zafundowanych nam przez faszystowską autarkię i biedę. Trzymałem go na specjalną okazję i wydajemi się, że oto właśnie nadeszła.

Pomimo samotności Cosmy i tego, że jego jedynym ubraniem była para postrzępionych spodni oraz dwa stare koce, którymi zakrywał nagie plecy, jego dom nieźle się prezentował. Nędza utrzymana była w ryzach, wewnątrz przypominało prawdziwą bibliotekę zawierającą wiele wartościowych ksiąg. Ściany aż po sufit zakryte były regałami pełnymi zniszczonych książek. I wszędzie zioła, okazałe moździerze, wazony oraz niezliczona liczba przedmiotów, których Lio i Alba nie zdołaliby nawet nazwać.

Alba wyjęła zza biustonosza zwój banknotów i podała mu dwa z nich – duże jak kartka w książce, opatrzone napisem:

Włoski Bank Centralny Pięćdziesiąt Lirów
Płatne na okaziciela.

– Zgodnie z obietnicą – powiedziała.

Starzec wziął je bez wahania.

– Zatem przybywacie z Rzymu. Słyszałem, że roi się tam ostatnio od nazistów.

Powiedział to z nieskrywanym obrzydzeniem.

– Jesteście od nich?

– Nie – odparł Lio. Oboje z przekonaniem pokręcili głową.

– My jesteśmy artystami – powiedziała Alba, spoglądając na Lio. – Nie interesujemy się polityką.

– To źle – napomniął ich, zanurzając czubek małego palca w wodzie. – Jeżeli polityką nie interesują się artyści, których słuchają ludzie, to kto ma się interesować?

Lio nie znalazł żadnych argumentów, żeby zaprzeczyć, pomimo że był prawie pewien, iż jego akurat ludzie nie słuchali.

– Problem tkwi w tym, że intelektualiści nie przeciwstawili się tym tyranom, kiedy była na to pora – drążył temat starzec. – A teraz patrzcie, w jakiej znajdujemy się sytuacji!

Zapadła krępująca cisza, którą raz po raz przerywał tylko trzaskający ogień, szumiąca w garnku woda, skwierczący metal lub dwa szczekające w oddali psy. Lio i Alba wymieniili przerażone spojrzenia – byli zgodni co do tego, że bezpieczniej było przytakiwać właścicielowi domu, strzelby i siekiery.

Starzec zdjął garnek z ognia i przygotował caffèol.

– Być może nie ugoszczę ani nie obsłużę was tak, jak jesteście do tego przyzwyczajeni – powiedział, podającim dwie parujące i wyszczerbione filiżanki – ale zawsze lepiej tak niż wcale.

– Dziękuję – odparł Lio – to bardzo miło z pana strony.

– Walczyłem w pierwszej wojnie światowej – powiedział starzec z dumą. – Wtedy te sprawy załatwiało się między mężczyznami.

Zaczął głośno siorbać i mlaskać językiem o podniebienie przy każdym łyku.

– A teraz podczas nalotów również kobiety i dzieci stają się celem – przede wszystkim oni. To bezsensowna rzeź.

– Sądziłem, że jest pan misjonarzem – powiedział zaskoczony Lio. – Misjonarze nie noszą mundurów.

– Wcześniej byłem misjonarzem – odpowiedział starzec, myśląc wciąż o wojnie – ale byłem też lekarzem. W końcu postanowiłem służyć rannym zamiast jakiejś gipsowej figurze.

– To bardzo honorowo – powiedział Lio.

– Honor – Cosma potrząsnął głową. – Honor. Wtedy walczyli ze sobą ludzie, którzy pozostali nimi nawet podczas największej

masakry. Teraz nie wiadomo już, po której stronie stoi Bóg. Narody prześcigają się w barbarzyństwie, wszystkie narody!

Cosma był cały siny, miał nabrzmiałe żyły na szyi wybałuszone ze złości oczy.

– Włochy są parobkiem Niemiec. Oni nie są naszymi sojusznikami, lecz panami. Tak samo jak my nie jesteśmy ich sojusznikami, tylko najgorszym wrogiem. Jeśli nie jesteście ślepi, na pewno to zauważyliście, mieszkając w Rzymie.

– Zauważyliśmy – powiedziała Alba.

– Dlaczego w Rzymie stacjonuje tak wielu Niemców? – zapytał Lio.

– Nie ufają nam. – Starzec klepnął się w udo. – I mają rację. Jesteśmy niezdarami, niegodnymi zaufania pajacami. A Duce największym z nas. Pomyłki to jedyna rzecz, która mu dobrze wychodzi.

Lio instynktownie rozejrzał się, czy nikt ich nie podsłuchiwał.

Caffeol bulgotał w ustach starca, który bez zbędnej troski o maniery wciąż siorbał w najlepsze.

– Kiedy zobaczę jakiegoś faszystę, bez wahania strzelę mu prosto w łeb, wiedźcie o tym. Spojrzał wymownienia swoją strzelbę opartą o bok starego fotela, po czym zaprezentował gościom to, co zostało z jego zębów.

– Zdarza się panu ich spotykać? – zapytał Lio.

– Niestety widuję ich częściej, niż jestem to w stanie zaakceptować – odparł Cosma i splunął. – Ale nie ma sensu rozmawiać o tym z wami, wy jesteście artystami. Ja nazistów zjadam na śniadanie.

Mężczyzna zaczął wzbudzać przerażenie w Lio, który wyobraził go sobie, jak wychodzi z domu nocną porą ze strzelbą na ramieniu i udaje się na polowanie na faszystów. Ujrzał go, jak ciągnie za sobą martwego człowieka. Widział, jak go rozbiera, układa wszystkie

jego rzeczy, obliczając w myślach, ile zyskał dzięki zaledwie jednemu naboju, a następnie obdziera go ze skóry, ćwiartuje, robiz niego kielbasy, gotuje jego mięso, a następnie je zjada...

Było to tylko wyobrażenie, ale zmroziło mu krew w żyłach.

– Skoro nigdy nie oddała się pan zbyt od domu, w jaki sposób widuje pan nazistów?
– zapytała Alba, dmuchając w napój z cykorii.

Stary Cosma szarpnął nerwowo kocem, zaciskając go sobie wokół szyi.

– Kiedy przyszli pierwszy raz, nie otworzyłem. Za drugim razem przepędziłem ich strzelbą. Za trzecim przyszli nocą, wyważyli drzwi, związali mnie i przetrząsnęli dom. Kopali nawet wokół domu, szukając tego, co według nich posiadam. Jeżeli będzie czwarty raz, nie zawaham się, żeby strzelić.

– Czego od pana chcą?

– Przedmiotów, rzeczy, niczego ważnego.
– Spojrzała na nich podejrzliwie. – A wy, dlaczego przyszliście?

– Tylko po to, żeby zadać panu kilka pytań
– odpowiedziała Alba. – Mój kuzyn powiedział, że jedynie pan może udzielić nam na nie odpowiedzi.

– Pytań? – Cosma podrapał się po głowie.
– Mnie? A na jaki temat?

Lio przeszedł do rzeczy.

– Opowie nam pan o czasach, gdy na ziemi żyli giganci?

Starzec skulił się na chwilę.

– To nie jest dobry moment, żeby zadawać takie pytania. Lepiej zapytać, jak mogło dojść do uchwalenia ustaw rasowych i dokąd przewożeni są pojmani Żydzi. Nie słuchacie wiadomości Radia Londyn prognozujących ponurą przegraną Włoch i całej ludzkości? – Starzec ciężko westchnął, po czym dodał: – Ale jeśli jest to dla was tak bardzo ważne...

– Jest – odparł Lio.

Cosma wziął bardzo głęboki wdech, jakby miał zamiar powiedzieć jednym tchem wszystko, co wiedział, jednak wstał i uruchomił ponownie gramofon. Po serii trzasków zaczęła rozbrzmiewać melodia.

Moje serce, miłość ma będą wciąż śniły o czułościach i pocałunkach, dopóki będzie się we mnie tliła nadzieja.

Beztroska płynąca z piosenki, która pośród skrobani i podskoków igły dobiegała z gramofonu, klóciła sięż posępnym nastroszeniem, jaki wytworzyły słowa starca.

Na zewnątrz chaty świeciło słońce, a w podszyciu lasu, unosiły się pozostałe po nocy opary mgły, pośród których wesoło ćwierkały ptaki.

W kominku z werwą palił się ogień, a mimo to przez znieruchomiałe mięśnie Alby i Lio przebiegały dreszcze, zaś ich umazane caffeolem wargi nieznacznie drżały.

– Dlaczego chcecie dowiedzieć się czegoś o gigantach?

– Moja siostra przed śmiercią napisała do mnie list, w którym zamieściła fragment *Księgi Rodzaju – Zepsucie moralne ludzkości*. Podejrzewam, że nie wybrała go przypadkowo. Chciałbym lepiej go zrozumieć.

– Przykro mi z powodu pana siostry, jednak nie matu nic do rozumienia, wystarczy otworzyć oczy i popatrzeć.

– Chciałbym umieć to zrobić – powiedział Lio, zwieszając ze smutkiem głowę i wkładając w te słowa całą swoją frustrację. Był zły nie tylko dlatego, że nie rozumiał faktów – przede wszystkim irytowało go, że ich nie pamiętał – podobnie jak i całej reszty swojego życia. Myśl, że jego pamięć ulatniała się niczym strumień wody w trakcie suszy, że z wszystkiego, co przeżył, z tej porywistej rzeki wspomnień pozostały już tylko rozrzucone gdzieś mętne kałuże, w jednej chwili owładnęła go i sprawiła, że poczuł się bezsilny.

Cosma zauważył, jak jego gość nagle sposepniał i skulił się w sobie, jakby przygnieciony ciężarem wielkiego nieszczęścia. Przypuszczał, że chodziło o utratę siostry, dlatego pochylił się w jego stronę, musnął wewnątrz jego dłoni i nazwał go synem.

– Giganci istnieli naprawdę – wyszeptał tym samym magicznym i infantylnym głosem, którego używa sięw stosunku do dziecka, kiedy obiecuje mu się jakąś zabawkę. – Twoja siostra miała rację.

Lio podniósł głowę i zaczął wpatrywać się w pomarszczoną twarz Cosmy.

– Skąd pan to wie?

– Wystarczy spojrzeć.

Cosma wstał i poszedł poszukać czegoś w kufrze. Po chwili wrócił ze stertą książek.

– Spojrzeć – powtórzył i pokazał jakieś zdjęcie. – To są petroglify z doliny Val Camonica.

– Wyglądają jak dwaj nurkowie, których górne części skafandrów emitują promienie światła – powiedziała Alba.

– Tak – podchwycił Lio – ale wydają się trochę zbyt wątli jak na nurków.

Cosma zabrał im fotografię z wyrazem oburzenia.

– Te ryciny pochodzą sprzed dziesięciu tysięcy lat, może nawet więcej. W tamtych czasach nie było nurków z oświetloną głową. Ale spójrzcie na to.

Wyjął z etui kolejne zdjęcie.

– To należy do mojej kolekcji.

Była to złota blaszka z wygrawerowaną sylwetką gigantycznego człowieka, który trzymał na rękach drugiego, mniejszego. Gigant miał długi pysk, jego twarz częściowo zakryta była okularami podobnymi do motocyklowych gogli oraz okrągłym przyrządem, który znajdował się przed jego ustami. Ubrany był w jakiś napompowany kombinezon, a na jego piersi znajdowały się

przyciski. Człowiek, którego trzymał na rękach, odziany był w zakrywającą genitalia tunikę, przez barki przewieszony miał kołczan, a z ramienia zwisał mu łuk. Cosma pokazał jeszcze zdjęcie człekopodobnego stworzenia o nieproporcjonalnie dużych oczach, zdjęcie pojazdu latającego z pionowym ogonem, przypominającego samolot (nie mogło to być zdjęcie ptaka) oraz fotografię ludzi ze zdejmowanymi skrzydłami, co można było poznać po tym, że jedna z trzech postaci trzymała skrzydła w ręce, jakby właśnie je odczepiła lub miała założyć na plecy.

– Przypominają mi Vril-Yan – powiedział Lio, pokazując coś palcem na zdjęciu.

Starzec odwrócił nagle głowę i zmarszczył czoło.

– A kto to jest?

– Wymyślony lud, który mieszka w wymyślonym podziemnym świecie.

– Te znaleziska pochodzą spod ziemi – powiedział Cosma. – Kiedy byłem

misjonarzem w Ameryce Południowej, dostałem je od tubylców, którzy nie znali metalui nie mogliby w żadnym wypadku skonstruować tak wymyślnych rzeczy. Twierdzą oni, że znają wejście do niekończącej się sieci tuneli podziemnych i że ich zadaniem jest strzec go za wszelką cenę. Mówią, że te przedmioty pochodzą stamtąd.

– Zwiedziłem całą Amerykę Południową – powiedział Lio pod nosem, oglądając znowu Vril-Yan na zdjęciu Cosmy. – Wie pan, że podobne figury można znaleźć również w Mezopotamii? Sumeryjska bogini Inanna, nazywana przez Babilończyków Ishtar, przedstawiana jestz parą skrzydeł, które nie są częścią jej ciała, lecz są sztuczne – dokładnie tak jak te, i jak skrzydła Vril-Yan.

Zapytał sam siebie, czy to przypadek, że Bulwer-Lytton nazwał mężczyzn rodu Vril-Yan tak samo jak ojca wszystkich sumeryjskich bogów, czyli An.

– Wiele mitów i legend Majów zebranych w *Popol Vug* opowiada o podziemnym świecie – powiedział Cosma, szukając kolejnego zdjęcia pomiędzy stronami książek. – Ale spójrzcie. Jeżeli był pan w Peru, panie Rol, na pewno widział pan to.

Cosma pokazał zdjęcie i zaczekał, aż Lio rozpozna przedmiot, który był na nim przedstawiony.

– To dwunastokątny kamień z Cuzco, stolicy Państwa Inków – powiedział bez wahania pisarz. – Dotykałem go własnymi rękoma.

Spojrzał na nie, a następnie zacisnął pięści, jakby chciał zatrzymać jedno z niewielu niewyraźnych wspomnień, które mu pozostały.

– Chciałem napisać książkę...

– A te? – kontynuował Cosma.

– To znajduje się w Sacsayhuamán, również w Peru – powiedział Lio. – Tam też byłem.

Cosma wskazał cyklopowy mur wykonany z megalitów wyciosanych z niezwykłą precyzją. Niektóre z nich ważyły ponad sto ton. Każdy z kamieni różnił się od pozostałych kształtem i wymiarami, a mimo to były połączone tak idealnie, że zdawało się, iż mur wykonał ktoś, kto miał całkowitą kontrolę nad strukturą kamienia.

– Wygląda to tak, jakby kamień został roztopiony – zauważyła Alba, która już od dłuższego czasu siedziała z otwartą ze zdziwienia buzią. – Niesamowite.

Cosma przytaknął z zadowoleniem.

– Pewne legendy mówią o świetle zdolnym spalać skały i sprawiać, że stają się one lekkie jak korek.

– Pańskim zdaniem jak stare są te pozostałości?

– To przykład oszałamiającego, nadludzkiego zjawstwa – powiedział stary Cosma. – Oficjalna archeologia twierdzi, że jest to dzieło Inków, ale Inkowie nie byli

zdolnymi architektami, nie potrafili też tak doskonale ciąć kamienia. Dowodzi tego fakt, że hiszpańscy konkwistadorzy nie wykorzystali maestrii Inków do budowania swoich domów, kościołów i miast. Dlaczego? Nikt tego nie wyjaśnia. Ja jestem przekonany, najstarsze z tych konstrukcji sięgają okresu zaraz po pierwszym wielkim potopie, który miał miejsce piętnaście tysięcy lat temu. Ale może... – Odwrócił kolejne zdjęcie. Może najbardziej wymyślne przykłady przedpotopowej sztuki obróbki kamienia znajdują się innej miejscowości w Peru – w Olantaytambo, czterdzieści kilometrów od znanego Machu Picchu.

– Dlaczego mówi pan, że przedpotopowej, skoro sam pan utrzymuje, że te konstrukcje sięgają okresu po potopie? – spytała Alba.

Niewzruszony Cosma ze splecionymi rękoma i ściśniętymi w palcach brzegami koca jeszcze raz skinął głową.

– Ponieważ zostały zbudowane po potopie przez tych, co przeżyli.

– To ten sam potop, o którym mówią Sumerowiei Biblia? – zapytał Lio.

– Sumerowie dzielą historię świata i ludzkości na dwa okresy – przed potopem i po potopie. Ale pamiętali tylko trzeci wielki potop, który miał miejsce dziewięć tysięcy lat temu. Jak już powiedziałem, były trzy potopy. Drugi, który nastąpił jedenaście tysięcy sześćset lat temu to ten, o którym mówi Platon w micie o Atlantydzie.

– Znałem tylko ten – skomentował melancholijnie Lio.

W tej chwili uzmysłowił sobie, że napisał książkęo Atlantydzie, nie dokonując niezbędnych poszukiwań na ten temat, i nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

– Koniec ostatniej epoki lodowcowej spowodował nieuniknione kataklizmy i zatopienie licznych obszarów ziemi o umiarkowanym klimacie, które były bardziej zdatne do

zamieszkania. Przed pierwszym potopem naszą planetę zasiedliła cywilizacja mająca w posiadaniu bardzo zaawansowaną wiedzę.

– Giganci? – zapytał zniecierpliwiony Lio, nie mogąc doczekać się konkluzji.

– Nie wiem – odparł Cosma, rozpościerając ręce. – Niełatwo zdecydować, czy opowiedzieć się po stronie mnogości wskazówek – odwrócił prawą dłoń śródreczęm do góry – czy absolutnego braku dowodów – to samo zrobił z lewą dłonią. – Nie jestem nawet pewien, czy ta zaginiona antyczna cywilizacja była cywilizacją ludzi. Być może nie były to istoty ludzkie, czyli nie ludzie giganci.

– Dlaczego pan tak myśli?

Koc odfrunął w tył niczym peleryna, a Cosma zerwał się na równe nogi.

– Skóra – odparł. – Spójrzcie na mnie. Jestem stary, moje ciało niszczeje, ale widźcie? – Zaczął dotykać się po torsie. – Z wyjątkiem kilku zagubionych włosków jestem całkowicie nieowłosiony, nie mam

skorupy czy łusek – jestem jedynym ssakiem na ziemi gołym jak robak. Jaka logika ewolucyjna może to wyjaśnić? Bardzo mało prawdopodobne, żeby ewolucja opowiedziała się za tak ryzykowną opcją. Dla mnie, lekarza wspierającego teorię ewolucji, odpowiedź kryje się w tym, że tylko stworzenia żyjące pod ziemią w cieple są tak łyse jak my. Rozumiecie?

Albie ulżyło, gdy ponownie zarzucił koc na ramiona. Potem na nich spojrział. Jego żółtawe, żywe oczy lśniły na zwiędniętej twarzy niczym dwie złote grudki wynurzające się z błota.

– Nie, nie rozumiemy – powiedział Lio, odczytując to również z przerażonej i zagubionej twarzy Alby. – Co ma wspólnego nasza skóra z tą hipotetyczną, przedpotopową cywilizacją? I z Sumerami? I z nazistami?

– Naziści utrzymują, że są potomkami tej zaginionej cywilizacji – powiedział posepnie starzec.

– Oni utrzymują wiele bzdur – skomentowała Alba, przysuwając się do ognia, żeby złagodzić przenikającą do kości zimno.

– Ma pani rację, jednak, sądząc po ich zdobyczach technologicznych, nie są aż tak zacofani, jak często się ich przedstawia. Są bezwzględni i bezlitosni szaleńcami, opętanymi ignorantami – to oczywiste jak to, że gdzieś w tej jamie demonów musi kryć się jakiś czynnik postępu, wiedzy. Skąd go czerpią? Niestety, nie było mi dane się dowiedzieć. Natomiast pewnym jest, że kiedy już naziści przejdą do historii, świat poświęci wiele czasu, żeby zrozumieć, co ich stworzyło i napędzało.

– Zgadzam się – powiedział Lio. Wskazał na paczkę papierosów. – Mogę?

Starzec zgodził się.

– Jeśli o mnie chodzi, może pan się zabijać w taki sposób, jaki uważa pan za stosowny, panie Rol.

Lio zastanowił się nad tym, po czym zrezygnował z palenia. Także Alba, która wyciągnęła szyję, żeby poprosić o jednego papierosa, zmieniła zdanie. Ze starego Cosmy emanowała charyzma. Każdy jego gest przepełniał poczuciem bezpieczeństwa i zaufaniem. Był erudytą, ale nie mądrałą. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że posiadał wiedzę na tematy znajdujące się daleko poza zasięgiem zwykłych śmiertelników. Może to po części z powodu jego zaniedbania? Owinięty w swój koc, odziany tyłkow parę dziurawych skarpet, bardziej przypominał antycznego filozofa z greckiej szkoły cyników niż starego żebraka. A ponadto jego sypiąca się, zagracona dziwnymi przedmiotami chata bardziej kojarzyła się z domem średniowiecznego alchemika niż czarownika na usługach diabła. Mimo to

momentami na jego twarzy malowało się coś na kształt szaleństwa.

– Według pana możliwe jest, że naziści szukają jakiegoś pierwotnego sekretu sięgającego czasów tej zaginionej cywilizacji? – zapytał go Lio.

– Może nawet już go znaleźli! – uniósł się starzec, próbując się roześmiać, jednak bezskutecznie.

Lio wyczuł, że stary Cosma miał właśnie powiedzieć kolejne z tych słów, które zdawały się przywoływane przez ducha Sibylli. I w istocie – tak się stało.

– Ahnenerbe – rzucił starzec, drapiąc się po nabrzmałym nosie rogiem koca. – Jak miemam, już o niej słyszeliście. Przed wojną wydali morze pieniędzy na ekspedycje po całym świecie w poszukiwaniu antycznych cywilizacji ich sekretów.

Każdy w tym momencie zapytałby, skąd starzec miał tak obszerne i aktualne informacje na temat dziejów świata, skoro siedział

zamknięty w baraku pośrodku lasu, słuchając jedynie Trio Lescano. Lio rozejrzał się w poszukiwaniu radia, ale go nie zauważył.

– To dlatego tu do pana przyszli?

– Dokładnie. Pojawili się tu jacyś wysocy blond mężczyźni bez mundurów, ale nie ma wątpliwości, że byli to esesmani. Nawet mnie przesłuchali. Uniknąłem tortur, udając, że ze starości straciłem rozum.

Lio pomyślał, że musiał być bardzo wiarygodny.

– Nie mogę pojąć, dlaczego w tak szczególnym dla losów Niemiec i całego świata momencie esesmani upierają się, żeby prowadzić te badania – zauważyła Alba.

Stary Cosma westchnął.

– Zadajecie trudne pytania, nie sądzę, żeby starczyło mi życia, aby znaleźć na nie odpowiedzi. Przyszliście zbyt późno, przykro mi. Mogę wam za to powiedzieć, że esesmani byli zainteresowani wszystkim tym, co mogło w jakiś sposób dotyczyć nadzwyczajnej broni

Wirakoczan. Zatem poszukiwania tych ludzi mają oczywisty związek z ich determinacją, by wygrać wojnę.

– Wirakoczan? – zapytała Alba.

– Nazywam ich tak na modłę Inków – Wirakoczanie, czyli „ludzie z morskiej pi-any”. Nie sądzicie, że to przepiękna nazwa? Ale jeśli wolicie, mogę użyć słowa Pelazgowie, ludzie z Cro-Magnon lub giganci – one wszystkie oznaczają Atlantydów.

– Ależ to czyste szaleństwo – zachnął się Lio, zapalając papierosa. – Sądzą, że wygrają ogólnoświatowy konflikt zbrojny przedpotopową bronią?

– Dzięki tej samej energii, która umożliwiła tę zadziwiającą obróbkę kamienia, który wam pokazałem, i transport mas granitu ważących setki ton – uściślił stary Cosma. – I przy pomocy antycznych bogów.

Ze środka kłębu dymu wypłynęło pytanie:

– A propos ogromnych kamieni, zna pan Baalbek?

Starzec przytaknął, kiwając energicznie głową.

– Nie jestem wielkim znawcą Środkowego Wschodu, ale oczywiście, znam go. Znajduje się w Libanie, sześćdziesiąt pięć kilometrów na wschód od Bejrutu, w dolinie Bekaa. To jedno z najświętszych miejsc antycznego świata. Rzymianie wzniesli tam wiele obiektów sakralnych, wśród których znajduje się majestatyczna świątynia Zeusa. Było to tak święte miejsce, że imperatorzy rzymscy przemierzali dwa tysiące kilometrów tylko po to, żeby wysłuchać przepowiedni wyroczni z Baalbeku. Ale to nie Rzymianie zbudowali platformę, na której wznosi się świątynia Zeusa, tak jak nie Inkowie byli budowniczymi w Tiahuanaco, Cuzco czy Sacsayhuamán.

Jego ręce gestykulowały pod kocem.

– Rzymianie zbudowali jedynie swoje świątynię na tej ogromnej platformie, którą już tam zastali. Niektórzy mówią, że Baalbek

– dla świata greckiego Heliopolis – to dzieło Kaina, a wszystkie ludowe opowieści są zgodne co do faktu, że jest to najstarsza budowla na świecie. Istnieje wiele legend na ten temat. Miejscowi opowiadają gigantach, co jest logiczne, jeżeli wziąć pod uwagę rozmiary niektórych głazów użytych do budowy jednego z murów nośnych platformy.

– Słyszałem o tym – powiedział Lio.

– Ja tam nie byłem – kontynuował starzec, wertując zdjęcia, które ułożył na podłodze obok fotela – ale mam zdjęcie Kamienia Południa. Pokazał je obojgu. – To idealnie wyciosany gładz. Jego masa szacowana jest na tysiąc trzysta ton. Widzicie? Jeszcze jest połączony z kamieniołomem, z którego go wydobywano. Po co używać tak ogromnych kamieni, ryzykując, że minimalna niedokładność zaburzy stabilność całej budowli? Jedynym możliwym wyjaśnieniem jest to, że ktokolwiek był twórcą tego cudu inżynierskiego, miał absolutną pewność, że

kamienie pozbawione będą wszelkich defektów i że nie zostaną uszkodzone podczas transportu. Kamieniołom oddalony jest o kilkaset metrów od miejsca, gdzie miał zostać umieszczony Kamień Południa. Pozostałe trzy kamienie, tak jak ten, wciąż są na swoim miejscu, w murze u podstawy platformy w Baalbeku. Jak można przetransportować coś podobnego?

Lio i Alba kręcili z niedowierzaniem głowami, patrząc na zdjęcie ogromnego prostopadłościanu z granitu, którego gigantyczne proporcje uwydatniała obecność w kadrze przypadkowej osoby.

– Naprawdę odbiera mowę – powiedziała Alba.

– Kto z prymitywnych analfabetów bez przeszłości mógłby zrobić coś, o czym my nawet dzisiaj możemy tylko pomarzyć? Potrząsnął kilkakrotnie ramionami, śmiejąc się bezgłośnie.

– Och, tak, to naprawdę odbiera mowę. Dlatego archeolodzy nabierają wody w usta.

– Bardzo chciałbym zobaczyć pańską kolekcję.

– Sądzę, że to niemożliwe. Swego czasu wszystko zarekwirował mi Kościół. Jeżeli zostało coś jeszcze, znajduje się w Watykanie. Mnie pozostały tylko zdjęcia kilku znalezisk.

– Dlaczego został pan usunięty z Kościoła, panie Cosma?

– Nie można wierzyć w Kościół, po tym jak uzmysłowiło się sobie ludobójstwo, jakiego dopuścił się on w imię Chrystusa rękoma konkwistadorów, po tym jak zrozumiało się, jak skrzętnie ukrywano prawdę o tamtych i wielu innych wydarzeniach. Głosiłem rzeczy niezbyt dobrze widziane przez kurie. Niczym Giordano Bruno utrzymywałem, że kosmos zamieszkiwany jest przez inne formy życia, i posuwałem się dalej, twierdząc, że jedna z tych form przybyła na Ziemię wiele, wiele

lat temu i że dała początek gatunkowi ludzkiemu oraz idei boga znajdującego się w niebiosach. I tak jak Giordano Bruno zostałem wypędzony, mając jednak to szczęście, że opuściłem Kościół cały i zdrowy, przez drzwi, a nie w postaci dymu unoszącego się nad stosem.

Lio zaciągnął się kłębem dymu z papierosa i miał wrażenie, że czuje rogowaty zapach palących się włosów i skóry trawionej przez płomień.

– Zatem, jeśli dobrze rozumiem, według pana antyczni bogowie przybyli z innego układu słonecznego przed pierwszym potopem i napotkali cywilizację Atlantydów, która po pierwszym potopie została zmuszona do opuszczenia swojej ziemi?

– Jestem o tym przekonany.

– I ustalił pan, gdzie znajdowała się Atlantyda?

– Oczywiście. – Spojrzał na nich zadowolony z szelmowskim uśmieszkiem. – Pod lodami Antarktydy.

Zniósł niedowierzające spojrzenia Lio i Alby. Uśmiechnął się czarująco, przymykając powieki. Uniósł do góry brwi i kiwał powoli głową, jakby chciał zostawić prawdziwe czas na dotarcie do ich otumanionych umysłów.

– Według moich analiz Atlantydzi wierzyli w jednego boga – w Słońce – i poddawali się obrzezaniu. Sądzę, że obecni Żydzi pochodzą od Atlantydów. Nazistom nie spodobało się, kiedy usłyszeli, że Atlantyda znajdowała się na południu kuli ziemskiej oraz że jej mieszkańcy byli monoteistami i obrzezali się. – Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Zatem naziści – podsumował Lio – próbują zrekonstruować broń Atlantydów?

– Wiem to na pewno. To powód, dla którego przyszlipo moją skromną osobę. Gdyby tylko...

Starzec przerwał. Szyby w oknach wibrowały. Następnie zatrzęsała się podłoga. Usłyszeli chrapliwy odgłos silnika, prawdopodobnie dużej ciężarówki, a za nim warkot samochodu osobowego.

Wszyscy drgnęli.

– Któż to może być? – powiedział starzec, wyraźnie drżąc ze strachu.

W pierwszym odruchu zacisnął krępe palce dookoła lufy strzelby. Wstał, podniósł igłę gramofonu i podszedł do okna, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Lio i Alba dołączyli do niego, ale z miejsca, w którym stali, droga nie była widoczna. Szum silników nie pozostawiał jednak wątpliwości – zatrzymali się nieopodal zaparkowanego auta Alby.

– To mogą być żołnierze – wyraził przypuszczenie Lio.

Starzec spojrział na nich, marszcząc brwi.

– Ktoś was szuka?

– Obawiam się, że tak.

– Faszyści?

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Gdyby przyszło im do głowy, żeby zapukać do moich drzwi, możecie wyjść tędy – powiedział starzec i wskazał głową niskie drzwiczki za swoimi plecami. – Ja zaoferuję ci cygaro, jeżeli będą mieli ochotę.

Podniósł wieczko pudełka po kubańskich cygarach, które – jak powiedział, mrugając okiem i z dumą pokazując jego zawartość – trzymał tuż pod oknem na specjalne okazje. Było pełne nabojów.

– Przyjechaliście własnym samochodem?

– Tak – odpowiedziała Alba.

– I zaparkowaliście go w miejscu widocznym z ulicy?

– Nie, stoi po przeciwnej stronie, jakieś pięćdziesiąt metrów od skraju drogi, za

dużym powalonym konarem. Nie widać go, jestem tego pewna.

Stali nieruchomo, nasłuchując w napięciu ze wstrzymanym oddechem, czy szumowi silnika zaczną towarzyszyć odgłosy zamykanych drzwiczek, kroków i głosów.

Po chwili jednak pojazdy ruszyły dalej.

Alba dziękując niebiosom, położyła sobie rękę na piersi i opierając się plecami o szorstką ścianę, osunęła się aż na podłogę.

W żyłach Lio zaczęła ponownie krążyć krew.

– Jak by nie było, wróć – powiedział starzec, odkładając strzelbę na ziemię z lufą zwróconą do góry i oparł się poręcz fotela.

Ponownie nastawił płytę i usiadł. Znowu odpłynął myślami. Siedząc z zamkniętymi oczami sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad czymś, jakby szukał właściwych słów do opisu tego, co ma zamiar powiedzieć. Lio i Alba wymienili rozbawione spojrzenia pośród dymu wydobywającego się leniwie

z trzymanyh przez nich papierosówi
wzruszyli ramionami.

Po kilku minutach ciszy stary Cosma zaczął chrapać.

Uznali, że to dobry moment, aby się ulotnić. Po chwili opuścili szalas na palcach.

*Cichuteńko, na paluszkach, pingwin
nieszczęśliwie zakochany...*

Igła gramofonowa wciąż podskakiwała z hałasem pomiędzy rowkami winylowej płyty.

Rozdział 44

Berlin

Monice Müller udało się wskazać brytyjski okręt, co umożliwiło jego zatopienie przez U-Boot i przejrzanie cennych dokumentów archiwizowanych w Londynie. A wszystko to bez wychodzenia z ciemnego i zacisznego pokoju przygotowanego przez Gigera w głównej siedzibie RSHA w Berlinie.

Himmler i Goebbels spotkali się z nią, żeby jej osobiście pogratulować. Uścisnęli jej dłoń, napominając przy tym Gigera, żeby niczego jej nie zabrakło.

Teraz Giger jako szef sekcji szpiegostwa psychicznego VII Departamentu rekompensował jej trudy okazałą sumą marek, które mogła wydać w dowolny sposób. Poradził jej, żeby kupiła sobie nowe ubrania, zadbała o siebie i nakazał, żeby nigdy nie ścinała włosów.

– Chciałbym, żebyś dołączyła do Czarownicy Vril – powiedział, wiążąc sobie krawat, i posłał jej odbity w lustrze, oślepiający uśmiech.

– Będzie to dla mnie zaszczyt, Herr Giger.

Monica wzięła pieniądze z szafki i przeliczyła je, rzucając każdy banknot niczym płatek stokrotki. Nie chciała wiedzieć, czy ją kochał, lecz ile warte były jej usługi w łóżku. Woląca myśleć, że otrzymała zapłatę jako dziwka niż jako osoba odpowiedzialna za śmierć całej załogi.

Kiedy Giger wyszedł z hotelowego pokoju, Monica pomyślała ponownie o ministrze propagandy oraz Reichsführerze-SS i zachciało jej się śmiać. Jeszcze dzień wcześniej założyłaby się o każdą kwotę, że nigdy nawet ich nie spotka, a teraz znajdowała się wśród niewielu osób mogących przebywać w ich towarzystwie, a do tego obsypywali ją komplementami i wyrazami uznania.

Znów widziała ich zachwycone twarze – śmiesznej asymetrycznej – i nie mogła przestać się śmiać. „Aryjczycy – myślała – powinni mieć wąskie usta, płaskie czoło, szpiczasty podbródek, smukłą i wysoką sylwetkę, blond włosy, niebieskie oczy, wąski nos, podłużną głowę... Zatem dlaczego Himmler był drobnej postury, miał zaokrągloną klatkę piersiową, żółtawą cerę, cofnięty podbródek, ciemne włosy i okrągłą twarz?”

Była bardzo zaskoczona, gdy zobaczyła, że Reichsführer-SS w ogóle nie miał fizjonomii Aryjczyka.

„A co z Goebbelsem – niskim, słabowitym i kulejącym na jedną nogę?”

„Gdyby Himmler brał udział w selekcji do oddziału SS – pomyślała jeszcze – nigdy nie zostałby przyjęty. I stanowiło to nie lada paradoks, zważywszy na fakt, że był jego głównym dowódcą”.

Jeśliby wdrożyć kryteria selekcji rasowej stosowane przez SS, nie tylko Himmler

i Goebbels, ale nawet Hitler z pewnością otrzymaliby czerwoną kartę. Żaden z nich trzech nigdy nie zostałby przyjęty.

– Nie są tacy jak Giger – powiedziała do siebie, wylegając się w pościeli, tak przyjemnie pachnącej świeżym praniem. – Nie są wysokimi, silnymi, pięknymi, niebieskookimi blondynami. Nie są tymi, za których się uważają, nie są Aryjczykami. – Położyła sobie dłonie na brzuchu i uśmiechnęła się. Rozmyślała o tym, co opowiedział jej Giger. Otóż, podobno gdy stanął przed komisją wojskową, żeby wstąpić do oddziału SS, oficer napisał w karcie zdrowia: „wskazana prokreacja”.

Rozdział 45

Watykan

Lio przeczesał czyste włosy palcami i pogładził się z przyjemnością po świeżo ogolonych policzkach.

Ojciec Leonardo zalecił mu przebranie się i przygotował pachnące pralnią szaty księdza – czarne, wykonane ręcznie błyszczące buty, czarne wełniane spodnie, marynarkę w tym samym kolorze, czarny płaszcz i zapinaną koszulę ze stosowną białą koloratką.

– Bardzo dobrze w tym wyglądasz – powiedział. – Jeśli włożysz jeszcze kapelusz, nikt cię nie rozpozna.

Lio podszedł do lustra.

– Nie, bez kapelusza, dziękuję.

Widząc go w tym ubraniu, Alba zakryła twarz ręką i zaśmiała się.

Ona również skusiła się na przyjemną ciepłą kąpiel, teraz miała na sobie czyste

ubrania, które specjalnie kupił dla niej posłaniec na prośbę ojca Leonarda.

– Według mnie stary Cosma jest całkowicie niewiarygodny – powiedział Lio do lustra, zapalając papierosa. – Ale powiedział nam jedną interesującą rzecz. Zgodnie z tym, co mówi, naziści pracują nad jakąś technologią, która według nich została sprowadzona na Ziemię wiele lat temu przez przybyszów z kosmosu. Znałem te teorie, choć nigdy nie uznawałem ich za godne uwagi. Nie sądziłem, że są aż takimi prozelitami. Nawet właściciel mojego mieszkania się nimi interesuje. Niepokojący jednak nie jest fakt, że wierzą w to tacy ludzie jak on, ale to, że niektóre przekonania zaczynają oddziaływać znacząco na przebieg wojny na świecie. To absurd. Według tego, co mówią Kuurma i stary wariat, naziści wierzą, że są bezpośrednimi potomkami pierwotnej rasy stworzonej przez istoty pozaziemskie. Rozumiecie?

Stojący za nim Alba i ojciec Leonardo kiwali w milczeniu głowami, ich wystraszone twarze odbijały się w lustrze tuż obok niego.

– Gdybyście byli małżeństwem – powiedział ojciec Leonardo, wydając podmuch ciepła, który otulił szyję Alby i doleciał aż do uszu i policzków – ten apartament byłbydo waszej dyspozycji, ale boję się, że będziemy musieli znaleźć inne rozwiązanie.

Albie zdawało się przez chwilę, że natknęła w lustrze spojrzenie Lio, jednak po chwili zorientowała się, że wpatrywał się nieruchomo w swoje odbicie.

– Lio?

Nie odpowiedział. Wciąż patrzył w lustro, ale nie odzywał się, nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Wyglądał, jakby w jego wnętrzu zgasł nagle jakiś wyłącznik. Z nosa ciekła mu krew i przez chwilę wydawało się, że cierpi.

Shappeller...

Serce Lio biło rytmicznie, coraz wolniej. Shappeller...

Przeszedł przez oślepiającą kurtynę światła i znalazł się w laboratorium wypełnionym nieznanymi mu przedmiotami i urządzeniami. Pomieszczenie to było duże i jasne, choć nie miało okien. Zamiast słońca świeciły tam potężne halogenowe żarówki, doprowadzające światło w każdy zakamarek pomieszczenia i powodujące, że nie było w nim żadnych cieni.

Podłogę przecinało mrowie kabli, dokładnie pogrupowanych w wiązki.

Na środku laboratorium znajdowały się cztery ogromne bloki cementu oddalone od siebie o pięć lub sześć milimetrów, unoszące stalową konstrukcję, na szczycie której wznosiła się metalowa kula o średnicy około jednego metra, wyglądająca jak osłona czegoś innego.

Jakiś mężczyzna w mundurze SS podziwiał ją ze skrzyżowanymi z tyłu rękoma

i odwracał się ciągle w kierunku starszego od siebie człowieka siedzącego przy blacie za jego plecami.

– Naprawdę wspaniały... – powiedział. Jeszcze przez chwilę podziwiał maszynę. – Jestem naprawdę zaszczycony, że jako jeden z niewielu ludzi na świecie mam dostęp do pańskich badań. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie mogę się doczekać, aż zobaczę, jak działa.

Drugi człowiek, nazywając swojego rozmówcę Viktorem, poinformował go, że wszystko było gotowe.

– A więc przyszła pora, aby założyć skrzydła mojemu metamagnesowi.

– Pańskiej pierwotnej maszynie – powiedział Viktor entuzjastycznie.

Dołączył do niego przy stole. Otworzył jedną z teczek i wyjął z niej rysunki przedstawiające projekty pojazdów latających o niezwykłych kształtach, po czym oznajmił:

– Ja też opracowałem technikę opartą na implozji, która umożliwia mi wyprodukowanie dużej ilości energii, ale mój silnik jest jeszcze zbyt duży, Herr Shappeller. Wojna nagli. Jeśli będziemy współpracować – wskazał na kulę – jeżeli metamagnes będzie mógł zostać zainstalowany na tym...

Podłożył mu pod nos kilka projektów, wybierając z wielu, które miał do pokazania.

– Dzięki nim wygramy wojnę.

– Nigdy nie widziałem nic podobnego – odparł, oglądając projekty.

Były to pojazdy latające w kształcie dysku, dzwonu lub bumerangu. Jeden z nich, w kształcie dysku, wyposażony był w dwa rotory, jeden pod spodem i jeden na górze, mogące – według Viktora – wytworzyć pole magnetyczne, które ukryłoby pojazd w kuli białego światła.

– Jeżeli mój silnik implozyjny byłby wystarczająco mały, żeby dało się go zamontować na tym...

– Mój jest – odparł Shappeller. – Dzięki niemu pojazd będzie mógł osiągnąć prędkość nawet trzech tysięcy kilometrów na godzinę. I – jeżeli organizm ludzki nie nakładałby tu pewnych ograniczeń – mógłby to zrobić, odskakując we wszystkich kierunkach bez wykonywania skrętów.

– Zawsze możemy sterować nim na odległość.

Doktor Shappeller obserwował bardzo uważnie dokumenty, powtarzając wciąż, że nigdy nie widział czegoś podobnego.

– Wyglądają jak maszyny kosmitów.

– Bo przecież nimi są – odpowiedział Viktor. – Albo przynajmniej częściowo nimi są... – poprawił się, żeby nie umniejszać zbytnio swojego inżynierskiego wkładu to przedsięwzięcie.

– Fascynujące – skomentował lakonicznie Shappeller.

Po uważnym przestudiowaniu każdego z projektów, któremu towarzyszyło kiwanie głową i wyrazy uznania, oddał projekty i wstał, kierując się w stronę panelu sterowania.

– Ta kula, którą pan widzi, waży tylko pięćdziesiąt kilogramów – powiedział. – Osłona wykonana jest z aluminium. Anoda i katoda zamknięte są w bardzo lekkiej, silikonowej kuli. Maszyna nie wytwarza energii w dosłownym sensie, ale przewodzi kosmiczną siłę.

– Swobodną energię? – zapytał Viktor z zamyśleniem.

– Dokładnie.

– Słuchając pana, Herr Shappeller, można pomyśleć, że chodzi o jakąś skromną osłonę, ale ja rozumiem, jak wiele magicznych rzeczy zdołał pan zamknąć w tej maszynie.

– Jest pan gotowy? – Rzucił mu okulary z grubymi czarnymi soczewkami. On również włożył takie same, po czym wcisnął palcem zielony przycisk.

– Tylko próbka.

– Jestem gotowy – powiedział Viktor.

Potężne halogenowe żarówki zgasły.

Prawdopodobnie będą próbowali pana porwać... naziści... VII Departament... Proszę pana, żeby wykazał się pan należnym męstwem, panie Rol. Odpowie ktoś od nas... W nieparzyste dni o 21:00... punktualnie.

Lio znów zobaczył siebie w lustrze – tu i teraz – i zauważył, że leciała mu krew. Starł ją chusteczką i spojrzał na Albę i Leonarda, którzy stali za nim w osłupieniu.

Właśnie przeżywał koszmar. Przyszedł mu na myśl jeden z jego ulubionych autorów – Howard Phillips Lovecraft, który znajdował pomysły na swoje opowiesci w złych snach,

i przez chwilę poczuł, jak usta inspiracji składają pocałunek na jego sercu.

Dzięki tej całej historii będzie miał przynajmniej niezły materiał na książkę. Czy to był nieparzysty dzień? Wydawało mu się, że tak.

Spojrzał na zegarek. Był dwudziesty trzeci dzień miesiąca. Do 21:00 brakowało dwóch godzin.

– Dobrze się czujesz, Lio? – zapytał ojciec Leonardo, przyglądając mu się w lustrze.

Lio odpowiedział, że wszystko jest w porządku.

– Jeśli chcecie, możecie pojechać ze mną do Castel Gandolfo. Zazwyczaj w nocy jestem sam, mogę przygotować ci jakieś legowisko tylko na tę noc, jeśli to cię zadowoli, Lio. Tobie, Albo, znajdę zakwaterowanie u naszych drogich przyjaciół. Co wy na to?

Lio nie odpowiedział. Odwrócił się tyłem do lustrai spojrzał Albie prosto w oczy. Wysunął z kołnierza koszuli koloratkę i włożył ją do kieszeni.

- Powodzenia – powiedział jej. – Dziękuję za wszystko.
- Dokąd się wybierasz? – spytała.
- Jadę do Berlina – odpowiedział.

Rozdział 46

Berlin

Maria Orsich siedziała przy biurku, zanurzona w ciszy niewielkiego pokoiku wytłumionego perskimi dywanami. Stały w nim regały zastawione ciężkimi tomami ksiąg, a cienie falowały w rytm świec ustawionych zamiast żarówek, żeby światło elektryczne nie zakłócało łączności astralnej.

Jej blond włosy uwolnione z uścisku gumki pełniły funkcję anteny i były tak długie, że kiedy siedziała, zakrywały jej całe biodra, aż po podeszwy stóp. Niedawno skończyła pięćdziesiąt lat, a nieliczne osoby, którym to zdradziła, nie chciały jej wierzyć. Wszyscy uznaliby za prawdopodobne, że miała czterdzieści lat, a nawet daliby jej jeszcze kilka mniej.

O urodzie Marii krążyły legendy, ale gdy wpadaław trans, jej piękno gdzieś umykało.

Nie było widać ani jej szlachetnego profilu, ani szczupłych nóg, ani odczuw kolorze cyjanu, przypominających góry lodowe w ostrym świetle długich polarnych dni. Maria była wodospadem blond włosów, które w ciemności pokoju wydawały się strumieniem topionego metalu w pełnym żaru mroku huty żelaza Thyssen.

Jej dłoń szybko ocierała się o kartkę, podczas gdy zaciśnięte w palcach pióro przekazywało pisane pismem automatycznym komunikaty z innego świata.

Nie docierały do niej fale radiowe – ani długie, ani krótkie – żadnych dobrych czy złych wieści, tylko nieprzerwany strumień słów pozornie pozbawionych sensu. Jednak profesor Herman Wirth – wielce czcigodny prezes Ahnenerbe – z całą stanowczością przypisywał je językowi akadyjskiemu, a według doktora Viktora Shaubergera dotyczyły one konstrukcji elementów bardzo zaawansowanych technologicznie pojazdów

latających o ogromnym znaczeniu militarnym.

Głuchy dźwięk oderwał ją od rozmowy ze stworzeniami z Aldebarana. Pióro zatrzymało się. Otworzyła oczy i nadstawiła uszu.

– Nie chciałem ci przeszkadzać – powiedział Giger, wchodząc na palcach do pokoju. – Nie wywiesiłaś znaku.

Maria westchnęła głęboko i związała włosy.

– Masz rację, An, zapomniałam.

Zgodnie z ich umową srebrna gwiazda wywieszona na drzwiach miała wskazywać, że trwa seans.

Giger pochylił się nad nią i pocałował ją w usta.

– Przykro mi, Gy – rzekł, wymawiając twardo G i dmuchając delikatnie w płatek jej ucha.

– Nic nie szkodzi, An – powiedziała, wstając. Objęła go i bez słowa zaczęła rozpinać mu marynarkę munduru, koszulę i spodnie.

Giger wykorzystując całą siłę woli, starał się nie ulec aksamitowi jej języka. Udało mu się ją powstrzymać, zanim jak zwykle rozsznurowałaby sobie sukienkę, powodując, że ubranie opadłoby na podłogę, odsłaniając jej mlecze ciało – pułapkę, w którą on nieuchronnie by wpadł.

– Nie teraz – powiedział, odsuwając ją. Guzik po guziku mundur Gigera znowu powrócił do swojej surowej, nienagannej elegancji. – Najpierw muszę poprosić cię o pomoc.

Maria spojrzała na niego na wpół zamkniętymi oczami, zaskoczona i poirytowana tym niecodziennym zachowaniem. Następnie dotknęła jego czoła.

– Jest jakaś inna – powiedziała.

– To nie jest dobry moment, żeby o tym mówić – zachnął się Giger, odsuwając jej dłoń.

– Ma na imię Monica – nie dawała za wygraną, kiwając głową z zamkniętymi oczami.

– Tak, to nowy nabytek wśród Czarownic Vril.

– Jesteś pewien, że wybrałeś ją ze względu na jej zdolności umysłowe?

– Monica Müller – powiedział Giger – posiada zdolności umysłowe i fizyczne godne pozazdroszczenia, tak jak ty i wszystkie inne.

Spoliczkowała go spojrzeniem. Chwyliła za koniec satynowej wstążki na piersi, sprawiając tym samym, że poczuł, jakby zaciskała mu lasso na szyi. Pociągnęła ją, rozwiązując powoli węzeł i sprawiając, że poczuł, jakby pętla się zaciskała. Pozwoliła ubraniu zsunąć się po skórze, pobudzając jej sutki, i opaść wokół kostek.

Teraz przypominała Ewę w Edenie.

– Czego ci potrzeba, An? – zapytała go czarującym głosem. Wysunęła stopę poza krąg tkaniny i zaczęła poruszać się zmysłowo w półcieniu – jak podczas halucynacji w trakcie szabasu czarownic – oraz emanować energią stu lubieżnych ciał.

Giger nie opierał się dłużej i pozwolił się pchnąć na łóżko. Zaciśnął dłoń na jej pośladku, po czym – jakby wcisnął kosmiczny włącznik – czas zaczął płynąć inaczej. Strzępy światła świec wirowały mu w źrenicach, znalazł się w samym środku tornada pościeli i ubrań.

Zgodnie z wolą Marii nie pamiętał już o Monice. Zapomniał też, z jakiego powodu się tu znalazł.

Godzinę później podał jej mapę Rzymu.

– Musisz znaleźć pewną osobę – powiedział do niej.

– Kogo? – zapytała Maria, rozkładając mapę na łóżku.

– Brata pewnej kobiety, którą znasz.

Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

– Brata Sibylli Rol – powiedział Giger.

Podał jej fotografię, na której Lio stał przed zaśnieżoną tamą. Ubrany był jak alpinista, miał długie rozpuszczone włosy, długą brodę i okulary przeciwsłoneczne.

– To naprawdę on?

– Jak tylko go znajdziemy i przywieziemy do Berlina, dla Gy takiej jak ty nie będzie problemem dowiedzenie się, czy to prawda.

Maria skinęła głową. Następnie przesunęła grzbietem dłoni po mapie. Długo przemierzała plątaninę ulic wiecznego miasta w poszukiwaniu cieplejszych i zimniejszych obszarów na mapie. Po kilku minutach powiedziała:

– Tutaj – dotknęła jakiegoś punktu.

Giger zaznaczył go ołówkiem. W pokoju Marii nie było elektryczności, wziął więc mapę i zaniósł ją w pobliże dogasających świec.

– Dziękuję, moja droga.

– Nie ma za co, An – odpowiedziała Maria, informując go zmysłowym głosem, że dla niej była to przyjemność.

Giger nałożył mundur SS, nie pomijając żadnego detalu, jakby życzył sobie tego Hugo Boss – stylistą, który go zaprojektował – i podszedł do lustra, aby upewnić się, że wszystko było w należytych porządku.

Podarował jej jeden ze swoich promiennych uśmiechów i wyszedł.

Śpieszył się, ponieważ położenie poszukiwanego mogło się w każdej chwili zmienić.

Wszedł do pierwszego pokoju, w którym był telefon, i pośpiesznie wybrał numer.

– Halo? – odpowiedział po włosku głęboki i ciepły głos.

– Cześć, Marcello.

– Dobry wieczór, Lotharze.

– Chciałbym ci podziękować za twój przepiękny prezent.

- Radio?
- Naprawdę wspaniałe.
- Gdy zobaczyłem nazwę modelu, wiedziałem, że ci się spodoba.
- Jestem gotowy, żeby się odwdzięczyć.

Rozdział 47

Rzym

Przed domem Kuurmy zatrzymały się dwie eleganckie postaci. Jedna wyróżniała się na tle ciemnej ulicyz powodu swojego długiego białego płaszcza z zamszowym kołnierzem. Druga zaś ubrana była na czarno. Obie miały błyszczące włosy, geometrycznie zaczesane na jedną stronę. Wyglądały, jakby druga była odbiciem tej pierwszejw negatywie. Widać było, że mężczyźni rozmawiają czymś, co dotyczyło domu Kuurmy, ponieważ często wskazywali cygarem na okno na trzecim piętrze.

– Szczęść Boże – powiedział Lio, przechodząc obok.

– Szczęść Boże, ojcie – odpowiedział człowiek ubrany na biało.

Lio zatrzymał się i cofnął.

– Coś się stało?

– Dziś rano – odpowiedział mu człowiek ubrany na czarno – zginęły trzy osoby.

Lio drgnął i z niewielkim opóźnieniem przypomniał sobie, żeby wykonać znak krzyża.

– O mój Boże, okropne.

– Doszło do jakiejś strzelaniny – powiedział człowiek ubrany na biało. Wydaje się, że w tym domu ukrywała się komórka NKWD.

Niczym przywołane przez nieświadome skojarzenie, w umyśle Lio zabrzmiały słowa: *Narodnyj komissariat wnutriennich diel* – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, tajna policja komunistyczna.

– Przynajmniej tak piszą wieczorne gazety – podsumował człowiek ubrany na biało.

– Szpiedzy? – zapytał Lio.

– Sowieccy – potwierdził drugi z przyjaciół i opowiedział to, co przeczytał w gazecie.

Chodziło o zorganizowaną siatkę tajnych służb sowieckich, bardzo rozgałęzioną, w której każda komórka działała niezależnie

od drugiej. Składała się z działających pod przykrywką obcokrajowców. Uważa się, że ten zabity dziś rano był szefem siatki. W jego domu znaleziono kody, materiał kryptograficzny, dokumenty i doskonały aparat nadawczo-odbiorczy przechowywany w sejfie ukrytym za obrazem.

– Wydaje się, że NKWD zorganizował całą operację jak należy, wprowadzając tu swoich agentów w czasach, kiedy jeszcze nie budzili żadnych podejrzeń. A ponadto – bez obrazy, ojciec – trzeba powiedzieć, że obecność Watykanu w sercu miasta i mnogość zagranicznych ambasad, które znajdują się na jego terytorium, w tym ambasada brytyjska, nie ułatwiają pracy naszym służbom informacyjnym. Mówi się, że dla osób takich jak on – wskazał dom Kuurmy – śmiesznie proste jest nawiązanie łączności z naszymi wrogami i przekazywanie informacji, kiedy mogą wnieść swoje radiotelefony do Watykanu i wejść na pasma częstotliwości

komunikatów radiowych nadawanych ze Stolicy Apostolskiej i do niej.

– Przegramy wojnę – powiedział człowiek ubrany na czarno.

– Nie mam co do tego wątpliwości – dodał drugi.

Lio ponownie wykonał znak krzyża.

– Były jakieś ofiary wśród służb porządkowych?

– Jedna.

Człowiek w czerni wyjął z kieszeni złożoną gazetę i wskazał palcem na notatkę, a następnie spojrział na okno w górze.

– Znała ich cała dzielnica. Jeden z nich, szpieg, pracował jako tłumacz dla Radia Watykańskiego, drugi był jego ojcem. Starzec miał prawie sto lat. Mówią, że zmarł ze zgryzoty podczas strzelaniny.

– Nie do wiary.

Lio nie musiał udawać – był autentycznie oszołomiony. Szczerze współczuł Kuurmie. Zauważyli to dwaj mężczyźni, którzy –

nieprzyzwyczajeni do widoku księdza odczuwającego cierpienie bliźniego jak swoje własne – postanowili okazać mu należyty szacunek.

– Możemy ojca odprowadzić?

Podczas marszu, który od Watykanu doprowadził go aż tam, widział kilka gwiazd gasnących pod grubym płaszczem chmur, które rozciągały się wciąż na niebie jak olej wylewający się z przewróconego słoja.

Zanosilo się na zimną, deszczową noc.

– Nie, bardzo dziękuję – odparł. – Jestem już prawiena miejscu.

Rozdział 48

Odźwierny Grand Hotelu – odziany w nienaganną liberię, wysoki i wyprostowany niczym kolumny, pod którymi pełnił wartę – przywitał go, unosząc znad czoła cylinder:

– Dobry wieczór, ojciec.

– Dobry wieczór – odpowiedział Lio i wszedł do luksusowego hotelu w Rzymie.

Gdzie indziej o tej porze mógłby znaleźć telefon?

Najbardziej oczywista odpowiedź brzmiałaby „w domu”, ale Lio go nie posiadał, a prośenie o pomoc Braschiego, pokazanie się w tamtych rejonach równało się oddaniu w ręce cieni. Dopóki były to tylko nieokreślone widma, niewyraźne kontury wścibskich agentów tajnej policji faszystowskiej, myślał o nich z lekceważeniem, chciał stawić im czoła. Teraz jednak wiedział, że w ślad za tymi, których on

nazywał cieniami, poruszali się esesmani, i że chcieli go mieć w Berlinie.

Wiedział, że jest to nieuniknione, ale mimo to nie miał zamiaru igrać z przeznaczeniem.

Ósma szesnaście na tarczy zdobiącego ścianę recepcji zegara naściennego, wiszącego za człowiekiem o gładkiej i błyszczącej twarzy kontrastującej z gęstą czupryną siwych włosów, która rosła mu bujnie nawet na części czoła.

– Czy mógłbym poczytać gazetę?

– Proszę, ojciec. Gazety znajdzie ojciec w holu. Proszę wejść, niech się ojciec rozgości. – Wskazał mu duże obrotowe drzwi.

W holu nad luksusowym wypoczynkiem ustawionym na środku dużej, mieniącej się przestrzeni przypominającej czasę wytwornych galowych przyjęć, górował ogromny żyrandol. Dwa niewielkie rzędy schodów przecinały na ukos rogi sali i prowadziły do

podestu, na którym ustawione były stoliki. W sali nie było żadnego klienta. Lio usiadł na niebiesko-purpurowej sofie, wyjął ze stosu egzemplarz „Corriere della Sera” i zaczął go przeglądać.

ZABITO ROSYJSKIEGO SZPIEGA W CENTRUM RZYMU.

A jednak jego osłupiałe oczy patrzyły na artykuł pozbawiony tej charakterystycznej, pompatycznej retoryki faszystowskiej, ale jak zwykle nafaszerowany był kłamstwami:

...Nazywał się Vladimir... szpieg NKWD i nie tylko... mężczyzna był uzbrojony po zęby... przekształcił swoje mieszkanie na trzecim piętrze budynku przy ulicy... w prochownię... cenne dokumenty skradzione z ambasady Niemiec... Watykan... wtargnięcie policji... zabarykadowany w domu... zabity... nie żyje również mieszkający z nim ojciec... ze zgryzoty...

Nie mógł w to uwierzyć. Wydawało się to imaginacjami zrodzonymi w chorym umyśle

będącym na skraju szaleństwa. Teraz widział wyraźnie powód, dla którego Kuurma kazał im uciekać przez dach.

Zmierzwił rękoma włosy i rzucił gazetę na stolik, pod onyksową lampkę.

Każda komórka jego ciała chciała eksplodować. Miał ochotę wynająć pokój i spędzić tam noc, odwlekając spotkanie ze swoją przyszłością do następnego nieparzystego dnia – poniedziałku, dwudziestego piątego. Nie brakowało mu pieniędzy, czuł, jak naciskają mu na pierś w wewnętrznej kieszeni marynarki. Ale nie mógł wykluczyć, że ktoś zadbał o to, żeby ostrzec każdy hotel w tym mieście, że może się w nim pojawić niejaki Lio Rol i poprosić jakiś wolny pokój.

Splótł ramiona na piersi. Zamyślił się.

W istocie, miał alternatywę. Ba, nawet dwie – wrócić do domu lub spędzić noc pod gołym niebem.

Wybrał drugą opcję. A na myśl o lodowatej ławce poduszki sofy, na której siedział,

zaczęły wydzielać miłe ciepło i wsysać go powoli i nieuchronnie.

W panującej ciszy tykanie założonego na nadgarstek zegarka zaczęło odbijać się echem w jego głowie niczym uderzenia młota w pustym kościele.

Zdrzemnął się. Kiedy się obudził, była za minutę dziewiąta. Ze snu wyrwało go kasznięcie.

– Mogę jakoś pomóc?

Był to portier o oliwkowej cerze i całkowicie siwych włosach, jednak na jego twarzy nie rysowała się nawet jedna zmarszczka. Ciężko było zgadnąć, czy wydawał się przedwcześnie postarzały z powodu siwizny, czy wręcz przeciwnie – wyglądał na młodszego przez to, że nie miał zmarszczek.

– Czeka ojciec na kogoś?

– Muszę zadzwonić – odpowiedział Lio, spoglądając na nadgarstek. – Jak najprędzej.

– Nie ma problemu, ojcze, proszę pójść za mną.

Zaprowadził go za ladę i zatrzymał się koło aparatu. Podniósł słuchawkę i podał mu. – Proszę.

– Wydaje mi się, że będzie to rozmowa międzynarodowa.

– Na koszt firmy, ojciec. W każdym razie numer, który ma ojciec w ręce, to numer miejscowy.

Kto wie, dlaczego był przekonany, że ma zadzwonić do kogoś z Berlina. Nie sprawdził nawet wizytówki, którą dał mu Reis.

– Ma pan rację – odpowiedział. – Bardzo dziękuję.

Wsunął słuchawkę pomiędzy bark a szyję i wybrał numer.

Ktoś odebrał po pierwszym sygnale, ale nie powiedział ani słowa.

– Z kim rozmawiam?

Cisza. Usłyszał oddech jakiejś osoby po drugiej stronie słuchawki.

– Halo. – Wciąż nikt nic nie mówił.

– Dostałem ten numer od pana Reisa. –
Próbował rozpocząć rozmowę.

– Skąd pan do mnie dzwoni?

Lio rozejrzył się dookoła.

– Z recepcji pewnego hotelu w Rzymie.

– Dobrze.

Lio wytrzeszczył oczy i znieruchomiał z przerażenia. Znał ten głos, ale nie mógł uwierzyć, że to był naprawdę on.

– Proszę pana, jest pan tam jeszcze? Mogę spytać, dlaczego zadzwonił pan pod ten numer?

A jednak to był naprawdę jego głos.

Przejrzył chaotycznie w myślach szuflady swojej pamięci, w których być może zachował się jeszcze ślad tego głosu. Tak, znalazł to, czego szukał. To był on, bez wątplenia.

– Przepraszam, czy rozmawiam z panem...? Braschim?

– Kim pan jest? – odpowiedział mężczyzna.

– Chciałem wam powiedzieć, że się zgadzam.

– Przekażę.

– Kiedy? Jak? Co mam robić?

– Nic.

Mężczyzna rozłączył się, a on pozostał przez chwilę ze słuchawką w ręku. Sygnał linii telefonicznej brzęczał mu w uchu. Czy właśnie rozmawiał z Braschim? Potrząsnął głową. Sama myśl o tym była absurdalna. A jednak, jeżeli to nie był on, to kimkolwiek była ta osoba, miała jego głos.

Wpatrywał się długo i bezwiednie w chłopca hotelowego, zastanawiając się nad tym, co właśnie zrobił.

Z każdą mijającą sekundą głos, który właśnie usłyszał w telefonie, coraz bardziej oddalał się i mieszał z innymi. W końcu przekonał sam siebie, że musiał się pomylić.

Pozostał sam na sam ze świadomością niebezpieczeństwa, na jakie był od teraz narażony. Pomyślał, że może nawet

ryzykował własne życie, a to z kolei napełniło go nierealnym spokojem. Miał jedyną okazję, żeby zebrać gorący materiał i wreszcie powrócić do pisania i zarabiania pieniędzy bez konieczności przewidywania przyszłości zdesperowanym ludziom.

Chciał zrozumieć dogłębnie, co mu się przytrafiało. Chciał znać prawdę na temat Sibylli, a w przypadku, gdyby okazało się, że rzeczywiście była jego siostrą – znów ją odzyskać, tak samo jak wszystkie wspomnienia, które gdzieś zagubił.

Chłopiec pomachał mu ręką przed oczami i zaśmiał się piskliwie.

– Jest ojciec z nami?

– Ma pan może paczkę papierosów? – Pokazał mu pieniądze.

– Zawsze trzymamy kilka dla naszych klientów. Otworzył szafkę znajdującą się obok kluczy od pokoi i wyjął z niej krajowe papierosy.

– Mam tylko to.

– Są w porządku – powiedział Lio.

Podał mu banknot, za który mógłby kupić kilka kartonów, ale chłopak odmówił.

– Na koszt firmy – powiedział również on. Lio nalegał.

– Za fatygę – powiedział.

Chłopak nie kazał powtarzać sobie dwa razy i chwycił pieniądze.

– Napije się ojciec czegoś?

– Dziękuję, ale naprawdę muszę już iść.

Został odprowadzony aż do wyjścia przez pełne szacunku spojrzenie chłopca.

Odźwierny nie zauważył go, ponieważ w tym momencie zajęty był pozdrawianiem dwóch klientów, którzy powracali do hotelu. Sądząc po sposobie, w jaki ich przyjmował, były to bardzo ważne osoby.

Lio widział je tylko przez moment kątem oka, ale po chwili zadrżał.

To nie było możliwe.

Zatrzymał się, otworzył paczkę papierosów, wyjął jednego i włożył do ust. Zapalił

i zaczekał, aż wejdą, po czym odwrócił się, żeby ponownie na nich spojrzeć.

Teraz widział tylko ich plecy, ale za to dobrze, ponieważ na szybie nie odbijały się żadne refleksy. Jeden z nich nosił białą szatę z czarnym futrem wokół szyi, drugi natomiast – czarny płaszcz. Byli tego samego wzrostu, obaj mieli zaczesane na bok włosy, z wyraźnym przedziałkiem dzielącym wysokie fale połyskującej czupryny.

Wyglądali dokładnie tak samo jak ci dwaj mężczyźni, których spotkał przed domem Kuurmy.

Stał tak wyprostowany przed wejściem do hotelu, z oczami przyklejonymi do szyby i tłącym się papierosem, próbując się przekonać, że był to tylko zbieg okoliczności, nieprawdopodobny przypadek współistnienia zdarzeń.

Po chwili człowiek w ciemnym płaszczu wyjął z kieszeni zwiniętą w rulon gazetę, upuścił ją na jeden ze stolików w holu

i powrócił do wyjścia, a za nim podążyłego przyjaciel.

To byli oni, teraz nie miał już wątpliwości.

Sprawiali wrażenie, jakby coś wypili. Śmiali się głośno i szli, trzymając się pod rękę, jakby w ten sposób łatwiej było im zachować pion.

Lio odwrócił się i przyśpieszył kroku.

– Ej, ojcie!

Rozpoznał nawet głos mężczyzny w śnieżnobiałym palcie. Nie odwrócił się i wciąż szedł przed siebie.

– Ej, ojcie! – zawołali ponownie, śmiejąc się. – Ma ojciec ogień?

Zaczął iść jeszcze szybciej. Nagle oślepił go snop światła, któremu towarzyszył warkot silnika. Nadjeżdżało czarne auto.

Drzwi pasażera były na wpół otwarte i coś mu mówiło, że samochód jechał po niego.

Agent siedzący obok kierowcy wyskoczył z jadącego samochodu, powiewając czarnym

skórzanym płaszczem. Szedł prosto w kierunku Lio.

Samochód zatrzymał się w poprzek na połyskującym bruku, z reflektorami skierowanymi wprost na nich. Wsiadł również kierowca i inny mężczyzna, obaj w cywilu. Zaczęli go przeszukiwać bez zbędnych ceregieli, przyciskając jego twarz do ściany.

Lio nie opierał się. Ani jednego słowa. Ani jednego jęku.

Miał tylko nadzieję, że nie złączą sprawdzając jego butów, ponieważ tam, pomiędzy podeszwą stopy a wkładką buta, ukrył mapę, którą znalazł w opowiadaniu Sibylli.

– Czysty, proszę pana.

– Sprawdzić również tych dwóch.

Agent, który jako pierwszy wysiadł z samochodu – najprawdopodobniej szef – spojrział na niego z tym samym wyrazem zaciekawienia i niedowierzania, z jakim zoolog patrzy na nową formę życia. Wysoki, o szerokich ramionach, kwadratowej twarzy,

dwóch wydzielających truciznę gruczołach zamiast oczu. W jego towarzystwie nikt nie czułby się swobodnie, nawet gdyby on bardzo się o to starał.

– W końcu pana znalazłem, panie Rol.

Lio dotknął swojej piersi.

– Mnie pan szukał? – Jego jedyne widzące, magnetyczne oko z wyniosłością opierało się iskrzeniu trujących źrenic.

– Tak, jeśli to pan jest Rol.

Roux był gotowy wybuchnąć śmiechem, gdyby Lio zaprzeczył.

Tymczasem mężczyźni w bieli i w czerni zostali puszczeni wolno, a dwóch sprawdzających ich policjantów wsiadło z powrotem do samochodu, trzaskając przy tym drzwiami.

– Tak, to ja – odrzekł Lio.

Roux ze spokojem ściągnął rękawiczki, zsuwające powoli po jednym palcu i nie przestając się w niego wpatrywać. Następnie wyciągnął do niego rękę i powiedział:

– Nie mogłem się doczekać, aż osobiście pana poznam.

– Ja również – odparł Lio, ściskając mu dłoń. – Mówili mi o panu.

– Pan Kuurma, jak sądzę?

– Nie pamiętam.

– Mam nadzieję, że kiedy wróci panu pamięć, okaże się, że mówili o mnie dobrze.

– Ma pan wielu wielbicieli – dodał Lio. – A może powinienem powiedzieć: kochanków?

Nie wiedział nic na temat Roux, ale w tym momencie, gdy ścisnął mu dłoń, czuł, że były to właściwe słowa.

Gniewny i groźny wyraz twarzy Roux został pochłonięty przez oślepiające światło reflektorów. Chwycił go za płaszcz i popchnął w kierunku samochodu.

– Idziemy.

Rozdział 49

Służący Roux obszedł pokój, zapalając znajdujące się w nim świece i pozostawiając za sobą niezliczoną ilość migocących płomieni.

Powoli Lio zaczął widzieć, gdzie się znajduje. Siedział na leżance, wyglądającej jakby pochodziła z rzymskiego triklinium, w pomieszczeniu urządzonym w całości w antycznym stylu rzymskim. Przez chwilę wydawałomu się, że cofnął się w czasie. Jednak po chwili ujrzał kanciaste, triumfujące na piedestale popiersie Roux z marmuru i zrozumiał, że znajduje się w jego domu.

– Powinieneś dziękować swojemu bogu, że jeszcze żyjesz – zwrócił się do niego Roux, uwalniając się z dokuczliwego uścisku marynarki i pozostając w samej koszuli.

– Masz jakiegoś boga?

Lio potrząsnął głową, rozglądając się wokoło, zagubiony w ogromie znajdujących

się tam wspaniałych znalezisk archeologicznych.

Nieprzyjemna atmosfera pełnej przepychu łazienki – w której Roux spędzał najprzyjemniejsze chwile dnia, zanurzony w odświeżającej kąpieli z liśćmi ślazu i kołysany przez szczebiotanie kanarków, otoczony malunkami mięsistej i bujnej roślinności, w której jego gołe i mokre stopy przechadzały się po wodach fantazyjnej mozaiki – w porównaniu do jadalni była tylko bladym przykładem przesadnej wystawności i szaleństwa.

Ściany triklinium pokryte były malunkami w stylu pompejańskim. Wszystkie wyglądały na oryginalne, podobnie jak marmurowe kolumny, figurki postaci, z których część wykonana była z czerwonego porfiru z osadzonym w oczodołach irydem, oraz niezliczone hermy antycznych obywateli miasta wpatrujące się w nicość niczym właśnie ucięte przez gilotynę głowy. Stojących

dookoła dwanaście leżanek przywodziło na myśl wystawne przyjęcia z westalkami tańczącymi w rytm cytry.

Słabe światło dawały tłący się w kominku płomień przypominający święty ogień w świątyni Westy oraz lampki oliwne i pochodnie.

Całość sprawiała dziwne wrażenie – jak gdyby przebywało się w domu jakiegoś zameźnego antycznego Rzymianina. To właśnie tak Lio wyobrażał sobie dom Trymalchiona – bałwochwalczego wyzwoleńca z *Satyriconu* Petroniusza (Rolowi zdawało się, że przeczytał tę książkę).

Mimo wszystko z trudem wyobrażał sobie gościw domu Roux.

– Ja twierdzę, że masz jakiegoś boga, kogoś tam, kto cię kocha i chroni.

– Czego pan ode mnie chce?

– Wiesz... – Roux pogładził swoją własną hermęna piedestale. – Dowiedziałem się, że

miałeś zamiar współpracować
z Panopticonem.

– Nic o tym nie wiem.

– Dlaczego więc poszedłeś do Kuurmy?
I do kogo dzwoniłeś dzisiaj z hotelu?

– Nie wiem, mam kłopoty z pamięcią, po tym jak wybuchła obok mnie mina.

– Znałem twoją siostrę, wiesz?

– Nawet nie wiedziałem, że miałem siostrę.

– Teraz jednak już wiesz.

– Niezupełnie. Odkryłem to kilka dni temu, kiedy otrzymałem od niej list.

– Kim jest kobieta, która była z tobą u Kuurmy?

– Ta aktorka? To przyjaciółka mojej siostry.

– Coś was łączy?

– Łączyło.

– Dlaczego poszliście razem do Kuurmy?

– Moja siostra przed śmiercią napisała do mnie list, w którym wymieniła niejakiego

Vladimira Kuurmę, swojego bardzo bliskiego przyjaciela, który tak jak ona był tłumaczem. Dlatego poszedłem do niego z zamiarem, żeby dowiedzieć się czegoś o Sibylli, to wszystko. Alba poszła ze mną, bo nie mieliśmy pojęcia, że Kuurma był przestępcą.

– Masz jeszcze ten list od siostry?

– Nie mogę go znaleźć. Musiałem wyrzucić go z innymi tonami papierzysk, które codziennie produkuję.

Roux skierował w stronę swojej hermy pełne miłości spojrzenie. Zaciągnął się jej marmurowym zapachem.

– Wykonał ją wielki Arturo Martini, oficjalny rzeźbiarz państwa faszystowskiego.

– Dlaczego mnie pan tu przyprowadził?

– Chcę wiedzieć, gdzie ukrywa się Spartak.

– Nie wiem, proszę pana. Nigdy o nim nie słyszałem.

Nie wszyscy mogli gościć w rzymskim salonie Roux, a jeszcze mniej osób miało okazję odpowiadać na zadawane przez niego

pytania, siedząc sobie wygodnie na leżance, paląc papierosa i co więcej, nie odczuwając bólu.

– Naprawdę, zadaje pan pytania niewłaściwej osobie.

Lio rozejrzał się dookoła, wciąż zaskoczony tym, że znajduje się w takim miejscu zamiast w brudnej celi.

– Wiem tylko, że od pewnego czasu ktoś mnie śledzi, dzień i noc.

Roux rozpostarł ramiona i uśmiechnął się bez wyrazu.

– Masa ludzi się tobą interesuje. Pewnie ci się to podoba? Schlebia ci nawet nieprzyjaciel.

– Nie wiem, o kim pan mówi.

– O tych, którzy zaprowadzili cię do opuszczonej willi – Reisie i Marconim.

– Nie wiedziałem, że to nieprzyjaciel. Przedstawili się jako karabinierzy.

– Teraz już wiesz.

– Gdybym to wiedział, nie poszedłbym z nimi. Gdybym to odkrył tam w willi, próbowałbym ich zabić, poświęcając nawet własne życie. Kiedy wojna się zakończy, nie wiem, co będę sądził o tym reżimie. Ale teraz nie zaprzętam sobie głowy sofizmatami – jestem Włochem, więc ten, kto nie jest sojusznikiem Włoch, jest moim wrogiem. Oddałem za to oko. A ponadto moje przekonania... moje powieści... Mam takie same poglądy jak Himmler, wie pan?

Roux pozostał niewzruszony.

– Wiem tylko, że mam cię wysłać do Berlina.

– Do Berlina? – zachnął się Lio, podskakując na leżance. – Niby dlaczego?

– Twoja moc jasnowidzenia. Stałeś się sławny. Jesteś zadowolony?

– Nie – odpowiedział Lio, wdychając ciepły dym. – Janie mam umiejętności, o które mnie podejrzewają. Jestem normalny, bardziej niż normalny. Z trudem

usiłuję sklecić książkę, a przez te niedogodności jestem bardzo do tyłu z pracą. Jeśli nie ma pan nic przeciwko... Próbował wstać.

– Siedź! – rozkazał mu Roux.

Lio opadł na leżankę.

– Ale w sumie zostałem zabrany w nocy i przywieziony z zawiązanymi oczami do domu, w którym poproszono mnie, żebym zabawiał się w różdżkarza. Jak mogłem się przeciwstawić? Skąd miałem wiedzieć, że byli to szpiedzy wroga? Jeśli sądzi pan, że ja wiem coś ważnego lub że jestem wplątany w jakiś sekretny spisek, bardzo się pan myli.

Roux dopadł równie głośny co nienaturalny atak śmiechu.

– Ja? – powiedział, klepiąc się w kolana i przechylając w przód i w tył klatkę piersiową. – Ja?

– Tak, pan.

Śmiech Roux stawał się coraz bardziej naturalny.

– Odważny jesteś, Rol, lubię takich zuchwalców.

– Nie jestem zuchwalcem. Ale to prawda, stawilem czoła wielu zawiejom śnieżnym, a podczas jednej z nich utknąłem na wysokości siedmiu tysięcy metrów – nie boję się już niczego.

– Gdzie teraz przebywa aktorka?

– Nie wiem. Rozstaliśmy się. Dlaczego to pana tak interesuje?

– Wiesz, jak jest... – odparł Roux, udając znudzenie – w wolnym czasie interesuję się szpiegami.

– Alba nie jest szpiegiem – zaprotestował Lio. – I ja też nim nie jestem.

Roux klepnął się dłonią w czoło.

– No tak, przecież ty czytasz tu, w środku, czyż nie? Nie ma sensu, żebym ci mówił, co myślę o tobie i o twojej przyjaciółeczce.

– Nic, nie myśli pan absolutnie nic, bo tu nie ma o czym myśleć. Alba nie ma zupełnie pojęcia, co mnie spotyka, tak samo zresztą

jak ja. Ona teraz jest tylko mocno wystraszona.

Roux musiał mieć przed sobą kogoś, kto zachowywałby się spokojnie i był podatny na sugestie, żeby móc zastosować hipnozę. Nie zdołałby zdominować tak świadomego i czujnego umysłu, z jakim właśnie miał do czynienia. Ewentualna próba tylko by go ośmieszyła.

Nie było to jego ograniczenie, ale ograniczenie hipnozy. Roux wiedział, że spośród wszystkich hipnotyzerów świata mógł być od niego lepszy tylko jeden człowiek – Spartak. To głównie z tego powodu tak bardzo chciał jego śmierci.

– Po pierwsze – powiedział Lio – słyszałem, jak coś krzyczy w pana myślach. Mówiło, że teraz, kiedy Kuurma nie żyje, nikt nie odkryje, że gra pan na dwa fronty, a nawet na trzy, jeśli liczyć też Sowietów.

– Źle słyszałeś.

– Kiedy już spotkam się z Himmlerem, nie powiemmu tego, jeżeli przysięgnie mi pan, że nie będzie już nigdy szukał Alby.

– Ty nie spotkasz się z nikim. – Założył ponownie marynarkę. – Będziesz widział tylko zapleśniałe ściany i ściekowe szczury w lochu.

Lio założył nogę na nogę i oparł ramię na wzniesieniu leżanki.

– Czasami wystarczy niewiele, żeby poznać sekrety innych. – Westchnął głęboko. – Przewiduję, że niebawem spotka pan się z osobą, którą pan kocha, ale wyczuwam jakiś problem, wydarzy się coś nieprzyjemnego... Łączy mnie z panem ogromna harmonia, panie Roux, a ponadto jest pan wodospadem emocji.

Roux doskoczył do niego błyskawicznie, groźny niczym ziejąca trucizną ropucha.

Lio z jeszcze większą łatwością niż w myślach odczytał w jego oczach determinację, żeby zabić, ale był to tylko chwilowy

przebłysk, iskra furii. Roux odetchnął i uspokoił się. Opuścił na niego twardą i ciężką jak młot rękę, ciskając go na ziemię. Następnie złapał go za koszulę i podniósł do góry. Już chciał zadać mu kolejny cios, ale powstrzymał się. Obrócił go.

Lio usłyszał metaliczne zgrzytnięcie zamka, a następnie poczuł zimne kajdanki zaciskające mu się dookoła nadgarstków.

– Jeśli zrobi pan krzywdę Albie, opowiem policji o pana wysoko postawionych przyjaciółach z Niemiec, którym dzięki panu nie umyka nic z tego, co mówi i co postanawia Duce, oraz o tym, jak można wzbogacić się, grając na trzy fronty z czerwonymi.

Roux podniósł go i zaciągnął do drzwi.

– Idziemy – powiedział, popychając go i wyrzucająca zewnątrz. – I podziękuj swojemu bogu.

Rozdział 50

Castel Gandolfo

Gwiazdy.

Ojciec Leonardo Gabrielli był naukowcem, ale też księdzem. Tysiące lat wcześniej tacy jak on widzieli swoje bóstwa lśniące na niebie. Wiedział, że nic tak nie opowiada o astrologii i astronomii jak Biblia – w tym Nowy Testament – i że nieprzypadkowo Specola była jedyną instytucją naukową Kościoła katolickiego.

Po południu zakupił powieści Lio Rola i zaczął czytać tę ostatnią – *Więźnia Atlantyd* – opowiadającą o przygodach alpinisty, który odkrył wejście do podziemnego świata i został uwięziony przez lud mieszkający tam od czasów wielkiego potopu. Stosując godne kapłana wielkoduszne kryteria oceny, można było zaliczyć ją co najwyżej do książek o znikomej wartości.

Położył sobie dłoń na wysokości nerek i odchylił plecy do tyłu. To, co pozostało mu z tego dnia, przesiane przez grube sito zmęczonego umysłu, to myśl, że religia, każda religia, jest pusta, jeśli nie ma w niej gwiazd.

Nalał sobie kolejną filiżankę kawy, rozpiął koszulę i podszedł do teleskopu. *Lux lucet in tenebris*. Każda zanurzona w ciemnościach gwiazda była pytaniem bez odpowiedzi.

Wszechświat jest nieskończony? Ma jakieś granice? Jaki kształt ma przestrzeń?

Wiara w Boga jako jedyny z istniejących nieskończony byt, zawsze zmuszała go do myślenia, że wszechświat musi być skończony.

Może wszechświat miał spiralny kształt skorupy ślimaka, kulistego dwunastościanu, może był bańką mydlaną skazaną na pęknięcie, otoczoną nieskończoną ilością mniejszych baniek, a może kosmos miał kształt zwiniętego trąbkę liścia? Jakkolwiek

by było, przedtem, według niego, wszechświat był skończoną formą. Od jakiegoś czasu jednak nie był już tak bardzo o tym przekonany, ba, wydawało mu się, że stracił możliwość bycia przekonany, jakikolwiek temat.

Przechylił filiżankę i napił się, bulgocząc kawą pomiędzy wargami i wznosząc wzrok do nieba.

Pomyślał, że powinien modlić się za Albę, ponieważ był pewien, że jego kuzynka wpadła w tarapaty, które ją przerastały. Ale nie mógł już się nawet modlić. Pomiedzy planetą Ziemią a najbardziej odległą gwiazdą, jaką mógł dojrzeć przez swój teleskop, była taka sama odległość, jaka dzieliła go od prawdziwego kapłana, jak na przykład od tych, którzy istnieli w starożytności. Poza tym, co miał wspólnego on – ani prawdziwy ksiądz, ani naukowiec siedzący samotnie w nocnej ciszy przed teleskopem – z kapłanem ze Stonehenge wywołującym

Boga poprzez tajemną modlitwę w trakcie przesilenia słonecznego i otoczonym wianuszkami spragnionych prawdy dusz wiernych?

Nic.

Cała jego wiedza na temat astronomii dziś nie czyniła go bardziej charyzmatycznym od dowolnego zakonnika, który przez swoją ignorancję zechciałby utorować sobie drogę do kariery, uczestnicząc w trywialnych zakulisowych rozgrywkach toczących się w Kościele na całym świecie.

Potrząsnął głową.

Zszedł z podestu obserwacyjnego z zamiarem wzmocnienia sobie kawy odrobiną brandy. Zawsze nosił ją ze sobą, kiedy wiedział, że ma spędzić noc w samotności. Ojciec Paolo był chory od kilku tygodni, a dyrektor obserwatorium o tej porze nigdy się nie pokazywał. Ukłękął obok torby, otworzył ją, wyjął butelkę, odkręcił, powąchał

z zadowoleniem likier i wlał sporą ilość do kawy, a następnie powrócił do teleskopu.

Czy gdzieś tam w górze było życie? A śmierć?

Żadnej odpowiedzi. Pytania pozostawały tam daleko, obok gwiazd. Ale teraz nurtowały go bardziej nagłaćci emocjonujące kwestie tu, na Ziemi, jak na przykład: co stało za podejrzaną postacią Lio Rola? A za Sibyllą? Czy Albie naprawdę groziło niebezpieczeństwo? Jego monotonne i ciche życie – życie kogoś, kto ciągle patrzyw niebo, kto bacznie obserwuje kosmos lub poszukuje Boga – zostało wywrócone do góry nogami. Teraz czuł się zmuszony, żeby skierować swoją uwagę w dół, nie tylko na Ziemię, lecz również na to, co kryło się pod ziemią.

Wrócił do lektury *Więźnia Atlantydy*, zaczynając z pewnym wahaniem – czuł się trochę, jakby popełniał grzech nacechowany jednak słodkawym posmakiem zakazanego owocu. Już od pierwszych słów nie uważał tej

książkiza wybitne dzieło, jednak nie mógł się od niej oderwać. Litery na poszczególnych stronach były niczym bezkresny, ustawiony w szeregu pluton mrówek nacierająca na jego umysł. Niosły ze sobą informacje sprzed trzydziestu tysięcy lat, które jemu wydawały się nowe. W tamtych czasach istniała cywilizacja polarna, która rozwinęła się na odległych terenach półkuli północnej, kiedy na biegunie nie było jeszcze lodów, klimat był mniej srogi, a przez większą część roku panowała temperatura dodatnia. Była to cywilizacja rozwinięta ponad wszelkie wyobrażenie. Składała się z wielkich mężczyzn i kobiet o jasnej karnacji i jasnych oczach, które stały się takie w wyniku zimna, długich białych dni i ciemnych nocy, podczas których można było bez przerwy obserwować gwiazdy. Była to cywilizacja Atlantydów, zmuszona do opuszczenia bieguna północnego w następstwie zlodowacenia i innych kataklizmów, które nastąpiły w wyniku ciśnienia

lodowców na skorupę ziemską – trzęsień ziemi, erupcji wulkanów itp.

Jedną z postaci z książki, profesor uniwersytetu Ludwig-Maximilian di Monaco, podczas postoju w bazie w górach Tybetu snuł długą opowieść swoim towarzyszom wspinaczki, wśród których był także główny bohater książki – Enrico. Opowiadał o milionijnej diasporze ludzi Północy, zmuszonych przez przerażającą katastrofę do podbijania innych, położonych bardziej na południe szerokości geograficznych. W długim monologu profesor di Monaco wyjaśniał, że wraz z tą diasporą rozchodziła się po planecie wiedza i zrodziła się megalityczna cywilizacja paleolitu. W ten sposób można było wyjaśnić obecność na całym świecie megalitycznych dzieł, ewidentnie wykonanych samą ręką. Tak samo dało się też wytłumaczyć wiele innych rzeczy. Tok rozumowania profesora di Monaco mógł wydawać się logiczny, mógł przemawiać do

wyobraźni i nawet jeśli nie był do końca przekonujący, ojcu Leonardowi wydawał się fascynujący ze względu na wiele odwołań do astronomii. Aryjczyków nazywano również gigantami lub „ludem z gwiazd”. Ich pomniki, ich obserwatoria astronomiczne, domy – wszystko było zestrajane z gwiazdami. Stąd, według profesora, pochodziła waga nowej dziedziny – archeoastronomii. Mówiąc w skrócie, według zjawiska zwanego precesją księżycowo-słoneczną oś kuli ziemskiej wykonuje cały obrót co około dwadzieścia sześć tysięcy lat (nazywany był on Wielkim Rokiem lub Rokiem Platona, a ojcu Leonardowi nie umknęło, że to właśnie grecki filozof Platon opowiedział w jednym ze swoich dzieł mit o Atlantydzie). Konstelacje gwiazd przesuwają się po nieboskłonie i powracają do swojego poprzedniego położenia co dwadzieścia sześć tysięcy lat. Zatem, jeżeli jakiś gład był początkowo zestrojony na przykład z konstelacją Oriona, dzięki

archeoastronomii można było dowiedzieć się, kiedy konstelacja ta znajdowała się na niebie w położeniu wymaganym przez ustawienie świątyni. Tak ustalono już daty powstania wielu wykopalisk archeologicznych na całym świecie. Wynikło w ten sposób, że piramidy i Sfinks nie miały mniej niż dwanaście tysięcy lat, tak jak pewne miejsca w Boliwii i w Peru, których autorstwo zostało błędnie przypisane Inkom przez pewną zaślepioną archeologię.

Ojciec Leonardo sprawdził to kiedyś i – ku jego wielkiemu zaskoczeniu – znalazł informację, że teorie te zostały potwierdzone przez kilku uznanych naukowców, wśród których wybijało się nazwisko astronoma z zakonu jezuitów ze Specoli, niejakiego doktora Friedricha Beckera. Potwierdził on przy użyciu tego samego systemu, że wiek Ti-ahuanaco szacowany jest na piętnaście tysięcy lat.

Ojciec Leonardo zadzwonił wtedy do starego jezuitę, żeby zapytać, czy wiedział coś na ten temat, jednakten stwierdził, że nigdy nie słyszał o niczym podobnym. Wiedział jednak, że jacyś naukowcy niemieccy udali się do Villi Mondragone w poszukiwaniu starożytnych ksiąg w kufkach zakonu jezuitów – kufkach, które zostały natychmiast rozgrabione i przekazane do ich całkowitej dyspozycji. Według świadectwa ojca byli to badacze z Ahnenerbe, którzy w szczególności interesowali się sprawozdaniami pisanyymi przez misjonarzy przebywających w Ameryce Południowej, a zwłaszcza w Boliwii, i – co dziwne – także biblijnymi mitami, przede wszystkim tym o Sodomie i Gomorze.

Skąd to zainteresowanie? Telefon ojca Leonarda pracował bez ustanku.

Okazało się, że ci z Ahnenerbe poszukiwali starożytnych sekretów, wszystko jedno jakich, ale ponieważ rozmawiał głównie z mnichami i kapłanami, wszyscy zwracali

mu uwagę na szczególne zainteresowanie niemieckich naukowców tajemniczymi zagadkami z Biblii. Śmiertelni wrogowie narodu hebrajskiego zainteresowani opowieściami z Pisma Świętego?

Przyjaciele, przyjaciele przyjaciół i starzy znajomi wyjaśnili mu, że pomimo iż oddział SS musiał przerwać eksplorację globu ziemskiego z powodu wojny, nigdy nie przestał szukać dowodów popierających ich teorię na temat rasy aryjskiej i wykorzystywać archeologii i historii jako narzędzia propagandy politycznej. Z licznych przeprowadzonych rozmów telefonicznych ojciec Leonardo zrozumiał później jeszcze jedną rzecz – wszystkie zainteresowania Ahnenerbe koncentrowały się na badaniu śladów antycznej rasy przedpotopowej, protoplastki aryjskich Niemców, która była panią świata. W ten sposób chcieli wyjaśnić aktualnei przyszłe podboje Trzeciej Rzeszy.

I nie wiadomo dlaczego przypowieść biblijna o Sodomie i Gomorze również zaliczała się do ich zainteresowań.

Mieszanina brandy i kawy rozpaliała jego ciekawość.

Idee zawarte w powieści Lio Rola były bardzo zbliżone do poglądów badaczy z kręgu Himmlera.

Kim był Lio Rol?

Ponownie zszedł z podestu teleskopu i podszedł do torby. Poszperał w środku, wyjął z niej notes obwiązany rzemykiem, rozwiązał go i przeglądając nazwiska, podszedł do wiszącego na ścianie czarnego telefonu.

Tarcza tykała szybko za każdym razem, gdy podnosił palec.

Rozdział 51

Przebudzenie nie miało nic wspólnego z subtelną i pełną wdzięku pobudką Arturo – telefon wręcz oszalał. Brutalnie wyrwał ją ze snu i sprawił, że gwałtownie podskoczyła na łóżku. Alba otworzyła szeroko oczy, ciężko dysząc. Podniosła się na łokciach i rozejrzała dookoła. Otaczała ją prawie całkowita ciemność i tylko niewielka smuga światła przeciskająca się do wnętrza pokoju przez szparę pod drzwiami dotarła do źrenic jej oczu i umożliwiła rozpoznanie miejsca pobytu.

Z trudem przypomniała sobie wydarzenia z poprzedniego wieczoru. Czarny samochód, który przyjechał po nich i zawiózł do Castel Gandolfo. Centrum Rzymu, tak pełne życia pomimo wojny. Pijani żołnierze. A potem gościnność zaprzyjaźnionej rodziny jej kuzyna, która po spędzonej w miłej atmosferze kolacji zaproponowała jej pokój

swoim domu, wyposażonym we wszelkie udogodnienia znajdującym się o dwa kroki od letniej rezydencji papieża.

Telefon wciąż ryczał. Wyciągnęła się na materacu wyprostowała rękę, żeby chwycić aparat stojący na szafce nocnej po drugiej stronie. Zanim odebrała, poprawiła sobie włosy. Odetchnęła głęboko.

– Halo.

– Obudziłem cię?

– Która jest godzina?

– Prawie północ. – Przez linię telefoniczną przebiegł odgłos zdziwienia i dotarł do błony bębenkowej ojca Leonarda. Wydobył z siebie drżące westchnienie.

– Chciałem porozmawiać.

– Przyjdę do ciebie, i tak nie mogłam spać
– odpowiedziała Alba.

– Wiem, że to nieprawda.

– Już idę.

Ojciec próbował powiedzieć, że absolutnie nie było takiej potrzeby oraz że wychodzenie

o tej porze z domu jest ryzykowne, ale jeżeli się upiera, to on po nią przyjdzie. Po chwili jednak dotarło do niego, że mówił sam do siebie.

Odłożył słuchawkę. Narzucił czarny wełniany płaszcz i wyszedł z obserwatorium. Zbiegł na parter, żeby wyjść jej naprzeciw. Przeszedł przez dziedziniec, na którym papież zazwyczaj udzielał audiencji, otworzył ogromne drewniane drzwi, przeszedł przez próg, otulając się mocniej płaszczem, zatrzymał się i czekał na nią wyprostowany w mroku. Z trudem mógł dojrzeć kontury niewielkiego placu przylegającego do pałacu papieskiego.

Dozorcy budynków bardzo skrupulatnie przestrzegali regulaminu obrony przeciwlotniczej dla zamieszkałych miejscowości, dlatego także tej nocy w całym Castel Gandolfo nie świeciło się żadne światło, tak samo zresztą jak w pozostałych miastach we Włoszech. Dla astronoma nocne ciemności były jedynym pozytywnym aspektem wojny.

Wszystkie jego wartości moralne uległy zachwianiu. Stałe punkty w jego życiu, wśród których na pierwszym miejscu znajdowało się powołanie do kapłaństwa, zaczęły trząść się w posadach, gdy ujrzał nadchodzącą pod płaszczem nocy Albę o cerze tak jasnej i świetlistej jak księżyc. Znalezienie się sam na sam z jej cielesnym pięknem, gdy tak stali zanurzeni w kosmicznej ciszy, przyciśnięcie do siebie jej ciepłego ciała, tego eterycznego i odurzającego uroku, przypadkowy dotyk jej piersi, który wzbudzał w nim natarczywe wyrzuty sumienia, widok odcisków poduszki na jej policzku zawierających w sobie coś poufnego i grzesznego, sprawiły na chwilę – tylko na nieskończenie mały odcinek czasu, który dla niego stanowił jednak wieczność – że poczuł się jak mężczyzna, po czym błyskawicznie się zawstydził.

Fakt, że Alba była jego kuzynką, wywoływał w nim dodatkowe wyrzuty sumienia, ale nie mógł powstrzymać tego prymitywnego

dreszczu przyjemności przebiegającego przez całe jego ciało, nie zdołał oprzeć się krągłości jej bioder. Poczuł, że się czerwieni.

– Przy tobie bledną nawet najpiękniejsze gwiazdy Hollywoodu – powiedział, schylając się, by ucałować jej dłoń w niezdarnej próbie ukrycia swojego zmieszania, które trudno by mu było wytłumaczyć, gdyby o nie zapytała.

Dłoń Alby pachniała w sposób nie do opisanania. Tak właśnie wyobrażał sobie zawsze zapach świętych, na chwilę przed ich wstąpieniem do Raju.

Kiedy puścił jej dłoń i ponownie się wyprostował, spojrzawszy w jej nieumalowane oczy i znów oblał się ogromnym rumieńcem.

„Lepszy jest teleskop i niedosiężne piękno gwiazd, które umysł może kontemplować w mniej grzeszny sposób” – pomyślał.

Weszli ponownie do pałacu papieskiego. Nad nim górowały kopuły obserwatorium astronomicznego. Wspięli się na górę do apartamentu ojca Leonarda i usiedli

w niewielkim salonie, opowiadając sobie wzajemnie wspomnienia z dzieciństwa, kiedy jeszcze nikt nie sądził, że on zostanie księdzem, a ona nie marzyła nawet o tym, żeby być aktorką. Wypili kilka kieliszków likieru. Alba zapaliła papierosa. W pewnym momencie Leonardo przybrał poważny wyraz twarzy.

– Czytam ostatnią książkę twojego przyjaciela.

Alba spojrzała na niego z przejęciem, zastanawiając się, co chciał jej powiedzieć.

– Na podstawie tych kilku chwil, które mieliśmy okazję spędzić razem, nigdy bym nie przypuścił, że ma poglądy pronazistowskie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Ojciec Leonardo wziął książkę i powiedział, żeby ją przejrzała.

– Mówi z uznaniem o Aryjczykach. Uważa ich za panów świata i to od zarania dziejów.

– Ale to tylko powieść – zaproponowała przezornie Alba.

– Tak, wiem. – Poglądził się dłonią po włosach i prychnął. – Ale pomyśl, że główny bohater książki ma na imię Enrico, tak samo jak Himmler!

Twarz Alby przypominała oczekujący na rozplątanie kłębek nici.

– Ale nie to jest najważniejsze. Popytałem trochę i nie udało mi się znaleźć choćby jednego kapłana, który słyszałby o małżeństwie twojej przyjaciółki, Sibylli.

– A niby czemu ktoś miałby o nim słyszeć?

– Zostałaś zaproszona na jej ślub?

– Nie. Nie zaprosili nikogo.

– Zadzwoń do urzędu stanu cywilnego w Turynie – powiedział. – Z ich rejestrów wynika, że Sibylla wyszła za mąż w maju 1940 roku za niejakiego Lio Martesa. To co najmniej dziwne, że mąż i brat mają tak samą ona imię, nie uważasz? Według tego, co mówicie ty i Lio, Sibylla zmarła 3 stycznia,

ale według Kościoła jej pogrzeb oraz ślub z tym Martesem nigdy nie miały miejsca.

– Jak to wyjaśnisz?

– Sądzę, że Sibylla wplątała się w coś naprawdę poważnego. Przez swoją pracę w ambasadzie niemieckiej musiała wmieszać się w coś, czego powinna była unikać. Być może jej mąż również był szpiegiem. Mam pewne znajomości w policji... Poszperałem trochę, jednak nie udało się znaleźć żadnego Lio Martesa, który mógłby choćby w najmniejszym stopniu odpowiadać naszemu Lio Martesowi. Uniósł kciuk i zaczął wyliczać:

– Jeden pięcioletni chłopiec. – Uniósł palec wskazujący. – Jeden starzec. – I serdeczny. – Otyły drukarz bez nogi.

Alba zeszywniała.

– Nie powinnam była nigdy przekazywać mu tego listu.

– Przykro mi to mówić, ale zdaje się, że ty i twój przyjaciel nie macie ze sobą nic wspólnego – powiedział, po czym dodał szeptem: –

Chyba że ty też marzysz o świecie, w którym panują Aryjczycy.

– Ja znam go dopiero od kilku dni i...

– Ostatnie dwa lata spędził w Indiach. Jego siostra zmarła chwilę po jego powrocie. Dziwny zbieg okoliczności – skomentował lakonicznie ojciec Leonardo. – Obdzwoniłem wszystkie szpitale w tym mieście. Sibylla Rol zmarła, ale nikt nie wie, w jaki sposób.

– Nie sądzę, żeby zmarła w Rzymie.

– To możliwe, ale jej grób jest w Rzymie.

Ojciec Leonardo spuścił wzrok i westchnął głęboko.

– Tylko się nie denerwuj.

Alba zadrżała.

– Kuurma zmarł wczoraj rano – powiedział, kiwając powoli głową i zasepiając się. – W jego mieszkaniu doszło do strzelaniny z policją. Wygląda na to, że był szpiegiem na usługach Sowietów. Dobrze znaliśmy go tu, w Watykanie, ale nikt nic nie podejrzewał.

Spod zimnych i spoconych dłoni Alby, którymi zakrywała sobie twarz, wyrwało się:

– O Boże!

Ojciec Leonardo wskazał kciukiem za swoje plecy.

– Poza murami tego pałacu panuje nieludzka i desperacka dyktatura. Ja na twoim miejscu zanim wróciłbym do miasta, zaczekałbym, aż sprawa przycichnie.

– Leo, nie mogę zostać w Castel Gandolfo.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ umarłabym z nudów już po jednym dniu.

– Wiem tylko, że powinnaś trzymać się z dala od kłopotów. A w tym momencie nie ma dla ciebie gorszego miejsca niż Rzym. Co powiesz na jakiś klasztor? Spokojne, cieniste lasy sosnowe, świergotanie ptaków, doskonałe jedzenie...

– Wolałabym już strzelić sobie w głowę.

– Moi przyjaciele z Castel Gandolfo z radością cię ugoszczą. Zostań przynajmniej tutaj.

– Chcę się zobaczyć z Gertrudą. Chcę porozmawiać moim ojcem.

– Wuj przebywa w łodzi podwodnej na dnie Atlantyku, nie sądzę...

– I chciałabym przytulić Hannibala!

– To nie jest dobry moment, żebyś teraz pokazywała się w domu. – Pokazał jej telefon. – Zadzwoń.

– O tej godzinie?

– Jeśli ty nie zadzwonisz, ja to zrobię.

Alba wstała i podeszła do telefonu. Podniosła słuchawkę, patrząc na Leonarda. Nie była przekonana, czy dobrze robi.

– Boję się.

– Czego?

– Że się czegoś dowiem.

– Zadzwoń.

– Nie powinnam była dostarczać tego listu.

– Zadzwoń.

Wzdychając przy każdej cyfrze, Alba wybrała numer do swojego domu. Czekaając na połączenie, stukwała stopą o podłogę.

– Gertruda pewnie śpi – wyszeptała, podczas gdy w telefonie dźwięczał wolny sygnał.

– Halo.

– Arturo?

– Alba!

Usłyszała Hannibala i z przyjemnością pomyślała, że pies zaczął szczekać, ponieważ Arturo właśnie wypowiedział jej imię.

– Bardzo się o ciebie martwiliśmy, Albo.

– Nie mogłam was uprzedzić, że przez jakiś czas nie wrócę do domu – odpowiedziała mu, posyłając zmartwione spojrzenie swojemu kuzynowi.

– Jak się miewa Gertruda? A Hannibal?

Pies zaczął szczekać głośniej, tak jakby ją usłyszał.

– Hannibal ma się dobrze, ale...

– Ale? – Ponagliła go niepewnie, bojąc się, że usłyszy coś złego o swoim ojcu.

Po drugiej stronie słuchawki Arturo westchnął z bólem.

– Jakiś problem? – zapytała Alba, uczepiając się mocno kabla telefonicznego.

Ojciec Leonardo uniósł głowę i spojrzał na nią z niepokojem.

– Gertruda... – powiedział Arturo. Jego głos tenora, choć ograniczony przez wibrującą membranę aparatu, odbijał się głośno w osłupiałej ciszy pokoju. – Przyszli jacyś mężczyźni i zaczęli zadawać mnóstwo pytań. Przeszukali dom. – Zrobił pauzę. Hannibal nie przestawał szczekać. – Gertruda źle się poczuła.

– O Boże! – wykrzyknęła Alba. – Ale...

Ojciec Leonardo wstał, podszedł do Alby i wyjął jej słuchawkę z dłoni.

– Halo.

– Kto mówi?

– Jestem krewnym Alby. Lepiej, jeśli nie będziemy teraz wymawiać imion.

– Dobrze – powiedział Arturo.

– Opowiedz mi dokładnie, co się stało. Kiedy przyszli? Kto dokładnie?

– Dziś w nocy. Agenci z OVRA. Powiedzieli, żebyśmy się nie martwili, że to była tylko rutynowa kontrola, ale zaglądali w każdy kąt, a Gertruda wystraszyła się i nagle źle się poczuła.

– W jakim stanie jest teraz, gdzie jest?

– Jest tutaj ze mną, ale nie czuje się dobrze. Doktor powiedział, że to był lekki atak serca.

Ojciec Leonardo spojrział na Albę i uspokoił ją gestem. Na jego pełnej twarzy pojawił się grymas smutku.

– Zaraz pošlę do niej lekarza. Jeśli możesz, przygotuj jej rzeczy – przeniesiemy ją do kliniki.

– Dobrze.

– Znaleźli coś, zabrali ze sobą?

– Nie, nic.

– Wciąż jeszcze nie wiem, co tu się dzieje, ale radzę ci, żebyś ewakuował się stamtąd najszybciej, jak tytkoto będzie możliwe.

– Teraz muszę być przy Gertrudzie.

– Tak, ale zacznij rozglądać się za innym lokum.

– Tak zrobię – powiedział Arturo. – Pozdrów ode mnie gorąco Albę, powiedz jej, że zajmę się Hannibalem.

Nie dodając nic więcej, odłożył słuchawkę.

Ojciec Leonardo uścisnął Albę. Powiedział, że Gertruda z pewnością niebawem wróci do zdrowia.

– Zajmę się Gertrudą. Znajdę jej niebawem jakieśmiejsce w spokojnej klinice, gdzie się nią doskonale zaopiekują.

– Chcę się z nią zobaczyć.

– Lepiej nie. Nie teraz. Teraz będzie lepiej, jeśli wrócisz do łóżka. Odprowadzę cię do domu. Na zewnątrz panują egipskie ciemności.

– Nie trzeba.

– Ależ trzeba.

Lecz ona wyrwała się z uścisku i zakryła twarz rękoma.

– Co jest?

– Nic, chcę być sama – odpowiedziała, łkając, i wybiegła na zewnątrz.

Nie wiedząc, co robić, ojciec Leonardo spojrzął na zamykające się gwałtownie drzwi i opadł zrezygnowany na fotel. Pomyślał z ulgą o tym, że jego kuzynka miała do przebiegnięcia w ciemności tylko kilkadziesiąt metrów. Zadzwoił do zaprzyjaźnionego ordynatora szpitala w Rzymie, błagając go, żeby wysłał kogoś do domu jego wuja, gdzie pewna rodzina niezwłocznie potrzebowała opieki medycznej. Podziękował, zapewniając, że znajdzie jakiś sposób, żeby się odwdziżyć. A następnie ze smutkiem zmówił modlitwę *Ojcze nasz* i powrócił do lektury *Więżnia Atlantydy*.

Rozdział 52

Ciemność. Alba zacisnęła mocniej kołnierz płaszcza wokół szyi i przyśpieszyła kroku. W nocnej ciszy stukot jej obcasów o bruk odbijał się pośród domów przykuwającym uwagę echem. Czyją? O tej porze nocy w środku zimy wszyscy spali.

A mimo to czuła się śledzona. Zgaszone światła w domach nie oznaczały, że wszyscy pogrążeni byli we śnie. Każde zasłonięte okno mogło skrywać pomiędzy żaluzjami okiennic jakieś spojrzenie. Ogarnął ją strach. Poczowała, jakby za każdym rogiem coś czyhało, a odległość dzielącą ją od domu zdawała się nie mieć końca. Trzymała klucz w dłoni i powtarzała sobie, że nie było się czego obawiać.

Nie zwalniając kroku, odwróciła się do tyłu, ale nikogo tam nie było. Trudno

przecież wyobrazić sobie bardziej spokojne i odludne miejsce.

Jakiś bezpański pies najpierw wystraszył ją tak, że podskoczyła do góry, a następnie przypomniał jej o Hannibalu, sprawiając, że na kilka kroków zapomniała o lęku.

„Wpadłam w niezłe tarapaty” – pomyślała. „Byłam głupia. Popełniłam poważny błąd, dając się uwieść Lio Rolowi”.

Coś ukrywał – w tej chwili wiedziała to już na pewno. Wykorzystał ją. Z nieznanego powodu została wciągnięta w brudne sprawy szajki szpiegów, gorsze niż mógł sobie wyobrazić najzdolniejszy scenarzysta filmowy.

Może nie było jeszcze za późno, żeby uratować co nieco?

Postanowiła, że następnego dnia pójdzie na policję i złoży zeznania.

„Zgodziłam się przekazać pewien list...”

Poczucie, że stoi po stronie prawa i świadomość, że może będzie jej dane kontynuować pracę w świecie kina, uspokoiło

ją na kilka kolejnych kroków. Kiedy dostrzegła dom swoich gospodarzy i ciemny zarys drzwi na parterze, wysunęła końcówkę klucza z dłoni i odetchnęła.

Nagle usłyszała syk, coś podobnego do szeptu. Nie zatrzymała się i dobiegła do drzwi wejściowych. Próbowwała wcelować kluczem w zamek, ale ręka jej drżała.

– Panienko!

Poczuła, jak całe jej ciało oblewa lodowaty strumień. Zesztywniała. Był to bezdźwięczny krzyk i rozległ się tuż za jej plecami. Odwróciła wolno głowę i spojrzała zza ramienia do tyłu.

– Kto tam? – zapytała w stronę pustej drogi.

Syk. Zza rogu wyłoniła się jakaś dłoń, a następnie ktoś zaczął mówić, głośno oddychając:

– Tutaj, panienko!

Nawet przez chwilę nie miała zamiaru pójść za tym głosem i zaczęła z pośpiechem

otwierać drzwi. Ale ręka drżała jej i w ciemności nie mogła znaleźć zamka. Ponagliła siebie samą i czuła, że zaraz się rozplacze.

Kiedy obracała się z nadzieją, że pod wpływem ciemności wymyśliła sobie to wszystko, inna ręka wyłoniła się znikąd za jej plecami i przycisnęła jej coś do twarzy.

Poczuła, że zaraz się udusi. Odetchnęła z całych sił spróbowała kopnąć napastnika, a następnie znowu wzięła głęboki oddech. Silny zapach szpitala. Usiłowała ugryźć rękę zatykającą jej usta i nos, ale poczuła pod wargami bawełniany materiał. Zapach... sali operacyjnej. Jęknęła.

Jeszcze raz spróbowała kopnąć i jeszcze raz, i jeszcze... Ale poczuła, że nogi szybko zaczynają odmawiać jej posłuszeństwa i stają się wątłe niczym kłębiący się dym czy para. Była jeszcze wystarczająco świadoma, kiedy ktoś podniósł ją i zaniósł w kierunku jakiegoś pojazdu.

Głowa zaczynała jej ciążyć, ciało opadało z sił. Zdążyła jeszcze uzmysłwić sobie, że znajdująca się przed nią czarna plama to był samochód, zobaczyć otwarte drzwi zdać sobie sprawę, że ktoś rzuca ją na tylne siedzenie, żeby zawieźć do więzienia lub na śmierć.

To ten zimny i kliniczny zapach powodował, że traciła świadomość. Nie mogło chodzić o zwykłe aresztowanie.

Zdołała jeszcze pomyśleć, że na pewno było to coś znacznie gorszego. Potem wszystko się rozplynęło.

Rozdział 53

Przestworza nad Toskanią

W pamięci Lio odbijały się jeszcze echem nuty pieśni, której słuchał w Indiach. Powtarzał ją sobie teraz w myślach, wykorzystując jako akompaniament ciągły i monotony szum samolotu pasażerskiego Junkers Ju-52.

Z tego pobytu w Indiach, jak i ze wszystkich wcześniejszych podróży po całym świecie, zachował tylko okruchy wspomnień, kolory, które tworzyły rozrzuconepo całej pamięci barwne plamy. Zastanawiał się, dlaczego nie zapomniał właśnie tej melodii usłyszonej tylko jeden raz i dużo wcześniej, gdy tymczasem w umyśle przetrwały mu tylko nieliczne obrazy napotkanych ludzi. Odwiedził ich w domu, poznał ich rodziny?

„To normalne dla kogoś, kto ma taki mętlik w głowie” – pomyślał. Nie potrzebował

nawet diagnozy doktora Morfeo, żeby zdać sobie sprawę, iż w jego ulatniającej się pamięci wspomnienia były niczym oka pływające bezwładnie po powierzchni rosołu, lub żeby uzmysłowić sobie, że mylił wczoraj z dziś i przede wszystkim z jutrem. Zdawał sobie sprawę, że teraźniejszość miesza się ciągle z pochodzącymi skądś nieczytelnymi wizjami, i nie miał wątpliwości, że jego myśli łączyły się z myślami innych osób w ogłuszający ciąg dźwięków.

Jedynie żal wynikający z faktu, że zapomniał o Sibylli, był żywy i autentyczny, obecny i namacalny.

Dlaczego był tak daleko? Nie mógł sobie przypomnieć ani jednej chwili nostalgii, żadnego listu, w którym opisałby jej miejsca, które zwiedził, lub opowiedział o tym, co się u niego działo. Nic. Za to z utęsknieniem wspominał ośnieżone szczyty.

Uniósł wzrok na nieruchome gwiazdy.

– Kiedy będziemy na miejscu? – zapytał żołnierza, który siedział przed nim nieobecny i mieniący się od odznaczeń niczym metalowy posąg.

Miał jasne, całkowicie wygolone po bokach i z tyłu głowy włosy, za to dłuższe na górze i zaczesane na bok. Żołnierz potrząsnął głową. Nie rozumiał po włosku. Lio zapytał więc po niemiecku. Mężczyzna zarechotał i wykonał dziwny grymas ustami.

– Może pan pospać.

– Raczej powinien pan powiedzieć: jeszcze sześć godzin, w tym międzylądowanie na tankowanie – odpowiedział mu Lio.

Żołnierz spuścił wzrok.

Lio miał czas, żeby coś napisać. Wziął zeszyt i pióro Parkera. Długo wpatrywał się w pustą kartkę.

– Nazywam się Lio Rol.

– Wiem – odparł żołnierz. – Nazywam się Sepp Riegel.

– Jest pan esesmanem?

Żołnierz skinął głową potakująco.

– Sturmscharführer, dowódca szwadronu szturmowego, jestem podoficerem. A pan?

– Ja? – Lio pokazał mu pusty zeszyt. – Teoretycznie jestem pisarzem.

– Brak natchnienia? – spytał Sepp po włosku.

Rol puknął się w głowę.

– Nie, to nie dlatego. Chodzi o koncentrację. Znów przeszedł na niemiecki:

– Jaki rodzaj książek pan pisze?

– Czytał pan którąś z powieści Kissa?

Oczy żołnierza zaśniły.

– Wszystkie – odpowiedział. – Bardzo lubię Kissa.

– Moja ostatnia książka opowiada historię pewnej ekspedycji do Tybetu, podczas której jeden z alpinistów znajduje wydrążone w skale wejście, a następnie odkrywa, że dostał się do podziemnego świata Agharty.

– Trochę jak u Bulwera-Lyttona...

– Mówi pan o *Nadchodzącej rasie*?

– Tak.

– Zna pan tę powieść?

– Bardzo dobrze.

– Ale tam nie ma mowy o Agharcie ani o Atlantydzie.

– Ale jest bohater, który dostaje się do podziemnego świata.

– Jednak to nie jest alpinista.

– No tak, ale mimo wszystko...

– Chce mi pan powiedzieć, że nie jestem zbyt oryginalny?

– Rozumiem, że pan też czytał *Nadchodzącą rasę* Bulwera-Lyttona?

– Tak, czytałem. Mityczna moc Vril. Ale w mojej powieści wiele miejsca zajmują wspinaczki, przygody. Nie wchodzi się do podziemnego świata poprzez kopalnię, ale przez podziemne przejście pod górą Kajlas.

– Ciekawe, czy zostanie przetłumaczona na niemiecki – powiedział Sepp. – Chciałbym ją przeczytać.

Pochylił się do przodu.

– Jeśli mogę dać panu radę, niech pan opowie obersturmbannführerowi o swojej powieści i o swoich poglądach. On uwielbia te tematy.

Wskazał symbol na swoim ramieniu.

– Ahnenerbe – powiedział, dumny z przynależności do tej organizacji.

– Ach, rozumiem, Ahnenerbe – odparł Lio z uznaniem. – Tak, jeśli będę miał okazję się z nim spotkać, spróbuję mu o tym powiedzieć, ale obawiam się, że wie już wszystko na mój temat.

Rozpoczął się odcinek silnych turbulencji. Lio wsunął ponownie pióro do kieszonki i zamknął zeszyt. Skoncentrował się na odgłosach deszczu, którego krople uderzały o kadłub samolotu. Czas zaczął płynąć szybko niczym rwący potok i Lio wkrótce zasnął.

Kiedy się obudził, byli już na ziemi, samolot właśnie został zatankowany i miał ponownie wzbić się w powietrze.

Wróciły odgłosy deszczu, a potem gwiazdy. Lio ponownie się zdrzemnął.

Przeszedł ze stanu czuwania do fazy snu przy dźwięcznym szumie silników samolotu. W jego głowie ponownie zaczęła rozbrzmiewać orientalna melodia i miał wrażenie, że obok kobiecego głosu towarzyszącego jednostajnemu rytmowi wybijanemu przez junkersa Ju-52, słyszy trzeszczenie winylowej płyty.

– W Ahnenerbe badacie i katalogujecie ludzkość – powiedział, kiedy otworzył ponownie oczy.

Sepp nie odpowiedział mu. Podziwiał widoki. Jego twarz była uśmiechnięta i oślepiona blaskiem słońca.

– Berlin.

Rozkoszował się całą świeżością tego słowa.

– Już jesteśmy?

Skinieniem głowy pokazał mu, żeby zbliżył się do szyby.

Lio wstał i wyjrzał przez okno.

– Od jak dawna nie był pan w Niemczech?

– Od trzech miesięcy – odpowiedział Sepp z głębokim westchnieniem.

Włożył rękę pod marynarkę i wyjął portfel. Otworzył go. Na lewej klapce widniały cztery promienne aryjskie uśmiechy. Dotknął każdego z nich osobno: Ewy – swojej żony, Brunona – młodszego syna, Ottona – drugiego syna i Greta – najmłodszego dziecka.

– Moje Gy-ei – powiedział, wskazując na żonę i córkę. – I moi Ana – pokazał na synów. – Nie mogę się doczekać, aż ich wszystkich uściskam.

Gy-ei? Ana? Lio pamiętał, że w powieści Bulwera-Lyttona, w języku podziemnej populacji Vril-Yan słowo „Gy” wymawiane z twardym „G” oznaczało kobietę, a „Gy-ei” wymówione z miękkim „G” stanowiło liczbę mnogą, natomiast słowo „An” oznaczało mężczyznę, a „Ana” było jego liczbą mnogą. Powstrzymał się jednak od komentarza.

– Moje gratulacje – powiedział tylko. – Naprawdę mapan piękną rodzinę.

– Pan ma dzieci, panie Rol?

– Nie sędzę.

– Nie sędzi pan? – Wytrzeszczył oczy. – Czy nie wie?

– To stadion olimpijski? – zapytał Lio, wskazując jakiś punkt na zewnątrz. Sepp skinął głową.

– Może to dobrze, że nie ma pan dzieci.

– Niby dlaczego?

– Wygląda pan na Żyda.

– Nie jestem Żydem.

– Ale przypomina pan. – Lio przyjrzał się sobie.

– Przypomina pan rabina – ciągnął sturmscharführer.

– To strój jezuity, nie rabina – odparł Lio. Zachował jednak dla siebie informację, że jego własne ubrania pobrudziły się i porwały podczas ucieczki po dachach Rzymu.

Sepp zaśmiał się, a następnie powiedział:

– Żydzi, rzymianie i jezuici, masoni, bolszewicy – otoprawdziwi wrogowie partii nazistowskiej. Być może nie jest pan Żydem, ale jest pan rzymianinem i jezuitą, a może nawet masonem.

– Nie jestem rzymianinem, jezuitą, masonem ani nawet Żydem. Ahnenerbe będzie musiała znaleźć jakąś inną kategorię, żeby mnie gdzieś przypisać.

– Jeśli tak, proszę wybaczyć.

– Całkiem możliwe, że pewnego dnia zdecydujecie, że również Włosi są niższą rasą i należy się ich pozbyć. Więc nie wiem, ile są warte pańskie przeprosiny oraz szacunek, który mi pan okazuje w tej chwili.

– Bez obaw – zachnął się Sepp – lubię pana.

– Ach, to szczęściarz ze mnie. Zatem nie nienawidzicie wszystkich, którzy nie są Aryjczykami?

– Aryjska krew jest magiczna, panie Lio.

– Wydaje się panu, że to dobry powód, żeby zgładzić bezlitośnie całe masy biednych, niewinnych istot?

– Nie powiedziałbym, że biednych – Żydzi nie są biedni. Zagłada, mówi pan? Wojna to zagłada.

Lio zastanowił się nad tym przez dłuższą chwilę, w końcu spojrzął na niego, marszcząc czoło.

– Jak będzie pan mógł wywnioskować z lektury moich książek, panie Sepp, pod wieloma względami zgadzam się z panem. I właśnie dlatego smuci mnie to, w jaki sposób Trzecia Rzesza traktuje Żydów. Boję się, że pewnego dnia będę musiał wstydzić się swoich poglądów, ponieważ już samo wymienianie z nazwy Trzeciej Rzeszy, SS czy Ahnenerbe będzie stanowiło tabu.

Samolot podskoczył, wydając szereg niezbyt pokrzepiających trzasków. Pilot rozpoczął manewr lądowania.

– Wyobraża pan to sobie, czy pan to widział?

– Widziałem to – odpowiedział, powracając na miejsce. – I wie pan, co udało mi się odczytać w pańskich myślach?

– No, posłuchajmy. – Sepp wydawał się rozbawiony wyroczniami Lio.

– Widzę, że myśli pan tylko o swojej żonie i o swoich dzieciach, że dla pana rzeź Żydów mogłaby równie dobrze nie mieć miejsca, a ta wojna powinna się już skończyć.

– Ma pan rację. – Sepp spojrział w okno z rozrzewnieniem. – Jeśli nie ma pan żony ani rodziny, nie zrozumie pan, co czuję.

Lio nic nie odpowiedział. Nie wiedział dlaczego, ale wydawało mu się, że rozumie.

Chciałby zwrócić mu uwagę na wiele innych rzeczy dotyczących SS i Ahnenerbe, ale wewnętrzny głos mówił mu, żeby zachowywał się przyjaźnie. Zupełnie tak, jakby wiedział, jakie zachowanie było najbardziej właściwe, jak gdyby prowadziła go czyjaś

wola. W jego umyśle wszystko było niebywale poplątane, podobnie jak pojęcie dobra i zła w głowie tego podoficera SS, a mimo to potrafił zachować się tak, jak gdyby wszystko było dla niego oczywiste.

Milczeli.

Kiedy samolot szybko wytracał wysokość, uśmiech na twarzy Seppa z każdym metrem stawał się coraz szerszy.

W końcu koła podwozia dotknęły lotniskowego pasa.

Lio ujrzał przez okienko, że przed hangarem czekali na nich jakiś mężczyzna i dwie kobiety. Gdy samolot zwalniał, zauważył, że jedna z kobiet miała bardzo długie włosy związane w koński ogon oraz że żołnierz był oficerem SS. Pocierał sobie niecierpliwie dłonie i połyskiwał w kierunku junkersa Ju-52 niezwykle białym uzębieniem.

Rozdział 54

Berlin, niedziela, 24 stycznia 1943 r.

Przejście z turbulencji i spartańskiego fotela junkersa Ju-52 na miękkie tylne siedzenie mercedesa było niczym zanurzenie się rozbitka statku w pościeli świeżo zasłanego łóżka. Samochód sunął gładko po wilgotnym bruku, nie wydając żadnych dźwięków, tak samo jak jego pięcioro pasażerów: kobieta o długich blond włosach, która przedstawiła się jako Maria i prowadziła samochód, siedząca obok niej Monica – nieruchoma i sprawiająca wrażenie bardzo nieśmiałej, uśmiechnięty oficer Lothar Giger zajmujący miejsce z tyłu, obok Lio, i od czasu do czasu mrugający do niego okiem, jakby chciał mu powiedzieć, że był zadowolony z tego spotkania, Sepp siedzący po jego prawej stronie i podziwiający niebo poorane śladami samolotów Luftwaffe i on –

otumaniony chaotycznym dźwięczeniem myśli jego i innych, z głową nabrzmiałą od natłoku słów, które nakładały się na siebie jak oszalałe nuty orkiestry przed koncertem, kiedy każdy z jej członków powtarza własną partyturę. Często zdarzało mu się słuchać tej płataniny nut, gdy siedział wśród publiczności, i za każdym razem nie mógł się nadziwić, że pomimo iż były to przypadkowe dźwięki, zawsze przypominały tę samą melodię.

– Ponieważ przypadek nie istnieje – powtarzał sobie.

Maria spoglądała na niego w lusterku wstecznym.

– Sibylla była naszą drogą przyjaciółką, jesteśmy bardzo zasmuceni tym, co ją spotkało. Pewnie był to ogromny cios również dla pana, Rol.

– W istocie – powiedział Lio. Po chwili dodał, udając wielkie zaskoczenie: – Znaliście ją? To dlatego tutaj jestem?

– Sibylla była... – Maria zastanowiła się nad właściwym słowem, a po chwili powiedziała w jego języku: – ...dobra.

Giger potwierdził bezgłośnie.

– Brakuje mi jej, nawet jeśli...

Lio poczuł nagłe ciepło w oczach, nie rozumiejąc, skąd pochodziło. Wybrał te słowa, żeby wydać się wiarygodnym jako brat, a kiedy je wypowiadał, czuł, że to, co mówił, było prawdą – brakowało mu jej. Musiał głęboko odetchnąć i odczekać chwilę, żeby móc dalej mówić.

– Niestety eksplozja pewnej miny skasowała prawie wszystkie wspomnienia, jakie miałem z nią związane, ale uczucia pozostały niezmienione – powiedział.

– Och, to straszne – odparła Maria. – Mam nadzieję, że to przejściowe.

– Również mam taką nadzieję. Lekarz mówi, że tak.

– Doskonale mówi pan po niemiecku – wtrącił się Giger. – Dokładnie tak jak pańska siostra.

– Nasza matka...

– Była Niemką, wiem.

– Widzę, że dobrze znaliście moją siostrę.

– Niezbyt. – Ukazał mu nieskazitelnie białe zęby. – W przeciwnym razie wiedzielibyśmy, że miała brata.

Lio wzruszył ramionami.

– Wiele lat przebywałem za granicą. Nigdy do niej nie pisałem, wyobrażam sobie, że miała do mnie żal.

– Wiem, że wyjechał pan do Indii...

– I do Tybetu – dodał Lio. – A także do Meksyku, Boliwii i Peru.

– Żeby uprawiać wspinaczkę?

– Byłem przewodnikiem bogatych turystów.

– A może uciekał pan przed wojną?

– Kiedy wojna się rozpoczęła, przebywałem już poza swoim krajem. Wiele razy

chciałem wrócić, nie boję się śmierci, jednak nie podobała mi się wizja mordowania innych ludzi. – Odwrócił się i spojrzał na Gigera z poważnym, prawie groźnym wyrazem twarzy. – Ale później wróciłem.

Uśmiech Marii wypełnił całe lustro.

– Jestem pewna, że Lothar tak jak ja nie może się doczekać, aż opowie nam pan o swoich wyprawach do Tybetu – powiedziała. – Mam nadzieję, że zrobi mi pan tę przyjemność.

Lio skinął głową, spoglądając na nią w lustro i odwzajemniając uśmiech.

– Wszystko pani opowiem, ale w zamian za inne opowieści – odparł.

– Pewnie chce pan dowiedzieć się czegoś o swojej siostrze.

– Prosiłem wszystkich, którzy w ostatnim czasie z nią przebywali, żeby mi o niej opowiedzieli. Czuję się winny za każdym razem, kiedy pomyślę, że nie wiedziałem nic o tym,

jak żyła, o bliskich jej osobach, o wrogach, jeśli takowych miała.

Auto zaczęło zwalniać.

– Korzystaj z przepustki, Sepp – powiedział Giger głośno.

Maria podjechała do niewielkiego czarnego domu i wyłączyła silnik.

– Heil Hitler! – odparł Sepp i wysiadł, ciągnąc za sobą sflaczałą torbę, którą cały czas trzymał na kolanach.

Krótkie, bezgłośnie pożegnanie. Następnie Maria przekręciła kluczyk, tłoki mercedesa znowu zaczęły pompować paliwo i auto ponownie ruszyło.

– Mogę spytać, dokąd mnie zabieracie?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Monica nie odezwała się ani słowem, ani razu się nie obróciła, nawet na chwilę. Maria nie uśmiechała się już, prowadziła samochód skupiona na drodze. Giger zatonął we własnych myślach i od czasu do czasu obracał się w jego stronę, nic nie mówiąc.

Dla Lio wyodrębnienie jednej myśli spośród wielu nie było trudnym zadaniem. Umiał to robić już od dziecka. I niejednokrotnie pożałował, że w ogóle wpadł na taki pomysł. Dlatego właśnie nie przepadał za słuchaniem. Ponadto, żeby móc słuchać, musiał dobrze znać wewnętrzne głosy znajdujących się obok siebie osób. Wyobrażał sobie, że tak samo mieli inni, którzy posiadali tę zdolność. Dopóki nie skończył dziewięciu lat, sądził, że każdy to potrafił, że słuchanie to coś naturalnego. Później, aż do dwudziestego piątego roku życia, był przekonany, że jest jedyny na świecie, aż w końcu zrozumiał, że jest jednym z niewielu. Niewielu nieszczęśników.

Jeśli również Giger i Maria mieli tę samą umiejętność, było bardziej niż pewne, że teraz z łatwością mogli go słuchać, ponieważ dla nich głos Lio był jedynym nowym w tej grupie. Wewnętrzne głosy mężczyzn i kobiet

nie różnią się od siebie tembrem, tak jak te zewnętrzne. Wszystkie są takie same.

Zmienia się tylko sposób przepływu myśli utworzonych ze słów, skandowanie sylab, rytm. Każda myśl płynie w charakterystyczny dla siebie sposób. Niektórzy powtarzają często to samo słowo w zdaniu, inni powtarzają całe zdanie, jeszcze inni zatrzymują się na konkretnych słowach i zwalniają, podczas gdy przy innych myślach pędzą naprzód, nigdy się nie zatrzymując.

– Prawda? – zapytał, nie otwierając ust i wpatrując się we wsteczne lustro w oczekiwaniu na spojrzenie Marii.

– Czy to prawda? – powtórzył.

Maria jednak nie spojrzała na niego ani nie odpowiedziała. Giger był wciąż zagrożony w rozmyślaniach. Monica przypominała odłączony od prądu automat.

– Prawda? – zapytał jeszcze raz. Nic.

Tymczasem przed nimi rozpościerały się charakterystyczne, szerokie i proste aleje

miasta. Przy nich stały budynki, które w miarę jak zbliżali się do centrum, stawały się coraz większe.

Nagle Giger podniósł głowę i powiedział:

– Wiem, o czym pan myśli.

Lio poczuł, jak zaciskają mu się wszystkie włókna mięśni.

– Myśli pan o tej aktorce.

Wolał nic nie mówić. Musiał uważać, bo mogła to być tylko zasadzka, żeby sprawdzić, czy jest szczerzy i czy mogą mu wierzyć. – Nie, myślałem o myślach innych ludzi.

– Pułkownik Roux – kontynuował Giger, uśmiechając się przebiegle – powiedział mi, że miał pan zamiar przyłączyć się do Panopticonu. Czy to prawda?

– Nie – odparł Lio. – Spotkałem jedynie jakiegoś pana Reisa, który pokazał mi legitymację karabinierów.

– Czego od pana chcieli, Rol?

– Żebym przesunął wahadło nad mapą.

– Coś jeszcze? – zapytała Maria, wypełniając wsteczne lustro swoim uśmiechem.

Nawet Monica spojrzała na niego w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Kazali mi przewidywać przyszłość, tak jak wszyscy ci, którzy przychodzą do mnie do domu.

– Naprawdę pan to potrafi? – zapytał Giger, obracając się na siedzeniu w taki sposób, żeby znaleźć się przodem do niego.

– To dar – przyznał Lio – choć ja uważam go raczej za piętno. Gdybym nie miał tej umiejętności, nie znajdowałbym się tu teraz, nie wiedząc, co mnie czeka.

Wyjrzał przez okno, spoglądając na miasto poranione bombardowaniami angielskiej floty RAF.

– Byłbym normalnym człowiekiem i – pomimo wojny – prowadziłbym spokojne życie.

– Przez cały czas, kiedy Sibylla była tu z nami, nigdy nam o panu nie mówiła, panie

Rol. Zrobiła to dopiero pod koniec, tuż przed feralnym wypadkiem. Rozmawialiśmy o tym pisarzu... i przyznała to niechętnie. Nie chciała pana mieszać, to oczywiste. Kiedy powiedzieliśmy jej, że mieliśmy zamiar poprosić także jej brata o to, żeby do nas dołączył, powiedziała: „Nie. Albo on, albo ja”. Krótka mówiąc, gdybyśmy dokooptowali pana, Sibylla opuściłaby naszą Lożę. Bardzo pana kochała.

– Cieszę się, że to słyszę.

– Później udało nam się ją przekonać. Długo pana obserwowaliśmy, panie Rol, ale pod żadnym pozorem nie złamalibyśmy veta pańskiej siostry, gdyby wciąż obstawała przy swoim i gdyby była jeszcze wśród nas. Rozumie pan? Potrzebujemy takich ludzi jak pan.

– Więc to wy mnie śledziliście?

– Nie tylko my. Przechwyciliśmy komunikat z radia Panopticonu, w którym mówili, że pan, panie Rol, ma niezmiernie rzadki talent. Jesteśmy pewni, że gdybyśmy

zaczekali jeszcze kilka godzin, dałby się pan wciągnąć w ich szeregi, a nie mogliśmy do tego dopuścić. Ci z Panopticonu potrafią być przekonujący.

– Panopticon... fałszywy sierżant Reis... – Lio zmusił się, żeby poczuć jak największy niesmak. – Proszę mieć na uwadze, że nigdy nie przyjąłbym ich oferty, gdybym wiedział, kim byli.

– Ale zadzwonił pan do nich.

– Nie wiedziałem, że to członkowie Panopticonu. Nie wiedziałem nawet, że istnieje coś takiego. Dla mnie byli karabinierami. Zaproponowali mi pieniądze w zamian za ratowanie życia ludzi.

Poprosiłem o czas do namysłu i nie znalazłem powodów, żeby im odmówić. Koniec końców to dla pieniędzy zaglądam od czasu do czasu w przyszłość ludzi, a ta działalność napawa mnie przecież obrzydzeniem i nigdy nikogo nie uratowała.

– To mnie uspokaja, panie Rol. Zgodnie z tym, co powiedział nam niejaki Marconi – poznał go pan – pańskie zdolności przewyższają nawet te Sibylli.

– To miłe, że inni dobrze o nas mówią – odparł Lio.

Giger przygotował się, żeby przyjrzeć się uważnie jego reakcji.

– To dlatego chcieliśmy mieć pana tutaj, w Berlinie, aby zaproponować panu pracę dla nas. Co pan o tym myśli?

Zaproszenie do sformułowania bardziej jakiejś myśli niż odpowiedzi było dla Lio wyraźną wskazówką, że go słuchali i woleli pewną prawdę wewnętrzną niż ewentualne kłamstwo wypowiedziane w języku zewnętrznym. To dlatego wcześniej Giger był tak skupiony – pomyślał. To dlatego Maria rozsiewała te wszystkie uśmiechy. Nasłuchiwali, o czym myślał. Zadał im pytanie, nie używając słów: „Słuchacie mnie?”.

Wciąż czekali na jego reakcję.

– To dla mnie zaszczyt, że będę mógł mieć wkład w ostateczne zwycięstwo chlubnego sojuszu włosko-niemieckiego.

– Mario, proszę... – powiedział Giger.

Kobieta zwolniła samochód, aż zatrzymał się na środku jezdni. Nie wyłączyła silnika. Zaciągnęła hamulec ręczny, odwróciła się i zapytała go:

– Czy naprawdę chcesz, żeby państwa Osi wygrały tę wojnę?

W tej samej chwili, w której Lio zaczął mówić, położyła mu dłoń na czole.

Rol odpowiedział, że chciał końca wojny, że był porządnym patriotą i pragnął pomóc Włochom wyjść z konfliktu z podniesioną głową.

Maria potwierdziła, kiwając głową i nie odrywając ciepłej dłoni od jego czoła.

– Jak się nazywasz?

– Nazywam się Lio Rol.

Maria znowu skinęła głową.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem pisarzem.

– Zadam ci jeszcze raz to pytanie – powiedziała Maria, spoglądając na Gigera z wykrzywionymi ustami.

– Czym się zajmujesz?

– Tak naprawdę ostatnio piszę bardzo niewiele. Niestety mam pomieszane myśli. Powiedzmy, że na życie...

– Prawdę! – Giger podniósł głos.

– Wcześniej, żeby przeżyć...

– Teraz – odparł Giger.

– Teraz... – powiedział z trudem, jakby słowo to było zbyt duże, żeby przejść mu przez gardło. – Teraz jestem płatnym medium.

Maria skinęła głową w kierunku Gigera.

– Jak miała na imię twoja siostra?

– Sibylla.

Maria potwierdziła.

Więc tak to robili? Był zaskoczony, a jednocześnie czuł ulgę z powodu tego nieświadomego okazania słabości: Maria nie

potrafiła słuchać bez kontaktu fizycznego, a Giger być może w ogóle tego nie potrafił.

– Jedziemy – powiedział Lothar do Marii. Zademonstrował swoje białe jak marmur zęby. Wyglądała zadowolonego.

Mercedes ruszył.

Kiedy dojechali do Prinz Albrecht Strasse, Giger odwrócił się do Lio z dumnym wyrazem twarzy. Obserwował go nieufnie, dopóki auto nie zatrzymało się przed budynkiem RSHA pod numerem 8. W końcu wykonał rzymski salut i przywitał go.

Także Maria zanim wysiadła z samochodu, wyprostowała ramię w geście pozdrowienia.

Monica błyskawicznie odwróciła się w jego kierunku i ukazała rozświetloną radością twarz.

– Witamy – powiedziała, również wyciągając ramię.

– Witamy w Świetlistej Loży, panie Rol – podsumował Giger.

– Witamy w Towarzystwie Vrill.

Rozdział 55

Na niewielkim regale obok biurka stały: *Edda*, *Kalevala*, *Pieśń o Nibelungach*, rozprawy o Sumerach, opracowanie do Eposu o Gilgameszu, który Lio czytał wielokrotnie, kilka książek na temat babilońskiego eposu *Enuma elisz*, parę książek o Inkach, Biblia (pisarz pomyślał, że byłoby dziwne, zważywszy na bezgraniczną nienawiść nazistów do Żydów), wszystkie powieści Edmunda Kissa i oczywiście *Nadchodząca rasa* Bulwera-Lyttona w jednym, bogato zdobionym tomie. Znajdowały się tam również czasopisma i zwinięte rulony papieru.

Lio rozwinął jeden z nich. Była to mapa nieba zawierająca wszystkie konstelacje gwiazd. Rozwinął następny – kolejna mapa nocnego nieba, ale na tej zaznaczono gwiazdę o nazwie Aldebaran. Odłożył rulony na miejsce i zaczął rozglądać się dookoła,

próbując odgadnąć przeznaczenie pokoju, do którego został przyrowadzony.

Na ścianach wisiało wiele oprawionych w ramy reprodukcji obrazów o różnych rozmiarach. Przedstawiały one uskrzydłych mężczyzn i uskrzydłone kobiety. Niektórzy z nich trzymali w ręce drąg o długości fletu poprzecznego. Byli ubrani w białe szaty i obwiązani złotymi szarfami w taki sam sposób, jak nosili się antyczni Grecy. Byli wysocy i mieli blond włosy. Lio naliczył ich siedmioro.

Kilka rozmieszczonych bez wyraźnego ładu szklanych lamp w kształcie orchidei dawało ciepłe i rozproszone światło, które zamiast oświetlać pokój, otulało każdy przedmiot czerwoną aureolą rozmywającą jego kontury.

Pod jedną z lamp, na półce lakierowanej czarnej szafki w starożytnym chińskim stylu, stał wykonany z drewna i onyksu telefon z mosiężną tarczą numeryczną. Obok leżała

jeszcze nieodpieczętowana paczka papierosów. Otworzył ją, wyjął jednego i zapalił, nie przerywając oględzin dziwnego pokoju, w którym został zamknięty.

Na biurku zauważył oprawiony w skórę terminarz – przejrzał go uważnie. Dwudziestoczterogodzinna doba została podzielona na trzy części: osiem godzin nocnych – od północy do ósmej rano, które nazwane zostały Godzinami Ciszy, następnie osiem kolejnych godzin – Godziny Pracy i wreszcie osiem godzin wieczornych – Godziny Spokoju. Tak samo podzielony był dzień w podziemnej cywilizacji Vril-Yan, stworzonej w wyobraźni Bulwera-Lyttona. Lio uśmiechnął się. Na dwóch początkowych stronach terminarza znajdowała się mapa świata. Ta jednak nie przedstawiała nazw głównych miejscowości, ale ważnych wykopalisk archeologicznych oraz miejsc kultu mistycznego. Palec Lio dotknął Stonehenge w Wielkiej Brytanii, Tiahuanaco w Boliwii,

Gizy w Egipcie, Lhasy w Tybecie, Tenochtitlán – stolicy imperium Azteków w Meksyku wraz z miastami Majów – Palenque i Yaxchilan, Machu Picchu w Peru, Tikal – miasta Majów w Gwatemali, Copan w Hondurasie, pustyni Gobi w Azji. Ale największą osobliwością mapy było to, że zawierała dwa dodatkowe kontynenty – jedenna oceanie Atlantyckim, pomiędzy Europą a Ameryką Północą, o nazwie Atlantyda, a drugi pośrodku oceanu Spokojnego, o nazwie Mu-Lemuria.

Zamknął terminarz i zaczął zwiedzać niewielki apartament, podążając za wydmuchiwany przez siebie dymem.

Za pierwszymi drzwiami odkrył malutką łazienkę z prysznicem, w której przeważało kute żelazo i drewno. Nie brakowało też tam wysokiej jakości mydeł, brylantyny oraz sprzętu do golenia.

Za drugimi i ostatnimi drzwiami znalazł sypialnię, która wyglądała na całkiem

przytulną. Na obrazach zawieszonych na ścianie nad wezłowiem łóżka dominowały wizerunki istoty ludzkiej z płetwiastymi dłońmi i stopami, gigantycznej żaby oraz kijanki o równie dużych rozmiarach.

Może miały coś wspólnego z amfibijnymi stworzeniami Sumerów – *apkallu*, o których mówił Braschi i które teraz, dzięki tamtej rozmowie, doskonale pamiętał. Lio potrząsnął głową i wypuścił chmurę dymu. Co to za dom wariatów?

„Mieszkanie Roux w porównaniu z tym było niczym” – pomyślał.

– Proszę odpocząć, rozgościć się – powiedział mu Giger, kiedy go tu przyprowadził.
– Mam nadzieję, że się panu u nas spodoba.
– A następnie zamknął go na klucz.

Rozejrzał się za popielniczką. Znalazł jakąś w kształcie godła Ahnenerbe na obudowie radia Siemens.

Usiadł na łóżku, pogładził szorstki wełniany koc, podskoczył kilka razy na materacu,

sprawiając, że siatkaw łóżku zaskrzypiała, i położył się, żeby sprawdzić miękkość poduszki. Uśmiechnął się, gdy zauważył, że na suficie znajdowało się wielkie lustro otoczone szeroką drewnianą ramą z motywem kwiatowym. Podłożył sobie ręce pod kark i pomyślał o Sibylli, przeglądając się w lustrze.

Ciekawe, czy był do niej podobny. Kochali się? Dlaczego w jego życiu nic po niej nie przetrwało?

Poczuł, że niebawem wspomnienie o niej wyłoni się ze zgliszczy pamięci w jego głowie, ponieważ teraz Sibylla nie była już pozbawionym znaczenia słowem, dźwiękową wydmuszką bez rzeczywistej zawartości. Teraz, kiedy przywoływał jej imię, coś się w nim działo, zaczynał odczuwać jakieś nieokreślone uczucie. Miłość?

Rozdział 56

Rzym

To była ostatnia teczka. Wszystkie pozostałe podoficer w wielkich okularach – tak chudy, że wyglądał jak wieszak swojego munduru – już sprawdził.

– Nic, proszę pana.

Pułkownik Roux, tajny agent OVRA, już od zbyt dawna uganiał się za członkami Panopticonu, żeby nie wiedzieć, do jakich sztuczek byli zdolni. Poruszający marionetkami organizacji reżyser, niewidzialny i nieodgadniony, zaskoczył go już tyle razy, że teraz nic go już nie dziwiło. Słowo Spartak wyzwalało w nim uczucie poniżenia i frustrację, a w jego żyłach niczym krew zaczęła krążyć podejrzliwość.

– Jesteś pewien, że dobrze patrzyłeś?

Żołnierz zaczął sprawdzać od początku.

Roux wiedział, że główną umiejętnością Panopticonu było nieistnienie. W ciągu trzech lat tajnych operacji udało mu się złowić tylko małe i nic nieznaczące płotki, z których większość stanowili nieświadomi niczego kolaboranci tacy jak Diamante. Albo jak Lio Rol czy Alba Gabrielli – ostatnie zdobycze na długiej liście znikających zjaw.

Jak przystało na drapieżnika, krew Reisa i Marconiego wyzwoliła w nim instynkt łowcy. Ten jedyny godny uwagi sukces w ciągu wielu lat porażek znów obudził w nim nadzieję, ale i tak nie prowadził do niczego konkretnego. I Roux doskonale o tym wiedział. Jego zdobycz nie zostawiła żadnego śladu, który pomógłby przejrzeć szatański plan jego wroga.

– Nic, przykro mi. – Werdykt archiwisty był ostateczny. Zamknął już nawet ostatnią szufladę. – Nie ma żadnego Lio Rola, który pełniłby służbę wojskową, chyba że z jakiegoś

niezrozumiałego dla mnie powodu jego dokumentacja zaginęła.

Roux też nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem mogłaby zaginać dokumentacja żołnierza poborowego, a tym bardziej ta dotycząca jego badań lekarskich, ale wiedział, że ta jego ułomność nie była zbyt istotna – Panopticon już wiele razy pokazał mu, że miał lepszą wyobraźnię od niego. Całkiem możliwe, że Rol został uznany za niezdolnego do służby wojskowej ze względu na chorobę umysłową, stosowanie środków odurzających lub zadeklarowany homoseksualizm i że jakiś zaprzyjaźniony i uczynny lekarz wojskowy zlikwidował wstydlive dowody. Pewne było tylko to, że Lio Rol został wezwany do wojska. A jednak dla armii włoskiej nigdy nie istniał.

– Radzę panu sprawdzić listy poborowych w jego gminie. Jeśli istniał jakiś Lio Rol, który przeszedł kwalifikację wojskową, z pewnością tam go pan znajdzie.

Podziękował mu rzymskim salutem.

Wyszedł z ministerstwa wojny smagany swędzącymi płomieniami, które zaczynały palić mu już nawet skórę na torsie. Był to efekt jego wzmacniającej gimnastyki wewnętrznej. Skromna cena, jaką musiał zapłacić za codzienne umacnianie swojej siły. Niebawem dolegliwości jak zwykle miną, pozostawiając po sobie siłę i piękno coraz młodszego ciała. Spróbował uśmierzyć ten dręczący ból, wyobrażając sobie siebie nago pośrodku zamieci śnieżnej. Na chwilę udało mu się zapomnieć, że jest w mieście, że stoi w blasku promieni słonecznych, które rozgrzewają jego ciemne ubranie. Wziął głęboki oddech. Nie poczuł trującej atmosfery wytwarzanej przez chaotyczną krzątanicę samolotów kłębiących się nad światem niczym muchy nad padliną.

Jednak chwilę później myśl o Lio Rolu przywróciła go do rzeczywistości i poczuł, jak ból pali go aż do kości.

Trudno było wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski. Granica pomiędzy pojęciem wroga i przyjaciela zatarła się. Wszystko było możliwe w tych zawiłych okolicznościach, w których naturalni adwersarze, tacy jak sowiecki NKWD i amerykańska OSS, współpracowali ze sobą w najlepsze, podczas gdy naturalni sojusznicy – jak włoskie SIM i niemiecka SD – wzajemnie się prześladowali. Koniec końców, nikt lepiej od Roux – agenta OVRA, szpicla Niemców z zagranicznej sekcji SD, który jednocześnie nie gardził pieniędzmi NKWD – nie zdołałby poruszać się w tej zdradliwej scenerii.

Na chwilę założył, że Lio Rol to pseudonim oraz że nie był on agentem Panopticonu, ale brytyjskiego wywiadu MI6 lub tajnych służb jakiegoś innego kraju. Skóra na jego plecach piekła już do granic wytrzymałości. Ból znacznie utrudniał mu koncentrację, jednak szybko doszedł do wniosku, że jeżeli

nazwisko Rol było pseudonimem, tak samo musiało być w przypadku Sibylli.

Postanowił niezwłocznie ostrzec Gigera i Himmlera. Ale co miałby powiedzieć? Że nieudolność Włochów doprowadziła do tego, że z listy poborowych zniknął jeden żołnierz? Stwierdziliby, że wcale ich to nie dziwi. Śmiałoby się, mówiąc, że byli do tego przyzwyczajeni i że słyszeli już o Włochach gorsze rzeczy. Jednym słowem zadrwiliby z niego.

Postanowił, że najpierw zadzwoni do okręgu wojskowego Turynu i sprawdzi spis mieszkańców gminy, a jeżeli będzie to konieczne, osobiście tam pojedzie i powęszy trochę w dzielnicy, w której dorastało rodzeństwo Rol.

Wszystko, żeby nie musieć już padać do stóp Himmlera i prosić go o wybaczenie. Nadszedł czas, żeby z tym skończyć. Już i tak pozwolił im na zbyt wiele. Niemcy, Rosjanie, Anglicy, Amerykanie, faszyci – wszyscy mogli pocałować go gdzieś. Mały domek

zanurzony w kojącym, lodowatym śniegu w południowoamerykańskich górach – oto czego mu było trzeba. Zniknąć.

Żeby trochę rozładować napięcie, grzecznie dostarczył swoją zdobycz komu trzeba i przeprosił za zabicie Kuurmy. Oczywiście zdenerwował tym Rosjan, ale dzięki temu wyeliminował też jedyne go człowieka, który mógł wyjawić światu jego powiązania z NKWD. Reichsführer-SS musiał być zachwycony, że w końcu dostał swojego upragnionego jasnowidza i może jego wdzięczność na jakiś czas zapewni mu trochę spokoju. Mimo wszystko zdawał sobie sprawę z zagrożeń, jakie na niego czyhały. Nawet jeśli Niemcy byli ich sojusznikami, sprzedawanie informacji i szpiegowanie SD było przestępstwem, które mogło doprowadzić go bezpośrednio do fortu Bravetta – przed pluton egzekucyjny.

Na co więc komu władza i pieniądze, skoro trzeba się płaszczyć przed innymi, żeby je

zdobyć? Śnieg. Ciągłe zasnute chmurami i szare niczym stalowa płyta niebo. Chłoszczący wiatr niosący skórze ukojenie. Nikogo, kogo musiałby nienawidzić.

Tego mu było trzeba.

Rozdział 57

Castel Gandolfo

Spróbował ponownie.

– Odbierz, do jasnej anielki!

Kolejny raz telefon dzwonił na próżno. Ojciec Leonardo poświęcił tej nocy mniej czasu niż powinien na obserwację nieba, a mimo to poszedł spać późno. Powieść Lio i ta cała historia z archeoastronomią, starożytnymi bóstwami przedstawianymi jako astronauty, którzy zstąpili na Ziemię z niebios tysiące lat temu, rozbudziła go do tego stopnia, że sam musiał nakazać sobie, żeby przestać czytać, gdyż zazwyczaj budził się nad ranem z książką otwartą na piersi.

Tym razem, mimo że nie był śpiący, zmusił się, żeby zasnąć o czwartej, i obudził się o dziewiątej.

Jego pierwsza myśl popłynęła w kierunku Alby.

– Odbierz, odbierz – błagał.

Puścił ją samą o tak późnej porze. Doskonale pamiętał, że w tamtej chwili czuł się o nią spokojny, ale teraz, gdy stał przed telefonem w świetle dnia, zdał sobie sprawę, że popełnił wielką nieostrożność.

Odłożył słuchawkę i odczekał chwilę, powtarzając sobie, że może jego kuzynka nie mogła odebrać, że zaczeka kilka minut, a potem zadzwoni jeszcze raz.

Wskazówki zegara zdawały się stać nieruchomo pod jego zmartwionym spojrzeniem zmieszanym z poczuciem winy.

– Nic się nie stało – powiedział do siebie – niepotrzebnie się martwisz.

Udało mu się wytrzymać dziesięć niekończących się minut, potem znowu wykręcił numer. Był pewien, że właściwy, a jednak Alba nie odebrała.

Serce zaczęło pompować mu krew do gardła niczym oszalały tłok i poczuł, jak płoną mu policzki. Wybiegł na dwór.

Przebiegł przez niewielki dziedziniec audiencyjny i dotarł do bramy, ledwo łapiąc oddech. Otworzył. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi, jak powoli i ciężko otwierało się ten wielki kawał drewna. Przez cały czas powtarzał sobie, że był głupi, jednak niepokój rozrastał się coraz bardziej w jego piersiach, zabierając mu przestrzeń na powietrze.

Kiedy w końcu udało mu się otworzyć bramę, tuż za progiem ujrzał Albę – nieruchomą, z opuszczonymi ramionami, bez żadnego wyrazu na twarzy – tak jakby chwilę przed tym, jak miała zapukać, rozmyślała o czymś okropnym. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, który nie zawieszał się na niczym konkretnym.

– Od dawna tu jesteś? – zapytał ojciec Leonardo, chwytając ją za ramiona.

– Dopiero przyszłam – odpowiedziała Alba, kierując na niego zgaszone spojrzenie. Również w jej głosie słychać było to samo

zmęczenie, które okalało jej oczy niewyraźną niebieskawą obwódka.

– Nie spałaś? – zapytał, wciągając ją do środka i obejmując ramieniem.

– Niewiele – odpowiedziała, przechodząc u jego boku przez dziedziniec.

– Złe myśli?

– Jestem bardzo zmęczona.

– Rozumiem, moja droga, przeżywasz teraz okropny okres. Ale nie martw się, dopóki tu jesteś, nic złego cię nie spotka.

– Wiem.

– Piłaś już kawę?

– Jeszcze nie.

– Więc teraz zrobimy sobie najlepszą kawę, jaką można obecnie dostać. Sprowadzamy ją aż z samego Triestu, co ty na to?

– Kawa to to, czego mi teraz trzeba – powiedziała z chłodną obojętnością w głosie.

Ojciec Leonardo nie odważył się zapytać, co się jej stało. Wyobrażał sobie, że w nocy

udało jej się porozmawiać z Lio i że znalazła w sobie odwagę, żeby powiedziećmu, jakie rozwiązanie uważa za najlepsze dla nich obojga. To musiało być trudne.

On mógł tylko próbować wyobrazić sobie, co czuła zakochana osoba po zerwaniu związku, ale unikał tego, bo tak należało. Niepokalaność powinna być przede wszystkim szatą umysłu, a potem czynów. A myślenie o problemach w związku było tak samo niewskazane jak myślenie o własnych przyjemnościach.

Popchnął drzwi do swojego apartamentu, których nie zamknął, kiedy wychodził, i wprowadził ją do salonu, w którym gościł ją kilka godzin wcześniej.

– Usiądź – powiedział. – Zrobię kawę.

Alba ugięła kolana z nienaturalną powolnością i usiadła na poduszce fotela.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Na dole jest mała kuchnia, niczego nam tu nie brakuje!

Potarł ręce i puścił do niej oko w nadziei, że wykradnie jej jakiś uśmiech.

Alba jednak nie ruszyła się i nie powiedziała ani słowa. Nie patrzyła na niego. Wpatrywała się w swoje stopy i pocierała dłonie. Ojciec Leonardo obawiał się, że w każdej chwili mogła zacząć się zwierzać lub zanieść się płaczem, a on przecież nie potrafiłby jej pocieszyć.

– Zaraz wracam – powiedział, wychodząc z pokoju. – Ale ty się stąd nie ruszaj!

Ona – nieobecna i trochę nadąsana – skinęła głową w taki sam sposób, w jaki robiła to, kiedy była małą dziewczynką.

Zszedł, żeby przygotować kawę.

Nalał wody do kawiarki i podnosząc głos, zapytał ją, czy wciąż tam była, ale ona nie odpowiedziała. Nasypał kawy do filtra z takim samym namaszczeniem, z jakim kiedyś żołnierze mogli ładować swoje pistolety prochowe, ponieważ chciał, żeby to była najlepsza kawa na świecie. Po chwili

ponownie zapytał, czy wszystko jest w porządku. Tak jak się spodziewał, nie otrzymał odpowiedzi. Wszedł na górę na palcach – chciał sprawdzić, co się dzieje. Zajrzał bezszelestnie do pokoju, żeby go nie zauważyła. Alba siedziała w tej samej pozycji, w której ją zostawił. Przez chwilę ją obserwował.

Było mu jej bardzo żal. Złączył dłonie i poprosił Boga, żeby miał ją w swojej opiece. Kiedy wrócił do kuchni, kawiarka zaczynała już bulgotać i wydzielać zapach, który według ojca Leonarda był w stanie odegnać smutki.

Ustawił na drewnianej tacy dwie filiżanki, dwie łyżeczki i cukierniczkę, a następnie nalał kawy.

– Już idę! – krzyknął.

Złapał tacę za uchwyty i wszedł na górę.

– Z drogi, z drogi, uwaga, nadchodzi czarna gorąca kawa! – powiedział, a następnie zanucił jakąś wesołą melodię.

Kiedy wszedł i zobaczył Albę wpatrującą się w niewielki budzik z oksydowanego metalu, który ustawiła przed sobą na stoliku, uśmiech ojca Leonarda przekształcił się w grymas przerażenia. Poczul, jak wargi mu kamienieją. Musiała przynieść go ze sobą z domu, ponieważ w jego apartamencie nie było takiego zegarka. Szybko ustawił tacę na stolikui pogładził ją z czułością po głowie.

– Jesteś chora, wezwę lekarza. – Podsunął jej parującą filiżankę. – Dasz radę wypić?

– Tak, dziękuję – odpowiedziała Alba.

Chwyciła filiżankę za ucho i przysunęła ją sobie do ust. Piła jak gdyby nigdy nic, pogrążona w rozmyślaniach.

– Ten budzik należy do ciebie?

– Tak.

– Dlaczego go ze sobą nosisz?

– Ponieważ nastawiony jest na dziesiątą. – W tej chwili wskazywał dziesiątą pięćdziesiąt dziewięć.

– Więc jeszcze chwila... – zaczął mówić ojciec Leonardo, gdy nagle srebrzysty, ostry, metaliczny dźwięk budzika przeciął na pół jego słowa.

Alba wlepiała w niego zimne i taksujące spojrzenie, a następnie gniewnym głosem powiedziała:

– Jesteś świnią.

Dzwoniący jak oszalały budzik sprawił, że ojciec Leonardo nie dosłyszał tych słów. Po kilku próbach udało mu się go wyłączyć i poprosił ją o powtórzenie.

Bez żadnego drgnięcia czy oznak emocji w głosie Alba powiedziała:

– Jesteś plugawą świnią.

– Ależ...

Alba wstała w ten sam mechaniczny sposób, w jaki mówiła, i zaczęła się rozbierać. Nie wykonywała jednak żadnych zmysłowych ruchów przypominających pokaz striptizu – zwyczajnie wstała, rozpięła spokojnie płaszcz

i opuściła go na podłogę. Pod spodem nie miała nic.

– Ależ Albo...

Ojciec Leonardo zaczął się cofać, aż poczuł, że ściana blokuje mu dalsze ruchy.

– Ale co...

Próbował na nią nie patrzeć, ale było to niemożliwe.

Ona przesuwała się do przodu mechanicznym i miarowym krokiem, zawzięta, zimna niczym upiór.

– Świnia! – warknęła.

Nagle mięśnie jej twarzy przybrały grymas zniesmaczenia, jakby właśnie omyłkowo napiła się octu. Warknęła bezdźwięcznie.

– Świnia! – powtórzyła.

Ojciec Leonardo nie wiedział, jak się zachować.

Wybiegnięcie na zewnątrz i wołanie o pomoc absolutnie nie wchodziło w rachubę. Co by sobie pomyśleli?

Wywołałby skandal. Tak samo wykluczone było użycie wobec niej siły.

– Świnia! – powtarzała wciąż, zbliżając się do niego.

– Alba, proszę, przestań.

Kobieta wskoczyła na niego. Wczepiła się w jego szyję i oplótła go w talii gołymi udami, sprawiając, że stracił równowagę i upadł bokiem na ziemię, a ona przywaliła go własnym ciałem. Przewracając się, ojciec Leonardo uderzył głową o kant szafki i padł bez życia na podłogę.

Alba rozebrała go bez pośpiechu, wciąż nazywając go świnią.

Cała operacja trwała kilka minut – wystarczająco długo, żeby ojciec Leonardo odzyskał świadomość i zaczął błagać o litość. Zdołał unieść głowę i rozejrzeć się dookoła. Zobaczył przed sobą swoje rozłożone na ziemi, obwisłe ciało i poczuł nieskończony wstyd za siebie samego i cały wszechświat.

Za to, że musiał uczestniczyć w czymś tak odrażającym.

– Proszę cię – wymamrotał.

Ale Alba zdjęła buty i wbiła mu obcas jednego z nich w oko. Zanurzyła go w oczodole i zaczęła obracać, uciskając i wyjmując, jakby wyciskała pomarańczę. Następnie zrobiła to samo z drugim butem i drugim okiem.

Kiedy jej kuzyn dogorywał w rzece krwi, Alba wstała na równe nogi i zaczęła zbliżać się z opuszczoną głową do ściany. Trzy długie i szybkie kroki, bez chwili zawahania.

Czubek jej czaszki uderzył gwałtownie w kamienną ścianę, wydając trzeszczący i głuchy odgłos, podobny do uderzeń młotka w orzech kokosowy. Nogi ugięły się pod nią, osunęła się na ziemię. Bez zająknięcia, żadnego stęknienia wywołanego bólem zdołała ponownie unieść się na nogi. Z głowy tryskała jej niewielka fontanna krwi, która spływała na włosy. Skulona, na chwiejących się nogach, z ociekającymi gorącą krwią

końcówkami włosów powróciła do punktu wyjścia i przygotowywała się, żeby znowu rzucić się na ścianę. Bez zastanowienia mocno napięła mięśnie nóg. Udało jej się odbić od ziemi, ale trwało to tylko chwilę. Nagle tłące się w niej światło zgasło. Jej nagie, pozbawione życia ciało upadło obok ciała ojca Leonarda.

Ktokolwiek wszedłby do pokoju w tej chwili, ujrzałby przed oczami scenę zbrodni o podłożu seksualnym – skandal, który Kościół z pewnością chciałby ukryć i otoczyć zasłoną milczenia na zawsze.

Rozdział 58

Berlin

Napuchnięte, sine, poszarpane chmury. Smagane grzmotami, ranione piorunami. Ich cienie prześlizgiwały się nad cierpiącym, posiniaczonym i pogrążonym w wojnie światem. Chmury przecinane skrzydłami myśliców, przerywane bombami, przeszywane działami artylerii przeciwlotniczej. To nie deszcz pada. To chmury płaczą.

Lio zacisnął z przygnębieniem wargi.

– Nie tak – powiedział, potrząsając stanowczo głową. Wydarł kartkę, na której właśnie zapisał niezliczony już i bezsensowny początek historii. Ona jednak nadal nie chciała ułożyć mu się w głowie.

Jakim cudem zdołał napisać trzy powieści docenione przez krytyków i czytelników? Co oznaczało „pisać”?

Przypominał sobie typowy rytm swoich dni podczas pracy, bez ustanku stukającą maszynę do pisania, niezliczone kawy, kilka wywiadów udzielonych dziennikarzom, listy uznania od paru wielbicielek, poświęcone mu artykuły w gazecie, ale w jego pamięci nie pozostało nic na temat sekretów samego rzemiosła.

Nie miał pomysłów, to było więcej niż pewne. I nie wiedział, jak sprawić, żeby do niego przyszły.

Albo posiadał rzadki egzemplarz Parkera 51 z wmontowanym hamulcem, albo ten hamulec znajdował się w jego głowie. Jego umysł przypominał wielkiego jedwabnika całkowicie niezdolnego do produkowania wystarczająco mocnych włókien słów, żeby dało się utkać z nich jakiś wątek. Ba! Ciągłe zapominał, jak ważne było wyjście od jakiejś idei, i niepotrzebnie koncentrował się na słowach. Usiłował nawet wyodrębnić motyw, jakiś szczególnie interesujący temat do

rozprawy, w który można by wpleść coś, co stałoby się, jeśli nie arcydziełem, to przynajmniej nadającym się do publikacji opowiadaniem – jeśli nie *tą* książką, to przynajmniej *jakaś* książką.

Jednak nic takiego nie chciało się zdarzyć.

„Być może – myślał – brakuje akcji. Lepiej odłożyć na bok lirykę i zacząć jakąś ożywioną sceną, może toczącą się w jakimś egzotycznym miejscu, jak na przykład afrykańska dżungla, albo jeszcze lepiej – przedstawić osobiste doświadczenia, chociażby wypadek na wysokości ośmiu tysięcy metrów na nietkniętym ludzką stopą szczycie góry”. Nie mógł się zdecydować. Nie wchodziło w grę, żeby opisać historię bazującą na nadprzyrodzonych umiejętnościach umysłowych. Była to jedyna kwestia, w której miałby do powiedzenia coś autentycznego, ale zawsze jej unikał i będzie unikać jej do końca swoich dni.

Po godzinie spędzonej na oglądaniu wiszących na ścianach reprodukcji zdesperowany zaczął jednak pisać:

Pewnego wieczoru po kolacji zostałem zaproszony przez kilkoro przyjaciół do uczestnictwa w seansie mediumicznym. Zgodziłem się z czystej ciekawości. Byłem nastawiony do tego sceptycznie i gotowy drwić z przedstawienia, w którym – jak sądziłem – miałem uczestniczyć. Ale podczas seansu moim zdumionym oczom ukazało się to, co okultyści nazywają przenikaniem przedmiotów, czyli materializacja przedmiotu pochodzącego z innego świata. Słyszałem kiedyś, że przedmioty, które dopiero co się zmaterializowały, zazwyczaj są bardzo gorące, ale przedmiot, który nabierał kształtów na tym okrągłym stole ozdobionym ornamentem splecionych dłoni, wręcz się żarzył. Był rozpalonym kawałkiem metalu przypominającym część

jakiegoś mechanizmu. Stół zajął się ogniem, a uczestnicy seansu, w tym kobieta medium, odskoczyli do tyłu i pospadali z krzesel.

Zniesmaczony wyrwał i zgniótł również tę kartkę.

– Lio Rolu – powiedział do siebie – jesteś fanfaronem.

W tym momencie usłyszał, że otwierają się drzwi.

– Można? – zapytał kobiecy głos, delikatny niczym podmuch wiatru.

Lio odłożył zeszyt i wsunął pióro do kieszonki marynarki.

– Proszę!

Do pokoju weszła Monica – chuda, wysoka, czarująco nieśmiała – i przeprosiła za kłopot.

– Musimy iść – powiedziała.

Ze złączonymi w dole rękoma niczym zawstydzona uczennica rzucała w jego

kierunku niepewne spojrzenia i kiwała głową. Położyła sobie palec na ustach.

Jej umysł krzyczał. „Jesteś tu z pewnego powodu” – myślała bezbłędnie po włosku. „Nie mogę teraz o tym z tobą rozmawiać”.

Lio skinął głową – domyślał się, że za drzwiami stał ktoś jeszcze. Beznamiętnie, nie wypowiadając ani słowa, wstał i zabrał papiery oraz zapalniczkę. „Chce pani?” Nałożył płaszcz. „Nie palę, dziękuję” – odparła mu bezgłośnie Monica, znowu posługując się doskonałym włoskim.

Zszedł za nią po schodach aż do korytarza wejściowego, zastanawiając się, kim tak naprawdę była Monica Müller, i snując domysły na temat tego, skąd tak dobrze znała język włoski. Może dlatego, że była Włoszką? Być może przyjaźniła się z Sibyllą i miała mu coś do powiedzenia? Wydawało się, że z niecierpliwością czekała na moment, kiedy będzie mogła z nim porozmawiać. Co chciała powiedzieć przez stwierdzenie: „Jesteś tu

z pewnego powodu”? Naprawdę to pomyślała, czy Lio to sobie wymyślił?

Teraz już nie mógł jej usłyszeć. Monica emanowała taką samą ciszą jak wyłączone radio.

Na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy stał mercedes, który odebrał go z lotniska. Czekał z włączonym silnikiem, burcząc i wypluwając strużkę benzyny przez rurę wydechową. Za kierownicą siedział poważny Giger.

– Reichsführer-SS chce się z tobą spotkać – wyszeptała Monica kącikiem ust. – Nie lubi rozczarowań. Mam nadzieję, że masz mu do zaprezentowania coś naprawdę ciekawego.

Rozdział 59

Założył się sam ze sobą, że mercedes zmierzał do jakiegoś luksusowego apartamentu w Berlinie lub na lotnisko, gdzie stał już samolot gotowy do odlotu do Wewelsburga – zamku będącego kwaterą główną SS. Tymczasem po długiej podróży, która z powodu szorstkiego milczenia Gigera ciągnęła się w nieskończoność, jego stopy zatopiły się w żwirze nieczynnego torowiska, które skojarzyło mu się z drabiną prowadzącą do piekła.

Szli przez około kilometr, stąpając po drewnianych belkach i wydzielając chmury pary niczym lokomotywy, a Lio wciąż nie mógł dojrzeć ewentualnego celu wędrówki. Ten odcinek torów wyglądał na nieużywany od dłuższego czasu i trudno było wyobrazić sobie bardziej odludne miejsce.

Żwir trzeszczał wciąż pod stopami niczym kawałki suchego chleba. Po kilku minutach Lio dojrzał w oddali obrysowany światłem księżycy kamienny łuk, a poniżej czarne półkole, na środku którego znajdowała się plama czerwonego światła. „Tunel” – pomyślał. „Co robił szef SS i policji Rzeszy w tunelu w środku nocy?”

– *Heinrich* – oznajmił Giger – prywatny pociąg Heinricha Himmlera.

Odpowiadał na jego pytania? Potrafił go usłyszeć bez kontaktu fizycznego, którego z kolei potrzebowała Maria? Czyżby Lio go nie docenił? Wysilił się, żeby myśleć o czymś innym, o tym jak bardzo szanował Rzeszę za jej Führera oraz SS-Reichsführera Himmlera, a ponieważ nie udawało mu się to, zaczął nucić piosenkę Trio Lescano.

„*Patrz, patrz, patrz, piękny zakochany pingwin – śpiewał bezgłośnie – ze sztywnym kołnierzykiem i nakrochmalonym gorsem...*”

Myślał o Albie. Pozostawił ją na pastwę losu i czuł, że już więcej jej nie zobaczy.

„...odchodzi smutny z sercem złamanym”.

A może myślał o Sibylli? Zmuszał się, żeby nucić tę znienawidzoną piosenkę, ponieważ w tym momencie nie przypominał sobie żadnej innej.

„Cichuteńko, na paluszkach, śliczny zakochany pingwin...”

Dlaczego pojechał tak daleko i nigdy do niej nie napisał?

„...odchodzi smutny ze złamanym serduszkiem”.

Nie pamiętał.

„Potem w nocy słychać było trzask...”

Nagle Giger się zatrzymał. Zza wagonu wyłoniła się czarno-rdzawa plama, która szła w ich kierunku, zarzucając karabin na ramię i trzeszcząc oficerkami na żwirze.

– Heil Hitler! – zakrzyczała, wznosząc ramię.

– Spocznij – odparł Giger.

– Król Enrico czeka na nas. – Żołnierz z oddziału Waffen SS wykonał krok do tyłu.

Z ciemności popłynęło w kierunku Gigera wiele innych powitalnych „Heil Hitler”, a Lio dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że teren pilnowany był przez dziesiątki niewidzialnych żołnierzy, rozproszonych w mroku. Echo odbijało ich kroki w tunelu, sprawiając wrażenie, że jest ich coraz więcej.

Heinrich zatopiony był w ciemności. Im bardziej się do niego zbliżali, tym bardziej rząd oświetlonych okien upodabniał go do wypełnionych złotem wagonów w kopalni.

Żołnierze na dachu pociągu. Po dwóch strażników przy drzwiach każdego wagonu. Każdy cień zdawał się żywy.

Wsiedli: najpierw Monica, potem Lio, a w końcu Giger, który sam otworzył drzwi, jakby był u siebie w domu.

Rozdział 60

Wnętrze pociągu opływało w luksusy. Ściany wyłożone były obiciami z kutego żelaza lub dębowego drewna, a nad całością dominowała wielka flaga ze swastyką. W wagonie nie było górnego oświetlenia. W falującym w dole słabym i gęstym niczym muł świetle, które przerzedzało się na wysokości okien i zmieniało w bardziej intensywne i złote refleksy pokrywające twarze plamistymi cieniami niczym sadza, oczy znajdujących się w wagonie osób zapadały się w ciemnych jaskiniach oczodołów, a wszystko dookoła miało posepny i upiorny wygląd.

„Gdyby w średniowieczu istniały pociągi – pomyślał Lio – wyglądałyby właśnie tak”.

W głębi drugiego wagonu siedział Heinrich Himmler, szef policji i SS. Wbrew przypuszczeniom Lio nie był otoczony przedstawicielami najwyższych stopni Czarne-

Porządku i pogrążony w dyskusjach o wojnie. Czytał książkę, siedząc obok swojej kochanki, Hedwig, byłej sekretarki i matki dwójki jego dzieci.

– Punktualnie jak w zegarku! – powiedział, zwracając się do Gigera.

Zamknął książkę na kolanach i rozpromienił się w uśmiechu. Cała jego postać zdawała się mieć dwa oblicza: Himmler w tym samym momencie uśmiechał się i patrzył pogardliwie, jego twarz była zaokrąglona, ale równocześnie spiczasta. W swoich okrągłych okularach nasadzonych na czubek nosa raz przypominał wieśniaka, a raz intelektualistę.

Niemcy zawsze witali się rzymskim salutem, jednak tym razem Giger pominął go, a zamiast tego przyklęknął i – pomijając również zwyczajowe „Heil Hitler” – nazwał go „waszą wysokością”. Widać było, że Himmler dobrze wiedział, jaką figurą na szachownicy świata chce zostać. Reichsführer-

SS, wspierany przez Towarzystwo Vril, miał zamiar zająć miejsce Hitlera?

Monica skierowała swój szeroki uśmiech wprost do Hedwig – to było już ich drugie spotkanie.

Himmler zaprosił Gigera, żeby usiadł. Wzjął hełm wojenny i nałożył sobie na głowę.

Lio wcale nie zdziwiło takie zachowanie: Reichsführer-SS chciał ukryć cenne sekrety, które przechowywał w swoim umyśle – umyśle przyszłego Führera. Nie wiedział jednak, że ten zabieg był zupełnie bezcelowy, jeśli tylko tacy jak Lio potrafili znaleźć właściwą harmonię z jego myślami.

Pozwolono mu się zbliżyć, a w tym czasie Himmler bacznie obserwował jego rysy twarzy. Była to pierwsza rzecz, którą robił, kiedy spotykał kogoś po raz pierwszy – analiza antropometryczna. Chciał się upewnić, że jego rozmówca nie należał do ludzi drugiej kategorii.

Lio był wysoki i smukły, miał podłużną czaszkę, subtelne wargi, płaskie czoło i odstający podbródek, zatem Himmler zaaprobował go skinieniem głowy. Nie miał ani blond włosów, ani niebieskich oczu, ale jego nos był wąski, a twarz pociągła. Był przystojny, co Himmler stwierdził poprzez kolejne skinienie głowy.

– Pańska siostra miała jasne oczy i blond włosy. Nie powiedziałbym, że jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody... – Przyjrzał mu się uważniej. – Tak, może tylko spojrzenie...

– Wszyscy zawsze nam mówili, że nie jesteśmy do siebie podobni – powiedział Lio doskonałym niemieckim. – Dla mnie... – Przykucnął, prawie dotykając kolanem podłogi *Heinricha*. – Dla mnie to wielki zaszczyt, że mogę stać przed pańskim obliczem.

– Więc to pan jest tym słynnym Lio Rolem – powiedział Himmler.

Lio wstał, jednak wciąż spoglądał w dół.

– Tak, to ja.

– Kazałem przeczytać sobie pańską książkę *Więzień Atlantydy*, a teraz chcę poznać również pozostałe.

– To dla mnie ogromny zaszczyt, proszę pana – powiedział Rol, nie patrząc mu w oczy.

– Załatwię, żeby została przetłumaczona na niemiecki. Co pan na to?

– Byłoby mi niezmiernie miło.

– Dlaczego sam pan jej nie przetłumaczy, skoro tak dobrze mówi pan w naszym języku?

– Mówienie i pisanie to dwie zupełnie różne sprawy, proszę pana. Nie sprostałbym temu.

– Więc zajmie się tym ktoś inny.

– Dziękuję.

– To jest Hedwig. – Himmler spojrział z czułością na swoją kochankę, podczas gdy ona kierowała w stronę Lio ledwo zarysowany uśmiech i podsuwała mu grzbiet dłoni do

ucałowania. Lio jeszcze raz skopiował gesty Gigerera.

– Proszę – powiedziała Hedwig, wskazując mu trzy niewielkie, stojące przed nią fotele. Usiedli.

Ktoś przyniósł tybetańską herbatę pachnącą wanilią i jaśminem. Rol zaspokajał ciekawość Himmlera, opowiadając mu o Włoszech, o nastrojach obywateli, o tym jak ludność nie wierzyła już ani w Mussoliniego, ani w jutro. Oczywiście musiał opowiedzieć również o swoich podróżach, ponieważ to właśnie jego długi pobyt za granicą wzbudzał największe zainteresowanie gospodarza.

– Odkrył pan coś ciekawego podczas swoich podróży? – spytał Himmler. Wychylił się do przodu, zaciekawiony niczym kot. Szukał czegoś w oczach Lio. – Pewnie niejedno pan widział... – Powoli jego plecy powróciły do pionowej pozycji i spoczęły wygodnie na skórzanym oparciu fotela.

– Niestety – odparł Lio – eksplozja miny spowodowała, że w jednej chwili zostałem pozbawiony wielu wspomnień, przynajmniej tak mówi lekarz.

– Hm, mam nadzieję, że szybko pan wyzdrowieje i zabierze się do pisania kolejnych powieści przygodowych o Atlantydzie.

– Dziękuję panu.

– Wiemy, że potrafi pan przewidywać przyszłość. A może mamy nieprawdziwe informacje?

– Nie, proszę pana. Niestety tak jest. Himmler podskoczył w fotelu.

– Niestety?

– Wolałbym jej nie widzieć – odrzekł Lio.

– Ma pan jeszcze jakieś inne umiejętności, bo ja wiem, może jest pan psychometrą?

– Nie, proszę pana.

– Czyli tylko przyszłość?

– Tak jest.

– I dobrze ją pan widzi?

– Wyraźnie, jak w kinie.

– Czego pan potrzebuje, żeby aktywować swoje wizje?

– Niczego szczególnego. Wystarczy trochę cierpienia i kontakt z daną osobą lub wybranym przedmiotem. Czasami jednak wizje przychodzą samoistnie bez żadnego kontaktu, niespodziewanie. Niekiedy pojawiają się też we śnie. Często nie wiem, czym jest to, co widzę. Wiem tylko, że są to sytuacje, w których ja nie brałem udziału.

– Chce pan spróbować? – Podał mu dłoń.
– Proszę mi powiedzieć, czy ktoś dokona zamachu na moje życie.

Lio zacisnął mu dłoń pomiędzy swoimi i zamknął oczy. Przełknął ślinę, przygotowując się na gorzki smak bólu. Po kilku chwilach zadrżał, a pod jego nosem zalśniła kropla krwi, która następnie spadła na podłogę.

– Mogę pana zapewnić, że nie doświadczy pan żadnego ataku na swoje życie.

Himmler z zadowoleniem zabrał dłoń.

– Mam nadzieję, że będzie długie – powiedział, ale jego spojrzenie zdawało się raczej pytać.

– Długie nie – odparł Lio – ale pańskie nazwiskona wieki wpisze się do podręczników historii.

– I to jest najważniejsze! – Himmler zwrócił się w kierunku Hedwig i posłał jej przelotny uśmiezek. – Prawda, moja droga?

– Prawda – odpowiedziała, gładząc go po tej samej dłoni, która wskazała Lio przyszłość. Skinęli na siebie porozumiewawczo.

– Chce pan spróbować również ze mną? – zapytał Giger, podając mu ślubną obrączkę.

– Wolałbym nie – odpowiedział Rol, odpychając ją dłonią. – Bardzo pana proszę.

– Dlaczego nie? – dopytywał Giger, układając brwiw grymas niezadowolenia.

– Wszystko, tylko nie obrączki ślubne, proszę – powiedział błagalnie Lio.

– Nie mam nic do ukrycia – nalegał Giger, ponownie wyciągając rękę. – No już, proszę wziąć obrączkę.

– Żadnych przepowiedni na temat miłości – powiedział znowu Lio, kategorycznie i nieodwołalnie.

– Obawia się pan, że zobaczy coś, czego lepiej nie wiedzieć? – zapytała Hedwig uprzejmie.

Lio smętnie skinął głową.

– Miłość to zbyt wiele. Przysiągłem sobie, że już tego nie zrobię.

– Przy jakiej okazji?

Potrząsnął głową.

– Nie pamiętam, ale wiem, że tak jest.

– Wielu rzeczy pan nie pamięta? – zapytała znowu Hedwig.

– Zdecydowanie zbyt wielu – odpowiedział.

Hedwig przyjęła jego odpowiedź do wiadomości, wykonując kilka powolnych skinień głową oraz delikatnie się uśmiechając.

– Proszę zatem wybrać jakiś inny przedmiot – zachęcał Rol.

– Ale ja nalegam – powiedział Giger. – Moja żona, Frida, i ja nie mamy nic do ukrycia. Przyszłość jest jak księga? Więc ja nie obawiam się zajrzeć do ostatniego rozdziału. – To już nie on pytał, ale jego zasady, które nakazywały mu wiecznie wykazywać się odwagą. – Niech pan ją weźmie.

Z jego spojrzenia można było wywnioskować, że będzie nalegał do śmierci.

Lio wyciągnął niepewnie dłoń. Prawie dotknął obrączki, ale cofnął rękę.

– Nie mogę.

– Musi pan.

– Chce pan zepsuć sobie finał?

Giger wyciągnął rękę z obrączką i powiedział:

– Tak, chcę tego.

Lio musiał się poddać. Odetchnął, napiął barki, a następnie otworzył dłoń. Giger upuścił na nią obrączkę.

- Proszę nic przede mną nie ukrywać.
- Widzę słoneczny dzień – powiedział biały na twarzy Lio. – Wielu szczęśliwych ludzi – dodał, choć tak naprawdę był przerażony.
- Konfetti... – uzupełnił, z trudem ukrywając grymas obrzydzenia. – Bardzo elegancko ubranych mężczyznę i kobietę. Ona ma na sobie długą białą suknię... Złote gody! Gratulacje, Herr Giger, będzie pan...

Giger przerwał mu, szarpiąc za ramię.

- Nabija się pan ze mnie?
- Wolałby pan, żeby tamtego dnia padało?
- zapytał Lio. Ale jego mina nie wskazywała na to, że żartuje. Był wyraźnie wstrząśnięty. Jego sztuczny uśmiezek nie potrwał długo i został przepędzony przez napięty wyraz twarzy, niczym kropla wody na szybie przez podmuch wiatru.

– Co pan widział?

Również Himmler i Hedwig wpatrywali się w jego usta. Lio westchnął i ustąpił.

– Widziałem pańską śmierć – powiedział, zwracając się do Gigera i patrząc mu prosto w oczy.

– To, że umrę, wiedziałem już wcześniej – zareagował ze spokojem Lothar. – W takim układzie sądzę, że jest pan zwykłym krętaczem, panie Rol. Przez pana tracimy tylko cenny czas.

– Nikczemna kostucha już niebawem po pana przyjdzie – odparł Lio, bowiem nie znosił, gdy ktoś sugerował mu, że jest oszustem. – W tym smutnym dniu będzie panu towarzyszyła osoba, którą pan kocha. Mogę tylko powiedzieć, że w tym przypadku nie chodzi o pańską żonę, aleo mężczyznę.

Giger wolał nie pytać o szczegóły.

– To mógłby być mój ojciec.

– Wydawał się za młody.

– Mój brat... – Zabrał obrączkę, usiłując nie dać po sobie poznać, że krew w jego żyłach niemal zastygła. Jednak ręce mu drżały. Nie mógł trafić obrączką na palec,

który nagle stał się tak samo blady jak jego twarz.

– Jedyne, co mogłoby mnie wystraszyć, to gdyby powiedział pan, że ja lub moi bliscy zginiemy w wypadku samochodowym lub w inny równie banalny sposób – powiedział z podniesioną głową, ukazując znów swoje alabastrowe i lśniące niczym stalaktyty i stalagmity w jaskini użębienie.

– Nie będzie to wypadek samochodowy, to mogę panu zaręczyć.

– Bardzo dobrze. – Giger wyprostował się.
– Nie boję się. W każdej chwili jestem gotów oddać życie dla Rzeszy.

Himmler skwitował to majestatycznym spojrzeniem, a następnie spojrzał na Lio.

– Panie Rol, teraz, kiedy wyjawiał mi pan, że niebawem stracę wartościowego człowieka i oddanego przyjaciela oraz że sam nie będę żył długo, proszę nam dać dowód swoich umiejętności.

Lio wyjął z kieszeni zeszyt i pióro. Wyrwał dwie czyste kartki.

– Mogę poprosić o coś do pisania?

Hedwig miała ołówek, używała go jako zakładki do książki.

– Proszę, niech go pani trzyma. – Lio podał jej jedną z kartek z zeszytu.

– I jeszcze to.

Hedwig wzięła kartkę i spojrzała na pozostałych, jakby chciała przeprosić, że znalazła się w centrum uwagi.

– Poproszę panią, żeby pani coś narysowała – powiedział i odszedł w głąb wagonu. Usiadł przy ostatnim stoliku i zaczął rysować. Kiedy skończył, wstał, zgiął kartkę na cztery i podał Himmlerowi.

– Teraz pora na panią, Hedwig. Proszę narysować co tylko pani chce, cokolwiek.

Po chwilowym zastanowieniu Himmler zezwolił jej, żeby wzięła udział w eksperymencie.

– Proszę narysować pierwszą rzecz, jaka przyjdzie pani do głowy – powiedział Lio – a kiedy pani skończy, proszę nam pokazać.

Hedwig spieszyła się, nie umiała zbyt dobrze rysować, ale bawiło ją to i nie potrafiła tego ukryć. Nie chciała wycofać się z gry. Była podekscytowana i coraz bardziej przekonana, że Lio naprawdę posiadał wyjątkowe umiejętności. Zaczęła coś rysować, pod ciekawskim spojrzeniem partnera.

Powoli spod ołówka zaczęła wyłaniać się dziwna roślina o mięsistych i drapieżnych liściach, podobnych do tych, jakie namalowane były w łazience Roux.

– Widziałam taką w manuskrypcie Voynicha – powiedziała Hedwig, wzbogacając jednocześnie rysunek światłocieniem. W kilku punktach przejechała ołówkiem jeszcze raz, próbując poprawić linie, które nie wyszły jej tak jak chciała, ale tylko je pogorszyła. Na koniec dorysowała ramkę. W tym czasie zarówno ona, jak i Himmler

spoglądali ukradkowo na Lio, żeby sprawdzić, co robi. Miał zamknięte oczy i czekał.

Minęło wiele minut, zanim Hedwig oświadczyła, że skończyła.

Lio zdawał sobie sprawę, jak bardzo prawdopodobne było, że zostanie wyciągnięty z pociągu i zabity strzałem w głowę przez strażników pociągu, gdyby Himmler się nim rozczarował. Przełknął głośno ślinę.

– Hedwig – klasnął w dłonie i zaczął je pocierać niczym doświadczony iluzjonista – zechce pani zademonstrować swój rysunek?

Kobieta nieśmiało uniosła kartkę.

Siedząca obok niej Monica ukloniła się z uznaniem, dając jej do zrozumienia, że rysunek był przepiękny.

Giger uśmiechnął się i pokiwał z podziwem pochyloną głową.

– Teraz możecie obejrzeć mój rysunek – powiedział Lio.

Hedwig wzięła go z rąk Himmlera, otworzyła powoli, niemalże ostrożnie. Gdy

tylko ujrzała zawartość, jej oczy otworzyły się szeroko, twarz przybrała osłupiały wyraz i zabrakło jej tchu.

To, co narysował Lio, było niewyobrażalne. Było... niemożliwe. Potrząsnęła głową.

Pokazała oba rysunki wszystkim obecnym, którzy doznali równie silnego szoku co ona – Lio wykonał identyczny szkic, obejmujący wszystkie poprawki, ślady ołówka wyjeżdżające poza kontury czy światłocien. Nie były identyczne jak dwie fotografie, ale wszystkie elementy, które Hedwig zamieściła na swoim rysunku, znajdowały się również w pracy Lio. Jediną prawdziwą różnicę stanowiło to, że szkic Lio zrobiony był długopisem, a Hedwig – ołówkiem. Fakt ten jednak pod żadnym pozorem nie psuł wrażenia, jakie wywołała ta zabawa, a wręcz je wzmacniał, ponieważ jeszcze wyraźniej unaoczniał, że rysunki tych dziwnych roślin zostały wykonane przez dwie różne osoby, a mimo to rysunek Lio był wierną kopią rysunku Hedwig, gdy tymczasem

możliwość, że wykonał jeden egzemplarz przed ich spotkaniem, zupełnie nie wchodziła w rachubę. Poza tym oderwane od zeszytu brzegi kartek pasowały idealnie do fragmentów, które w nim pozostały. Żadne sztuczki nie wchodziły w grę.

Wszyscy drgnęli. Hedwig odskoczyła do tyłu i opadła na oparcie fotela.

– Nie do wiary – powiedziała, kładąc dłonie na głowie.

Giger stwierdził, że nigdy nie uczestniczył w czymś takim. Na jego twarzy nie było już śladu urazy. Posępna wizja Lio na temat jego śmierci zdawała się odległą, odłożoną do archiwum sprawą. Nawet Monica przytknęła dłoń do ust i wybałuszyła oczy.

Długo się w niego wpatrywali niezdecydowani, czy mają być zachwyceni, czy nie dowierzać temu, co zobaczyli, czy powinni wyrażać podziw, czy okazać oburzenie, że tak łatwo dali się oszukać.

Chwilę później twarz Reichsführera znów przybrała dwoisty wyraz. Za jego okularami pod maską przerażenia zaczęła migotać radość.

Rozdział 61

Poniedziałek, 25 stycznia 1943 r.

Kiedy ponownie otworzył oczy, ujrzał swoje odbicie w lustrze na suficie. Obok niego leżała drobna postać śpiącej jeszcze Moniki.

Sypialnia wypełniła się bladym światłem słonecznym malującym wszystko na szaro. Gigantyczne żaby i kijanki z reprodukcji na ścianach były szare, tak samo jak uskrzydleni Vril-Yanie. Spojrzał na zegarek – wskazywał 7:55.

„Jeszcze pięć minut do końca Godzin Ciszy – pomyślał – potem zaczną się Godziny Pracy”.

Ale po ósmej Monica wciąż spała. Nie obudziła się nawet wtedy, gdy Lio wstał z łóżka, skorzystał z łazienki i zapalił w oknie papierosa, wydmuchując pod wiatr szary jak niebo dym i myśląc o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru.

Przez całą drogę powrotną po spotkaniu z Himmlerem Giger nadskakiwał mu, był serdeczny, prawieusłużny. Z polującego na niego łowcy przekształcił się w wielbiciela. Monica natomiast ani przez chwilę nie przestała puszczać mu apatycznych i porozumiewawczych spojrzeń.

Reichsführer powiedział do niego:

– Kiedy pana poprosimy, będzie pan dla nas przewidywał przyszłość. We wszystkich innych kwestiach może pan żądać, czego pan tylko chce, panie Rol!

– Chciałbym móc prowadzić badania na poczet mojej kolejnej powieści – odparł Lio.

– Oddam do pańskiej dyspozycji wszystko, czego będzie pan potrzebował, panie Rol. Mogę spytać, na jaki temat będzie pańska książka?

– Jeśli się pan zgodzi, będzie opowiadała o poszukiwaniach prowadzonych przez Ahnenerbe we wszystkich zakątkach świata, a w szczególności o ekspedycjach do Boliwii.

O megalitycznych i modułowych budowlach Puma Punku i zapomnianej historii Tiahuanaco...

– Sądzę, że to doskonały pomysł. Ma pan jakąś osobistą teorię?

– Sposób, w jaki potomkowie Atlantydów obrabiali najtwardsze kamienie na ziemi, jest niesłychany. Jestem przekonany, że posiadali wiedzę na temat jakiejś substancji lub energii podobnej do Vril – a może właśnie nawet samej Vril? – za pomocą której potrafili sprawić, że kamień stawał się bardzo lekki, jak również upłynnić go i ukształtować wedle swoich upodobań, tudzież przenosić go przy użyciu napędów antygrawitacyjnych. W Peru istnieje legenda o Wirkoczanach, według której pochodzące z nieba światło stopiło ogromny głaz, czyniąc go lekkim niczym korek. To wyjaśniałoby, w jaki sposób zostały skonstruowane imponujące starożytne budowle megalityczne. Również Bulwer-Lytton mówi, że Vril-Yanie wiedzieli, jak

torować sobie drogę, drażyć tunele i łamać skały, kiedy tworzyli pod ziemią całe krajobrazy. Puma Punku i Tiahuanacoto przykład, że istnienie sztucznego świata pod ziemią jest możliwe. Chcę przez to powiedzieć, że naprawdę może istnieć jakaś podziemna sieć tuneli przebiegająca przez całą kulę ziemską, do której wejścia porozsiewane są po całym świecie. Możliwe, że ten chtoniczny świat to Agharta, że jej stolicą jest Shambala i że znajduje się pod górą Kajlas w Tybecie. Byłem tam nawet osobiście.

– I znalazł pan wejście?

– Szczerze mówiąc, nie... – Oczy Lio przeskoczyły z Himmlera na jego kochankę, następnie na Gigerai Monicę. Wszyscy wpatrywali się w niego oczarowani. – Ale czasami zapominam, że to, co napisał Bulwer-Lytton, to tylko powieść.

– To nie jest tylko powieść – poprawił go Giger. – Lytton był wtajemniczony w obrządek różokrzyżowców jako taki był

alchemikiem. Jego przedstawienie podziemnego świata to opis rzeczywistości przekształconej w fikcję literacką. Zielone światło Vril-Yan wytwarzane jest przez tę samą energię, która zasilala wieczne świece na grobie Christiana Rosenkreutza. Vril to skrót od vitriolu – alchemicznej formuły *par excellence*.

Zrelaksowany Himmler siedział ze splecionymi rękoma i patrzył z ogromnym zainteresowaniem na swojego obersturmbannführera, sprawiając wrażenie niezwykle rozbawionego tematem rozmowy.

– *Visita Interiora Terrae Rectificando Invenies Occultum Lapidem*. Odwiedź głębię Ziemi; przez oczyszczenie znajdziesz tam ukryty kamień – powiedział. Stąd pochodzi akronim Vitriol, który z kolei Bulwer-Lytton zaszyfrował w słowie „Vril”, żeby nie wyjawiać zbyt wiele – kontynuował Giger. – Kamień filozoficzny alchemików to nasz Vril i znajduje się on we wnętrzu Ziemi. Bo kamieniem filozoficznym nie jest sekret

przekształcania jednej materii w drugą, ale materii w energię.

– Mnóstwo energii – dodał Himmler ekstatycznie.

Giger zaczął deklamować:

– Energię potężną i niebezpieczną. Energię kosmiczną, pierwotną, zakorzenioną też w naszym ciele, z której w trakcie życia wykorzystujemy tylko niewielką część, pozostawiając ją prawie cały czas w ukryciu, a która może dać nieograniczoną moc temu, kto umie się nią posługiwać. Pan, na przykład, potrafi czerpać z tej energii dużo lepiej niż zwykli ludzie.

– Zatem – powiedział Lio – wy też uważacie, że we wnętrzu Ziemi naprawdę żyje jakaś sięgająca dziesiątek tysięcy lat populacja, o wiele bardziej rozwinięta od nas i będąca w posiadaniu tego sekretu?

– Dokładnie, panie Rol – odpowiedział Himmler, zsuwając okulary i wystawiając je do światła lampy, żeby sprawdzić, czy są

czyste. – I możemy panu zagwarantować, że pańskie marzenia są również naszymi marzeniamii że w końcu staną się rzeczywistością.

– Ale – zauważył Lio – Bulwer-Lytton musiał być świadomy, że anagram VRIL przywodzi na myśl zdanie *Visita Rectificando Invenies Lapidem*. Wykluczył więc tym samym, że kamień znajduje się we wnętrzu Ziemi że jest ukryty.

– Ale w swojej powieści Bulwer-Lytton wkłada wiedzę Vril w ręce superrasy, która żyje we wnętrzu Ziemi. Jak pan widzi, litery brakujące w anagramie VRIL, Bulwer-Lytton zapisał obrazami.

– Ma pan rację – podsumował Lio, demonstrując swoje uznanie.

– Długo pracowałem nad tymi zagadnieniami, ale nigdy nie dostrzegłem związku pomiędzy energią Vril Bulwera-Lyttona a alchemią.

– Kiedy był pan w Boliwii – Himmler rozłożył dłonie na szerokość metra, jakby chciał przedstawić coś bardzo dużego – kiedy znalazł się pan przed Bramą Słońcaw Puma Punku, zapewne jej pan dotykał. Jest pan medium, widział pan coś?

– Ja nie potrafię zaglądać do przeszłości. Ale kiedy byłem w tym magicznym miejscu, które niegdyś musiało znajdować się nad brzegiem jeziora Titicaca, wyraźnie widziałem, że zostało założone przez bardzo dawną i rozwiniętą cywilizację. Sądzę, że osoby te były w posiadaniu niezwykle zaawansowanej technologicznie wiedzy i że znały nawet pismo.

Himmler, Hedwig i Giger wymienili pytające spojrzenia.

– *Kipu* – wyjaśnił Lio. – Węzły Inków nie zostały wymyślone przez nich. Był to jeden z systemów piśmiennictwa Atlantydwów lub Wirakoczan – jak wolicie. Kiedy archeolodzy studiują antyczne cywilizacje i chcą

sprawdzić, czy znały one pismo, szukają wyrytych tabliczek, zwojów pergaminu lub ksiąg, a jeśli ich nie znajdują, zaliczają je do ludów prymitywnych. Ale czym są litery naszego alfabetu, jeśli nie stylizowanymi węzłami na papierze? Odległym wspomnieniem systemu węzłkowego. *Kipu* to ostatni przykład trójwymiarowego pisma. Gdybyśmy na nie spojrzeli, przypominałyby nam jakieś zasłony lub co najwyżej abakusy czy jakieś ofiary na cześć świętych – odpowiednik chrześcijańskich świeczek. Tymczasem to są książki. Każdy węzeł to zespół słów, czyli jednostka o ustalonym sensie. Mieszkańcy Atlantydy do pisania posługiwali się czymś podobnym do *Kipu* już dziesiątki tysięcy lat wcześniej. To nie jest prehistoria, to historia. Nasza przeszłość nie jest taka, jak się wydaje. Pomyślcie o starożytnym języku Indian Ajmara, którzy żyją dokładnie nad jeziorem Titicaca. To wymyślony język stworzony w zadziwiający sposób, syntetyczna i bardzo

dobrze zorganizowana matematycznie struktura, która może zostać przekształconana bardzo wyszukany algorytm – niewątpliwa spuścizna po Wirakoczanach.

Nastąpiła bardzo długa cisza.

Konwersacja dobiegła końca, ponieważ Himmler był już do tego stopnia oszołomiony i podekscytowany, że poczuł, iż musi na jakiś czas odseparować się od Lio.

Powtórzył tylko:

– Wszystko, czego pan sobie życzy, Rol.

Następnie wstał, a zaraz za nim podążyła Hedwig. Nie mówiąc nic więcej, klepnął z czułością Lio po ramieniu, skierował w stronę Gigera gest uznania za to, że mu go sprowadził, i pożegnał wszystkich, nakazując Fraülein Müller, żeby była miła dla gościa z Włoch. Mężczyzna aspirujący do miłania najpotężniejszego człowieka świata oraz jego towarzyszka oddalili się do kolejnego wagonu. Chwilę później lokomotywa pociągu

Heinrich ruszyła powoli, rozsiewając w tunelu gwałtowny huk.

Wysiedli z pociągu. Lio i Monica zostali odwiezieni na Prinz Albrecht Strasse 8. Do tego samego pokoju. Do tego samego łóżka. W jego myślach pojawiła się urażona Alba. Ich romans nie miał szansy przekształcić się w coś poważnego. Ciekawe, czy jeszcze żyła.

Rozżarzony tytoń trzaskał przed jego zamkniętymi powiekami, pod którymi rozpościerała się otchłań.

Zapomniana siostra, do której nigdy nie zadzwonił, nie napisał, z którą nie wiązało się żadne wspomnienie z dzieciństwa.

„Wszystko, czego pan sobie życzy, Rol”.

Sibylla. Nie był na jej ślubie, nie wysłał jej żadnego telegramu z życzeniami ani bileciku z gratulacjami dla nowożeńców. Ktoś musiał za to odpowiadać – być może sam Bóg. Zapłonęło w nim pragnienie zemsty. Nie mógł pozwolić, by umarła w ten sposób, bez twarzy, bez jasnego i wyraźnego powodu.

Papieros palił się sam w jego dłoni, a popiół spadał w to samo miejsce na dywanie. Nagle dzwonek telefonu sprawił, że podskoczył do góry.

Monica wyrwana brutalnie ze snu ukłękła i zaczęła pocierać jedno oko. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Kto to mógł być? Nie sądził, żeby to było do niego, ale odebrał, żeby telefon przestał dzwonić.

– Halo.

– Herr Rol? – Niewinny głosik jakiejś miłej kobiety.

– Tak?

– Telefon do pana.

Zaczekał.

Podczas gdy linia telefoniczna trzeszczała mu do ucha, zakrył słuchawkę dłonią i machnął w stronę Moniki.

– Dzień dobry. – Pokazał jej na migi, jak bardzo był zdziwiony, że ktoś dzwoni do

niego tutaj o tak wczesnej porze. – To do mnie. Wzruszył ramionami.

– Dobrze – powiedziała Monica, kiwając porozumiewawczo głową i mrugając powiekami.

Głos w słuchawce powiedział:

– Pan Rol? – To był Giger.

– Tak, to ja – odpowiedział.

– Proszę się ubierać. Przy wyjściu będzie na was czekał mój człowiek. Odprowadzi was na śniadanie. Widzimy się później w holu RSHA. – Odłożył słuchawkę.

Monica położyła sobie palec na ustach, sugerując mu, żeby mówili półgłosem. Odrzuciła pościel i ukazałamu się całkiem naga, przykryta wyłącznie szarym światłem poranka. Wyskoczyła z łóżka, tnąc powietrze sterczącymi sutkami, jej włosy fruwały niczym plewy ziarna na wietrze.

– Pracuję dla Panopticonu – wysyczała ledwo słyszalnie, przestając nagle zachowywać się jak niezbyt rozgarniętai frywolna

pensjonarka i przybierając poważny wyraz twarzy. Nie wyglądała na przejętą ryzykiem, z jakim wiązało się igranie z osobami takimi jak Giger. – Powiedziano mi, że przybędziesz – dodała, tak jakby on miał pojąć w lot to, co powiedziała i nie trzeba było nic więcej wyjaśniać. Zapisała na kawałku papieru jakiś numer telefonu i podała mu.

– Możesz już tam zadzwonić.

Lio wziął numer, starając się nie tracić rezonu.

– Znasz Spartaka?

– Nie, zresztą nikt go nie zna.

– Do kogo mam zadzwonić?

– Nie wiem. To jest drugi etap, przyjacielu.

„Jeżeli wejście Lio Rola do Towarzystwa Vril zakończyło się sukcesem i rozwiały się wszelkie wątpliwości, niezwłocznie zadzwonić”. Takie są rozkazy.

Teraz Monica była o wiele bardziej pewna siebie.

Oprócz jej towarzystwa Giger zadbał również o to, żeby Lio znalazł w pokoju nowe włoskie ubranie z napisanym jego ręką bilecikiem: *Niech pan wyrzuci ten strój rabina.*

– Pozwalają nam się tu pławić w luksusie i wygodach, ale chcą czegoś w zamian – powiedziała Monica. Postawiła piętę na łóżku i nasunęła pończochę na czubek stopy. – Członkowie Towarzystwa Vril utrzymują, że dostają drogą telepatyczną z odległej planety jakieś projekty bardzo zaawansowanych pojazdów latających. – Dotknęła skroni w geście mówiącym, że jej zdaniem byli wariataami. Przemaszerowała na kolanach po materacu i przysunęła się do niego. Przywołała go do siebie palcem.

Kiedy Lio skończył wiązać sobie krawat, pochylił się nad nią i powiedział, dmuchając jej w ucho:

– Lepiej, jeśli porozmawiamy o tym na zewnątrz.

– Nie sądź, że można się tu wkraść tak bezkarnie. W chwili gdy nie będziemy im już potrzebni, pozbędą się nas. Nie pozwoliliby nam chodzić po świecie i opowiadać, że najwyższe osobistości Rzeszy oczekują, że ukończą konstrukcję cudownej broni dzięki projektom uzyskanym z układu słonecznego Aldebarana. Ja nie boję się śmierci ani cierpienia. Wskazała na swój policzek i wypchnęła go od wewnątrz językiem.

– Ludzie z Panopticonu dali mi kapsułkę z cyjankiem. Niekiedy mam ochotę ją przegryźć, zanim mnie do tego zmuszą. Straciłam dwóch braci w tej przeklętej wojnie. Mój ojciec zmarł z bólu rok później. Moja matka nie żyje już od jakiegoś czasu. Zostałam sama. Na niczym mi jużnie zależy.

– Przykro mi.

– Nie przejmuj się, domyślam się, że tobie też życie nieraz skopało tyłek.

– W istocie, tak było.

Rozdział 62

Rzym

Nikt się nie skarżył na deszcz. To była tylko woda. Przecież w każdej chwili z nieba mogły polecieć bomby.

Koła ciężarówki pluskały w błotnistym ła-
jnie, obryzgując wszystko dookoła, w tym
przechodniów, ale na to też nikt się nie
skarżył. Nikt się nie skarżył już na nic.

Roux i major umówili się na spotkanie
w kawiarni Negus i teraz oglądali przez zab-
rudzoną błotem szybę scenerię zmoczonego
i brudnego Rzymu, ludzi idących przed siebie
w ciszy, przygarbionych nie z powodu
kapiącego na nich deszczu, lecz bólu, głodu
i braku nadziei.

Wybór najbardziej ustronnego stolika nie
był spowodowany obecnością wielu klientów.
W tym momencie lokal świecił pustkami
i było niemal pewne, że jeszcze przez dłuższy

czas nikt do niego nie zawita. Ta zbędna ostrożność wynikała raczej z przyzwyczajenia, rutyny.

– Nie ma brata, to jest pewne – powiedział major, pukając palcem wskazującym w obrus.

– Nie ma brata – odpowiedział echem zamyślony Roux.

– Lio Rol nie istnieje. – Major rozpostarł ramiona, opierając się o krzesło. – A jeśli istnieje, nie jest jej bratem. Wielu mieszkańców dzielnicy, w której urodziła się i dorastała Sibylla, zna ją i wszyscy wiedzą, że jej brat zginął wiele lat temu w wypadku w górach. Miał na imię Tommaso.

Roux kiwał lekko i powoli głową jak ktoś, kto dowiaduje się, że został podstępnie oszukany – z przyklejonym do twarzy kpiącym uśmiechem i nieobecny wzrokiem.

– Tommaso?

– Tommaso – potwierdził major.

Roux nachylił się i uniósł brew.

– Więc kim jest ten cały Lio?

– Jak tylko to odkryję, będziesz pierwszym, który się dowie.

– Kawa dla panów. – Młody kelner z kawiarni Negus postawił filiżanki i cukiernicę na stole, zabrał pieniądze i zaczął wydawać resztę, ale widząc, że Roux zostawiamu wszystko jako napiwek, uklonił się i podziękował.

Major oparł łokcie o stół, obrócił głowę i odprowadził chłopca wzrokiem.

– Dlaczego zostawiłeś mu te wszystkie pieniądze?

– Dzięki temu nie spojrział na nas – odpowiedział Roux, uśmiechając się półgębkiem. – Nie zauważyłeś? Widział tylko pieniądze.

– Obawiasz się, że ktoś mógłby tu przyjść i rozpytywać o nas?

– Oczywiście, że nie.

– No więc?

– Ostrożności nigdy za wiele, mój przyjacielu.

Major wypił kawę jednym haustem, unosząc energicznie łokieć do góry.

– Ach, co do tego nie ma wątpliwości. – Mlasnął językiem o podniebienie. – Ostrożność to podstawa.

– Wcześniej jest jeszcze przebiegłość.

– Ten, kto nazywa się Lio Rol, musiał mieć jej mnóstwo.

– Na to wygląda. – Roux stał się nieobecny i wpatrywał się tępo w szybę.

– Dobrze by było poinformować o tym szybko naszych przyjaciół z niemieckiej ambasady – powiedział major zadowolony z wykonanej roboty.

– Za taką wiadomość przewiduję dużą sumkę.

– Będą się śmiać, że nie zorientowaliśmy się wcześniej.

– Jak to się mówi? Lepiej późno niż wcale.

Zgodnie z regułą informacje zebrane przez OVRA powinny służyć wyłącznie państwu włoskiemu, a nie być sprzedawane pod ladą innemu państwu, nawet jeśli formalnie jest ono przyjacielem, tak jak Niemcy.

Ale czasy błędów i tłumaczenia się należały już do przeszłości. Roux postanowił: koniec z płaszczaniem się.

Choć była to tylko jedna z jego gier, nie zniosłby tego ani razu więcej. Musiał zatrzeć za sobą ślady. Działać. Skończyć z tym. Nie powiedział nic więcej. Wciąż patrzył na płynące na zewnątrz potoki wody, niosące ze sobą liście oderwane od gałęzi podczas ulewy.

– Jeszcze dziś udam się do ambasady – poinformował go major.

Roux nie zareagował.

Major wysunął papierosa z pudełka i zapalił, zastanawiając się, o czym rozmyślał jego przyjaciel. Pierwszy raz wydawał się zmęczony, jakby zaraz miał paść. Zdawało mu się, czy pomiędzy bliznami na jego

twarży malował się strach? Nie potrafił sobie nawet wyobrazić przerażonego Roux.

Rozejrzał się dookoła, żeby upewnić się, że nikt go nie widzi, i pogładził go czule po policzku skalanym najdłuższą blizną.

– Coś nie tak? – zapytał go, trzymając papierosa w ustach.

Żadnej odpowiedzi. Roux zaczekał, aż skończy palić, a następnie zapytał go, czy zna pewną grę:

– Widziałem, jak grali w to w Afryce.

– Afryka – powiedział major ze wstrętem – byłem tam całutki rok. W Addis Abeba. Paskudne miejsce. Gorąco jak w piekle.

Major grał w karty, w kości, obstawiał na wyścigach konnych, samochodowych – każda gra była w stanie nim zawładnąć.

– Jeśli ty widziałeś, jak grali w nią w Afryce, ja też to widziałem.

– Tej nie znasz, jestem pewien.

– No to słucham.

– Połóż swoje pieniądze na stole. – Żeby go zachęcić, Roux wyłożył również swoje.

– Zanim zaczniemy grać naprawdę, pokaż mi chociaż, na czym to polega.

Roux spojrział na kelnera.

– Zaczekaj. Nie chcę, żeby ktoś inny też się jej nauczył.

Minęło kilka minut, podczas których uwielbienie majora do gier zdawało się rosnąć jak pozostawione w ciepłe ciasto drożdżowe.

W końcu, kiedy chłopak zniknął na za plecach, długa blizna na policzku Roux znów zmarszczyła się w uśmiechu. Puścił do niego oko.

– Dobrze. – Poprawił się na krześle, usiadł przodem do niego i wyprostował plecy. Przesunął stolik na bok. – Połóż złączone dłonie na brzuchu, jakbyś medytował. – Ułożył mu dłonie na środku tak, że łokcie stykały się z biodrami. – A teraz przysuń się do przodu.

Major wykonał polecenie i usiadł na skraju krzesła, jednak wahał się. Zastanawiał się, jaką to grę widział Roux w Afryce, ponieważ wstęp do niej nie zapowiadał się zabawnie. Niemniej myśl, że grał na pieniądze z Roux, współzawodniczył z nim na gruncie, na którym uważał się za lepszego, możliwość zyskania przewagi i pokonania go choć ten jeden raz, sama w sobie była ekscytująca. Już widział ten moment, w którym z satysfakcją zgarnie pieniądze ze stolika.

„W grach hazardowych to ja jestem szefem” – pomyślał i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Jeśli zdołam przeczytać coś w twoich myślach, wygrywam – powiedział Roux.

– Mam o czymś pomyśleć?

– Najpierw otwórz buzię.

Otworzył.

– Wsuń język.

– Ale co to za dziwna gra?!

– Zaufaj mi.

Major wysunął lekko język i poczuł, że się ośmiesza.

– Rozluźnij się.

Teraz zrozumiał, dlaczego nie chciał, żeby kelner w tym uczestniczył. To była bardzo głupia gra!

Westchnął z rezygnacją i posłusznie wyciągnął język, utwierdzając się w przekonaniu, że wygląda jak dureń. Zaczynał żałować, że dał się podpuścić.

– Najmocniej, jak potrafisz – powiedział Roux.

Długi, pożółkły od nikotyny i kawy, napięty niczym dziwne morskie żyjątko język majora wysunął się z ust.

– Siedź tak. – Roux wsłuchał się w odgłosy naczyń dochodzące z zaplecza, głos kelnera, który z kimś rozmawiał (rozpoznał głos właściciela), i uśmiechnął się. Następnie, błyskawicznie niczym pocisk, zadał majorowi cios z dołu w podbródek.

Język odcięty jednym ruchem przez zęby upadł na ziemię, wydając cichy plusk.

Roux zatrzymał na chwilę wzrok na spojrzeniu majora, jego wybałuszonych z bólu i zaskoczenia oczach, a następnie chwycił go za kark i cisnął na ziemię pod stół. Zakrył go obrusem, żeby nie ubrudzić sobie buta krwią, kiedy nadepnął mu na tętnicę szyjną. Przeszedł go dreszcz podniecenia, gdy usłyszał trzeszczenie chrząstek pod podszewą. Następnie wyszedł, pozostawiając majora rzeżącegow kałuży krwi.

Młodzieniec i właściciel kawiarni niczego nie zauważyli, nikt nie widział jego gry. A na zewnątrz kawiarni Negus miasto było zbyt zajęte walką o przeżycie, żeby zauważyć jego istnienie.

Rozdział 63

Berlin

Zgodnie z sugestią Gigera Lio i Monica udali się na śniadanie w eskorcie podążającego kilka metrów za nimi i ubranego w wyjściowy mundur esesmana.

– Co teraz zrobisz? – zapytała go Monica, sprawdzając kątem oka, czy mężczyzna znajduje się odpowiednio daleko, żeby ich nie słyszeć.

– Chcę tylko zrozumieć, co stało się mojej siostrze, i przede wszystkim upewnić się, że naprawdę ją miałem.

Prowadzeni przez zapach skwierczącego tłuszczu i jajek dotarli do jakiejś pijalni piwa. Wejście przypominało wąskie gardło z tuzinem schodków prowadzących do piwnicy, w której panował odór tytoniu wymieszanego z zapachem piwa i wędzonego mięsa.

Eskortujący ich mężczyzna zaczekał na zewnątrz.

Przywitał ich panujący w piwnicy zaduch oraz masywna kobieta o rozpalonych policzkach. Jak tylko zobaczyła nadchodzących klientów, przetała szybkim ruchem dłoni blat jednego ze stołów i zaprosiła ich, żeby usiedli.

– Co dla państwa?

Monica zamówiła kielbasę na ciepło, kawę i strudelz jabłkami.

Lio złożył palce w literę „V” i powiedział:

– Dwa razy.

Następnie zapytał, czy w lokalu znajdował się telefon. Rozwinął na blacie stołu banknot.

– Tam – powiedziała kobieta, wskazując ścianę za kasą.

– Przepraszam na moment. – Lio wstał i podszedł do telefonu. Wybrał numer, który przekazała mu Monica. Kiedy ktoś odebrał, zapytał niepewnie:

– Kto mówi?

- Z tej strony doktor Morfeo.
- Doktor...? – odparł z wahaniem Lio.
- A pan, kim pan jest?
- Mówi Lio Rol, pański pacjent.
- Jak pan się miewa, panie Rol?
- Nieźle, ale co pan...? – Spojrzał pytająco na Monicę, lecz ta wzruszyła ramionami.
- Jest pan teraz w Berlinie?
- Tak, ale...
- Dzwoni pan z bezpiecznego telefonu?
- Raczej tak.
- Wierzą, że naprawdę jest pan Lio Rolem, pisarzem, bratem Sibylli, prawda?
- Dokładnie. – Lio poczuł jakiś wybuch w piersi, jakieś dreszcze przebijające twardą tkankę jego kości. Był roztargniony, jakby ktoś przed chwilą wstrzyknął mu środek odurzający. – Wszystko w porządku. Ale...
- Posłuchaj mnie bardzo uważnie, Lio, ponieważ nie będę powtarzał.

– Dobrze – odparł, a jego uwadze nie umknął fakt, że nagle zaczął się do niego zwracać na „ty”.

Doktor Morfeo mówił autorytatywnym i stanowczym tonem – Lio nigdy go takim nie słyszał.

– Daj jakiś znak.

– Słucham pana.

– Jesteś skupiony na tym, co do ciebie mówię?

– Tak.

– Odetchnij głęboko i staraj się myśleć tylko o tym, co ci zaraz powiem.

Doktor usłyszał, jak oddech Lio po drugiej stronie słuchawki coraz bardziej się uspokaja. W końcu sam westchnął, odczekał jeszcze chwilę, żeby dać Lio czas na jak najgłębsze rozluźnienie, a następnie zaczął miarowo i powoli wypowiadać kolejne słowa:

– *Glocke* raz. *Glocke* dwa. *Glocke* trzy.

I odłożył słuchawkę. Słowa te były jak polecenie wydane komuś, kto siedział w jego

wnętrzu i posiadał klucze do jego ciała – w jednej chwili jego pole widzenia poszerzyło się, rozświetlając rzeczywistość po lewej stronie. Oko znowu było sprawne! Lio stał jak wryty, nie dowierzając, z zaciśniętą w dłoni słuchawką.

Widząc go, Monica pomyślała, że otrzymała właśnie jakąś szokującą i okropną wiadomość.

Lio wyjął paczkę papierosów z kieszeni marynarki, ścisnął ją w dłoni i rzucił do kubła na śmieci stojącego za ladą kasy. Zawsze ich nienawidził.

Wracając do stolika, zatrzymał się i spojrział w lustro. Przypatrywał się sobie przez dłuższą chwilę. Dotknął policzków, pomacał się po czole i ustach, przejechał palcem po obrysie nosa, jakby właśnie ktoś zdjął mu bandażę po operacji plastycznej i po raz pierwszy zobaczył swoją nową twarz.

Ale nagła przemiana po rozmowie przez telefon dokonała się jedynie w jego wnętrzu.

– Złe wieści? – zapytała Monica, gdy zorientowała się, że wracał z posępną miną.

– Wszystko w porządku – odpowiedział.

Teraz doskonale przypominał sobie pracę wykonaną w klinice z doktorem Morfeo. Teraz Lio rozumiał, że kiedy wybierał jego nazwisko z książki telefonicznej, wbrew temu, co sądził, nie robił tego przypadkowo. Wszystko zostało zaprogramowane.

Potraktowali poważnie możliwość, że ktoś w Towarzystwie Vril potrafił czytać w myślach. Dzięki fałszywej tożsamości przybranej poprzez hipnozę mógł być szczerzy aż do szpiku kości. Jeszcze minutę temu sądził, że naprawdę był Lio Rolem, więc to ta nowa świadomość okazała się przyczyną jego równocześnie zadziwionego i skonsternowanego wyrazu twarzy.

Przygotowywanie agentów do infiltracji w szeregi wroga za pomocą hipnozy było normą w Panopticonie.

Poddał się jej i przyjmował jakieś dziwne leki psychoaktywne przez cały tydzień. Doktor dezaktywował w nim jego poglądy i wspomnienia, wymieniając je na nowe. Miał sfalszowaną duszę. Nigdy nie był alpinistą, a wiedza, jaką posiadał na ten temat, była wyłącznie wynikiem przebytego szkolenia. Nie był pisarzem: jego książki zostały napisane przez autora, który na zawsze pozostanie anonimowy. Książki, opracowane i napisane w takim samym celu, w jakim obmyśla się i konstruuje nową broń.

On nazywał się Lio Martes. Proces tworzenia postaci pisarza Lio Rola rozpoczął się jeszcze przed wybuchem wojny. Czuł się, jakby to było zaledwie wczoraj. Pamiętał każdy szczegół spotkań, podczas których powstawał plan.

Od samego początku Lio Rol miał zostać wprowadzony do Towarzystwa Vril za pośrednictwem jego fałszywej siostry, Sibylli, u boku której miał działać. Niestety później

Sibylla zakomunikowała, że jej zdaniem Giger nabrał wobec niej podejrzeń, i w obliczu zagrożenia, że stracą oboje naraz i cały plan spali na panewce, postanowili, że Sibylla wystąpi z Towarzystwa Vrila, a na jej miejsce zostanie wprowadzony nowy agent, jej fałszywy brat: Spartak we własnej osobie.

Teraz, kiedy sugestie wprowadzone przez hipnozę doktora Morfeo powoli się ulatniały, zaczęły pojawiać się, jeszcze w nieładzie, przebłyski prawdziwej przeszłości.

I nagle Lio zrozumiał, że być może hipnoza działała do tego stopnia, że czasowo przysłoniła nawet najmroczniejsze wspomnienia. Ujrzał je teraz wszystkie naraz, gwałtownie.

Chór polifoniczny katedry odbywał próbę, pogrążony w błogim kalejdoskopie dźwięków.

Przerażające okrucieństwo wojny było daleko od nich, jakby spadające z sykiem bomby nie mogły w nich trafić. W tym

surowym i mistycznym miejscu wydawało się wręcz, że człowiek nie mógł nigdy wpaść na pomysł skonstruowania granatu czy karabinu maszynowego.

Ale było to złudne wrażenie, tak samo jak aureola świętości otaczająca pochylone w modlitwie głowy, wytwarzana przez promienie światła przepuszczane przez wysokie wielobarwne witraże świątyni.

– *Cristus natus est nobis, venite adoremus* – śpiewał chór. Sibylla zatrzymała się na progu, schyliła głowę na znak pokory, wykonała przelotny znak krzyża, ucałowała czubki palców i skierowała się wolnym krokiem w kierunku ołtarza. Obcasy jej butów stukały powoli na marmurze niczym zmęczony odmierzaniem czasu zegar.

Lio obserwował ją z zewnątrz przez okienka drzwi do bocznego korytarza, znajdujących się zaraz za głównym wejściem. Patrzył na nią, jak zbliżała się do miejsca, w którym dwa lata wcześniej przysięgał jej wierność na

wieki, na dobre i na złe, dopóki śmierć ich nie rozłączy, i pomyślał, że gdyby miał możliwość cofnąć się w czasie, zrobiłby to jeszcze raz.

Krzyż nad ołtarzem zdawał się ociekać krwią i śmiercią, kontrastując z niewinnością gregoriańskiej pieśni chóru, która oznajmiała uroczyste narodziny Mesjasza, mimo że Boże Narodzenie dawno już minęło.

Lio obserwował, jak zbliża się mechanicznym krokiem do ołtarza.

Sibylla spoglądała w górę – ktoś w chórze co i rusz odrywał wzrok od rąk dyrygenta i patrzył na nią.

Dotarwszy do pierwszej ławki, uklękła i zaczęła się modlić. Po chwili wypowiedziała ostatnie „amen” i wykonała znak krzyża na piersi. Następnie podeszła ostrożnie do ołtarza i schowała coś za marmurową figurką. Teraz Lio pamiętał dokładnie: w żargonie szpiegów nazywało się to „skrzynką kontaktową”.

Wtem zza jednego z białych filarów katedry wyszła jakaś kobieta. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej rewolwer. W tym momencie Lio zrozumiał, co się zaraz wydarzy, jednak czas zaczął się dziwnie rozszerzać, spowalniając jego myśli. Chciał popchnąć ciężkie drewniane drzwi, wbiec do środka i krzyknąć, ale nie potrafił.

Kobieta trzymała w dłoni rewolwer i przeszła obok Sibylli, a następnie nacisnęła spust, zadając początek jego dozgonnemu cierpieniu.

– Źle się czujesz?

Głos Moniki przywrócił go do rzeczywistości. Otworzył oczy i zobaczył, że wręczała mu chusteczkę.

Strużka krwi spłynęła na usta Lio i skapnęła na stół.

– Wszystko w porządku – powiedział.

Ale Monica nie uwierzyła mu i wciąż wpatrywała się w niego z przygnębieniem i matczyną troską.

Teraz był pewien – Sibylla była jego żoną. Została nakryta i zamordowana. A może to wszystko miało się dopiero wydarzyć? Lio spojrzał na ubrudzoną krwią chusteczkę, po czym mocno zacisnął ją w pięści.

– Zrozumiałeś, po co przyjechałeś do Berlina? – zapytała Monica.

– Po cudowną broń – wyszeptał Lio, ocierając ukradkiem łzy z policzków. – Po projekty, które są tak tajne, że nawet Führer o nich nie wie.

– Jak te, które według Czarownic Vril mieszkańcy Aldebarana przekazują im w języku akadyjskim? – Monica złożyła usta w sarkastyczny grymas. – Moim zdaniem oni wszyscy są chorzy psychicznie.

– Możliwe. Ale zauważ, że wielu pilotów alianckich wojsk, którzy przelatywali nad terytorium Niemiec, donosiło, że widzieli

dziwne świetlne kule lecące obok ich samolotów. Nazywają je Foo Fighterami. Według ich przekazów zdawały się napędzane anty-grawitacyjną technologią, gdyż potrafiły bardzo szybko latać do przodu, zatrzymywać się w powietrzu i wystartować w dowolnym kierunku z niebywałą prędkością lub w jednej chwili zniknąć w próżni, jakby ulegały dezintegracji. Nic nie wiem o tym, żeby Czarnowice naprawdę otrzymywały projekty z innej planety, i nie wierzę w to, ale z pewnością pojazdy te pod każdym względem sprawiają wrażenie, jakby pochodziły nie z tego świata. Jednak to nie wszystko. Chcemy zrozumieć, czy za całą tą historią Vrila kryją się badania nad energią jądrową.

– Wiesz co? – zapytała Monica, która nie słuchała go i wpatrywała się w niego tak, jakby próbowała czytać mu w myślach. – Nagle wydajesz się innym człowiekiem.

– Bo w jednej chwili przypomniałem sobie bardzo dużo rzeczy.

– Ty też masz w sobie coś z szaleńca, ale muszę przyznać, że twoje umiejętności medyczne są niesamowite.

– Ja nie jestem medium.

– Wczoraj wieczorem w pociągu odwzorowałeś wyprzedzeniem rysunek Hedwig. Znałam wielu, którzy potrafili dotknąć jakiegoś przedmiotu i zobaczyć fragmenty związanych z nim historii, tak jak na przykład robię ja, ale nigdy nie widziałam nikogo, kto umiałby przewidzieć przyszłość z taką dokładnością. Spotykałam chiro-mantów, astrologów, ekspertów od tarota i czego tam jeszcze, ale ich umiejętności przewidywania – przy założeniu, że naprawdę je mieli – wydawały mi się zawsze zawiłym bredzeniem. Ty natomiast widzisz przyszłość. Koniec i kropka. To niewiarygodne, nadzwyczajne.

– Z mojego punktu widzenia to najnormalniejsza rzecz na świecie. Wszyscy to robimy. Ja jedynie robię to trochę lepiej.

I jeśli mam być szczery, sądzę, że to jedynie zasługa hipnozy.

– Hipnozy? Psychologów, czy kogo?

– Znam pewnego wykładowcę uniwersyteckiego we Włoszech, który potrafi zahipnotyzować całą salę studentów podczas zajęć.

– Moim zdaniem oni wszyscy są oszustami.

– Wiedziałaś, że jeżeli włożysz kurze głowę pod skrzydło, a potem wzburzysz delikatnie powietrze dookoła niej, ta wpada w trans hipnotyczny? Francuscy wieśniacy do dziś hipnotyzują kury po zakupieniu ich na rynku, żeby dowieść je bezpiecznie do domu.

Tymczasem kelnerka postawiła przed zaskoczoną Monicą śniadanie. Odwróconą do góry dłonią kobieta wskazała na tacę i odeszła.

– Musiałabym zobaczyć to na własne oczy
– kontynuowała Monica – i powinno to się

zdarzyć osobie, którą znam i której w pełni ufam.

Widząc, że Lio wpatruje się w nią niewzruszony, pomyślała, że wiedział o hipnozie więcej, niż chciał jej pokazać. Wychyliła się do przodu i wyszeptała:

– Nie mów mi, że jesteś w stanie za-hipnotyzować kurę.

Lio odpiął pasek zegarka, który nosił na nadgarstku. Wpatrując się z napięciem w jej źrenice, powiedział, że od tysiący lat ludzie w Afryce znali metodę hipnotyzowania słoni.

– Robią to tak. – Zwiesił zegarek przed jej oczami i sprawił, że zaczął się kołysać na boki.

– Ale oni nie używają zegarka, robią to przy pomocy liściastych gałęzi.

Monica siedziała nieruchomo.

– Robią to przy pomocy liściastych gałęzi
– powtórzył Lio.

– Robią to przy pomocy liściastych gałęzi. Przy pomocy liściastych gałęzi. Liściastych gałęzi. Gałęzi.

– Przyjemnie, prawda? – Przestał machać zegarkiem. – Nigdy nie byłaś taka rozluźniona.

Powiedział jej, żeby delikatnie opuściła powieki i skupiła się na przyjemnym ciepłe otulającym jej oczy. Monica zastosowała się do jego poleceń. Ciepłe otulającym jej oczy. Otulającym jej oczy.

Miała ekstatyczny wyraz twarzy, a głowa opadała jej do tyłu. Lio powiedział jej, że będzie się czuła coraz bardziej zmęczona, ale że jest jej dobrze jak w niebie, że jest lekka, wolna i że na zawsze zapomni wszystko, co widziała i słyszała od chwili, gdy wstała z łóżka dziś rano. Na jego „trzy” otworzy oczy i dalej będzie zrelaksowana przez cały dzień.

Odliczył do trzech.

Monica ziewnęła leniwie i zaczęła znowu gestykulować, jakby dla niej czas zatrzymał się kilka minut wcześniej.

– O czym to rozmawialiśmy?

– O hipnozie – powiedział Lio, wgrzając się w strudel – jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, ja też w nią nie wierzę.

Ona klepnęła go w ramię i zaśmiała się.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Tak, żartowałem.

– Mówiłam ci już, że jesteś bardzo dziwny?

W zupełnej ciszy dokończyli posiłek (Lio przyzwyczajony do słodkiego śniadania zostawił kielbasę), a Monica co jakiś czas rzucała w jego kierunku spojrzenie i delikatny uśmiezek.

Wyraźnie było widać, że przy nim czuła się swobodnie.

Po zapłaceniu za posiłek, ale jeszcze zanim wstali od stolika, Lio włożył ponownie do kieszeni zakrwawioną chusteczkę, którą zatykał sobie nos, i spojrzał na kobietę.

– Pamiętasz żołnierza idącego za nami, kiedy tu przyszliśmy?

Ona zmarszczyła czoło, po czym powiedziała:

– Nie pamiętam żadnego żołnierza.

Lio kiwnął głową w kierunku schodów wejściowych.

– Tego, który czeka na nas na zewnątrz.

– Musiałam się wtedy rozkojarzyć. – Monica wzruszyła ramionami. – Nie zauważyłam go. Dlaczego? Gdzie jesteśmy?

– W pijalni piwa.

Kobieta rozejrzała się dookoła zdezorientowana.

– A jak się tu znaleźliśmy?

– Nieważne – powiedział Lio, podchodząc do niej podając jej rękę, żeby pomóc jej wstać. – Jest tak późno, że Giger pewnie już się o nas martwi.

Rozdział 64

Radość i ból mieszały się ze sobą w miarę, jak uświadamiał sobie, że wszystko to było jak sen na jawie: fałszywą rzeczywistością. Wszystko to, co przydarzyło mu się od momentu, w którym wyszedł z kliniki, stanowiło część planu opracowanego przez niego samego.

Cieszył się, że mógł pomyśleć: „Ofiaruję moje życie w obronie wolności”.

Ale ulga, jaką przynosiła mu świadomość, że nie był pisarzem posiadającym wszystkie umiejętności tego świata poza literackimi, a zwłaszcza tego, że nie popierał hitlerowskiej dyktatury, nie rekompensowała żalu, jaki budziło w nim wspomnienie śmierci Sibylli.

To, że znowu mógł być Spartakiem, wiązało się z tym nieskończonym bólem. Żrącym bólem, który korodował jego duszę.

Profesor Morfeo jak zwykle wykonał doskonałą robotę – zostawił w jego umyśle to, co było potrzebne, a zabrał to, co nie powinno się w nim znajdować. Proste. Dzięki temu pragnienie zemsty za jej zamordowanie nie doprowadziło do zaprzepaszczenia misji. Udało mu się dostać do Berlina, a w przypadku przesłuchania przez esesmanów nie mógłby nic zeznać, nawet na torturach.

Z jego umysłu zostały skasowane wszystkie informacje, których nie chciano w żadnej postaci przekazać wrogowi, wprowadzając na ich miejsce inne, nieprawdziwe i kompletnie nieistotne, mające sprowadzić nieprzyjaciela na fałszywy trop.

Morfeo sprawił, że po przebudzeniu pamiętał wszystkie dni, które przeżył jako Lio Rol, ponieważ w dalszym ciągu musiał udawać, że nim jest. Dzięki temu teraz w pamięci Lio płynął nieprzerwany i silny

strumieńświadomości, od momentu wymyślenia planu, aż po chwilę obecną.

Wiedział, że wszystko szło pomyślnie. Wszystko miało sens. Wiedział, kim jest i dlaczego znajdował się tam, w Berlinie, w towarzystwie kobiety o nazwisku Müller oraz podążającego za nimi w odległości około czterdziestu metrów esesmana.

Monica ścisnęła mu rękę.

– Wszystko dobrze, Lio?

Nie odezwał się. Teraz wiedział, że wizytę Lio Rola u Kuurmy zaplanowano. Jej celem było zniszczenie rosyjskiego szpiega i wyeliminowanie go przez jego własnego współnika, Marcello Roux, który nigdy nie dopuściłby do tego, żeby Kuurma został aresztowany i przesłuchany. Kuurma był jedyną osobą, która znała prawdziwą tożsamość Roux, ponieważ obaj byli informatorami tajnych służb sowieckich.

Pomysł Panopticonu – teraz, jak i w momencie powstawania – wydawał mu się

wręcz nierealny i karkołomny... Kobiety i mężczyźni wyposażeni w nadzwyczajne umiejętności, eksperci w dziedzinie okultyzmu i starożytnych tajemnic rekrutowani na całym świecie i zebrani w jedną komórkę szpiegowską, stworzoną na potrzeby magicznej i mistycznej wizji świata oddziałów SS i Heinricha Himmlera. Przygotowywanie szpiegów za pośrednictwem hipnozy. Z dumą pomyślał, że taki plan infiltracji agenta do supertajnego Towarzystwa Vril mógł zrodzić się wyłącznie w diabolicznie inteligentnym umyśle Spartaka – człowieka, na temat którego krążyły legendy, ale którego nikt nigdy nie widział. Tak tajemniczego, że nawet sam Spartak jeszcze chwilę wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że nim jest.

Flagi ze swastyką powiewające nad wejściem siedziby RSHA smagały powietrze niczym bicze.

Giger czekał na nich w holu, stojąc wyprostowany obok szklanych drzwi, przez

które przenikało słabe światło dzienne. Miał na sobie strój cywilny – karmazynowy płaszcz dwurzędowy z szaro-czarnym futrzanym kołnierzem, czarne spodnie o idealnej długości, opadające na czarne wypastowane buty. Z kieszonki na piersi wystawały mu okulary przeciwsłoneczne z białego metalu, z czerwonymi, okrągłymi szklami. Wyciągał wyniośle szyję owiniętą w biały półgolf, na którym zapięta była, aż do przedostatniego guzika, biała koszula bez krawata. Kiedy zobaczył, że nadchodzą odprowadzani przez jednego z jego ludzi, przeczesał włosy dłonią od czoła aż po kark i uśmiechnął się.

Lio i Monica skierowali się w stronę jego oślepiająco białego uśmiechu.

– Dzień dobry, doktorze Giger – powiedział Lio, a jego głos odbił się w holu metalicznym echem.

– Więc jest pan gotowy na wycieczkę?

W żyłach Lio zmroziła się krew, ale nie stracił rezonu.

– Z miłą chęcią. Mogę spytać dokąd?

– Przykro mi.

– Ja też mam jechać? – zapytała Monica, kładąc dłoń na środku klatki piersiowej i wstrzymując oddech.

– Tak – powiedział Giger.

Monica westchnęła z ulgą.

– Idę się przygotować.

Ale zdążyła wykonać tylko pół kroku, ponieważ Giger chwycił ją za ramię.

– Nie ma czasu, musimy jechać – powiedział do niej. – Wrócimy przed wieczorem – dodał, zwracając się do Lio.

Wprowadzili ich do samochodu i zawieźli na anonimowe lotnisko, którego pas startowy wyglądał, jakby ktoś w pośpiechu wykonał go poprzedniej nocy. Samolot transportowy sił lotniczych Royal Air Force bez oznaczeń, z pewnością zabrany Anglikom, był gotowy do startu.

Po wejściu na pokład Giger zamknął drzwi, zabrał Lio zegarek – Monica go nie miała – i opuścił wszystkie rolety w oknach.

– Mam nadzieję, że widok nie będzie wam za bardzo przeszkadzał – powiedział, siadając naprzeciwko nich. – Jedno zdjęcie z powietrza warte jest tyle, co praca dziesięciu tysięcy szpiegów na ziemi.

Rozdział 65

Gdzieś

Uderzenia zamykanych drzwi odbiły się w majestatycznej głuszy zarośli, przepędzając ptaki. Następnie biały maybach SW, który czekał na nich na końcu pasa lotniskai przywiózł ich aż tutaj, wślizgnął się do niewielkiej jamy z żelbetu, zamaskowanej płataniną gałęzi i pnączy.

Drzewa. Monumentalne. Nie przezierał przez nie nawet skrawek nieba. Dookoła tylko stuletnie, grube i sękowate pnie drzew liściastych i iglastych, obrośnięte bujnym niczym zielona piana listowiem, podtrzymywane przez potężne i mocno obejmujące ziemię korzenie.

Spomiędzy ich koron dochodziło nawoływanie niewidzialnych ptaków. Na dole zaś, w poszyciu lasu, w którym panowała niemal modlitewna cisza, słychać było tylko szelest

liści, przez które przebiegały inne niewidoczne zwierzęta.

Dokąd ich przywieźli? Przypominało to gęsty i ciemny las z baśni o *Królewnie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach*. Nie wiadomo, czy znajdowali się jeszcze w Niemczech. Samolot długo kołował. Lio, Lio Martes, Spartak, bez zegarka nie potrafił powiedzieć, jak długo. Mógł założyć jedynie hipotetycznie dwie godziny lotu, ale podczas podróży tak bardzo się nudził i było mu tak niewygodnie, że zdawała się ona nie mieć końca. Zasłonięte szyby uniemożliwiły mu określenie choćby przybliżonego położenia na podstawie słońca, jak również zorientowanie się, czy samolot nie kołuje bez celu, żeby go zdezorientować i wprowadzić w błąd.

Giger nic nie wyjaśniał. Stawał się tylko coraz bardziej poważny. Nie odezwał się ani słowem w samochodzie, kiedy prowadził, wpatrując się w drogę, ani wcześniej, podczas lotu, kiedy cały czas o czymś myślał.

Jedyny wyjątek zrobił zaraz po wylądowaniu, gdy przedstawiał im swojego przyjaciela, zwanego przez wszystkich Tybetańczykiem. Teraz człowiek w zielonych rękawiczkach pilnował ich, podczas gdy Giger zasłaniał gałęziami wejście do żelbetowego garażu, w którym ukrył maybacha.

– Idziemy – powiedział, jak tylko skończył.

Giger prowadził ich przez las, ubrany niczym dandys. Miał na sobie wytworny karmazynowy płaszcz, nasadzone na nos okulary przeciwsłoneczne – pomimo pochmurnej aury – buty o skórzanych gładkich podeszwach, nieprzystosowanie do chodzenia po paprociach i torowania sobie drogi wśród porostów. Strój Moniki i Lio nie był może bardziej stosowny, ale oni przynajmniej nie mieli wyboru, a w momencie wyjazdu nie wiedzieli, dokąd zmierzają.

Nie mieli pojęcia dokąd prowadzili ich Giger i Tybetańczyk, ale wiedzieli, że nie pozwolą im wrócić. Cokolwiek mieli zobaczyć,

byli pewni, że oni zadbają o to, żeby nie pożyli wystarczająco długo, by móc o tym komuś opowiedzieć.

Szli tak przez kilkaset metrów, potykając się o kamienie i ślizgając się na wilgotnych liściach, aż w końcu zobaczyli w oddali jaśniejszą lunę i z ulgą stwierdzili, że roślinność stawała się coraz rzadsza.

Z oddali dobiegały wyraźnie odgłosy działalności ludzkiej. Przeważnie jakieś głosy. Manewrujący pojazd. Uderzenia młotem.

Lio wyszedł z lasu z wybałuszonymi oczyma. Pośrodku polany wznosiła się okrągła konstrukcja z cementu przypominająca ogromny korkociąg lub szary i ascetyczny Stonehenge rodem z epoki przemysłowej. Składała się z dwunastu prostokątnych kolumn, na szczycie których ułożony był cementowy pierścień podtrzymujący ogromną cysterne. Lio pomyślał, że musiała to być cysterna wskazana przez Sibyllę na jej mapie. Obok

cysterny krzątało się dwóch mężczyzn w białych fartuchach z przyrządami pomiarowymi i jakimiś urządzeniami.

Obiekt był ściśle nadzorowany przez licznych żołnierzy posterunkowych. Pozostawali oni w łączności radiowej z innymi żołnierzami, bezustannie patrolującymi okoliczne lasy, kontrolującymi całe wzgórze i udaremniającymi wszelkie próby wtargnięcia do tego miejsca. Całość wyglądała na stację badawczo-projektową supertajnej i pilnie strzeżonej przez Trzecią Rzeszę technologii wojskowej.

Nikt się nimi nie interesował, co świadczyło o tym, że Giger nie był tu pierwszy raz. Szli za nim jeszcze przez kilkaset metrów wzdłuż potężnego kompleksu budowli na wpół schowanych w zaroślach. Na jego terenie krzątali się kolejni mężczyźni i kobiety w białych fartuchach.

Doszli do niskiego i masywnego bloku cementu, na środku którego lśniła prostokątna

stalowa płyta. Gdy tylko Giger nacisnął znajdujący się obok przycisk, płyta otworzyła się z sykiem. Weszli do windy, którą można było zjechać jedynie na dół, po czym Giger wpisał kod, zakrywając ręką panel przycisków.

Lio chciałby być wciąż Lio Rolem, żeby móc czytać w myślach Gigera i Tybetańczyka i poznać ich zamiary, dowiedzieć się, gdzie znajdzie się za chwilę – czy właśnie w kopalni, której mapę posiadał? Ale otaczająca go rzeczywistość przestała do niego mówić. Albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Przygotowanie misji przewidywało usunięcie niektórych wspomnień, ale także zainstalowanie fałszywych przeżyć. Obejrzał nieświadomie kilometry taśm filmowych nakręconych specjalnie po to, żeby wytworzyć w jego umyśle wspomnienia lub wizje przyszłości. Wszystkie wizje, które przychodziły do niego, kiedy w głębi duszy wiedział, że jest jasnowidzem, Lio Rolem, nie były niczym innym jak historiami

przyswojonymi podczas przygotowania mentalnego, dzięki któremu zyskał fałszywą tożsamość.

Wizja dwóch naukowców – Shappellera i Shaubergera? Z pewnością była to wyuczona na pamięć scena przypisana w jego umyśle do określonych faktów i przedmiotów.

Zgodnie z przewidywaniami wystarczyło połechtać fantazję Himmlera, żeby połknął haczyk i uwierzył w tę całą historię i opowieści nieistniejącego, wymyślonego w trakcie rozmów przy kubku kawy pisarza.

Lio znowu miał świadomość, że jest ekspertem w dziedzinie bardzo wyszukanych technik kontroli umysłu – zarówno własnego, jak i innych. Jednak utwierdzał się w przekonaniu, że daleki był od posiadania tak niesamowitych właściwości psychicznych jak prekognicja czy umiejętność wychodzenia z własnego ciała i doświadczanie OBE, nieważne czy własnowolnie, czy nie.

Dlatego miał wrażenie, że znowu znalazł się w rzeczywistym świecie, w którym otaczające go głowy milczały, zmysł dotyku przestał mylić się ze wzrokiem, generując w nim wizje przyszłości. Nie było żadnego astralnego „Ja” gotowego oddzielić się od ciała i błąkać się na czyjeś polecenie tu i tam, dostarczając mu równie cennych co bezwartościowych informacji.

Wyglądało na to, że jego zdolność przewidywania zdarzeń się ulotniła. Może wreszcie od tej chwili każdy jego krok naprzód będzie dla niego krokiem w nieznaną, tak jak dzieje się to u wszystkich normalnych ludzi?

Rozdział 66

Kabina windy zaczęła zjeżdżać w dół szybu. Poczuli wstrząs, po którym zostali wessani w głąb ziemi.

– To kopalnia złota – wyjaśnił człowiek w zielonych rękawiczkach, pozwalając im usłyszeć po raz pierwszy swój głos. – Teraz zjedziemy na głębokość pięćdziesięciu metrów, a następnie kolejna winda zwiezie nas jeszcze niżej.

– O ile niżej? – zapytała z trwogą Monica. Tybetańczyk uśmiechnął się.

– Pięćset metrów.

„Winda jest zbyt schludna i nowoczesna, żeby obsługiwać górników” – pomyślał Lio.

Zauważył też, że zjeżdżała w dół gładko i bezszelestnie. Ale może Tybetańczyk tylko sobie ironizował i przez „kopalnię złota” rozumiał coś innego?

Lio wiedział o wykorzystywaniu więźniów do tego rodzaju prac. Zwłaszcza Żydów – setek, tysiący eksploatowanych aż do skrajnego wyczerpania, a następnie wyrzucanych na śmietnik jak maszyny, których nie opłacało się już naprawiać. Niemcy z pewnością nie kłopotaliby się udostępnianiem takiej windy tym nieszczęsnym żywym trupom. Nie dbali o nich nawet w takim stopniu, żeby dawać im wystarczającą ilość jedzenia. Zresztą, niedożywienie niewolników SS stanowiło część większego planu. Żywność porcjowana była z matematyczną precyzją. Był to rodzaj planowego unicestwiania robotników, korzystny dla nichz dwóch względów: zapewniał znaczną oszczędność pieniędzy przeznaczonych na pożywienie i sprawiał, że moment, w którym więźniowie zaczęli wymagać leczenia, zbiegał się z ich śmiercią z wygłodzenia. To tak jakby dysponować niezliczoną liczbą nowych i darmowych

samochodów bez potrzeby wydawania pieniędzy na ich regularną konserwację, a przy pierwszych oznakach uszkodzenia zamiast do mechanika, oddawać je na złom.

Było to nawet logiczne, ale to, co czyniło takie postępowanie wstrząsającym, to lodowate i bezosobowe okrucieństwo, z jakim naziści traktowali wszystko dookoła.

Winda zatrzymała się przed zardzewiałą metalową bramką, która nie miała nic wspólnego z nowoczesną technologią.

Prostopadle do nich biegł szeroki tunel wypełniony chropowatym światłem. Lio nie mógł dojrzeć ani jego końca, ani początku. Nic tutaj nie przypominało kopalni, wszystko zaś przywodziło na myśl podziemną bazę wojskową: potężny cylinder przypominający część rakiety przesuwiał się powoli wieziony na przyczepie. Przy każdym wejściu stali uzbrojeni esesmani. Była tu też gromadka techników i naukowców – również ubranych w białe fartuchy – którzy dyskutowali

o czymś, paląc papierosa pod wyciągiem powietrza. Wentylator zasysał nawet najmniejszą smugę dymu niczym cenną materię, której nie można zmarnować, tworząc z niego jednolity mleczny strumień wlatujący u góry w otwór w ścianie.

Giger kroczył dumnie na czele grupy, Tybetańczyk zaś szedł za nimi jak pies pastercki. Ich kroki odbijały się na cementowej ścieżce, wytwarzając hałas podobny do kamieni rzucanych garściami z dużej wysokości.

W pewnym momencie Giger nie odwracając się, wykrzyknął, jakby nagle przywróciło mu mowę:

– Baalbek! – Po chwili dodał: – Liban. Wążące tysiące ton megality, idealnie przycięte, bez ani jednej skazy, która mogłaby zaważyć na solidności całej konstrukcji, przetransportowane na odległość setek metrów od miejsca wydobycia przez bynajmniej nie nizinny teren. Na drugim końcu świata Puma Punku w Boliwii, półtora kilometra od

Tiahuanaco: megality z niezwykle twardej skały, obrobione z niezwykłą precyzją. Modułowe bloki połączone między sobą zaciskami z brązu (metal nieznanego Inkom). Tutaj – jak się wydaje – wszystko zostało zniszczone w wyniku trzęsienia ziemi lub wybuchu o ogromnej sile. Wieloboczne megality z Tiahuanaco połączone zostały z taką dokładnością, że nasuwają myśl o jakiejś substancji będącej w stanie rozpuszczać skały. A najdziwniejsze jest to, że największe i najcięższe kamienie nie zostały umieszczone u podstawy konstrukcji, nie stanowią jej pierwszych rzędów, lecz ustawiono je na górze, czasami kilka rzędów wyżej. – Zamilkł. Jego głos pozostał z tyłu, wibrując w gęstym powietrzu tunelu. Po chwili zaczął mówić dalej:

– Dlaczego? – Zatrzymał się i nacisnął znajdujący się na lepkiej od wilgoci ścianie przycisk. Spojrzał na Lio.

– Ma pan jakąś teorię, panie Rol?

– Może być na to tylko jedno wyjaśnienie.

Pięćset metrów. Winda zaczęła zjeżdżać. Tybetańczyk tymczasem uśmiechał się.

– No to słucham.

– Historia i archeologia wyjaśniają, w jaki sposób człowiek przeszedł z paleolitu do neolitu i w jaki sposób niespełna kilka tysięcy lat temu na obszarze Żyznego Półksiężycy zrodziła się pierwsza cywilizacja. Ale oczywiste jest, że w erze paleolitu musiała już istnieć starsza cywilizacja, o wiele bardziej rozwinięta pod względem kulturowym i technologicznym. Jak potwierdzają biegli z całego świata, chodziło o cywilizację globalną – rodzaj imperium, nad którym nigdy nie zachodziło słońce – w której często dochodziło do kontaktów i różnych wymian. Cywilizacja ta została stworzona przez ocalałych Atlantydwów. To właśnie są bohaterowie starożytności, „mający sławę” – jak podaje Księga Rodzaju – giganci.

– Pan mówi o ludzkości, o gatunkach, cywilizacjach – dla mnie to są zwyczajnie różne rasy. Mali i ciemni ludzie, którzy występowali w dużej liczbie, zdominowali tych nielicznych ocalałych gigantów i zdegenerowali ich rasę, skazując ich na powolne i nieuniknione wyginięcie. My, Aryjczycy, mamy jeszcze czystą krew, która płynęła w żyłach Atlantydów. Z biegiem czasu przywrócimy naszą rasę do pierwotnego stanu.

– Na całym świecie opowiadane są dawne legendy o temat gigantów – potwierdził Lio tak uprzejmie, jak tylko umiał. – W istocie nie można wykluczyć istnienia pewnej rasy ludzkiej, która wyginęła, gdy powstawała nowa rasa – to wyjaśniałoby wiele rzeczy. Ja w swojej powieści...

– Wiele ras ludzkich wyginęło – przerwał Giger, idąc naprzód, tak jakby go nie słyszał. – We Włoszech znajduje się bardzo stara wyspa o nazwie Sardynia. Tam historie o gigantach opowiadane są od tysiącleci. Wyspa

obfituje w ślady rozkwitu cywilizacji megalitycznej, ludu wojowników i żeglarzy, którzy po podbiciu Środkowego Wschodu walczyli u boku samego faraona Ramzesa II. Nazywali się Szerden, książęta plemienia Dana. Ahneberbe zdobyła kilka figurek z brązu przedstawiających tych wojowników. Niektóre z nich mają po dwie pary rąk, czworo dużych, okrągłych i rozstawionych blisko siebie oczu, z których każde zasłonięte jest okrągłą i wypukłą soczewką, długie czułki na głowie z przykręcanymi na końcach gałkami, dziwny kombinezon z kaloszami, wzmocniony w przedniej części dwoma napierśnikami, dwie tarcze odbijające wiązki energii i przewody, które wychodzą z pleców i wchodzi do szyi. Anunnaki przybyli na Ziemię z kosmosu!

– Fascynujące – wymamrotał Lio. W tym momencie winda się zatrzymała.

– Kilkoro z najzdolniejszych archeologów Ahnenerbe – kontynuował Giger, kierując się

do mniejszego niż poprzedni, ale tak samo dobrze oświetlonego tunelu – w tym pańska siostra, panie Rol, wysunęło hipotezę, że ten wojownik przedstawia babilońskiego boga Marduka, syna sumeryjskiego boga Enki.

– Oznaczałoby to więc, że pisma klinowego w jakiś sposób nauczyli Sumerów pradawni podróżnicy przybyli z otchłani kosmosu.

– My wiemy, że tak jest.

– Wie pan, Herr Giger, cieszę się, że inteligencja Sibylli została doceniona w taki sposób. Sądziłem, że dla was była tylko tłumaczką.

– O tak, tłumaczyła. Potrafiła przetłumaczyć niewytłumaczalne. – Zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami, za którymi widać było mieniące się światłem laboratorium.

– Umiała zrekonstruować tysiące lat zapomnianej historii, po prostu dotykając tych figurek.

– Maria też to potrafi? – zapytała Monica.

Nie zauważyła, że Maria Orsich znajdowała się przed nimi. Zajęta była przedstawianiem jakichś dokumentów jednemu z mężczyzn w białych fartuchach. Siedziała odwrócona plecami, jej długie włosy kłębiły się na ziemi. Towarzyszyły jej trzy inne kobiety – one również miały bardzo długie włosy.

Najważniejsze Czarownice, serce Towarzystwa Vril.

– Maria – odparł Giger, zaczynając się uśmiechać – to ucho słuchające wszechświata.

Rozdział 67

Czarownice Vrill przez swoje bardzo długie włosy, aksamitne głosy i miękkie ruchy emanowały oszałamiającą sensualnością.

Zwłaszcza Heike Lehmann. Tak samo jak Maria miała blond włosy i przypominała ją do tego stopnia, że można było mieć wrażenie, że jest jej siostrą, jednak była od niej grubsza i spokojniejsza.

Pulchna i uśmiechnięta Sigrun von Enstetten miała jasne, gęste i błyszczące włosy oraz tak tajemnicze spojrzenie, jakby była druidem.

Virnę Müller, najmłodszą z nich, łączyło z Monicą tylko nazwisko – była bowiem potężnie zbudowana i krewka, miała długie kędzierzawe włosy i spoglądała na wszystko podejrzliwie spod ciemnych brwi.

W laboratorium stała cała masa włączonych, ale niedziałających urządzeń,

prawdopodobnie gotowych do zarejestrowania każdej nadzwyczajnej rzeczy, jaka się mogła w nim zdarzyć. Jeden z naukowców, starszy człowieko wystających kościach policzkowych, gęstej, zaczesanej do tyłu czuprynie przypominającej kleks bitej śmietany i wąsikach w meksykańskim stylu, obserwował grupę kolorowych świateł na jakimś panelu. Dotykał ich wszystkich i w końcu wyłączył jedno z nich, zmieniając jego kolor z czerwonego na niebieski, a następnie dołączył do grupy, w której Maria Orsich kończyła przedstawianie jednemu z asystentów materiału, który został jej przekazany przez istoty wyższe z Aldebarana podczas seansów mediumicznych.

– Przedstawiam wam doktora Shappellera – powiedział Giger, odwracając się do Lio i Moniki.

Shappeler był masywnym mężczyzną o szerokiej szyi. Jego szorstki wygląd kontrastował jednak z dobrymi manierami.

Chwył dłoń Moniki, jakby była motylem, który przypadkiem usiadł koło niego na oblanej słońcem łące, i musnął ją ustami. W stronę Lio wykonał natomiast głęboki ukłon.

– Cieszę się, że jest pan z nami, Rol.

– Cała przyjemność po mojej stronie, doktorze Shappeller.

– Wiem, że to sam Reichsführer chciał, żeby pan się tu znalazł. Musi pan czuć się bardzo zaszczycony z tego powodu.

– Tak właśnie jest – odparł Lio.

– Herr Giger powiedział mi, że posiada pan wyjątkowe umiejętności przewidywania przyszłości. To prawda?

Giger potwierdził, kiwając głową.

Na twarzy Moniki pojawił się wesoły uśmiech – cieszyła się już na chwilę, w której Shappeller i Czarownice Vril będą stali z rozwartymi ustami na widok tego, do czego zdolny jest Lio.

Tymczasem słowa Shappellera spadły na Rola niczym gilotyna.

Przecież nie był Lio Rolem, nie posiadał żadnych wyjątkowych umiejętności umysłowych. Plan Spartaka nie był jednak w stu procentach doskonały.

Chyba że...

– A zatem, panie Rol?

Lio wzdrygnął się.

– Słucham?

– Jest pan jasnowidzem?

– Zdarza mi się widzieć pewne rzeczy z wyprzedzeniem.

– Powiedziano mi, że potrafi pan wizualizować przyszłe fakty z niesłychaną dokładnością. A jeśli tak mówi doktor Giger...

– To mi schlebia – powiedział Lio. Giger pozostał obojętny.

– Musimy panu pokazać kilka rzeczy.

Lio położył dłonie na udach, gotowy żeby wstać i pójść za nim, ale doktor Shappeller nie ruszył się. Zaczął sięw niego długo

i w milczeniu wpatrywać swoimi oczami, które przypominały parę osadzonych w oczodołach magnesów. Wydawało się, że chce go zahipnotyzować spojrzeniem. Przez ten czas Lio zastanawiał się, co takiego chciał mu pokazać. Swoją pierwotną maszynę czy też Vril-Yanaz krwi i kości, z licznymi zdejmowanymi skrzydłami i berłem Vril? A może jeden z latających dysków Shaubergera?

W końcu Shappeller wsunął rękę do kieszeni fartuchai podsunął Monice zamkniętą pięść. Odwrócił ją i otworzył.

Na środku jego dłoni znajdował się fragment czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak szkło. Powiedział jej, żeby wzięła to do ręki.

Monica przyjrzała się temu z bliska. To nie było szkło. To był kawałek wypalanej gliny, częściowo zeszlonej. Maria dotknęła jej czoła i też zamknęła oczy. Kiwała głową, podczas gdy Monica próbowała wprowadzić się w trans.

– Zniszczenie dwóch miast – powiedziała po chwili. – Nie potrafię powiedzieć, w jakim miejscu. Dwa miasta leżące niedaleko siebie w jakiejś dolinie. Widziałam ogień, jasny niczym słońce, który w jednej chwili zmiotł z powierzchni globu ludzi i zwierzęta, wszystko – nawet roślinność – równając z ziemią oba miasta. Z góry mogłam ujrzeć dolinę, spopielone miasta, dym, który wznosił się jadownicie niczym z ogromnego pieca i miał kształt potężnego drzewa.

Shappeller wykrzyknął natychmiast:

– Brawo! – Wskazał kawałek gliny w swoich rękach. – To Księga Rodzaju.

– Biblia? – zapytał Lio. – Po czym pan poznał?

– Ten kawałek gliny – odparł podniecony Shappeller – pochodzi z pustyni w Jordanii – miejsca, w którym według nas powinny znajdować się starożytne miasta Sodomai Gomora. Spojrzał na Gigerę i po kolei na każdą z Czarownic Vril. Wszystkie mocno kiwały

głowami, jakby chciały powiedzieć, że rozumiały, co myśli, i że wizja Moniki była ważną informacją.

– Mogę się dowiedzieć, co waszym zdaniem widziałam? – zapytała Monica.

– Zobaczyła pani właśnie zniszczenie Sodomy i Gomory – odparł Shappeller.

– Archeolodzy z Ahnenerbe znaleźli pokryte szkłem kamienie także w Mohendzo-Daro w Pakistanie – powiedział z dumą Giger – a nawet warstwę radioaktywnego pyłu nad antycznym miastem Harappa w dolinie Indusu.

Lio rozumiał, ale był oszołomiony.

– Chce pan powiedzieć, że w starożytności, tysiące lat temu, istniało coś podobnego do bomby atomowej? – Udał entuzjazm. – To właśnie jest Wunderwaffe, która pozwoli nam wygrać wojnę?

Giger splótł ręce na piersi i nie odpowiedział.

– Proszę – powiedział Shappeller, podając Lio drugi przedmiot.

– Co to jest? – Wziął go delikatnie i obejrzał, obracając w dłoniach.

Shappeller zacisnął wargi i oznajmił:

– Coś, co dopiero ma się wydarzyć.

Lio zamknął oczy, wziął głęboki oddech, podczas gdy Maria kładła mu dłoń na czole i przygotowywała się, żeby słuchać jego myśli, a może i zobaczyć to, co on zobaczył usłyszy.

Ujrzał światło i poczuł znany mu ból, a po chwili krople krwi zaczęły kapać mu z nozdrzy.

Kiedy pod jego powiekami pojawiały się pierwsze obrazy, zaczął mówić. Była to ta sama wizja, jaką przed chwilą w Monice wywołał kawałek gliny – dwa miasta zniszczone przez porażającą energię. Tylko że jego wizja nie dotyczyła przeszłości.

Maria, wyraźnie poruszona, odsunęła dłoń od jego czoła i spojrzała na pozostałych.

Giger nie wytrzymał.

– Działa – powiedział, przybierając wyraz twarzy kogoś, kto bierze udział w czymś wyjątkowym. – Więc działa...

Lio udał, że powoli wybudza się z szoku po widzeniu, aby opóźnić moment, w którym otworzy oczy i zacznie powtarzać, co widział. Jednak nie musiał się wysilać, żeby wszystko zmyślić – wizja była bardzo wyraźna i prawdziwa.

Czyli, w jakimś sensie wciąż był Lio Rolem? Naprawdę potrafił przenieść umysł poza próg teraźniejszości i zaglądać do przyszłych wydarzeń?

Serce zaczęło mu szybko bić, warstwa zimnego potu oblała jego czoło. Otworzył oczy i potwierdził, że widział taką samą scenę, jaką przed chwilą ujrzała Monica, z tą różnicą, że jemu nie wydawała się sceną toczącą się w odległej przeszłości, ale w niedalekiej przyszłości.

– Sądzę, że były to dwa azjatyckie miasta – powiedział skonsternowany. – Może japońskie, nie potrafię powiedzieć dokładnie.

Giger wydał z siebie gwałtowny okrzyk radości i uderzył się rękoma w uda. Ale szybko się zasepił. Spojrzał na Shappellera, który niczym lustro przesyłał mu to samo posępne spojrzenie.

– Jest pan pewien? – Przysunął twarz do twarzy Lio. – Powiedział pan „Japonia”?

Lio nie rozumiał.

– Sądzę, że tak, ale nie jestem pewien. Patrzyłem z góry, jakbym siedział w samolocie.

Czarownice nie zauważyły pogrzebowych min Gigera i Shappellera, ponieważ wpatrywały się tylko w Lio. Tym razem nie ze względu na jego atrakcyjny wygląd – teraz były zafascynowane łatwością, z jaką widział z wyprzedzeniem bieg czasu, zachwycone jego umiejętnościami jasnowidzenia. Siedziały z otwartymi ustami jak uczennice

niemogące oderwać wzroku od młodego profesora.

Lio wciąż obracał przedmiot w dłoniach niczym mydło.

– Wygląda jak element jakiegoś mechanizmu.

– Bo nim jest – odparł Shappeler, zabierając mugo i odkładając z namaszczeniem do szkatułki na biżuterię, wyłożonej czerwonym aksamitem.

– Fragment znaleziony w Jordanii jest zeszklony – wymamrotał. – Żeby z kamienia zrobić coś takiego, potrzeba tysiąca stopni Celsjusza. A w naturze nie istnieje nic podobnego.

– Więc co to mogło być? – zapytał Lio.

– Eksplozja materiału radioaktywnego – odparł Shappeler, z poważną miną. – Czyli bomba atomowa.

– Widziałem jasność oślepiającą bardziej niż słońce, która praktycznie zmiotła dwa miasta.

– Pan widział... – Shappeller już miał to powiedzieć, ale powstrzymał się, ponieważ Giger patrzył na niego, kręcąc głową.

– Vril? – zapytał Lio.

Giger wstał nagle, a za nim Czarownice Vril.

– Musimy już iść – powiedział szorstko, wygładzając dłońmi płaszcz. – Nie przyjechaliśmy tu na pogaduszki.

– Zaprowadzę was – powiedział Shappeller. – Dotknął ramienia swojego asystenta zapisującego w zeszycie jakieś liczby, które odczytywał z kawałka papieru wyplutego z brzęczącej metalowej skrzynki.

– Ty tu zaczekaj – powiedział mu, na co on skinął potwierdzająco.

Wyszli z laboratorium i doszli do tej samej windy, którą zjechali na dół. Wjechali na górę.

Kiedy winda się zatrzymała, Lio wiedział, że znajduje się na głębokości pięćdziesięciu metrów. Giger skręcił w prawo, mówiąc, że

zaraz do nich dołączy. Lio szedł za Marią, Heike, Sigrun, Virną, Monicą oraz naukowcem przez tunel w kierunku windy, która powinna ich zawieźć na powierzchnię, jednak oni minęli windę i poszli dalej.

Za nimi dreptał Tybetańczyk, czuwając, żeby nikt nie opuścił grupy i nie poszedł węszyć tam, gdzie nie powinien.

Kiedy tak szli przed siebie, nadając równy rytm stukotowi swoich kroków, doktor Shappeller co jakiś czas odwracał się do tyłu, sprawiając, że przez jego twarz przebiegały tańczące refleksy pomarańczowego światła, i rzucał okiem na Lio. Rol otoczony Czarownicami Vril, zanurzony w słodkawych oparach ich perfum, odpowiadał mu, odchylając głowę na bok.

Gdyby nawet za chwilę doktor Shappeller pokazałmu nie jedną, ale tuzin gotowych do rzucenia bomb atomowych albo nawet raketę, do której można by przymocować bombę i która w ten sposób mogłaby przemierzyć

cały ocean, Lio nie zdziwiłby się tak jak w tej chwili. Zdał sobie bowiem sprawę, że znowu mógł słuchać. Wyraźnie docierały do niego ich wewnętrzne głosy.

Donośny, ale niezrozumiały głos Ty-betańczyka. Wszystkie pozostałe były identyczne. W końcu z wolna zaczął wyodrębniać jeden z nich, który wiedział, dokąd zmierzali (pozostałe same się nad tym zastanawiały) i wydedukował, że chodziło o głos doktora Shappellera. Wsłuchiwał się niego, usiłując usunąć na bok pozostałe.

„Nie wiem, dlaczego dałem się w to wplątać” – myślał. Ostatnie słowa powtarzały się niczym echo.

„Pieniądze, pieniądze, a potem wyłącznie wymówki przekładanie terminów. »Jeśli da nam pan swoją pierwotną maszynę, doktorze Shappeller, spędzi pan starość, pławiąc się w luksusach, tak jak to niegdyś bywało. Co pan na to?« Co ja na to? Ja na to, że byłoby miło, ale mnie oszukaliście! Według was

spędzanie całych dni w tych ciemnościach ma coś wspólnego z luksusem?”

I znowu ostatnie słowa odbiły się w umyśle Shappellera tym samym charakterystycznym echem. Oto znak rozpoznawczy jego myśli. Od teraz nie będzie miał problemu, żeby odnaleźć go w plątaniu innych głosów.

W dalszym ciągu się w niego wsłuchiwał. Niezadowolenie starszego naukowca nie miało granic.

To była chyba dobra wiadomość, która potwierdziła informację zawartą w zaszyfrowanym liście Sibylli dotyczącą tego, że Shappeller (Enki) był skłonny do współpracy – gdyby tylko Lio miał pewność, że słuchał jego myśli, a nie swoich.

Musiał sobie zaufać, bo przecież nie znalazł się tam przypadkowo. Nie mógł w końcu wykluczyć, że on – Lio Rol, Lio Martes czy też Spartak – naprawdę posiadał rzadkie i niewiarygodne zdolności

psychiczne. Stwierdził, że to pewnie dlatego stał na czele Panopticonu.

Zdążyli przejść zaledwie niewielki odcinek tunelu, gdy nagle natarczywy szmer za ich plecami zmusił ich, by się zatrzymali. To Giger nadjeżdżał wielkim białym pojazdem z otwartym dachem, napędzanym silnikiem elektrycznym.

Zatrzymał się i kazał im wsiąść.

– Niemcy mają najlepszych naukowców na świecie! – krzyknął Shappeler, żeby przedrzeć się przez hałas silnika. – Teraz zobaczycie, do czego są zdolni wielcy ludzie, kiedy nie stawiają sobie żadnych ograniczeń. – Nie rozmawiał z nikim szczególnie, patrzył tylko z wściekłością na tunel przed sobą.

Giger, zanim wcisnął pedał gazu, spojrzał wymownienia Tybetańczyka. Monica, Maria, Heike, Virna i Sigrun szczebiotały wesoło, dając sobie nawzajem żartobliwe klapsy jak małe dziewczynki. Przez chwilę wydawało

się, że jechali rozweseleni na jakąś wycieczkę na wieś w świecie, w którym niebo kiedyś zmieniło się w nisko zawieszoną, szarą, cementową masę, a słońce rozbiło się na niezliczoną ilość drobnych lodowatych światel, zamkniętych w metalowych klatkach.

Rozdział 68

Giger oznajmił swoim Czarownicom, że mają zaczekać na zewnątrz laboratorium, a Lio kazał wejść do środka.

Rol widział to pomieszczenie już wcześniej. W środku znajdowały się filary z żelbetu, unoszące ciemną kulę wiszącą bezwładnie niczym zgaszone i czarne słońce. Były tam też znane mu już, przebiegające po podłodze grube wiązki kabli oraz to samo ascetyczne i oślepiające światło. Jednak pomieszczenie to było nieporównywalnie większe od tego, jakie widział w swojej wizji – szersze od hangaru i wyższe od gotyckiej katedry.

Do laboratorium wpuszczony został jeszcze tylko Tybetańczyk, który nie opuszczał ani na krok obersturmbannführera SS. W środku czekał na nich człowiek w białej koszuli, z kędzierzawą i przystrzyżoną

brodą, w którym Lio rozpoznał austriackiego inżyniera Viktora Shaubergera.

– Przedstawiam ci pana Rola – powiedział Shappeller.

Doktor Shauburger podszedł do niego i uścisnąłmu dłoń.

– Najwyższy czas – powiedział z nutą wyrzutu w głosie, a Lio skinął lekko na znak, że się z nim zgadza.

– Czy możemy zaczynać? – spytał Shappeller, pocierając ręce.

– Zaczynamy – odpowiedział Giger.

Natomiast wyraz twarzy Shaubergera mówił sam za siebie – poprzednimi razy, kiedy słyszał te słowa, nie omijało go rozczarowanie.

– Pan Rol udowodnił, że posiada autentyczne zdolności prorocze – zapewnił go Shappeller. – Musimy spróbować.

Giger i Tybetańczyk, który wciąż miał na dłoniach zielone rękawiczki, usiedli obok

siebie na polowych krzesłach, gotowi do podziwiania czegoś, na co długo czekali.

Shappeller złapał mosiężną dźwignię w ścianie i pociągnął ją w dół. Kula na szczycie metalowego szkieletu zaświeciła się i zaczęła szumieć. Zgasły światła. Pozostało jedynie przerywane miganie kuli.

Z góry zjechał stalowy blok o cylindrycznym kształcie. Kiedy znalazł się na tyle nisko, żeby można było zajrzeć do jego wnętrza, Lio zrozumiał, że w końcu miał przed sobą Dzwon – *die Glocke* – rezultat projektu „Riese”.

Jednak nie był on gigantycznych rozmiarów. Liczył sobie około pięciu metrów wysokości, a jego średnicą podstawy, szerszej od smukłego czubka, wynosiła około czterech metrów. Dolna krawędź ozdobiona została dziwnymi symbolami, prawdopodobnie pismem runicznym – pomyślał Lio – nie mógł ich jednak dokładnie dojrzeć, ponieważ było zbyt ciemno. Wytłoczona z boku czarna

swastyka nadawała mu wojenny wygląd. Bez niej dzwon nie przypominał sprzętu wojskowego, wręcz przeciwnie— jego nietypowy kształt nasuwał skojarzenia raczejz ogromnym napastrkiem krawieckim. A jeśli chodziło nawiązania do gigantów, co najwyżej mógł być śmiesznym kapeluszem jednego z nich.

Mimo to ten symbol wyraźnie dawał do zrozumienia, że maszyna ta nie została stworzona w pokojowych celach.

Lio właśnie miał zapytać, co to było, kiedy Shappeller krzyknął:

– Wprowadźcie Nostradamusa!

Do pomieszczenia wszedł asystent. Pchał przed sobą wózek, na którym stała jakaś klatka. W klatce siedział biały pies. Jechał na spotkanie z przeznaczeniem, węsząc przez pręty w ciemnościach przerywanych drgającym światłem.

– Niech pan podejdzie, Rol. Lio wykonał polecenie.

– Proszę mi powiedzieć, dokąd zmierza nasz przyjaciel.

Otworzył klatkę, a pies wybiegł z niej i zaczął przyjaźnie skakać na Lio. Rol przymknął powieki i usta i pozwolił, by Nostradamus lizał go po twarzy. Zwierzę było niczego nieświadomym huraganem szczęścia. Dla niego znalezienie się poza klatką i możliwość okazania czułości człowiekowi były wszystkim, czego potrzebował.

Cokolwiek mieli zamiar mu zrobić, on nie chciał tego widzieć.

– Jest pan gotowy, Rol?

– Nie można zrobić tego z jakąś myszą albo jakimś insektem? – zapytał, podczas gdy pies wciąż szamotał się w jego ramionach.

– Proszę rozpocząć – odparł Shauburger władczyimi oschłym tonem.

Lio skinął głową. Wyjął zakrwawioną chusteczkę z kieszeni. Podsunął ją sobie pod nos, by zatamować krew, która zacznie z niego wypływać. Był gotowy również na

pojawienie się świszczącego bólu głowy. Przcisnął do siebie psa.

Zobaczył. Zapłakał. Popłynęła krew. Otworzył oczy. Pies wylizywał mu łzy.

– Widziałem go zwęglonego – powiedział.
– Nieżywego, jakby spopielonego przez energię bez światła.

Shappeller wziął na bok Shaubergera i przez chwilę czymś rozmawiali. Następnie Shappeller odwrócił się kierunku Lio i powiedział:

– Proszę odpocząć. Później wykonamy drugą próbę.

Lio nie sprzeciwił się.

Został wyprowadzony z laboratorium i zaprowadzony do niewielkiego pokoju, słabo oświetlonego drgającym pomarańczowym światłem neonu. W pomieszczeniu znajdowały się dwa ustawione naprzeciwko siebie krzesła stojące przy dłuższych bokach prostokątnego stołu i nic więcej. Dopływ powietrza zapewniał znajdujący się w górze

otwór wentylacyjny, z którego dolatywały orzeźwiający podmuchy wiatru i zapach suchych liści.

– Proszę tu poczekać – powiedział Giger.

Lio opadł na jedno z krzeseł i zaczął myśleć o czymś, żeby zabić czas – tutaj mógł to robić bez ryzyka, że ktoś go usłyszy, choć wątpił, żeby ktokolwiek z nich potrafił to robić. Miał wrażenie, że Maria Orsich, pomimo całej swojej cyrkowej kokieterii, blefowała – dałby sobie za to uciąć rękę.

Zamknął oczy i skupił się na własnym oddechu, próbując się wyciszyć.

Niczym sucha gąbka w letnim deszczu mózg agenta Spartaka zaczął szybko przybierać swój naturalny kształt pierwotną konsystencję. Informacje, które zostały dezaktywowane przez doktora Morfeo, powracały kolejno, nawadniając jego tkanki, nasączając włókna nerwowe, wytwarzając w nim elektryczne impulsy świeżości i pobudzającej euforii.

Świadomość, że jest świadomy, była dla niego bardzo przyjemnym uczuciem.

Lio Martes, w odróżnieniu od Lio Rola, doskonale zdawał sobie sprawę, że mówił płynnie po angielsku, francusku, hiszpańsku, niemiecku, arabsku, japońsku, rosyjsku, że z języków martwych znał grekę, łacinę, język sumeryjski, akadyjski oraz trochę słabiej aramejski i sanskryt. Posiadał szczegółową wiedzę geograficzną i geopolityczną, wiedzę naukową z różnych dziedzin – od chemii po fizykę, od astronomii po geologię. Był ekspertem w manipulacji umysłem. Prestidigitatorem. I – jak się wydawało – nawet kimś więcej.

Niemniej myślenie o sobie jako o Lio Martesie wydawało mu się dziwne. Od lat musiał niezwykle uważać, by nie zdradzić tego imienia i nazwiska. Tak bardzo zmęczyło go ukrywanie swojego życia za pseudonimami takimi jak Spartak,

tworzonymi na potrzeby danej misji, że teraz z trudem rozstawał się z Lio Rolem.

Było to bardzo krótkie i nierzeczywiste doświadczenie, nie mógł nawet stwierdzić, że przyjemne. Jednakod czasu, gdy rzucił w zapomnienie własną tożsamość,ta okazała się pierwszą fałszywą, którą odczuwał – aż do teraz – jako prawdziwą.

Lio Rol był bardziej autentyczny i żywy od Lio Martesa oraz każdego innego pseudonimu, który musiał przybraćw trakcie swojej kariery szpiega.

Przez te kilka dni życia Lio Rola kołatały się w nim głębokie ludzkie uczucia takie jak samotność, nieprzystosowane, strach, miłość.

A teraz, gdy poczuł ulgę, po tym jak dowiedział się, że nie był Lio Rolem, nie potrafił myśleć o sobie jak o kimś innym.

„To chyba splątanie... – Pomyślał. – Prawdopodobnie efekt uboczny przygotowania

mentalnego, któremu poddał mnie doktor Morfeo”.

Alba, Monica... Przebiegający go dreszcz sprawił, że potrzęsnał głową. Z taką łatwością zdradził Sibyllę, swoją prawdziwą miłość. Czuł się winny, nawet jeśli wiedział, jak ważne dla powodzenia misji było uchodzenieza korzystającego z życia kawalera z Włoch.

Zaczęły powracać obrazy, słowa, emocje. Sibylla zgodziła się na to. Powiedziała, że pomimo zazdrości, pomimo tego, że kocha go ponad życie, nie będzie zadręczała się tym, że zacznie sypiać z innymi – może nawet z którąś Czarownic Vril – ponieważ jest gotowa na wszystko, byleby tylko unicestwić projekt „Riese”, a wraz z nim Trzecią Rzeszę.

Może – aby zniszczyć wspomnienie zdrady, jakiej dopuścił się wobec Sibylli – doktor Morfeo usunie definitywnie Lio Rola z jego świadomości? A może Sibylla nie zginęła w tamtym kościele? Może to, co

widział, było wizją przyszłości, a nie wspomnieniem, jak nakazywałyby przypuszczać krwotok z nosa?

Okłamał samego siebie, wmawiając sobie, że jeśli się tylko czegoś pragnie, można zmienić przyszłość. Koniec końców on znajdował się tam właśnie w tym celu.

Stracił już rachubę czasu. Minęło pół godziny, może więcej, kiedy Giger wrócił po niego i ponownie zaprowadził go do laboratorium.

Tam znowu pozwolili mu dotknąć Nostradamusa. Pies wyleciał z klatki, okazując mu całe swoje zadowolenie – skoczył na niego i znowu pokrył jego twarz śliną.

– Piękny jesteś – powiedział do niego Lio i przytulił go, przygotowując się znowu na przykre skutkiswoich wizji.

Krew, ból, mdłości nastąpiły po sobie precyzyjnie jakw szwajcarskim zegarku. Po chwili potwierdził, że widział i słyszał dokładnie to samo, co za pierwszym razem.

– Spróbujmy jeszcze raz – rozkazał Giger.

Lio nie sprzeciwił się i znowu pozwolił się zaprowadzić do ubogiego i smutnego pokoiku, w którym czas płynął wolno, momentami wręcz zdawał się stawać w miejscu. Przy trzeciej próbie potwierdził dwie poprzednie wizje.

– Spalony – powiedział. – Jeśli to, co widziałem, jest prawdą, stworzyliście niszczycielską broń.

– To nie jest dokładnie to, czego się spodziewaliśmy – powiedział Shappeller, zaniepokojony werdyktem Lio.

W końcu on i Giger zamienili ze sobą kilka słów, pokiwali głowami, po czym Shappeller wrócił przed panel sterowania Dzwonu.

– I tak spróbujemy – powiedział.

– Nie róbcie tego – błagał Lio. – To nie jest szczur, to pies, nie róbcie tego.

Ale Giger z głębi sali skinął dłonią, żeby kontynuować eksperyment. Shappeller

wypuścił psa z klatki i zwabił go pod Dzwon za sprawą dużej kielbasy.

– Odsuńcie się – powiedział.

Lio i doktor Shauberger podeszli do Gigera i Tybetańczyka. Zanim do nich dotarli, Shappeller podniósł szklany panel i wcisnął znajdujący się pod nim przycisk.

Dzwon zaczął wibrować. Wydawało się, że się nie rusza, ale dało się wyczuć jakąś rotację w jego wnętrzu, wytwarzającą dookoła wir i sprawiającą, że dzwon zaczął świecić niczym sztuczne ognie. Po chwili wszystko ucichło, a Dzwon zniknął.

W jego miejsce pojawiła się bańka. Na jej wewnętrznej, wklęsłej powierzchni wyświetlał się świat zewnętrzny, lecz jej zewnętrzne wypukłe ściany nie istniały.

Był to widok równie niesamowity co nierzeczywny. Kształt nadany nicości, przestrzeni skompresowanej do tego stopnia, że zniknęła, opadając niczym worek bez powietrza.

Coś, czego nikt z nich – może poza Shappellerem oraz Shaubegerem – nie potrafił sobie wyjaśnić. Coś, co Lio wydało się odkształceniem czasu i przestrzeni, wyrwą, za którą mogła istnieć zupełna nicość, jakby kolejny wszechświat.

Nawet gdyby to oszałamiające i niesamowite widowisko trwało cały wiek, Lio byłby przekonany, że upłynęła zaledwie chwila.

Najbardziej niewiarygodna chwila w jego życiu.

W końcu bańka przestała odbijać to co niepojęte i rozplynęła się w zielonym błysku. Znowu pojawił się Dzwon, ale pies zniknął, razem ze swoją kielbasą.

– Dziękuję, panie Rol. Jutro powtórzymy eksperyment. Shappeller spojrział na Gigera i powiedział:

– A potem nastąpi wielki dzień!

Giger wziął go na bok.

– Owszem, nastąpi, ale musimy zaczekać.

– Dlaczego? Już skończyliśmy!

- Musimy przenieść centrum badawcze.
- Ale Dzwon jest gotowy!
- Lio widział śmierć psa – zaproponował

Giger.

– Widzicie, że go tu nie ma? – powiedział Shappeller, dając Shaubergerowi znak, żeby go poparł.

– Pan Rol mógł przewidzieć prawdę: Nostradamus może umrzeć zwęglony, ale to zdarzy się co najmniej za siedemdziesiąt lat, może w komunalnym weterynaryjnym piecu krematoryjnym – tam, gdzie zwykle kończą martwe psy. Oczywiście przy założeniu, że uda mu się wyjść z kopalni, ponieważ w tej chwili Nostradamus jest dokładnie tutaj, ale siedemdziesiąt lat później niż my. Czyli będzie tu dokładnie za siedemdziesiąt lat, ale w pewnym sensie już jest tam, gdzie go wysłaliśmy, czyli tutaj.

– Ster czasu... – próbował wtrącić się Shauberger.

Giger uciszył ich.

– Może nawet jest tak, jak mówicie, ale nie mam zamiaru osobiście doświadczyć tak okrutnej śmierci ani oczekiwać tego od moich zwierzchników. Nakazano mi, żebym przyprowadził tu jasnowidza. Przykro mi, ale on jest bardziej wiarygodny niż wasze opowiadki.

– Rozumiem – powiedział przybity i poirytowany Shappeller – ale według naszych obliczeń...

– Obliczeń! – wybuchnął Giger. – Według obliczeń ekonomistów Rzeszy projekt „Riese” kosztował więcej niż przewidywano. Widzieliśmy tu już wiele rzeczy dematerializujących się na naszych oczach, ale wciąż nie wiemy, co się z nimi stało. Sądzę, że dzisiaj pan Rol w końcu dał nam odpowiedź. Wejście pod tę konstrukcję oznacza śmierć. Dlatego *die Glocke* jest dla nas bezużyteczny. Nie przeniesie nas donikąd, zwyczajnie nas pozabija!

– Pierwszy raz uczestniczyliśmy w spedycji tak dużego ssaka – zainteresował ze spokojem i opanowaniem Shauberger.

– Spedycji? – zachnął się oburzony do granic Giger. – Pan nazywa to spedycją?

– A pan opiera się wyłącznie na jednym słowie jasnowidza – zaproponował Shauberger.

– My, zanim doszliśmy do swoich wniosków, wykonaliśmy setki obliczeń i mnóstwo eksperymentów. Pies nie może być martwy, ponieważ żeby umrzeć, potrzebne jest jakieś gdzieś i kiedyś.

– Nie mogę odeprzeć pańskich teorii, kolego, ale jestem zmuszony przekazać do Berlina to, co widział jasnowidz. Wykonuję tylko rozkazy.

– Rozumiem, Herr Giger. To oznacza...

– Że Dzwon przestał bić – skwitował Giger. – Przynajmniej na razie.

Wstał, odwrócił się do nich plecami i zaczął kierować się do wyjścia z laboratorium. Za nim podążał Tybetańczyk.

Ponownie zapaliły się światła. Shaubeger poszedł za nim.

– Wczoraj wysłaliśmy świnkę morską, a Maria widziała, jak grzebała w ruinach tej kopalni, kiedy była już dawno opuszczona. Dwa dni temu wysłaliśmy wróbla, a Sigrun też widziała, jak tutaj fruwał. Stacja nie miała tylu zniszczeń, ale była to ta stacja. Musimy jeszcze udoskonalić ster czasu, ale...

– Dziewczęta to zwykłe media, żadna z nich niema zdolności pana Rola i jego siostry, Sibylli, która – jak dobrze pan pamięta, doktorze Shaubeger – przewidziała taki sam koniec dla stworzenia wysłanego podczas pierwszej „spedycji”, jak to pan nazywa. Jeśli się nie mylę, było duży włośchaty pająk.

– Dzwon działa, Herr Giger, i pan o tym wie – odparł Shappeller.

Giger odwrócił się, cofnął i stanął przed nim, uśmiechając się szeroko.

– Ja wiem tylko, że Führer jest zmęczony czekaniem na rezultaty projektu „Riese”

i wydawaniem tyłu pieniędzy w decydującej fazie konfliktu, z którą mamy do czynienia obecnie. Nie wiadomo dokąd wysyła ta maszyna i nie da się wrócić, żeby o tym opowiedzieć. Jediną możliwością, jaką mieliśmy, już wykorzystaliśmy. Rol powiedział, że pies zostanie zwęglony. I na tym koniec. Możliwe, że w szalonym akcie desperacji ktoś kiedyś znajdzie sobie tyle odwagi, żeby stanąć pod Dzwonem, ale obawiam się, że do tego czasu laboratorium zostanie zamknięte na cztery spusty.

Shappeller, w obliczu nieznanej mu do tej pory i nagłej stanowczości Giger, poddał się.

Towarzystwo Vril na rozkaz Himmlera wydało dekret o odstąpieniu od projektu, nad którym pracował od lat, zmuszony do spędzania niezliczonych dni w niewoli i bez światła słonecznego, a on nie mógł zrobić nic, żeby temu zapobiec.

– Pewnego dnia pożałujecie tego, co robicie – powiedział – i będziecie błagać

mnie na kolanach, żebym znowu uruchomił *die Glocke*.

Giger nie zatrzymywał się, obojętny na błagania Shappellera.

– Pan, panie Rol, przewiduje, że uda nam się kiedyś uruchomić Dzwon i uciec Amerykanom lub Bolszewikom? Jak się wydaje panu, który widzi jutro, wygramy wojnę?

Lio obserwował do tej pory całą scenę w milczeniu, usiłując zmyć sobie zaschniętą na wargach krew namoczoną w ślinie chusteczką. Teraz zapytany odparł, że jeśli miał być szczery, jego zdaniem wojna zakończy się w taki sposób, że Wunderwaffe zostanie użyta przeciwko dwóm miastom w Japonii.

Rozdział 69

Kabriolet przemieszczał się cicho do przodu niczym tłok w strzykawce, pokonując wiejący mocno w tunelu wiatr i sprawiając, że włosy i ubrania pasażerów powiewały. W szczególności włosy Czarownic Vrill podskakiwały i wydawały furczące odgłosy, przypominając tańczące języki ognia.

Z przodu siedzieli Giger i dwaj naukowcy, w tylnym rzędzie Monica, Tybetańczyk i Lio, a za nimi ścisnęły się Czarownice Vrill.

Lio wychylił się do przodu i powiedział coś na ucho doktorowi Shappellerowi.

– Cóż to takiego, że nie możemy posłuchać wszyscy? – zaprotestował prowadzący pojazd Giger i rzucił mu z ukosa groźne spojrzenie.

– Panu Rolowi jest przykro, że doprowadził do zawieszenia projektu – odparł Shappeller, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć szum powietrza.

Jedna z Czarownic pocałowała Lio w kark, sprawiając, że poczuł psotne ciepło jej ust. Następnie wspólnie wybuchły radosnym śmiechem, który został wessany do tyłu przez tunel.

– Panie Rol... – głos Gigera docierał do pozostałych, postrzępiony przez wiatr.

– Dlaczego nie wykorzystuje pan swoich umiejętności przewidywania dla samego siebie?

– Ma pan na myśli to, żeby wyciągnąć z tego jakieś osobiste korzyści?

– Gra pan czasem w gry hazardowe? Ktoś taki jak pan powinien.

– Tak, robiłem to w kasynie.

– Wygrał pan?

– Wygrałem – potwierdził Lio, krzycząc pod wiatr. – W kasynie zawsze wygrywam. Wiele razy mnie wypraszano.

– Ja na pańskim miejscu przewidziałbym swoją śmierć, żeby jej uniknąć. Ujrzał pan własną? Wie pan, jak i kiedy umrze?

– Tylko raz zdobyłem się na to – wykrzyczał Lio. – Jako dziecko. Później już się nie odważyłem. Nie chcę wiedzieć. Co ma być, to będzie.

– Zauważyłem, że kiedy się pan koncentruje, płynie panu krew z nosa.

– Moją głowę przeszywa niewyobrażalny ból, mam mdłości, jestem rozbity przez kilka dni i nie mogę spać. To kolejne powody, dla których powstrzymuję swoją ciekawość, jeśli miałyby mnie jeszcze kiedyś najść.

– A wtedy, jako dziecko, co pan widział?

– Od tego czasu minęło już wiele lat, nie pamiętam. Widziałem, że umieram i stwierdziłem, że nie było to jakieś wielkie odkrycie. W gruncie rzeczy wiedziałem, że pewnego dnia wszystko się skończy.

– Miałem takie samo odczucie, kiedy przewidział pan moje odejście. W pociągu *Heinrich*, pamięta pan? Też wtedy stwierdziłem, że mówi pan oczywistości. Gdybyśmy zatrzymali się na tej pańskiej przepowiedni,

nigdy nie wziąłbym jej na serio, ale z pewnością pamięta pan kilkoro klientów, którzy pana ostatnio odwiedzili. Pamięta pan Gregoria i jego żonę, ich nieszczęsnego syna...? To ja ich do pana wysłałem, ostatnim razem z butelką trunku w prezencie. A pan dokonywał kolejnych, dokładnych przepowiedni... – Puścił na chwilę kierownicę. – Naprawdę, niebywałe. Również ten Reis z Panopticonu potwierdzał pańskie wielkie talenty. A potem, kiedy zobaczyliśmy rysunek Hedwig... Byłato wisienka na torcie, którego smaku już nie mogliśmy się doczekać.

– Ostatnim razem spytali mnie, kiedy umrą – powiedział zaniepokojony Lio. – Skąd pan wie, że odgadłem, kiedy to nastąpi?

– Pan nie zgaduje, panie Rol, pan widzi.

– Tak, ale skąd pan...

– Zginęli w wypadku samochodowym. Stąd wiem. – Giger znowu na chwilę puścił kierownicę, zaśmiał się nabrał powietrza. –

Czyż nie można nazwać tego „przedwczesną śmiercią”? – Westchnął, kładąc znowu ręce na kierownicy. – Ale proszę mi powiedzieć, tamtego dnia, jako dziecko, gdzie pan siebie ujrzał? Gdzie pan będzie, kiedy nadejdzie pańska ostatnia chwila?

– Jeżeli to, co widziałem wtedy, jest prawdą, będę w domu, przed swoją maszyną do pisania.

Giger wybuchnął śmiechem.

– Ach te dzieci!

Czarownice Vrill za jego plecami przestały szczebiotać, jakby coś zrozumiały – to samo, co dotarło do Lio.

Tymczasem Tybetańczyk z wyprostowanymi plecami, cofniętym podbródkiem i przymkniętymi powiekami od jakiegoś czasu gardłowym głosem wypowiadał mantrę. Przypominał radio próbujące zestroić się z kosmicznym absolutem. Ale jego ascetyzm nie przeszkadzał mu być uzbrojonym i prawdopodobnie niebezpiecznym. Siedzący obok

niego Lio czuł na żebrach twardą kolbę lugera, która wystawała spod jego pachy.

Kim był ten Tybetańczyk? Sekundę później na jego przypominający gąbkę mózg spadł deszcz odpowiedzi:

„Nazwisko: Karo Nichi, zwany »Tybetańczykiem« lub »Człowiekiem w zielonych rękawiczkach«; członek szkoły Żółtych Czapek, Dge-lugs-pa klasztoru Taschi Lumpo, która przeciwstawia się lamom z sekty Czerwonych Czapek, Dzog Chen, frakcji Lhasa. Ci ostatni dzięki swojej magicznej sile wspomagają aliantów, a ich przywódcą jest lama Dordji Den. Karo Nichi jest magicznym sercem Trzeciej Rzeszy, określa się mianem wysłannika podziemnego królestwa Agharty. Jego zadaniem jest walka u boku państw Osi przy użyciu mocy i czarnej magii tybetańskiej. W Berlinie i Monachium przebywają jeszcze inni tybetańscy ezoterycy. Zbierają się w pięcioosobowych kręgach w prywatnych mieszkaniach, żeby

przywoływać tajemne siły mające chronić Führera, armię SS i Niemcy oraz żeby obalić ustanowiony porządek świata przy użyciu nadnaturalnych i demonicznych sił”.

W głowie Lio rozszalała się burza myśli. Po raz kolejny uświadomił sobie, że Spartak wiedział wiele, choć tak naprawdę to Spartak zdawał sobie sprawę z tego, jak niewiele wiedział Lio Rol, co dowodziło, że doktor Morfeo wykonał w jego głowie świetną robotę.

Kiedy dotarli do skrzyżowania z kolejnym tunelem, Giger zaczął hamować i zatrzymał pojazd. Przez prostopadły tunel przejeżdżał wolno duży konwój – dwie przyczepy transportujące po jednej rakiecie V-2, a za nimi i przed nimi niczym mrówki maszerujący żołnierze Waffen SS.

– Demontujecie stację – powiedział oskarżającym tonem Shappeller, fioletowy ze złości. – Co się stanie z Dzwonem?

– Zostanie przeniesiony. Jak tylko okoliczności będą sprzyjające, projekt zostanie wznowiony, gwarantujęto panu, Herr Shappeller. Przegrywamy w Stalinguadzie, byłoby wielce nierozważne, gdybyśmy pozostawili to centrum badawcze aktywne. Jestem pewien, że pan zrozumie.

Na podstawie tych słów Lio zrozumiał, że znajdował się na wschodzie, prawdopodobnie w tej części Polski, która została wcielona do Rzeszy. Pojął też inną rzecz – Towarzystwo Vril i Himmler wykorzystywali okazję, żeby ukryć Wunderwaffe, prawdopodobnie po to, żeby zabrać ją Hitlerowi i przejąć władzę nad całym światem.

Doktor Shauburger westchnął z zamiarem powiedzenia czegoś, ale w końcu zrezygnował.

– Co teraz? – zapytał Shappeller.

– Teraz czeka na was samolot do Berlina – odpowiedział Giger.

Z drażniącą powolnością długie rakiety w końcu odjechały. Elektryczny pojazd zaczął znowu brzęczeć, a po kilku kilometrach wyjechał w oślepiające światło dzienne, co oznaczało, że podziemny tunel biegł ukośnie w dół od powierzchni ziemi, żeby umożliwić wjazd do byłej kopalni również bardzo dużym pojazdom takim jak te, które właśnie widzieli.

Monica i Czarownice Vrill opuściły bazę w towarzystwie tybetańskiego maga i dwóch naukowców z Ahnenerbe.

Lio został wrzucony bez zbędnych ceregieli do pełnej kurzu budy i przykuty kajdankami do zardzewiałego, metalowego, wystającego ze ściany pręta.

Na zewnątrz Giger rozpoczął szybki demontaż stacji badawczej, wykrzykując poszczególne rozkazy. Wszystko wskazywało na to, że była to końcowa faza rozpoczętej dużo wcześniej operacji. Pojazdy jeździły we wszystkich kierunkach, unosząc tumany

kurzu, który wlatywał Lio kłębami we wszystkie otwory w ciele i coraz bardziej utrudniał oddychanie.

Rozdział 70

Słońce leniwie przechodziło przez eternitowy dach budy – biały snop światła, który prześlizgiwał się po półprzeźroczystych falach płyty, przebijając się przez mieszankę zaprawy i azbestu. Każde muśnięcie przez słońce kolejnego załamania dachu dla Lio było jak wybicie godziny.

Wieczorem jego wyczerpane ciało padło w dygoczącym oczekiwaniu, aż coś mokrego spłynie do jego zaschniętego i pełnego pyłu gardła.

Śnił jakiś bolesny sen, kiedy Giger uwolnił go z kajdanek i podniósł z podłogi.

– Zanim się pożegnam, chcę panu jeszcze coś pokazać, panie Rol.

– Wody – wyszeptał Lio, pocierając znieruchomiałym językiem o pozbawione uczucia podniebienie. – Wody – powtórzył, kiedy w końcu mógł przetrzeć oczy dłońmi.

Na zewnątrz ujrzał to, co pozostało po szybkiej i sprawnej ewakuacji – opuszczoną bazę wojskową, nieruchomą, zanurzoną w nocnej ciszy.

– Gdzie mnie pan prowadzi, co chce mi pan zrobić?

– Zanim pana pożegnam, chcę tylko zrobić coś, co przyniesie mi osobistą satysfakcję. – Wyprostował rękę i wskazał upragniony kran z wodą. – Proszę się napić – powiedział, odbijając blask księżyca od lufy swojego lugera.

Lio rzucił się w kierunku kranu niczym wampir na nieskalaną jeszcze szyję i zaczął pić. Włożył głowę i co tylko zdołał pod lodowaty strumień i pił zachłannie. Kiedy skończył, rozprostował obolałe nadgarstki i poszedł za nim.

– Dziś rano byliśmy przyjaciółmi.

– Pan przodem – powiedział Giger.

Lio podziękował i zaczął maszerować przed lufą lugera.

– Nie ma za co.

– Gdzie mnie pan zatem prowadzi?

– Chcę zobaczyć, jaką będzie pan miał minę, Rol.

– Oto moja mina. – Odwrócił się gwałtownie, jakby w furii, żeby pokazać mu swoją wysuszoną i bladą twarz, białe od kurzu włosy. – Zamknęliście mnie bez żadnego powodu i zwięzaliście jak jakieś dzikie zwierzę. Ja przyjechałem tu, żeby z wami współpracować. Jestem Włochem, do diaska! Jestem sojusznikiem Rzeszy! Jak śmiecie? Prędzej czy później Himmler dowie się o tym, a wtedy...

– A wtedy mi powie: „Doskonała robota, obersturmbannführerze”. – Zademontrował mu jeden ze swoich uśmiechów. – A teraz proszę iść.

Lio nie opierał się lufie lugera i maszerował, patrząc przed siebie.

– Agenci OVRA wszystko mi przekazali, panie X. Nie jest pan żadnym Lio Rolem – Lio Rol nie istnieje.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mówię o panu i pańskiej siostrze. Może Sibylla tak naprawdę nie zginęła w tamtej katastrofie lotniczej, może nie jest nawet pańską siostrą? Jedno jest pewne – wasza dwójka obmyśliła całkiem sprytny plan. I muszę przyznać, że prawie udało wam się nas nabrać.

– Nie wiem, co robiła Sibylla, i nie znam jej poglądów politycznych. Nie prosiłem się, żeby tu przyjeżdżać, nic nie wiem i nie jestem żadnym szpiegiem. Widział pan kiedyś tak nieprzygotowanego szpiega?

– Szczerze mówiąc, nie. Proszę się nie odwracać i wciąż iść przed siebie.

Torf trzeszczał im pod stopami niczym śnieg. Było jeden z niewielu odgłosów, jakie dochodziły z bazy. Czasem dało się jeszcze posłyszeć dźwięk wypowiedzianych przez nich

słów, jęki ciężkich metalowych konstrukcji, które stawiały opór wiatrowi, oraz odległe brzęczenie działającej elektrowni. Przeszli jeszcze kilkaset metrów, aż w końcu Lio zauważył elektryczny pojazd Gigera. Stał zaparkowany przed wejściem do tunelu. Przypominał kostkę cukru, która za chwilę zostanie połknięta przez ogromną czarną paszczę.

– Dlaczego od razu mnie pan nie zabije – zapytał wyzywająco Lio. Krew w nim wrzała.
– Co ma oznaczać ten teatrzyk?

– Niech pan wsiada. – Zaczekał, aż wykona rozkaz. Kiedy Lio usiadł w ostatnim rzędzie foteli, przykuł godo nadwozia pojazdu.

Usiadł za kierownicą i ruszył. Głuchy elektryczny ryk znowu rozległ się w mrocznych korytarzach kopalni. W miarę jak jeździł niżej i coraz bardziej się rozpędzał, lodowate powietrze stawało się coraz cieplejsze. Zapuszczali się bez słowa

w otchłań tunelu, torując sobie drogę w ciemności świecącymi mocno reflektorami pojazdu.

Rozdział 71

Teraz obraz Sibylli rozbłysnął z całą mocą na niebie jego umysłu. Widział ją w tysiącach sytuacji: na ulicy, w samochodzie, przy telefonie, w intymnych, spędzonych razem chwilach. I kochał ją tak, jak kocha się wodę, powietrze, światło słoneczne.

Poznał ją dziesięć lat przed wybuchem wojny w Paryżu we Francji, gdzie schronił się wraz z wieloma innymi włoskimi opozycjonistami reżimu. Ona na początku nie stanowiła części grupy, przebywała w Paryżu na studiach. Mówiła, że jest apolityczna, ale nigdy nie ukrywała swojego umiłowania wolności. Zakochała się w nim – młodym i obiecującym wykładowcy uniwersyteckim, z którym dzieliła pasję do zagadek starożytności. Zakochała się również w jego poglądach politycznych i przekonaniach. Następnie została zatrudniona jako

tłumaczka w niemieckiej ambasadzie w Rzymie i powoli pozwałała się wciągnąć w działalność informatorki.

W ten sposób z ich miłości zrodził się Panopticon, ich jedyne dziecko. Wtedy zaakceptowali fakt, że większość czasu będą spędzać z dala od siebie.

Przysięgli sobie jednak, że nie potrwa to nie wiadomo jak długo, a jedynie do dnia, w którym poczują, że zrobili tyle, ile trzeba.

Jeśli walczy się o wolność, samemu trzeba być wolnym.

Miłość przeżywana we wspomnieniach jest dziwna – pomyślał Lio. Nie jest tą potężną płataniną emocji, bezlitośnie ściskających duszę. Emocje, które budziły się w nim, kiedy przypominał sobie miłość, były inne, podobne raczej do przebłysków świadomości, że brakowało mu jakiejś jego części, że została ona odcięta. Podsycaly jego gorące pragnienie utulenia w ramionach swojej ukochanej, ale nie były takie same, jak wtedy

gdy ją w nich trzymał. Wiedział, co znaczyło kochać ją, ale ta wiedza stanowiła tylko odległe odbicie rzeczywistości.

A mimo to wystarczyła, by teraz poczuł do niej uczucie, którym darzył ją zawsze.

Jego głowa była niczym beczka porwana przez bystry potok, wstrząsana przez porywczy prąd i wystające z dna głązy.

Myśli mieszały się z ciepłą krwią, która płynęła mu z nozdrzy. Pioruny bólu dziurawiły mu skronie. Ale przynajmniej miał pewność, że to, co widział, było tylko wspomnieniami, najzwyklejszymi przebłyskami przeszłości, która należała do niego.

Miał mdłości i przemożną chęć, żeby wylać swoje soki trawienne na siedzenie pojazdu. Czuł, że nic rzeczywistości, której kurczowo się trzymał, stawała się coraz bardziej wątła. Pod jego lodowatym czołem kłębiły się splecione słowa, wszystkie pozbawione sensu, czyste umysłowe refleksy nieznanych dźwięków.

Głos Gigera ledwo do niego docierał.

– Wie pan, dlaczego Sumerowie nazywali siebieczarnymi głowami? – mówił. – Zastanawiał się pan kiedyś nad tym?

Nie, nigdy się nie zastanawiał. I nie wiedział. Nikt nie mógł tego wiedzieć, ponieważ nikt nie wiedział nicna temat tego wielkiego, pradawnego ludu. Ale nawet gdyby umiał odpowiedzieć na to pytanie, musiałby krzyczeć, żeby pokonać siłę wiatru i sprawić, by jego odpowiedź dotarła do uszu Gigera. Był wycieńczony, wyczerpany. Zużywając całe powietrze, które udało mu się zebrać w płucach, zdołał tylko wydać długie westchnienie.

– Słyszał mnie pan, Rol?

– Tak – odpowiedział słabym głosem.

– Słyszysz mnie pan tam z tyłu? – krzyknął. Skręcił szyję, żeby upewnić się, że Lio siedział wciąż w samochodzie. – Nie jest pan jednym z tych magów typu Houdini, prawda? Nie jest pan, tym, no...?

– Eskapistą – krzyknął po chwili rozeźlony Lio.

– Eskapistą! – Giger odwrócił się ponownie i rzucił okiem na kajdanki krępujące jego przykute do nadwozia nadgarstki. – Po takich jak pan wszystkiego możnasie spodziewać.

Lio uderzyło ciepłe powietrze jego śmiechu i wzdrygnął się.

– Dlaczego pan mi to robi?

– Niestety nie mogę panu ufać. Proszę mi wierzyć, to tylko z powodu takiego biegu wydarzeń... wojny... Sprawy przybierają zły obrót dla Rzeszy. Mamy bardzo poważne problemy. Mimo że jest pan Włochem – a muszę przyznać, że nie pałam szczególną sympatią do waszego narodu, choć pańska siostra jako porządna Włoszka odpłaciła się za moją uprzejmość, wykradając informacje na temat Towarzystwa Vril i jego działań i przekazując je wrogowi – naprawdę, proszę mi wierzyć, panie Rol, darzę najwyższym

szacunkiem pana i pańskie umiejętności. W innych okolicznościach pan i ja zostalibyśmy przyjaciółmi. Kto wie, jak wiele jeszcze niesamowitych rzeczy pan potrafi, ile historii ma pan do opowiedzenia. Mimo wszystko trzeba pozostać realistą. Na wojnie nie można zyskać nic bez poświęcenia wielkich ludzi. Pańska ofiara będzie tylko jedną z wielu. Ale jest mi przykro, naprawdę chciałbym, żeby pan w to uwierzył, panie Rol.

– Wierzę – powiedział Lio zasnuty obojętnością głosem.

– A zatem, wie pan dlaczego?

– Nie.

– Nikt nie wie, skąd przybyli Sumerowie, kiedy osiedlili się w rejonie Mezopotamii. Skąd więc pan miałby to wiedzieć? Ale zadał pan sobie kiedyś pytanie, dlaczego nazywali siebie w taki sposób?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – przyznał Lio.

– Jasne. Nawet wykładowcy akademicy nie zadają sobie pewnych pytań. Przemądrzali profesorowie uniwersyteccy pomijają z niewybaczalną obojętnością tak wiele kwestii. – Nabrał powietrza do płuc, podniósł rękę, zabębnił w kierownicę. – Prawie dojechaliśmy, panie Rol.

– Dokąd jedziemy?

– Chcę panu zrobić niespodziankę.

– Lio uniósł się lekko z fotela, jęcząc z powodu bólu nadgarstków.

– Proszę więc teraz się nad tym zastanowić.

– Nie mam pojęcia, niech pan mi powie. Wywołaliście wojnę ogólnoswiatową, eksterminujecie cały naród, wysyłając bezlitośnie na rzeź kobiety i dzieci, wykorzystując istoty ludzkie jako króliki doświadczalne, jako niewolników, a pan zastanawia się nad tym, dlaczego Sumerowie nazywali siebie czarnymi głowami? – Lio wypluł całe swoje

obrzydzenie na fotel obok w postaci wielkiej pieniającej się kuli śliny, kurzu i złości.

– Pan, niestety, nie może tego zrozumieć. To nie pańska wina. Więc ja panu powiem. Z pewnością nazywali siebie czarnymi głowami dlatego, że ten epitet odróżniał ich od ludzi zajmujących przed nimi Mezopotamię. Zgodzi się pan?

Lio skinął głową.

– Nie słyszę pana, Rol. Zgodzi się pan?

– Zgadzam się – krzyknął.

– To raczej oczywiste, że ludzie z Mezopotamii nie mieli wtedy czarnych głów. Oto odpowiedź: przed Sumerami Mezopotamia zamieszkiwana była przez Anunnaki, przez tych, którzy wkrótce stali się ich bóstwami i od których przejęli całą wiedzę i cywilizację, panie Rol. Anunnaki (w żydowskiej Biblii nazywani *Elohim*, *nephilim* lub gigantami) mieli włosy w kolorze blond lub lekko rudym, jasne – niebieskie lub szare – oczy, byli wysocy, silni i posiadali niewyobrażalną dla

nas wiedzę spirytualistyczną i technologiczną. Sumerowie podziwiali ich jak bóstwa i byli oni bogami z krwi i kości, „mający sławę”, panie Rol.

– Nie może pan tego udowodnić – odparł Lio. – Dobrze znam te zagadnienia.

– Wiem, pańska siostra przeczytała mi po niemiecku jedną z pańskich książek. Spodobała mi się. – Giger wcisnął pedał hamulca czubkiem swojego błyszczącego buta. Usłyszeli długie piszczenie zużytych klocków hamulcowych, po czym pojazd się zatrzymał. Wysiadł, pozostawiając zapalone światła. – Jesteśmy na miejscu – oznajmił. Odpiął krępujące Lio kajdanki od nadwozia i kazał mu wysiąść.

– Tędy, proszę. – Machnął lugerem i wskazał mu wejście obok tunelu, z którego biła zielonkawa poświata.

Kiedy się oddalali, światło reflektorów słabło, ginąc coraz bardziej w głębokiej ciemności. Przez chwilę Lio oddychał najbardziej

gęstym powietrzem, jakie kiedykolwiek miał w płucach.

– Dlaczego zostawia pan samochód tak daleko?

– Ponieważ tutaj nie można nawrócić – odpowiedział Giger – a ja nie mam zamiaru wracać pieszo.

Słowa te dotarły do barków Lio niczym pocisk. Zrozumiał, że Giger chciał wrócić na powierzchnię sam, a jego pozostawić pod ziemią. Prawdopodobnie chciał również zaplombować podziemną stację badawczą, być może nawet wysadzając wejścia przy użyciu dynamitu. To właśnie był jego plan.

Gorzki uśmiech rozciągnął się na jego wyschniętych wargach.

Następnie przekroczył próg, przechodząc pod prysznicem zielonego światła padającego z umieszczonej nad wejściem lampy. Giger wsunął klucz do otworu w ścianie, przekręcił go i popchnął na bok przesuwne stalowe drzwi. Oddech ugrzął Lio w gardle. To, co

znajdowało się przed jego oczyma, przechodziło ludzkie pojęcie.

Za przejrzystymi przeszklonymi drzwiami, tak grubymi, że nie przebijały się przez nie żadne dźwięki, znajdowała się pieczara pełna ludzi, których z trudem mógł za takowych uznać.

Była to niema scena piekielnego kręgu – ogromna liczba mężczyzn i kobiet stłoczonych pośród własnych odchodów. Niektórzy z nich kręcili się bez celu w słabym, bladym świetle jaskini. Widać było, że krzyczą, stękają, ale nie było ich słychać. Lio zauważył, że kilkoro z tych nieszczęśników pochylało się nad obdartymi z mięsa zwłokami z rozprutym brzuchem. Ich twarze ubrudzone były krwią, a w oczodołach połyskiwało jedynie coś na kształt dwóch zielonych główek zapalek. Wśród jeszcze żywych, doszczętnie wychudzonych istot, którym niczym parchatym kotom powypadały włosy, a skóra łuszczyła się jak w ostatnim stadium trądu,

zobaczył monstra. Wydały mu się nierealne: dzieci z trzema rękoma, dwoma głowami, z okiem w miejscu, w którym powinna znajdować się kość policzkowa... oraz kilkoro zdeformowanych noworodków. Spojrzał na rozkładające się zwłoki i zrozumiał, że byli to jedyni szczęściarze, którzy otrzymali trochę łaski od losu.

– To nie są Żydzi – powiedział Giger. – Z zepsutej mąki nie uzyska się dobrego chleba. To, co pan widzi, to jeńcy i ich dzieci. Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Rosjanie. Wybraliśmy najlepszych.

Lio poczuł dziki impuls, żeby zareagować ze wszystkich sił, które mu jeszcze zostały i rzucić się na Gigera. Nie bał się jego pistoletu. Pomyślał, że po tym co zobaczył, niczego nie przestraszy się już tak bardzo, jak perspektywy życia w tym nieludzkim i pozbawionym wszelkich wartości świecie. Ale widok ten osłabił go do tego stopnia, że

nawet gdyby próbował, nie dałby rady się ruszyć. Niczym w koszmarze.

Ponieważ to był najgorszy koszmar w jego życiu.

– Co im robicie?

– Eksperymentujemy, panie Rol.

– Co to za eksperymenty?

– Widzi pan? Tam... – Wskazał za szybę. –

Chłopiec trzema rękoma...

Lio zamilkł.

– Stworzyliśmy też takiego, który ma cztery ręce, tak jak bóg Marduk przedstawiony przez sardyńską figurkę z brązu, o której opowiadałem panu wcześniej. Stworzymy wojowników, którzy będą w stanie używać czterech sztuk broni jednocześnie, odważnych i silnych. A wszystko przy pomocy kamieni, panie Rol. Tylko kamieni. Elementu, w obróbce którego pochodzący z Atlantydy Aryjczycy byli największymi mistrzami. Ale nie zwykłych kamieni, lecz tych bogatych w uran, pluton, rad... Niebawem

uda nam się kontrolować procesy mutacji genetycznej i będziemy w stanie odtworzyć nie tylko pierwotną superrasę, ale także pewne stworzenia, które zawsze uznawane były za mitologiczne i będące wytworem fantazji poetów, a które tak naprawdę istniały i będą istnieć.

– Co teraz macie zamiar zrobić z tymi nieszczęśnikami?

– Przeniesiemy część stacji, więc ta część przez jakiś czas będzie zamknięta. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś odkrył rezultaty naszych badań.

– Albo żeby ktoś dowiedział się, jak szalone i nikczemne są poczynania oddziałów SS i całej Trzeciej Rzeszy? Będą was procesować za zbrodnie przeciwko ludzkości. Upodlą was przed całym światem i powieszają.

– Tym przejmuję się trochę mniej – odparł Giger. – Honorowe samobójstwo rozwiąże każdy problem tego rodzaju. Jak już, zdaje się, panu powiedziałem, nie boję się śmierci.

– Nie pozostało panu wiele życia.

– Wiem, wiem – odparł melodyjnie Giger, uruchamiając mechanizm otwierający szklane drzwi.

– Już mi pan to powiedział na pokładzie *Heinricha*. Nawet gdybym w to uwierzył, nie przestraszyłbym się.

Szklane drzwi lekko podskoczyły. Po delikatnym skrzypnięciu zaczęły przesuwać się na bok.

Lio uderzył stęchły odór piwnicy – wilgotne, ciepłe, przepelnione oparami gnijących ciał powietrze. Zakrył nos i usta ramieniem. Cofnął się. Ale w tym momencie poczuł, jak but Gigera wbija się w jego plecy i ciska go na ziemię, w sam środek tego piekła. Kiedy udało mu się podnieść, w zamykających się drzwiach pozostała już tylko szczelina. Chwilę przed tym, jak zamknęły się całkowicie, Giger przysunął do nich usta i krzyknął:

– Dziękuję za wszystko, panie Rol.

Następnie odszedł i zamknął za sobą także stalowe drzwi.

Rozdział 72

Pluton zombi zbliżał się w jego kierunku wolnym krokiem, wpatrując się w niego podejrzliwie. Ci z tych nieszczęśników, którzy nie mieli już oczu lub nigdy ich nie posiadali, zaczęli go obwąchiwać.

Lio poślizgnął się na zgniliznie i upadł do tyłu.

Spodziewał się, że spokojne zaciekawienie, z jakim się do niego przysuwali, przerodzi się w nagłe, żarłoczne szaleństwo. Był niemal pewien, że rozszarpią go zębami i paznokciami, że będą jeść jego mięso, gdy w jego żyłach wciąż jeszcze będzie pulsowała krew. Cofnął się przerażony, odpychając się rękoma i nogami. Spróbował wstać, ale znowu upadł.

– Odejdźcie! – krzyczał, wysuwając pomiędzy nich siebie rękę. – Odejdźcie!

Ale ta masa zatrutych promieniowaniem ciał wciąż przemieszczała się w jego kierunku, powoli, złowieszczo, nieubłaganie, niczym strumień lawy. Maską trwogi na twarzy Lio złagodniała, gdy ujrzał, że jeden ze znajdujących się przed nim mężczyzn zasłabł, czemu towarzyszył charakterystyczny głuchy odgłos, suchy dźwięk kości upadających na cement.

Nie miał przed sobą oddziału Waffen SS, były to tylko biedne ofiary, schorowane i słabe, a przede wszystkim niewinne istoty. „Niewinne” nie znaczy jednak „nieszkodliwe” – powiedział do siebie i wciąż wycofywał się, machając rękoma i nogami. Zaciskając mięśnie brzucha, udało mu się oderwać od ziemi i stanąć. Rozejrzał się dookoła, szukając jakiejś drogi ucieczki, ale wszędzie widział tylko skały. Przebiegał nerwowo oczami po ścianach jaskini w nadziei, że znajdzie jakiś występ, na który będzie mógł się wspiąć, żeby uciec od tej gromady wygłodniałych upiorów.

Nie znalazł go. Ale zauważył coś innego.

Wnętrze niewielkiej jaskini było suche. Na skałach nie osadziła się wilgoć. Zważywszy na fakt, że znajdowało się w niej przynajmniej pięćdziesiąt stłoczonych osób, brak skroplin można było wyjaśnić wyłącznie bardzo dobrze działającą instalacją wentylacyjną. Gdzieś na górze musiał być jakiś przewód powietrza.

Wtem z cierpiętniczych jęków wyłonił się jakiś głos:

– *Who are you?*

– Jestem... – Lio Rol? Lio Martes? Spartak? Jak właściwie się nazywał? – Jestem alpinistą – odpowiedział poangielsku – Włochem. Ale nie jestem faszystą – dodał pospiesznie.

Człowiek, który przemówił, podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Dlaczego tu się znalazłeś?

– Jestem szpiegiem – powiedział i ścisnął mu dłoń, twardą i zimną jak cement skorupę.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla wolności – odpowiedział. Pierwszy raz to słowo wypłynęło z jego ust bez cienia nadziei.

– Nazwisko.

– Nazywam się Lio Martes.

– Jesteś lekarzem?

– Nie.

– Kim jesteś? – nie odpuszczał mężczyzna.

– Jestem tajnym agentem, wrogiem dyktatury.

– Dobrze. Byłoby lepiej, gdybyś był lekarzem. – Wskazał tłum schorowanych ludzi za swoimi plecami.

– I tak nie zdołałbym wam pomóc – powiedział Lio, spoglądając do góry. – Może lepiej dla wszystkich, że nie jestem lekarzem. Są tu jakieś liny, jakieś narzędzia? Cokolwiek, co może się przydać?

– Po co ci one? Co chcesz zrobić? – zapytał po niemiecku ktoś z grupy.

– Wyprowadzić stąd wszystkich.

– Nie mamy lin – odparł człowiek.

Lio podszedł do lampy i zbił zielony klosz. Powtórzył tę czynność z pozostałymi dwoma lampami, następnie wziął miskę obrośniętą starymi resztkami jedzenia i powiedział innym, żeby zrobili to, co on.

Mężczyzna wziął miskę z ziemi i gestem nakazał dwóm pozostałym, żeby zrobili, o co ich prosił.

Lio użył miski, żeby skierować światło do góry, a pozostali poszli w jego ślady. Wiązka światła, którą zdołali odbić na sklepieniu jaskini, była słaba, ale wystarczająca, żeby dojrzeć otwór o średnicy około pół metra, zasłepiony kratką.

Jaskinia miała kształt przypominający płomień na wietrze. Jedna z dwóch ścian była szersza i wyginała się do góry w owalną krzywiznę, która przeradzała się w sklepienie. Druga ściana wznosiła się do góry z lekkim, możliwym do pokonania skosem i stawała się pionowa dopiero na

ostatnim odcinku na szczycie. Skała była wapieniemi dokładnie w tym punkcie znajdowały się w niej liczne pęknięcia. Zauważył szczególnie dwa z nich, które biegly do góry niemal równolegle, niczym dwie niewielkie, czarne błyskawice. Pomyślał, że gdyby miał haki wspinaczkowe, mógłby z łatwością zrobić z nich coś na kształt drabiny. Po dotarciu na szczyt, na wcale niemałą wysokość piętnastu metrów, mógłby chwycić wystającą część przyległej ściany, dobrze widocznej nawet z dołu, i przytrzymać się jej, żeby wyważyć kratę.

Ale nie miał haków. Nie miał nic. Bez względu na to, czy naprawdę był w Tybecie, czy nie, w jego osobistej papce wspomnień nie pozostał żaden ślad tak nierozważnej wspinaczki. Musiał sam siebie przekonywać, żeby nie stracić nadziei, a widok więźniów Gigera wcale mu w tym nie pomagał. Musiał myśleć racjonalnie.

Po chwili wskazał jakąś miednicę i pstryknął palcami. Wykonana była z miękkiej, giętkiej stali...

– Mamy coś, co można wykorzystać jako młotek?– zapytał.

Z grupy dotarło do niego lakoniczne „nie”. Jednak po chwili mężczyzna powiedział:

– Mamy łózka polowe.

Odsunęli się wszyscy, żeby pokazać mu swoje wstrętne posłania: każde składało się z ośmiu zbitych ze sobą drewnianych listew pokrytych zgrzebnym płótnem.

Zabrał się do pracy. Akompaniowały mu jęki i smętne odgłosy konających. Naskoczył obiema nogami na miednicę. Przy pierwszej próbie poczuł, że zaokrąglone naczynie stawia opór ciężarowi jego ciała, ale przy każdej kolejnej, skok po skoku, ciepło zmiękczało metal i w końcu miska ustąpiła i spłaszczyła się, rozrywając się i zamieniając w rodzaj zniekształconego Krzyża Żelaznego o karbowanych brzegach.

Lio zaczął odrywać jego ramiona, uzyskując w ten sposób trójkąty stalowej blachy. Zgiął je, tworząc z nich kliny. Absolutnie nie przypominały one haków wspinaczkowych, ale mogły zadziałać.

Ludzie, którzy mieli jeszcze siłę, pomogli mu zrobić kolejne kliny. Kobiety rwały z łóżek cienkie paski płótna i związywały je ze sobą, aż otrzymały linę.

Po dłuższej chwili podtrzymywany przez innych ludzi Lio wbił pierwszy klin w ścianę, używając jako młotka drewnianej listwy, którą odłamał od jednego z łóżek. Następnie wbił kolejny w równoległą szczelinę, trochę wyżej od poprzedniego. Postawił czubek stopy na pierwszym klinie, żeby sprawdzić jego wytrzymałość, a następnie odwrócił się do pozostałych i uśmiechnął. Zarzucił zrobioną ze strzępów łóżek linę na ramię i zaczął się wdrapywać, trzymając w zębach listwę, a następnie pojękując i charcząc wbił kolejne kliny. Nachylenie ściany byłowciaż

sprzyjające. Zatrzymał się i spojrzał w dół. Doszedł do połowy. Pod nim stała gromada wpatrujących się w niego ludzi.

Odetchnął i wyciągnął się, żeby wbić kolejny klin (wykorzystał już dwie pierwsze miednice).

Dojście do szczytu było łatwiejsze, niż sądził.

Najwyraźniej potwór, który postanowił zamienić laboratorium w więzienie, był przekonany o krańcowym wycieńczeniu skazańców.

Rozkraczył się i ustawił stopę na przeciwległym występie, po czym wsadził listwę w kratę. Usiłował ją przesunąć, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Po kilku próbach zauważył, że wapienna skała zaczyna się kruszyć, wytwarzając delikatną mgiełkę pyłu dookoła każdej ze śrub. Stukał, uderzał, przesuwał, wrywał, aż w końcu krata odpadła.

– Uwaga! – krzyknął. Stojący pod nim ludzie odsunęli się gwałtownie.

Krata z brzękiem upadła na ziemię, czemu towarzyszył najsmutniejszy okrzyk radości, jaki Lio kiedykolwiek słyszał.

Rozdział 73

Zdziwił się, że nie usłyszał jeszcze eksplozji ładunku, za pomocą którego Giger z pewnością miał zamiar pogrzebać jego, jak i wszystkich obecnych w kopalni. Kto wie, ilu jeszcze ich tam było.

„Może Giger nie zdążył jeszcze zataić wszystkich dowodów własnych zbrodni” – pomyślał.

Może więc istniała szansa, żeby wyszedł z tego cało.

Każda stracona sekunda w tej niebezpiecznej sytuacji miała wartość roku życia.

Kanał wentylacyjny nie był dłuższy niż dziesięć metrów. Potem wyginał się do góry i wchodził do innego kanału, który kończył się tuż nad wejściem do jaskini z drugiej strony. Nie było tam żadnego punktu zaczepienia, przez który mógł przełożyć linę

i wciągnąć pozostałych, a nikt nie miał tyle siły, żeby się na niej samodzielnie wspiąć.

– Kto z was da radę – powiedział – niech tutaj wejdzie. – Pokazał im kawałki miski wbite w skałę. – Wrócę, obiecuję wam.

Odpowiedzieli mu jednogłośnie „dobrze”.

Tylko zielone światło nad drzwiami rozjaśniało delikatnie wnętrze tunelu. Doszedłszy do końca, Lio zawiesił się na otworze wentylacyjnym. Dwa metry dzieliły jego stopy od ziemi. Opuścił się. Wstał cały i zdrowy. Najpierw spróbował otworzyć drzwi, ale potrzebny był klucz Gigera. Musiał ich tu na razie zostawić.

Schylił się, żeby zdjąć prawy but. Przeszukał go po omacku. Mapa, którą zostawiła mu Sibylla, wciąż tam była – złożony arkusz papieru maszynowego, szleszczący teraz lekko w rękach Lio w rytm jego oszalałego serca.

Lio zaczął biec, przesuwając palcami po ścianie.

Przebiegł w ciemności przez kilka korytarzy, prowadzony wyłącznie zmysłem dotyku i podmuchami wiatru, aż widoczna w oddali łuna światła przyniosła mu dobrą wiadomość – główne tunele były jeszcze oświetlone. Dobiegł do światła i spojrział w górę.

Nic. Postanowił biec ku wzniesieniu, cały czas podnosząc wzrok w poszukiwaniu jakiejś tabliczki lub napisu na murze. Biegł długo, a za nim podążał odgłos jego kroków. Zatrzymywał się co jakiś czas, żeby złapać oddech.

I w końcu ją zobaczył – oznakowaną pędzlem i czarną farbą ulicę Zgromadzenia Mędrców. Prawie porwał kartkę, tak bardzo drżały mu ręce.

Opuszką palca przebiegł po mapie przez ulicę Zgromadzenia Mędrców, skrzył w ulicę Zee, minął aleję Tur, wszedł w ulicę Aph-Lin i dotarł do alei Vril.

Jeżeli Giger nie wysadził jeszcze wejścia do kopalni, wyjście z niej zależało będzie

wyłącznie od jego siły w nogach i płucach. Wykluczył użycie windy. Założywszy nawet, że wciąż działała, nie miał zamiaru ryzykować, że utknie w niej aż do dnia ponownego otwarcia stacji, co z pewnością nigdy nie nastąpi.

Winda mogła się zatrzymać kilka metrów pod powierzchnią ziemi i pewnego dnia archeolodzy przyszłości odkopaliby go w tym miejscu i odkryli jego kości. Szkielet prymitywnego człowieka – nie prehistorycznego, ale niewiele się od niego różniącego – zamkniętego w blaszanej skrzynce, która nasuwałaby skojarzenia z królewskim pochówkiem.

Pod jego nosem nie było ani kropli krwi. Więc biec. Biec, tylko biec.

Kiedy dotarł do końca wskazanej na mapie drogi, był wykończony. Musiał zatrzymać się, żeby złapać oddechi uniknąć palpacji serca. Zgiął się wpół, opierając rękoma kolanach, i próbował oddychać. Powietrze pachniało lasem i niosło ze sobą jakieś niewyraźne

hałasy, szmery pochodzące ze świata zewnętrznego. Zaczął znowu biec, miał wrażenie, że zaraz umrze. Nagle przed nim, rozświetlony przez światło księżyca i gwiazdy, pojawił się ostatni odcinek tych piekielnych czeluści. Był otwarty, majestatyczny, gotowy ofiarować mu drugie życie.

Rozdział 74

Na zewnątrz kopalni panował nienaturalny spokój, jakby w tym niewinnym i czystym miejscu nigdy nic się nie wydarzyło. Ozdrowieńcze powietrze unoszące się znad lasów, romantyczny księżyc w pełni okrywający perłowym płaszczem okoliczne korony drzew, głębokie echa nocnej zwierzyny, wszystko zatapiało się we wrażeniu spokoju, lecz Lio wiedział, jak bardzo było ono złudne. Nawet ogromna cysterna wody, która wznosiła się majestatycznie kilkadziesiąt metrów nad jego głową, w tym magicznym świetle wydawała się piękna.

Lio ukradkiem wyślizgnął się na zewnątrz – czarna plama na oświetlonej przez księżyc ziemi. Szedł powoli, na opuszkach palców, nasłuchując wszelkich zawirowań powietrza. Nad wszystkim dominowała spokojna cisza, ale po chwili usłyszał odległe, powtarzające

się dzwonienie, szcęknięcie konwoju na szynach i szmer elektrowni po drugiej stronie wzgórza, pod którym znajdowało się wejście do kopalni.

Musiał znaleźć Gigerę. Wiedział, że jeżeli w ogóle go odszuka, postawi na szali swoje życie. Powiedział sobie, że nie ma się czego obawiać – był tajnym agentem albo przynajmniej było bardzo prawdopodobne, że nim był i że został stosownie przeszkolony do tego, żeby odnaleźć się w każdej sytuacji. Był Spartakiem.

Pobiegł szybko za jeden z filarów podtrzymujących potężny zbiornik z wodą. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Znowu szcęknięcie wagonów na torach – może kolejny konwój opuszczający stację badawczą? Teraz usłyszał wyraźnie jakieś głosy i chrapliwy odgłos ciężarówki. Nie mógł ustalić, jak odległe było ich źródło, ale przypuszczał, że docierały z daleka, ponieważ według najlepszego scenariusza były to dźwięki

niesione z wiatrem, więc tylko pozornie bliskie, tworzące rodzaj mirażu dźwiękowego wzmocnionego przez głęboką ciszę nocy.

Ostrożnie zaczął poruszać się naprzód, chowając się za osłonami. Wyglądało na to, że wartownicy opuścili to miejsce. Było praktycznie niemożliwe, żeby pozostawili bez żadnej obstawy wejście do kopalni. Wiedział, że prędzej czy później przejdzie tamtędy jakiś patrol.

Szedł po obwodzie wzgórza, przerwanego przez ciemny i cichy budynek. Wychylił się, żeby sprawdzić, czy nie było w nim nikogo, i kontynuował marsz wzdłuż budynku, kierując się w stronę odgłosów. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, w końcu ujrzał elektrownię, nad którą unosiło się drżące i iskrzące się powietrze. Za elektrownią widoczne były równoległe rzędy niskich budynków, typowych dla nazistowskich obozów koncentracyjnych.

„Więc nie była to tylko wojskowa stacja badawcza, ale również więzienie” – pomyślał.

Oto, co robili. Oto, dlaczego z bazy odjeżdżały pociągi – SS kończyła ewakuację osadzonych.

Następnie zauważył unoszącą się nad obozem smugę dymu, jeszcze jedną i kolejną. Wtedy zrozumiał, że żołnierze do ewakuacji więźniów wykorzystali nie tylko pociągi, lecz także kominy pieców krematoryjnych. Mężczyźni. Kobiety. Dzieci. Co mógł zrobić, żeby zapobiec temu okropieństwu? Zastanowił się, czy był w stanie jeszcze kogoś ocalić, a gdy doszedł do wniosku, że nie, przyśpieszył, żeby jak najszybciej dobiec do obozu. Ześlizgnął się na pośladkach z wysokiej skarpy gruzu, po czym przycupnął i skulił się za dużym drzewem, gdzie zatrzymał się i zaczął obserwować obóz. Składał się z siedmiu rzędów baraków ogrodzonych siatką pod napięciem i drutem

kolczastym. Wyglądało na to, że wewnątrz nie pozostał nikt żywy.

Nikt poza Gigerem. Był tam, przed nim. Stał odwrócony plecami i wyprostowany w świetle reflektorów wyjeżdżającej na wstecznym biegu ciężarówki, na lekko rozstawionych nogach z uniesioną prawą ręką. W drugiej ręce trzymał jakąś walizkę.

Pojazd, w stronę którego salutował, wyglądał, jakby wyjeżdżał z bazy, a chóralna odpowiedź na salut, która dobiegła spod plandeki przyczepy, była dla Lio wskazówką, że gromadziła się na niej całkiem spora liczba żołnierzy Waffen SS. Ostatnich?

Giger z pewnością nigdzie się nie wybierał, ale raczej niemożliwe było, żeby wrócił do Berlina sam. Ktoś musiał mu towarzyszyć. Gdyby miał się założyć, postawiłby wszystkie swoje pieniądze na Tybetańczyka, Karo Nichiego.

A jednak przegrałby ten zakład.

Kilku żołnierzy, którzy wyrosli z nicości, zaczęło bowiem robić dokładny obchód baraków. Po pół godzinie kominy pieców przestały dymić, po następnych trzydziestu minutach zaczęły kolejno gasnąć światła, zostało odłączone zasilanie elektryczne w ogrodzeniu, po czym także ta ostatnia grupa mężczyzn opuściła obóz trzema ciężarówkami. W końcu Giger został sam.

Sam. Trzeszczące kroki należały do niego. Usta, które zaczęły gwizdać melodię Schuberta, były jego.

Teraz Giger z pewnością wyjdzie z obozu, pójdzie gdzieś, gdzie znajduje się jakiś przycisk detonatora, i zasypie wejście do kopalni grubą warstwą gruzu, żeby dało się tam wejść tylko przy pomocy koparki i brygady robotników.

Za drzewa obserwował Gigera, który ze spokojem zamykał bramkę na gruby łańcuch i kłódkę. Patrzył, jak idzie wzdłuż wygaszonego budynku i wzgórza i kieruje się w stronę

wejścia do kopalni. Poszedł za nim. Serce biło mu w piersiach tak szybko, jak szamocze się dziki ptak zamknięty w ciasnej klatce.

Nagle zaczęło bić jeszcze mocniej. Giger nie był sam. Jakiś mężczyzna, być może jeden z jego żołnierzy, czekał na niego i szedł w jego stronę. Uścisnęli się i pocałowali. Długi, namiętny pocałunek w usta. Giger wyszeptał mu coś do ucha, tamten zaśmiał się i zaczął się bawić jego włosami. Następnie poszli gdzieś razem.

Lio śledził ich, zachowując cały czas taką samą, bezpieczną odległość. Zobaczył, jak wchodzi do chaty, której nie zauważył, idąc w tę stronę, ponieważ była częściowo zasłonięta wielkim pnem jodły. Stanowiła część kompleksu baraków z eternitowym dachem (w jednym z nich został zamknięty Lio). Jednak stała w pewnej odległości od pozostałych budynków i różniła się od nich wyglądem – wykonana była z czerwonej cegły i dachówki. Wyglądała jak typowy domek rysowany przez

dzieci, z tą różnicą, że miała tylko jedno okno umieszczone na prawo od drzwi. Chwilę później zaświeciło w niej żółte rozmyte światło, a po kilku minutach Lio usłyszał wyraźne dzwonienie dwóch kieliszków i niezrozumiałe z tej odległości słowa oraz strzępy śmiechów. Po kilku kolejnych brzęknięciach w środku rozległa się muzyka. Lio rozpoznał melodię po pierwszych dźwiękach fortepianu, zanim jeszcze tenor zaczął śpiewać. Była to *Serenada* Franza Schuberta ze zbioru pieśni *Łabędzi śpiew*.

Przykucnął i czekał, próbując zrozumieć sytuację, podczas gdy melodia czyniła to skąpane w księżycowym świetle miejsce jeszcze bardziej pięknym i niewinnym. Nie mógł się zdecydować, który wariant działania okazałby się najmniej ryzykowny.

*Nie zastukam tego ranka do kochanka
wrót*

*Zatrzymała mnie rusalka w srebrnym
lustrze wód*

Poszukał na ziemi kawałka zaostzonego granitu. Znalazł, podniósł go i ocenił w dłoni jego wielkość i ciężar.

Rozpuściła włos zielony – niech nim igra toń

I spytała szmerem wody po co tak spieszę doń?

Był to kawałek kamienia o długości mniej więcej dwudziestu centymetrów, twardy i ostry.

„Jeżeli narzędzia takie jak to służyły do polowania mamuty i bizona – pomyślał – nadawały się równie dobrze do rozbicia czaszek dwóch bezbronnych esesmanów pograżonych w miłosnych igraszkach”.

Póki smutek nie zamieszkał w mym powszednim dniu

Mogę tworzyć obraz szczęścia z marzeń i ze snów

Lio usłyszał ciche zawodzenie dochodzące z wnętrza domku, któremu towarzyszyły krótkie wybuchy śmiechu.

Póki na mych uczuć łąkę nie padł żaden cień

Tylko słońce, tylko gwiazdy i świąteczny dzień.

Zbliżył się ostrożnie.

Nie rozstrzygnie biedne serce wątpliwości tej

Czy on bardzo kocha jeszcze, czy już trochę mniej?

Zobaczył, jak okno zaczyna parować od rozpalonych oddechów obu esesmanów. Podszedł bliżej, zatrzymując się na chwilę po każdym kroku. W końcu zrozumiał, dlaczego Giger jadąc tutaj, tak się wystroił. Teraz jego elegancja nie była niestosownym detalem.

W miarę jak się zbliżał, czuł, że jego strach staje się coraz mniejszy. Zastanowił się nad tym, co właśnie miał zamiar zrobić. Wiedział, że Giger należał do ogólnych oddziałów Allgemeine SS, był intelektualistą, a nie wojownikiem, więc jeśli nie miał przy sobie broni, raczej nie stwarzał zagrożenia. Ale nie

mógł wykluczyć, że jego kochanek był uzdolnionym żołnierzem Waffen SS lub członkiem Totenkopfverbände SS – Oddziałów Trupiej Głównki, załogi obozów koncentracyjnych.

Przemieszczał się tuż pod ścianą i przysunął się do okna. Zobaczył ich za szybą w owalnej otoczce z pary – nagich przed palącym się i trzaskającym kominkiem. Scena wprost z pikantnej widokówki bożonarodzeniowej. Obserwując tę plątaninę bioder i miękkich pośladków, te namiętne uniesienia na skórze niedźwiedzia spoglądającego na zawieszoną na przeciwległej ścianie głowę jelenia o imponującym porożu, Lio odłożył ostrożnie kamień, który podniósł z ziemi.

Jeszcze raz zajrzał do środka. Koło gramofonu stała butelka Dom Pérignon. Dwa puste kieliszki czekały na półce kominka. Półautomatyczny luger, Po8 parabellum Giger spoczywał na poduszce sofy obok dwóch pistoletów Walther P38 w kaburze. Wszystkie trzy pistolety strzegły skórzanej walizki.

Giger stał odwrócony plecami. Twarz tego drugiego, leżącego na wznak pod nim, nie była widoczna.

Spróbował otworzyć drzwi, naciskając klamkę delikatnymi, krótkimi ruchami, niesłyszalnymi wśród dźwięków muzyki i coraz bardziej podnieconych stęknień Giger i jego kochanka, ale – jak łatwo mógł sobie wyobrazić – zostały zamknięte na klucz.

Staął naprzeciwko nich i cofnął się o kilka kroków, żeby zapewnić sobie wystarczający rozbieg.

Wziął głęboki oddech i zacisnął pięści. Poczuł, że jeżeli wyjdzie z tego cało, ten moment na zawsze pozostanie w jego pamięci. To nieopisane uczucie spokoju, serce, które zaczynało bić majestatycznie, w miarę jak zagrożenie stawało się coraz bliższe. Przecież był Spartakiem, umiejętność radzenia sobie w takich sytuacjach stanowiła część jego profesji.

Nie bał się. W żyłach płynęło mu obficie jedynie uczucie przyjemności. Spojrzał do góry – na nieboskłonie rozproszone były gwiazdy. Zaskoczyło go, że w momencie, w którym rzucił się do drzwi, jego myśli zajmowała tylko jedna rzecz – nieopisane piękno nocy.

Rozdział 75

Giger zdążył tylko się odwrócić. Kiedy dojrzał jego sylwetkę, Lio już celował w nich z jednego z pistoletów, podczas gdy pozostałe dwa zarzucał sobie na ramię.

– Dobry wieczór – powiedział Lio. Szybko sprawdził, czy magazynek był pełny, i ponownie w nich wycelował. – Żadnych gwałtownych ruchów, proszę.

Drugi mężczyzna wydostał się spod mlecznobiałego ciała Gigera, a kiedy rozpoznał Lio, jego zagubienie przerodziło się w osłupienie.

Lio odchylił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim, sztucznym śmiechem.

– Pan Roux? Ale ja... – Znowu się zaśmiał, tym razem głośniejszym, po czym momentalnie spowaźniał.

Giger i Roux odsunęli się od siebie, wymieniając speszone, a zarazem wściekłe

spojrzenia. Szukali oczami jakiejś drogi ucieczki, ale uzbrojony Lio górował nad nimi i tarasował jedyne drzwi, z których dochodziło mroźne powietrze.

– Pod ścianę! – nakazał.

Zaczęli się cofać, aż poczuli na plecach opór szorstkiej ściany.

– Nie mogę uwierzyć, że pana tu spotykam, Roux, choć w sumie byłem o tym przekonany.

– Przecież potrafisz przewidywać przyszłość – powiedział Roux, zgrzytając zębami – wiesz wszystko.

– Panie Roux, chciałbym zauważyć, że różnica pomiędzy słowami Lio i Bóg nie zawiera się tylko w liczbie samogłosek i spółgłosek, choć muszę przyznać, że w obu przypadkach chodzi o osoby, które nie istnieją.

– Ty sukin.... – próbował powiedzieć Roux, ale Lio mu przerwał.

– Chwileczkę.

Z zimną krwią Lio zrobił krok do przodu, skierował w dół lufę lugera i nacisnął spust. Osiem strzałów, jeden po drugim, szybka i precyzyjna robota. Po cztery purpurowe stygmaty na grzbietach ich stóp i dłoni.

– Proszę, teraz niech pan powie, kim jestem.

Nie otrzymał odpowiedzi – Roux i Giger byli zbyt zajęci ogromem bólu, jaki zalewał każdą część ich ciała.

Niewzruszony ich krzykami, Lio otworzył walizkę i zajrzał szybko do środka. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Przed jego zdumioną twarzą znajdowały się papiery Shappellera, rysunki Shaubergera, projekt bomby Vril, a nawet plany logistyczne przeniesienia stacji badawczej, w tym pierwotnej maszyny i Dzwonu.

Przeszukał rzeczy Gigera. Znalazł pełny magazynek do lugera. Wymienił go. Znalazł też kwit z rezerwacją na pięć dni dla dwóch osób w hotelu Zakątek Poetów – wglądało na

to, że Roux i Giger planowali nacieszyć się przez kilka dni intymnym spokojem w górach. Znalazł również zegarek, który Giger zabrał mu przed odlotem.

Na ścianach zobaczył wiele par kajdanek, srebrzystych i mieniących się w świetle ognia. W każdej z nich znajdował się kluczyk. Wziął dwie pary. Kazał im się odwrócić, a następnie usiadł na nich i skuł ich razem za oba nadgarstki, plamiąc sobie ręce ich krwią. Następnie kazaliśmy wstać i wyjść na zewnątrz.

Giger i Roux stękali i krzyczeli, wydając piskliwe i skrzekliwe odgłosy, niczym prowadzone na rzeź zwierzęta.

– Nie dam rady – zaprotestował Giger, łkając.

– Wstawaj – ponaglił go niewzruszony Lio.

Roux próbował wstać, tłumiąc przeraźliwy ból, ale kiedy tylko usiłował utrzymać równowagę, ślizgał się na własnej krwi i upadał z głuchym hukiem.

Giger zaniósł się rzewnym płaczem.

– Milcz! – krzyknął na niego Roux.

Jego przyjaciel zwijał się z bólu, a na jego twarzy malował się wyraz, jaki mógł przybrać tylko ktoś, kto boi się, że umrze.

– Zamknij się, powiedziałem!

– Na zewnątrz! – krzyknął Lio.

Nie kazali sobie tego powtarzać i przeczołgali się przed chatę. Ich nagie ciała ślizgały się w kałuży krwi jak wielkie ślimaki.

– Mamy jakąś ciężarówkę? – spytał Lio.

Giger uniósł z trudem palec i wskazał na halę.

– Bardzo dobrze – odparł Lio. – Kluczyki?

– W środku, wiszą obok kajdanek.

– Tylko bez żartów! – powiedział, śmiejąc się szyderczo. Wszedł tyłem do chatki, żeby nie stracić ich z oczu. Oderwał wzrok tylko na chwilę, żeby odszukać kluczyki i zdjąć je ze ściany, a kiedy znowu na nich spojrział, siedzieli w tym samym miejscu, dygocząc z zimna i ze strachu. Z ich rąki stóp sączyła

się krew – dwóch nagich Chrystusów, właśnie zdjętych z krzyża.

– Wstawać! – rozkazał.

Dla Gigera i Roux było to jak przejść przez dwustumetrowy dywan rozżarzonych węgla. Nie mogąc już wytrzymać bólu, jaki sprawiały im rany na stopach, nie dając rady iść na czworakach z powodu ostrych kamieni, które wbijały im się w kolana, a przede wszystkim w rany na dłoniach, zaczęli się czołgać.

Hala była otwarta. W środku stała ciężarówka.

– Dlaczego wciąż tu jest? – zapytał nieufnie Lio.

– Ma zostać rozmontowana jutro rano – wyjęczał Giger w spazmach.

– Tu niedaleko jest zastęp żołnierzy, który potrzebuje części zamiennych. Nie opłacało się jej przetranszportować.

– Działa?

– Chyba tak.

Sprawdził pojazd i znalazł kanister pełen benzyny, który mógł się przydać do maybacha Gigera. Postawił go na ziemi. Następnie kazał im wsiąść do środka i przykuł ich do pręta pod plandeką, w bocznej ścianie ciężarówki.

– Gdzie jest detonator? – wyszeptał do ucha Gigera.

– Jaki detonator?

– Ten, za pomocą którego jutro rano przed wyjazdem miałeś zamiar wysadzić w powietrze wejścia do podziemnych korytarzy. Mieliście piękny plan, nie ma co – śniadanie z owoców leśnych, Dom Pérignon i fajerwerki – piękny początek dnia. A potem w drogę, daleko, na tydzień białego szaleństwa. Odrobina chłodu na dziewiczym śniegu, który miał uzdrowić chorą skórę pana Roux. – Spojrzał na niego, udając współczucie. – Nieprawdaż?

Roux posłał mu wściekłe spojrzenie, niczym bestia pałająca żądzą wbicia kłów w jego tętnicę.

– Moja skóra nie jest chora – wycedził przez zęby.

W istocie, nawet w ciepłym świetle księżyca, które przenikało do środka hali, Lio bez trudu mógł stwierdzić, że skóra Roux była zdrowa, gładka i pozbawiona rozstępów, co dla mężczyzny w jego wieku było raczej nietypowe.

– Uprawiam wewnętrzną gimnastykę.

– Żeby rozwinąć niezmierny potencjał energii Vril, który jest w każdym z nas – dodał Giger. – Daje siłę, pozwala zachować młodość. Jedynym efektem ubocznym medytacji Vril jest reakcja podobna do delikatnego napromieniowania. Jednak to nic w porównaniu z korzyściami, jakie z tego płyną, wierz mi. Jeśli pozwolisz nam żyć, nauczymy cię tego. I nie tylko tego –

wszystkiego, czego zechcesz. Pozwól nam odejść – powiedział błagalnie.

– To nie ja was zabiję – odparł Lio. – Daję wam słowo.

Giger wypuścił całe powietrze, które zatrzymał w płucach, wydając długie wycieńczone westchnienie. Wypowiedział ledwo dosłyszalne „dziękuję” i skinął głową. Podniósł rękę i skierował pokryty krwią palec w stronę baraków.

– Detonator jest w budynku numer siedem – powiedział wątłym głosem.

Wskutek obfitej utraty krwi Giger i Roux zaczęli zachowywać się jak po zażyciu środków nasennych. Lio zdjął marynarkę i podarł ją na kilka kawałków. Obwinałim rany i zatamował krwotok.

W kabinie ciężarówki znalazł manierkę, w której było jeszcze trochę wody. Odkręcił. Śmierdziała padliną. Wyszedł z hali, zabierając walizkę. Podszedł do kranu, napełnił manierkę i wrócił do ciężarówki, żeby dać im

się napić. Skapnął na ich drżące usta po kilka kropel świeżej wody. Następnie znowu wszedł do kabiny, postawił walizkę na siedzeniu obok, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił.

Silnik zaczął ryczeć przy pierwszej próbie.

„Niemiecka sprawność – pomyślał Lio – ta sama precyzja, która sprawiała, że oddziały SS były tak bezwzględne w dążeniu do swoich celów”.

Ciężarówka wjechała do tunelu kopalni i zaczęła zjeżdżać w dół, prowadzona przed dwie potężne wiązki światła. Nad dachem pozostawała jeszcze przestrzeń kilku metrów.

Z zaciśniętymi na kierownicy dłońmi i rozłożonymi ramionami Lio podążał zgodnie z mapą Sibylli, którą widział przed oczyma. Odnalezienie laboratorium Shappellera nie sprawiło mu trudności.

Zatrzymał pojazd, wysiadł i wszedł, żeby rzucić okiem. Zostały tam tylko cztery bloki z żelbetu podtrzymujące pierwotną maszynę,

ale ona sama została zdemontowana. Z sufitu nie zwisał Dzwon. Agregaty również zostały usunięte, tak jak wszystkie inne urządzenia. Nie zostało już nic. Nikt nie przypuściłby, że kiedyś w tym miejscu działała Wunderwaffe, która może była w stanie zakrzywić czasoprzestrzeń.

Lio wyszedł z laboratorium i ponownie wsiadł do ciężarówki.

Po drodze otwierał wszystkie napotkane drzwi, korzystając za każdym razem z tego samego klucza Gigera, ale pomieszczenia były opustoszałe. Dzwon i bomba Vril lub jądrowa – czymkolwiek była – zostały przeniesione razem z całą resztą. Wystarczyło tylko jedno popołudnie, żeby opróżnić tak potężny kompleks.

„Niemiecka sprawność” – pomyślał znowu Lio.

Skreślił w odnogę tunelu, wrzucił bieg wsteczny i ustawił ciężarówkę przodem do wyjazdu.

Wysiadł i poszedł sprawdzić z tyłu. Giger i Roux spali. Wyglądali prawie jak martwi.

Otworzył jaskinię – najpierw stalowe drzwi, a potem grubą pancerną szybę. Tak jak przewidywał, żaden z więźniów nawet nie próbował wdrapać się aż do otworu wentylacyjnego. Wydawało mu się, że wszyscy siedzieli w środku w takich samych pozycjach, w jakich ich zostawił. Byli tylko trochę bardziej pobudzeni i żywotni niż wcześniej.

Pomyślał, że może ożywił ich widok drogi ucieczki, nawet jeśli dla nich nieosiągalnej.

– Chodźcie – powiedział.

Ruszyli za nim prawie wszyscy, posepnie niczym procesja upiorów.

Ci, którzy mieli usta i język, mimo wszystko milczeli.

Rozdział 76

Wtorek, 26 stycznia 1943 r.

Kilka godzin później maybach SW Gigera pomrukiwał lekko na drodze, zmierzając w kierunku pierwszych promieni świtu. Po przejechaniu kilku kilometrów na końcu długiej serii zakrętów w tylnym lusterku zaczął zarysowywać się nieregularny kształt ściany lasu.

Lio obrócił lusterko do siebie i przejrzał się. Była to pierwsza uśmiechnięta głowa w czapce SS, którą widział w swoim życiu. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, jak to było możliwe, że każdy esesman bez swojego munduru był takim samym człowiekiem jak inni – dobrodusznym, uprzejmym, czułym dla swoich bliskich i szanującym innych ludzi – natomiast gdy tylko wkładał mundur, zmieniał się w demona rodem z piekieł. Jak

można było wyjaśnić tak radykalną zmianę duszy człowieka?

Ustawił lusterko ponownie we właściwej pozycji i westchnął, oglądając się do tyłu. Nawet nie starał się znaleźć odpowiedzi.

Już po pierwszych tablicach drogowych zorientował się, że znajdował się w miejscu, które kiedyś nazywało się Polską, w pobliżu Ludwikowic. Do Włoch nie było aż tak daleko – pomyślał. Obliczył, że jakieś dziewięćset kilometrów. Praga, Wiedeń, Graz, Lublana, Triest. Za kierownicą potężnego maybacha na niemieckich tablicach i w należącym do Gigera mundurze obersturmbannführera oraz jego dokumentami mógł bez problemu przejść przez każdą blokadę i dojechać do Triestu w ciągu jednej nocy.

Opuścił stację badawczą Ahnenerbe, nie natykając się na żadnych strażników, co oznaczało, że sprawy na froncie szły naprawdę nie po myśli Niemców. Lio wyobraził sobie, że sytuacja oddziałów Hitlera pod Stalingradem

skomplikowała się bardziej niż w najgorszych przypuszczeniach i dlatego ewakuacja stacji została przeprowadzona z takim pośpiechem. Jednak bardzo prawdopodobne było również, że Towarzystwo Vril spiskowało za plecami Hitlera.

Zwolnił i zjechał na jakiś parking. Wyłączył silnik. Wysiadł z samochodu i odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie, opierając przedramiona na górnej części otwartych drzwiczek samochodu.

Sprawdził godzinę. Jeszcze dwie minuty.

Podziwiając ponownie z daleka lasy, pomyślał o okropnym i bezwzględnym końcu, który czekał tych biedaków, prawdopodobnie najbardziej okropny i bezwzględny, jaki kiedykolwiek spotkał żyjącą istotę. A mimo to wciąż tliło się w nich światełko przywiązania do życia. Całe to okropieństwo i zeszpecenie nie zgasiły blasku w ich spojrzeniach. Kilkoro z nich, ci którzy byli jeszcze w stanie sklecić kilka słów,

stwierdzili, że gdyby Niemcy spotkali ich na drodze w ciężarówce, nie pomogliby im, ale zamknęliby ich ponownie i natychmiast zlikwidowali przy użyciu Cyklonu B, a następnie skremowali, by nie pozostał żaden ślad po tej niebywałej zbrodni. A oni nie mogli tego dopuścić. Dlatego zdecydowali, że zostaną na miejscu, zajmując budynki obozu koncentracyjnego i staną się pierwszymi, a zarazem jedynymi dobrowolnymi więźniami mutantami w historii niemieckich obozów nazistowskich. Lio dał im klucze i uściskał każdego z nich osobno, odczuwając na własnym ciele deformację ich ciał. Życzył każdemu powodzenia. Ale wiedział, że nawet jeśli znajdą jakieś pożywienie, nie przeżyją długo. W najbardziej optymistycznych prognozach Lio tylko ci najmniej chorzy doczekają końca wojny i klęski swoich prześladowców, po czym zostaną znaleźni przez oddziały alianckielub

sowieckie, poddani leczeniu i zdołają opowiedzieć światu to, co przeżyli.

Lio chciał w to wierzyć. Chciał wierzyć, że w budynkach bazy naprawdę znajdowało się pozostawione przez esesmanów jedzenie w puszkach oraz leki, które ulżąim w cierpieniu.

By zasmakować odzyskanej wolności, jeden z więźniów spojrzał Gigerowi prosto w ubrudzone zaschniętą krwią oczy i powiedział:

– Wszystko będzie dobrze, obersturmbannführerze, zobaczy pan. Wykurujemy pana, a potem obedrzemy żywcem z mięsa, kawałek po kawałku. A kiedy zaczniemy już pluć pana mózgiem, pańskie serce będzie wciąż biło.

Lio pokiwał entuzjastycznie głową, okazując swoją aprobatę. Następnie zajął się Roux.

Przykuł obie jego ręce do bagażnika.

– Wygodnie panu?

W odpowiedzi otrzymał stłumione warknięcie. Auto lekko drgnęło, poruszone miotaniem się Roux.

Lio znowu spojrzął na zegarek. Jeszcze minuta. Przejrzał się w szybach i poprawił żelazny krzyż, który niczym zasuszony motyl zwisał mu na środku szyi pomiędzy lśniącymi patkami. Stwierdził, że mundur Allgemeine SS dodawał mu uroku i że na niego nie wywierał tego mutującego wpływu, jaki miał na ludzi Himmlera.

Trzydzieści sekund. Uderzył znowu dwa razyw bagażnik.

– Wszystko dobrze, panie Roux?

– Nie – odpowiedział mu i uderzył głową w blachę.

– Zabił pan pana Kuurmę – powiedział do niego. – Wiem, że to był pan.

Roux przyznał, że było to prawdą.

– A co powie pan o mojej przyjaciółce, Albie Gabrielli, i jej kuzynie?

– Nic – odparł Roux, spluwając na ziemię.

– Przeczytam to w pańskich myślach – odpowiedział Lio, kładąc mu ręce na rozczochranych włosach. – O, teraz to czuję. – Ale nie usłyszał nic, ani słowa. Jednak po tym jak Roux się uchylał i po niewielkich sygnałach przesyłanych przez mięśnie jego twarzy, wyczuł, że wiedział coś na ten temat. – Ich też pan zabił – zablefował, wykonując wszystkie cyrkowe gesty, których ludzie oczekiwali od takich jak on i które zawsze przydawały mu więcej wiarygodności. Roux odskoczył mimowolnie.

– Zabiłeś ich – kontynuował Lio z wściekłością, a Roux nie zaprzeczył. Włożył mu lufę lugera do ust, zdecydowany strzelić. Roux przełknął ciężko ślinę i zamknął oczy z taką siłą, że wydawało się, że jego powieki skleiły się ze sobą.

– Mów, jak ich zabiłeś? – zapytał Lio, wysuwając lufę jego ust.

– Nigdy się tego nie dowiesz – odpowiedział Roux pogardliwie.

– Jeśli uda mi się dowieźć cię aż do Rzymu, dowiem się – odpowiedział. – Wszyscy będą wiedzieli.

Lio spojrział na zegarek. Dziesięć sekund.

Alba była córką oficera włoskiej marynarki, ojciec Leonardo był jezuitą – reżim faszystowski miał może wszystkie największe wady świata, ale z pewnością wiedziałby, co zrobić z Roux, pułkownikiem Roux – podwójnym, nawet potrójnym graczem, który przez lata sprzedawał informacje zarówno Niemcom, jak i Sowietom.

Pięć sekund.

Wyrzuci go na placu Weneckim w Rzymie, przed pałacem Duce...

Cztery.

...wkładając mu wcześniej do kieszeni supertajne dokumenty, które wykradł z urzędów OVRA...

Trzy.

...i które sprzedawał SD poprzez Gigera. Były w jego walizce...

Dwa.

...wkrótce odkryją również jego wymianę z NKWD. Rozstrzelają go w forcie Bravetta – dostanie kulkę w plecy jak zwykły zdrajca.

Raz.

...I nigdy mu tego nie zapomną.

Ogłuszający huk rozległ się echem w całej dolinie. Nastąpił silny podmuch, po czym z lasu wyłonił się wysoki słup dymu i pyłu. Lio patrzył w dal, wyobrażając sobie pogrzebaną na wieki kopalnię.

Teraz każdy pomyśli, że Giger doprowadził swoje działania do końca zgodnie z planem i że udał się w góry na krótki, zasłużony odpoczynek. Oczywiście zostawił tej okazji szczegółowe zalecenia, które można podsumować w zdaniu: „Pod żadnym pozorem nie przeszkadzać”.

Na myśl o tym Lio uśmiechnął się. Cieszył się, że zasłużony odpoczynek Gigera będzie trwał wiecznie.

Rozdział 77

Dwie blokady zdołał pokonać odprowadzany pełnymi uszanowania pokłonami żołnierzy. Na trzeciej zaproponowano mu nawet eskortę, żeby mógł spokojnie kontynuować podróż, ale grzecznie odmówił.

Podczas gdy maybach sunął po asfaltowych ulicach lub przemierzał z cichym trzaskiem długie odcinki gruntowych dróg, Lio rozmyślał o dniu, w którym to wszystko się zaczęło.

To był 2 listopada 1923 roku na Sardynii. Lio pamiętał tę datę, ponieważ był to Dzień Zaduszny – piąty dzień drugiego roku ery faszyzmu.

Niedawno skończył 17 lat i czuł się dorosły. Tamtego wieczoru ryki bydła cichły powoli, jak każdego dnia po zachodzie słońca. Milkły psy, a następnie także ostatnie głosy pasterzy. W końcu słońce schowało się za

górami, zabierając ze sobą słonawy zapach morza, woń mirtui jałowca. Juanne, pasterz zajmujący się ziemiami jego ojca i jego dobry przyjaciel, otworzył drzwi domu i wszedł do środka, mówiąc:

– Mamy gości. – Skierował ledwie zauważalny gest pozdrowienia do swojej żony, Eleonory, która siedziała obok ich syna, nucąc mu stare melodie, bujając kołyską i dzwoniąc uzębionym sierpem, zawieszonym nad wezglowiem.

Mammài, matka Juanne’a, podbiegła do drzwii jak zawsze obsypała jego policzki pocałunkami.

– Jesteś coraz przystojniejszy, Lio – powiedziała do niego. A do jego ojca:

– Antoni, chodź, niech cię uściskam. Wchodźcie, wchodźcie. – I w jednej chwili stół zakrył się korkowymi tacami pełnymi serów i cienkimi i chrupiącymi pajdami chleba.

– Jak się dzisiaj czujesz? – zapytał Juanne swoją żonę.

– Eleonora słabo sypia – poskarżyła się Mammài.

– Dobrze się czuję – odpowiedziała żona.

– Chodź więc jeść. – Mammài przyniosła również wino dla jego ojca i dla Juanne'a. Za każdym razem, gdy podchodziła do stołu, pieszczotliwie gładziła Lio.

– Wyrósł z ciebie piękny chłopak!

Pamiętał, że tamtego wieczoru chciał się dowiedzieć, dlaczego nad kołyską wisiał sierp. Mammài zaśmiała się mocno go przytuliła.

– Na *sùrbiles* – odpowiedziała Eleonora, wstając z trudem i podchodząc do stołu.

– Nie strasz go! – napomniała ją Mammài. Ale Eleonora ciągnęła dalej.

– *Sùrbiles* przychodzą w nocy – powiedziała, ścisząc głos i wpatrując się w Lio – i wysysają krew z tutejszych noworodków. – Dotknęła czubka jego głowy. – Dlatego

wiesz się sierp, żeby czarownica zajęła się liczeniem jego zębów, aż przepędzi ją dzień, a ona zostawi w spokoju dziecko. Kiedy wstaje słońce, nie może już nikomu zaszkodzić i musi szybko wracać tam, skąd przybyła, w przeciwnym razie umiera, o ile *sùrbiles* mogą w ogóle umrzeć. – Zmierzyła mu włosy. – Boisz się? – zapytała.

– Nie – odparł.

– Dlaczego nie? Miastowi zawsze się boją.

– Ja w to nie wierzę.

Eleonora roześmiała się, zaskoczona jego odpowiedzią, i zaczęła szukać w przymkniętych oczach jego ojca powodu takiego wychowania.

– Wiesz, gdzie mieszkają *sùrbiles*?

Lio skinął głową z przekonaniem i odpowiedział:

– W Domus de Janas.

– Tak, w Domus de Janas – potwierdziła Mammài, która w tym czasie zajęła miejsce swojej synowej obok kołyski. – Jeśli się nie

boisz, oznacza to, że jesteś nieodrodnym synem swojego ojca – skomentowała z rozbawieniem.

Antoni przyznał jej rację. Wstał i poszedł obejrzeć dziecko w kołysce. Nie spało. Patrzyło do góry na belkę podtrzymującą dach, jakby liczyło cienie rzucane przez lampki olejowe. Miało ładny zaróżowiony kolor skóry, który napawał nadzieją. Jego małe serduszko pukało do drzwi tego wiejskiego domu, prosząc o pozwolenie wejście i jakieś imię, żeby mogło tam pozostać.

Mammài wykonała gest, jakby pluła, i dotknęła go, mówiąc:

– Niech Bóg go błogosławi.

– Jeśli przeżyje rok, nazwiemy go Borore – powiedział Juanne.

– Przeżyje – odparł ojciec Lio, machając rękoma przed ciemnymi i śmiejącymi się oczami noworodka i kierując w jego stronę pieśczośliwe dźwięki. Nagle noworodek wybuchnął rozpaczliwym płaczem.

Eleonora wzięła dziecko na ręce i rozwiązała ramiączko sukienki, uwalniając nabrzmiałą pierś. Pochyliła z miłością głowę nad główką dziecka i zaczęła je kołysać.

Lio, gdy zobaczył nagą pierś Eleonory, poczuł, jak strumień gorąca przepływa przez jego szyję.

Malec zaczął łapczywie pić mleko.

Juanne przez cały czas miał wzrok wbity w blat stołu. Po kolacji ojciec Lio zapytał go, czy coś go martwiło, a on w końcu uniósł wzrok.

– Przybyli ludzie z Rzymu – powiedział półgłosem. – Kilka tygodni temu wykopałem dziurę i znalazłem coś. – Wstał ciężko i poszedł w kierunku skrzyni, stukając buciorami o podłogę. Klęknął na jednym kolanie, otworzył skrzynię, wyjął coś, zaniósł do światła przy stole i podał im.

Lio tak dobrze pamiętał minę, jaką zrobił na widok tego przedmiotu, jakby było to zaledwie poprzedniego dnia.

Jego ojciec obracał w dłoniach figurkę z brązu o wysokości około czterdziestu centymetrów, która przedstawiała rodzaj wojownika pokrytego jakąś dziwną zbroją z przewodami wychodzącymi mu z ust i wchodzącymi do pleców.

– Szerden – krzyknął zachwycony, oglądając dziwnego wojownika o czterech rękach, dwóch parach oczu, w okularach przypominających motocyklowe gogle i z wieloma innymi niecodziennymi detalami.

– Kopalem dalej – powiedział podekscytowany Juanne. – Byłem ciekawy.

– I co znalazłeś? – zapytał z ogromnym zainteresowaniem w głosie ojciec Lio.

Pasjonowali się tym, nawet jeśli Juanne był tylko pasterzem, a Antoni właścicielem ziemi, na której on mieszkał i pracował. Spędzali godziny na rozmowach o Sardynii i jej tajemniczej przeszłości.

Juanne wstał, odprowadzony surowym spojrzeniem Mammài, i poszedł złożyć jeden

pocałunek na czole syna, a drugi na policzku karmiącej go Eleonory.

– Znalazłem giganta – powiedział, nie przestając patrzeć na swojego ssącego pierś matki syna.

– Giganta? – zapytał Lio, jednocześnie zafascynowani przerażony.

– Dokładnie – odpowiedział Juanne. – Nie wierzysz?

Lio potrząsnął energicznie głową.

– Cóż, ja też nie wierzyłem. – Juanne przeniósł swój ciemny cień na środek izby i pokazał długą kość. Unosząc jedną rękę do nieba powiedział:

– Ten miał ponad cztery metry.

Od tamtego wieczoru Lio pragnął odkryć prawdę na temat antycznej cywilizacji gigantów, która zdominowała planetę w czasach tak odległych, że niemal niewyobrażalnych.

Zmniejszył bieg, żeby pokonać zakręt, i spojrzało tyłu. Kiedy wyjechał

z Ludwikowic, słońce znajdowało się na środku tylnej szyby i odbijało się w lusterku. Teraz intensywnie świeciło w przednią szybę.

– Panie Roux! – krzyknął.

Brak odpowiedzi, nawet mruknięcia. Postanowił się zatrzymać.

Pod maską znalazł gorączkujące ciało Roux. Z jego zakazonych dłoni i stóp sączyła się ropa. Uniósł mu głowę i dał pić.

– Musi pan wytrzymać – powiedział. Przysunął ucho do jego sinych warg i zdawało mu się, że wypłynęło z nich „sukinsyn”.

Uśmiechnął się i zamknął klapę bagażnika.

Podnosząc głowę, ujrzał samochód, który zbliżał się do nich z pełną prędkością i migał reflektorami. Lio przyjął wyprostowaną i wyniosłą postawę i wychylił się z za maybacha. Była to ciężarówka pełna esesmanów. Zachował spokój i skłonił się lekko.

Pojazd przejechał obok niego, nie zwalniając i głośno trąbiąc. Żołnierze pozdrowili

go wyprostowanymi rękoma i gromkim „Heil Hitler”.

– Heil Hitler – odpowiedział Lio. Następnie usiadła kierownicą i ruszył w pośpiechu.

Rozdział 78

Zachód słońca powlekł już horyzont gęstą rdzawą luną poprzecinaną intensywnymi rubinowymi smugami, kiedy Lio wjechał do Włoch, przywitany na granicy wyrazami szacunku godnymi szefa państwa niemieckiego.

W Lublanie zrobił kolejny postój, żeby zatankować i sprawdzić, w jakim stanie był Roux. Żył i śnił jakiś pełen koszmarów sen.

Na kolejnym, prostym niczym strzała odcinku drogi otoczonej z dwóch stron wysokimi, połyskującymi wydmami prawie zmorzył go sen, gdy nagle otrzeźwił go jakiś pojazd o dużej pojemności silnika, podjeżdżający do niego od tyłu i migający światłami. Podskoczył i spojrział w lusterko. Samochód wciąż świecił. Włoscy żołnierze?

A może jeden z wojskowych na granicy dochodząc, że zbyt łatwo minął kontrolę,

zaczął coś podejrzewać postanowił rozwiązać swoje wątpliwości?

Lio zwolnił i ręką pokazał kierowcy, by przejechał dalej.

Ale auto nie miało zamiaru go wyprzedzać i wciąż raziło go denerwującym światłem przednich reflektorów.

Lio dodał gazu. Maybach odpowiedział warknięciami po chwili światła za jego plecami zaczęły się oddalać, aż w końcu zniknęły. Nie przestał dodawać gazu i zacisnął dłonie na kierownicy, rzucając baczne spojrzenia na drogę przed sobą i we wsteczne lustro. Wyglądało na to, że auto przestało za nim jechać. Pomyślał, że zrezygnowali, może z powodu mniejszej pojemności silnika, która nie pozwalała im jechać z taką prędkością jak maybach SW.

Lio odetchnął głęboko, ale nie zwolnił.

Nagle znowu zobaczył reflektory. Samochód wciąż był za nim – tak blisko, że prawie dotykał jego zderzaka. Postanowił

zjechać. Zatrzymał się i wyłączył światła. Samochód z tyłu zrobił to samo. Wysiadł spokojnie, gotowy ukazać im władczy, marsowy wyraz twarzy obersturmbannführera SS, trzymając jedną rękę w kieszeni na kolbie lugera, na wypadek gdyby to nie wystarczyło.

Z drugiego samochodu – BMW 321 na niemieckich tablicach – wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich zapytał:

– Herr Giger?

– *Ja* – odpowiedział Lio.

Człowiek podszedł do niego, klaszcząc w dłoń.

– Moje szczerze gratulacje, agencie Spartak – powiedział po włosku z wyraźnym akcentem amerykańskim.

Znał ten głos, ale wspomnienie tego charakterystycznego chrapliwego dźwięku nie mogło przebić się przez mgłę w umyśle Lio. Mężczyzna zapalił papierosa i zbliżył się do niego, wyciągając rękę.

– Ma pan przy sobie dokumenty?

– Jakie dokumenty? – zapytał Lio, robiąc krok do tyłu.

– Projekty Wunderwaffe.

– Kim jesteście?

– Jak to, nie poznaje mnie pan?

– Nie – odpowiedział Lio, robiąc kolejny krok w tył.

– Jestem major Smith. Naprawdę pan nie pamięta?

Lio potrząsnął głową.

– Poinformowano nas o tych problemach.

– Wydmuchnął chmurę dymu. – Pana przygotowanie psychologiczne, doktorze Martes, tym razem nie zadziałało perfekcyjnie. Zdarza się to osobom, które już w przeszłości przyjmowały fałszywe tożsamości – fakty mieszają się trochę ze sobą i w końcu mózg nie może przyjąć na nowo pierwotnej osobowości. Ale z czasem wszystko wraca do normy. – Znowu wyciągnął dłoń. – Więc, zabrał pan wszystko?

Drugi mężczyzna już szukał odpowiedzi w schowku maybacha. – Jest tu jakaś walizka – oznajmił, wystawiając na zewnątrz niewidoczną w ciemności głowę.

Rzekomy major Smith powiedział:

– *Awesome!* – I rozkazał mu wyjąć kluczyki ze stacyjki i sprawdzić zawartość bagażnika. – Nie mamy dużo czasu.

– Gdzie jest Sibylla? – zapytał Lio.

– Czeka na pana w Trieście, agencie Spartak. – Otworzył walizkę i przejrzał zawartość, oświetlając sobie jej wnętrze niewielką elektryczną latarką. – Wykonaliście świetną robotę – powiedział, widząc rysunki pierwotnej maszyny Shappellera, projekt Dzwonu i projekty futurystycznych pojazdów zapisane w języku akadyjskim przez Czarownice Vril. – Byliśmy zmuszeni symulować śmierć pańskiej żony, to znaczy agentki Rol – poprawił się – żeby nie dopuścić do jej nakrycia i niepowodzenia misji. Ale Sibylla ma

się dobrze i czeka na pana z otwartymi ramionami.

– Tu jest jakiś człowiek – powiedział jego towarzysz.

– Kto to jest? – zapytał major, wskazując na bagażnik.

– Pułkownik Marcello Roux, agent OVRA – odparł Lio. Major zmarszczył czoło.

– Co on tu robi?

– Jest ranny.

– To widzę, ale co robi w bagażniku?

– Sprzedawał informacje do NKWD, SD i kto wie, komu jeszcze. Sądzę, że zamordował też moją przyjaciółkę.

– Aktorkę Albę Gabrielli? – spytał major Smith, wyjmując srebrzysty pistolet. – Nie była serdeczną przyjaciółką pańskiej żony, nawet się nie znały. – Chwycił Roux za włosy i wytargał z bagażnika, a następnie rzucił go na ziemię. – Alba zawsze pomagała nam, jak tylko mogła.

– Nie żyje? – Oczywiście Lio niemal wyskoczyły z orbit.– Mówi pan poważnie?

– Obawiam się... – Major obojętnym gestem upuścił na twarz Roux chusteczkę, nacisnął na nią lufą pistoletu i wystrzelił z hukiem. – Obawiam się, że tak.

Lio podskoczył.

– Co pan robi?!

– To, co trzeba.

Drugi mężczyzna bez słowa przeturlał zwłoki Roux dala od ulicy, a po kilku minutach wrócił, otrzepując dłonie z kurzu.

– Skąd mam wiedzieć, że mówicie prawdę?

Major Smith zignorował pytanie i powrócił do przeglądania zawartości walizki.

– Nie widzę tu nic, co dotyczyłoby bomby – powiedział.

– Dlaczego miałbym wam wierzyć? – nalegał Lio.– Otrzymałem list od Sibylli i...

– List był konieczny, ponieważ zapomniał pan, że miał siostrę, agencie Spartak, albo

inaczej – pański umysł nie chciał zaakceptować Sibylli, pańskiej żony, jako siostry. Rozumie pan? Zdaje się, że w obliczu siły miłości hipnozai umiejętności doktora Morfeo słabną.

Lio spuścił wzrok i potrząsnął głową.

– Może pan złożyć szczegółowy raport na temat straży wewnątrz i na zewnątrz stacji? – zapytał major. – Ilu żołnierzy, jak są rozmieszczeni, czy są tam miny, gdzie...

– Tam już nic nie ma – powiedział Lio. – Przenieśli całe centrum badawcze razem z więźniami przynależącemu do niej obozu koncentracyjnego. Wejścia do kopalni zostały zaminowane, a ładunki zdetonowane.

– Gdzie włożył pan projekt bomby? – zapytał major, zamykając walizkę. – Agencje Spartak, jest pan pewien, że nie ma go pan gdzieś?

– Chcę gwarancji na temat Sibylli.

Major pstryknął palcami.

– Spodziewałem się takiej nieufności. Pomyślałem: „Znam agenta Spartaka, nie będzie łatwo”. I dlatego przywiozłem panu coś, co rozwieje wszelkie pańskie wątpliwości. – Pokazał mu zdjęcie. Uśmiechnięta Sibylla trzymająca w ręku gazetę z bieżącego dnia.

– To ona powiedziała nam, gdzie i kiedy pana znajdziemy. – Odwrócił się i spojrzał na drogę, z której nadjechał. – Pomyliła się o kilometr.

Lio rozpoznał ją. Tym razem jego pamięć nie miała tu nic do rzeczy. Wiedział, że to była naprawdę ona – jego miłość. Poznał to po wodospadzie emocji, który porwał go, gdy tylko ją zobaczył. Poglądził jej policzki opuszką palca. Zbierało mu się na płacz.

– Projekt bomby jest w obiciu przedniego siedzenia – powiedział.

– Jest – oznajmił natychmiast drugi mężczyzna.

Major przejął go i upewnił się, że było to to, o comu chodziło.

– Wiem, że ją wykonacie – powiedział Lio – i że użyjecie jej do zamordowania tysięcy niewinnych osób. Widziałem to. Wygracie wojnę, ale przez to nie będziecie wcale lepsi od nazistów.

– Cel uświęca środki – powiedział major.
– A my mamy trzy cele: *freedom, freedom, freedom*. – Uścisnął mu dłoń. – Doskonała robota, agencie Spartak. Odpłacimy się panu zawiązaniem. Oto pańskie dokumenty. Od tej pory znowu będzie pan Lio Martesem. Udać się na jakiś długi wypoczynek. Gdy już będziecie gotowi, spodziewajcie się nowych zadań. Wolność potrzebuje osób potrafiących patrzeć przyszłość, takich jak pan. W najbliższych miesiącach we Włoszech rozpęta się piekło, nie ma powodu, żebytu zostawać. Jutro w nocy samolot zabierze was na południe, a stamtąd zostanieie przewiezieni na Malte, a następniedo Anglii. Wszystkie

dyspozycje przekazaliśmy agentce Rol – poprawił się – to znaczy pańskiej żonie, Sibylli. – Po tych słowach wsiadł do samochodu.

Ruszyli ze zgaszonymi reflektorami, niewidzialni w dopiero co rozpościerającej się nad światem nocy, rozświetlanej blaskiem księżyca.

Lio został jeszcze przez chwilę obok samochodu, rozmyślając w oszołomieniu nad tym, co się zdarzyło, a następnie zamknął bagażnik, wziął kluczyki z dachu, na którym zostawił je kolega majora Smitha, i usiadł za kierownicą. Zasnął, rozmyślając o Sibylli, z rozciągającym się na ustach delikatnym uśmiechem.

Obudził się prawie o północy i wciąż miał ją przed oczami. Jednak to nie było już wspomnienie – naprawdę tam była i szeptała mu coś do ucha.

Jakiż to znów sen ciebie ogarnął? Ociemniałeś, mówię, ty nie słyszysz.

W tym ciepłym oddechu ogrzewającym mu serce rozpoznał jej głos i słowa, które w bardzo odległych czasach zostały wypowiedziane przez sumeryjskiego boga Gilgamesza.

Dotknął swojego nosa. Z każdej dziurki spływał mu potok krwi. Ból niczym rozpalony gwóźdź przebijał mu czubek czaszki, a drugi – wejście do żołądka. Ale po raz pierwszy był zadowolony, że go odczuwał.

Oczami wyobraźni widział pienne wybrzeże morza w Trieście. Słyszał jego grzmiący hałas i intensywny słonawy zapach.

Zobaczył ją. Sibylla siedziała naprzeciw wody. Jej długie blond włosy zbierały się na ziemi niczym kremowe fale. To była ona, piękniejsza niż wstający nad morzem świt. Siedziała z ułożonymi na ławce nogami niczym syrena. Czekwała na niego.

„Tyś topór u boku mego, wsparcie mej ręki, miecz u pasa mojego, tarcza przede mną”.

Lio otarł sobie krew oraz łzy i ruszył w drogę.

– Już jadę – powiedział i nacisnął pedał gazu.

Rozdział 79

*Triest, środa, 27 stycznia 1943 r., godz.
4:00*

Pokazywanie się na ulicach Triestu w rzucającym się oczy maybachu SW 38 na niemieckich tablicach, w przebraniu oficera SS i do tego samotnie nie wydawało się Lio dobrym pomysłem. Nieliczni mieszkańcy, którzy wyszli z domu przed wschodem słońca, zatrzymywali się i oglądali za nim, gdy przejeżdżał, a w ich spojrzeniach nie było nic przyjacielskiego. Pomyślał, że dla kogoś takiego jak on okazałoby się niewyobrażalną drwiną losu, gdyby został schwytany i zlinczowany przez grupę partyzantów przekonanych, że mają do czynienia z oficerem Allgemeine SS, lub gdyby został zmuszony do zabicia któregoś z nich.

Kiedy znalazł się niedaleko wybrzeża, wjechał w jakiś zaułek i zatrzymał auto pod

walącą się ścianą, za którą widać było czubki wykrzywionych i ogołconych z liści drzew. Wyglądały jak palce szkieletów usiłujące schwytać chmury. Po drugiej stronie ulicy stał dom, z którego wychodził jakiś człowiek. Po ubraniu można było poznać, że jest rybakiem.

Wysiadł z samochodu. Zalał go słony zapach morza odbijającego się wzburzoną pianą o molo.

– Przepraszam – powiedział.

Rybak odwrócił się. Był to człowiek twardo stąpający po ziemi, nosił spłaszczony na czole wełniany beret, na stopach miał kalosze, a w ustach fajkę. Spoglądał na światz nieufnością.

– Do mnie pan mówi?

– Tak – odpowiedział Lio. Podszedł do niego. – Spokojnie, nic panu nie zrobię.

– Jestem spokojny, ale się śpieszę. – Rybak przeprosił zaczął iść przed siebie, ale Lio go zatrzymał.

– Zajmę panu tylko chwilę.

– Czego pan chce?

– Jakieś ubrania w zamian za to auto.

Pokazał mu samochód. – Podoba się panu?

Mężczyzna przechylił głowę na bok i przyjrzał mu się podejrzliwością.

– Mnie podobają się kutry – odpowiedział.

– Nie wiedziałbym, co z nim zrobić.

– Jest warte wiele pieniędzy. Może pan je sprzedać.

– To jakiś żart?

– Mamy taką samą budowę ciała – powiedział Lio. – Jeśli ma pan jakąś kurtkę, która będzie na mnie dobra, ten wspaniały maybach będzie pański.

– Za jedną kurtkę? – Obejrzał go badawczo.

– Jeśli pan chce, zostawię panu swoją marynarkę. – Dotknął rękawa. – Jeśli się zdejmie oznaczenia, to całkiem ładna marynarka, z dobrej tkaniny.

– Kurtka za marynarkę?

– Kurtka za marynarke, plus maybach. –
Lio rzuciłmu kluczyki od samochodu.

Mężczyzna zastanowił się, patrząc na niego z ukosa. Cały czas przenosił ciężar własnego ciała z jednej nogi na drugą i obserwował klucze z ustami zaciśniętymi w grymasie, który nie zdradzał zbytniego przekonania. W końcu powiedział:

– Niech będzie.

Rozdział 80

Kiedy Lio powiedział, że pies, Nostradamus, zostanie zwęglony przez energię generowaną przez Dzwon, kłamał. Zgodnie z planem potwierdził werdykt Sibylli, który wygłosiła na temat przedstawionego jej przedmiotu, to znaczy, że Dzwon nie działał. Oboje jednak widzieli coś innego. Lio ukazał się Nostradamus hasający radośnie w innej przestrzeni i w innym czasie. Pies, wciąż jakoszczeniak, dotarł w czasie przyszłym w stosunku do aktualnego do miejsca, gdzie – jak się zdawało – panował pokój. I był żywy.

Wykonał „skok”. Skok. Oznaczało to, że moment z przyszłości, w którym Sibylla zgodnie z jego wizją została zamordowana w kościele, można było odwrócić przy użyciu Dzwonu. Można go było „przeskoczyć”.

Oto plan Towarzystwa Vrila – oszukać przeznaczenie. Himmler miał zamiar

uniknąć w ten sposób osądu przez ludzkość żyjącą w obecnych czasach i objąć rządy w przyszłości.

Być może, gdyby zdołał odnaleźć Sibyllę, mogliby spróbować. Zlokalizowaliby Dzwon i przeskoczyli poza tę tragiczną chwilę, ostatnią zapisaną na kartach życia Sibylli. Kto wie, może odnaleźliby Nostradamusa, zabraligo do domu i żyli długo i szczęśliwie jak w bajce?

Szukał jej na wybrzeżu, czekał godzinami. Szukał jej na molo w porcie. Szukał jej w kawiarniach. Nikt nie widział ostatnio kobiety odpowiadającej nawet pobieżnie jej rysopisowi.

Wyglądało na to, że Sibylli nigdy tam nie było.

Stojąc przodem do wzburzonego morza, czuł, jak narasta w nim ogromny krzyk. Poczul impuls, żeby oderwać sobie głowę i rzucić przed siebie, ponieważ się pomyliła, ponieważ go oszukała. Ścisnął ją gwałtownie

w dłoniach. Krzyczał pod wiatr, podczas gdy opadające mu na twarz malutkie krople słonej wody zlewały się z tymi, które spływały mu z oczu.

Jego umysł, tak wyjątkowy, zdradził go. Sibylla go zdradziła. Cały świat zabawiał się jego kosztem.

W głowie odbijały mu się echem słowa Alby, Moniki, Braschiego, ojca Leonarda, starego Cosmy, doktora Morfeo i Kuurmy i miał wrażenie, że rozmawiają ze sobą, nie dbając o to, że znajdowali się w jego głowie. Śmiali się z niego. Później ten szmer osłabł i został zastąpiony innym – kolejnymi głosami dochodzącymi z otchłani jego duszy. Jeden z nich przypisał Reisowi, nie wiedząc jednak dokładnie dlaczego. Inny Marconiemu. Jeszcze inny Diamante.

– Jaki piękny żółty kurczaczek – mówiła mu bawiąca się na drodze dziewczynka. – Dziękuję panu.

Kim był? Czy kiedykolwiek ją spotkał? Kim byli oni wszyscy? Nie wiedział tego, ale czuł, że niektórzy z nich byli mu kiedyś bardzo bliscy. Kiedy?

Znowu krzyknął. Potem osunął się na kolana i opadła mokry kamień.

Ocknął się, gdy usłyszał dzwonek roweru.

– Wszystko dobrze, proszę pana?

Na rowerze siedział starszy człowiek, wysoki i potężnie zbudowany, pełen energii tryskającej spod jego chropowatej skóry. Machał czapką.

Lio podniósł na niego wzrok, skinął głową i wstała nogi.

– Nie – powiedział – nic nie jest dobrze.

– Mogę coś dla pana zrobić?

– Nie sądzę.

– Może po kubku dobrego grzanego wina coś panu wpadnie go głowy? – Zsiadł z roweru. – Jest pan pewien, że dobrze się czuje?

– Nic mi nie jest, naprawdę. Chodzi o to, że nigdy nie było mi w życiu gorzej niż teraz.

Starzec zaśmiał się i zaczął pchać rower, trzymając go za kierownicę.

– Proszę pójść ze mną. Jeden kubek wina i wszystko wróci na miejsce.

Lio posłuchał i zaczął mechanicznie kroczyć obok niego.

– Nie jest pan stąd. Skąd pan pochodzi?

– Bardzo chciałbym to wiedzieć.

– Och, przy drugim kubku wróci panu pamięć, zobaczy pan.

– Mam nadzieję – odparł Lio.

– Co zatem sprowadza pana do Triestu?

– Wydarzenia.

– Wcześniej sprawiał pan wrażenie, że coś pana trapi.

– Miałem umówione spotkanie. Ale osoba, z którą chciałem się spotkać, nie przyszła.

– To musiała być bardzo ważna osoba.

– Moja żona.

– Hm, więc to rzeczywiście było ważne.

– Widział pan przez przypadek około trzydziestoletnią kobietę, smukłą, wysoką, o długich blond włosach?

Starzec podskoczył i odwrócił się w jego stronę. Nie miał wątpliwości.

– Tak, widziałem ją.

– Mówi pan prawdę? – W jednej chwili Lio odzyskał wigor i stał się stanowczy. W jego żyłach znów zaczęło krążyć życie. – Gdzie?

– Nieopodal San Giusto. – Obrócił się i wskazał mu wzgórze.

Lio złapał go za ramiona i potrząsnął nim.

– San Giusto? Katedry?

Odpowiedź na to pytanie zajęła starcowi tylko sekundę, a mimo to w tym krótkim czasie Lio zdążył tysiąc razy powtórzyć „powiedz, że nie”.

– Tak – odpowiedział mężczyzna – mniej więcej godzinę temu. Wie pan, jak tam dotrzeć?

Rozdział 81

Znalazł ją. Była tam, tak jak ją widział w swojej wizji w Berlinie, kiedy wydawało mu się, że ją sobie przypomina. Kościół też był ten sam – zabytkowy i pełen złotego światła.

– Nie! – wybuchło mu w gardle – Nie! – Minał gromadkę ciekawskich ludzi, która utworzyła się przed wejściem. Odepchnął policjanta, który nakazywał im rozłożonymi szeroko rękoma, żeby się odsunęli. Wpadła chórzystów, którzy zostali poproszeni o opuszczenie świątyni, wyraźnie przerażonych tym, co ujrzeli. Na początku środkowej nawy rzucił się na ziemię. Dalej szedł na kolanach, niczym pokutnik.

Sibylla leżała u stóp ołtarza, nieruchoma, z wielką purpurową plamą krwi na środku piersi.

– Proszę się zatrzymać! Dokąd pan idzie?

Dwóch policjantów podbiegło i próbowało go chwycić za ramiona, ale on się opędał i dalej szedł na kolanach.

– Zostawcie mnie – krzyczał – jestem jej mężem!

– Nakazuję panu natychmiast wyjść, w przeciwnym razie będę zmuszony aresztować pana za napaść.

Niewzruszony groźbami Lio wstał na nogi i cisnął go na ziemię pomiędzy drewniane ławki. Drugi policjant usiłował go obezwładnić, ale nie zdążył nawet ruszyć rękoma, gdy już znalazł się z twarzą przy ziemi, a następnie z plecami przyciśniętymi do jednego z białych filarów.

Dobiegł do niej i pochylił się. Dotknął jej szyi. Była już zimna, nieruchoma. Chwycił ją za rękę. Ciało było prawie sztywne. Na twarzy Sibylli malowało się zaskoczenie.

Pocisk dopadł ją, zanim zdążyła się wystraszyć, a teraz sprawiała wrażenie, że patrzy na coś niezwykłego.

– Powiedz coś – poprosił ją błagalnie, przykładając sobie jej dłoń do serca. – Proszę, powiedz coś.

Jej włosy pachniały jeszcze morską pianą. Czekająca niego o świcie nad brzegiem morza, tak jak przewidział.

Upadł powoli, łkając. Ułożył się obok niej, ściskając jej lodowatą dłoń.

– Zapomniałem cię – powiedział, szlochając. – Wybacz mi, zapomniałem cię. – Płakał tak, jak nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło. – Wybacz mi.

– Proszę wstać! Ręce do góry!

W jego stronę wycelowane były dwa pistolety, ale nawet nie odwrócił się w ich stronę. Swoją broń zostawił rybakowi, który docenił ją bardziej niż samochód. Może tak było lepiej? Po co dolewać krwi do tego spływającego już krwią potoku?

*Topór z boku mego, wsparcie mej ręki,
miecz z pasa mojego, tarczę sprzede mnie,
płaszcz mój odświętny, z lędźwi mych*

przepaskę porwawszy wziął mi zły bóg Bibbu.

Jakiż to znów sen ciebie ogarnął? Ociemniałaś ukochana, mówię, ale ty nie słyszysz.

– Ręce do góry! – wrzasnął znowu jeden z policjantów, schowany za filarem.

Lio podniósł ręce. Drugi z policjantów podszedł do niego od tyłu i przeszukał go. Wyjął mu z kieszeni dokumenty. Obejrzał je, a potem pokazał swojemu koledze. Skinęli głowami z drwiącymi uśmiezkami na twarzy.

Zakuli go w kajdanki i wyprowadzili, odprowadzani przestraszonymi i ciekawskimi spojrzeniami gapiów.

– Jestem jej mężem – mamrotał Lio, podczas gdy zmuszali go do wejścia do policyjnego furgonu.

– Jak na mój gust, nie skończy pan w więzieniu – powiedział jeden z policjantów, tamując krew, która

płyńłam z głowy. – Trafi pan od razu do psychiatryka.

– To moja żona – wymamrotał Lio przez łyżę.

– Naprawdę? Jest pan przekonany, że to pańska żona?

Drzwi furgonu zamknęły się. Policjant przyłożył do szyby dokument Sibylli, a obok dokument Lio:

SIBYLLA ROL: PANNA.

LIO MARTES: KAWALER.

Tak mówiły dokumenty. Przecież o tym wiedział, ale nie wiedzieć czemu, w tamtej chwili zapomniał.

Rozdział 82

*Niebo nad Wenecją Julijską, godzina
21:00*

Na wysokości czterech i pół tysiąca metrów śmigła srebrzystego dwusilnikowca Douglas C-47 Skytrain wirowały szybko w ciemnym powietrzu, głośno hałasując.

– Nic nie widzisz?

Drugi pilot, dwudziestopięcioletni blondyn bez zarostu z Lyons w stanie Colorado, potrząsnął głową.

– Nie, proszę pana. – Wyglądał za okno kabiny, szukając rzędu świateł, które powinny zapalić się na ziemi gdzieś pod nimi. – Nieprzeniknione ciemności zarówno na górze, jak i tam w dole – powiedział śpiewnie.

Pilot, Kalifornijczyk z San Francisco o szerokich ramionach, szorstkiej i kanciastej szczęce, delikatnym kosmyku siwych włosów,

który wysunął się spod daszka czapki, kolejny raz westchnął z irytacją.

– Przyjrzyj się lepiej.

Znowu w kabinie zapanował miarowy szmer silników.

– Dalej nic, proszę pana – powiedział chłopak po chwili.

Pilot wychylił się do przodu, mruczając coś cicho pod nosem, z czego drugi pilot zrozumiał tylko słowo „fuck”. Zdjął odbiornik radiowy z panelu sterowniczego i przysunął do ust.

– Tu Deluge – powiedział – jak mnie słyszycie?

Z radia popłynął tylko strumień chropowatych szumów.

– Tu Deluge, jak mnie słyszycie?

Kolejny szum, w końcu dotarł do nich głos żołnierza pełniącego służbę na ziemi.

– Słyszemy cię, Deluge. Odbiór.

– Przelatuję nad ustalonym punktem, ale nie widzę pasa do lądowania. Odbiór.

– Zaczekajcie. Bez odbioru. – Radio znowu zaczęło szumieć.

– Założę się, że te osoby, które mieliśmy zabrać, wystawiły nas do wiatru – powiedział drugi pilot, nie przestając przeczesywać wzrokiem ziemi. – Zresztą nie oni pierwsi – skomentował gorzko.

– Ale to nie są zwykli agenci.

– Mamy jakichś niezwykłych agentów?

– Na to wygląda.

– Czyli kogo?

– Takiego jednego, nazywa się Spartak. Włoch, wolny ptak, owiany tajemnicą.

– Po Włochu można się spodziewać, że nas wystawi.

– Zabierałem go poprzednie dwa razy. I z tego, co wiem, jest w porządku. Mówi się, że doprowadziło do końca misje graniczące z niemożliwością. Zdaje się, że... – Odwrócił się do drugiego pilota i dotknął swojej skroni.

– Rozumiesz? No wiesz...

– No wiesz co?

– Jakaś moc, nie wiem dokładnie.

– Paranormalne umiejętności? – W głosie młodego pilota wyczuwało się nutę sceptycyzmu.

– Mówią, że on widzi przyszłość. I nie tylko. Wiem, wiem, teraz będziesz się ze mnie nabijał.

– Nigdy bym nie śmiał, proszę pana.

– W każdym razie nie sądzę, żeby Spartak mógł się zwinąć, zanim doprowadzi misję do końca.

– Więc przyjdzie. W przeciwnym razie będzie to dla nas znak, że to była jego ostatnia misja.

– Czasami myślę o tych, którzy ryzykują życie tam, na ziemi. To ciężka robota, bez dwóch zdań.

– A drugi, którego mamy zabrać, kto to jest?

– Nie mam pojęcia.

– Może to z jego winy nie stawili się na spotkaniu?

– Wątpię, ale nie mogę tego wykluczyć.

Radio zaczęło szumieć, powrócił przyjazny głos kontrolera lotów:

– Deluge, jak mnie słyszycie? Odbiór. – Był to ten sam żołnierz, który rozmawiał z nimi przedtem.

– Słyszę pana głośno i wyraźnie. Odbiór.

– Rozkaz odwołany, kapitanie, powtarzam, rozkaz odwołany. Odbiór.

– Chce pan powiedzieć, że przylecieliśmy aż tutaj na próżno? Odbiór.

– Kontakt z agentami, których mieliście odebrać, urwał się. Natychmiast odwrócić kurs. Odbiór.

Drugi pilot zaśmiał się kpiąco.

– A nie mówiłem?

– Tak jest! Bez odbioru. – Pilot odłożył odbiorniki i wypuścił z siebie całe powietrze, które miał w płucach.

– Jeżeli Spartak się nie pojawił, zapewne ma jakiś ważny powód. Poza tym, to nie jest nasza sprawa.

– Jasne. Nie mogę się doczekać, aż odstawimy na ziemię ten przeklęty blaszak i napijemy się czegoś mocnego.

– Jedyne, co mnie pociesza, to że nie widać tu dział przeciwlotniczych.

– Jak zawsze.

– Ten reżim wypowiedział wojnę wszystkim dookoła, a nie chroni nawet własnych obywateli. – Chłopak westchnął, spoglądając w dół. Wszystkie światła były zgaszone w obawie przed bombardowaniem. – Patrząc z góry, wyraźnie widać, że Mussolini już upadł.

– Patrząc z góry – odparł kapitan, wykrzywiając twarz – to tak jakby Mussolini nigdy nie istniał.

Na chwilę śmiechy obu amerykańskich żołnierzy zlały się z głuchym szmerem silników firmy Pratt & Whitney, model R-1830.

Dalszą część drogi samolot pokonał, sunąc monotennie, niezauważony przez żadne jednostki na ziemi.

Przez cały czas piloci wpatrywali się w czarną szybę, nie mówiąc ani słowa. Tylko jeden raz starszy pilot odwrócił się do swojego pomocnika, spojrział na niego poważnie, wzdychając i powiedział:

– Powiedz mi, kiedy ta wojna się skończy?
Chłopak wzruszył ramionami.

– Proszę pana, tylko jasnowidz może to wiedzieć.

– Ja nim nie jestem, ale wiem, że najgorsze jest jeszcze przed nami.

Przypisy

Cytat na początku książki pochodzi z książki *Zarys rozkładu* Emile'a M. Ciorana, Wydawnictwo KR, Warszawa 2006 w tłumaczeniu Magdaleny Kowalskiej.

W książce wykorzystano fragmenty następujących utworów:

- *Biblia Warszawska*, Ez 1, 4-21,;
- *Enuma Elisz*, tłumaczenie własne autorki;
- *Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków*, film z 1938 roku, reżyseria wersji polskiej: Ryszard Ordyński lub Seweryn Nowicki, dialogi polskie i teksty piosenek: Marian Hemar;
- *Piosenka o pingwinie*, tłumaczenie własne autorki;

- *Serenata* F. Schuberta, adaptacja pieśni w wykonaniu Edyty Geppert, autor tekstu: Helena Kołaczkowska;

- *Epos o Gilgameszu*, tłumaczenie Krystyna Łyczkowska, Piotr Puchta, Magdalena Kapełuś, Wydawnictwo Agade, Warszawa 2002.

¹ Zgodnie z intencją autora, wszystkie informacje o źródłach cytatów znajdują się na końcu książki.

